

DENNIS LEHANE

RZEKA

TAJEMNIC

Z angielskiego przełożył

*Andrzej Nicpan*

  
Świat Książki



Tytuł oryginału  
MYSTIC RIVER

Zdjęcie na okładce  
© 2003 Warner Bros. Ent.

Redaktor prowadzący  
*Ewa Niepokólczycka*

Redaktor  
*Barbara Syczewska-Olszewska*

Redakcja techniczna  
*Lidia Lamparska*

Korekta  
*Joanna Łazowska*  
*Tadeusz Mahrburg*

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do zdarzeń, miejsc i osób (żywych czy umarłych) jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © by Dennis Lehane 2001  
Copyright © for the Polish translation by Łukasz Nicpan, 2003

Świat Książki  
Warszawa 2003

Składki łamanie  
*Joanna Duchnowska*

Druk i oprawa  
Finidr, Czechy

ISBN 83-7311-559-5  
Nr 3683

Mojej żonie Sheili

## Spis treści

I CHŁOPCY, KTÓRZY UCIEKLI WILKOM (1975).....	8
1 Dwie dzielnice .....	9
2 Cztery dni.....	25
II SMUTNOOKIE SINATRY (2000) .....	39
3 Łzy we włosach .....	40
4 Powiedz mi wszystko .....	53
5 Pomarańczowe zasłony.....	66
6 Boli, bo jest złamana.....	79
7 We krwi.....	90
8 Old MacDonald .....	106
9 Płetwonurkowie w Pen .....	117
10 Dowody rzeczowe.....	127
11 Czerwony deszcz .....	134
12 Barwy twojej tęczy.....	145
13 Światła .....	159
14 To się w życiu dwa razy nie zdarza .....	173
III ANIOŁOWIE CISZ.....	195
15 Równy chłop.....	196
16 Miło cię widzieć, chłopie .....	208
17 Rzut oka.....	222
18 Słowa, które kiedyś znał.....	238
19 Kim chcieli zostać.....	252
20 Kiedy już wróci do domu.....	270
21 Skrzaty.....	283
IV AWANS.....	294
22 Drapieżna ryba .....	295
23 Mały Vince .....	308
24 Wygnane plemię .....	324
25 Facet w bagażniku .....	340
26 Zagubieni w przestrzeni .....	352
27 Kogo kochasz?.....	368

Epilog JIMMY FLATS Niedziela.....	385
28 Zaklepiemy ci miejsce .....	386

Nie rozumiał kobiet. Nie tak jak ich nie rozumieją barmani czy komicy, lecz tak jak biedacy nie rozumieją ekonomii. Mogliby przez całe życie od rana do wieczora sterczeć przed gmachem Girard Bank, a i tak nie zrozumieliby tego, co dzieje się w środku. Dlatego w skrytości serca woleliby raczej zrobić skok na sklep ze słodyczami.

Pete Dexter *Gods Pocket*

Nie ma takiej ulicy, której milczą bruki,  
ani domu, gdzie echa nie czają się stuki.

Gongora

## Podziękowania

Dziękuję, nie po raz pierwszy, sierżantowi Michaelowi Lawnowi z Wydziału Policji Watertown; Brianowi Honanowi, radnemu miasta Boston; Davidowi Meierowi, naczelnikowi Wydziału Zabójstw przy Biurze Prokuratora Okręgowego hrabstwa Suffolk; Teresie Leonard i Ann Guden za korektę wszystkich moich błędów i Tomowi Murphy'emu, właścicielowi zakładu pogrzebowego „James A. Murphy i Syn” w Dorchester.

Szczególny dług wdzięczności zaciągnąłem u Roberta Manninga z policji stanowej Massachusetts, który poddał mi temat tej powieści i z anielską cierpliwością odpowiadał na moje pytania, nawet te najgłupsze.

Najserdeczniejsze podziękowania składam mojej cudownej agentce literackiej, Ann Rittenberg, i wspaniałemu wydawcy, Claire Wachtel, za ich opiekuńczą troskę.

**I**

**CHŁOPCY,  
KTÓRZY UCIEKLI  
WILKOM**

**(1975)**



## Dwie dzielnice

Kiedy Sean Devine i Jimmy Marcus byli dziećmi, ich ojcowie pracowali razem w fabryce słodyczy Colemana, skąd przynosili do domu zapach masy kakaowej. Tą czekoladową wonią w końcu na trwałe przesiąkły ich ubrania, łóżka, w których spali, ceratowe oparcia siedzeń w samochodach. Kuchnia w domu Seana pachniała krówkami, jego sypialnia ptasim mleczkiem. Jedenastoletni Sean i Jimmy tak serdecznie znienawidzili wszelkie słodycze, że do końca życia pijali czarną kawę bez cukru i nie brali do ust deserów.

W soboty ojciec Jimmy'ego wpadał do domu Devine'ów do ojca Seana na piwko i zabierał ze sobą Jimmy'ego. Podczas gdy jedno piwko zmieniał się w sześć, doprawionych kilkoma szklaneczkami szkockiej whisky, Jimmy i Sean bawili się na podwórku, czasem w towarzystwie Dave'a Boyle'a, chłopaczyny o dziewczęcych nadgarstkach i kiepskim wzroku, który stale opowiadał dowcipy zasłyszane od swoich wujków. Zza moskitiery w kuchennym oknie dobiegały chłopców trzaski otwieranych puszek piwa, wybuchy chrapliwego śmiechu i głośne pstrykanie zapalniczek, którymi panowie Marcus i Devine przypalali sobie nawzajem papierosy Lucky Strike.

Ojciec Seana miał lepszy zawód, był brygadzystą. Wysoki i jasnowłosy, z figlarnym, ujmującym uśmiechem, na którego widok - Sean często bywał tego świadkiem - topniał w jednej chwili gniew matki, zupełnie jakby ktoś przekręcił jej w środku jakiś pstryczek. Ojciec Jimmy'ego ładował towar na ciężarówki. Był drobny, miał ciemne włosy opadające na czoło niesforną grzywką, a oczy wiecznie błyszczące rozbawieniem. Poruszał się szybko jak fryga; nim zdążyłeś mrugnąć powieką, już był w drugim końcu pokoju. Dave Boyle nie miał ojca, jedynie gromadę wujków, a bywał na tych sobotnich spotkaniach wyłącznie dlatego, że umiał uczepić się Jimmy'ego jak rzep psiego ogona. Ledwo zobaczył, jak Jimmy wychodzi z ojcem z domu, już zjawiał się zdyszany koło samochodu i pytał z nadzieją w głosie: „Cześć, Jimmy, jak leci?”

Mieszkali wszyscy w East Buckingham, kawałek na zachód od śródmieścia, w dzielnicy ciasnych narożnych sklepików, małych podwórek i sklepów rzeźniczych, w których witrynach wisiały krwawe półcie różowego mięsa. Bary nosiły nazwy

irlandzkie, przy krawężnikach parkowały samochody najtańszych marek, głównie Dodge Darts. Kobiety wiązały chustki z tyłu głowy i nosiły małe, zamykane na zatrzaski torebki z dermy, a w nich papierosy. Zaledwie kilka lat wcześniej z ulic wywiało wszystkich starszych chłopców, jakby porwało ich UFO. Posłano ich na wojnę. Wrócili po paru latach nie ci sami, jakby wypaleni, lub nie wrócili wcale. W ciągu dnia matki szukały w gazetach ogłoszeń o wyprzedażach. Nocami ojcowie przesiadywali w barach. Znało się tam wszystkich. Nikt, poza tymi, co poszli na wojnę, nigdy się stamtąd nie wyrwał.

Jimmy i Dave pochodzili z okolicy zwanej Flats, położonej w dole nad kanałem Penitentiary po południowej stronie Buckingham Avenue. Od ulicy Seana dzieliło ich tylko dwanaście przecznic, ale Devine'owie mieszkali już po północnej stronie alei, w dzielnicy zwanej Point, a Flats i Point raczej się ze sobą nie mieszały.

Nie, dlatego, by w Point ulice kapały od złota czy była to okolica mlekiem i miodem płynąca. Point było zwykłą dzielnicą robotniczą, przed skromnymi domami o dwuspadowych dachach i nielicznymi domkami w stylu wiktoriańskim parkowały chevrolety, fordy i dodge. Jednak mieszkańcy Point mogli o sobie powiedzieć, że są właścicielami, posiadaczami. Natomiast mieszkańcy Flats byli tylko najemcami. Rodziny z Point chodziły do kościoła, na ogół się nie rozpadały, w miesiącach przedwyborczych stawiano tam na rogach ulic tablice reklamowe. Rodziny z Flats żyły nędznie, gnieździły się po dziesięć osób w ciasnych mieszkankach, na zaśmieconych ulicach (Sean i jego koledzy ze szkoły nazywali tę dzielnicę Wysypiskiem), wegetowały na zasiłku, posyłały dzieci do szkół państwowych i często się rozpadały. Sean chodził w czarnych spodniach, czarnym krawacie i niebieskiej koszuli do szkoły parafialnej Saint Mike's, natomiast Jimmy i Dave do państwowej budy imienia Lewisa M. Deweya na Blaxston. Nazywali ją Looey & Dooley i mogli do niej chodzić w codziennych ubraniach, co sobie chwalili, ale że nosili je zwykle i w piątek, i w świętek, chwalili to sobie już mniej. Byli cali jacyś zatłuszczeni, mieli przetłuszczone włosy, przetłuszczoną cerę, wyświecone od tłuszczu kołnierzyki i mankiety. Wielu miało wągry i przedwcześnie kończyło szkolną edukację. Dziewczeta często przychodziły na rozdanie świadectw w sukienkach ciążowych.

Gdyby, więc nie ich ojcowie, chłopcy prawdopodobnie nigdy by się ze sobą nie zaprzyjaźnili. Nie spotykali się w dni powszednie, jedynie w soboty, było jednak w tych dniach coś niezwykłego - niezależnie od tego, czy bawili się na podwórku, czy włączyli po zwałowisku żwiru przy Harvest Street, czy wsiadali do metra i jechali do

śródmieścia, w żadnym innym celu jak tylko po to, by pędzić ciemnymi tunelami, słuchać grzechotu wagonów i zgrzytu hamulców na łukach torów i przyglądać się mrugającym światelkom. Sean porównałby to do wstrzymania oddechu. W towarzystwie Jimmy'ego wszystko się mogło zdarzyć. Ten chłopak, jeśli nawet był świadom istnienia jakichś reguł zachowania - w metrze, na ulicy czy w kinie - nigdy się do nich nie stosował.

Kiedyś na peronie stacji South rzucali do siebie pomarańczową piłkę do ulicznego hokeja, Jimmy nie zdołał chwycić podania Seana i piłka stoczyła się na tory. Zanim Sean zdążył zmiarkować, co się dzieje, Jimmy już zeskoczył z peronu na tory, między myszy, szczury, w sąsiedztwo trzeciej szyny.

Ludzie na peronie wpadli w szal. Zaczęli wrzeszczeć na Jimmy'ego. Jakaś kobieta poszarzała na twarzy, upadła na kolana i zaczęła się drzeć jak opętana: „Wyłaź stamtąd, ale już, do jasnej cholery!”. Do uszu Seana dobiegł głuchy łoskot. Mógł to być odgłos pociągu wjeżdżającego w tunel przy stacji Washington Street albo echo przejeżdżających w górze ulicą ciężarówek. Czekający na peronie pasażerowie również usłyszeli ten dźwięk. Zaczęli gwałtownie gestykulować i rozglądać się na prawo i lewo w poszukiwaniu funkcjonariuszy ochrony metra. Jeden z mężczyzn zasłonił przedramieniem oczy swojej córki.

Jimmy ze zwieszoną głową szukał tymczasem piłki, zaglądając w ciemność pod peronem. W końcu ją znalazł i spokojnie otarł rękawem koszuli z czarnej mazi, jaką była powalana, całkowicie ignorując ludzi, którzy klęczeli na żółtej linii i wyciągali ku niemu ręce.

Dave trącił Seana łokciem i mruknął, trochę nazbyt głośno:

- Ale jaja, co?

Jimmy ruszył między torami w stronę schodów u dalekiego końca peronu, gdzie ział czarną gardzielą tunel metra i skąd dolatywał coraz potężniejszy łoskot, od którego drżała cała stacja, a ludzie podskakiwali i chwyтали się za głowę. Tymczasem Jimmy wcale się nie spieszył, szedł sobie wolniutko, w pewnej chwili obejrzał się nawet przez ramię, poszukał wzrokiem Seana i uśmiechnął się do niego.

- Śmieje się - powiedział Dave. - Ale szajbus, nie?

Kiedy Jimmy wszedł na pierwszy stopień betonowych schodów, wyciągnęło się do niego kilka par rąk i porwało w górę. Sean zobaczył, jak stopy kolegi majtnęły w lewo, a głowa poleciała w prawo; Jimmy sprawiał wrażenie tak małego i lekkiego w łapach jakiegoś wielkiego mężczyzny, jakby był szmacianą lalką, mimo to piłkę przyciskał

mocno do piersi, nawet, gdy ludzie chwycili go pod łokcie, i uderzył goieniem o krawędź peronu. Sean poczuł, jak stojący u jego boku Dave zatrzęsł się nerwowo. Sean przyjrzał się twarzom ludzi otaczających Jimmy'ego i nie dojrzał już na nich przejęcia ani strachu czy choćby śladu bezradności, jakie malowały się na nich jeszcze przed chwilą. Zobaczył tylko gniewne, rozwścieczone twarze, jakby wszyscy ci wybawiciele mieli się zaraz rzucić na Jimmy'ego i rozszarpać go na strzępy.

Wyciągnęli Jimmy'ego na peron i trzymali, zaciskając palce na jego ramionach i rozglądając się na boki w poszukiwaniu kogoś, kto by im powiedział, co mają robić dalej. Tymczasem z tunelu wypadł z hukiem pociąg i ktoś głośno krzyknął, a potem ktoś inny się roześmiał ostrym piskliwym chichotem, który nasunął Seanowi obraz pochylonych nad kotłem wiedźm, ponieważ pociąg wjechał na drugą stronę peronu, w kierunku północnym, a Jimmy spojrzał w twarze trzymających go ludzi z miną, która mówiła: „No i co, frajerzy?”.

Stojący obok Seana Dave zaniósł się tym swoim wysokim, piskliwym chichotem, po czym porzygał się we własne dłonie.

Sean odwrócił się z niesmakiem, pytając samego siebie, co tutaj robi.

Tego wieczoru ojciec Seana zasiadł w warsztacie w piwnicy. Warsztat mieścił się w ciasnym pomieszczeniu pełnym imadeł, puszek po kawie, wypełnionych gwoździami i śrubami, stosów drewna ułożonych równo pod dzielącym warsztat na pół poharatany stolik, młotków wiszących w pasach stolarskich niczym pistolety w kaburach obok dyndającego na haku brzeszczotu piły taśmowej. Ojciec Seana, znany w okolicy majsterklepka, budował w tej piwnicy domki dla ptaków i półki, na których jego żona stawiała w oknach doniczki z kwiatami. Tu również zaprojektował altankę, którą z pomocą kolegów wzniósł w ogródku za domem pewnego letniego upalnego dnia, kiedy Sean miał pięć lat; zaszywał się w niej, gdy szukał ciszy i spokoju, a czasem, gdy był zagniewany na syna, na żonę lub na swoją pracę. Kolejne domki dla ptaków - lilipucie rezydencje w stylu Tudorów, kolonialnym, wiktoriańskim lub podobne do szwajcarskich szaletów - powiększały piętrzący się w kącie piwnicy stos tak już ogromny, że Devine'owie musieliby chyba mieszkać w Amazonii, żeby znaleźć im dość ptasich lokatorów.

Sean usiadł na starym czerwonym barowym taborecie i włożył palec między szczękę potężnego imadła, umazane oliwą zmieszaną z trocinami.

- Ile razy mam ci powtarzać, żebyś tego nie robił? - ofuknął go ojciec.

Sean wyjął palec i wytarł smar o wnętrze dłoni. Pan Devine zebrał z warsztatu kilka walających się tam gwoździ i wrzucił je do żółtej puszeki po kawie.

- Wiem, że lubisz Jimmy'ego Marcusa, ale jeśli chcesz się z nim nadal spotykać, od dzisiaj macie się bawić przed domem. Naszym, a nie jego.

Sean skinął głową. Sprzeciwianie się ojcu, kiedy mówił tak cicho i powoli jak w tej chwili, a każde słowo wychodziło z jego ust jakby obciążone kamykiem, nie miało najmniejszego sensu.

- Rozumiemy się? - Ojciec odsunął na bok puszkę po kawie i spojrzał na Seana.

Chłopiec potaknął. Przyglądał się, jak ojciec grubymi palcami ściera trociny ze szczęk imadła.

- Jak długo?

Ojciec podniósł rękę i ściągnął motek kurzu z białego w sufit haka. Ugniótł go w palcach i wrzucił do stojącego pod stołem warsztatowym kosza.

- Hm, długo, jak sądzę. I jeszcze jedno, Sean...

- Tak?

- Nie próbuj chodzić z tym do matki. Ona wolałaby, żebyś w ogóle nie spotykał się z Jimmym po tym jego dzisiejszym wysokoku.

- On nie jest taki zły, tylko...

- Nie mówię, że jest zły. Jest szalony, a twoja matka dość się już w życiu napatrzyła szaleństw.

Sean dostrzegł błysk w oku ojca przy słowie „szaleństwo” i domyślił się, że ma teraz przed sobą drugiego Billy'ego Devine'a, tego, którego postać odtworzył ze strzępków zasłyszanych potajemnie rozmów różnych ciotek i wujków. Nazywali go Dawnym Billym, „latawcem”, jak powiedział kiedyś z uśmiechem wujek Colm, tym Billym, który zniknął na krótko przed urodzeniem Seana, by pojawić się z powrotem, jako spokojny, rozważny mężczyzna o grubych, zręcznych palcach, którymi budował domki dla ptaków.

- Zapamiętaj sobie, o czym mówiliśmy - powiedział ojciec i poklepał Seana po ramieniu, dając mu tym samym znak do odejścia.

Sean wyszedł z warsztatu. Idąc przez zimną piwnicę, zastanawiał się, czy lubi towarzystwo Jimmy'ego z tego samego powodu, dla którego ojciec lubi przesiadywać z panem Marcusem, pić z nim przez całą noc z soboty na niedzielę i wybuchać niespodziewanie hałaśliwym śmiechem, i czy nie w tym kryje się przyczyna obaw jego matki.

Kolejnej soboty Jimmy i Dave Boyle przyszli pod dom Devine'ów tylko we dwóch, bez ojca Jimmy'ego. Zapukali do drzwi kuchennych, gdy Sean kończył śniadanie. Usłyszał, jak matka otwiera im i mówi „Dzień dobry, Jimmy. Witaj, Dave” uprzejmym tonem, jakiego używała, gdy nie była pewna, czy chętnie widzi witaną osobę.

Jimmy był wyciszony, jakby szalona energia, która zawsze go rozpierała, zwinęła się w jego wnętrzu niczym sprężyna. Sean niemal czuł, jak naciska na klatkę piersiową kolegi i chyba go dusi, bo z trudem przełykał ślinę. Jimmy wydawał się jakiś mniejszy, pociemniały, jakby przekłuto go szpilką i wypuszczono zeń powietrze. Sean już go widywał w takim stanie. Jimmy miał nie od dzisiaj wahania nastroju. Seana to zawsze dość niepokoiło. Zastanawiał się, czy jego kolega kontroluje te humory, czy też dopadają go jak nagły ból gardła albo niezapowiedziane wizyty kuzynek jego matki.

Kiedy Jimmy był w takim humorze, Dave Boyle stawał się szczególnie dokuczliwy. Uważał chyba, że musi rozbawić wszystkich dookoła, i po jakimś czasie miało się go serdecznie dosyć.

Stali na chodniku, nie wiedząc, co dalej, Jimmy ponury, Sean jeszcze nie całkiem rozbudzony, wszyscy trzej z lekka zaniepokojeni perspektywą długiego dnia zamkniętego w kwadracie dwóch sąsiednich przecznic. Nagle Dave wyskoczył z pytaniem:

- A słyszeliście, dlaczego pies liże sobie jaja?

Ani Sean, ani Jimmy nie odpowiedzieli. Słyszeli już ten kawał chyba ze sto razy.

- Bo może! - Dave Boyle zaczął się tak śmiać, że chwycił się za brzuch.

Jimmy podszedł do drewnianych kozłów, którymi służby miejskie ogrodziły odcinek naprawianego chodnika. Cztery takie kozły połączone w prostokąt żółtą taśmą z napisem ROBOTY DROGOWE tworzyły zaporę wokół nowych płyt chodnikowych. Jimmy przerwał taśmę, po prostu przez nią przechodząc. Przykucnął na skraju starych płyt i zaczął żłobić patykiem w miękkim betonie cienkie linie, które przypominały Seanowi pomarszczone palce starców.

- Mój tata już nie pracuje z twoim.

- Dlaczego? - Sean kucnął obok kolegi. Nie miał pod ręką patyka, czego ogromnie żałował. Chciałby naśladować Jimmy'ego, choć nie wiedział właściwie, dlaczego i choć ojciec spuściłby mu lanie za takie zabawy.

Jimmy wzruszył ramionami.

- Wyrolował ich. Przestraszyli się, bo zna różne tajemnice.

- Tajemnice produkcyjne, co nie, Jimmy? - uzupełnił skwapliwie Dave.

Co nie, Jimmy? Co nie, Jimmy? Dave przypominał czasami papugę.

Sean zaczął się zastanawiać, jakie tajemnice mogą się kryć w produkcji słodczy i dlaczego są aż takie ważne.

- Jakie tajemnice?

- Jak lepiej prowadzić fabrykę - odpowiedział bez przekonania Jimmy i wzruszył ramionami. - Tajemnice i już. Ważne tajemnice.

- Aha.

- Jak lepiej prowadzić fabrykę, co nie, Jimmy?

Jimmy dalej żłobił patykiem świeży cement. Dave Boyle też znalazł sobie patyk, nachylił się nad chodnikiem i zaczął rysować koło. Jimmy zmarszczył się niechętnie i odrzucił patyk. Dave również przestał rysować i spojrzał na niego, jakby pytał: „I co teraz robimy?”

- Wiecie, co byłoby w dechę? - W głosie Jimmy'ego dało się słyszeć podniecenie, więc Seanowi ścierpła skóra, ponieważ pojęcie Jimmy'ego o tym, co jest w dechę, na ogół różniło się krańcowo od jego wyobrażeń.

- No?

- Przejechać się autem.

- Może - przyznał z ociąganiem Sean.

- Kapujecie - Jimmy rozłożył szeroko ręce, zapominając o rysunkach na cemencie - tylko tymi ulicami dokoła.

- Tylko tu dokoła - zaakceptował Sean.

- Byłby ubaw, nie? - Jimmy uśmiechnął się szeroko. Sean poczuł, że i na jego twarzy rozlewa się uśmiech.

- Byłoby wdechowo.

- Fajowo. - Jimmy podskoczył, spojrzał na Seana, uniósł brwi i znowu podskoczył.

- Fajowo. - Sean czuł już niemal w rękach koło kierownicy.

- Byłoby byczo! - zawołał Jimmy i trzepnął Seana w ramię.

- Byczno! - Sean trzepnął w ramię Jimmy'ego. Czuł w sobie jakiś dygot, poryw, rozpęd i entuzjazm.

- Byczno! - krzyknął Dave, zamachnął się, lecz nie trafił Jimmy'ego w ramię.

Sean niemal już zapomniał o jego obecności. Z Dave'em zawsze tak było. Sean nie miał pojęcia, dlaczego tak się działo.

- Będzie ubaw jak jasna cholerka! - Jimmy zaśmiał się i znowu podskoczył.

Sean już to widział oczami wyobraźni. Siedzą na przednich siedzeniach (Dave z

tyłu, jeśli w ogóle go zabrali), dwaj jedenastoletni chłopcy, i zasuwiają po Buckingham aż się kurczy, trąbią na kolegów, ścigają się błotnik w błotnik ze starszymi chłopakami po Dunboy Avenue, z piskiem opon biorą zakręty. Czuł zapach wpadającego przez okno powietrza i jego pęd we włosach.

Jimmy spojrział w głąb ulicy.

- Znasz tu jakiegoś frajera, który zostawia kluczyki w stacyjce?

Sean znał takich frajerów. Pan Griffin chował kluczyki pod siedzeniem, Dottie Fiore trzymała je w schowku na rękawiczki, a stary Makowski, pijaczyna, który dniami i nocami słuchał na cały regulator płyt Sinatry, najczęściej zapominał je wyjąć ze stacyjki.

Gdy jednak pobiegł spojrzeniem za wzrokiem Jimmy'ego i dostrzegł samochody, których właściciele zostawiali kluczyki w stacyjkach, poczuł w głowie ucisk i nagle w blasku jaskrawego słońca, odbijającego się od bagażników i masek samochodów, odniósł wrażenie, że przytłacza go ulica wraz z domami, cała dzielnica ze wszystkimi pięknymi widokami, jakie przed nim otwierała. Nie należał przecież do chuliganów, którzy kradną samochody. Był jednym z chłopców, którzy pewnego dnia pójda do college'u i zostaną kimś lepszym i ważniejszym od brygadzystów i ładowaczy w fabryce czekolady. Taki miał plan, a wiedział, że plany udaje się zrealizować, kiedy postępuje się ostrożnie i rozważnie. Tak jak warto czasem w kinie, choćby film był okropnie nudny i niezrozumiały, wysiedzieć do końca, bo zawsze mogło się coś wyjaśnić albo samo zakończenie okazywało się na tyle fajne, że nie szkoda się było trochę ponudzić.

Chciał to powiedzieć Jimmy'emu, ale on już oddalał się ulicą, zaglądając w okna samochodów. Dave dreptał obok niego.

- Może ten? - Jimmy położył rękę na chevrolecie Bel Air pana Carltona; jego głos nabrał ostrych nut w suchym wietrze.

- Słuchaj, Jimmy - powiedział, podchodząc Sean - może innym razem, dobrze?

Twarz Jimmy'ego sposepniała.

- O co ci chodzi? Rozerwiemy się. Będzie ubaw. Nie chcesz?

- Będzie ubaw - ucieszył się Dave.

- Nie będziemy nawet widzieć jezdni spod tablicy.

- Przyniesiesz z domu książkę telefoniczną i się ją podłożysz. - Uśmiech Jimmy'ego zajaśniał triumfalnie w słońcu.

- Podłożysz książkę - uradował się Dave. - Bycza myśl! Sean wyciągnął rękę.

- Słuchajcie, dajmy temu spokój.



Uśmiech Jimmy'ego zgasł. Spojrzał na ręce Seana, jakby chciał mu je odrąbać.

- Dlaczego ty nigdy nie zrobisz nic dla jaj?

Pociągnął za klamkę bel aira. Drzwi były zamknięte. Po twarzy Jimmy'ego przebiegł skurcz i zadrżała mu dolna warga. Spojrzał Seanowi w oczy z wyrazem tak głębokiej samotności, że Seanowi zrobiło się go żal.

Tymczasem Dave przeniósł wzrok z Jimmy'ego na Seana i zmierzył go groźnym spojrzeniem, po czym podniósł rękę i niezgrabnie uderzył go w ramię.

- Właśnie, dlaczego ty nigdy nie zrobisz nic dla jaj?

Sean nie mógł uwierzyć, że Dave go uderzył. Dave!

Huknął go w pierś i Dave klapnął na tyłek.

Jimmy pchnął Seana.

- Co robisz, kurwa? Zwariowałaś?

- Uderzył mnie.

- Gównu cię uderzył.

Oczy Seana zrobiły się okrągłe ze zdumienia. Jimmy zaczął przedrzeźniać jego zbaraniałą minę.

- Uderzył mnie!

- Uderzył mnie - piskliwym głosem powtórzył drwiąco Jimmy i znowu Seana popchnął. - To mój kumpel, kurwa.

- Mój też - przypomniał Sean.

- Mój też - powtórzył ironicznie Jimmy. - Mój też, mój też, mój też.

Dave Boyle wstał z ziemi i zaśmiał się szyderczo.

- Przestań - syknął Sean.

- Przestań, przestań, przestań. - Jimmy po raz trzeci pchnął Seana, boleśnie wbijając dłonie w jego żebra. - Szurasz? Chcesz się bić?

- Chcesz się bić? - Dave również popchnął Seana.

Sean już nie pamiętał, jak to się zaczęło. Co tak rozwścieczyło Jimmy'ego i dlaczego Dave okazał się na tyle głupi, by go uderzyć. Przed chwilą stali obok samochodu, teraz znaleźli się na środku jezdni. Jimmy go popychał, twarz miał nienawistną i stężałą, oczy zwięzione i pociemniałe. Dave szturchnął Seana z boku.

- No co, szurasz?

- Ja nie... Kolejne pchnięcie.

- No chodź, mięczaku.

- Jimmy, nie moglibyśmy po prostu...

- Nie. Pękasz, synek?

Jimmy przymierzał się do kolejnych popchnięć, nagle jednak się wstrzymał i rysy jego twarzy wykrzywił grymas tej samej przeraźliwej samotności (i zmęczenia, co Sean dostrzegł dopiero teraz), gdy spojrzał w głąb ulicy.

Nadjeżdżał nią ciemnobrązowy samochód, kanciasty i długi jak policyjne radiowozy, chyba plymouth. Zderzak zatrzymał się niemal na nogach chłopców. Zza przedniej szyby przyglądało się im dwóch gliniarzy, ich twarze rozmywały się w oleistym odbłasku odbitych w szybie drzew.

Nagle Sean odczuł zmianę nastroju poranka, jakąś ryse w jego miękkiej bezkształtności.

Kierowca wysiadł. Typowy glina - krótko ostrzyżone blond włosy, czerwona gęba, biała koszula, złoto-czarny nylonowy krawat. Opasy bandzioch wylewał mu się nad sprzączką pasa niczym lawina z naleśników. Drugi z policjantów, kościsty typ, wyglądał na chorego, a może tylko zmęczonego. Pozostał na swoim miejscu, palce prawej ręki wsunął w przetłuszczone czarne włosy i zerkał nerwowo w boczne lusterko.

Brzuchacz przywołał chłopców skinieniem palca, a potem wskazał nim na własną pierś. Podeszli do samochodu od strony kierowcy i stanęli w rządku.

- Pozwolicie, że o coś zapytam? - Zgiął się w pasie, a jego wielki jak ceber łeb zasłonił Seanowi świat. - Jak wam się wydaje, czy wolno urządzać bójki na środku jezdni?

Sean dostrzegł złotą odznakę przypiętą do sprzączki pasa na prawym biodrze grubasa.

- Słucham? - Gliniarz przystawił sobie dłoń do ucha.

- Nie, proszę pana.

- Nie, proszę pana.

- Nie, proszę pana.

- Co wy za jedni, hę? Punkci? - Grubym kciukiem wskazał mężczyznę na siedzeniu pasażera. - Ja i mój partner mamy już po dziurki w nosie punków z East Bucky, którzy terroryzują spokojnych obywateli. Zrozumiano?

Sean i Jimmy milczeli.

- Przepraszamy - wyjąkał Dave Boyle. Wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozbeczeć.

- Jesteście z tej ulicy? - zapytał gruby policjant i przesunął spojrzeniem po

domach z lewej strony, jakby znał tu wszystkich mieszkańców i był gotów wsadzić pytanych do paki, gdyby udzielili kłamliwej odpowiedzi.

- Tak - powiedział Jimmy i spojrzał przez ramię na dom Devine'ów.

- Tak, proszę pana - potwierdził Sean.

Dave milczał.

Gliniarz zmierzył go wzrokiem.

- Słucham? Co mówiłeś, synek?

- Ja? - Dave spojrzał na Jimmy'ego.

- Nie patrz na niego. Patrz na mnie. - Wielki gliniarz oddychał chrapliwie przez nos. - Mieszkasz tutaj, mały?

- Ja? Nie.

- Nie? - Gliniarz nachylił się na Dave'em. - Więc gdzie, kolego?

- Na Rester Street. - Dave nie odrywał oczu od Jimmy'ego.

- Oberwaniec z Flats w porządnej dzielnicy? - Wargi gliniarza złożyły się tak, jakby smakował lizak. - To chyba nieładnie?

- Słucham?

- Mieszkasz z matką, smarku?

- Tak, proszę pana. - Po policzku Dave'a spłynęła łza.

Sean i Jimmy odwrócili wzrok.

- No cóż, będziemy musieli z nią zamienić parę słów, powiemy, czym zajmował się jej mały punk.

- Ja nie... ja...- wybełkotał Dave.

- Wsiadaj.

Grubas otworzył tylne drzwi samochodu i Sean poczuł zapach jabłek, soczysty, październikowy zapach. Dave spojrzał na Jimmy'ego.

- Wsiadaj - powtórzył policjant. - A może chcesz, żebym założył ci kajdanki?

- Ja...

- Słucham? - Po jego głosie można było poznać, jak bardzo jest poirytowany.

Uderzył dłonią w górną krawędź drzwi. - Wsiadaj, do cholery!

Pochlipując, Dave wdrapał się na tylne siedzenie. Gliniarz wycelował krótki paluch w Jimmy'ego i Seana.

- A wy idźcie się pochwalić swoim matkom, jak się tu zabawialiście. Żadnych więcej bójek na mojej ulicy, zrozumiano?!

Obaj chłopcy cofnęli się, a policjant wsiadł do samochodu. Patrzyli, jak auto

dojeżdża do rogu i skręca w prawo. W tylnej szybie widzieli obróconą w ich stronę głowę Dave'a, pociemniałą z powodu oddalenia i cienia, jaki ją okrył. A potem ulica na powrót opustoszała i ucichła, jakby zamykające się z trzaskiem drzwi samochodu policyjnego wyłączyły fonię. Jimmy i Sean stali w tym samym miejscu, gdzie przed chwilą parkował radiowóz, patrzyli pod nogi, w górę i w dół ulicy, byle nie na siebie.

Sean doświadczył ponownie zmiany w nastroju poranka, lecz tym razem towarzyszył owemu odczuciu smak brudnych monet w ustach. W żołądku czuł taką pustkę, jakby mu go odessano.

Nagle Jimmy mruknął:

- To ty zacząłeś.

- On zaczął.

- Gówno prawda. Teraz ma przesrane. Jego stara ma nierówno pod sufitem. Chuj wie, co robi, jak zobaczy gliny.

- Ja nie zaczynałem.

Jimmy popchnął Seana, który nie pozostał dłużny i po chwili tarzali się na jezdni, okładając jeden drugiego pięściami.

- Co tu się wyprawia!

Sean sturlał się z Jimmy'ego, po czym obaj wstali, spodziewając się ujrzeć obu policjantów, tymczasem zobaczyli pana Devine'a, który zbiegł po schodkach domu.

- Co wy, u diabła, robicie?

- Nic.

- Nic. - Ojciec Seana stał na chodniku i gniewnie marszczył czoło. - Uciekajcie z jezdni.

Stanęli obok niego.

- Nie byliście czasem we trzech? - Pan Devine spojrział w głąb ulicy. - Gdzie Dave?

- Kto?

- Dave. - Ojciec Seana przeniósł spojrzenie z syna na Jimmy'ego. - Nie był z wami?

- Biliśmy się na jezdni.

- Słucham?

- Biliśmy się na jezdni i przyjechała policja.

- Kiedy?

- Jakies pięć minut temu.

- Rozumiem. Więc przyjechała policja...

- ...zabrali go.

Ojciec Seana ponownie zlustrował perspektywę ulicy.

- Co takiego? Zabrali Dave'a?

- Żeby go odwieźć do domu. Ja skłamałem, że mieszkam tutaj. Dave powiedział, że mieszka we Flats i oni...

- O czym ty gadasz? Sean, jak ci policjanci wyglądali?

- Słucham?

- Mieli na sobie mundury?

- Nie, ale...

- Skąd wiedzieliście, że to policjanci?

- Ja nie wiedziałem. Oni...

- Tak?

- Jeden miał odznakę - powiedział Jimmy. - Na pasku.

- Jaką odznakę?

- Chyba złotą.

- Rozumiem. Było coś na niej?

- Słucham?

- Jakieś słowa? Były na niej jakieś słowa, które dało się odczytać?

- Chyba nie. Nie zauważyłem.

- Billy?

Wszyscy trzej zwrócili spojrzenia w stronę matki Seana, która stała na ganku z niespokojną, pytającą miną.

- Słuchaj, kochanie, zadzwoń na policję, dobrze? Zapytaj, czy detektywi mogli z powodu małej bójki zgarnąć z ulicy dzieciaka.

- Jakiego znów dzieciaka?

- Dave'a Boyle.

- O mój Boże! Jego matka...

- Nie martwmy się na zapas, dobrze? Przekonajmy się najpierw, co nam powiedzą na policji, zgoda?

Matka Seana wbiegła do domu. Sean spojrzał na ojca. Wydawało się, że nie wie, co zrobić z rękami. Wsadził je do kieszeni, potem wyjął je i otarł o spodnie.

- Cholerny świat - powiedział bardzo cicho i spojrzał w głąb ulicy, jakby Dave, dla Seana niewidzialny, unosił się w powietrzu.

- Był brązowy - rzekł Jimmy.

- Kto?
- Samochód. Ciemnobrązowy. Chyba plymouth.
- Niczego więcej nie zauważyliście?

Sean spróbował sobie przypomnieć bardziej szczegółowo samochód, ale bezskutecznie. Widział go tylko, jako przeszkodę utrudniającą widzenie, poza tym niezauważalną. Brązowy samochód zasłaniał różowego fordą Pinto pani Ryan i dolną połowę jej żywopłotu, ale sam był niewidoczny.

- Pachniał jabłkami - wybąkał Sean.
- Co takiego?
- Jabłkami. Ten samochód pachniał jabłkami.
- Pachniał jabłkami - powtórzył w roztargnieniu ojciec.

Godzinę później w kuchni domu Devine'ów dwaj policjanci zadali Seanowi i Jimmy'emu kilka pytań, a potem przyszedł jakiś trzeci funkcjonariusz i na podstawie ich opisu naszkicował portrety mężczyzn z brązowego auta. Gruby blondyn wyszedł na rysunku nawet gorzej, niż wyglądał w rzeczywistości, z jeszcze bardziej nalaną twarzą, ale poza tym był do siebie dość podobny. Drugi, ten, który cały czas zerkał w boczne lustro, w ogóle nie był do niczego podobny, jego twarz wyszła jak zamazana plama pod czarnymi włosami, bo Sean i Jimmy nie byli w stanie go sobie przypomnieć.

Przyszedł ojciec Jimmy'ego i stanął w kącie kuchni. Sprawiał wrażenie nieobecnego, oczy miał załzawione i chwiały się lekko, jakby kołysała się ściana za jego plecami. Nie odzywał się do ojca Seana, do niego również nikt się nie odzywał. Ponieważ jego zwykła ruchliwość ustała, wydawał się Seanowi jakiś pomniejszony, mniej rzeczywisty, jakby mógł wniknąć w tapetę, gdyby Sean, choć na chwilę odwrócił od niego wzrok.

Gdy kilka razy powtórzyli swą opowieść, wyszli wszyscy - policjanci, rysownik, który robił szkice, oraz Jimmy z ojcem. Matka Seana zamknęła się w swojej sypialni, skąd po chwili dobiegł chłopca jej stłumiony płacz.

Sean i ojciec usiedli na ganku. Ojciec uspokoił syna, że nie zrobił nic złego i że on oraz Jimmy postąpili rozsądnie, nie wsiadając do auta. Potem poklepał chłopca po kolanie i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. Dave jeszcze dzisiaj wróci do domu, powiedział, zobaczysz.

Potem ojciec umilkł. Siedział obok syna i popijał piwo, ale Sean czuł, że myśłami

jest gdzie indziej, może w sypialni, w której zamknęła się matka, a może w piwnicy, gdzie buduje swe domki dla ptaków.

Sean spojrzął w głąb ulicy, po której obu stronach stały rzędem lśniące samochody. Uznał, że to, co się stało, było częścią planu, mającego ukryty sens, którego on po prostu jeszcze nie dostrzegał. Pewnego dnia go jednak odczyta. Adrenalina, która w nim wzbierała, odkąd Dave odjechał brązowym samochodem, a on i Jimmy walczyli ze sobą na jezdni, trysnęła w końcu wszystkimi porami skóry.

Patrzył na miejsce, gdzie on, Jimmy i Dave Boyle poszturchiwali się obok chevroleta Bel Air, i czekał, aż w jego ciele otworzą się nowe puste przestrzenie po utracie adrenaliny i na powrót się czymś zapełnią, aż ukryty na razie przed nim zamysł dojrzeje i nabierze widocznego sensu. Cekał na to, przyglądając się ulicy, wsłuchując w jej szum; przestał czekać, gdy ojciec w końcu wstał i obaj weszli do domu.

Jimmy wracał do Flats wraz z ojcem, który lekko się zataczał, dopalał papierosy, aż parzyły go w palce i coś tam mamrotał pod nosem. Gdy już znajdą się w domu, spuści Jimmy'emu lanie albo i nie, trudno to było przewidzieć. Kiedy stracił pracę, zabronił synowi chodzić do Devine'ów i Jimmy obawiał się, że będzie musiał ponieść karę za złamanie zakazu. Choć może jeszcze nie dzisiaj. Ojciec znajdował się w stanie sennego upojenia, które zapowiadało, że kiedy dotrą do domu, usiądzie przy stole w kuchni i będzie pił dopóty, dopóki nie zaśnie z głową na rękach.

Jednak na wszelki wypadek Jimmy szedł kilka kroków za nim, podrzucał piłkę i chwycił ją w rękawicę baseballową, którą ukradł z domu Seana, kiedy policjanci zegnali się z Devine'ami. Nikt nie odezwał się nawet słowem do Jimmy'ego i jego ojca, gdy zmierzali korytarzem w stronę drzwi wyjściowych. Drzwi sypialni Seana były otwarte, Jimmy zobaczył leżącą na podłodze rękawicę z umieszczoną we wgłębieniu piłką, wszedł, wziął rękawicę, po czym podążył za ojcem. Nie miał pojęcia, po co ją ukradł. Nie zrobił tego na pewno dla przelotnego uśmiechu mściwej satysfakcji, który przemknął po twarzy ojca. Pieprzyć starego opoja.

Jego czyn miał jakiś związek z tym, że Sean uderzył Dave'a Boyle'a, że stchórzył i nie chciał ukraść samochodu, a także z paroma jeszcze pretensjami, jakie uzbierały się przez ostatni rok ich przyjaźni, wreszcie z uczuciem, jakie zawsze się w nim budziło, ilekroć Sean mu coś dawał. Karty z wizerunkami baseballowych sław, batoniki, cokolwiek - to było niczym jałmużna.

Kiedy podniósł z podłogi i zabrał tę rękawicę, poczuł się wspaniale. Wprost fantastycznie. Jednak chwilę później, gdy przecinali Buckingham Avenue, ogarnął go znajomy wstyd, jakiego doświadczał zawsze, ilekroć coś ukradł, do tego gniew na to coś lub na tego kogoś, kto go do takiego postępu popchnął. A jeszcze później, gdy idąc Crescent, zagłębiali się w swoją dzielnicę, z dumą przenosił wzrok z dwupiętrowych ruder na niesioną rękawicę.

Ukradł ją i czuł się chujowo, bo Seanowi będzie jej brakowało. Ukradł ją i czuł się fantastycznie, bo Seanowi będzie jej brakowało.

Patrzył na ojca, który potykał się przed nim na krzywym chodniku i wyglądał tak, jakby miał się za chwilę rozpaść, głupi fiut, i zmienić w brudną kałużę. I za to również nienawidził Seana.

Nienawidził go. Jak mógł być takim idiotą, by sądzić, że mogą zostać przyjaciółmi? Wiedział, że do końca życia będzie przechowywał tę rękawicę, będzie o nią dbał, nigdy jej nikomu nie pokaże i nigdy, przenigdy nie użyje. Prędzej umrze.

Przyglądał się swojej gównianej dzielnicy, idąc kilka kroków za podpitym ojcem w głębokim cieniu torów biegnącej na estakadzie kolejki. Gdy zbliżali się do miejsca, w którym Crescent osiągała apogeum swojej brzydoty i gdzie pociągi towarowe przetaczały się z hurkotem obok starego, zaszczerzonego kina samochodowego i ciągnącego się za nim kanału Penitentiary, poczuł głęboko w sercu, że już nigdy nie zobaczą Dave'a Boyle'a. Tu, gdzie mieszkał, na Rester Street, wiecznie coś ginęło. Kiedy Jimmy miał cztery lata, skradziono mu rowerek na trzech kółkach, a młodzieżówkę, gdy miał osiem lat. Jego staremu buchnęli samochód. Matka też zaczęła w końcu rozwieszać pranie w domu, bo zbyt często znikало ze sznurów rozwieszonych w ogródku. Człowiek zupełnie inaczej odbierał kradzież jakiejś rzeczy, niż gdy się gdzieś po prostu zapodziała. Było wiadome, że nigdy się już nie znajdzie. Takie właśnie przeczucie miał teraz Jimmy wobec Dave'a. Może i Sean, stojąc nad pustym miejscem na podłodze, gdzie dotąd leżała rękawica do baseballu, wbrew zdrowemu rozsądkowi był przekonany, że już nigdy jej nie odzyska.

Szkoda, wielka szkoda, bo Jimmy lubił Dave'a, chociaż nie miał pojęcia, dlaczego. Może z powodu czegoś, co ten szczył miał w sobie, a może dlatego, że plątał się zawsze pod nogami, choć się go na ogół nie zauważało.



## Cztery dni

Omylił się jednak.

Dave Boyle wrócił do domu po czterech dniach od swojego zniknięcia. Przyjechał na przednim siedzeniu policyjnego radiowozu. Policjanci pozwolili mu się bawić syreną alarmową i dotknąć kolby pistoletu, zamkniętego w schowku pod deską rozdzielczą. Dali mu honorową odznakę, a gdy podwozili do pod dom jego matki na Rester Street, czekali już tam reporterzy z prasy i ekipy telewizyjne. Jeden z policjantów, Eugene Kubiaki, wysadził Dave'a z samochodu i podniósł wysoko do góry, aż jego stopy zakreśliły łuk w powietrzu, zanim postawił go na chodniku przed płaczącą, roztrzęsioną matką.

Na Rester zebrał się tego dnia spory tłumek - rodzice, dzieci, listonosz, dwaj grubi bracia, którzy prowadzili sklep z kanapkami na rogu Rester i Sydney, a nawet panna Powell, nauczycielka Dave'a i Jimmy'ego z piątej klasy szkoły Looney & Dooney. Jimmy stał obok matki, która przyciskała tył jego głowy do swojego brzucha i trzymała wilgotną dłoń na jego czole, jakby chciała się upewnić, że nie złapał tego samego, co Dave, cokolwiek to było. Jimmy poczuł ukłucie zazdrości, gdy policjant Kubiaki przeniósł Dave'a wysoko nad chodnikiem, a obaj śmiali się jak dobrzy, starzy przyjaciele. Śliczna panna Powell klaskała radośnie w dłonie.

Miał ochotę oznajmić, że on też omal nie wsiadł do tego samochodu. Najchętniej powiedziałby to pannie Powell. Była taka ładna, zadbana i czysta, a kiedy się śmiała, można było dostrzec, że jeden z górnych zębów jest troszeczkę krzywy, co w oczach Jimmy'ego jeszcze dodawało jej uroku. Chciałby powiedzieć, że też omal nie wsiadł do tego samochodu, i zobaczyć, czy na twarzy panny Powell ukazałby się taki sam wyraz, z jakim patrzyła teraz na Dave'a. Mógłby wyznać, że nieustannie o niej rozmyśla i wyobraża sobie, że jest znacznie starszy, może już prowadzić samochód i zabierać ją w różne miejsca; jedliby lunch na trawie, a ona wybuchałaby śmiechem po jego każdym żarcie, ukazując ten uroczy krzywy ząb. I głaskałaby go po twarzy.

Wyczuwał jednak szóstym zmysłem, że panna Powell nie najlepiej czuje się w tym towarzystwie. Kiedy już powiedziała do Dave'a kilka słów, pogłaskała go po twarzy i

pocałowała w policzek - dwa razy - dopchali się do niego inni i panna Powell usunęła się szybko na bok. Stała na popękany chodniku i przyglądała się dwupiętrowym rudom, obitym odłóżką papą, spod której wyglądały gołe deski. Wydawała się młodsza, a przez to tym bardziej dla Jimmy'ego nieosiągalna, jakby nagle zmieniła się w zakonnice, jej włosy okrył kaptur habitu, a zadarty nosk zmarszczył się z odrazy.

Jimmy chciał do niej podejść, lecz matka trzymała go mocno, chociaż się wyrwał. A potem panna Powell poszła na róg Rester i Sydney Street i zaczęła energicznie machać do kogoś ręką. Do krawężnika podjechał żółty kabriolet, w którym siedział młody mężczyzna o wyglądzie hipisa. Na spłowiałych od słońca drzwiach wozu były wymalowane czerwone kwiaty. Panna Powell wsiadła i auto odjechało, nie bacząc na stanowczy, lecz niemy protest Jimmy'ego.

Udało mu się w końcu wyrwać z objęć matki. Stał na środku ulicy, przyglądał się tłumowi otaczającemu Dave'a i żałował, że to nie on wsiadł do ciemnobrązowego samochodu, choćby tylko po to, by zaznać, choć trochę tego podziwu, jaki otaczał teraz Dave'a, zobaczyć te wszystkie wpatrzone w siebie oczy, jakby był jakąś znakomitością.

Zbiegowisko na Rester Street zmieniło się powoli w wielkie święto. Wszyscy biegali od kamery do kamery z nadzieją, że zobaczą się w telewizji albo znajdą swoje zdjęcie w porannych gazetach - tak, znam Dave'a, to mój serdeczny przyjaciel, wychowałem się z nim, wie pan, to wspaniały dzieciak, Bogu dzięki, że jest zdrow i cały.

Ktoś odkręcił hydrant i woda buchnęła na Rester Street jak westchnienie ulgi, dzieci zrzuciły buty, podwinęły nogawki i płały w rwącym strumieniu. Przyjechał samochodzik lodziarza i Dave mógł sobie wybrać lody, jakie tylko zechciał, na koszt firmy, nawet pan Pakinaw, obrzydliwy stary wdowiec, który strzelał z wiatrówki do wiewiórek (a czasem i do dzieci, gdy ich rodzice nie patrzyli) i wciąż krzyczał na wszystkich, żeby byli cicho, do jasnej cholery - otworzył okna, postawił na parapecie głośniki i nad ulicą popłynął ciepły baryton Deana Martina śpiewającego przeboje *Memories Are Made of This*, *Volare* i inny staroświecki chłam, od którego kiedy indziej Jimmy by się porzygał, ale tego dnia wydał mu się odpowiedni. Melodie popłynęły nad Rester Street jak kolorowe wstążki z bibułki i splatały się z głośnym szumem bijącej z hydrantu wody. Kilku mężczyzn, którzy rznąli w karty na zapleczu sklepu „Pork Chop Brothers”, wyniosło składany stolik i małego grilla, ktoś inny przytaszczył turystyczne lodówki pełne butelek piwa Schlitz i Narragansett, powietrze

potłuściło od zapachu pieczonych hot dogów i włoskich kiełbas, tego dymnego, przypalonego, zwiewnego zapachu wzbogaconego wonią otwartych puszek piwa, a wszystko to razem przypomniało Jimmy'emu o letnich niedzielach w Fenway Park i tym uczuciu szczęścia, jakie rozpiera pierś, kiedy dorośli figlują i zachowują się jak dzieci, wszyscy się śmieją, wyglądają młodziej, są beztroscy i świetnie się czują w swoim towarzystwie.

To właśnie Jimmy kochał w dzielnicy swojego dzieciństwa nawet w chwilach najczarniejszej nienawiści, po laniu od ojca albo, gdy mu ukradziono ulubioną rzecz. Uwielbiał to, że ludzie umieli ni stąd, ni zowąd odrzucić całoroczne troski, skargi, zapiekłe żale, obawę o utratę pracy i po prostu się wyluzować, jakby nic złego ich nigdy nie spotkało. Na świętego Patryka lub Buckingham Day, czasem na czwartego lipca albo, gdy Soksi mieli we wrześniu dobrą passę, czy, jak właśnie teraz, kiedy znalazła się jakaś ważna zguba - szczególnie właśnie wtedy - jego dzielnica umiała wzbic się na wyżyny szalonej beztroskiej zabawy.

Inaczej było w Point. I tam, rzecz jasna, wyprawiano sąsiedzkie przyjęcia, ale zawsze z góry zaplanowane, po uzyskaniu stosownych zezwoleń, wszyscy dbali, by nic się nie stało samochodom, uważali na trawniki - ostrożnie, ostrożnie, właśnie pomalowałem parkan.

W dzielnicy Jimmy'ego połowa mieszkańców nie miała trawników, parkany się poprzecychały, szlag, więc z nimi. Kiedy zachciało ci się poimprezować, imprezowałeś, bo, kurna mać, zasłużyłeś sobie na to, do ciężkiej Anielki. Dzisiaj żadnych szefów. Żadnych inspektorów opieki społecznej ani lichwiarzy. Co się tyczy glin - cóż, są i gliny, imprezują razem ze wszystkimi, policjant Kubiaki częstuje się pikantną kiełbasą z rusztu podaną w długiej bułce, a jego partner chowa na później do kieszeni puszkę piwa. Reporterzy już dawno odjechali i słońce chyliło się ku zachodowi, spowijając ulicę wieczorną szarówką, ale żadna z kobiet nie stała przy kuchni i nikt nie szedł do domu.

Z wyjątkiem Dave'a. Dave zniknął. Jimmy zdał sobie z tego sprawę, kiedy wyszedł z potoku, jakim tryskał hydrant, wyjął mankiety spodni, włożył podkoszulek i ustawił się w kolejce po hot doga. Przyjęcie na część Dave'a rozkręciło się na dobre, ale Dave i jego matka poszli już do domu, a kiedy Jimmy spojrział w ich okna na piętrze, ujrzał zaciągnięte zasłony.

Te zaciągnięte zasłony kazały mu, nie wiadomo czemu, pomyśleć o pannie Powell, o tym, jak wsiadła do tego hipisowskiego kabrioletu, i ogarnął go wielki smutek, gdy

przypomniał sobie, jak umieszczała prawą łydkę i kostkę w samochodzie, nim zatrzasnęła drzwi. Dokąd pojechała? Czy mknęła teraz autostradą, a wiatr szumiał w jej włosach jak muzyka nad Rester Street? Czy spowijała ich noc, gdy jechali... dokąd? Jimmy chciałby to wiedzieć, ale jednocześnie wcale tego nie pragnął. Zobaczy ją jutro w szkole - chyba, że dadzą im wolne dla uczczenia powrotu Dave'a - i będzie chciał o to zapytać, ale nie zapyta.

Wziął hot doga i by go spokojnie zjeść, usiadł na krawężniku naprzeciwko domu Boyle'ów. Zjadł już mniej więcej połowę, gdy jedna z zasłon uniosła się i zobaczył w oknie Dave'a. Stał tam i patrzył na niego. Jimmy podniósł do góry połówkę hot doga na znak, że go widzi, lecz Dave mu nie odpowiedział, nawet, gdy powtórzył swój gest. Po prostu na niego patrzył. Patrzył na Jimmy'ego i choć Jimmy nie mógł widzieć jego oczu, wyczuwał, że wзира z nich smutek i wyrzut. Smutek i wyrzut.

Obok Jimmy'ego usiadła na krawężniku jego matka i Dave odsunął się od okna. Matka Jimmy'ego była drobną, chudą kobietą o jasnych jak len włosach. Jak na osobę tak wątłej budowy poruszała się z trudem, jakby na każdym ramieniu dźwigała stos cegieł, i często wzdychała, ale w taki sposób, że Jimmy nie przysięgłby, czy miała świadomość, że ów dźwięk wydaje. Oglądał jej zdjęcia z czasów, zanim zaszła w ciążę, w wyniku, której on przyszedł na świat. Wyglądała na nich na znacznie mniej chudą i o wiele młodszą, jak nastolatka, (którą zresztą, gdy dokonał stosownych obliczeń, faktycznie wtedy była). Twarz miała na tych zdjęciach okrągłą, bez zmarszczek wokół oczu i na czole, rozjaśnioną pięknym, szerokim uśmiechem, jakby z lekka zalęknionym, a może tylko ciekawym, Jimmy nie umiał tego rozstrzygnąć. Ojciec wypominał mu setki razy, że matka omal nie umarła, wydając go na świat, krwawiła i krwawiła, aż lekarze się zlekli, że nigdy nie przestanie. Omal jej to nie zabiło. No i, rzecz jasna, nie mogła mieć więcej dzieci. Kto by chciał przechodzić drugi raz przez podobne piekło?

Położyła teraz rękę na kolanie syna i zapytała:

- Jak się czujesz, G. I. Joe?\*

Zwracając się do Jimmy'ego, matka lubiła używać rozmaitych przezwisk, często na poczekaniu wymyślonych, a Jimmy często nie wiedział, co one znaczyły.

Wzruszył ramionami.

- Sama wiesz.

---

\* G. I. Joe - w jęz. potocznym żołnierz amerykański, szczególnie z czasów II wojny światowej (przyp. tłum.).

- W ogóle się do Dave'a nie odezwałaś.

- Nie puszczałaś mnie.

Zdjęła rękę z jego kolana i objęła się ramionami, bo powiało chłodem.

- Mam na myśli później, kiedy jeszcze nie poszedł do domu.

- Zobaczymy się przecież jutro w szkole.

Matka wyjęła z kieszeni dzinsów paczkę kentów, zapaliła i powiedziała przez kłęb dymu:

- Nie sądzę, żeby poszedł jutro do szkoły. Jimmy dokończył hot doga.

- No to pojutrze.

Matka skinęła głową i zaciągnęła się głęboko. Podparła dłonią łokieć drugiej ręki, paliła i patrzyła w okna mieszkania Boyle'ów.

- Jak było dziś w szkole? - zapytała bez zbytniego zainteresowania.

Wzruszył ramionami.

- Dobrze.

- Widziałam tę twoją nauczycielkę. Fajna. Nic nie odpowiedział.

- Naprawdę fajna - powtórzyła matka, rozwijając słowa na siwej wstędze wydychanego dymu.

Jimmy dalej milczał. Na ogół nie wiedział, jak rozmawiać z rodzicami. Matka stale chodziła zmęczona. Wpatrywała się w przestrzeń, patrząc na coś, czego on nie był w stanie dojrzeć, kopcila jak komin i zwykle nie słyszała, co do niej mówił, póki tego kilka razy nie powtórzył. Ojciec bywał przeważnie poirytowany, a nawet, gdy nie był i stawał się zabawny, Jimmy wiedział, że w każdej chwili może się zmienić w rozjuszonego pijaka i przyłożyć mu za jakąś odzywkę, na którą pół godziny wcześniej zareagowałby śmiechem. Wiedział też, że choćby się nie wiem jak starał i zaprzeczał rzeczywistości, nosił ich oboje w sobie; jak matka popadał w długie okresy milczenia i był skory do gniewu jak ojciec.

Kiedy nie widział siebie w wyobraźni, jako chłopaka panny Powell, zastanawiał się czasem, jak by to było, gdyby był jej synem.

Matka trzymała papierosa koło ucha i przyglądała mu się badawczo zwężonymi oczami.

- O co chodzi? - zapytał z niespokojnym uśmiechem.

- Masz piękny uśmiech, Cassiusie Clayu - odpowiedziała mu uśmiechem.

- Tak?

- Naprawdę. Będziesz pozeraczem kobiecych serc.

- To fajnie - odparł i oboje się roześmieli.

- Mógłbyś być tylko trochę rozmowniejszy - dodała. Ty też, miał ochotę odpowiedzieć.

- Ale to nic. Kobiety lubią milczków.

Ponad ramieniem matki zobaczył, jak z domu wychodzi ojciec. Ubranie miał pomięte, a twarz obrzękłą od snu, z przepicia lub z jednego i drugiego. Gapił się na toczącą się przed nim zabawę, jakby nie mógł zrozumieć, gdzie się znalazł i o co tu chodzi.

Matka pobiegła spojrzeniem za wzrokiem syna, a gdy na powrót zwróciła ku niemu oczy, wyglądała znowu na śmiertelnie zmęczoną. Uśmiech zniknął, a twarz przybrała taki wyraz, że byłbyś zdziwiony, dowiedziawszy się, że matka Jimmy'ego w ogóle umie się uśmiechać.

- Hej, Jim.

Lubił, kiedy zwracała się do niego „Jim”. Czuł się wtedy tak, jakby coś wspólnie knuli.

- Tak?

- Naprawdę bardzo się cieszę, że nie wsiadłeś wtedy do tego auta, synku.

Pocałowała go w czoło - zauważył, jak zaszklily jej się przy tym oczy - a potem wstała i podeszła do grupki innych matek, odwróciwszy się plecami do męża.

Jimmy spojrzał w górę i zobaczył w oknie Dave'a. Znowu mu się przyglądał, a za jego plecami lśniło odbite od mebli i ścian miękkie żółte światło. Tym razem Jimmy nawet nie próbował do niego pomachać. Teraz, kiedy policja i reporterzy odjechali i zabawa rozkręciła się na dobre, nikt już prawdopodobnie nie pamiętał, z jakiej okazji się odbywała, i Jimmy poczuł się tak jak Dave w swoim mieszkaniu samotny, jeśli nie liczyć jego stukniętej matki, zamknięty w czterech ścianach sraczkowatego koloru, oświetlony mdłą wieczorną poświatą, podczas gdy w dole ulica tętniła huczną zabawą.

Znowu poczuł radość, że nie wsiadł do tego fałszywego radiowozu.

Towar wybrakowany. Tak ojciec Jimmy'ego zeszłej nocy powiedział do matki: „Nawet, jeśli znajdą go żywego, dzieciak będzie jak wybrakowany towar. Już nigdy nie będzie taki jak przedtem”.

Dave podniósł tymczasem rękę. Trzymał ją na wysokości ramienia i długo nią nie poruszał, Jimmy mu w końcu odmachnął i nagle ogarnął go smutek, sięgnął głęboko w duszę, a potem rozszedł się po całym ciele jak fale na wodzie. Nie wiedział, czy to uczucie ma coś wspólnego z jego ojcem, z matką, z panną Powell, tą dzielnicą czy

może z Dave'em, który stał bez ruchu przy oknie z uniesioną ręką, ale cokolwiek je spowodowało - tylko jeden z tych czynników, czy może wszystkie razem - już nigdy, Jimmy był tego pewien, już nigdy go nie opuści. Siedział na krawężniku, miał jedenaście lat, ale nie czuł się jak jedenastoletek. Czuł się staro. Był stary jak jego rodzice, stary jak ta ulica.

Towar wybrakowany, powtórzył w myślach, i pozwolił swojej ręce opaść na kolana. Dave kiwnął mu głową, zaciągnął zasłonę i wycofał się do tego zanadto cichego mieszkania o sraczkowatych ścianach, z tykającymi głośno zegarami, a Jimmy poczuł, jak smutek zapuszcza w nim korzenie, mości się, jakby szukał przytulnego domu, a on nawet nie próbował z nim walczyć, bo w głębi duszy rozumiał, że byłoby to daremne.

Wstał z krawężnika, niepewny, co dalej zamierza. Poczul tę swędzącą, natarczywą potrzebę, by w coś rąbnąć pięścią lub popełnić jakieś szaleństwo. Ale potem zaburczało mu w brzuchu i zrozumiał, że jest głodny, wrócił więc po następnego hot doga, mając nadzieję, że jeszcze ich trochę zostało.

Przez kilka następnych dni Dave Boyle chodził w glorii lokalnej sławy, nie tylko dzielnicy, lecz całego stanu. Nagłówek w „Record American” krzyczał nazajutrz wielkimi literami:

## ZGUBA SIĘ ZNALAZŁA CHŁOPIEC WRÓCIŁ NA ŁONO RODZINY

Zdjęcie na górnej połowie strony ukazywało, jak Dave siedzi na ganku swojego domu, jego matka obejmuje go chudymi ramionami, a wokół nich szczyrzy się do obiektywu gromadka roześmianych dzieciaków z Flats. Wszyscy wyglądają na rajsko szczęśliwych, z wyjątkiem matki Dave'a, która ma taką minę, jakby w ulewny dzień uciekł jej autobus.

Te same dzieci, które tłoczyły się obok Dave'a na gazetowym zdjęciu, już po tygodniu zaczęły wołać za nim w szkole „ciota”. Dave spoglądał im w oczy i widział w nich pogardę, lecz nie był pewien, czy rozumieją jej przyczynę, choć trochę lepiej niż on sam. Matka powiedziała mu, że dzieci przejęły ją prawdopodobnie od rodziców - nie zwracaj na to uwagi, Dave'a, szczyrle się znużają, zapomną o wszystkim i rok nie

minie, jak staną się znowu twoimi przyjaciółmi.

Dave kiwał głową i pytał sam siebie, co z nim takiego się stało - może ma na twarzy jakieś znamię, którego sam nie jest w stanie dostrzec - co sprawia, że każdy pragnie go skrzywdzić. Jak ci dwaj z samochodu. Dlaczego właśnie jego wybrali? Skąd wiedzieli, że wsiądzie do ich auta, a Jimmy i Sean tego nie zrobią? Gdy spoglądał wstecz, tak mu się to właśnie przedstawiało. Ci mężczyźni (znał ich imiona, przynajmniej te, jakimi się do siebie zwracali, ale nie był w stanie się nimi posługiwać) wiedzieli, że Sean i Jimmy nie wsiądą bez walki. Sean rzuciłby się biegiem w stronę domu, prawdopodobnie z krzykiem, a Jimmy'ego musieliby chyba ogłuszyć, żeby go wciągnąć do środka. Gruby Wilk wyraził to nawet dobitnie po kilku godzinach jazdy: „Widziałeś tego gnojka w białym podkoszulku? Gapił się na mnie tak, jakby chciał mnie zabić. Założę się, że gówniarz zdrowo jeszcze komuś w życiu dopierdoli”. Jego towarzysz, Tłusty Wilk, powiedział z obleśnym uśmieszkiem: „Nie miałbym nic przeciwko małej dopierdalance”. Gruby Wilk pokręcił głową: „Odgryzłby ci paluch, gdybyś chciał siłą wciągnąć go do wozu. Zresztą chuj z tym fiutkiem”.

Nadanie im prowizorycznych imion - Gruby Wilk i Tłusty Wilk - okazało się pomocne. Pozwalało Dave'owi widzieć w porywaczach bestie, wilki w ludzkiej skórze, siebie samego zaś, jako postać z bajki: Chłopca Porwanego Przez Wilki. Chłopca, Który Uciekł i dotarł przez podmokłe lasy do stacji benzynowej Esso. Chłopca, Który Wykazał Się Spokojem i Sprytem i ani na chwilę nie przestał myśleć o ucieczce.

Jednak w szkole był tylko Chłopcem, Którego Porwano i wszyscy fantazjowali na temat tego, co zdarzyło się w czasie tych czterech dni porwania. Pewnego przedpołudnia w szkolnej ubikacji przy pisuarze obok Dave'a stanął siódmoklasista Junior McCaffery i spytał głośnym szeptem: „Kazali ci robić laskę?”, na co jego koledzy z siódmej zarechotali radośnie i zaczęli cmokać.

Dave zapiął drżącymi rękami suwak rozporka i z zaczerwienioną twarzą zwrócił się do Juniora McCaffery'ego. Postarał się, żeby z jego oczu wyzierała pogarda, więc Junior zmarszczył się i uderzył go w twarz.

Echo uderzenia rozeszło się po kiblu. Jeden z siedmioklasistów westchnął jak młoda dziewczyna.

- Podskakujesz, pedale? - zapytał Junior. - Chcesz jeszcze w ryj?
- Ciota płacze - zauważył któryś.
- Faktycznie - pisał Junior McCaffery i z oczu Dave'a popłynęły jeszcze obfitsze łzy.



Czuł, jak odrętwienie policzka zmienia się w pieczenie, lecz nie płakał z bólu. Bólem się nigdy zbyt nie przejmował i z bólu nie płakał nawet wtedy, gdy przewrócił się na rowerze i upadając, rozciął sobie o pedał nogę w kostce, aż musiano mu założyć siedem szwów. Rozżalił się z powodu uczuć, jakie w niego boleśnie uderzyły, a emanowały ze zgromadzonych w ubikacji. Uczuć niechęci, odrazy, wściekłości i pogardy wszystkie w niego wymierzone. Nie rozumiał dlaczego. Nigdy nikogo nie skrzywdził, a oni go nienawidzili. I ta nienawiść sprawiła, że poczuł się osierocony. Poczuł się nędzny, winny i bezbronny i dlatego płakał, ponieważ nie chciał się tak czuć.

Śmiali się, że płacze. Junior tańczył przez chwilę wokół niego, robiąc miny i przedrzeźniając szloch Dave'a, który w końcu zdołał opanować płacz, zredukować go do kilku chlipnięć. Wtedy siódmoklasista po raz drugi uderzył go w policzek, w to samo miejsce i z równą siłą.

- Spójrz na mnie - nakazał, gdy z oczu Dave'a znowu trysnęły łzy. - Spójrz na mnie!

Dave popatrzył na swojego prześladowcę z nadzieją, że dojrzy na jego twarzy współczucie, ludzką solidarność, a nawet litość - zgodziłby się nawet na litość - ale spostrzegł tylko złość i szyderstwo.

- No tak - zawyrokował Junior - robiłeś im łaskę.

Zamierzył się do kolejnego uderzenia, Dave skulił się i schował głowę, tymczasem Junior machnął tylko pogardliwie ręką i w towarzystwie kolegów opuścił wśród chichotów ubikację.

Dave przypomniał sobie, co powiedział mu kiedyś pan Peters, znajomy jego matki, który czasem u nich nocował: „Dwóch rzeczy nie daruj nigdy żadnemu mężczyźnie - splunięcia i policzka. To gorsze od ciosu pięścią i jeśli jakiś mężczyzna tak cię potraktuje, postaraj się go zabić”.

Dave usiadł na podłodze w ubikacji. Żałował, że nie znajduje w sobie dość chęci, by kogoś zabić. Jeśli już, zaczęłby chyba od Juniora McCaffery'ego, a potem zabiłby Grubego Wilka i Tłustego Wilka, gdyby jeszcze kiedyś miał ich spotkać. Prawdę mówiąc, nie wierzył, że okazałby się zdolny do morderstwa. Nie wiedział, dlaczego ludzie są dla siebie tacy podli. Nie rozumiał tego. Po prostu nie rozumiał.

Więść o zdarzeniu w ubikacji lotem błyskawicy rozeszła się po szkole i każdy uczeń powyżej trzeciej klasy wiedział, jak Junior McCaffery potraktował Dave'a i jak ten na to zareagował. Wydano osąd i Dave przekonał się niebawem, że nawet ci

spośród kolegów z klasy, którzy po jego powrocie do szkoły okazywali mu choćby odrobinę sympatii, zaczęli go traktować jak trędowatego.

Co prawda, nie wszyscy nazywali go „ciotą”, kiedy mijali ich na korytarzu, albo wypychali na jego widok językiem policzki. W gruncie rzeczy większość szkolnych kolegów traktowała go jak powietrze. To jednak było pod pewnym względem jeszcze gorsze. Dave czuł się potępiony i odrzucony przez całą uczniowską społeczność.

Jeśli zdarzyło się, że rano po wyjściu z domu wpadli na siebie z Jimmym Marcusem, Jimmy szedł czasem w milczeniu obok Dave’a aż do samej szkoły, bo byłoby dziwne, gdyby postąpił inaczej, mówił mu „cześć”, kiedy mijali się na korytarzu albo gdy zderzył się z nim, pędząc po przerwie do klasy. Kiedy ich spojrzenia się spotykały, Dave dostrzegał na twarzy kolegi tę samą dziwną mieszaninę współczucia i zakłopotania, jakby Jimmy chciał mu coś powiedzieć, ale nie umiał ująć tego w słowa - prawda, że nigdy nie był specjalnie wygadany, chyba że nagle strzelił mu do głowy jakiś szalony pomysł, żeby na przykład zeskoczyć na tory metra lub ukraść z ulicy samochód. Dave czuł jednak, że ich przyjaźń - choć nie przysięgłby z ręką na sercu, że byli kiedykolwiek prawdziwymi przyjaciółmi; z lekkim zawstydzeniem przypominał sobie te wszystkie przypadki, kiedy dosłownie narzucał się Jimmy’emu - umarła, kiedy on wsiadał do brązowego samochodu, a Jimmy stał jak skamieniały na środku jezdni.

Zresztą okazało się, że Jimmy przestał wkrótce chodzić do tej samej szkoły co Dave, mogli więc w końcu uniknąć nawet tych krępujących milczących wędrówek. W budzie Jimmy trzymał się zawsze z Valem Savage’em, małym psycholem o mózgu krewetki, który powtarzał każdą klasę i stał się prawdziwym postrachem nie tylko uczniów, ale i nauczycieli, bo wszystkich terroryzował. Żartowano sobie (choć nigdy wtedy, kiedy był w pobliżu), że jego starzy nie odkładali dla niego forsy na czesne w college’u, ale na kaucje, które będą musieli płacić, by wyciągać go z paki. Zanim jeszcze Dave wsiadł do brązowego samochodu, w szkole Jimmy przestawał tylko z Valem. Dopuszczał Dave’a do ich towarzystwa, kiedy krążyli po kuchniach stołówek i zebrali o coś do zjedzenia albo gdy odkryli jakiś nowy dach, na który można się wspinać, jednak po incydencie z samochodem Dave został wykluczony nawet z tych wypraw. W chwilach wolnych od niechęci do Jimmy’ego z powodu tego nagłego odsunięcia Dave dostrzegł, że czarna chmura, która zdawała się czasem zawisać nad Jimmym, zaczęła nabierać cech trwałości, niczym negatyw aureoli. Jimmy sprawiał ostatnio wrażenie postarzałego i przygaszonego.

W końcu ukradł samochód. Zdarzyło się to blisko rok po tamtej pierwszej, niepodjętej próbie przed domem Seana i doprowadziło do relegowania Jimmy'ego ze szkoły Looney & Dooney. Odtąd musiał się tłuc autobusem przez pół miasta do Carver School, gdzie miał się dowiedzieć, jak wygląda życie białego dziecka z East Bucky w szkole, do której chodzili głównie czarni. Jimmy jeździł autobusem razem z Valem i Dave wkrótce usłyszał, że ta parka stała się postrachem nowej budy; dwaj biali chłopcy do tego stopnia stuknięci, że nie znali uczucia strachu.

Samochód, który ukradli, był kabrioletem. Dave'a doszły plotki, że należał do przyjaciela jednej z nauczycielek, choć nie dowiedział się nigdy której. Jimmy i Val podprowadzili go ze szkolnego parkingu w czasie, gdy ciało pedagogiczne w towarzystwie żon, mężów i znajomych świętowało w pokoju nauczycielskim zakończenie roku. Za kierownicą usiadł Jimmy i obaj chłopcy urządzili sobie wyścigi Formuły Pierwszej po Buckingham, wyli klaksonem, machali do dziewcząt i żyłowali silnik dopóty, dopóki nie namierzył ich radiowóz policyjny. Skończyli przejażdżkę, kasując wóz na kontenerze na śmieci za sklepem Zayresa w Rome Basin. Val skręcił sobie nogę w kostce, wyłączając z rozbitego wozu, i Jimmy, który już wisiał na płocie, żeby uciec na pustą parcelę, wrócił, by mu pomóc. Dave wyobrażał sobie odtąd tę scenę jako sekwencję z filmu wojennego - dzielny żołnierz wraca po rannego towarzysza, nie bacząc na gwizd przelatujących kul (nie sądził, by policjanci użyli broni palnej, ale to dodawało tej scenie smaczku). Gliniarze schwytali obu przestępców i chłopcy spędzili noc w policyjnej izbie dziecka. Pozwolono im ukończyć szóstą klasę, bo do końca roku zostało tylko kilka dni, ale potem oznajmiono ich rodzinom, żeby gdzie indziej edukowały swoich gagatków.

Odtąd Dave jedynie z rzadka widywał Jimmy'ego, najwyżej kilka razy w ciągu roku, póki nie stali się nastolatkami. Matka nie puszczała go z domu, tyle co do szkoły. Była przekonana, że tamci dwaj mężczyźni wciąż się kręcą, krążą po okolicy w pachnącym jabłkami samochodzie i śledzą jej syna jak naprowadzane na źródło ciepła rakiety.

Dave wiedział, że takie niebezpieczeństwo już mu nie zagraża. Tamci byli przecież wilkami, a wilki polują nocą, szukają najsłabszej ofiary. Obecnie jednak Gruby Wilk i Tłusty Wilk częściej nawiedzali jego wyobraźnię, a towarzyszyło temu wspomnienie tego, co mu wyrządzili. Koszmary te rzadko wdzierały się do jego snów, męczyły go za to podczas tych okropnych cichych godzin w pustym mieszkaniu matki, długich okresów ciszy, kiedy dla zabicia czasu czytał komiksy, oglądał telewizję albo gapił się

przez okno na ulicę. Gdy te obrazy przychodziły, Dave usiłował je wyłączać przez zamknięcie oczu i starał się nie pamiętać, że Gruby Wilk miał na imię Henry, a Tłusty - George.

Henry i George, krzyczał jakiś głos, gdy przez głowę Dave'a przemykały niechciane wspomnienia, Henry i George, Henry i George, Henry i George, ty gnojku!

Dave odpowiadał głosowi, jaki odzywał się w jego głowie, że nie jest gnojkiem. Jest Chłopcem, Który Uciekł Wilkom. Czasami, by odpędzić złe wspomnienia, odtwarzał w wyobraźni, scena po scenie, historię swojej ucieczki - szczelina, którą wypatrzył obok zawiasu przy drzwiach komórki, odgłos silnika odjeżdżającego samochodu (jechali gdzieś, żeby się upić), śruba bez łębka, której użył do poszerzenia szczeliny, póki przerdzewiały zawias nie wyłamał się, a wraz z nim nie odprysnęła drzazga w kształcie ostrza noża. Wtedy Przebiegły Chłopiec wyszedł z komórki i pobiegł prosto do lasu, a potem szedł, kierując się na zachodzące słońce, aż wyszedł na oddaloną o nieco ponad kilometr stację benzynową Esso. Na jej widok przeżył szok - choć całkowita ciemność jeszcze nie zapadła, okrągły biało-niebieski znak firmowy już zapalono na nadejście nocy. Biel neonu poruszyła coś w duszy Dave'a. Upadł na kolana na skraju lasu, prawie na granicy starego, popękane go asfaltu. Tak go znalazł Ron Pierrot, właściciel stacji: klęczącego i wpatzonego w neon. Ron Pierrot był żyłastym mężczyzną o dłoniach, które wyglądały tak, jakby mogły łamać ołowiane rury, i Dave zastanawiał się potem często, co by nastąpiło, gdyby Chłopiec, Który Uciekł Wilkom, był naprawdę postacią z filmu. Oczywiście, połączyłaby go z Ronem serdeczna przyjaźń i starszy mężczyzna nauczyłby go tych wszystkich rzeczy, jakich ojcowie uczą synów - siodłaliby razem konie, ładowali strzelby i wyruszali na szlaki fantastycznych przygód. Przeżyliby razem cudowne chwile, Chłopiec i Ron. Byliby bohaterami, którzy tępią grasujące po świecie Wilki.

We śnie Seana ulica się poruszała. Zajrzał w otwarte drzwi pachnącego jabłkami samochodu, a wtedy jezdni uwieźliła mu stopy i zaczęła go ciągnąć w stronę auta. Dave siedział w środku, skulony na siedzeniu pod drzwiami z przeciwnej strony. Usta miał otwarte w niemym krzyku, podczas gdy ulica niosła Seana w stronę auta. W tym śnie dostrzegł tylko te otwarte drzwi i tylne siedzenie. Nie widział mężczyzny, który wyglądał na gliniarza, ani jego kumpla, siedzącego z przodu na miejscu dla pasażera. Nie widział też Jimmy'ego, choć Jimmy przez cały czas znajdował się obok niego. Miał przed oczami tylko to tylne siedzenie, Dave'a, drzwi i śmietnik na podłodze.

Zrozumiał, że ten śmietnik na podłodze był dzwonkiem alarmowym, choć nie zdawał sobie wcześniej sprawy, że w ogóle go usłyszał. Opakowania z *fast-foodów*, pomięte torebki po chipsach, puszki po piwie i coli, kubki ze styropianu, jakiś brudny zielony podkoszulek. Dopiero gdy po przebudzeniu przypominał sobie ten sen, pojął, że podłoga za przednimi siedzeniami ze snu wyglądała dokładnie tak samo jak podłoga rzeczywistego samochodu, choć on aż do tej pory nie pamiętał o tym śmietniku. Nawet kiedy policjanci prosili go, żeby się zastanowił, skupił i przypomniał sobie wszystkie szczegóły, o jakich im dotąd nie powiedział, nie przyszło mu nawet do głowy, że z tyłu tego auta panował bałagan, bo w ogóle o tym nie pamiętał. Przypomniał sobie o tym fakcie dopiero we śnie i dzięki temu - głównie dzięki temu - zrozumiał, choć raczej podświadomie, że z tym „gliniarzem” coś było nie tak, coś było nie tak z jego „partnerem” i ich samochodem. W realnym życiu Sean nigdy nie widział tylnego siedzenia w policyjnym radiowozie, przynajmniej nie z bliska, ale był przekonany, że nie mogło tam być śmietnika. Może pod warstwą śmieci leżały ogryzki jabłek i dlatego wewnątrz auta tak pachniało?

W rok po wprowadzeniu Dave’a ojciec Seana wszedł któregoś dnia do jego sypialni, by oznajmić mu dwie nowiny.

Pierwsza była taka, że Sean został przyjęty do Latin School, gimnazjum klasycznego, i we wrześniu rozpocznie tam naukę. Ojciec powiedział, że oboje z matką są z niego naprawdę dumni. Każdy, kto chciał coś w życiu osiągnąć, szedł do Latin School.

Druga wiadomość, którą ojciec przekazał Seanowi, choć już od progu, jakby dopiero tam ją sobie przypomniał, brzmiała:

- Wiesz, synu, jednego z nich złapali.

- Kogo?

- Jednego z tych łobuzów, którzy porwali Dave’a. Złapali go. Bydlak już nie żyje.

Popełnił samobójstwo w celi.

- Naprawdę?

Ojciec przyjrzał mu się uważnie.

- Uhm. Twoje koszmary senne mogą się już skończyć.

- A ten drugi?

- Ten, którego złapali - odparł ojciec - powiedział policji, że jego kompan od roku już nie żyje. Zginął w wypadku samochodowym. Rozumiesz? - Ojciec popatrzył na niego w taki sposób, że Sean od razu pojął, że to była ich ostatnia rozmowa na ten

temat. - Umyj teraz ręce i schodź na kolację.

Po wyjściu ojca Sean siedział na łóżku, na którym materac wybrzuszał się w miejscu, gdzie schował swoją nową baseballową rękawicę z umieszczoną w zagłębieniu piłką. Grube, czerwone gumowe paski ciasno opinały skórę rękawicy.

Więc ten drugi zginął. W wypadku samochodowym. Sean miał nadzieję, że prowadził auto pachnące jabłkami, zleciał z urwiska i razem z tym autem spadł prosto do piekła.

**II**

**SMUTNOOKIE SINATRY**

**(2000)**

### 3

## Łzy we włosach

Brendan Harris kochał się w Katie Marcus do szaleństwa, kochał ją miłością jak z filmu, aż krew tętniła mu w uszach. Kochał ją, kiedy się budziła, gdy szła do łóżka, kochał od rana do wieczora, w każdej sekundzie doby. Brendan Harris kochałby Katie Marcus, gdyby była gruba lub była brzydka. Kochałby ją, gdyby miała krosty, płaskie piersi i meszek na górnej wardze. Kochałby ją bezzębną. Kochałby ją łysą.

Katie. Na sam dźwięk jej imienia przebiegał go dreszcz; Brendan czuł się tak, jakby napełniono mu członki podtlenkiem azotu, jakby mógł chodzić po wodzie i wyciskać na ławce sztangi o wadze tira, a po skończonym ćwiczeniu odrzucać je niczym piórko.

Brendan Harris kochał wszystkich ludzi, odkąd kochał Katie, a ona odwzajemniała jego miłość. Kochał korki na ulicach, kochał smog i huk młotów pneumatycznych. Kochał swojego cholernego ojca, który ani razu nie przysłał mu kartki na urodziny czy Boże Narodzenie, odkąd opuścił matkę i Brendana, kiedy miał on zaledwie sześć lat. Kochał poniedziałkowe poranki, kochał sitcomy, które nie śmieszyły nawet półdebili, kochał kolejki w wydziale komunikacji. Kochał nawet swoją pracę, choć miał ją zamiar porzucić.

Jutro z rana opuści ten dom, opuści swoją matkę, wyjdzie przez te odrapane drzwi, zejdzie po tych popękanych schodach i pójdzie tą długą, szeroką ulicą ujętą w szpaler parkujących w dwa rzędy samochodów i siedzących na schodkach przed domami ludzi, opuści tę dzielnicę, jakby był bohaterem którejś z tych zajebistych piosenek Springsteena, lecz nie tego z *Nebraska-Ghost-of-Tom-Joad*, ale tego z *Born-to-Run-Two-Hearts-Are-Better-Than-One-Rosalita-Won't-You-Come-Out-Tonight*, tego sztandarowego Bruce'a. Otóż to, sztandarowego. Taki właśnie, dumny niczym sztandar, pójdzie środkiem asfaltowej jezdni, nie bacząc na napierające na łydki zderzaki aut i jazgot klaksonów, pójdzie tą ulicą, aż dojdzie do centrum Buckingham, weźmie za rękę swoją Katie i porzucą na zawsze to miasto, wsiądą do samolotu, polecą do Vegas i splótłszy palce, połączą się węzłem małżeńskim. Elvis odczyta wersety z Biblii, zapyta: „Bierzesz sobie za żonę tę kobietę?” Katie odpowie, że



bierze sobie za męża tego mężczyznę i potem - potem, o kurde, będą sobie poślubieni i pojedą w świat i nigdy tu nie wrócą, szkoda gadać, tylko on i Katie, a reszta ich życia będzie otwarta i czysta, oskrobana z przeszłości, oczyszczona z brudów tego świata.

Rozejrzył się po sypialni. Czeki podróżne American Express schowane. Ubrania i adidas spakowane. Zdjęcia ich obojga zabrane. Przenośny odtwarzacz CD, kompakt, przybory toaletowe spakowane.

Przyjrzał się temu, co zostawiał. Plakat z Birdem i Parrishem, koszykarzami Celtics. Plakat przedstawiający Fiska, gdy próbuje machaniem rąk zmusić piłkę, żeby nie wyszła na aut w tym pamiętnym meczu Soksów w siedemdziesiątym piątym. Plakat z Sharon Stone w białym zawoju... tyle że zrolowany i wsunięty pod łóżko od czasu tej pierwszej nocy, gdy udało mu się zwabić do siebie Katie... Połowa jego zbioru kompaktów. Do cholery z nimi. Większości słuchał zaledwie dwa razy. Kurde, MC Hammer. Billy Ray Cyrus. Ja pierdzielę. Para zajebistych kolumn Sony jako dopełnienie wieży Jensena, w sumie dwieście watów, kupione zeszłego lata, kiedy podjął się kilku prac dekarskich w brygadzie Bobby'ego O'Donnella.

Właśnie wtedy zbliżył się do Katie na tyle, by móc nawiązać rozmowę. Kurde, to zaledwie rok temu. Niekiedy miał wrażenie, że minęło od tego czasu już dziesięć lat, a nieraz, że tylko minuta. Katie Marcus. Słyszał o niej, oczywiście; wszyscy w dzielnicy słyszeli o Katie, była taka piękna. Jednak tylko niewielu mogło pochwalić się bliższą znajomością. To sprawa urody; piękność odstrasza, narzuca dystans. Inaczej niż w filmach, gdy kamera sprawia, że piękność zdaje się człowieka zapraszać. W prawdziwym świecie uroda działa jak płot, który odgradza, trzyma cię na dystans.

Katie, kurde, zaraz tamtego pierwszego dnia, kiedy przyjechała z Bobbym O'Donnellem na budowę, a potem on ją zostawił, by z paroma chłopakami pojechać do miasta załatwić jakieś pilne sprawy, zostawił ją, jakby w ogóle zapomniał o jej istnieniu; zaraz więc tamtego pierwszego dnia zachowywała się w sposób tak naturalny, była taka normalna, towarzyszyła Brendanowi, gdy kładł blacharkę na dachu, jakby była jego kolegą z brygady. Znała jego imię. Powiedziała: „Jak to się stało, że taki fajny chłopak jak ty, Brendan, pracuje dla Bobby'ego O'Donnella?”. Brendan. Jego imię wyfrunęło z jej ust w tak niewymuszony sposób, jakby je codziennie wymawiała, i Brendan, który właśnie klęczał na krawędzi dachu, poczuł, że zaraz zemdleje i spadnie na łeb na szyję na dół. Bez jaj. Takie na nim zrobiła wrażenie.

A jutro, jak tylko Katie zadzwoni, wyjeżdżają stąd. We dwoje. Na zawsze.

Leżał na łóżku i wyobrażał sobie wiszący nad nim księżyc jej twarzy. Wiedział, że

nie zaśnie, był zbyt podniecony. Wcale się tym nie martwił. Leżał na łóżku, twarz Katie jaśniała się nad nim uśmiechnięta, a jej oczy błyszczały w ciemności.

Wieczorem po pracy tego dnia Jimmy Marcus pił piwo ze swoim szwagrem, Kevinem Savage, w barze Warren Tap. Siedzieli przy oknie i przyglądali się chłopcom grającym w ulicznego hokeja. Sześciu szczyli zmagало się z ciemnością, rysy ich twarzy zupełnie się w niej zacierały. Bar Warren Tap mieścił się przy bocznej uliczce na miejscu dawnych zagród do spędu bydła, dzięki czemu okolica nadawała się znakomicie do gry w ulicznego hokeja, bo prawie nie było tu ruchu, choć już nie do nocnych meczów, ponieważ od dziesięciu lat nie świeciła się żadna latarnia.

Kevin był dobrym kompanem, bo, podobnie jak Jimmy, niewiele mówił, więc siedzieli, popijali piwko i słuchali tupotu i szurania gumowych podeszew adidasów, uderzeń łopat drewnianych kijów i metalicznego brzęku, z jakim twardy gumowy krążek odbijał się od dekli kół samochodów.

Doszedłszy do wieku trzydziestu sześciu lat, Jimmy Marcus nauczył się cenić spokój takich sobotnich wieczorów. Nie znosił gwarnych, zatłoczonych barów i bełkotu pijackich zwierzeń. Trzydzieści lat temu wyszedł z więzienia, był właścicielem narożnego sklepiku, miał dom, żonę i trzy córki i ufał, że zmienił się ze zbuntowanego małolata w mężczyznę, który ceni sobie niespieszne tempo życia: leniwie sączone piwo, poranną przechadzkę, transmisję z meczu baseballowego w radiu.

Wyjrzał na ulicę. Czterech chłopców dało w końcu za wygraną i poszło do domu, lecz dwóch pozostało i w ciemności uparcie gonili za krążkiem. Jimmy ledwo ich widział, ale wyczuwał rozpierającą ich energię w uderzeniach kijów i szalonym tupocie nóg.

Młodzieńcza energia musi się jakoś wyszumieć. Kiedy on był dzieckiem - ba, prawie aż do dwudziestego trzeciego roku życia - ta rozpierająca go energia kierowała każdym jego krokiem. A potem... no cóż, potem człowiek uczył się, jak ją magazynować. Składować.

Jego najstarsza córka, Katie, była właśnie w połowie tego procesu. Dziewiętnaście lat i ta uroda, ta olśniewająca uroda, hormony szaleją, kipią. Choć ostatnio zauważył, że zaczyna się w niej budzić kobiecy wdzięk. Nie wiedział, skąd on pochodzi - niektóre dziewczęta wchodziły w kobiecość z wdziękiem, inne pozostawały podfruwajkami przez całe życie - po prostu nagle dostrzegł w Katie wdzięk spokojnej, dojrzałej kobiecości.

Kiedy tego dnia po południu wychodziła ze sklepu, pocałowała Jimmy'ego w policzek i powiedziała: „Do zobaczenia, tatku”, a Jimmy uświadomił sobie po dobrych pięciu minutach, że wciąż czuje w klatce piersiowej jej głos. Głos matki Katie, choć nieco niższy i śmielszy, inny od głosu córki, jaki dotąd znał. Zaczął się zastanawiać, kiedy ten głos zamieszkał w strunach głosowych Katie i dlaczego dopiero teraz zauważył zmianę.

Głos jej matki, nieżyjącej już od czternastu lat, która wróciła teraz do Jimmy'ego pod postacią ich córki i powiedziała: „Ona już jest kobietą, Jim. Jest już dorosła”.

Kobieta, kurczę blade, kiedy to się stało?

Dave Boyle w ogóle nie planował wyjścia tego wieczoru.

W sobotni wieczór po długim tygodniu pracy wypadałoby gdzieś wyjść, ale on doszedł już do wieku, kiedy sobota nie różni się zbyt od wtorku, a picie przy barze nie wydaje się o wiele przyjemniejsze od picia w czterech ścianach własnego domu. W domu kontrolujesz przynajmniej pilota.

Toteż później, już po wszystkim, powiedział sobie, że widać kierował nim los. Los już wcześniej wykazywał się w życiu Dave'a Boyle'a inicjatywą, a jeśli nie los, to szczęście, chociaż przeważnie zasrane, nigdy też dotąd nie okazał się aniołem stróżem, a jeśli już, to wyjątkowo wrednym. Siedzi sobie taki los na obłoku i ktoś go pyta: „Nie nudzisz się dziś, losie?”. A los na to: „Kapinę się nudzę. Wiesz, wpadło mi do głowy, żeby pofiglować trochę z Dave'em Boyle'em, rozerwać się trochę. Co proponujesz?”.

Dave na kilometr rozpoznawał tego drania, los.

Może tego sobotniego wieczoru los miał urodziny lub inną okazję i postanowił wreszcie dać staremu Dave'owi odetchnąć, wypuścić trochę pary bez ponoszenia bolesnych konsekwencji. zaproponował: „Idź na całego, Dave'y. Obiecuję, że tym razem świat się nie odmachnie i ci nie przywali”. Jak gdyby Lucy, przytrzymująca jajowatą piłkę przy nodze Charliego Browna\*, nie miała się okazać wredną jędzą i pozwoliła mu ją czysto kopnąć. Bo to wszystko nie zostało zaplanowane. Dave, który w następnych dniach miał spędzać wieczory samotnie, będzie wyciągał ręce, jakby stał przed ławą przysięgłych, i mówił cicho do opustoszałej kuchni: „Zrozumcie. To nie było zaplanowane. Nie było zaplanowane”.

Tego wieczoru zszedł z piętra, pocałował syna na dobranoc, i kierował się

---

\* Postaci z komiksu *Fistaszki* (przyp. tłum.).

właśnie do lodówki po puszkę piwa, kiedy jego żona, Celeste, przypomniała mu, że tego dnia urządza swój babski wieczorek.

- Znowu? - zdziwił się, otwierając lodówkę.

- Od ostatniego minął już miesiąc - powiedziała Celeste tym swoim zalotnym śpiewnym głosem, który czasami targał trzewiami Dave'a Boyle'a.

- Żartujesz. - Oparł się o zmywarkę i z trzaskiem pękającej blachy otworzył puszkę piwa. - Coście wybrały na dziś?

- Mamuśkę - odparła Celeste z błyszczącymi oczami i nabożnie złożyła ręce.

Raz w miesiącu ona i jej trzy koleżanki z salonu fryzjerskiego Ozma's spotykały się w mieszkaniu Dave'a i Celeste Boyle'ów, wróżyły z kart tarota, piły wino i gotowały sobie przysmaki, jakich nigdy wcześniej nie jadły. Kończyły wieczór seansem jakiegoś babskiego filmu, zwykle o aktywnej, lecz samotnej kobiecie sukcesu, która znajduje wreszcie prawdziwą miłość i tęgiego fiuta w osobie jakiegoś starego kowboja o obwisłych jajach, lub o dwóch babeczkach, które odkrywają prawdziwe znaczenie kobiecości i głębię łączącej je przyjaźni, nim jedna z nich złapie w trzecim akcie jakieś wredne przewlekłe choróbko i nie umrze pięknie w powabnej pozie na łożu wielkości Peru.

W takie babskie wieczory Dave miał trzy możliwości do wyboru: mógł siedzieć w pokoju Michaela i patrzeć, jak jego synek śpi, mógł zaszyć się w małżeńskiej sypialni i poszukać czegoś ciekawego w kablu albo zaryzykować wyjście do jakiegoś lokalu, gdzie nie byłby zmuszony słuchać czterech pochlipujących kobiet, ponieważ Kowboj o Obwisłych Jajach uznał jednak, że nie pozwoli się zniewolić, i odjechał konno między falujące wzgórza w poszukiwaniu prostego życia bez komplikacji.

Dave wybierał zwykle wyjście numer 3.

Tego dnia postąpił podobnie. Dopił piwo i pocałował Celeste. Poczul lekki ucisk w dołku, gdy chwyciła go za pośladki i wpiła mu się w usta, potem wyszedł, zbiegł po schodach obok mieszkania pana McAllistera i znalazł się na ulicy. Sobotni wieczór, dzielnica Flats. Zastanawiał się, czy pójść do Bucky's, czy w stronę śródmieścia, do Tap, dłuższą chwilę wahał się niezdecydowany, w końcu postanowił pojechać samochodem. Może do Point? Pogapi się na laski z college'u i młodych japiszonów, których w ostatnich czasach naniosło tam chmury; tyłu ich się wepchało do tej lepszej dzielnicy, że kilku wąskim strumyczkiem spłynęło nawet do gorszej, do Flats.

Rzucili się chciwie na dwupiętrowe domki, które nagle przestały być nędzne i nabrały stylu Królowej Anny. Obudowali je rusztowaniami, wypatroszyli, robotnicy

uwijali się na budowie dniami i nocami i po trzech miesiącach nowi mieszkańcy w sportowych ubraniach z eleganckich magazynów L. L. Beans zaparkowali przed domami swoje volva i wnieśli do środka pudła z eleganckich sklepów Pottery Barn. Przez moskitiery w oknach zaczęły wypływać ciche dźwięki jazzu, nowi kupowali taki szajs jak porto w Eagle Liquors, wyprowadzali przed domy małe szczirowate pieski i robili dzieła sztuki z małych trawniczków. Do tej pory stały tam ceglane dwupiętrowe straszdyła, takie jak przy Galvin i Twoomey Avenue, ale jeśli sądzić po przypadku Point, należało się spodziewać, że wkrótce pojawią się saaby i torby z francuskich piekarni aż po kanał Pen na samym dole Flats.

Nie dalej jak w zeszłym tygodniu pan McAllister, gospodarz domu, w którym mieszkali, powiedział mu (niby ot tak, od niechcenia):

- Ceny domów wciąż idą w górę. Dosłownie szybują.

- Panu powinno to być na rękę - stwierdził Dave, oglądając się za siebie na budynek, w którym od dziesięciu lat wynajmował mieszkanie.

- Na rękę? - Pan McAllister łypnął nań niechętnie. - Dave, podatek od nieruchomości może mnie wykończyć. Ja mam ograniczone dochody, mój drogi. Jeśli szybko nie sprzedam tej budy, za rok, dwa urząd skarbowy położy na niej łapę.

- I gdzie pan się wtedy podzieje? - zapytał Dave, myśląc w duchu: Gdzie ja się podzieję?

McAllister wzruszył ramionami.

- Cholera wie. Przeniosę się chyba do Weymouth. Mam paru przyjaciół w Leominster.

Powiedział to tak, jakby wykonał już parę telefonów i obejrzał kilka wystawionych na sprzedaż nieruchomości.

Kiedy honda Accord Dave'a toczyła się przez Point, usiłował sobie przypomnieć, czy zna kogoś w swoim wieku lub młodszego, kto by tu nadal mieszkał. Stojąc pod czerwonym światłem, dostrzegł dwóch japiszonów w jednakowych buraczkowych pulowerkach i szortach koloru khaki. Siedzieli na chodniku przed lokalem, w którym mieściła się kiedyś pizzeria Primo's. Obecnie lokal nosił nazwę Cafe Society i dwaj japiszoni, bezpłciowi i dobrze zbudowani, pakowali łyżeczkami do ust lody, a może mrożony jogurt. Skrzyżowane w kostkach opalone nogi wyciągali na środek chodnika, a o witrynę kawiarni stały oparte dwa błyszczące rowery górskie pod lśniąca kaskadą białego neonu.

Dave zaczął się zastanawiać, gdzie się, u ciężkiej cholery, podzieje, jeśli ruchy

tektoniczne awansu przesuną ponad jego głową granicę dzielnic. Jeśli bary i pizzerie nadal będą się zmieniały w kafejki, przy dochodach, jakie z Celeste osiągnęli, będą mieli szczęście, jeśli załapią się na dwupokojowe mieszkanie w osiedlu Parker Hill. Będą musieli się zapisać na listę oczekujących, by po półtora roku wprowadzić się do blokowiska, gdzie klatki schodowe śmierdzą gorzej od pisuarów, przez zagrzybione ściany przeciska się smród gnijących szurzących trupów, a po korytarzach snują się bandy ćpunów i oprychów ze sprężynowcami, którzy tylko czekają, kiedy ułożysz do snu swoją białą dupę.

Odkąd pewien mieszkaniec Parker Hill próbował podnieść na lewarku jego samochód z nim i Michaeliem w środku, Dave zawsze woził pod siedzeniem pistolet kalibru 22. Nigdy z niego nie wystrzelił, nawet na strzelnicy, lecz często celował. Pozwolił sobie na przyjemność ujrzenia w wyobraźni obu bliźniaczych japiszonów na muszce swojej broni i uśmiechnął się z zadowoleniem.

Tymczasem zapaliło się zielone światło i z tyłu rozległy się klaksony zniecierpliwionych jego niezgulstwem kierowców, więc obaj japiszoni podnieśli wzrok na jego powgniatany pojazd, by sprawdzić, co to za hałasy burzą spokój ich nowej dzielnicy.

Dave przejechał przez skrzyżowanie, dusząc się omal pod ich zaciekawionymi spojrzeniami, ich głupkowatymi, zaciekawionymi spojrzeniami.

Tego wieczoru Katie Marcus wyszła zabawić się ze swoimi dwiema przyjaciółkami, Diane Cestrą i Eve Pigeon. Miały uczcić jej ostatnią noc we Flats, a zapewne i ostatnią w Buckingham. Świątowały, jakby Cyganki obsypały je właśnie złotem i przepowiedziały, że spełnią się wszystkie ich marzenia, jakby rozbiły bank w kasynie i odebrały tego samego dnia negatywne testy ciążowe.

Rzuciły paczki mentolowych na stolik w głębi Spires Pub, wychyliły koktajle z wódki o nazwie Kamikadze, poprawiły jasnym piwem Mich Lights, piszcząc radośnie, ilekroć jakiś przystojniak obciął którąś wzrokiem. Godzinę wcześniej objadły się do niemożliwości w East Coast Grill, po czym wróciły do Buckingham i wypaliły skręta na parkingu przed pubem. Wszystko je bawiło - stare historyjki, jakie opowiadały sobie już setki razy, opowieść Diany o ostatnim laniu, jakie spuścił jej szurnięty chłopak, to, że Eve rozmazała się szminka, wreszcie widok dwóch grubasów turlających się wokół stołu bilardowego.

Kiedy w pubie zrobiło się tak tłoczno, że ludzie stali do baru w trzech rzędach i na

drinka trzeba było czekać dwadzieścia minut, przenieśli się do Curley Folly w Point. Po drodze wypaliły w samochodzie kolejnego jointa i Katie poczuła drapiące od wewnątrz jej czaszkę ostre kły paranoi.

- Ten samochód nas śledzi.

Eve przyjrzała się w lusterku wstecznym światłom jadącego za nimi auta.

- Gówno prawda.

- Jedzie za nami, odkąd wyszliśmy z baru.

- Katie, nie pieprz, kurwa, wyszliśmy stamtąd niecałą minutę temu.

- Aha.

- Aha - powtórzyła kpiącym tonem Diane, zadławiła się chichotliwą czkawką i oddała skręta Katie.

Eve powiedziała, zniżając głos:

- Spoko.

Katie domyśliła się, do czego to wszystko zmierza.

- Zamknij się.

- Spoko - zgodziła się z koleżanką Diane i wybuchnęła śmiechem.

- Dziwki - powiedziała Katie, szukając w głosie irytacji, ale natrafiła tylko na grzbiet fali chichotu, która ją porwała. Upadła na oparcie tylnego fotela i ześliznęła się z niego, jej potylicą wylądowała między podłokietnikiem a siedzeniem, w policzkach czuła igielki i ukłucia, doznania, jakich zawsze doświadczała w tych rzadkich przypadkach, gdy paliła trawkę. Po chwili fala chichotu opadła i Katie ogarnęło rozmarzenie, skoncentrowawszy uwagę na bladej kopule światła. To jest właśnie to, pomyślała, po to człowiek żyje, żeby chichotać jak głupi ze swoimi głupimi rozchichotanymi przyjaciółkami ostatniej panińskiej nocy przed poślubieniem faceta, którego się kocha. (W Vegas, bo czemu nie, na kacu, bo czemu nie). To jest właśnie to. Marzenie.

Cztery bary, trzy drinki i kilka zapisanych na serwetkach numerów telefonów, później Katie i Diane dostały naprawdę małego rozumu, wskoczyły na ladę w barze McGills i zaczęły tańczyć do melodii Brown Eyed Girl\*, choć szafa grająca milczała. Eve śpiewała Slipping and a Sliding\*\*, a Katie i Diane ślizgały się i ześlizgiwały, jakby w ich duszach spadał wodospad, angażowały w taniec biodra i potrząsały głowami, aż rozsypane włosy zakryły im twarze. Chłopcy w barze McGills mieli niezły ubaw, ale

---

\* Piosenka Vana Morrisona (przyp. tłum.).

\*\* Piosenka Pameli Rose (przyp. tłum.).

dwadzieścia minut później dziewczęta nie zdołały nawet wejść w drzwi pubu Brown's.

Diane i Katie musiały już podtrzymywać między sobą Eve, która dalej śpiewała (tym razem *I Will Survive* Glorii Gaynor), co stwarzało tylko połowę problemu, i kiwała się jak metronom, co go dopełniało.

Doczekały się więc rzygu, jeszcze zanim wtoczyły się do Brown's, co znaczyło, że jedyną nadzieję na to, że trzy w pestkę pijane panienki z East Bucky zostaną obsłużone, można było wiązać już tylko z barem Ostatnia Kropla, zatechłą speluną w najgorszym rejonie Flats, zakazanym rewirze w obrębie trzech kwartałów ulic, gdzie przytrute herą kurwy i ich klienci odbywali swój godowy taniec, a każdy samochód niewyposażony w alarm stał na swoim miejscu najwyżej półtorej minuty.

Tam więc imprezowały, gdy zjawił się Roman Fallow ze swoją ostatnią gupikopodobną panienką (Roman lubił małe blondyneczki o wielkich oczach). Pojawienie się Romana oznaczało dobrą nowinę dla barmanów, bo facet zwykł dawać sowite napiwki. Zarazem jednak złą dla Katie, bo przyjaźnił się z Bobbym O'Donnellem.

- Jesteś nawalona? - zainteresował się od razu.

Uśmiechnęła się, ponieważ się go bała. Prawie wszyscy się go bali. Przystojny bystrzacha potrafił być cholernie zabawny, jeśli chciał, ale ziała w nim jakaś dziura, kompletna uczuciowa pustka. Wisiała w jego oczach niczym tabliczka z napisem „Wolne pokoje”.

- Troszeczkę wstawiona - przyznała.

To go rozbawiło. Parsknął krótkim śmiechem, błyskając nieskazitelnie białymi zębami i pociągnął łyk dżinu Tanqueray.

- Troszeczkę wstawiona, hm? Dobra, Katie, pozwól, że zadam ci jedno pytanie - powiedział łagodnie. - Myślisz, że Bobby byłby zadowolony, gdyby się dowiedział, że robiłaś dziś z siebie idiotkę u McGillsa? Jak myślisz, byłby?

- Nie.

- Bo ja bym nie był, Katie. Rozumiesz, co mówię?

- Rozumiem.

Przyłożył do ucha konchę dłoni.

- Słucham? Nie dosłyszałem.

- Rozumiem.

Roman nie odjął dłoni od ucha i zapytał, wychylając się w jej stronę:

- Przepraszam, co powiedziałaś?



- Zaraz jadę do domu.

Uśmiechnął się.

- Jesteś pewna? Nie chciałbym cię zmuszać do czegoś, na co sama nie masz ochoty.

- Tak, jestem pewna. Czuję, że mam dosyć.

- Grzeczna dziewczynka. Uregulować wasz rachunek?

- Nie, dziękuję, Roman, zapłaciłyśmy już gotówką. Roman objął ramieniem gupikopodobną blondynkę.

- Zawołać wam taksówkę?

Katie omal się nie wygadała, że przyjechała wozem, ale w porę ugryzła się w język.

- Nie trzeba. O tej porze bez trudu jakąś złapiemy.

- Fakt, nie będzie z tym kłopotu. Dobra, Katie, więc do zobaczenia.

Eve i Diane były już przy drzwiach. Prawdę mówiąc, znalazły się w progu, ledwo ujrzały Romana. Gdy były już na chodniku, Diane zapytała:

- Kurwa, myślisz, że zadzwoni do Bobby'ego?

Katie pokręciła przecząco głową, choć wcale nie była tego taka pewna.

- Nie, Roman nie lubi przynosić złych wiadomości. Stara się tego unikać.

Zbliżyła na chwilę w ciemności dłoń do twarzy i poczuła, jak alkohol zmienia się w jej krwi w swędzącą maź, jednocześnie przytłoczył ją ciężar samotności. Od śmierci matki zawsze czuła się samotna, a jej matka umarła dawno, już wiele lat temu.

Eve puściła na parkingu pawia, rzygowiny opryskały tylną oponę niebieskiej toyoty Katie. Kiedy koleżanka przestała wymiotować, Katie wyszukała w torebce odświeżacz do ust i podała buteleczkę Eve, która zapytała:

- Dasz radę prowadzić?

Katie skinęła głową.

- Mam niedaleko, wszystkiego czternaście przecznic. Bez obawy.

Kiedy wyjeżdżały z parkingu, dodała:

- Macie jeszcze jeden powód, żeby stąd uciekać. Jeszcze jeden powód, żeby wiać z tej pieprzonej dzielnicy.

Diane przytaknęła bez przekonania:

- Fakt.

Jechały ostrożnie przez Flats, Katie starała się nie przekraczać pięćdziesiątki, trzymała się prawego pasa i była bardzo skoncentrowana. Przez dwanaście przecznic jechały Dunboy, za Crescent ulice stały się ciemniejsze i jeszcze bardziej puste. U dołu

Flats skręciły w Sydney Street, w stronę domu Eve. Diane postanowiła przenocować na kanapie u Eve, zamiast wracać do mieszkania swojego chłopaka Matta i narażać się na dziką awanturę za to, że wraca w środku nocy nawalona jak stodoła, więc obie z Eve wysiadły pod zepsutą latarnią na Sydney. Zaczął padać deszcz, krople rozbijały się na przedniej szybie samochodu, ale Diane i Eve zdawały się tego nie zauważać.

Zgięte wół zjrzały do Katie przez otwarte okno od strony pasażera. Nieprzyjemne zakończenie ich nocnej eskapady sprawiło, że miny miały niewyraźne a ramiona obwisłe. Katie, wpatrzona w spływające po szybie krople deszczu, niemal czuła smutek przyjaciółek na swoim policzku. Jakby cała reszta ich życia ciążyła im, przygniatając żalobnym smutkiem. Wszak mogła już nigdy więcej nie zobaczyć swoich przyjaciółek od przedszkola.

- Poradzisz sobie? - Głos Diane załamał się niepokojąco.

Katie obróciła ku niej twarz i uśmiechnęła się, tak usilnie próbując nadać temu uśmiechowi beztroski wyraz, że omal nie pękła jej szczęka.

- Jasne. Nie ma sprawy. Zadzwońię z Vegas. Niedługo mnie odwiedzicie.

- Bilety lotnicze nie są takie drogie - powiedziała Eve.

- Nie są.

- Są naprawdę tanie - dodała Diane.

- Finito - zawołała energicznie Katie. - Jadę, zanim się któraś rozbeczy.

Eve i Diane włożyły ręce przez okno, Katie mocno uścisnęła ich dłonie, potem odsunęły się od samochodu, pomachały jej, a ona im odmachnęła, zatrąbiła na pożegnanie i ruszyła.

Stały na chodniku i patrzyły, nawet gdy tylne światła toyoty błysnęły czerwono, a potem zniknęły, kiedy Katie skręciła ostro na środku Sydney Street. Czuły, że nie wszystko zostało powiedziane. Wdychały zapach deszczu i metaliczną woń kanału Penitentiary, który płynął ciemny i cichy po drugiej stronie parku.

Diane do końca życia nie mogła sobie darować, że wtedy wysiadła. Za niecały rok od tego dnia miała urodzić syna i miała mu opowiadać przez całe dzieciństwo (zanim wdał się w ojca i zszedł na złą drogę, nim prowadząc wóz po pijanemu, przejechał w Point kobietę, która czekała na przejściu dla pieszych), że powinna była zostać w tym samochodzie, że dopiero pod wpływem nagłego impulsu zdecydowała, iż jednak wysiądzie, zmieniła kurs przeznaczenia, ścięła jakiś róg na torze czasu. Do samej śmierci ciążyła jej ta myśl, a towarzyszyło jej przekonanie, że przeżyła życie jako bierny obserwator tragicznych losów innych ludzi, losów, którym nie dość stanowczo

starala się zapobiegać. Powtarzała to wszystko swojemu synowi podczas widzeń w więzieniu, a on wzruszał tylko ramionami, poprawiał się na krześle i pytał: „Przyniosłaś fajki, mama?”.

Eve wyszła za elektryka i przeniosła się na farmę w Braintree. Czasami, późno w nocy, kładła dłoń na szerokiej, poczciwej piersi męża i opowiadała mu o Katie, o tamtym dniu, a on słuchał, głaskał ją po głowie, po plecach, ale mało mówił, bo zdawał sobie sprawę, że niewiele jest do powiedzenia. Eve czuła nieraz potrzebę wypowiedzenia imienia przyjaciółki, słuchania jego brzmienia, smakowania go na języku. Urodzą im się dzieci. Eve będzie chodziła na mecze piłki nożnej, w których występowali, będzie stała za linią autu i od czasu do czasu jej wargi będą się rozchylały i wymawiały imię Katie, po cichu, dla samej siebie, pośród wilgotnych kwietniowych łąk.

Ale tamtej nocy były tylko dwiema pijanymi nastolatkami z East Bucky i Katie patrzyła, jak znikają w lusterku wstecznym, gdy skręcała z Sydney w stronę domu.

Ta okolica była w nocy jak wymarła, bo większość domów wokół Pen Channel Park spłonęła w pożarze cztery lata wcześniej i stała od tamtej pory wypalona, poczerniała, z oknami zabitymi deskami. Katie chciała już tylko dotrzeć do domu, paść na łóżko, by obudzić się rano i szybko wyjechać, zanim ojcu czy Bobby'emu przyjdzie do głowy jej szukać. Pragnęła jak najprędzej zrzucić z siebie swoje otoczenie, jak zrzuca się przemoczone w czasie burzy ubranie. Zmiać je w garści, zostawić i o nim zapomnieć.

Przypomniała sobie coś, o czym od lat nie myślała. Przypomniała sobie, jak poszła z mamą do zoo, gdy miała pięć lat. Przyszło jej to do głowy bez żadnego szczególnego powodu, chyba jedynie dlatego, że długie farfocle marihuany i alkoholu musiały poruszyć w jej mózgu ten obszar, w którym przechowywane są wspomnienia. Szły Columbia Road w stronę zoo, matka trzymała ją za rękę i Katie czuła kruche kosteczki w jej dłoni. Przypominały drobne dreszcze uwięzione pod skórą nadgarstka. Podniosła wzrok na wąską twarz matki, jej smutne oczy, zaostzony nos i podbródek mały jak guziczek i zapytała, z pięcioletniej ciekawości i smutku: „Dlaczego ty jesteś zawsze taka zmęczona, mamo?”.

W tym momencie surowa twarz matki rozkruszyła się jak wysuszona gąbka. Przykucnęła obok Katie, ujęła w dłonie jej buzię i wpatrywała się w córkę poczerwieniałymi oczami. Katie pomyślała, że mama się gniewa, ale ona uśmiechnęła się, choć ten uśmiech szybko zgasł, a podbródek zaczął drżeć, gdy wyszeptała: „Moje

dziecko kochane” i przytuliła Katie. Wtuliła podbródek w jej ramię i powtórzyła „Moje biedne dziecko”, a potem Katie poczuła we włosach jej łzy.

Czuła je i teraz, krople łez we włosach, podobne do kropli deszczu padających na przednią szybę. Usiłowała sobie przypomnieć kolor oczu matki, gdy nagle zauważyła leżące na jezdni ciało. Zamajaczyło tuż przed maską wozu, skręciła więc ostro w prawo, poczuła, jak coś podbija lewe tylne koło i załkała w duchu: O, Boże, nie, o dobry Jezu powiedz, że nikogo nie przejechałam!

Toyota uderzyła w krawężnik z prawej strony jezdni, Katie zdjęła nogę z pedału sprzęgła, auto szarpnęło, silnik zakaszłał i zgasł.

Usłyszała czyjeś wołanie:

- Te, nic ci się nie stało?

Zobaczyła sylwetkę idącego w jej stronę człowieka i kamień spadł jej z serca, bo wyglądał znajomo i niegroźnie, i nagle dojrzała pistolet w jego ręku.

Brendan Harris zasnął w końcu o trzeciej nad ranem.

Zasypiał uśmiechnięty, bo cały czas unosiła się nad nim twarz Katie. Mówiła, że go kocha, szeptała jego imię, a jej ciepły oddech muskał mu ucho niczym pocałunek.

## Powiedz mi wszystko

Dave Boyle wylądował w barze McGills. Siedzieli z Wielkim Stanleyem w kącie sali i oglądali wyjazdowy mecz Soksów. Pedro Martinez królował na mecie miotacza, Soksi niemiłosiernie łupili Angelsom skórę. Pedro rzucał piłkę z taką siłą, że przelatując nad bazą zdawała się nie większa od tabletki od bólu głowy. Przy trzeciej zmianie pałkarze Angelsów wyglądali na mocno przestraszonych; przy szóstej marzyli już tylko o pójściu do domu na kolację. Kiedy Garret Anderson odrzucił za krótką zdychającą piłkę na krótkie prawe pole po odbiciu za jedną metę i przypieczętował sławę Pedra jako nieposkromionego pogromcy pałkarzy, resztką entuzjazmu widzów, jaką zachowali jeszcze do wyniku osiem do kółka, odfrunęła z trybun i Dave stwierdził, że więcej uwagi poświęca światłom, kibicom i samemu stadionowi Anaheim niż samej grze.

Przyglądał się głównie twarzom ludzi na tańszych miejscach, nie tych na trybunie. Malowała się na nich niechęć i zmęczenie, rezultat porażki. Kibice wyglądali tak, jakby bardziej przeżywali klęskę niż zawodnicy na ławce. Może tak zresztą i było. Dave pomyślał, że dla niektórych był to zapewne jedyny mecz, na jaki się w tym roku wybrali. Wzięli ze sobą dzieciaki, żony i wyszli z domów z turystycznymi lodówkami, wczesnym kalifornijskim wieczorem, żeby po meczu popiknikować przy otwartych bagażnikach samochodów. Kupili bilety za pięć i pół dolara, by móc zasiąść na tanich miejscach i nasadzić na głowy swoich dzieci czapeczki za dwadzieścia pięć dolarów, pochłaniać burgery ze szczura po sześć dolarów sztuka, hot dogi po cztery pięćdziesiąt, pić wodnistą pepsi i lizać lody, które się topią i spływają po owłosionych przedramionach. Dave wiedział, że ci ludzie przychodzą na mecze, żeby przeżyć chwile entuzjazmu i uniesienia, wzbic się nad swoje szare życie na barwnych skrzydłach zwycięstwa. To dlatego hale i boiska baseballowe przypominają nastrojem katedry - jarzą się światłami i rozbrzmiewają szmerem modlitw, gdy czterdzieści tysięcy serc bije unisono w rytmie zbiorowej nadziei.

Wygrajcie dla mnie. Wygrajcie dla moich dzieci. Wygrajcie dla mojego małżeństwa, abym mógł zanieść to zwycięstwo do wozu i rozsiać się w jego blasku

wraz z całą rodziną, zanim będziemy musieli wrócić do powszedniego życia, które nie zna innych zwycięstw.

Wygrajcie dla mnie. Wygrajcie, wygrajcie, wygrajcie!

Gdy jednak drużyna przegrywała, ta zbiorowa nadzieja przyskała jak bańka mydlana, a wraz z nią iluzja jedności, jaką odczuwałeś wobec swych współbraci. Twoja drużyna cię zawiodła, przypomniła ci tylko, że każda twoja próba kończy się porażką. Każda nadzieja zostaje pogrzebana. Siedzisz smutny na śmietniku celofanowych opakowań, resztek prażonej kukurydzy i rozmiękłych styropianowych kubków, rzucony na powrót na ponure pobojuwisko swojego życia, mając w perspektywie powrót przez rozległy, tonący w ciemnościach parking pośród rzesz podpitych, wściekłych obcych ludzi, u boku milczącej połowicy, sumującej w pamięci twoje ostatnie porażki, i trójki zwariowanych dzieciaków. A potem w ponurym nastroju wsiądziesz do samochodu i wrócisz do domu, skąd obiecała cię wyrwać opuszczona przed chwilą katedra stadionu.

Dave Boyle, były najlepszy łącznik w złotych latach 1978-82 baseballowej drużyny technikum Don Bosco, wiedział doskonale, że mało jest na tym świecie rzeczy równie kapryśnych jak łaska kibiców. Wiedział też, co to znaczy potrzebować ich wsparcia, nienawidzić ich, padać na kolana i błagać o jeszcze jeden ryk entuzjazmu lub zwieszając posępnie głowę, gdy złamałeś ich wielkie, złane w jedno rozwścieczone serce.

- Widzisz te lasencje? - zapytał Wielki Stanley, więc Dave przeniósł wzrok i zobaczył na ladzie baru dwie dziewczyny, które tańczyły do melodii piosenki Brown Eyed Girl śpiewanej fałszywie przez trzecią. Kręciły zalotnie tyłeczkami i wirowały biodrami. Ta z prawej miała pulchne ciało i szare, błyszczące oczy, które mówiły: „Bierz mnie”. Dave ocenił, że osiągnęła właśnie szczyt formy i urody, przez następne pół roku będzie kapitalną zawodniczką w łóżku, jednak za jakieś dwa lata (zapowiedź tej odmiany widniała w jej podbródku) żaden oracz nie zechce jej orać, bo stanie się gruba, nalana, będzie chodziła w obszernych podomkach i trudno będzie dać wiarę, że jeszcze niedawno była grzechu warta.

Wszakże ta druga...

Dave znał ją, gdy była jeszcze małą dziewczynką. Katie Marcus, córka Jimmy'ego i przedwcześnie zmarłej Marity, obecnie pasierbica Annabeth, kuzynki jego żony, teraz dorosła panna, o ciele jędrnym, świeżym i tak gibkim, jakby nie podlegała prawu grawitacji. Przyglądając się, jak tańczy, podskakuje, kołysze się i śmieje, jak blond włosy owijają się wokół niej niczym welon, to znów opadają falą, gdy odchylała w tył

głowę, ukazując giętką mlecznobiałą szyję, Dave poczuł czarną, bolesną nadzieję, która wybuchła w nim nagle jak ogień. Nie wzięła się znikąd, pochodziła od Katie. Przeskoczyła do jego ciała, a towarzyszył temu nagły błysk rozpoznania na spoconej twarzy Katie, gdy ich oczy się spotkały. Uśmiechnęła się i pokiwała do niego małym palcem, a on miał wrażenie, że tym gestem przedarła się przez jego żebra i połaskotała go w samo serce.

Przyjrzał się mężczyznom w barze, ich zachwyconym spojrzeniom. Wpatrywali się w tańczące dziewczęta, jakby to były boginie. Dave dostrzegł w ich twarzach tę samą tęsknotę, jaka się malowała na twarzach kibiców Angelsów w początkowych zmianach meczu, tę smutną tęsknotę zacienioną już bolesną świadomością, że najpewniej wrócą do domów niezaspokojeni, aby o trzeciej nad ranem trzepać w łazienkach kapucyna, słuchając dobiegającego z piętra chrapania żony i dzieci.

Patrzył na Katie rozsiewającą młodzieńczy blask z wysokości baru i przypomniał sobie Maurę Keaveny, gdy leżała pod nim naga, z kropelkami potu na czole i półprzymkniętymi oczami, zamglonymi od alkoholu i pożądania. Pożądania, które on w niej wzbudził. Dave Boyle, gwiazda baseballu. Przez trzy krótkie lata chluba dzielnicy Flats. Nikt już nie mówił o nim jako o chłopcu, którego w dzieciństwie porwano. Nie, teraz chodził w glorii lokalnego bohatera. Maura leżała w jego łóżku. Los stał po jego stronie.

Dave Boyle. Jeszcze nieświadom, jak krótko trwa sława i jak niepewna jest przyszłość. Jak prędko uleci, pozostawiając go z pustymi rękami i zasraną terażniejszością, która nie niesie żadnych niespodzianek, nie stwarza żadnych powodów do nadziei, składa się jedynie z szarych, bezbarwnych dni, które zlewają się ze sobą tak niepostrzeżenie, że może minąć rok, a na ściennym kalendarzu w kuchni wciąż będzie czerniała ta sama marcową data.

Nie będę więcej marzył, postanowił. Nie będę się narażał na cierpienie. Ale nagle pewnego dnia twoja drużyna dostaje się do baraży, obejrzałeś jakiś dobry film, jakiś plakat, który pomarańczowym blaskiem zachwala uroki Aruby, albo zatańczy ci nad głową dziewczyna z błyszczącymi oczami, podobna nie tylko na pierwszy rzut oka do tamtej, z którą chodziłeś w liceum, którą kochałeś, a potem utraciłeś, i mówisz sobie: a niech tam, jeszcze ten jeden raz sobie zamarzę.

Kiedy Rosemary Savage Samarco leżała na łożu śmierci (po raz piąty na ogólną liczbę dziesięciu agonii), zwierzyła się córce, Celeste Boyle:

- Przysięgam na Boga, że jedyną przyjemnością, jaką miałam w tym zasranym życiu, było miętolenie jaj twojego ojca, lubiłam to jak wilgotne prześcieradło w upalny dzień.

Celeste odpowiedziała matce powściągliwym uśmiechem i chciała się odwrócić, ale artretyczne palce staruszki ścisnęły ją za rękę z taką siłą, że omal nie zgruchotały jej kości.

- Posłuchaj, Celeste, ja umieram, nie rzucam słów na wiatr. Tyle tylko dostaniesz od życia... jeśli dopisze ci szczęście... i przyznaję, niedużo tego. Jutro będę martwa, więc chcę, żeby moja córka to zrozumiała: dostajesz tylko tyle. Słyszysz? Tylko jedną rzecz na tym zasranym świecie, która ci sprawi przyjemność. Dla mnie było to miętolenie jaj tego skurwiela twojego ojca, ile razy miałam okazję. - Oczy jej zabłysły i na wargach zalśniły kropelki śliny. - Dasz wiarę? On to uwielbiał.

Celeste wytarła ręcznikiem czoło matki. Uśmiechnęła się do niej i cichym, przymilnym głosem powiedziała: „Mamo”. Otarła kropelki śliny z warg konającej i pogłaskała wnętrze jej dłoni, cały czas myśląc przy tym: muszę stąd uciekać. Uciekać z tego domu, z tej wstrętnej dzielnicy, z tego domu wariatów, gdzie ludziom gniją mózgi, bo tacy są biedni, źli na cały świat i bezradni.

Matka jednak tym razem znowu nie umarła. Przetrwiała zapalenie okrężnicy, napady cukrzycowe, niewydolność nerek, zawał serca, nowotwory złośliwe piersi i okrężnicy. Jej trzustka przestała pewnego dnia funkcjonować, po prostu spasowała, po czym po tygodniu zgłosiła się nagle na powrót do pracy, pełna świeżego zapachu, więc lekarze nieustannie naciskali na Celeste, by pozwoliła im poddać badaniom ciało matki po jej przyszłym zgonie.

Celeste spytała naiwnie:

- Którą część?

- Ależ całe.

Rosemary Savage Samarco miała brata we Flats, którego nienawidziła, dwie siostry na Florydzie, z którymi nie rozmawiała, i tak gorliwie miętoliła kartofelki męża, aż uciekł przed nią do grobu stanowczo przed czasem. Celeste była jej jedynym dzieckiem urodzonym po ośmiu poronieniach. Kiedy była mała, wyobrażała sobie tych swoich niedoszłych braci i te niedoszłe siostry, jak fruują po czyścucu i mówią do niej w myślach: tobie się udało.

Jako nastolatka żyła w przekonaniu, że zjawi się wkrótce ktoś, kto ją wyrwie z tego pohańbienia. Nie była brzydka. Nie była zgorzkniała, miała dobry charakter,



umiała się śmiać. Uznała, że uwzględnwszy to wszystko, wybawienie powinno szybko nadejść. Niestety, choć spotkała kilku kandydatów na wybawców, żaden nie zwał jej z nóg swoją osobowością. Większość pochodziła z Buckingham, były to głównie różne punki z Point lub Flats w East Bucky, paru było z Rome Basin, a w szkole fryzjerskiej Blaine spotkała fajnego chłopaka ze śródmieścia, ale ten był gejem, choć sam jeszcze o tym nie wiedział.

Ubezpieczenie zdrowotne matki należało do najtańszych i Celeste zorientowała się rychło, że jej pensja starcza tylko na wykupywanie niezwykle drogich recept przepisywanych na leczenie różnych koszmarnych chorób, które jednak nie były do tego stopnia koszarne, by uwolnić cierpiącą od jej cierpień. Które nawet na swój sposób lubiła. Każdy nowy atak choroby przyjmowała jak nową kartę atutową w grze, którą Dave nazywał Koszmarnym Totkiem Rosemary. Oglądali raz w wiadomościach zrozpaczoną kobietę, płaczącą i krzyczącą na chodniku po pożarze domu, w którym zginęła dwójka jej dzieci, na co starsza pani cmoknęła tylko ironicznie i powiedziała:

- Dzieciaki zawsze można urodzić sobie nowe. Spróbuj żyć z zapaleniem okrężnicy i zapadniętym płucem, złociutka.

Dave uśmiechnął się kwaśno i poszedł po następne piwo. Usłyszawszy odgłos otwieranej w kuchni lodówki, Rosemary szepnęła do córki:

- Jesteś tylko jego kochanką, moja droga. Jego żonie na imię Budweiser.
- Daj spokój, mamó - zachnęła się Celeste.
- Nie widzisz tego? - zdziwiła się matka.

Wybór Celeste padł w końcu (akt rezygnacji?) właśnie na Dave'a. Był przystojny, zabawny i nic na pozór nie mogło wyprowadzić go z równowagi. Kiedy się pobierali, miał dobrą posadę, pracował w dziale korespondencji u Raytheona, stracił tę pracę w następstwie redukcji etatów, wkrótce znalazł nową, ale już na rampie załadunkowej pewnego hotelu w śródmieściu (za mniej więcej połowę dotychczasowej pensji), mimo to się nie skarżył. Właściwie nigdy na nic się nie skarżył, nigdy też nie mówił o swoim dzieciństwie, co Celeste zastanowiło dopiero w rok po śmierci matki.

Dzieła unicestwienia dokonała w końcu apopleksja. Celeste wróciła któregoś dnia z supermarketu i znalazła matkę martwą w wannie, z głową odrzuconą do tyłu, wargami obrzydliwie podwiniętymi po prawej stronie twarzy, jakby Rosemary wgryzła się w coś nazbyt gorzkiego.

W czasie pierwszych miesięcy po pogrzebie Celeste pocieszała się myślą, że odtąd łatwiej jej się będzie żyło bez ciągłych wyrzutów i złościwości zmarłej. Niezupełnie się

to sprawdziło. Dave zarabiał mniej więcej tyle ile Celeste, czyli około dolara za godzinę więcej, niż zarabiali u McDonalda, i choć rachunki za leczenie, jakie Rosemary zgromadziła w ciągu swego życia, szczęśliwie nie przeszły schedą na jej córkę, koszty pogrzebu ją obciążły. Celeste przyjrzała się finansowej ruinie swojego życia - rachunki będą musieli spłacać przez długie lata, dochody stałe były niskie, za to wielkie wydatki bieżące, wyczerpany kredyt, a niebawem miała na nich spaść lawina rachunków (Michael wchodził w wiek szkolny) - i poczuła się tak, jakby już do śmierci musiała żyć na bezdechu. Ani ona, ani Dave nie skończyli studiów. Nie mieli żadnych widoków na ich podjęcie, tymczasem ilekroć włączali telewizor, w wiadomościach wychwalano niski wskaźnik bezrobocia i wysoki pewności zatrudnienia. Nikt jednak nie wspominał, że dotyczyło to głównie pracowników z odpowiednimi kwalifikacjami bądź ludzi podejmujących prace dorywcze bez ubezpieczenia zdrowotnego, z marnymi perspektywami na jakąkolwiek karierę.

Czasem Celeste siadała po ciemku na sedesie obok wanny, w której znalazła martwe ciało matki, starała się nie płakać i myślała o tym, dlaczego jej życie tak źle się ułożyło. To właśnie robiła w niedzielę o trzeciej nad ranem, gdy o szyby bębnił deszcz. Nagle do łazienki wszedł Dave. Był cały zakrwawiony.

Sprawiał wrażenie przerażonego jej widokiem. Szarpnął się do tyłu, kiedy się podniosła.

- Stało się coś, skarbie? - zapytała, wyciągając do niego rękę.

Cofnął się spłoszony i uderzył nogą o futrynę drzwi.

- Pocięli mnie.

- Co takiego?

- Chlasnęli mnie.

- Chryste Panie, Dave! Jak to się stało?

Podniósł koszulę i Celeste zobaczyła długą, spienioną bąbelkami krwi ranę pod żebrami.

- O mój Boże! Musisz natychmiast jechać do szpitala!

- Nie ma potrzeby - burknął. - Spójrz, nie jest głęboka. Tylko krwawi jak jasna cholera.

Miał rację. Przyjrząwszy się lepiej, Celeste stwierdziła, że płytka rana była jedynie długa i bardzo krwawiła. Choć nie aż tak, by jej można przypisać krew na szyi i koszuli Dave'a.

- Kto to zrobił?

- Jakiś czarny szajbus. - Dave zdjął koszulę i wrzucił ją do umywalki. -  
Spieprzyłem sprawę, kochanie.

- Jak to? Co masz na myśli?

Obrzucił ją rozbieganym spojrzeniem.

- Chciał mnie obrabować, rozumiesz? No więc... więc mu przyłożyłem. Wtedy mnie ciachnął.

- Zamachnąłeś się na niego nożem, Dave?

Odkręcił kran i włożył głowę pod strumień wody, trochę się też napił.

- Nie mam pojęcia, jak to się stało. Spieprzyłem sprawę, skarbie. Poniosło mnie. Skotłowałem gnoja.

- Ty...?

- Zraniłem go, Celeste. Po prostu dostałem małego rozumu, kiedy poczułem pod żebrami kosę. Kapujesz? Znokautowałem drania, usiadłem na nim i... poniosło mnie.

- Działales w samoobronie.

Zrobił ręką gest, który znaczył „o tyle, o ile”.

- Nie sądzę, prawdę powiedziawszy, żeby sąd tak to zakwalifikował.

- W głowie mi się to nie mieści. Kochanie - ujęła oburącz jego ręce - opowiedz mi po kolei, co się stało.

Wpatrzona w twarz Dave'a, poczuła nagle, że robi jej się słabo. W głębi jego oczu pojawił się jakiś dziwny blask, jakby zadowolenia z siebie.

Po namyśle doszła jednak do wniosku, że to zapewne efekt jarzącej się tuż nad mężem taniej świetlówki, bo gdy zwiesił głowę i zaczął głaskać jej dłonie, jego twarz przybrała normalny wyraz.

- Szedłem właśnie do samochodu... - Celeste usiadła wygodniej na zamkniętej klapie sedesu, a Dave klęknął przed nią. - ... a ten facet podszedł do mnie i poprosił o ogień. Powiedziałem, że nie palę. A on, że też nie pali.

- Masz sobie!

Dave przytaknął.

- Zaraz zaczęło mi walić serce. Dokoła ani żywej duszy. Wtedy zobaczyłem w jego ręku nóż. „Forsa albo życie, koleś. Jedno albo drugie”.

- Dokładnie tak powiedział?

Dave podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

- Bo co?

- Nie, nic.

Celeste pomyślała, że zabrzmiało to jakoś śmiesznie, zbyt okrągło, jak na filmie. Ale ostatecznie teraz wszyscy oglądają filmy, szczególnie odkąd istnieją kablówki, więc może ten bandzior podłapał tę kwestię od postaci z filmu i do późnej nocy ćwiczył ją przed lustrem, aż uznał, że brzmi tak dobrze, jakby ją wypowiedział Wesley albo Denzel\*.

- No i... i wtedy ja - podjął Dave - powiedziałem coś w rodzaju: „Daj spokój, kolego, pozwól mi po prostu wsiąść do wozu i pojechać do domu”, co okazało się skończonym kretynizmem, bo drań zażądał od razu kluczyków do samochodu. No a ja, nie wiem, jak to się stało, skarbie, wnerwiłem się, zamiast przestraszyć. Taka odwaga po whisky, może... Spróbowałem łobuza wyminąć i wtedy mnie dziabnął.

- Myślałam, że się na ciebie zamierzył?

- Celeste, pozwolisz, że sam opowiem tę pieprzoną historię?

Pogładziła go po policzku.

- Przepraszam, kochanie.

Pocałował wewnątrz jej dłoni.

- Pchnął mnie na samochód i zamachnął się, udało mi się uchylić i wtedy mnie ciachnął. Poczulem, jak ostrze przecina mi skórę i po prostu ześwirowałem. Walnąłem go pięścią w ucho, czego się nie spodziewał. Miał taką minę, jakby mówił: „Hola, sukinsynu”, więc zamachnąłem się i uderzyłem go drugi raz, chyba z boku w szyję. Upadł. Nóż odtoczył się na bok, a wtedy skoczyłem na niego i...

Zajrzał do wanny, usta miał wciąż otwarte, wargi ułożone w ciup.

- I co dalej? - ponagliła go, usiłując sobie wyobrazić, jak bandyta zamierza się na Dave'a zaciśniętą pięścią, w drugiej ręce trzymając otwarty sprężynowiec. - I co zrobiłeś?

Dave odwrócił się i zapatrzył w jej kolana.

- Natarłem na niego jak szaleniec, skarbie. Mogłem gnoja zabić. Tłukłem jego łbem o parking, rozkwaśiłem mu gębę, rozkwaśiłem kinol. Byłem cholernie wkurwiony i przerażony, myślałem tylko o tobie i Michaelu i o tym, że mogłem nie dojść żywy do auta, że mogłem zdechnąć na tym zasranym parkingu tylko dlatego, że jakiś pojebaniec był zbyt leniwy, by uczciwą pracą zarabiać na chleb. - Spojrzał jej w oczy i powtórzył: - Mogłem go zabić, skarbie.

Wyglądał tak młodo. Źrenice rozszerzone, twarz blada i spotniała, włosy przyklejone do czaszki przez pot, strach czy... krew?... tak, krew!

---

\* Wesley Snipes i Denzel Washington - czarni aktorzy amerykańscy (przyp. tłum.).

AIDS, przebiegło jej przez myśl. A jeśli tamten był zarażony?

Dość, skarciła samą siebie w myślach, nie teraz. Teraz myśl o tym, co jest.

Dave jej potrzebował. Szalona nowość. Celeste zdała sobie nagle sprawę, dlaczego tak ją ostatnio dręczyło, że on się nigdy nie skarżył. Kiedy się komuś skarżymy, to tak, jakbyśmy prosili o pomoc, prosili tego, komu się zierzamy, żeby się nami zajął. Dave nigdy dotąd jej nie potrzebował, więc się nie skarżył ani wtedy, gdy tracił pracę, ani na uciążliwość życia z Rosemary. Tymczasem teraz, gdy przed nią klęczał i powtarzał ze wzburzeniem, że mógł zabić człowieka, prosił ją tym samym, by go zapewniła, że nic tak straszego się nie stało.

Bo to prawda, czyż nie? Gdy napadasz na uczciwego obywatela, nie dziw się, jeśli spotkasz się z oporem. Trudno, ale ryzykujesz własną głową. Bardzo mi przykro, myślała Celeste, nic na to nie poradzę. Dostałeś, na co zasłużyłeś.

Pocałowała męża w czoło.

- Wskakuj pod prysznic, kochanie - poradziła. - Ja zajmę się ubraniem.

- Naprawdę?

- Oczywiście.

- Co z nim zrobisz?

Nie miała pojęcia. Spalić? Jasne, tylko gdzie? Przecież nie w mieszkaniu. Pozostawało podwórko. Natychmiast jednak zdała sobie sprawę, że ktoś mógłby zobaczyć, jak pali ubrania na podwórku o trzeciej nad ranem. O dowolnej zresztą godzinie.

- Wypiorę je - powiedziała, ledwie przyszła jej do głowy ta myśl. - Wypiorę, a potem włożę je do worka na śmieci i spalimy.

- Spalimy?

- Wywieziemy na wysypisko śmieci. Albo nie, zaczekaj - jej myśli biegły teraz szybciej, niż otwierały się usta - schowamy worek do wtorku rano. Śmieci wywożą we wtorek, prawda?

- Tak...

Odkręcił wodę pod prysznicem, ani na chwilę nie spuszczał z niej oka. Podłużna rana pod jego żebrami pociemniała i Celeste znowu pomyślała z obawą o AIDS, ale też o zapaleniu wątroby i innych groźnych chorobach, jakimi można się zarazić przez cudzą krew.

- Wiem, o której przyjeżdżają. Siódma piętnaście, niemal co do minuty, w każdy wtorek, z wyjątkiem pierwszego tygodnia w czerwcu, kiedy na wakacje wyjeżdżają

uczniowie college'ów i wyrzucają góry dodatkowych śmieci, tylko wtedy się trochę spóźniają, ale...

- Celeste, do czego ty zmierzasz?

- No wiesz, kiedy usłyszę śmieciarkę, zbiegnę do nich, jakbym zapomniała wynieść worek, i wrzucę go prosto do bębna zgniatarki. Co ty na to?

Uśmiechnęła się, choć wcale nie było jej do śmiechu. Włożył rękę pod strumień wody, resztą ciała wciąż do niej zwrócony.

- Dobry pomysł. Słuchaj...

- Tak?

- Dasz sobie radę?

- Oczywiście.

Zapalenie wątroby typu A, B i C, myślała. Wirus Ebola. Tropiki.

Źrenice Dave'a znów się rozszerzyły.

- Mogłem zabić człowieka, kochanie. Boże drogi!

Miała ochotę podejść i przytulić go, a także wyjść z łazienki. Chciała pogłaskać go po szyi i zapewnić, że wszystko będzie dobrze, a zarazem uciec i zaszyć się gdzieś, gdzie mogłaby to wszystko przemyśleć. Nie ruszyła się jednak z miejsca.

- Upiorę to.

- Dobrze - powiedział. - Upierz.

Wyjęła spod umywalki gumowe rękawiczki, których używała do mycia sedesu, wciągnęła na ręce i sprawdziła, czy nie są dziurawe. Upewniwszy się, że nie ma w nich żadnych rozdarć, wyjęła z umywalki koszulę Dave'a i podniosła z podłogi dzinsy. Były także ciemne od krwi i zostawiły smugę na białych kafelkach.

- Skąd to się wzięło?

- Co?

- Krew.

Spojrzał na trzymane przez nią spodnie, a potem na podłogę.

- Klęczałem nad nim. - Wzruszył ramionami. - Pojęcia nie mam. Przypuszczam, że trysnęła na mnie jego krew.

- Aha. Popatrzył jej w oczy.

- Właśnie. Aha.

- No tak - powiedziała.

- Tak.

- Upiorę to w kuchni.

- Świetnie.

- Świetnie - odrzekła i wyszła z łazienki, a on tam został, z dłonią drżącą pod strumieniem wody, czekając, aż popłynie gorąca.

Wrzuciła ubranie do zlewozmywaka w kuchni, odkręciła kran i przyglądała się, jak krew, przezroczyste płatki skóry i... o Boże!... kawałki mózgu, to nie ulegało wątpliwości, spływają do ścieku. Zdziwiło ją, że aż tyle krwi może wypłynąć z człowieka. Mówią, że ciało ludzkie zawiera jej trzy litry, ale Celeste zdawało się zawsze, że jest tego płynu znacznie więcej. Kiedy była w szóstej klasie, biegła kiedyś przez park z kolegami i się potknęła. Próbując zamortyzować upadek, podparła się ręką i rozcięła dłoń o niewidoczną w trawie rozbitą butelkę. Przecięła sobie wszystkie główne tętnice i żyły w dłoni i tylko dzięki temu, że była młoda, stopniowo, z biegiem lat odzyskała pełne zdrowie. Jednak czucie we wszystkich czterech opuszkach palców wróciło dopiero wtedy, gdy miała dwadzieścia lat. Kiedy się podniosła, łokieć jej drżał, jakby uderzyła się w to wrażliwe miejsce, z rozciętej dłoni siknęła fontanna krwi i dwie z jej koleżanek zaczęły przeraźliwie krzyczeć. W domu krew z rozciętej dłoni wypełniła cały zlew, zanim matka wezwała karetkę. W karetce owinęli jej dłoń bandażem tak grubo, aż dorównała średnicą jej nodze w udzie, mimo to warstwy bandaża po paru minutach przesiąkły. W szpitalu leżała na białym wózku i przyglądała się, jak małe kaniony, utworzone przez fałdy prześcieradła, wzbierają czerwonymi strumyczkami. Gdy się przepełniły, krew zaczęła kapać na podłogę i utworzyła tam w końcu kałużę, aż matka Celeste narobiła krzyku na cały szpital miejski i jeden z młodych lekarzy z ostrego dyżuru zdecydował, że trzeba przesunąć ranną na początek kolejki. I cała ta masa krwi wyciekła z jednej małej dłoni.

A teraz tyle krwi z jednej rozbitej głowy. Z rozkwaszonej przez Dave'a gęby bandziora, z rozbitej o chodnik czaszki. Zrobił to, spanikowany, ze strachu, była tego pewna. Włożyła dłonie w rękawiczkach pod strumień wody i jeszcze raz sprawdziła, czy guma jest cała. Nie dostrzegła żadnych dziur. Oblała koszulkę płynem do mycia naczyń i szorowała drucianą myjką, potem wycisnęła i powtarzała ten zabieg dopóty, dopóki woda, którą wykręcała, nie popłynęła krystalicznie czysta. Podobnie postąpiła z dżinsami, tymczasem Dave wyszedł spod prysznic i usiadł przy stole w kuchni w ręczniku na biodrach. Palił długiego, białego papierosa, jakie zostały w kredensie po matce, pił piwo i przyglądał się żonie.

- Spieprzyłem sprawę - rzekł cicho.

Pokiwała głową.

- Wiesz, co mam na myśli? Wychodzisz z domu, masz przed sobą sobotni wieczór, jest ładna pogoda, i nagle... - Wstał, podszedł do niej, oparł się o kuchenkę i patrzył, jak Celeste wykręca lewą nogawkę jego spodni. - Dlaczego nie wyprałaś tego w pralce?

Przeniosła na niego wzrok i zobaczyła, że rozcięcie na boku już zbieleło i zbliżniło się z lekka pod prysznicem. Poczwała, że wzbiera w niej nerwowy śmiech. Przełknęła ślinę, by go opanować, i powiedziała:

- Dowody, kochanie.

- Dowody?

- No cóż, nie mam pewności, ale wydaje mi się, że krew i... to coś... prędeż przylgnie do bębna pralki niż do zlewu.

Gwizdnął cicho.

- Dowody!

- Dowody - powtórzyła i tym razem pozwoliła sobie na uśmiech, bo czuła się jak konspirator, uczestnik niebezpiecznego spisku, czegoś wielkiego i godnego poniesienia ofiary.

- Cholera, skarbie - powiedział z uznaniem - jesteś prawdziwym geniuszem.

Wykręciła do końca dzinsy, zakręciła kran i ukłoniła się lekko.

Była czwarta nad ranem, a ona czuła się bardziej przytomna niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich lat. Była tak przytomna jak ośmioletnie dziecko o świcie w dniu Bożego Narodzenia. W jej żyłach zamiast krwi krążyła kofeina.

Na coś takiego człowiek czeka całe życie. Mówi sobie, że nic podobnego, ale to nieprawda. Marzy o tym, by przeżyć dramat, i to nie dramat niezapłaconych rachunków czy głośnych scen małżeńskich. Nie. To było prawdziwe życie, ale o niebo ważniejsze od codziennego bytowania. To było coś hiperrzeczywistego. Jej mąż mógł zabić złoczyńcę. Jeśli tamten naprawdę nie żył, policja będzie próbowała ustalić, kto go zabił, i jeśli ślady doprowadzą ich tu, do ich domu, będą szukali dowodów.

Już widziała oczami wyobraźni, jak siedzą przy stole w kuchni, pachną kawą i knajpami, w których szlajali się poprzedniej nocy i zadają im obojgu podstępne pytania, zapisując odpowiedzi w notesach. Będą uprzejmi, a jednak groźni. A ona i Dave odpowiedzą uprzejmością na uprzejmość i nie dadzą się zbić z pantałyku.

Wszystko sprowadza się do dowodów. I oto ona zmyła właśnie te dowody do kuchennego zlewu, skąd spłynęły w ciemność kanalizacji. Rano wymontuje kolanko pod zlewem i również je przemyje, przepłucze wnętrze bielinka, nim zamontuje na powrót. Koszulkę i dzinsy włoży do plastikowego worka na śmieci i ukryje do wtorku,



a potem wrzuci prosto do bębna śmieciarki, gdzie zostanie zmiażdżony i sprasowany ze zgniłymi jajkami, śmierdzącymi kurczakami i spleśniałym chlebem. Kiedy już to zrobi, poczuje się ważniejsza i lepsza niż w tej chwili.

- Człowiek czuje się potem samotny - zaszeptał Dave.

- Kiedy potem?

- Kiedy zrobi komuś krzywdę.

- Nie miałeś wyboru.

Kiwnął głową. W półcieniu jego twarz sprawiała wrażenie poszarzałej. Nadal wyglądał młodo, jakby dopiero co wyszedł z łona matki i łapczywie chwycił ustami powietrze.

- Wiem. Nie miałem wyboru. Mimo to czujesz się samotna. Czujesz się...

Dotknęła jego policzka. Jabłko Adama poruszyło się, gdy przełknął z wysiłkiem ślinę.

- ...obcy - dopowiedział.

## Pomarańczowe zasłony

O szóstej rano w niedzielę, cztery i pół godziny przed pierwszą komunią Nadine, córki Jimmy'ego Marcusa, zadzwonił do niego ze sklepu Pete Gilibiowski i oświadczył, że nie daje sobie rady.

- Co takiego? - Jimmy usiadł na łóżku i spojrział na zegarek. - Cholera jasna, Pete, jest dopiero szósta. Jeśli ty i Katie już o szóstej nie dajecie sobie rady, to co będzie o ósmej, kiedy zaczną się zwać klienci w drodze na mszę?

- W tym właśnie sęk, Jim, że Katie dotąd nie ma.

- Jak to nie ma? - Jimmy odrzucił kołdrę i podniósł się z łóżka.

- Ano nie ma. Miała być o wpół do szóstej, prawda? Pod magazynem wisi mi na klaksonie chłopak z ciastkarni i nie mam ani grama kawy, bo...

- Cholera! - zaklął Jimmy i ze słuchawką przy uchu poszedł korytarzem do pokoju Katie. Na gołych stopach czuł hulające po domu przeciągi; majowe poranki wciąż jeszcze wiały ostrym chłodem marcowych wieczorów.

- ...za kwadrans szósta mieliśmy najazd robotników budowlanych. Faceci włączają się po barach, piją w parkach, ćpają amfę, więc rano myślą tylko o kawie i pieczeniach na zimno. Stoisko delikatesowe wygląda, jakby przeszła nad nim chmara szarańczy. Ile płacisz tym obibokom za pracę w sobotnie wieczory, Jim?

Jimmy znowu burknął pod nosem „Cholera”, zapukał i pchnął drzwi sypialni Katie. Jej łóżko było puste i - co gorsza - zasłane, co znaczyło, że nie spała w nim tej nocy.

- Bo albo musisz dać im podwyżkę, albo wylać nygusów na mordę - ciągnął Pete. - Zajmie mi co najmniej dodatkową godzinę, zanim w ogóle... Jak się pani miewa, pani Carmody? Kawka już się parzy, kochana, za minutkę będzie gotowa.

- Zaraz do was jadę - mruknął Jimmy.

- Do tego wszystkie niedzielne gazety leżą dotąd na kupie, na wierzchu ulotki reklamowe, co wygląda jak kurewska...

- Powiedziałem, że zaraz jadę.

- Naprawdę, Jim? Wspaniale.

- Pete? Zadzwoń do Sala, zapytaj, czy nie mógłby dziś przyjechać o pół godziny wcześniej.

- Zrobione.

Jimmy usłyszał w słuchawce dźwięk klaksonu wciskanego czyjąś niecierpliwą ręką.

- Kurna mać, otwórz wreszcie temu smarkowi od Ysera, co? Nie będzie przecież sterczał cały dzień pod drzwiami.

Wrócił do sypialni i odłożył słuchawkę. Annabeth siedziała na łóżku, odrzuciwszy kołdrę.

- Ze sklepu? - zapytała z przeciągłym ziewnięciem.

Kiwnął głową.

- Katie dotąd się nie pokazała.

- W taki dzień! - zirytowała się Annabeth. - Dziś pierwsza komunia Nadine, a ona nie przychodzi do pracy! A jeśli nie zjawi się nawet w kościele?

- Na pewno się zjawi.

- Nie byłabym taka pewna, Jimmy. Jeśli tak się w nocy zaprawiła, że olała sklep, nic nie wiadomo...

Wzruszył ramionami. Nie było sensu dyskutować z Annabeth, kiedy szło o Katie. Annabeth albo okazywała pasierbicy zimną złość, albo wpadała w euforię, uważając, że tworzą parę najlepszych przyjaciółek. Nie знаła stanów pośrednich, a Jimmy zdawał sobie sprawę (nie bez wyrzutów sumienia), że część tego zamętu wynikała stąd, że Annabeth wkroczyła w jego życie, kiedy Katie miała siedem lat i dopiero zaczynała poznawać swojego ojca po niedawnej stracie matki. Katie była początkowo szczerze rada, że w ich pustym mieszkaniu pojawiła się kobieta. Śmierć matki zadała jednak bolesną ranę jej dziecięcej duszy, może uleczalną, ale naprawdę głęboką, czego Jimmy był świadom. Po upływie lat tak wczesna strata najbliższej osoby dawała o sobie czasem znać wybuchami niechęci, a ofiarą padała głównie Annabeth, która, jako matka rzeczywista, nie była w stanie dorosnąć do standardów, jakie wyznaczył duch zmarłej Marity.

- Na litość boską, Jimmy! - zawołała Annabeth, gdy wciągnął bluzę od dresu na koszulkę, w której spał, i zaczął szukać dzinsów - chyba nie wybierasz się dzisiaj do sklepu?

- Wpadnę najwyżej na godzinkę. - Znalazł w końcu dzinsy omotane wokół nogi łóżka. - Góra dwie. Sal tak czy siak miał zwolnić Katie o dziesiątej. Pete ma do niego

zadzwoić i poprosić, żeby przyszedł wcześniej.

- Sal jest już dobrze po siedemdziesiątce.

- No właśnie. Myślisz, że jeszcze śpi? Założę się, że pęcherz obudził go o czwartej i starsuszek ogląda teraz kanał klasyki filmowej.

- Cholera jasna! - Annabeth odrzuciła z nóg kołdrę i wstała z łóżka. - Skaranie boskie z tą dziewczyną! Czy ona chce nam zepsuć nawet taki dzień?

Jimmy poczuł, jak czerwienieje mu kark.

- A kiedy to ostatnio coś zepsuła?

Annabeth pomachała ręką i zniknęła w drzwiach łazienki.

- Wiesz chociaż, gdzie się szlaja?! - zawołała.

- Jest u Diany albo u Eve - odburknął, poirytowany tym lekceważącym gestem dłoni. Annabeth, miłość jego życia, bez dwóch zdań, nie zdawała sobie sprawy, jak potrafiła być czasami wredna, jak fatalnie działały na innych jej złe humory czy nastroje (nieczułość typowa dla całej rodziny Savage'ów). - A może u swojego chłopaka.

- Taak? A z kim to ostatnio się widuje? - Annabeth odkręciła prysznic i podeszła do umywalki, czekając, aż popłynie ciepła woda.

- Myślałem, że wiesz to lepiej ode mnie.

Annabeth poszukała w szafce pasty do zębów i pokręciła przecząco głową.

- W listopadzie przestała się spotykać z Małym Cezarem. Nawet się ucieszyłam.

Jimmy uśmiechnął się, wkładając buty. Annabeth zawsze nazywała Bobby'ego O'Donnella Małym Cezarem, jeśli nie gorzej, choć nie dlatego, że był kandydatem na gangstera o lodowatym spojrzeniu, lecz dlatego, iż był pulchnym kurduplem podobnym do aktora Edwarda G. Robinsona. Kiedy Katie zaczęła się z nim spotykać poprzedniego lata, przeżyli kilka nerwowych miesięcy. Bracia Savage zapowiedzieli Jimmy'emu, że byliby skłonni ukatrupić sukinkota, a on nie miał pewności, czy ich niechęć wynikała z faktu, że taki wypierdek prowadzi się z ich ukochaną przyrodnią siostrzenicą, czy brała się z tego, że Bobby O'Donnell zaczynał im zagrażać jako konkurencja.

W końcu jednak Katie sama zerwała ten związek. Nie licząc lawiny telefonów o trzeciej nad ranem i jednej wiszącej w powietrzu krwawej rozprawy około Bożego Narodzenia, gdy Bobby i Roman Fallow zjawili się przed ich domem, następstwa tego zerwania okazały się na szczęście niemal bezbolesne.

Niechęć Annabeth do Bobby'ego O'Donnella bawiła Jimmy'ego, miał bowiem

niekiedy wrażenie, że wynikała nie stąd, iż Bobby wyglądał jak Edward G. i sypiał z jej pasierbicą, lecz głównie dlatego, że był takim marnym kryminalistą w porównaniu do prawdziwych zawodowców, za jakich uważała swoich braci, a w szczególności w zestawieniu z jej własnym mężem, który kiedyś uchodził za kryminalistę całą gębą.

Marita zmarła czternaście lat temu, gdy Jimmy odsiadywał dwuletni wyrok w zakładzie karnym Deer Island w Winthrop. Pewnej soboty, w czasie widzenia, gdy pięcioletnia Katie wierciła się na jej kolanach, Marita powiedziała Jimmy'emu, że znamię na jej ramieniu zaczęło ostatnio ciemnieć, więc ma zamiar wybrać się do lekarza. Dla świętego spokoju, dodała. Miesiąc później już była poddawana chemioterapii. Po pół roku od dnia, gdy mu wspomniała o tym znamieniu, już nie żyła. Co sobota Jimmy był zmuszony obserwować, jak ciało jego żony staje się coraz bardziej gąbczaste i kredowobiałe, obserwować ten proces zza ciemnego drewnianego stołu przypalonego papierosami, zaplamionego potem i spermą, obciążonego ponad stuletnim ładunkiem skarg i labidzenia więźniów.

W ostatnich miesiącach życia Marita była zbyt chora, żeby do niego przyjeżdżać, nazbyt słaba nawet, by pisać, więc Jimmy musiał się zadowolić telefonicznymi rozmowami, podczas których okazywała się na ogół zbyt wyczerpana lub oszołomiona lekami, bądź i jedno, i drugie. Zazwyczaj i jedno, i drugie.

- Wiesz, co mi się ostatnio śni? - wymamrotała któregoś razu. - Teraz już bez przerwy.

- Co takiego, skarbie?

- Pomarańczowe zasłony. Wielkie, ciężkie pomarańczowe zasłony, które... - oblizła wargi, a potem usłyszał w słuchawce odgłos przełykania wody - ... które po prostu łopoczą na wietrze, wiszą wysoko na sznurach do bielizny, Jimmy, i tylko łopoczą. Łopoczą i łopoczą. Setki tych zasłon wiszą na takim wielkim polu i nic tylko łopoczą...

Czekał, aż Marita powie coś więcej, lecz ona umilkła, a ponieważ nie chciał, żeby zasnęła w połowie rozmowy, jak to się już nieraz zdarzyło, zapytał:

- A co u Katie?

- Słucham?

- Jak się miewa Katie, kochanie?

- Twoja mama się nami opiekuje. Jest smutna.

- Kto? Matka czy Katie?

- Obie. Słuchaj, Jimmy, muszę już kończyć. Mam mdłości. Jestem potwornie

zmęczona.

- Dobrze, skarbie. Kocham cię.

- I ja cię kocham.

- Jimmy, my nigdy nie mieliśmy pomarańczowych zasłon, prawda?

- Nigdy.

- Dziwne - powiedziała i odłożyła słuchawkę.

To było ostatnie słowo, jakie od niej usłyszał: Dziwne.

Owszem, to było dziwne. Znamię, które nosiłaś na ramieniu od czasu, gdy leżąc w kołysce wytrzeszczałaś oczy na papierowy mobil, pewnego dnia ściemniało, a ciebie - po sześciu miesiącach i blisko dwóch latach od ostatniej nocy, gdy w łóżku splatałaś nogi z nogami twego męża - pakują do trumny i zakopują w ziemi, a on stoi pięćdziesiąt metrów dalej w asyście uzbrojonych strażników, w kajdanach na rękach i nogach.

Jimmy wyszedł z więzienia dwa miesiące po pogrzebie, stanął w kuchni swojego mieszkania w tym samym ubraniu, w jakim je opuścił, i uśmiechnął się do małej nieznajomej dziewczynki. On miał w pamięci cztery pierwsze lata jej życia, ona o nich zapomniwała. Pamiętała tylko dwa ostatnie, nie licząc oderwanych fragmentów wspomnień o mężczyźnie chodzącym kiedyś po domu, zanim wolno jej było widywać go wyłącznie w soboty, siedzącego po drugiej stronie starego stołu w wilgotnym, cuchnącym budynku, wzniesionym na miejscu nawiedzanych przez duchy cementarzysk, budynku, w którym hulały zimne przeciągi, woda ściekała po ścianach, a sufity wisiały nisko, tuż nad głową. Jimmy nigdy nie czuł się równie niepotrzebny jak wtedy, gdy stał we własnej kuchni i przyglądał się dziecku, które obserwowało go spłoszonym wzrokiem. Nigdy nie czuł się nawet w połowie tak opuszczony i wystraszony jak wtedy, gdy przykucnął przed Katie, wziął ją za rączki i zobaczył ich oboje oczyma ducha, który unosił się wysoko pod sufitem. I ten fruwający pod sufitem duch powiedział: stary, czarno widzę przyszłość tej dwójki, pary nieznajomych uwięzionych w tej cholernej kuchni, trzymających się za ręce i starających się nie czuć do siebie nienawiści, bo ich matka i żona umarła, pozostawiając ich na pastwę losu, zdanych na samych siebie, niemających pojęcia, co dalej. Jak dalej żyć, do cholery.

Ta dziewczynka, jego córka - ta mała istotka, żyjąca, oddychająca i częściowo już pod wieloma względami uformowana - była teraz od niego całkowicie zależna, czy im się to obojgu podobało, czy nie.

- Mama uśmiecha się do nas z nieba - wybąkał w końcu Jimmy - i jest z nas

dumna. Cholernie dumna.

- Czy ty musisz wracać do tamtego domu? - odpowiedziała pytaniem dziewczynka.

- Nie, nigdy tam nie wrócę.

- Pojedziesz gdzie indziej?

W tym momencie Jimmy poczuł, że wolałby odsiedzieć następne sześć lat w tak ponurym mamrze jak Deer Island, albo nawet gorszym, byle nie musieć przez dwadzieścia cztery godziny na dobę patrzeć na obcą córkę, zaglądać w przerażającą nieznaną przyszłość, patrzeć na korek, który miał - na różne sposoby - zakorkować tę resztkę męskiej młodości, jaka mu jeszcze została.

- Ani myślę - odparł. - Zostanę tu z tobą.

- Jestem głodna.

To oświadczenie spadło na Jimmy'ego jak grom z jasnego nieba. Chryste Jezu, będę musiał karmić to dziecko, ilekroć zgłodnieje, i tak do końca życia. Chryste Jezu!

- Nie ma sprawy - powiedział z uczuciem, że uśmiech na jego twarzy z lekka drży.

- Zaraz wrzucimy coś na ruszt.

Jimmy przyjechał o wpół do siódmej do Cottage Market, sklepu u zbiegu dwóch ulic, którego był właścicielem, i zajął się obsługą kasy i automatu do lotto. Zwolniony od tego obowiązku Pete wziął się tymczasem do ustawiania w bufecie pączków z Dunkin' Donuts Ysera Gaswamiego z Kilmer Street oraz ciastek, rurek z kremem, ptysiów i torcików dostarczonych z ciastkarni Tony'ego Buca. W wolnych chwilach Jimmy napełniał kawą z ekspresu stojące na ladzie termosy i przecinał szpagat na paczkach z niedzielными wydaniem „Globe'u”, „Heralda” i „New York Timesa”. Włożywszy do środka reklamówki i komiksy, układał gazety równo na stojaku obok kasy, pod regałem ze słodyczami.

- Sal powiedział, że o której będzie?

- W najlepszym razie o wpół do dziesiątej - odparł Pete. - Zepsuł mu się samochód, najpierw odstawi go do warsztatu. Stamtąd musi jechać dwiema liniami kolejki, a potem autobusem, a nie był jeszcze ubrany, kiedy do niego dzwoniłem.

- Cholerny świat!

Okolo siódmej piętnaście przeżyli pierwszy najazd wracających z nocnej zmiany klientów, głównie gliniarzy, ale również kilku sióstr ze szpitala Saint Regina, i paru panienek, które pracowały w barach otwartych nielegalnie po godzinach we Flats i

Rome Basin, po drugiej stronie Buckingham Avenue. Wszyscy ci klienci byli zmęczeni, ale serdeczni i tryskający energią. Biła od nich ulga, jakby właśnie zeszli z pola bitwy, ubłoceni, okrwawieni, lecz cali i zdrowi.

Podczas krótkiej pięciominutowej przerwy przed wdarciem się w drzwi tłumu z porannej mszy, Jimmy zadzwonił do Drew Pigeona i zapytał, czy nie widział czasem Katie.

- A owszem, zdaje się, że u nas jest - odrzekł Drew.

- Doprawdy? - Jimmy usłyszał we własnym głosie radosną nutę nadziei i dopiero wtedy uświadomił sobie, jak bardzo był niespokojny, bardziej, niż gotów był to sam przed sobą przyznać.

- Tak mi się zdaje - powiedział Drew. - Zaraz sprawdzę.

- Będę ci wdzięczny, Drew.

Słuchał ciężkich kroków kolegi dudniących echem w korytarzu wykładanym deskami z twardego drewna, a jednocześnie podawał dwa kupony zdrapek starej pani Harmon. Usiłował nie mrugać oczami, łzawiącymi z powodu duszących perfum leciwej damy. Usłyszał kroki wracającego do telefonu Drew. Poczul w piersi delikatny trzepot niepokoju, odliczył pani Harmon piętnaście dolarów reszty i pożegnał ją gestem dłoni.

- Jimmy?

- Jestem.

- Niestety, to Diane Cestra u nas nocowała. Właściwie jeszcze śpi na podłodze w sypialni Eve, ale Katie u nas nie było.

Trzepot w piersi Jimmy'ego ustał nagle, jakby chwyciły go i unieruchomiły żelazne kleszcze.

- Trudno, nic takiego się nie stało.

- Eve powiedziała, że Katie wysadziła je przed domem około pierwszej. Nie powiedziała, dokąd się wybiera.

- W porządku, Drew. - Jimmy narzucił swemu głosowi ton udawanej bez troski. - Odszukam ją.

- Może się z kimś spotyka?

- Mówisz o dziewiętnastolatce, stary. Kto by zliczył ich wszystkich dobiegaczy?

- Prawda - przyznał Drew i ziewnął. - To samo mam z Eve, bracie. Dzwoni do niej tyłu absztyfikantów, że moim zdaniem powinna sobie powiesić jakiś grafik obok telefonu, by się w nich nie pogubić.



Jimmy parsknął wymuszonym śmiechem.

- No cóż, jeszcze raz dziękuję, Drew.

- Nie ma za co, Jimmy. Trzymaj się.

Jimmy odłożył słuchawkę i spojrział na klawiaturę kasy, jakby jej klawisze mogły mu coś podpowiedzieć. Katie nie pierwszy raz nie wróciła na noc. Nawet już nie dziesiąty, psiakrew. Nie pierwszy też raz nie przyszła do pracy, choć dotąd zwykle w takich przypadkach dzwoniła. Jeśli spotkała faceta o wyglądzie amanta filmowego i wdzięku playboya... Jimmy sam nie tak dawno miał dziewiętnaście lat, więc jeszcze pamiętał, jak to jest. A ponieważ nigdy nie dał córce odczuć, że takiego zachowania nie pochwała, nie mógł teraz udawać hipokryty i głośno je potępiać.

Zadzwoił wiszący na wstążce nad drzwiami dzwoneczek. Jimmy zwrócił wzrok w tamtą stronę i zobaczył wkraczającą do sklepu pierwszą grupkę ufryzowanych siwowłosych starych przyków z kółka różańcowego, od progu pomstujących na chłodne poranki, złą dykcję księdza, góry śmieci na ulicach.

Pete wystawił głowę znad lady stoiska delikatesów i wytarł ręce w ręcznik, którego używał do czyszczenia gabloty chłodniczej. Rzucił na ladę pudełko pełne rękawiczek chirurgicznych i podszedł do drugiej kasy. (Do sklepu śladem pierwszej wkroczyła tymczasem druga grupa Holy Rollersów<sup>\*</sup>). Pete, przechodząc, nachylił się nad Jimmym i szepnął:

- Witaj w piekle.

Jimmy już od blisko dwóch lat nie pracował w niedzielne poranki, więc zdążył zapomnieć, co to za menażeria. Pete miał rację. Siwowłosi fanatycy, którzy tłoczyli się na mszy o siódmej rano u Świętej Cecylii, kiedy normalni ludzie jeszcze smacznie śpią, wparowali z biblijną furią zakupów do sklepu, dokonali spustoszenia na tacach z ciastkami i pączkami, wyżłopali kawę, ogołocili do nagich półek chłodnicze szafy z nabiałem i zmniejszyli o dobrą połowę zasoby stelażu z prasą. Wpadali na regały i deptali po torebkach chipsów i plastikowych woreczkach z orzeszkami ziemnymi, które im spadły pod nogi. Domagali się głośno towarów delikatesowych, kuponów lotto, kuponów zdrapek, paczek pall maili i chesterfieldów, lekceważyli kolejność w kolejce. A potem, gdy uzbierało za nimi morze błękitnych, siwych i łysych głów, guzdrali się przy kasie, wypytywali Jimmy'ego i Pete'a o ich rodziny, jednocześnie grzebiąc w portmonetkach w poszukiwaniu drobnych, aż po ostatniego zapleśniałego centa i z przeraźliwą powolnością zbierali zakupy z lady, by wreszcie usunąć się z

---

<sup>\*</sup> Założony w 1995 r. klub chrześcijan-motocyklistów (przyp. tłum.).

drogi wobec gniewnego szmeru, jaki narastał za ich plecami.

Jimmy nie oglądał podobnego zamętu od czasu, gdy był kiedyś gościem na irlandzkim weselu ze szwedzkim bufetem. Gdy w końcu popatrzył na zegar, była ósma czterdzieści pięć. Ostatni z pobożnych klientów opuścił właśnie sklep, a on czuł, jak pot przesiąka przez podkoszulek. Zlustrował spojrzeniem istny lej po bombie, jaka eksplodowała przed chwilą w jego sklepie, a potem przyjrzał się Pete'owi i poczuł nagły przypływ powinowactwa i braterstwa ze swoim pracownikiem, pomyślał też ciepło o grupie klientów z godziny siódmej piętnaście, gliniarzy, pielęgniarek i kurewek, jak gdyby on i Pete wzniesli się na nowy poziom przyjaźni jedynie dzięki temu, że zdołali przetrwać najazd piekielnych pobożnisiów w niedzielny poranek.

Pete odpowiedział mu zmęczonym uśmiechem.

- Mamy teraz spokój na jakieś pół godzinki. Miałbyś coś przeciwko temu, żebym sobie zarajał na zapleczu?

Jimmy parsknął śmiechem. Czuł się wyśmienicie i opanowała go nagle jakaś dziwna duma, że rozkręcił w tej szemranej okolicy tak piękny, choć mały interes.

- Możesz wypalić nawet całą paczkę, Pete.

Sprzątnął przejścia między regałami i uzupełnił zapasy nabiału. Napelniał właśnie tace z ciastkami i pączkami, gdy rozległ się dzwonek nad drzwiami. Do sklepu weszli Brendan Harris i jego młodszy brat Niemy Ray. Przeszli obok kasy i skierowali się w stronę małego kwadratowego regału, na którym było wystawione pieczywo, detergenty, ciastka i herbaty. Jimmy skupił całą uwagę na opakowywaniu celofanem ciastek i pączków. Pożałował teraz, że pozwolił Pete'owi wyskoczyć na fajkę. Wolalby, żeby już wrócił.

Zerknął w bok i dostrzegł, że Brendan łypie znad regałów w stronę kas, jakby planował napad albo miał nadzieję kogoś tam wypatrzeć. Przez krótką chwilę Jimmy rozważał w duchu kwestię, czy powinien wylać Pete'a za opuszczenie sklepu. Szybko się jednak zreflektował, przypomniał też sobie, jak Pete, patrząc mu prosto w oczy, przysięgał, że nigdy nie narazi na ryzyko dzieła życia szefa, handlując marychą w miejscu pracy. Jimmy wiedział, że jego pracownik mówi prawdę, bo jeśli nie było się Królem Łgarzy, niepodobna było okłamać Jimmy'ego, kiedy zadawszy ci pytanie, patrzył w oczy i słuchał odpowiedzi. Zdradziłby cię najmniejszy tik powieki, najłżejszy ruch gałek ocznych. Jimmy nauczył się tej sztuki, obserwując swojego starego, gdy po pijanemu składał mu najróżniejsze obietnice, których nigdy potem nie dotrzymywał. Kto tego w dzieciństwie zakosztował, staje się wykrywaczem kłamstw w ludzkiej

skórze. Jimmy przypomniał sobie, że Pete patrzył mu prosto w oczy, kiedy przysięgał, że nigdy nie będzie handlował prochami w jego sklepie, i wiedział, że mówił wtedy szczerą prawdę.

W takim razie kogo Brendan szukał? Czy mógł być aż tak głupi, by rozważać kradzież? Jimmy znał ojca Brendana, Just Raya Harrisa, toteż wiedział, że w genach tej rodziny krąży niemała dawka tępoty, nikt jednak nie był do tego stopnia tępy, by próbować obrabować sklep w East Bucky na granicy dzielnic Flats i Point, mając za współnika trzynastoletniego niemowę. Jimmy musiał niechętnie przyznać, że jeśli ktoś w tej rodzinie miał trochę oleju w głowie, to Brendan. Nieśmiały chłopak, niebywale przystojny, a Jimmy już dawno nauczył się rozpoznawać różnicę między kimś, kto zachowuje milczenie, bo nie zna znaczenia całej masy słów, a kimś, kto tylko jest zamknięty w sobie, obserwuje, słucha i wszystko zapamiętuje. Brendan był właśnie taki; miało się wrażenie, że aż za dobrze rozumie ludzi i to go czyni nerwowym.

Odwrócił się właśnie, ich spojrzenia się spotkały i chłopak pozdrowił Jimmy'ego przyjaznym uśmiechem, może nieco przesadnie przyjaznym, jakby chciał przeprosić go za to, że myśli o kimś innym.

- Pomóc ci w czymś, Brendan? - zapytał Jimmy.

- Dziękuję, nie trzeba, panie Marcus, po prostu szukam, hm... tej irlandzkiej herbaty, którą mama tak lubi.

- Barry'ego?

- Właśnie!

- Następny regał.

- Dzięki.

Gdy Jimmy zasiadał za kasą, do sklepu wszedł Pete, wnosząc ze sobą kwaśny smrodek wypalonego pośpiesznie papierosa.

- O której Sal miał przyjechać? - zapytał go Jimmy.

- Może być w każdej chwili. - Pete oparł się o stojak z papierosami, nad którym wisiały rolki z kuponami zdrapek, i westchnął. - Stary się guzdrze, Jimmy.

- Człowieku, przecież on dobiega już osiemdziesiątki. - Jimmy przyglądał się, jak Brendan rozmawia na migi z Niemyim Rayem, stojąc pośrodku głównej części sklepu. Chłopak ścisnął pod pachą pudełko herbaty Barry'ego.

- No tak - powiedział Pete. - Po prostu stwierdzam fakt. Wiesz, co by było, gdybym o ósmej był tu z nim, nie z tobą? Do tej pory obsługiwalibyśmy tych dewotów.

- Właśnie dlatego daję go na luźniejsze zmiany. Zresztą dzisiaj nie mieliśmy tu pracować ty i ja ani ty i Sal. Miałeś tu być z Katie.

Brendan i Niemy Ray podeszli do kasy. Jimmy zauważył, że gdy wymówił imię córki, po twarzy Brendana przebiegł skurcz.

Pete odsunął się od regału z papierosami i spytał:

- To wszystko, Brendan?

- Ja... ja... - zaczął się jąkać zapytany, po czym spojrzał na małego braciszka. - Tak, chyba tak. Zapytam jeszcze Raya.

Znowu zaczęły fruwać w powietrzu dłonie. Bracia rozmawiali na migi tak szybko, że Jimmy z trudem by za nimi nadążał, nawet gdyby komunikowali się przy pomocy słów. Twarz Niemego Raya pozostała kamienna, w przeciwieństwie do rąk ruchliwych niczym żywe srebro. Jimmy zawsze był zdania, że niemowa był dzieckiem niezwykłym, bardziej podobnym do matki niż do ojca, a tępota, malująca się na jego twarzy, zakrawała na akt buntu. Wspomnił o tym kiedyś Annabeth, a ona zarzuciła mu bezduszność wobec kaleki, Jimmy jednak nie przyznał jej racji. W martwej twarzy i milczących ustach Raya było coś wyzywającego, co miało się ochotę wybić choćby młotem.

Bracia przestali wymachiwać dłońmi i Brendan pochylił się nad gablotką ze słodyczami, skąd wybrał nadziewany baton Colemana. Jimmy'emu znowu przypomniał się ojciec i zapach, jaki przynosił na sobie do domu, gdy pracował w fabryce słodczy.

- I jeszcze „Globe” - powiedział Brendan.

- Bardzo proszę, synku. - Pete dostukał odpowiednią sumę.

- Hm, myślałem, że Katie pracuje w niedziele. - Brendan podał Pete'owi banknot dziesięciodolarowy.

Pete uniósł brwi, uderzył w klawisz kasy i wysuwająca się szufladka stuknęła go w brzuch.

- Przystawiasz się do córki szefa?

Brendan nie ośmielił się popatrzeć na Jimmy'ego.

- Ależ skąd. - Zaśmiał się zamierająco. - Tak tylko zapytałem, wie pan, bo zwykle ją tu o tej porze widywałem.

- Jej młodsza siostra idzie dzisiaj do pierwszej komunii - wyjaśnił Jimmy.

- Nadine? - Brendan spojrzał na Jimmy'ego oczami za bardzo rozszerzonymi, z uśmiechem nieco zanadto szerokim.

- Nadine - potwierdził Jimmy, zastanawiając się, jakim cudem imię jego młodszej córki tak szybko się temu gnojkiowi przypomniało. - I owszem.

- Proszę jej w takim razie złożyć powinszowania ode mnie i Raya.

- Załatwione, Brendan.

Chłopak przeniósł spojrzenie na ladę i kilka razy pokiwał głową, podczas gdy Pete pakował mu do torby herbatę i baton.

- Dziękuję. Hm... miło było panów widzieć. Chodź, Ray.

Ray nie patrzył na Brendana, gdy ten to powiedział, mimo to ruszył za bratem, a Jimmy przypomniał sobie nie po raz pierwszy, o czym ludzie często w związku z Rayem zapominali, że chłopak nie był głuchy, tylko niemy. Był to szczególny przypadek, o jakim mało kto z mieszkańców dzielnicy czy nawet dalszych stron dotąd słyszał.

- Słuchaj, Jim - zwrócił się do niego Pete, gdy bracia wyszli ze sklepu - czy mogę cię o coś zapytać?

- Wal.

- Dlaczego tak tego chłopaka nienawidzisz?

Jimmy wzruszył ramionami.

- Nie sądzę, by to była nienawiść, stary. Po prostu... Sam powiedz, nie uważasz, że mały pierdziel jest trochę szurnięty?

- A, o nim mówisz? Faktycznie. Ten gnojek patrzy na ciebie tak, jakby miał ochotę wyrwać ci z gęby jakąś jej część. Zgodzisz się ze mną? Ale nie o nim mówiłem. Miałem na myśli Brendana. Widzisz, jestem zdania, że to całkiem fajny chłopak. Nieśmiały, ale przyzwoity, nie uważasz? Zauważyłeś? Rozmawia z bratem językiem migowym, choć przecież nie musi. Jakby chciał mu dać do odczucia, że nie jest sam. To miłe. A ty, Jimmy, wyglądasz tak, jakbyś chciał obciąć chłopakowi nos i wsadzić mu go do gardła.

- Przesadzasz.

- Nie sądzę.

- Naprawdę tak wyglądam?

- Dokładnie.

Jimmy wyjrzał przez zakurzone okno nad automatem lotto na Buckingham Avenue, szarą i mokrą pod wilgotnym niebem poranka. Wciąż czuł we krwi, aż swędziło, ten cholerny, nieśmiały uśmiech Brendana Harrisa.

- Jimmy? Tak tylko się z tobą drażniłem. Nie myślałem nic...

- Idzie Sal - powiedział Jimmy, nie odwracając wzroku od okna. Stojąc tyłem do Pete'a, przyglądał się, jak staruszek drepcze w stronę sklepu przez aleję. - W samą porę, psiakrew.

## 6

### Boli, bo jest złamana

Niedziela - pierwszy dzień w pracy po tygodniowym zawieszeniu - zaczęła się dla Seana Devine'a od terkotu budzika. Ostry dźwięk wyrwał go brutalnie ze snu, czemu towarzyszyła nagła świadomość, właściwsza dla płodu wypadającego z łona matki, że już nigdy nie zdoła tam wrócić. Niewiele z tego snu zapamiętał, zaledwie kilka oderwanych fragmentów, miał też wrażenie, że nie zawierał rozbudowanych wątków. Mimo to jego surowa faktura wbiła mu się w głowę niczym ostrze brzytwy, toteż cały ranek chodził jak zaczadziały.

W tym śnie występowała jego żona, Lauren. Dotąd czuł zapach jej ciała. Miała zmierzwione, mokre włosy koloru wilgotnego piasku, ciemniejsze i dłuższe niż w rzeczywistości, i była ubrana w mokry biały kostium kąpielowy. Była bardzo opalona, kostki nóg i grzbiety stóp miała obsypane piaskiem. Pachniała morzem i słońcem, siedziała na kolanach Seana i całowała go w nos, długimi palcami pieściła szyję. Znajdowali się na werandzie domu na plaży, Sean słyszał szum przyboju, ale nie widział oceanu. W miejscu, gdzie powinien rozpościerać się jego bezkres, widniał ciemny ekran telewizyjny szerokości boiska do footballu. Kiedy Sean spojrział w jego punkt centralny, dojrzał jedynie odbicie własnej postaci, bez Lauren, jakby siedział tam i trzymał w objęciach powietrze.

Tymczasem pod dłońmi czuł żywe, ciepłe ciało.

Pamiętał też, że potem stał na dachu domu, a ciało Lauren zastąpił gładki metal kurka na kominie. Ścisnął go, a niżej, u podstawy domu, ziała wielka dziura, na której dnie spoczywała przewrócona na bok żaglówka. Później leżał nagi na łóżku z jakąś nieznaną kobietą, dotykał jej i wyczuwał podświadomością snu, że Lauren jest w sąsiednim pokoju i ogląda ich pieszczoty na wideo, a potem nagle wpadła przez okno mewa, szyba pękła i na łóżko posypały się jakby kostki lodu, a Sean, znowu całkowicie ubrany, stał obok łóżka.

Mewa westchnęła i powiedziała: „Boli mnie szyja”. Obudził się, zanim zdążył odpowiedzieć: „Boli, bo jest złamana”.

Po przebudzeniu miał wrażenie, że prześniony sen wycieka gęsty jak syrop z tyłu

jego czaszki, jego lepkość okleiła spody powiek i górną powierzchnię języka. Nie otwierając oczu, słuchał terkotu budzika z nadzieją, że ten dźwięk jest częścią nowego snu, że dalej śpi i to dzwonienie rozlega się tylko w jego mózgu.

W końcu otworzył oczy. Do zwojów mózgu wciąż lepiło mu się jędrne ciało nieznanej kobiety i zapach morza, jakim przesiąkła Lauren. Wtedy zrozumiał, że to już nie sen, nie film, nie smutna jak diabli piosenka.

To była realna pościel i sypialnia, i realne łóżko. Na parapecie okna stała pusta puszka po piwie, w oczy świeciło mu jaskrawe słońce i rzeczywisty budzik terkotał, stojąc na rzeczywistym stoliku przy łóżku. Z kranu kapiała woda; wciąż zapominał go zreperować. Ta sceneria wokół niego to było jego prawdziwe życie.

Wyłączył budzik, lecz na razie nie wstawał z łóżka. Nie podnosił głowy, bo wolał się nie dowiadywać, że ma kaca. Jeśli go ma, pierwszy dzień w pracy po przymusowym urlopie będzie się włókł w nieskończoność i jakby tego było mało, będzie musiał przełknąć masę gówna, tony głupich żarcików i docinków na swój temat.

Leżał i słuchał dobiegających z ulicy dźwięków, hałasu z mieszkania za ścianą, którego lokatorzy, parka kokainistów, słuchali telewizora na cały regulator, począwszy od nocnego talk-shaw Lettermana po Ulicę Sezamkową, słuchał szumu sufitowego wentylatora, szmeru kuchenki mikrofalowej, popiskiwanego detektorów dymu i basowego buczenia lodówki. Z kolei na komendzie piszczały komputery, świergoliły telefony komórkowe, ćwierkały laptopy; wieczne piski dochodziły z kuchni, z salonu, ciągle ciurlikanie dolatywało z ulicy w dole, rozbrzmiewał tymi dźwiękami komisariat policji i bloki mieszkalne na Faneuil Heights w osiedlu East Bucky.

W dzisiejszych czasach wszystko dokoła piszczało. Wszystko pędziło, wszystko było płynne, skonstruowane do ruchu. Wszyscy w tym świecie żyli, razem z nim pędzili, rośli razem z nim.

Kiedy to się, kurwa mać, zaczęło?

Tak naprawdę tylko to jedno chciał wiedzieć. Kiedy ta prędkość tak cholernie wzrosła, kiedy wszystko pokazało mu plecy?

Zamknął oczy.

Kiedy odeszła Lauren.

Wtedy.

Brendan Harris wpatrywał się w telefon i błagał aparat, by wreszcie zadzwonił.



Spojrzał na zegarek. Dwie godziny spóźnienia. Nie był szczególnie zdziwiony, bo czas i Katie nigdy nie byli na zażyłej stopie, ale żeby właśnie dzisiaj? Marzył już tylko o tym, żeby ruszyć w drogę. Gdzie się podziewała, skoro nie zastał jej w pracy? Zaplanowali, że zadzwoni do niego ze sklepu, weźmie udział w pierwszej komunii przyrodniej siostry, a potem się spotkają. Tymczasem nie przyszła do pracy. I nie zatelefonowała.

On nie mógł do niej zadzwonić. To była jedna z najciemniejszych stron ich znajomości od czasu pierwszej wspólnej nocy. Katie przebywała na ogół w jednym z trzech miejsc: w początkowym okresie związku z Brendanem w mieszkaniu Bobby'ego O'Donnella, w domu przy Buckingham Avenue, w którym mieszkała od dziecka z ojcem, macochą i dwiema przyrodnimi siostrami, albo też w mieszkaniu piętro wyżej w tym samym domu, gdzie przebywali jej zwariowani wujkowie, z których szczególnie dwaj, Nick i Val, słynęli z porywczosci. Wreszcie był jej ojciec, Jimmy Marcus, który pałał do Brendana zapiekłą niechęcią bez żadnego sensownego powodu, w każdym razie ani Brendan, ani Katie nie byli w stanie takiego powodu wynaleźć. Katie nie miała jednak żadnych złudzeń, ojciec w ostatnich latach uczynił z tego swój główny warunek. Trzymaj się z daleka od Harrisów, powiedział. Jeśli sprowadzisz mi któregoś do mojego domu, to cię wydziedziczę.

Według Katie jej ojciec był na ogół całkiem rozsądnym facetem, tymczasem pewnej nocy wyznała Brendanowi ze łzami w oczach:

- Dostaje świra, gdy o tobie mowa. Kompletnego świra. Któregoś wieczoru się upił i zaczął mówić o mojej mamie, jak to mnie kochała i w ogóle, a potem powiedział... powiedział: „Katie, ci Harrisowie to skończone męty”.

Męty. Dźwięk tego słowa utknął w piersi Brendana niczym flegma w płucach.

- „Trzymaj się od nich z daleka. To jedyna rzecz, jakiej od ciebie żądam, Katie. Słyszysz?”.

- Więc jak będzie? - zapytał Brendan. - Zerwiesz ze mną?

Przekręciła się w jego ramionach i uśmiechnęła smutno.

- To ty tego nie wiesz?

Prawdę mówiąc, Brendan nie miał pojęcia. Katie była dla niego wszystkim. Boginią. A on był tylko, no cóż, Brendanem Harrisem.

- Nie wiem.

- Jesteś dobry.

- Naprawdę? Kiwnęła głową.

- Widuję cię czasem na ulicy z Rayem, z twoją mamą albo z kimś znajomym i

wydajesz mi się zawsze taki dobry, Brendan.

- Wielu ludzi jest dobrych.

Pokręciła głową.

- Są tylko uprzejmi, a to nie to samo.

Brendan zastanowił się nad jej słowami i musiał przyznać, że w swoim życiu nie spotkał nikogo, kto by go nie lubił - nie tyle w kategoriach konkursu popularności, ile w sensie istotnym. W takim mianowicie: „Ten mały Harrisów to naprawdę dobry dzieciak”. Nigdy nie miał wrogów, z nikim się nie bił od czasów podstawówki i nie przypominał sobie przypadku, by ktoś zwracał się do niego opryskliwie. Może właśnie dlatego, że był dobry. Możliwe też, że Katie miała rację, i to było rzadkie. A może po prostu nie należał do ludzi, którzy w innych budzą agresję.

Niestety, ojciec Katie był wyjątkiem. Brendan nie umiał sobie poradzić z tą zagadką, lecz trudno było przeczyć faktom: od Jimmy’ego Marcusa wręcz biła nienawiść.

Zaledwie pół godziny temu Brendan odczuł ją ponownie w narożnym sklepie Jimmy’ego - tę milczącą, jakby w spiralę zwiniętą złość, którą starszy mężczyzna emanował niczym wirusem zakaźnej choroby. Brendan aż się kurczył, czując tę niechęć, i dlatego się jąkał. Przez całą drogę powrotną do domu wstydził się spojrzeć na Raya z powodu nienawiści, jaką budził w Jimmym - czuł się brudny, czuł we włosach gnidy, czuł, że ma brudne zęby. Fakt, że ta nienawiść nie miała żadnego sensownego wytłumaczenia - Brendan nic złego nie zrobił panu Marcusowi, właściwie ledwo go znał - nie czynił jej wcale łatwiejszą do zniesienia. Brendan patrzył na Jimmy’ego Marcusa i widział człowieka, który nie zatrzymałby się nawet po to, by na niego nasikać, gdyby akurat stał w ogniu.

Brendan nie mógł zatelefonować do Katie pod żaden z trzech numerów, ponieważ bał się, że mają zainstalowaną funkcję identyfikacji numeru albo że ktoś oddzwoniłby pod jego numer, naciskając gwiazdkę i sześćdziesiąt dziewięć, by sprawdzić, co ten znienawidzony Brendan Harris chce od ich Katie i po co do niej wydzwania. Setki razy chciał już do niej dzwonić, ale na samą myśl, że telefon mógłby odebrać pan Marcus, Bobby O’Donnell albo jeden z tych psychopatów, braci Savage, słuchawka wypadła mu ze spotniałej dłoni.

Sam już nie wiedział, kogo się bardziej bać. Pan Marcus był zwyczajnym porządnym obywatelem, właścicielem sklepu na rogu, do którego Brendan chodził przez pół swego życia, ale było w nim coś - nie tylko jawna nienawiść do Brendana -

co zbijało człowieka z tropu, jakaś dzikość natury, która sprawiała, że człowiek mimowolnie ściszał głos, kiedy do niego mówił, i starał się nie patrzeć mu prosto w oczy. Bobby O'Donnell należał do tych niebieskich ptaków, którzy żyją nie wiadomo z czego, z czegokolwiek jednak żył, człowiek przechodził na jego widok na drugą stronę ulicy; co się zaś tyczy braci Savage, stanowili oni odrębny system planetarny, odległy o lata świetlne od tego wszystkiego, co większość ludzi uważa za normalne, społecznie akceptowane zachowanie. Najbardziej pokręcani, zwariowani, popaprani, jebnięci skurwiele, jakich kiedykolwiek wydała dzielnica Flats, bracia Savage mieli sokoli wzrok i byli tak cholernie nerwowi, że można by wypełnić zeszyt grubości Starego Testamentu rzeczami, które ich wpieniały. Ich ojciec, też po swojemu chory na umyśle, wraz z ich chudą, świętą matką, produkował braci jednego po drugim w odstępach jedenasto-miesięcznych, jakby stali oboje na nocnej zmianie przy taśmie w fabryce amunicji. Bracia rośli w ścisku, wyliniali i źli, w sypialni wielkości japońskiego tranzystorka w domu obok torów kolejki na estakadzie, które biegły nad dzielnicą Flats, gasząc słoneczny blask, dopóki ich nie zdemontowano, kiedy Brendan był jeszcze dzieckiem. Podłoga mieszkania opadała stromo ku wschodowi, a pociągi huczały za oknem pokoju braci przez dwadzieścia godzin w ciągu doby przez siedem dni tygodnia, wprawiając cały zasyfiony dwupiętrowy dom w tak potężny dygot, że bracia najczęściej spadali z łóżka i budzili się rano na podłodze, zwaleni na kupę jeden na drugim, po czym witali budzący się dzień z taką złością, jak szczury na nabrzeżu i okładali się pięściami, aż dudniło, bo tylko tak mogli rozdzielić stertę swoich ciał.

Kiedy byli dziećmi, świat zewnętrzny ich nie rozróżniał. Byli po prostu Savage'ami, miotem, sforą, zbiorem kończyn, pach, kolan i skołtunionych czupryn, a to wszystko zdawało się poruszać w chmurze kurzu niczym diabeł tasmański. Na widok zbliżającej się chmury ustępowałaś jej czym prędzej z drogi, mając nadzieję, że znajdzie sobie kogo innego do skotłowania, nim dotrze do ciebie, bądź po prostu przetoczy się obok, zatracona w wewnętrznych obsesjach swych ponurych psychoz.

Zanim Brendan zaczął potajemnie spotykać się z Katie, nie miał pewności, ilu ich właściwie było, choć przecież wychował się w Flats. Katie mu to jednak wyjaśniła: Nick był najstarszy. Zniknął z okolicy przed sześcioma laty, bo odsiadywał wyrok minimum dziesięciu lat w Walpole. Następny i, zdaniem Katie, najsympatyczniejszy, był Val. Potem szli Chuck, Kevin, Al (zwykle mylony z Valem), Gerard, który dopiero niedawno opuścił Walpole, i w końcu Scott, maminsynek, ulubieniec mamusi, dopóki żyła, jedyny z braci, który ukończył college i jedyny, który nie mieszkał w rodzinnym

domu na parterze i na drugim piętrze, którymi bracia zawładnęli, skutecznie wypłoszywszy do innego stanu poprzednich lokatorów.

- Wiem, że mają zszarganą opinię - powiedziała Brendanowi Katie - ale to naprawdę sympatyczni chłopcy. Może z wyjątkiem Scotta. Jego faktycznie trudno polubić.

Scott. Ten „normalny”.

Brendan ponownie spojrzął na zegarek, a potem na zegar przy łóżku i na telefon.

Przyjrzał się łóżku, na którym zasnął przedwczorajszej nocy, mając przed oczami kark swojej kochanki i licząc na nim delikatne blond włoski. Rękę przełożył przez jej biodro, tak że dłoń spoczywała na ciepłym wzniesieniu łonowym, a zapach jej włosów, perfum i delikatna woń potu wypełniały jego nozdrza.

Ponownie spojrzął na telefon.

Dzwoń, do cholery. No dzwoń!

Jej samochód znalazło jakichś dwóch dzieciaków. Zadzwonili pod numer alarmowy 911. Ten, który trzymał słuchawkę, mówił bardzo szybko, aż dostał sapki, okropnie przejęty. Terkotał niczym karabin maszynowy.

- Bo znaleźlim ten samochód, kurka, i jest w nim krew i, tego, drzwi są otwarte, kurka i...

Telefonista z biura telefonów alarmowych przerwał mu pytaniem:

- Gdzie go znaleźliście?

- We Flats. Koło Pen Park. Znaleźlim go z kolegą.

- Przy jakiej ulicy?

- Sydney Street - rzucił chłopak do słuchawki. - Jest w nim krew, kurka, drzwi są otwarte i...

- Jak się nazywasz, synku?

- Chce wiedzieć, jak się nazywa - zwrócił się chłopiec do swego kolegi. - Nazwał mnie „synkiem”.

- Synku? - powtórzył telefonista. - Ciebie pytałem o nazwisko. Jak ty się nazywasz?

- Spadamy stąd, kolego - odpowiedział dzieciak. - Cześć.

Trzasnęła odwieszana słuchawka. Telefonista odczytał z ekranu komputera, że telefonowano z automatu ulicznego na rogu Kilmer i Nauset w East Bucky Flats, jakieś trzy czwarte kilometra od wejścia z Sydney Street do Penitentiary Park.

Przekazał tę wiadomość do dyspozytora, a dyspozytor wysłał radiowóz na Sydney Street.

Potem zadzwonił do niego jeden z policjantów z patrolu i poprosił o przysłanie pomocy, może paru techników kryminalistyki i... hm... kilku detektywów z wydziału zabójstw. Na wszelki wypadek.

- Znaleźliście ciało, Trzydziesty Trzeci? Odbiór.
- Jak dotąd nie.
- Czemu więc prosisz o kogoś od zabójstw, jeśli nie macie ciała? Odbiór.
- Wnioskuje z wyglądu wozu, że prędzej czy później znajdziemy je gdzieś w okolicy.

Sean zaczął swój pierwszy dzień w pracy od zaparkowania samochodu na Crescent, po czym obszedł niebieski krzyżak bariery na przecięciu tej ulicy z Sydney. Krzyżaki były ostemplowane naklejkami wydziału policji bostońskiej, bo jej funkcjonariusze pierwsi zjawili się na miejscu, ale Sean przypuszczał na podstawie tego, czego się po drodze dowiedział z nasłuchu, że ta sprawa przypadnie jednak wydziałowi zabójstw policji stanowej, a więc jego jednostce.

Samochód, o ile dobrze zrozumiał, znaleziono na Sydney Street, czyli na terenie należącym do jurysdykcji miasta, lecz ślady krwi prowadziły do Penitentiary Park, stanowiącego część terenów zielonych podległych sądownictwu stanowemu. Poszedł w dół Crescent wzdłuż skraju parku i pierwszą rzeczą, jaką zauważył, była zaparkowana w połowie przecznicy furgonetka techników kryminalistyki.

Podszedłszy bliżej, zobaczył sierżanta ze swojego oddziału, Whiteya Powersa. Stał niecały metr od samochodu, którego drzwi od strony kierowcy były uchylone. Souza i Connolly, którzy zaledwie w ubiegłym tygodniu awansowali do wydziału zabójstw, z kubkami kawy w rękach przeszukiwali zarośla przed wejściem do parku. Dwa wozy patrolowe i furgonetka techników kryminalistyki były zaparkowane przy zwirowej zatoczce. Technicy z furgonetki stali obok samochodu i rzucali niechętnie spojrzenia na Souzę i Connolly'ego, bo ci zdeptywali ewentualne ślady, a na domiar złego rzucili na ziemię pokrywki styropianowych kubków.

- Witaj, gagatku. - Whitey Powers uniósł ze zdziwienia brwi. - Już do ciebie dzwoniłono?

- Tak - odparł Sean - ale ja nie mam partnera, sierżancie. Adolph ma zwolnienie. Whitey Powers pokiwał głową.

- Ciebie rozbolał paluszek, a ten pieprzony szkop poszedł na zwolnienie. - Objął ramieniem Seana. - Popracujesz teraz ze mną, synku. Przedłużenie okresu próbnego.

Tak to miało wyglądać, Whitey będzie miał oko na Seana, dopóki góra nie zdecyduje, czy dorasta on do wysokich standardów wydziału, czy nie.

- A zapowiadał się spokojny weekend - rzekł Whitey, obracając Seana za ramiona w stronę samochodu z otwartymi drzwiami. - Wiesz, jak przebiegła ostatnia noc w naszym hrabstwie, Sean? Spokojnie jak w domu starców. Mieliśmy napad z użyciem noża w Parker Hill, drugi w Bromley Heath, poza tym jakiś szczył z college'u oberwał butelką po piwie w Allston. Żaden z tych wypadków nie okazał się śmiertelny i wszystkie zdarzyły się na terenie jurysdykcji miasta. Wiesz, co zrobił ten gamoń z Parker Hill? Przyszedł o własnych siłach na ostry dyżur w szpitalu z nożem rzeźnickim tkwiącym w obojczyku i zapytał siostrę dyżurną, gdzie tu mają automat z colą.

- I powiedziała mu? - zainteresował się Sean.

Whitey błysnął uśmiechem. Był jednym z największych bystrzaków w stanowym wydziale zabójstw, toteż śmiał się często. Wezwanie musiał odebrać w domu, bo miał na sobie spodnie od dresu i hokejową bluzę syna, na głowie czapkę baseballową daszkiem do tyłu, na gołych stopach tęczowe klapki, a złota odznaka dyndała zawieszona na nylonowym sznurku na piersiach.

- Podoba mi się ta bluza - powiedział Sean i Whitey obdarzył go ponownie ospałym uśmiechem. Tymczasem z parku wyfrunął jakiś ptak i zatoczył nad nimi koło, wydając przerywany ćwir, tak przenikliwy, aż Seana przebiegły ciarki.

- Wiesz, co robiłem godzinę temu, kolego? Leżałem na kanapie.

- Oglądał pan kreskówki?

- Zapasy. - Whitey wskazał na zarośla i ciemniejszy za nimi park. - Przypuszczam, że gdzieś tam ją znajdziemy. Dopiero zaczęliśmy szukać, pojmujesz, a Friel twierdzi, że dopóki nie znajdziemy ciała, mówimy o delikwentce jako o osobie zaginionej.

Ptaszek ponownie zatoczył krąg nad ich głowami, tym razem niżej, i krzyknął tak ostro, że Sean poczuł łaskotanie aż w pniu mózgu.

- Ale sprawa jest nasza, prawda?

Whitey przytaknął.

- Chyba że ofiara wybiegła potem z parku i znajdziemy zwłoki gdzieś na tych ulicach.

Sean spojrzał w górę. Ptaszek miał dużą głowę i krótkie nóżki, stulone pod białym brzuszkiem z szarym paskiem pośrodku. Nie znał tego gatunku, ale ostatecznie

niezbyt często bywał na łonie przyrody.

- Co to za ptak?
- Zimorodek obrożny - odparł Whitey.
- Zalewa pan.

Sierżant podniósł rękę jak do przysięgi.

- Przysięgam na Boga, kolego.
- Naoglądał się pan jako dziecko programów Z przyrodą na ty.

Ptaka ponownie wydał ostry, przesywający ćwir. Sean miał ochotę go zastrzelić.

- Chcesz obejrzeć ten wóz? - zapytał Whitey.

- Powiedział pan „ją” - przypomniał Sean, kiedy pochylając się, przeszli pod żółtą taśmą i ruszyli w stronę samochodu.

- Chłopcy z kryminalistyki znaleźli w schowku na rękawiczki numer wozu.

Właścicielką była niejaka Katherine Marcus.

- O jasna cholera! - mruknął Sean.
- Znałeś ją?
- Może być córką kogoś, kogo znam.
- Bliski znajomy?

Sean pokręcił głową.

- Nie, kolega z dzieciństwa. Nie utrzymujemy bliższych kontaktów.
- Na pewno? - Whitey chciał się upewnić, czy Sean nie wolałby od ręki wypisać się z tej sprawy.

- Na pewno.

Doszli do samochodu i Whitey wskazał na otwarte drzwi od strony kierowcy akurat w chwili, gdy technik kryminalistyki, kobieta, odstała od wozu i przeciągnęła się, przeginając się w tył ze splecionymi, wyciągniętymi do nieba rękami.

- Tylko niczego tu nie dotykajcie, chłopcy. Czyja to sprawa?
- Chyba nasza. Park podlega jurysdykcji stanowej.
- Ale samochód stoi na terenie miasta.

Whitey wskazał gąszcz zarośli.

- Te krople krwi padły na ziemię stanową.
- Bo ja wiem... - mruknęła pani technik i westchnęła.
- Zastępca prokuratora okręgowego jest już w drodze - powiedział Whitey. - On to ustali. Do tego czasu sprawa należy do kompetencji stanu.

Sean zerknął na zarośla na obrzeżu parku i pomyślał, że jeśli znajdą ciało, to

chyba właśnie tam.

- Co dotąd mamy?

Policjantka ziewnęła.

- Drzwi były uchylone, kiedy znaleźliśmy wóz. Kluczyki w stacyjce, zapalone światła drogowe. Akumulator siadł jakieś dziesięć sekund po naszym przybyciu, jak na zawołanie.

Sean dostrzegł plamę krwi nad głośnikiem w drzwiach kierowcy. Trochę krwi ściekło i zakrzepło w czarną skorupę na samym głośniku. Przykucnął, zajrzał głębiej i zobaczył następną czarną plamę na kierownicy. Trzecia, dłuższa i szersza od dwóch pozostałych, zaschła na krawędzi otworu po kuli, widniejącym w winylowym oparciu fotela kierowcy na wysokości ramion. Sean odwrócił się. Patrzył teraz wzdłuż skrzydła drzwi w stronę zarośli po lewej stronie auta. Następnie skrzył głowę, by przyjrzeć się zewnętrznej powierzchni drzwi od strony kierowcy; dostrzegł na niej świeże wgniecenie.

Podniósł wzrok na Whiteya. Ten pokiwał głową.

- Sprawca stał prawdopodobnie tuż obok auta. Ta dziewczyna, Katherine Marcus lub ktokolwiek to był, walnęła go drzwiami. Drań jej oddał. Uderzył ją w... czy ja wiem?... w ramię, może w biceps? Dziewczynie udało się uciec. - Wskazał świeżo stratowane chaszczki. - Biegną w stronę parku przez te krzaki. Rana dziewczyny nie jest chyba zbyt poważna, znaleźliśmy tylko kilka kropel krwi.

- Są już jakieś jednostki w głębi parku? - zapytał Sean.

- Na razie dwie.

Policjantka z wydziału kryminalnego zapytała z ironią w głosie:

- Mają choć trochę więcej oleju w głowie od tych dwóch?

Sean i Whitey podbiegli wzrokiem za jej spojrzeniem i zobaczyli, jak Connolly, któremu wypadł kubek z kawą, stoi teraz nad nim i miażdży go stopą.

- Oni są nowi - wyjaśnił Whitey. - Niech im pani okaże trochę wyrozumiałości.

- Muszę zdjąć więcej śladów, chłopcy. Sean cofnął się, żeby ją przepuścić.

- Znalazła pani jakieś dokumenty poza numerem wozu?

- Owszem. Portfel pod siedzeniem, z prawem jazdy wystawionym na nazwisko Katherine Marcus. Za fotelem pasażera plecaczek. Billy sprawdza właśnie jego zawartość.

Sean spojrzał ponad maską na funkcjonariusza, którego wskazała ruchem głowy. Klęczał przed samochodem, a przed nim leżał mały granatowy plecak.



- Ile miała lat, wnioskując z prawa jazdy?

- Dziewiętnaście, sierżancie.

- Dziewiętnaście - powtórzył Whitey i zwrócił się do Seana. - I ty znasz jej ojca? Cholerny świat! Czeką gościa potworna wiadomość. Biedny kutas pewnie o niczym jeszcze nie wie.

Sean odwrócił głowę. Obserwował samotnego ptaka, który z głośnym wrzaskiem leciał z powrotem w stronę kanału. Przez warstwę chmur przedarł się jaskrawy promień słońca. Sean miał wrażenie, że krzyk zimorodka wkręca mu się przez kanał słuchowy prosto do mózgu i na mgnienie przypomniał sobie wyraz tej strasznej samotności, jaki dojrzał na twarzy jedenastoletniego Jimmy'ego Marcusa tamtego dnia, gdy omal nie buchnęli czyjegoś wozu. Ten wyraz uderzył go i teraz, gdy stał przed gęstwiną zarośli na skraju parku Penitentiary, jakby ćwierć wieku, które minęło od tamtego dnia, przeleciało jak durna reklama w telewizji. Poczul tę udręczoną, pełną złości, błagalną samotność, jaka zaległa w duszy Jimmy'ego Marcusa niczym miazga w pniu ginącego drzewa. By otrząsnąć się z tego wspomnienia, pomyślał o Lauren, Lauren o długich włosach barwy piasku, która tego rana nawiedziła go we śnie cała pachnąca morzem. Myślał o Lauren i zapragnął wczolgać się na powrót do tunelu tamtego snu, skryć się w nim i zaszyć.

## We krwi

Nadine Marcus, młodsza córka Jimmy'ego i Annabeth, przyjęła sakrament pierwszej komunii świętej w niedzielne przedpołudnie w kościele Świętej Cecylii w East Bucky Flats. Ze złożonymi dłońmi, sklejonymi ze sobą mocno od podstawy aż po czubki palców, w białym welonie i białej sukience, w której wyglądała jak małaletnia panna młoda lub aniołek, kroczyła główną nawą w procesji czterdzieścioro innych dzieci, gładko i posuwicie, podczas gdy one szły, potykając się.

W każdym razie tak się wydawało Jimmy'emu, i chociaż sam chętnie by przyznał, że był stronnicy wobec własnych dzieci, nie ulegało dlań wątpliwości, iż się nie mylił. W obecnych czasach dzieci na ogół mówiły - lub wręcz darły się - kiedy tylko im przyszła ochota, były uparte i krnąbrne wobec rodziców, prezentowały najdziksze zachcianki, nie okazywały szacunku starszym i miały z lekka oczadziałe i z lekka pijane oczy narkomanów, którzy spędzają za dużo czasu przed ekranem telewizora czy komputera. Współczesne dzieci przypominały Jimmy'emu kulki w bilardzie elektrycznym - raz ospałe, to znów rozbijające wszystko przed sobą, uderzające w dzwonki i pędzące na boki zygzakami. Gdy o coś prosiły, na ogół to zaraz dostawały. Jeśli nie, prosiły głośnie i natarczywie. Kiedy i tym razem spotykały się z lękliwą odmową, zaczynały wrzeszczeć. Wtedy ich rodzice - zdaniem Jimmy'ego przeważnie mięczaki - zwykle ustępowali.

Jimmy i Annabeth ubóstwiali swoje dziewczęta. Bardzo się starali, żeby czuły się szczęśliwe, radosne i kochane. Jednak między poświęceniem i oddaniem a znoszeniem humorów rozkapryszonych pannaic przebiegała wyraźna granica i Jimmy zadbał o to, by jego córki dokładnie znały jej linię.

Nie tak jak ci dwaj chłopcy. Szli w procesji obok rzędu ławek, w którym siedział Jimmy. Popychali jeden drugiego, śmiali się głośno, ignorując uciszające psyknięcia sióstr zakonnych, popisywali się przed zgromadzeniem wiernych, a niektórzy spośród nich odpowiadali na ich błazeństwa śmiechem aprobaty. Chryste Jezu! Za czasów dzieciństwa Jimmy'ego rodzice takich szczeniaków wstali by z ławek, chwycili ich za kudły, sprali im tyłki i rzucili szeptem do ucha, zanim na powrót postawiliby ich na

ziemi, że w domu dostaną dokładkę.

Jimmy, który szczerze nienawidził swojego starego, miał świadomość, że dawne metody przekraczały miarę, ale przecież, do ciężkiej cholery, musiał istnieć jakiś złoty środek, w który większość ludzi najwyraźniej nie utrafiła. Stan pośredni, w którym dzieciak wiedział, że rodzice go kochają, ale że to oni rządzą, że istnieją pewne reguły i zasady, iż „nie” naprawdę znaczy „nie”, a to, że jesteś mały i śliczny, nie znaczy, że wszystko ci wolno.

Bywa oczywiście, że przestrzegasz zasad zdrowego rozsądku i trzymasz się złotego środka, wychowasz dobrego dzieciaka, a on mimo to przyczyni ci zgrzyot. Na przykład jak dzisiaj Katie. Nie tylko nie pojawiła się w sklepie, ale na domiar złego zapowiadało się, że zlekceważy pierwszą komunię świętą młodszej przyrodniej siostry. Co ona sobie, u diabła ciężkiego, wyobraża? Najprawdopodobniej nic, i w tym właśnie problem.

Jimmy obrócił się, by przyrzeć się Nadine, która zbliżała się do niego główną nawą. Widok córki natchnął go taką dumą, że jego złość na Katie (połączona z lekkim, lecz uporczywym niepokojem) na chwilę osłabła, choć wiedział, iż zaraz wróci. Pierwsza komunia była wielkim wydarzeniem w życiu katolickiego dziecka - stroiło się je, podziwiano, zachwycało się nim, a po uroczystości prowadziło do pizzerii Chuck E. Cheese\*. Jimmy był zdania, że podobne wydarzenia w życiu dzieci należy obchodzić jak najuroczyściej, by przyczyniać im radości i szczęścia. Właśnie dlatego tak go irytowała nieobecność Katie. W porządku, miała dziewiętnaście lat, więc świat jej młodszej siostry najpewniej nie mógł się równać ze światem różnych przystojniaków, ciuchów i wkradaniem się do barów z prawem wyszynku. Jimmy to wszystko rozumiał, dlatego na ogół zostawiał Katie swobodę, jednak opuszczanie pewnych uroczystości rodzinnych, szczególnie gdy tak się starał, by Katie mogła się nimi w pełni cieszyć, kiedy sama była mała, należało uznać za wredne.

Poczuł, jak wzbiera w nim gniew, i wiedział, że jak tylko zobaczy starszą córkę, będą musieli odbyć jeden ze swoich „dialożków”, jak je nazywała Annabeth, do których w ostatnich latach dochodziło, niestety, coraz częściej.

Trudno. Do diabła z tym.

Oto właśnie Nadine przechodziła niemal tuż obok rzędu Jimmy'ego. Annabeth wymogła na córce obietnicę, że przechodząc, nie spojrzy na ojca, bo mogłaby zepsuć podniosły nastrój sakramentu jakimś dziewczęcym śmieszkiem, mimo to Nadine

---

\* Sieć restauracji, które urządzają przyjęcia urodzinowe dla dzieci itp. (przyp. tłum.).

zerknęła w jego stronę - co prawda przelotnie, byle dać mu odczuć, że aby ojcu okazać miłość, ryzykuje gniew matki. Nie spojrzała natomiast wcale na dziadka Theo i swoich sześciu wujków, którzy tłoczyli się na ławce za plecami Jimmy'ego, i Jimmy docenił jej powściągliwość; otarła się o linię zakazu, lecz jej nie przekroczyła. Żrenica jej lewego oka zboczyła na mgnienie do kącika, Jimmy dostrzegł ten ruch przez zasłonę welonu i dał córce nieznaczny znak trzema palcami na wysokości sprzączki paska, wymawiając jednocześnie niemo entuzjastyczne „Cześć”.

Odpowiedział mu uśmiech Nadine bielszy niż jej welon, sukienka i buciki i Jimmy poczuł, jak ten uśmiech dosięga jego serca, oczu i kolan. Kobiety jego życia - Annabeth, Katie, Nadine i jej siostra Sara - potrafiły w ułamku sekundy zupełnie go rozbroić, jednym uśmiechem lub spojrzeniem podciąć mu kolana, pozbawiając go zupełnie sił.

Nadine spuściła wzrok i przybrała skupioną minkę, pragnąc pokryć uśmiech, mimo to Annabeth go dostrzegła i dała mężowi nieznaczny sójkę w bok, wbijając mu łokieć między żebra a biodro z lewej strony. Odwrócił się i czerwieniejąc na twarzy, zapytał:

- O co chodzi?

Sporunowała go spojrzeniem, które mówiło, że już ona z nim porozmawia, gdy wróci do domu. Następnie popatrzyła prosto przed siebie, mocno zacisnąwszy wargi, których kąciki lekko drżały. Jimmy wiedział, że wystarczyłoby zapytać „Masz jakiś problem?” tonem niewinnego chłopca i Annabeth wbrew sobie parsknęłaby śmiechem. Kościoły bowiem mają w sobie coś takiego, co skłania człowieka do chichotu, pewna zaś umiejętność należała od młodości do głównych atutów Jimmy'ego: potrafił w każdych okolicznościach rozśmieszyć kobietę.

Przez następną chwilę jednak nie patrzył na żonę, słuchał mszy, a potem obserwował obrzęd sakramentu, gdy każde dziecko po kolei przyjmowało po raz pierwszy w życiu hostię. Zwinął książeczkę z programem uroczystości; powilgotniała w jego dłoni, gdy zaczął się uderzać nią w udo, patrząc, jak Nadine podnosi hostię i kładzie ją na języku, a potem ze spuszczoną głową odmawia modlitwę. Annabeth przytuliła się do niego i szepnęła mu do ucha:

- Nasza mała kruszynka. Mój Boże, to nasza mała kruszynka, Jimmy.

Jimmy objął i przytulił żonę. Zapragnął zatrzymać tę chwilę, unieruchomić jak na fotografii i po prostu tkwić w niej w zawieszeniu, aż byłoby się gotowym ją opuścić, niezależnie od tego, jak długo miałyby to trwać, ile godzin czy nawet dni. Odwrócił się

i pocałował Annabeth w policzek, a ona jeszcze mocniej się do niego przytuliła, po czym spojrzenia obojga pobiegły ku córce, ich pięknemu aniołkowi, ich małej kruszynie.

Na trawniku na skraju parku, tyłem do kanału Pen, stał mężczyzna z mieczem samuraja w ręku. Jedną nogę uniósł nad ziemię i w powolnym piruecie obracał się na drugiej, wznosząc przed sobą miecz. Sean, Whitey, Souza i Connolly zbliżali się do niego powoli, wymieniając pytające spojrzenia. Co za cholera? Facet kontynuował swój powolny obrót, nie zwracając uwagi na czterech mężczyzn, którzy zbliżali się do niego tyralierą. Wzniósł miecz nad głowę, po czym zaczął go wolniutko opuszczać na wysokość klatki piersiowej. Podeszli na odległość jakichś siedmiu metrów, gdy mężczyzna nagle obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, tyłem do nich. Sean zauważył, że Connolly sięga nerwowo do prawego biodra, odpina sprzączkę kabury i kładzie dłoń na kolbie glocka.

Nie czekając, aż sprawy przybiorą gorszy obrót, ktoś zostanie postrzelony albo facet dokona harakiri, Sean odchrząknął i powiedział głośno:

- Przepraszam pana... Proszę pana? Przepraszam pana bardzo, ale...

Głowa mężczyzny przechyliła się nieznacznie, więc chyba usłyszał skierowane do siebie słowa, kontynuował jednak powolny piruet, zwracając się stopniowo na powrót w ich stronę.

- Proszę, żeby położył pan miecz na ziemi.

Facet postawił uniesioną stopę na trawie i stanął do nich frontem. Oczy zrobiły mu się okrągłe, gdy je przenosił z jednego na drugiego i liczył pistolety, po czym wyciągnął przed siebie swoją białą broń, jakby nią ich wskazując, a może z zamiarem oddania, Sean nie umiał rozszyfrować jego zamiarów.

- Ogłuchłeś pan? - warknął ze złością Connolly. - Na ziemię, kurwa!

Sean uciszył kolegę syknięciem i zastygł nieruchomo w miejscu, kilka metrów od nieznajomego. Myślał o krwawym śladzie, jaki odkryli obok ścieżki joggingowej jakieś pięćdziesiąt parę metrów stąd. Wszyscy czterej dobrze wiedzieli, co te plamy znaczą, a potem podnieśli oczy i ujrzeli nagle przed sobą tego Bruce'a Lee, obracającego mieczem długości małego samolotu. Tyle, że oryginalny Bruce Lee był Azjata, ten zaś był niechybnie białym mężczyzną lat około dwudziestu pięciu, o czarnych kręconych włosach, gładko wygolonych policzkach, ubranym w biały podkoszulek wpuszczony w szare dresowe spodnie.

Stał teraz jak wrośnięty w ziemię, lecz Sean był pewien, że to strach przykuł go do miejsca z wyciągniętym w ich stronę mieczem. Umysł popadł w stan odrętwienia i stracił władzę nad ciałem.

- Proszę pana - powiedział Sean tonem specjalnie ostrym, żeby młody człowiek spojrział wprost na niego. - Proszę, by zechciał pan położyć miecz na ziemi. Niech pan po prostu rozewrze palce i upuści go.

- Kim wy jesteście, u licha?

- Funkcjonariuszami policji. - Whitey Powers pokazał z daleka odznakę. - Widzi pan? Proszę nam zaufać i odrzucić ten miecz.

- Ależ oczywiście - mruknął chłopak, po czym miecz wypadł z jego dłoni i z wilgotnym pacnięciem upadł w trawę.

Sean poczuł, że Connolly poruszył się po jego lewej stronie, zapewne gotów zaraz skoczyć na nieznajomego, więc wyciągnął rękę, żeby zatrzymać na sobie uwagę samuraja.

- Jak ci na imię? - zapytał.

- Słucham? Kent.

- Sie masz, Kent. Ja nazywam się Devine, jestem policjantem stanowym. Chciałbym, żebyś odsunął się na kilka kroków od tej broni.

- Broni?

- Tego miecza, Kent. Cofnij się łaskawie kilka kroków, dobra? Jak brzmi twoje nazwisko?

- Brewer - odparł młody człowiek i zaczął się cofać, rozłożywszy ręce z podniesionymi w geście poddania dłońmi, jakby w obawie, że czterej napastnicy wyciągną za chwilę swoje glocki i otworzą ogień.

Sean uśmiechnął się i skinął porozumiewawczo do Whiteya.

- Słuchaj, Kent, co ty tu właściwie przed chwilą robiłeś? Dla mnie to wyglądało na jakiś balet. - Wzruszył ramionami. - Taniec z mieczem czy...

Kent przyglądał się, jak Whitey pochyła się i podnosi ostrożnie miecz, ująwszy rękojęść przez chusteczkę.

- Kendo.

- Co takiego?

- Kendo - powtórzył zapytany. - Sztuka walki na miecze. Chodzę na treningi we wtorki i czwartki, a rano zwykle sam ćwiczę. Po prostu ćwiczylem, to wszystko.

Connolly westchnął rozczarowany. Souza łypnął na niego z ukosa.

- Nabijasz się ze mnie, co? - zapytał Sean.

Whitey wyciągnął w jego stronę miecz, żeby go sobie obejrzał. Miecz był naoliwiony, a tak czysty i lśniący, jakby dopiero, co wyszedł spod prasy.

- Patrz. - Whitey przeciągnął ostrze po otwartej dłoni. - Łyżki mam ostrzejsze.

- Nigdy nie był ostrzony - wyjaśnił Kent.

Sean znowu poczuł w mózgu przeszywający świergot tamtego ptaka.

- Słuchaj, Kent, od dawna tu ćwiczysz?

Chłopak zerknął na odległy o blisko sto metrów parking za ich plecami.

- Od jakiegoś kwadransa. Góra. Ale, o co tu właściwie chodzi? - Odzyskiwał pewność siebie, w jego głosie zabrzmiał nawet ton oburzenia. - Ćwiczenie kendo w parku nie jest chyba zabronione, prawda, panie władzo?

- Myślmy o wprowadzeniu takiego zakazu - odparł Whitey. - Zechciej zwracać się do mnie per „panie sierżancie”, Kent.

- Co robiłeś ubiegłej nocy i dziś wcześniej rano? - zapytał Sean.

Chłopaka znowu ogarnęło zdenerwowanie. Tak mocno wyteżył pamięć, aż wstrzymał na chwilę oddech. Zamknął oczy, po czym westchnął z ulgą.

- No tak! Byłem na przyjęciu z przyjaciółmi. Wróciłem do domu z moją dziewczyną. Położyliśmy się spać około trzeciej. Dziś rano wypiliśmy razem kawę, potem przyszedłem tutaj.

Sean uszczypnął się w koniuszek nosa i pokiwał głową.

- Rekwirujemy ten miecz, Kent. Będziemy ci też wdzięczni, jeśli pofatygujesz się do koszar w towarzystwie jednego z nas i odpowiesz na parę pytań.

- Do koszar?

- Na posterunek policji stanowej - wyjaśnił Sean. - Tak nazywamy między sobą ten przybytek.

- Dlaczego?

- Słuchaj, a może po prostu byś się tam grzecznie udał, co Kent?

- No tak, oczywiście.

Sean zerknął na Whiteya, który zrobił znaczącą minę. Obaj zdawali sobie sprawę, że Kent jest zbyt wystraszony, żeby kłamać, wiedzieli też, że miecz wróci z laboratorium czysty jak łza, ale musieli sprawdzić wszystkie ślady i sporządzić drobiazgowy raport, aż ta papierkowa robota spiętrzy się na ich biurkach w górę daremnego śmiecia.

- Dostanę niedługo czarny pas - pochwalił się Kent. Odwrócili się i popatrzyli na

niego ciekawie.

- Co takiego?

- W sobotę - powiedział Kent i twarz zajaśniała mu dumą pod kropelkami potu. - Zabrało mi to trzy lata i właśnie, dlatego chciałem dziś poćwiczyć, by się upewnić, że nie wyszedłem z formy.

- Aha - mruknął Sean.

- Słuchaj, bracie - powiedział Whitey, a Kent uśmiechnął się do niego przyjaźnie - bez urazy, ale kogo to, kurwa, obchodzi?

Zanim Nadine i reszta dzieci opuściły kościół wyjściem od zakrystii, Jimmy poczuł, że złość na Katie ustępuje miejsca niepokoju. Katie często późno wracała do domu i włóczyła się z chłopakami, których nie znał, nie zwykła jednak sprawiać przykrości przyrodnim siostrzyczkom. One ją uwielbiały, a ona odpłacała im równie gorącą miłością - zabierała je do kina, na łyżworolki, na lody. Ostatnio zagrzewała je do udziału w paradzie w nadchodzącą niedzielę, i to tak gorąco, jakby Buckingham Day było świętem o znaczeniu państwowym, porównywalnym z dniem świętego Patryka czy Bożym Narodzeniem. W środę wieczorem wróciła do domu wcześniej niż zwykle i zabrała dziewczynki na górę, żeby wybrały stroje, w jakie się ubiorą. Zrobiła z tego małą rewię, siedziała na łóżku, a one wchodziły i wychodziły z pokoju, układając na sobie sukienki, radząc się jej w sprawie uczesania, makijażu, sposobu poruszania się. Wspólny pokój obu młodszych siostr zmienił się naturalnie w istne pobojuwisko porzrzucanych wszędzie części garderoby, ale Jimmy nie robił z tego problemu - Katie pomagała siostrom zaznaczyć kolejne wydarzenie w ich życiu, wykorzystując w tym celu sposoby zmieniania najdrobniejszych nawet zdarzeń w wydarzenia epokowe i wyjątkowe, sposoby, jakich on sam ją nauczył.

Dlaczego więc nie przyszła na pierwszą komunię Nadine?

Może upiła się jakimś szpanerskim koktajlem? Może naprawdę poznała faceta o wyglądzie gwiazdora filmowego i odpowiednich manierach na dobitkę? A może po prostu zapomniała.

Jimmy wyszedł z ławki i ruszył nawą z Annabeth i Sarą. Annabeth trzymała go za rękę i wyczytywała jego nastrój z zaciśniętych ust i nieobecnego spojrzenia.

- Jestem pewna, że nic jej nie będzie. Nie licząc kaca.

Uśmiechnął się, kiwnął głową i uściśnął jej dłoń. Annabeth, ze swoją niezwykłą umiejętnością czytania w jego myślach, trafnym wyczuciem, kiedy uściśnąć mu dłoń,



czułością i praktycznością, była dla niego wielką podporą, po prostu i zwyczajnie. Była żoną, matką, najlepszym przyjacielem, siostrą, kochanką i spowiednikiem. Bez niej, nie miał, co do tego najmniejszej wątpliwości, wylądowałby na powrót w pierdlu na Deer Island albo, co gorsza, w jednym z ciężkich więzień, takich jak Norfolk czy Cedar Junction, gdzie dostałby mocno w kość i nabawił się szkorbutu.

Kiedy spotkał Annabeth w rok po wyjściu z paki, dwa lata przed terminem zwolnienia warunkowego, jego stosunki z Katie zaczęły się właśnie powoli układać. Dziewczynka zdawała się przyzwyczajać do tego, że ojciec przebywa z nią przez cały czas - zmęczony, ale przecież opiekuńczy - z kolei Jimmy przywykł do stanu ciągłego wyczerpania. Był zmęczony po dziesięciu godzinach pracy i krążenia po mieście, żeby Katie skądś odebrać lub gdzieś ją podrzucić - do matki, do szkoły, do ośrodka dziennej opieki. Był zmęczony i solidnie wystraszony. Takie miał w tamtych dniach dwie stałe w swoim życiu i po jakimś czasie przyjął za pewnik, że tak już zostanie. Będzie się budził, co rano ze strachem, będzie umierał ze strachu, że Katie przekreśli się we śnie tak nieszczęśliwie, iż się udusi, a on w końcu straci pracę z powodu recesji, będzie się bał, że Katie spadnie z drabinek podczas przerwy w szkole, że zapragnie czegoś, czego on nie potrafi jej zapewnić, będzie w strachu, że odtąd jego życie już zawsze będzie ścierane na proch przez młyńskie koła lęku, miłości i zmęczenia.

Poniósł to zmęczenie do kościoła w dniu, w którym jeden z braci Annabeth, Val Savage, brał sobie za żonę Terese Hickey. Oblubienica i oblubieniec byli równie brzydki, niezadowoleni i niscy. Jimmy wyobraził sobie, że zamiast dzieci wydadzą na świat miot identycznych piłek treningowych o zadartych nosach, które będą przez lata podskakiwać na Buckingham Avenue i sypać iskrami. Val działał w bandzie Jimmy'ego jeszcze w latach, gdy Jimmy miał bandę, i był mu niezmiernie wdzięczny, że Jimmy wziął na siebie wyrok dwóch lat więzienia plus trzech w zawieszeniu za całą ferajnę, choć doskonale wiedzieli, że mógł ich wszystkich wykołować i samemu wykręcić się od odpowiedzialności. Val, facet o krótkich kończynach i małym mózdzku, zapewne z miejsca by obrał sobie Jimmy'ego za idola, gdyby nie poślubił on Portorykanki, do tego spoza dzielnicy.

Po śmierci Marity w okolicy zaczęto szeptać: „No i macie, no i proszę. Oto, jak się kończy, kiedy naruszasz porządek rzeczy. Ale z tej Katie wyrośnie na pewno cud lasencja, krzyżówki na ogół są piękne”.

Kiedy Jimmy wyszedł z więzienia, posypały się oferty. Był zawodowcem, jednym z największych chojraków, jacy wyrosli w tej biednej dzielnicy, która słynęła z

chojraków. I choć odpowiadał, że dziękuje, ma zamiar odtąd żyć uczciwie ze względu na dzieciaka, kapujecie, ludzie tylko kiwali głowami i uśmiechali się z powątpiewaniem. Wiedzieli, że wróci na drogę przestępstwa, jak tylko przycisnie go bieda i będzie musiał wybierać, czy zapłacić ratę za samochód, czy kupić Katie prezent świąteczny.

Tak się jednak nie stało. Jimmy Marcus, gość ze smykałką do interesu, który miał własną bandę, zanim osiągnął pełnoletność i mógł legalnie pić, facet odpowiedzialny za skok na sklep z elektroniką i masę innych numerów, wiódł tak przykładowy żywot, że ludzie zaczęli w końcu podejrzewać, iż robi z nich sobie jaja. Po pewnym czasie rozeszły się nawet plotki, że rozważa kupno narożnego sklepu Ala DeMarco, a stary ma wycofać się na zasłużony odpoczynek, pozostając na lipę nominalnym właścicielem z harmonią forsy, jaką ponoć Jimmy odłożył po ostatnim skoku. Jimmy miałby zostać sklepikarzem i chodzić w fartuchu? Aha, mówili, tu mi prędzej kaktus wyrośnie.

Na przyjęciu weselnym Vala i Terese zorganizowanym przez katolicką organizację Knights of Columbus w hotelu Dunboy Jimmy poprosił Annabeth do tańca i ludzie od razu spostrzegli, że bardzo do siebie pasują. Przeginali się oboje w rytm melodii, przechylali głowy, patrzyli sobie wyzywająco w oczy niczym byki na arenie, dłoń Jimmy'ego delikatnie pieściła plecy Annabeth, a ona chętnie poddawała się pieścizocie. Ktoś przypomniał, że znali się jeszcze, jako dzieci, choć on był o parę lat starszy. Może to coś między nimi istniało od zawsze, czekając, aż odejdzie ze świata ta Portorykanka albo Bóg powołają do siebie.

Tańczyli w takt piosenki Rickie Lee Jones, której kilka wierszy zawsze silnie na Jimmy'ego oddziaływało, choć nie rozumiał dlaczego - Well, goodbye, boys. Oh my buddy boys. Oh my sadeyed Sinatras...\*. Szeptał te słowa Annabeth, gdy kołysali się w tańcu, i czuł się po raz pierwszy od lat swobodny i rozluźniony, po czym jeszcze raz podłożył ruch warg pod słowa chórkę, zlewając go ze smętnym, cichym głosem Rickie: So long, lonely avenue\*\*, i śmiał się do krystalicznie zielonych oczu Annabeth, a ona odpowiadała mu uśmiechem, miękkim i tajemniczym, którym podbiła jego serce. Tańczyli ze sobą tak, jakby to był ich setny, a nie pierwszy taniec.

Wyszli z wesela jedni z ostatnich. Usiedli na zewnątrz na przestronnej werandzie, pili jasne piwo, palili papierosy i kiwali głowami gościom wychodzącym do

---

\* Do widzenia, chłopcy, do widzenia, bracia, smutnookie moje Sinatry (przyp. tłum.).

\*\* Do zobaczenia, samotna alejo (przyp. tłum.).

samochodów. Siedzieli, dopóki letnia noc nie powiała chłodem, a wtedy Jimmy okrył marynarką ramiona Annabeth i opowiedział jej o więzieniu, o Katie i o śnie Marity, w którym występowały pomarańczowe zasłony. Z kolei Annabeth opowiedziała mu o swoim dzieciństwie, spędzonym w domu Savage'ów pełnym zwariowanych braci, o tym, jak pewnej zimy próbowała uczyć się tańca w Nowym Jorku, zanim uświadomiła sobie, że nie jest wystarczająco utalentowana, o szkole pielęgniarstwa.

Kiedy organizatorzy wesela wyrzucili ich w końcu z werandy, poszli na weselne poprawiny i trafili na pierwszą dziką awanturą Vala i Terese, jako małżonków. Ukradli sześciopak piwa z lodówki Vala i wyszli, zapuścili się na teren kina samochodowego Hurleya, usiedli nad kanałem i słuchali posępnego plusku wody. Kino samochodowe zamknięto przed czterema laty i małe, żółte koparki i wywrotki z Zakładu Terenów Zielonych i wydziału transportu każdego ranka zjeżdżały tu konwojami, aż zmieniły cały teren wzdłuż kanału Pen w księżycowy krajobraz hałd ziemi i kęsów rozbitego cementu. Krążyły słuchy, że mają zakładać park, ale jak na razie było to jedynie zrujnowane kino samochodowe, którego ekran wciąż górował nad stertami ziemi i szaro-czarnymi kęsami potrzaskanego asfaltu.

- Mówią, że to się ma we krwi - powiedziała Annabeth.

- Co?

- Kradzieże, przestępstwa. - Wzruszyła ramionami. - Sam wiesz.

Uśmiechnął się i pociągnął z butelki długi łyk piwa.

- Czy to prawda?

- Może. - Teraz na niego przyszła kolej, by wzruszyć ramionami. - Niejedno mam we krwi. Co nie znaczy, że zaraz musi to się odezwać.

- Nie oceniam cię, wierz mi. - Twarz Annabeth pozostawała nieodgadniona, jej głos był pozbawiony emocji i Jimmy zaczął się zastanawiać, co właściwie chciałaby od niego usłyszeć? Że wciąż w tym siedział? Że już z tym skończył? Że uczyni ją bogatą? Że już nigdy nie wejdzie na drogę przestępstwa?

Z daleka twarz Annabeth była jednolita, wręcz nieciekawa, ale gdy podeszło się bliżej, dostrzegano się, że odzwierciedlała ciąglą grę żywego, nieustannie aktywnego umysłu.

- Więc ty masz we krwi taniec, tak?

- Nie wiem. Może.

- Kiedy powiedziano ci, że raczej nie powinnaś się nim zajmować, przestałaś, prawda? To pewnie bolało, a jednak podjęłaś taką decyzję.

- Owszem...

- No widzisz - powiedział i wystukał papierosa z paczki, która leżała między nimi na kamiennej ławce. - Owszem, byłem dobry w tym, co robiłem, ale zapuszkowali mnie, żona mi umarła i moja córka miała przechłapanie. - Zapalił papierosa i zaciągnął się głęboko, bo chciał wyrazić dokładnie to, co już setki razy formułował w myślach. - Nie chcę znowu sknocić jej życia, rozumiesz? Nie może zostać sama na kolejne dwa lata, gdy ja pójdę odsiadywać wyrok. Zdrowie matki szwankuje. A jeśli umrze, gdy ja będę siedział w kiciu? Zabiorą mi córkę, zajmie się nią państwo, zamkną ją w jakimś dziecięcym Deer Island. Nie mogę do tego dopuścić. Więc sama widzisz. Nieważne, czy mam to we krwi, czy nie, zamierzam żyć uczciwie.

Nie odwracał wzroku, gdy Annabeth badała uważnym spojrzeniem jego twarz. Wyczuwał, że szuka luk w jego wyjaśnieniach, zapaszku kitu, i miał nadzieję, że udało mu się wygłosić mowę przekonującą. Dostatecznie długo nad nią pracował w oczekiwaniu na taką chwilę jak ta. Zresztą większość tego, co powiedział, było prawdą. Zataił tylko tę jedną rzecz, której przysiągł sobie nigdy nikomu nie wyjawiać, nawet najbliższemu przyjacielowi. Patrzył w oczy Annabeth, czekał, aż coś postanowi, i usiłował nie zważać na wspomnienia z tamtej nocy nad rzeką Mystic: facet na kolanach, ślina kapie mu na pierś, chrapliwe błagania - wspomnień, które dotąd wwierały mu się w mózg niczym wiertarka udarowa.

Annabeth wyjęła z paczki papierosa. Kiedy go przypalił, powiedziała:

- Wiesz, że cholernie mi się kiedyś podobałeś?

Nie poruszył głową, spojrzenie miał spokojne, choć ulga, jaką odczuł, miała siłę odrzutowego silnika - udało mu się wcisnąć jej półprawdę. Jeśli powie mu się z Annabeth, już nigdy więcej nie będzie musiał tego robić.

- Nie bujasz? Ja tobie?

Potaknęła.

- Kiedy przychodziłeś do nas, żeby zobaczyć się z Valem. Boże, ile to ja mogłam wtedy mieć? Czternaście, piętnaście lat? Stare dzieje, Jimmy. Dostawałam wypieków, gdy w kuchni usłyszałam twój głos.

- Psiakostka. - Dotknął jej ramienia. - Chyba już teraz twarz cię nie piecze, nie jest gorąca.

- Ależ jest, Jimmy. Na pewno jest.

Znowu poczuł, jak rzeka Mystic toczy swe wody, jak one rozpuszczają się w brudnej toni kanału Pen, a potem odpływają w dal, która jest ich domem.

Zanim Sean wrócił na ścieżkę do joggingu, policjantka z wydziału kryminalnego już tam była. Whitey Powers wezwał przez radio wszystkie jednostki, aby przeczesały park i zatrzymały wszystkich włóczęgów, jakich napotkają, po czym kucnął obok Seana i funkcjonariuszki.

- Ślady krwi prowadzą tam - powiedziała, pokazując na dalszą część parku. Ścieżka do joggingu prowadziła przez mały drewniany mostek, a potem skręcała w bok w gęsto zadrzewioną część parku, obiegając stary ekran kina samochodowego. - Tam jest ich więcej. - Wskazała długopisem. Whitey i Sean obejrżeli się i zobaczyli małe gwiazdki krwi po drugiej stronie ścieżki obok drewnianego mostku; liście okazałego klonu osłoniły te ślady przed padającym w nocy deszczem. - Myślę, że ofiara biegła w kierunku tamtego wąwozu.

Krótkofalówka Whiteya zaćwierkała. Przytknął ją do ust.

- Powers.

- Panie sierżancie, potrzebujemy pana tu w ogrodzie.

- Już idę.

Sean patrzył, jak Whitey truchta ścieżką i zmierza w stronę ogrodu działkowego za następnym zakrętem. Dół hokejowej bluzy jego syna majtał mu się na wysokości pasa.

Sean podniósł się z kucek i ogarnął spojrzeniem park, poczuł jego rozmiar, każdy krzak, każdy wzgórek i wszystkie jego wody. Obejrzał się na drewniany mostek przerzucony nad małym wąwozem, w którym płynęła struga dwa razy ciemniejsza i dwa razy bardziej zanieczyszczona niż woda w kanale. Połyskując warstewką oleistej cieczy, latem szumiała od chmar komarów. Sean dostrzegł wśród małych, zieleniejących drzewek rosnących na brzegu wąwozu czerwoną plamkę i ruszył w jej stronę. Policjantka z wydziału kryminalnego nagle wyrosła u jego boku. Również ją dostrzegła.

- Jak pani na imię? - zapytał.

- Karen. Karen Hughes.

Podał jej rękę, po czym oboje przeszli na drugą stronę ścieżki joggingowej i skupili uwagę na czerwonej plamce. Tak ich to pochłonięło, że zbliżającego się truchtem Whiteya Powersa usłyszeli dopiero wtedy, gdy stanął nad nimi zdyszany.

- Znaleźliśmy but - wysapał.

- Gdzie?

Whitey wskazał za siebie, gdzie ścieżka obiegała tereny działek.

- Koło tych działek. Damski bucik. Rozmiar sześć.
- Nie dotykajcie go czasem - ostrzegła Karen Hughes.
- Widzicie ją - burknął Whitey.

Zgromiła go wzrokiem; miała lodowate spojrzenie, pod którym krew się w człowieku ścinała.

- Przepraszam. Tak mi się wyrwało.

Sean odwrócił się w stronę drzewka. Plama czerwieni okazała się nie plamą krwi, lecz trójkątnym strzępem tkaniny, wiszącym na cienkiej gałęzi mniej więcej na wysokości ramion dorosłego człowieka. Wszyscy troje przyglądali się przez chwilę temu skrawkowi, po czym Karen Hughes cofnęła się, zrobiła kilka zdjęć pod różnymi czterema kątami, a potem zaczęła szukać czegoś w torbie.

Sean był pewien, że to kawałek nylonu, prawdopodobnie wydarty z zakietu, czerwony od krwi.

Karen zdjęła pincetą czerwony strzępek z gałęzi, przyglądała mu się przez chwilę, po czym włożyła do plastikowej torebki.

Sean pochylił się, wyciągnął szyję i zajrzał w głąb wąwozu. Na drugim brzegu dojrzał coś, co mogło być odciskiem obcasa w rozmięklej ziemi.

Trącił łokciem Whiteya i wskazywał mu kierunek, póki i on nie dojrzał niewyraźnego śladu. Przyjrzała mu się również Karen Hughes i niezwłocznie zrobiła kilka zdjęć policyjnym nikonem. Potem wyprostowała się, przeszła przez mostek, zeszła w dół po skarpie i pstryknęła jeszcze kilka razy.

Whitey przykucnął i zapuścił żurawia pod mostek.

- Sądzę, że mogła się tu na chwilę schować. Kiedy pojawił się morderca, skoczyła na drugi brzeg i dalej uciekała.

- Tylko, dlaczego uciekała w głąb parku? - zaciekawiał się Sean. - Była zwrócona plecami do wody, sierżancie. Dlaczego nie zawróciła w stronę wejścia?

- Mogła stracić poczucie kierunku. Było ciemno, była ranna.

Whitey wzruszył ramionami i przez krótkofalówkę skontaktował się z punktem dowodzenia.

- Tu sierżant Powers. Podejrzewamy sto osiemdziesiąt siedem\*. Będziemy potrzebowali wszystkich dostępnych funkcjonariuszy do przeczesania Pen Park. Sprawdź, czy nie udałoby się wytrzasnąć kilku nurków.

- Nurków?

---

\* Kod policji amerykańskiej oznaczający zabójstwo (przyp. tłum.).

- Właśnie. Potrzebny nam tu będzie również porucznik Friel i ktoś z biura prokuratora okręgowego, i to szybko.

- Porucznik już jedzie. Biuro prokuratora okręgowego zostało zawiadomione. Odbiór.

- Potwierdzenie odbioru. Wyłączam się.

Sean dostrzegł z lewej strony odcisku obcasa kilka podłużnych bruzd. Najwidoczniej ofiara wyorała je palcami, drapiąc się w górę po skarpie.

- Miałby pan ochotę pospekulować trochę nad scenariuszem wydarzeń, jakie rozegrały się tutaj ostatniej nocy, sierżancie?

- Nie myślę nawet próbować - odburknął Whitey.

Ze szczytu schodów kościoła Jimmy ledwo mógł dojrzeć kanał Penitentiary. Majaczył z tej odległości, jako pas matowego fioletu po drugiej stronie estakady, po której biegła autostrada. Otaczający go park był jedyną plamą zieleni po tej stronie kanału. Jimmy dojrzał srebrną krawędź ekranu kina samochodowego pośrodku parku, wystającą nieznacznie ponad estakadę. Ekran wciąż tam stał, długo po tym, jak władze stanowe kupiły ten teren za powyborcze pieniądze na licytacji, po czym przekazały go przedsiębiorstwu Parki i Tereny Rekreacyjne, a ono przez następną dekadę upiększało nabytek. Wyrwano słupy, które zasilaly głośniki samochodowe, splantowano i obsadzono teren zielenią, wytyczono nad wodą ścieżki rowerowe i do joggingu, założono otoczone ogrodzeniem ogródki działkowe, zbudowano nawet szopę żeglarską i pomost dla kajakarzy, którzy jednak nie mogli wypływać zbyt daleko, bo z obu końców kanału zagradzały im drogę portowe śluzy. Ekran jednak przetrwał, gdyż stał z boku, w zakątku, który utworzono, sadząc zagajnik starych drzew, przywiezionych morzem z północnej Kalifornii. W lecie miejscowa trupa teatralna wystawiała pod ekranem dramaty Szekspira, malowała na nim średniowieczne tła, aktorzy z blaszanymi mieczami miotali się zaś po scenie i krzyčili „słysz” i „zaiste” oraz podobną dziwną gadkę. Przed dwoma laty Jimmy wybrał się na takie przedstawienie z Annabeth i dziewczętami. Annabeth, Nadine i Sara usnęły przed końcem pierwszego aktu. Natomiast Katie słuchała uważnie, wychylona do przodu na kocu, łokieć oparty na kolanie, podbródek podparty dłonią. Skoro ona słuchała, słuchał i Jimmy.

Tamtego wieczoru wystawiano Poskromienie złośnicy. Niewiele z tej sztuki zrozumiał. Chodziło o jakiegoś typa, który poddawał surowej tresurze swoją narzeczoną, aż przerobił ją na grzeczną i potulną żonę. Jimmy nie umiał dopatrzeć się

w tym wielkiej sztuki, ale podejrzewał, że wiele tracił w przekładzie na współczesną angielszczyznę. Tymczasem Katie była zachwycona. Co chwila wybuchała śmiechem, to znów słuchała w nabożnym skupieniu, a po skończonym spektaklu oznajmiła ojcu, że dramat był „zachwycający”.

Jimmy nie miał pojęcia, o czym ona gada, a Katie nie umiała mu wytłumaczyć swojego zachwytu. Powiedziała tylko, że sztuka ją „porwała”, i przez następne pół roku mówiła nieustannie, że po maturze wyjedzie do Włoch.

Patrząc teraz ze stopni kościoła na granicę dzielnicy East Bucky Flats, Jimmy pomyślał sobie: Włochy, już ja ci dam Włochy!

- Tato, tato! - Nadine odłączyła się od grupy koleżanek i podbiegła do ojca, gdy zszedł na najniższy stopień schodów. Uderzyła z impetem o jego nogi i powtórzyła: - Tato, tato!

Podniósł ją i pocałował w policzek. Owiał go silny zapach krochmalu z sukienki.

- Moja ty maleńka.

Takim samym ruchem, jakim jej matka zwykła odgarniać włosy z oczu, Nadine palcami odsunęła z twarzy welon.

- Ta sukienka drapie, że aż swędzi.

- Nawet mnie swędzi, chociaż jej nie noszę.

- Śmiesznie byś w niej wyglądał, tatusiu.

- Wcale nie, gdyby była lepiej dopasowana.

Nadine zrobiła minę, a potem podrapała ojcowski podbródek sztywnym obrąbkiem welonu.

- Łaskocze?

Jimmy spojrzał nad jej głową na Annabeth i Sarę i poczuł, jak te trzy istoty napełniają radością jego serce, sprawiając jednocześnie, że całkowicie zapomina o sobie.

Mogłaby w tej chwili przesyć mu plecy seria z broni maszynowej, a on by się nie poskarżył. Był szczęśliwy. Był najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Prawie. Przeczesał wzrokiem tłum w poszukiwaniu Katie, mając nadzieję, że może przybiegła na uroczystość w ostatniej chwili. Zamiast niej zobaczył radiowóz policji stanowej, skręcający z dużą szybkością na rogu Buckingham Avenue. Szerokim łukiem wjechał na lewy pas Roseclair, tylne koło zahaczyło o pas zieleni, zawodzące wycie syreny rozdarło poranną ciszę. Kierowca docisnął gaz do dechy, potężny silnik zawył i radiowóz pomknął Roseclair w stronę kanału Pen. Chwilę później przemknął



czarny, nieoznakowany wóz z milczącą syreną, trudno go jednak było nie rozpoznać. Pokonał zakręt poślizgiem i z wyciem silnika wjechał w Roseclair z prędkością siedemdziesięciu kilometrów na godzinę.

Jimmy postawił Nadine na ziemi. Poczł tę straszną, przerażającą pewność, że wszystkie elementy zaczynają nagle złowieszczo do siebie pasować. Patrzył, jak dwa policyjne radiowozy przejeżdżają pod estakadą i skręcają ostro w prawo, w stronę Pen Park. Niepokój o Katie, który miał we krwi, zmieszał się teraz z rykiem silnika i piskiem opon i naczynkami włoskowatymi dotarł do wszystkich komórek jego ciała.

Katie, omal nie krzyknął głośno. Chryste Jezu, Katie!

## Old MacDonald

Celeste obudziła się w niedzielę rano z głową wypełnioną myślami o rurach. O całej ich sieci, łączącej domy i restauracje, multipleksy i centra handlowe, spadającej rozrośniętymi sekcjami z wierzchołków czterdziestopiętrowych biurowców, piętro za piętro, o tej kolosalnej gmatwaninie rur prowadzącej do jeszcze bardziej zawilej sieci podziemnych kanałów i akweduktów, które biegną pod miastami i miasteczkami, łącząc ludzi bardziej realnie niż język, służąc jednemu tylko celowi - splukiwaniu materii, którą spożyliśmy i usunęliśmy z naszych ciał, z naszego życia, z naszych talerzy i tacek do lodówek.

Gdzie się to wszystko podziewa?

Prawdopodobnie musiała już wcześniej rozważać to zagadnienie, lecz w sposób niezobowiązujący, jak zastanawiamy się czasem, dlaczego samolot lata, skoro nie macha skrzydłami, ale teraz naprawdę pragnęła to wiedzieć. Leżała w pustym łóżku, niespokojna i podniecona, wsłuchując się w głosy Dave'a i Michaela, którzy dwa piętra niżej grali na podwórku za domem w wiffleball\*. Gdzie to się podziewa?

Gdzieś musi. Ta cała brudna woda, mydliny po myciu rąk, szampony, detergenty, papier toaletowy, rzygowiny z barów, plamy po kawie, plamy krwi, potu, brud z mankietów spodni, z kołnierzyków, zimne warzywa zgarniane z talerzy do koszy na śmieci, niedopałki papierosów, mocz, włoski zgolone z nóg, policzków, pachwin i podbródków - to wszystko spotykało się, co noc z milionami podobnych lub identycznych substancji i płynęło, jak się domyślała, przez wilgotne podziemne korytarze rojące się od robactwa do olbrzymich katakumb, gdzie mieszało się z nurtem wód, które wpadały... dokąd?

Ścieków już nie zrzuca się do oceanów. Czy aby naprawdę? Nie wolno. Przypomniała sobie coś mgliście o utylizacji odpadków i prasowaniu nieczystości stałych, choć nie przysięgłaby, czy nie widziała tego na jakimś filmie, a filmy były pełne wszelakiego kitu. Więc jeśli nie do oceanów, to gdzie? A jeśli do oceanów, to dlaczego? Musiał chyba istnieć jakiś lepszy sposób, prawda? Potem znowu ujrzała w wyobraźni te wszystkie rury i kanały ściekowe i ogarnęło ją zdziwienie.

---

\* Namiastka baseballu; gra się plastikową piłką z wgłębieniami na palce (przyp. tłum.).

Usłyszała tępy, plastikowy stuk pałki uderzającej o piłkę, a potem okrzyk Dave'a: „O psiakostka”, radosny krzyk Michaela i pojedyncze szczeknięcie psa, dźwięk równie ostry jak uderzenie pałką w piłkę.

Przekręciła się na plecy i dopiero teraz zdała sobie sprawę, że spała naga i aż do dziesiątej. Ani jedno, ani drugie nie zdarzało się często, jeśli w ogóle, odkąd Michael zaczął chodzić, więc zalała ją fala wyrzutów sumienia; przetoczyła się przez jej piersi i zgasła w zagłębieniu pępka. Celeste przypomniała sobie, jak o czwartej nad ranem, klęcząc, całowała w kuchni okolice świeżej rany Dave'a, wyczuwała w porach jego skóry adrenalinę i strach, a wszelki lęk przed AIDS czy zapaleniem wątroby przemogła nagłą potrzebą, by go smakować i tulić się do niego bez żadnych zahamowań. Zrzuciła z ramion szlafrok i pieściła językiem jego skórę. Klęczała na podłodze w krótkim podkoszulku i czarnych majteczkach, nocny chłód wdzierał się pod drzwiami w przedpokoju i kąsał ją w kolana i kostki nóg. Strach nadał skórze Dave'a na wpół cierpki, na wpół słodki smak. Sunęła językiem od blizny w górę aż do szyi męża, wsunęła rękę między jego uda, poczuła, jak twardnieje mu członek i usłyszała przyspieszony oddech. Pragnęła, by ta chwila trwała jak najdłużej, żeby mogła czuć smak jego skóry i siłę, którą nagle odkryła we własnym ciele. Podniosła się z klęczek, przywarła ciasno do Dave'a, wsunęła mu język do ust i chwyciła go mocno za włosy. Wyobraziła sobie, że wysysa z niego i przyjmuje w siebie cały ból tej strasznej przygody na parkingu. Obejmowała jego głowę i wtulała się w niego całym ciałem. Zdarł z niej w podnieceniu podkoszulek i zaczął całować piersi, a ona ocierała się łonem o jego podbrzusze, aż jęknął. Chciała, by zrozumiał, że tym właśnie są, tym ocieraniem się o siebie, przenikaniem się ciał, zapachów i potrzeby miłości, tak jest, miłości, bo kochała go teraz mocniej niż dotąd, gdyż zdała sobie sprawę, że mogła go stracić.

Gryzł zębami jej pierś, aż bolało, ssał chciwie, zbyt gwałtownie, a ona wcisnęła mu język jeszcze głębiej w usta i z radością witała ten ból. Nie miałyby nic przeciwko temu, gdyby zaczął chleptać jej krew, bo ssał ją, potrzebował jej, orał palcami jej plecy, przelewając w nią swój strach. Ona przyjmie go w siebie, a potem wypluje i poczują się oboje silniejsi niż kiedykolwiek. Była tego pewna.

Kiedy zaczęła chodzić z Dave'em, ich życie erotyczne cechował niezdarny brak granic. Wracała do mieszkania, które dzieliła z Rosemary, pokryta śladami ukąszeń, zadrapaniami na plecach i sińcami, wygnieciona aż do kości, wymiętoszona z taką niecierpliwością, jaką, myślała, musi czuć narkoman między kolejnymi ciągami. Po

urodzeniu Michaela - a właściwie odkąd Rosemary wprowadziła się do nich po raku numer jeden - Celeste i Dave wpadli w tę łatwą do przewidzenia małżeńską rutynę, na której temat żartuje się wciąż w sitcomach. Byli zwykle zbyt zmęczeni lub brakowało im odosobnienia, by mogli sobie pozwolić na coś więcej niż kilka minut pospiesznej gry wstępnej, na kilka zbliżeń oralnych, zanim przystąpili do głównego dania, które zresztą z biegiem lat upodabniało się do przerywnika używanego dla zabicia czasu między prognozą pogody a programem Jaya Leno.

Lecz zeszłej nocy to znowu było główne danie z karty namiętności, po którym, nawet teraz, gdy sama leżała w łóżku, była poruszona do głębi.

Dopiero, gdy usłyszała z dworu głos Dave'a, napominający Michaela, żeby się skoncentrował, „skoncentruj się, psiakrew!”, przypomniała sobie, co ją wcześniej dręczyło - jeszcze przed rurami, przed wspomnieniem ich szalonego seksu w kuchni, a może nawet przed położeniem się już nad ranem do łóżka: Dave ją okłamał.

Domyśliła się tego od razu, gdy wrócił zakrwawiony do domu, postanowiła to jednak zlekceważyć. Potem, kiedy położyła się w kuchni na linoleum i uniosła nad podłogę plecy i pośladki, aby mógł w nią wejść, uświadomiła to sobie ponownie. Wpatrywała się w jego oczy, już z lekka zamglone, kiedy wszedł w nią i opasał jej łydkami swoje biodra, i przyjęła jego pierwsze pchnięcia z rosnącą pewnością, że jego historyjka jest pozbawiona sensu.

Przede wszystkim, kto tak mówi: „Forsa albo życie, koleś. Jedno albo drugie”? Śmiechu warte. Już wtedy w łazience była tego pewna: takim językiem gadają tylko w filmach. Gdyby nawet ten bandzior przygotował sobie z góry swoją kwestię, niemożliwe, by naprawdę ją wygłosił. Niemożliwe. Celeste została kiedyś napadnięta w parku Common, miała wtedy prawie dwadzieścia lat. Napastnik, przyżółcony czarny wyrostek o płaskich, wąskich nadgarstkach i rozbieganych brązowych oczach, podszedł do niej w pustym parku w zimny wieczór, przytknął jej do biodra sprężynowy nóż i pozwolił zajrzeć na chwilę w swoje zimne oczy, zanim wysyczał szeptem: „Dawaj kasę, cizia”.

Wokół nich nie było nikogo, jedynie nagie grudniowe drzewa, a najbliższym człowiekiem był jakiś biznesman spieszący do domu Beacon Street po drugiej stronie żelaznego ogrodzenia, około dwudziestu metrów od nich. Napastnik nieco mocniej wbił nóż w dzinsy Celeste, nie przeciął materiału, ale wywarł nacisk, a ona poczuła w jego oddechu fetor zgnilizny zmieszany z wonią czekolady. Oddała mu portmonetkę, usiłując nie patrzeć w rozbiegane brązowe oczy i zwalczyć irracjonalne uczucie, że

napastnik miał więcej niż dwie ręce, a on wsunął zdobycz do kieszeni kurtki, warknął „Masz fart, że muszę lecieć” i poszedł w kierunku Park Street, bez pośpiechu, bez śladu lęku.

Od wielu kobiet słyszała podobne historie. Mężczyźni, przynajmniej w tym mieście, rzadko byli napadani, chyba, że sami się o to prosili, natomiast kobiety stałe to spotykało. Zawsze wisiała nad nimi groźba gwałtu, realna bądź wymyślona, ale w żadnej z opowieści, jakich wysłuchała, nie spotkała się z napastnikiem, który by się tak wysławiał. Nie mieli na to czasu. Musieli być maksymalnie zwięzli. Pojawić się i zniknąć, nim ktoś podniesie krzyk.

Dręczyła ją też zagadka ciosu wymierzonego, kiedy napastnik trzymał w drugiej ręce nóż. Jeśli przyjąć, że ręka z nożem była ręką dominującą, nasuwało się pytanie, kto wymierza cios ręką, której nie używa do pisania?

Owszem, wierzyła, że Dave znalazł się w okropnej sytuacji i był zmuszony działać zgodnie z logiką „zabij lub sam zginiesz”. Wiedziała, że nie był typem faceta, który takich sytuacji szuka. Jednak... jednak jego wersja była pełna nieprawdopodobieństw i luk. Przypominała nieudolne próby wyjaśnienia, skąd się wziął ślad szminki na kołnierzyku - owszem, może faktycznie nie dopuściłeś się zdrady, ale lepiej, żeby twoje tłumaczenie, nieważne jak fantastyczne, trzymało się kupy.

Wyobraziła sobie dwóch detektywów, siedzących w ich kuchni i zadających im pytania. Była pewna, że Dave pęknie. Jego historyjka rozpadnie się pod chłodnymi spojrzeniami śledczych, w krzyżowym ogniu pytań. Stanie się tak jak wtedy, gdy wypytywała go o jego dzieciństwo. Oczywiście, słyszała plotki. Dzielnica Flats była w gruncie rzeczy małym miasteczkiem w obrębie wielkiego miasta, wszyscy tu o wszystkich wiedzieli. Zapytała go kiedyś, czy w jego dzieciństwie zdarzyło się coś okropnego, coś takiego, z czego bał się dotąd zwierzać, dając mu do zrozumienia, że może teraz zwierzyć się jej, żonie, kobiecie, która nosi właśnie w brzuchu jego dziecko.

Spojrzał na nią wyraźnie zmieszany.

- A, myślisz o tamtym?

- O czym?

- Bawiłem się kiedyś z Jimmym i jeszcze jednym kumplem, Seanem Devine'em. Znasz go. Strzygłaś go kiedyś, pamiętasz?

Pamiętała. Pracował w policji, ale nie tu w mieście. Wysoki, kręcone włosy i aksamitny głos, który człowieka dosłownie przenikał na wskroś. Cechowała go ta sama nonszalancka pewność siebie, co Jimmy'ego - taka, jaka cechuje mężczyzn,

którzy są albo bardzo przystojni, albo szalenie pewni siebie.

Nie mogła jakoś wyobrazić sobie Dave'a obok takich mężczyzn, nawet, gdy byli chłopcami.

- Pamiętam - odrzekła.

- No więc zatrzymał się koło nas samochód, do którego wsiadłem, lecz wkrótce potem uciekłem.

- Uciekleś?

Potaknęła.

- Nic się takiego nie stało, kochanie.

- Ale, Dave...

Położył palec na jej ustach.

- Poprzestańmy na tym, dobrze?

Uśmiechał się, ale ona dostrzegła w jego oczach coś w rodzaju łagodnej hysterii.

- Pamiętam... co ja właściwie pamiętam?... pamiętam, że grałem w piłkę, kopalem puszki, że chodziłem do budy Looey & Dooley i starałem się nie przysypiać na lekcjach. Pamiętam niektóre przyjęcia urodzinowe i podobne drobiazgi. Nie mówmy o tym więcej, to był cholernie nudny okres. Natomiast w ogólniaku...

Dała za wygraną, podobnie jak wtedy, gdy kłamał po utracie pracy w American Messenger Service\* (twierdził, że dotknęła go wywołana recesją redukcja etatów, tymczasem inni mężczyźni z sąsiedztwa wcale nie musieli wtedy biegać za robotą), albo, gdy opowiadał, że jego matka umarła nagle na atak serca, choć wszyscy w sąsiedztwie wiedzieli, jak było naprawdę. Będąc w drugiej licealnej, wrócił kiedyś do domu i znalazł ją siedzącą przy kuchence gazowej, drzwi kuchni były zamknięte i uszczelnione ręcznikami, a pomieszczenie wypełniał gaz. Celeste doszła do wniosku, że Dave z jakiegoś powodu potrzebował tych kłamstewek, może chciał po swojemu opowiedzieć historię swego życia, przemodelować ją i zepchnąć na daleki plan tak, by dało się z nią żyć. Jeśli czyniło go to lepszym człowiekiem, kochającym mężem i troskliwym ojcem, choć często nieobecnym i zamkniętym w sobie, komu to mogło przeszkadzać?

Jednak obecne kłamstwo mogło go drogo kosztować, pomyślała, wkładając dzinsy i koszulę Dave'a. Mogło drogo kosztować ich oboje, skoro przyłożyła rękę do zatarcia śladów przestępstwa, piorąc ubranie męża. Jeśli nie był z nią szczerzy, nie mogła mu pomóc. A kiedy przyjdzie policja - a przyjdzie na pewno, to nie telewizja; najgłupszy,

---

\* Ogólnokrajowa sieć poczty kurierskiej (przyp. tłum.).

skacowany detektyw był przebieglejszy od nich obojga, gdy idzie o zbrodnię - rozbija w puch jego wersję, jak rozbija się jajko o krawędź patelni.

Dave'a okropnie bolała prawa ręka. Kostki spuchły mu jak balony, a kości nadgarstka wyglądały tak, jakby miały zaraz przebić skórę. Biorąc to pod uwagę, mógłby sobie darować, że nie rzuca Michaelowi soczystych piłek, a jednak starał się to robić. Jeśli chłopak nie potrafi odbić rogala i podkręconej, gdy piłka jest z plastiku, nie zdoła też trafić prawdziwej piłki, nadlatującej z dwa razy większą prędkością, i uderzyć jej pałką dziesięć razy cięższą od plastikowej.

Jego syn był drobny jak na siedmiolatka i zbyt naiwny jak na świat, w którym przyjdzie mu żyć. Można to było poznać po jego szczerej, otwartej twarzy i blasku ufnej nadziei w chabrowych oczach. Dave kochał tę naiwność syna, ale też jej nienawidził. Nie wiedział, czy znajdzie w sobie dość siły, by mu ją odebrać, ale wiedział, że w przeciwnym razie zrobi to za niego ten okrutny świat. Naiwność i kruchość, jakie odnajdował w swoim synu, były nie od dzisiaj przekleństwem Boyle'ów. To one sprawiały, że Dave - w wieku trzydziestu pięciu lat - bywał wciąż brany za studenta college'u i legitymowany w sklepach z alkoholem, gdzie go nie znano. Od czasu, gdy sam był w wieku Michaela, nie ubyło mu włosów, ani jedna zmarszczka nie przeorała twarzy, a z niebieskich oczu wзираła jak dawniej świeżość i niewinność.

Michael przykucnął, jak go nauczono, poprawił czapkę i wzniosł pałkę nad ramieniem. Kolana mu się zakolebały, bo je rozluźnił, nawyk, który Dave starał się bezskutecznie wykorzenić. Mając nadzieję wykorzystać ten błąd, posłał teraz synowi szybką piłkę jeszcze przed całkowitym wyprostowaniem ramienia. Wnętrze dłoni aż go zapiekło od siły uchwytu.

Michael przestał się kołysać, ledwie Dave wziął zamach, choć zrobił to szybko, i gdy piłka świsnęła w powietrzu, a potem opadła nad bazą, zamachnął się nisko i uderzył mocno, jakby trzymał w rękach długi kij golfowy. Dave dostrzegł uśmiech zadowolenia na twarzy Michaela, zmieszany z lekkim zdumieniem nad własną nieoczekiwaną sprawnością. Już miał puścić odbitą piłkę, lecz machinalnie ją zbił. Poczul, jak coś pęka mu w piersi, gdy uśmiech zgasł na twarzy jego syna.

- Ho, ho - zawołał, by wyrazić mu jednak swój podziw po tak soczystym uderzeniu

- to był kapitalny zamach, Yaz\*.

Michael wciąż walczył z zachmurzoną miną.

- Więc jakim cudem ją zbiłeś?

Dave podniósł piłkę z trawnika.

- Nie wiem. Może dzięki temu, że jestem sporo wyższy od chłopców z Małej Ligi?

Uśmiech Michaela zadrzał słabo, gotów ponownie zgasnąć.

- Naprawdę?

- Pozwól, że spytam. Znasz kogoś z drugiej klasy, kto mierzy prawie metr osiemdziesiąt?

- Nie.

- A musiałem jeszcze podskoczyć.

- Właśnie.

- Właśnie. Do odbicia za pierwszą bazę musiałem wyciągnąć się w górę jak struna.

Michael tym razem szczerze się roześmiał. Miał śmiech po matce, niepewny i drżący.

- Fajnie...

- Gibałeś się, stary.

- Wiem.

- Kiedy już przyjmiesz pozycję, zastygasz w bezruchu, chłopie.

- Ale przecież Nomar...

- Nie musisz mi mówić. Podobnie Derek Jeter\*. Twoi idole, wiem. Kiedy wyciągasz dziesięć melonów za sezon, możesz sobie na to pozwolić. Do tego czasu...

Michael wzruszył ramionami i kopnął kępkę trawy.

- Do tego czasu, Mike? Chłopak westchnął.

- Do tego czasu skupiam się na podstawach.

Dave uśmiechnął się i zaczął podrzucać wokół siebie piłkę, łapiąc ją na oślep.

- To było jednak superuderzenie.

- Naprawdę?

- Stary, ta piłka poleciałaby do śródmieścia, gdybym jej nie zbił.

- Poleciałaby do śródmieścia - powtórzył Michael i zaszemrał śmiechem swojej matki.

---

\* Przechwisko Carla Yastrzemskiego, słynnego gracza drużyny Boston Red Sox, który zakończył karierę w 1983 r. (przyp. tłum.).

\* Gracze baseballowi; Garciparra Nomar - shortstop w drużynie Red Sox; Derek Jeter - centr drużyny New York Yankees (przyp. tłum.).



- Kto leci do śródmieścia?

Odwrócili się i zobaczyli stojącą na ganku Celeste. Włosy związała w koński ogon, była boso i miała na sobie koszulę Dave'a, wypuszczoną na spłowieale dzinsy.

- Cześć, mammo.

- Cześć, aniołku. Wybierasz się z ojcem do miasta?

Michael zerknął na Dave'a. To nieporozumienie stało się nagle ich prywatnym żartem, więc zachichotał z satysfakcją.

- Nie, mammo.

- Dave?

- Chodzi o piłkę, którą twój syn przed chwilą uderzył. Leciała do śródmieścia.

- A, piłkę!

- Rąbnąłem ją, że hej, mammo. Tata zbił ją tylko dlatego, że jest wysoki.

Dave wyczuwał, że Celeste obserwuje go nawet wtedy, gdy patrzy na syna. Obserwuje i czeka, jakby chciała go o coś zapytać. Przypomnił sobie jej chrapliwy głos z ubiegłej nocy, kiedy uniosła się nad podłogą w kuchni, złapała go za szyję i wsaczyła mu do ucha zachrypniętym szeptem: „Jestem teraz tobą, a ty jesteś mną”.

Nie miał pojęcia, o czym ona mówi, ale podnieciło go brzmienie jej głosu i ten chrapliwy ton przyśpieszył wytrysk.

Teraz jednak czuł, że Celeste podejmuje kolejną próbę wdarcia się do jego duszy, żeby się tam szarogęścić, i to go zirytowało. Ponieważ ilekroć ktoś zaglądał mu w duszę, uciekał jak niepyszny, ujrzawszy to, co tam zobaczył.

- Co się stało, kochanie?

- Och, nic takiego. - Objęła się ramionami, choć było już dość ciepło. - Mike, ty już jadłeś?

- Jeszcze nie.

Spojrzała na Dave'a z wyrzutem, jakby fakt, że Michael uderzył kilka piłek przed śniadaniem, na które podawała mu musli, od czego skakał mu cukier, równał się zbrodni stulecia.

- Musli i mleko czekają już na stole.

- Fajnie. Umieram z głodu.

Chłopiec odrzucił pałkę. Dave poczuł się zdradzony, bo zrobił to ze skwapliwością i szybko pobiegł ku schodom. Umierasz z głodu, bratku? Cóż to, zakleiliśmy ci usta taśmą, że nie mogłeś mi o tym powiedzieć? Cholerny świat!

Michael przebiegł obok matki, a potem rzucił się na schody prowadzące na piętro,

jakby mogły zniknąć, jeśli w porę nie wbiegnie na górę.

- Ty nie jesz śniadania, Dave?

- Odkąd to sypiasz do południa?

- Jest dopiero kwadrans po dziesiątej - odcięła się, a Dave poczuł, jak cała dobra wola, jaką wpompowali na powrót do swego małżeństwa dzięki kuchennemu szaleństwu minionej nocy, zmienia się w dym i odpływa siwą smugą nad ogródkami sąsiadów.

Zmusił się do uśmiechu. Jeśli uda mu się uśmiechnąć w miarę wiarygodnie, rozbroi żonę.

- Więc o co chodzi, skarbie?

Celeste zeszła z ganku na podwórze, jej nagie stopy odcinały się lekką opalenizną na tle trawy.

- Co się stało z nożem?

- Słucham?

- Z nożem - szepnęła, spoglądając przez ramię na okno sypialni McAllistera. - Z nożem tego bandziora. Co się z nim stało, Dave?

Wyrzucił piłkę wysoko w górę i złapał spadającą za plecami.

- Przepadł.

- Przepadł? - Wydęła wargi i spojrzała pod nogi. - Nie zalewaj, Dave.

- Ja zalewam, skarbie?

- Gdzie przepadł?

- Przepadł i już.

- Jesteś pewien?

Był pewien. Uśmiechnął się i spojrzał jej w oczy.

- Absolutnie.

- Jest na nim twoja krew, pamiętaj. I twoje DNA. Czy przepadł tak dokładnie, że nigdy nie zostanie znaleziony?

Nie znał odpowiedzi na to pytanie, więc po prostu wpatrywał się w jej oczy dopóty, dopóki nie zmieniła tematu.

- Przejrzałeś dzisiejszą gazetę?

- Oczywiście.

- Znalazłeś coś?

- O czym?

- O czym? Dobre sobie! - syknęła z irytacją.

- A... tak. - Pokręcił głową. - Nie, nic. Żadnej wzmianki. Pamiętaj, że było późno, skarbie.

- Nie opowiadaj głupstw. A na stronach miejskich? Te strony zawsze składają ostatnie, czekają na najświeższe raporty policyjne.

- Odkąd to pracujesz w prasie?

- To nie są żarty, Dave.

- Wiem, to nie są żarty. Powtarzam ci więc, że w porannym wydaniu nie ma na ten temat ani słowa. Kropka. A dlaczego? Pojęcia nie mam. Obejrzymy dziennik w południe, może coś powiedzą.

Celeste ponownie spojrzała na trawę pod nogami i kilka raz pokiwała głową.

- Tylko co powiedzą, Dave?

Odstąpił od niej na krok.

- Czy o czarnym mężczyźnie pobitym prawie na śmierć przed... gdzie to było?

- Przed... hm... przed barem Ostatnia Kropla.

- Ostatnia Kropla.

- Właśnie.

- W porządku, Dave. Wierzę ci - Powiedziawszy to, odwróciła się plecami, weszła po schodach na ganek, a potem do domu. Wsłuchiwał się w odgłos jej bosych stóp, gdy wchodziła po schodach na górę.

Zawsze tak robią. Opuszczają cię. Może nie zawsze fizycznie. Emocjonalnie, duchowo. Nigdy ich nie ma, gdy ich potrzebujesz. To samo było z matką. Tego ranka, gdy policja odwiozła go do domu, matka przygotowała mu śniadanie, odwrócona do niego plecami, nucąc pod nosem piosenkę Old MacDonald. Od czasu do czasu oglądała się przez ramię i uśmiechała do syna niepewnie, jak gdyby był stołownikiem, do którego nie miała zaufania.

Postawiła przed nim talerz z niedosmażoną jajecznicą, przypalonym bekonem i niedopieczonym, rozmiękłym tostem i zapytała, czy nie chciałby soku pomarańczowego.

- Mamo - zapytał - kim oni byli? I czemu...

- Chcesz soku, Davey - przerwała mu. - Nie dosłyszałam.

- Chcę. Posłuchaj, nie rozumiem, dlaczego oni...

- Proszę. - Postawiła przed nim szklanę. - Zjedz śniadanie, a ja tymczasem... - Machnęła w powietrzu ręką, jakby nie miała pojęcia, co tymczasem. - Pójdę... upiorę twoje rzeczy, dobrze? A wiesz, co zrobimy potem, Davey? Pójdziemy do kina. Chcesz?

Wpatrywał się w nią, czekając na znak, zachętę, by wszystko jej opowiedział o samochodzie i o domu w lesie, o zapachu płynu po goleniu tego wielkiego mężczyzny. Zamiast tego widział beztroską, wymuszoną wesołość, minę, jaką czasem przybierała, szykując się do wyjścia w piątkowe wieczory, gdy zastanawiała się, co na siebie włożyć, półprzytomna z podniecenia.

Zwiesił głowę i zmiotł z talerza jajecnicę. Słyszał, jak matka wychodzi z kuchni i idzie przez korytarz, nucąc Old MacDonald.

Stojąc teraz na podwórku z obolałymi kostkami dłoni, nadal ją słyszał. Stary MacDonald farmę miał. A na tej farmie siał, orał, bronował i zbierał plony i wszystko szło jak po maśle. Wszyscy byli szczęśliwi, nawet kury i krowy, i nikt nie potrzebował o niczym opowiadać, bo nie zdarzało się nigdy nic złego, nikt nie miał żadnych sekretów, sekrety były zarezerwowane dla złych ludzi, takich, którzy nie zjadali jajecnicy, wsiadali z nieznajomymi do samochodów pachnących jabłkami i znikali na cztery dni, a gdy potem wracali do domu, stwierdzali, że wszyscy, których znali, także zniknęli, zastąpiły ich fałszywie uśmiechnięte sobowtóry, gotowe zrobić wszystko, byle tylko nie wysłuchać zwierzeń. Prawie wszystko, z jednym wyjątkiem.

## Płetwonurkowie w Pen

Zbliżając się do wejścia do Pen Park od strony Roseclair, Jimmy zobaczył furgonetkę wydziału K-9\* zaparkowaną na Sydney Street. Tylne drzwi były otwarte, a dwaj funkcjonariusze usiłowali przywołać do porządku sześć owczarków niemieckich na długich skórzanych smyczach. Jimmy przyszedł Roseclair Street od strony kościoła, starał się usilnie nie podbiegać i dołączył do grupy gapiów przy estakadzie nad Sydney. Stali u dołu skarpy, po której Roseclair zaczyna się wznosić, przebiega pod autostradą, a potem przeskakuje nad kanałem Pen, tracąc po drugiej stronie swoją nazwę na rzecz Valenz Boulevard, kiedy opuszcza Buckingham i wślizguje się w Shawmut.

W miejscu, gdzie zgromadził się tłumek gapiów, można było stanąć na koronie wysokiego na jakieś pięć metrów muru oporowego z lanego betonu, który zamykał od tej strony Sydney i dominował nad ostatnią biegnącą z północy na południe ulicą East Bucky Flats. W rzepki kolanowe wbijała się tu gapiom zardzewiała balustrada, która kilka metrów dalej na wschód od tego punktu widokowego ustępowała miejsca pomalowanym na niebiesko schodom z piaskowca. Jako chłopcy umawiali się tam czasem na randki z dziewczętami, rozsiadali w cieniu, podawali sobie z rąk do rąk plastikowe butelki z piwem Millera i przyglądali się obrazom migającym w oddali na białym ekranie kina samochodowego Hurleya. Dave'a Boyle'a też ze sobą zabierali, nie dlatego, by był specjalnie lubiany, ale dlatego, że obejrzał prawie wszystkie filmy, jakie kiedykolwiek nakręcono, więc czasem, gdy się bardziej ululali, kazali mu podkładać dialogi pod milczący w dali ekran, a on zazwyczaj tak się starał, że zmieniał nawet głos w zależności od postaci, jaką dubbingował. Potem stał się niezłym baseballistą, poszedł do Don Bosco i został gwiazdą ligi akademickiej, więc nie mogli dłużej robić sobie z niego jaj.

Jimmy nie miał pojęcia, dlaczego nagle pamięć przywołała te wspomnienia ani dlaczego stał jak otępiały przy balustradzie i gapił się w dół na Sydney. Może przyciągnęły jego uwagę te wilczury, które wyskoczywszy z furgonetki, dreptały

---

\* W policji amerykańskiej oddziały pracujące z psami służbowymi (przyp. tłum.).

nerwowo w miejscu i drapały pazurami asfalt. Jeden z przewodników podniósł do ust walkie-talkie, kiedy nad śródmieściem pojawił się helikopter i leciał w ich stronę podobny do grubej pszczoły, pęczniejącej w oczach Jimmy'ego z każdym mrugnięciem powiek.

Wstępu na niebieskie schody bronił jakiś młody gliniarz, a nieco dalej na Roseclair blokowały drogę wjazdową do parku dwa policyjne radiowozy i kilku chłopców w niebieskich mundurach.

Psy ani razu nie szczeknęły. Jimmy obejrzał się, gdy zdał sobie sprawę, że to go właśnie dręczyło, odkąd je zobaczył. Choć ich dwadzieścia cztery łapy przebierały nerwowo po asfalcie, była w tym zwarta gotowość maszerujących w miejscu żołnierzy i Jimmy wyczuł śmiertelną moc w czarnych pyskach i smukłych bokach wilczurów, których ślepia jarzyły się jak węgle.

Pozostała część Sydney przypominała poczekalnię przed zamieszkami ulicznymi. Ulica roiła się od mundurowych, kilkunastu przeszukiwało metodycznie zarośla na skraju parku. Ze swojego miejsca Jimmy widział fragment parku, w którym również kręcili się policjanci. Niebieskie mundury i sportowe kurtki w kolorach ziemi przesuwały się w różne strony na tle trawy. Funkcjonariusze zagłądali z brzegów do kanału Pen i nawoływali się między sobą.

Mała ich grupka skupiła się na Sydney Street za furgonetką wydziału K-9, poza tym kilku tajniaków stało opartych o nieoznakowane wozy, zaparkowane po drugiej stronie ulicy. Popijali kawę, ale żaden nie błaznował, jak zwykli czynić gliniarze, serwując jeden drugiemu dla śmiechu kawałki z ostatnich patroli. Jimmy wyczuwał tylko czyste napięcie - biło od psów, od milczących policjantów opartych o radiowozy, od helikoptera, który nie przypominał już pszczoły, gdy z rykiem przeleciał nisko nad Sydney i zniknął za importowanymi z innych stron kraju drzewami i ekranem kina samochodowego w Pen Park.

- Cześć, Jimmy. - Ed Deveau trącił Jimmy'ego łokciem i rozerwał zębami torebkę drażetek M&M.

- Co tu się dzieje, Ed?

Deveau wzruszył ramionami.

- To już drugi helikopter, jaki tam poleciał. Pierwszy zaczął krążyć nad naszym domem jakieś pół godziny temu, aż powiedziałem do mojej starej: „Matka,

przeprowadziliśmy się do Watts\*, a ja nic o tym nie wiem?” - Wrzucił trochę drażetek prosto do gardła i ponownie wzruszył ramionami. - Przywlokłem się tutaj, żeby zobaczyć, o co ten cały raban.

- I czego się dowiedziałeś?

Deveau przeciął dłonią powietrze przed własnym nosem.

- Niczego. Gliniarze zacisnęli usta mocniej niż moja matka swoją portmonetkę. Podchodzą do rzeczy cholernie poważnie, stary. Zablokowali Sydney od każdej możliwej strony, kurna ich mać. Z tego, co słyszałem, patrole i zapory stoją na Crescent, na Harborview, na Sudan, Romsey, aż po Dunboy. Ludzie z Dunboy zostali odcięci od świata i szlag ich trafia. Słyszałem, że gliniarze pływają w tę i nazad łodziami po Pen. Zadzwonił do mnie Boo Bear Durkin i powiedział, że widział ze swojego okna płetwonurków. - Wyciągnął rękę. - Patrz, ale numer.

Jimmy pobiegł wzrokiem za palcem Deveau. Trzech policjantów wywlekało jakiegoś pijaczynę ze skorupy wypalonego dwupiętrowego domu w dole Sydney. Pijaczkowi nie było to w smak, opierał się i szarpał, więc jeden z policjantów zrzucił go na twarz ze zwęglonych schodów. Jimmy'emu wciąż dźwięczało w uszach słowo wypowiedziane przez Deveau: płetwonurkowie. Nie posyła się płetwonurków do zbiorników wodnych dla zabawy, żeby szukali kogoś, kto jeszcze żyje.

- Oni nie żartują. - Deveau gwizdnął, po czym obrzucił Jimmy'ego zaciekawionym spojrzeniem. - Coś się tak odstawił?

- Nadine miała komunię.

Jimmy przyglądał się, jak jeden z policjantów podnosi pijaczka, mówi mu coś do ucha, po czym pakuje faceta do oliwkowego sedana z kogutem przyczepionym do dachu nad siedzeniem kierowcy.

- Gratulacje - ucieszył się Deveau. Jimmy podziękował mu uśmiechem.

- Więc co tu jeszcze robisz?

Deveau spojrzał za siebie w głąb Roseclair w stronę kościoła Świętej Cecylii i Jimmy poczuł się nagle niezręcznie. Rzeczywiście, co on tu robi w tym jedwabnym krawacie i garniturze za sześćset dolarów, brudząc buty w obrastających balustradę chwastach?

Katie, przypomniał sobie.

Mimo to nadal czuł się niezręcznie. Katie nie przyszła na pierwszą komunię świętą

---

\* Dzielnica Watts w Los Angeles, gdzie w 1965 r. miały miejsce krwawe zamieszki na tle rasowym (przyp. tłum.).

przyrodniej siostry, bo przesypiała kaca albo słuchała porannych pościelowych zwierzeń swojego ostatniego kochanka. Cholera. Gdyby nie była naćpana, przyszłaby na uroczystość. Jimmy nie zaglądał do kościoła przez dobre dziesięć lat, od chrztu Katie. A i później zaczął chodzić regularnie dopiero po poznaniu Annabeth. To jeszcze nic nie znaczyło, że gdy zobaczył radiowozy skręcające z piskiem opon w Roseclair, poczuł... właściwie, co?... zapowiedź nieszczęścia? Jeśli tak, to tylko dlatego, że się o nią martwił... Martwił i zarazem był na nią wściekły. Dlatego myślał o córce, przyglądając się radiowozom pędzącym w stronę Pen Park.

A teraz? Czuł się jak odrętwiały. Odrętwiały i komicznie odstawiony. Było mu też głupio, że poprosił Annabeth, by zabrała dziewczynki do restauracji Chuck E. Cheese, mówiąc, że sam zaraz do nich dołączy. Spojrzała mu w oczy z mieszaniną irytacji, zatroskania i z trudem tłumionej złości.

Jimmy odwrócił się w stronę Deveau.

- Przygnała mnie ciekawość, jak chyba wszystkich. - Poklepał kolegę po ramieniu. Będę już spadał, Ed - powiedział.

Tymczasem w dole, na Sydney, jeden z policjantów rzucił drugiemu kluczyki do samochodu, a ten wskoczył do furgonetki sekcji K-9.

- Dobra. Trzym się, stary.

- Ty też - odpowiedział powoli Jimmy.

Nadal przyglądał się ulicy. Furgonetka cofnęła się, zatrzymała na chwilę i skręciła w prawo. Znowu Jimmy'ego dopadło złowróżbne przecucie.

Czuł je w duszy, nie w głowie. Czasem można było w ten sposób, poza obszarem logiki, wyczuć prawdę i na ogół trafnie, jeśli chodziło o taką, jakiej człowiek wolałby nie poznać, bo nie miał pewności, czyby ją zniósł. Takie prawdy człowiek próbował ignorować, dlatego chodził do psychoterapeutów, spędzał masę czasu w barach i znieczulał makówkę przed telewizorem - żeby się schować przed tymi nagimi, strasznymi prawdami, które jego dusza rozpoznawała na długo przed rozumem.

Jimmy czuł, jak potworne przecucie przygważdża go do miejsca, choć pragnął ze wszystkich sił uciekać stąd jak najprędzej, jak potrafił; zresztą zrobić cokolwiek, byle nie stać i nie patrzeć, jak furgonetka wyjeżdża na jezdnię. Te same gwoździe, które przygwoździły buty, przebiły mu też piersi - grube, zimne bretnale, jakby wystrzelone z armaty. Chciał zamknąć oczy, lecz powieki miał również przybite gwoździami, szeroko otwarte. Tymczasem furgonetka wyjechała na środek jezdni i Jimmy zobaczył samochód, który zasłaniała, samochód, wokół którego wszyscy się skupiali, czyścili go



pędzelkami, fotografowali, zaglądali do środka, podawali jakieś przedmioty w plastikowych torebkach policjantom stojącym na jezdni i na chodniku.

Samochód Katie.

Nie tylko ten sam model. Nie tylko samochód podobny do jej samochodu, ale ponad wszelką wątpliwość jej samochód, z wgnieceniem z prawej strony na przednim zderzaku, ze zbitym szkłem prawego reflektora.

- Jezus Maria, Jimmy! Jimmy? Jimmy, popatrz na mnie! Dobrze się czujesz?

Jimmy przeniósł wzrok na Eda Deveau. Nie wiedział, jak się tu znalazł, na kolanach, z dłońmi przyciśniętymi do ziemi, otoczony przez pochylone nad nim okrągłe irlandzkie twarze, które przyglądały mu się z ciekawością.

- Jimmy? - Deveau podał mu rękę. - Nic ci się nie stało?

Jimmy wpatrywał się w jego dłoń i nie wiedział, co odpowiedzieć. Płetwonurkowie, pomyślał. Płetwonurkowie przeszukują kanał Pen.

Whitey znalazł Seana wśród drzew jakieś sto metrów za wąwozem. Zgubili krwawy trop i ślady stóp na otwartych obszarach parku. Padający w nocy deszcz zmył wszystko, czego nie zdołała zataić natura.

- Psy podjęły trop koło tego starego ekranu. Kopniesz się tam?

Sean kiwnął głową. Tymczasem zaćwierkał jego radiotelefon.

- Devine, policja stanowa.

- Mamy tu gościa...

- Tu to znaczy gdzie?

- Wejście od Sydney.

- Raportujcie dalej.

- Twierdzi, że jest ojcem zaginionej.

- Skąd się tam wziął, do cholery? - Sean poczuł, jak twarz mu płonie od uderzenia krwi.

- Jakoś się prześlizgnął. Co mam mu powiedzieć?

- Psiakrew!... Spław go jakoś. Macie już na miejscu psychologa?

- Jest w drodze.

Sean zamknął oczy. Wszyscy byli w drodze, jakby utknęli w tym samym zasranym korku.

- No więc staraj się go uspokoić, póki nie zjawi się psycholog. Znasz procedurę.

- Tak, ale on pyta o pana.

- O mnie?
  - Mówi, że pan go zna. Podobno ktoś mu powiedział, że pan tu jest.
  - Nie, nic z tego. Słuchaj...
  - Są z nim jacyś kumple.
  - Kumple?
  - Banda zakapiorów. Wyglądają jak pokurcze, a podobni do siebie jak dwie krople wody.
- Bracia Savage. A niech to jasna cholera!
- Już do was idę.

Val wręcz się prosił, by go aresztować. Podobnie Chuck. Temperament Savage'ów, rzadko umiarkowany, wybuchnął z całą gwałtownością. Bracia krzyčeli na policjantów, ci zaś wyglądali tak, jakby za chwilę mieli sięgnąć po pałki.

Jimmy stał z Kevinem Savage'em, jednym z normalniejszych członków tej rodziny, kilka metrów od taśmy policyjnej obok Vala i Chucka, którzy z wyciągniętymi nad taśmą rękami wrzeszczeli:

- Tam jest nasza siostrzenica, kutasy pieprzone!

Jimmy znajdował się na granicy kontrolowanej hysterii, z trudem hamowanego wybuchu, a natężenie tych uczuć sprawiło, że chwiał się jak zaczadziały. To był jej samochód, o kilka metrów od niego. Nikt jej nie widział od ubiegłej nocy. Na oparciu fotela kierowcy dostrzegł ślady krwi. Nie wyglądało to najlepiej. Ale przecież cały batalion glin przeczesywał park i jak na razie nie pojawił się worek na zwłoki. Tak to wyglądało.

Zobaczył, jak jakiś starszy policjant zapala papierosa i miał ochotę wyrwać mu go z gęby, wbić rozżarzoną końcówkę do dziurki nosa i powiedzieć: „Zapierdalaj tam, kurwa, szukaj mojej córki!”.

Zaczął liczyć od dziesięciu do jednego, sztuczka, jakiej nauczył się na Deer Island. Liczył powoli, przyglądając się, jak kolejne cyfry, szare i rozmyte, pojawiają się i nikną na mrocznym ekranie jego mózgu. Gdyby zaczął krzyčać, usunięto by go stąd. Podobny rezultat osiągnąłby, dając upust rozpaczom, niepokojom czy paraliżującemu go strachowi. Potem rozszaleliby się bracia Savage i wszyscy wylądowaliby w pudle, zamiast czekać na ulicy, w miejscu, gdzie po raz ostatni widziano jego córkę.

- Val! - zawołał.

Val Savage cofnął znad żółtej taśmy rękę oraz paluch wymierzony w kamienną

twarz jednego z gliniarzy i obejrzał się na szwagra.

Jimmy pokręcił głową.

- Opanuj się.

Val podskoczył do niego.

- Te skurwiele nie chcą nas tam wpuścić, Jim. Zabraniają nam tam wejść.

- Wykonują swoją robotę.

- Robotę? Pieprzę ich robotę.

- Chcecie mi pomóc? - zapytał Jimmy, kiedy również Chuck podszedł i stanął obok brata. Był niemal dwa razy od niego wyższy, lecz tylko w połowie tak niebezpieczny, choć i tak niebezpieczniejszy od przeważającej części społeczeństwa.

- Jasne - burknął Chuck. - Co mamy robić?

- Val? - Jimmy zwrócił się do drugiego z braci.

- Co? - W oczach Vala czaił się obłęd, a wściekłość biła od niego jak odór z otwartego szamba.

- Chcesz mi pomóc?

- Jasne, jasne, że chcę. Kurwa, przecież wiesz!

- Wiem - przytaknął Jimmy i usłyszał we własnym głosie podniesiony ton, który spróbował połknąć. - Wiem, stary. Chodzi o moją córkę, kapujesz?

Kevin położył rękę na ramieniu Jimmy'ego, a Val cofnął się o krok i przez chwilę patrzył w ziemię.

- Przepraszam, Jimmy. Już spoko. Jestem po prostu wnerwiony. Wkurwiony znaczy.

Jimmy spróbował się odezwać głosem opanowanym i zmusić mózg do chłodnej kalkulacji.

- Kopnijcie się teraz we trzech do Drew Pigeona. Powiedzcie mu, co zaszło.

- Po chuj do Pigeona?

- Zaraz się dowiesz, Val. Pogadajcie z Eve, jego córką, i Dianą Cestra, jeśli ją tam jeszcze zastaniecie. Zapytajcie, kiedy ostatni raz widziały tej nocy Katie. O której dokładnie godzinie, Val, ale co do minuty. Wypytajcie, czy dużo piły, czy Katie miała zamiar z kimś się spotkać, czy była z kimś umówiona. Możecie to dla mnie zrobić, stary? - Zadając to pytanie, Jimmy patrzył nie na Vala, lecz na Kevina, bo tylko on dawał gwarancję utrzymania brata w ryzach.

Kevin kiwnął głową.

- Masz to jak w banku, Jim.

- Val?

Val zerknął przez ramię na rosnące u wejścia do parku zarośla, po czym spojrział na szwagra i potaknął nerwowo małą główką.

- Jasna sprawa.

- Te dziewczyny to jej przyjaciółki. Nie duście ich za bardzo, wydobądźcie z nich tylko te informacje. Kapujecie?

- Jasne - potaknął Kevin, dając Jimmy'emu do zrozumienia, że sobie poradzi. Klepnął starszego brata po ramieniu. - Chodź, Val. Do roboty.

Jimmy odprowadzał wzrokiem braci oddalających się Sydney Street. Obok siebie czuł dyszącego chęcią mordy Chucka.

- Trzymasz się, stary?

- Jasne, kurwa - odparł Chuck. - O ciebie się martwię.

- Niepotrzebnie. Jestem już spokojny. Nie mam innego wyboru, prawda?

Chuck nie odpowiedział. Jimmy pobiegł spojrzeniem na drugą stronę Sydney, gdzie stał samochód Katie, i zobaczył wychodzącego z parku przez pas zarośli Seana Devine'a. Sean patrzył prosto na niego. Był wysoki i szedł szybko, mimo to Jimmy dostrzegł na jego twarzy ten znany mu z dzieciństwa wyraz, którego zawsze serdecznie nienawidził - minę faceta, któremu świat ściele się do stóp. Dorosły Sean wciąż go nosił, jak odznakę, znacznie okazalszą od tej, którą miał przypiętą do paska. Wkurwiał tym ludzi, choć nie zdawał sobie z tego sprawy.

- Cześć, Jimmy - powiedział Sean i wyciągnął rękę.

- Cześć. Dowiedziałem się, że tu jesteś.

- Od wczesnego rana. - Sean obejrzał się przez ramię, po czym znowu popatrzył na dawnego kolegę. - Na razie nie mogę ci powiedzieć nic pewnego, stary.

- Ona tam jest? - Jimmy usłyszał we własnym głosie drzenie.

- Nie wiem. Nikogo dotąd nie znaleźliśmy. Tylko tyle mogę ci powiedzieć.

- Więc nas tam wpuście - wtrącił Chuck. - Pomożemy szukać. Wciąż się przecież widuje w telewizji, jak to zwykli obywatele pomagają w poszukiwaniu zaginionych dzieci i tak dalej.

Sean nie odrywał oczu od Jimmy'ego, jakby Chuck był powietrzem.

- To nie takie proste, Jimmy. Nie możemy wpuścić cywili, dopóki nie przeszukamy każdego metra kwadratowego tego zakątka.

- O jaki zakątek chodzi? - zapytał Jimmy.

- Właściwie o cały ten pieprzony park. Słuchaj... - Sean poklepał Jimmy'ego po

ramieniu - przyszedłem tu, chłopcy, by wam powiedzieć, że w tej chwili nie możecie nam pomóc. Przykro mi. Nic na to nie poradzę. Jak tylko się czegoś dowiemy... czegokolwiek, Jimmy... natychmiast cię zawiadomimy. Obiecuję.

Jimmy kiwnął głową i ujął Seana pod łokieć.

- Mogę z tobą zamienić dwa słowa?

- Oczywiście.

Zostawili Chucka przy krawężniku i odeszli kilka kroków w dół ulicy. Sean spiał się w sobie, przygotowując się na to, co zaraz powie Jim. Spróbował się zmienić w chłodnego zawodowca. Patrzył na dawnego kolegę oczami policjanta, w których nie było współczucia.

- To samochód mojej córki.

- Wiem, ja...

Jimmy uciszył go gestem ręki.

- Sean, to jest samochód mojej córki. Jest w nim krew. Nie przyszła dziś rano do pracy. Nie zjawiała się na pierwszej komunii swojej młodszej siostry. Nikt jej nie widział od wczorajszej nocy. Rozumiesz? Chodzi o moją córkę, Sean. Nie masz dzieci, więc mnie raczej nie zrozumiesz, ale chociaż się postaraj, stary. Chodzi o moją córkę.

W chłodnym spojrzeniu policjanta nie pojawiło się żadne cieplejsze światelko.

- Co ci mogę powiedzieć, Jim? Jeśli chcesz, żebym ci powiedział, z kim była tej nocy, pošlę paru chłopaków, zaraz to ustalą. Jeśli miała wrogów, odnajdę ich i sprawdzę. Jeśli chcesz...

- Mają tu psy, Sean. Psy, do mojej córki. Psy i płetwonurków.

- To prawda. Ściągnęliśmy prawie połowę naszych sił, Jimmy. Stanowych i miejskich. Do tego dwa helikoptery, dwie łodzie, bo naprawdę chcemy ją znaleźć. Nie pomożesz nam, stary. Nie w tej chwili. Nie masz tu nic do roboty. Rozumiemy się?

Jimmy obejrzał się na Chucka, który stał na chodniku i - wychylony jak do skoku - wpatrywał się z napięciem w zarośla u wejścia do parku.

- Dlaczego sprowadziliście płetwonurków, Sean?

- Żeby niczego nie zaniedbać, Jimmy. Zawsze tak postępujemy, prowadząc poszukiwania w sąsiedztwie zbiornika wodnego.

- Czy ona utonęła?

- Wiemy tylko, że zaginęła. To wszystko.

Jimmy odwrócił się na chwilę. Nie mógł zebrać myśli, miał w głowie czarną dziurę. Chciał wejść do tego parku, pobiec ścieżką joggingową i zobaczyć idącą mu

naprzeciw Katie. Tylko tego chciał.

- Aresztujesz mnie i braci Savage za to, że chcemy wejść to parku i szukać naszej krewnej? Decydujesz się na awanturę ze spokojnymi obywatelami?

Jimmy zrozumiał od razu, że jego groźba jest lipna, i wściekało go, że i Sean to pojmował. Sean pokręcił poważnie głową.

- Nie chcę tego, wierz mi, ale jeśli będę musiał, Jimmy, nie zawaham się. - Otworzył notes. - Powiedz mi tylko, z kim twoja córka miała się tej nocy spotkać, co robiła, a ja...

Jimmy obrócił się na pięcie, żeby bez słowa odejść, gdy ostro zaćwierkał radiotelefon. Sean zbliżył aparat do ust.

- Devine.

- Coś mamy.

- Powtórz.

Jimmy podszedł do Seana i usłyszał ledwo hamowane podniecenie w głosie faceta w słuchawce.

- Powiedziałem, że coś mamy. Sierżant Powers prosi, żebyś tu jak najszybciej przyszedł.

- Gdzie jesteście?

- Pod ekranem kinowym. Nie jest dobrze, stary.

## Dowody rzeczowe

Celeste oglądała południowe wiadomości na telewizorku stojącym na blacie w kuchni. Prasowała i co chwila zerknęła na ekran. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że przypomina gospodynie domowe z lat pięćdziesiątych, które wykonywały potulnie wszystkie domowe prace i opiekowały się dzieckiem, kiedy mąż z aluminiowymi dwojaczkami z drugim śniadaniem wyszedł do roboty, oczekując, że po powrocie wieczorem dostanie do ręki piwo, a na stole będzie czekał obiad. W ich przypadku tak jednak nie było. Mimo swych licznych wad Dave dużo w domu pomagał. To on ścierał kurze, sprzątał odkurzaczem, ładował zmywarkę, natomiast Celeste prała, sortowała, układała i prasowała. Lubiała zapach gorących tkanin, wypranych i wygładzonych.

Prasowała żelazkiem po matce, zabytkiem z początku lat sześćdziesiątych. Było ciężkie jak cegła, wciąż syczało i wypuszczało bez ostrzeżenia kłęby pary, ale okazało się znacznie wydajniejsze od nowoczesnych, jakie Celeste, uwiedziona promocjami i zapewnieniami o technice ery kosmicznej, wypróbowała na przestrzeni ostatnich lat. Żelazko matki tak prasowało kanty, że można by nimi krajać bagietki, i wygładzało najgorsze zagniecenia w jednym gładkim suwie, na co te nowsze, z plastikową stopką, potrzebowały kilku pracowitych nawrotów.

Celeste irytowała się, ilekroć uświadamiała sobie, jak szybko w dzisiejszych czasach psują się rozmaite urządzenia - magnetowidy, samochody, komputery, telefony bezprzewodowe - gdy tymczasem narzędzia z czasów jej rodziców produkowano tak, by długo służyły. Ona i Dave dotąd używali żelazka jej matki, jej miksera, a przy ich łóżku stał masywny, czarny telefon z tarczą. Jednocześnie przez lata swojego małżeństwa zdążyli wyrzucić kilka nowoczesnych nabytków, które skończyły swój żywot komicznie szybko - telewizorów, odkurzaczy, z których wydostawał się siny dym, ekspresów do kawy, z których kapał płyn niewiele tylko cieplejszy od wody do kąpieli. Te i podobne gadzety łądowały nieodmiennie w śmietniku, bo taniej było kupić nowe, niż reperować zepsute. Niemal taniej. Więc oczywiście wydawało się pieniądze na model nowej generacji, na co producenci, Celeste była tego pewna, skrycie liczyli. Próbowwała świadomie ignorować obawę, że

nie tylko przedmioty w jej życiu, ale i samo życie było pozbawione wagi i trwałości, że zostało celowo zaprojektowane tak, by się zepsuć przy pierwszej okazji po to, żeby kilka użytecznych części można było przeszczepić komuś innemu, a całą resztę wyrzucić.

Prasowała, więc i rozmyślała o awaryjności własnej osoby, kiedy na chwilę przed dziennikiem prezenter spojrzął z powagą w kamerę i oznajmił, że policja poszukuje sprawców brutalnego napadu, do którego doszło przed jednym z barów w mieście. Celeste podkreśliła głos, gdy spiker powiedział: „Więcej na ten temat po prognozie pogody i przerwie na reklamy”. Patrzyła, więc, jak elegancka kobieta o wymuskanych palcach szoruje brytfanę, która wyglądała tak, jakby ją zanurzono w gorącym karmelu, gdy tymczasem głos zza kadru wychwalał pod niebiosa nowy, udoskonalony środek do zmywania naczyń. Celeste miała ochotę wyć. Wiadomości telewizyjne pod pewnym względem przypominały te łatwo psujące się urządzenia - były stworzone po to, by wabić i kusić, i chichotać ukradkiem z łatwowierności widzów sądzących, że tym razem dotrzymają swych obietnic.

Ustawiała głośność, zwalczając pokusę, by wyrwać to marne pokrętło z tego głównianego aparatu i wrócić do deski do prasowania. Pół godziny temu Dave zabrał Michaela na zakupy. Mieli kupić nakolanniki baseballowe i maskę łapacza. Obiecał, że wysłucha wiadomości w radiu, a Celeste nie zadała sobie nawet trudu, by mu się przyjrzeć uważniej i sprawdzić, czy nie kłamie. Michael, choć drobny i szczupły, okazał się utalentowanym łapaczem - „cudownym dzieckiem”, jak twierdził jego trener, pan Evans, z „radarem w łapie, taki szczył”. Celeste przypominała sobie z lat młodości tych wszystkich „szczyli”, którzy grali na tej pozycji - na ogół wielkich chłopaków o złamanym nosach, z wybitymi przednimi zębami - i zgłosiła swoje zastrzeżenia Dave'owi.

- Wiesz, jakie mocne teraz robią maski? - uspokoił jej obawy. - Jak klatki przeciw rekinom. Wyszłyby zwycięsko ze zderzenia z tirem.

Przemyśliwała nad tym przez cały dzień, a pod wieczór wróciła do Dave'a i przedstawiła mu swoje warunki. Michael może grać w baseball na pozycji łapacza albo dowolnej innej, jeśli będzie miał najlepszy ekwipunek i nigdy - i to był warunek ostateczny - nie zostanie graczem zawodowym.

Dave, który sam nie był profesjonalnym baseballistą, zgodził się na to ultimatum dopiero po dziesięciu minutach niezbyt jednak gorącej sprzeczki.

Kupowali, więc właśnie niezbędny ekwipunek, aby Michael mógł zostać kopią



swego ojca, tymczasem Celeste wpatrywała się z napięciem w telewizor, trzymając żelazko kilka centymetrów nad bawełnianą koszulką. Skończyła się wreszcie reklama karmy dla psów i wróciły wiadomości.

„Ubiegłej nocy w Allston - zaczął prezenter i serce Celeste zamarło - został napadnięty przez dwóch napastników student drugiego roku College'u Bostońskiego. Policja podaje, że ofiara, Carey Whitaker, został pobity butelką po piwie i w stanie krytycznym przebywa w...”

Gdy to usłyszała, nabrała pewności, że nie złapie już informacji o napadzie bądź nawet zabójstwie w okolicach baru Ostatnia Kropla. Kiedy zapowiedziano prognozę pogody, a po niej wiadomości sportowe, była już całkowicie przekonana.

Do tej pory znaleźliby już tamtego mężczyznę. Gdyby zmarł („kochanie, chyba zabiłem człowieka”), reporterzy wiedzieliby o tym przez swoje kontakty w policji, dotarliby do policyjnych raportów lub po prostu podsłuchali policyjne radiostacje.

Niewykluczone, że Dave przecenił gwałtowność swojej reakcji na tę nocną napaść. Może tamten łobuz - kimkolwiek był - po prostu gdzieś się zaszył po jego odejściu, by wylizać rany. Może to wcale nie kawałeczki mózgu splukała tej nocy do zlewu? A krew? Jak ktoś mógł przeżyć taki krwotok z rany na głowie, nie mówiąc już o odejściu z miejsca zdarzenia?

Gdy już wyprasowała ostatnią parę spodni i ułożyła wszystko bądź to w bielizniarce syna, bądź w małżeńskiej szafie, wróciła do kuchni i stanęła pośrodku, nie wiedząc, co dalej robić. W telewizji pokazywali teraz turniej golfa. Miękkie plaśnięcia kijów o piłkę i oszczędne, stłumione oklaski na jakiś czas ukoili w jej duszy lęk, który ją dręczył od rana. Ten lęk wykraczał poza niepokój o Dave'a, którego opowieść była pełna sprzeczności, choć jednocześnie miał ze zdarzeniami ostatniej nocy wiele wspólnego, miał coś wspólnego z Dave'em, który wchodzi w drzwi łazienki cały we krwi. Krew z jego spodni zaplamiła kafelki na podłodze, pieniała się bąbelkami w świeżej ranie, zmieniała kolor na różowy, gdy wirowała w krateczce odpływu.

Rura odpływowa! Otóż właśnie! Zapomniała o rurze odpływowej. Ubiegłej nocy powiedziała Dave'owi, że przemyje detergentem kolanko pod umywalką, zniszczy nawet tę resztkę dowodu. Zabrała się niezwłocznie do dzieła. Uklękała na podłodze w kuchni i otworzyła szafkę pod zlewozmywakiem. Za środkami czyszczącymi i szmatami wypatrzyła klucz nasadowy. Sięgnęła ręką, usiłując odpędzić wstręt przed sięganiem w głąb szafek pod zlewem, irracjonalny lęk, jaki ją od dziecka prześladował, że gdzieś pod stertą szmat czai się szczur, który nagle, zwiertrzywszy jej zapach,

wystawi pyszczek z ruchliwymi wąsikami...

Chwyliła klucz i celowo uderzała nim hałaśliwie o butelki ze środkami czyszczącymi, zawadzała o szmaty na wszelki wypadek, choć miała świadomość, że jej obawy są niemądre. Były jednak silniejsze od niej, ostatecznie nie bez powodu nazywa się je fobiami. Ona bała się wkładać ręce w mroczne czeluści miejsc nisko położonych. Rosemary obawiała się wind. Jej ojciec miał lęk wysokości. Dave oblewał się zimnym potem, ilekroć musiał zejść do piwnicy.

Wstawiła wiadro pod kolanko, żeby w nie złapać wodę. Położyła się na plecach i wyciągnęła ręce, obluzowała kluczem śrubę kolankową, a potem odkręciła ją palcami. Do plastikowego wiadra chlusnęła struga wody. Celeste zaniepokoiła się, że wiadro się przeleje, ale woda szybko spłynęła. Wraz z ostatnimi kroplami wpadł do wiadra kłęb czarnych włosów, w które wplątane były jakieś małe ziarenka. Potem Celeste wzięła się do odkręcania nakrętki przelotowej przy tylnej ścianie szafki. Zabrało jej to dłuższą chwilę, bo nakrętka nie chciała puścić, i Celeste musiała zaprzeć się nogą o podstawę szafki. Napierała na ramię klucza z taką siłą, aż złękła się, że albo klucz, albo jej przegub zaraz pęknie z trzaskiem. W końcu nakrętka ustąpiła, choć obróciła się z głośnym metalowym zgrzytem zaledwie o kilka stopni. Celeste przelożyła klucz i pociągnęła ponownie. Tym razem nakrętka obróciła się o kąt dwa razy większy, mimo że nadal stawiała opór.

Wreszcie syfon znalazł się na podłodze w kuchni. Włosy i koszulka Celeste były mokre od potu, miała jednak uczucie zwycięstwa, niemal triumfu, jakby stoczyła równą walkę z zawziętym przeciwnikiem i odniosła chwalebne zwycięstwo. W stercie szmat znalazła koszulę Michaela, z której już wyrósł. Skręciła ją w ciasny warkocz, który następnie przewlekła przez rurę kolanka. Przeczyściła nią kolanko kilka razy, aż była całkiem pewna, że nie kryje niczego prócz zastarzałej rdzy. Na koniec wcisnęła koszulę do małej plastikowej torby na zakupy. Potem z kolankiem i butelką Cloroxu wyszła na ganek za domem i przemyślała wewnątrz rury, tak by płyn ściekał z drugiego końca i wsiąkał w suchą ziemię doniczkowej rośliny, która uschła ubiegłego lata i całą zimę czekała na ganku, aż ją wyrzucą.

Uporawszy się z tym, Celeste zamontowała syfon, co okazało się znacznie łatwiejsze niż jego wykręcenie, po czym przykręciła śrubę ściekową. Wyjęła plastikowy worek na śmieci, w który w nocy włożyła ubranie Dave'a, i włożyła do niego torbę z poszarpaną koszulą Michaela, wylała przez cedzak do sedesu zawartość plastikowego wiadra, a cedzak wytarła do czysta papierowym ręcznikiem, który

następnie wcisnęła do worka razem z resztą śmieci.

Więc wszystko tutaj było: wszystkie dowody rzeczowe.

A w każdym razie te, z którymi mogła coś począć. Jeśli Dave skłamał - na temat noża, odcisków palców, jakie gdzieś zostawił, na temat świadków tej... zbrodni? Obrony koniecznej?... nie mogła mu pomóc. Sprostowała jednak wyzwaniu tu, we własnym domu. Uporała się z nieszczęściem, jakie na nią spadło, kiedy Dave wrócił do domu cały zakrwawiony. Poradziła sobie. Zwyciężyła. Była oszołomiona, lecz silna, pełna energii, jakiej dawno nie czuła. Zrozumiała nagle, że jest wciąż młoda i sprawna, nie jest tosterem jednorazowego użytku ani zepsutym odkurzaczem. Przeżyła śmierć obojga rodziców i długie lata finansowego dołka, przetrwała groźbę zapalenia płuc swojego synka, gdy miał sześć miesięcy, i nie osłabiło jej to, choć dotąd miała się za słabą, lecz tylko zmęczyło. Teraz i to się zmieni, bo przypomniała sobie, jaka kiedyś była. Była kobietą, która nie cofa się przed wyzwaniami losu, lecz śmiało wychodzi im naprzeciw, wręcz je prowokuje. Proszę, przybywajcie. Ze wszystkim, co macie najgorszego. Poradzę sobie, ilekroć się zjawicie. Nie omdleję, nie umrę. Uważajcie.

Podniosła z podłogi zielony worek na śmieci i okręciła wirowym ruchem, aż się zawęźlił i upodobnił do pomarszczonej szyi starca. Potem skręciła go w ciasny warkocz i zawiązała na supeł. Zatrzymała się na chwilę, uznawszy za dziwne, że worek przypominał jej szyję starego człowieka. Skąd jej się to wzięło? Zauważyła, że telewizor zgasł. Przed chwilą Tiger Woods stąpał po krótko strzyżonej murawie, a teraz ekran był czarny.

Po chwili wyskoczyła pośrodku biała linia. Celeste postanowiła, że jeśli i w tym pudle przepalił się kineskop, zrzuci grata z ganku. Natychmiast, nie bacząc na konsekwencje, won!

Tymczasem biała linia zgasła, pokazał się obraz ze studia i prezenterka ze zboląłą miną oznajmiła:

- Przerywamy program, by przekazać państwu najświeższe wiadomości. Valerie Corapi znajduje się u wejścia do Penitentiary Park w East Buckingham, gdzie policja prowadzi zakrojone na szeroką skalę poszukiwania zaginionej kobiety. Valerie?

Obraz ze studia zmienił się w obraz z helikoptera - niestabilny lotniczy widok na Sydney Street i Penitentiary Park i podobną do najeźdźczej armii chmurę policjantów. Celeste zobaczyła na terenie parku dziesiątki maleńkich figurek, podobnych do czarnych mrówek, i policyjne motorówki na kanale. Patrzyła, jak te mikroskopijne

figurki podchodzą wolno do kępy drzew, otaczającej ekran nieczynnego kina samochodowego.

Wiatr szarpnął helikopterem, obiektyw kamery zatoczył łuk i ukazał tereny po drugiej stronie kanału, Shawmut Boulevard i ciągnące się wzdłuż niego zakłady przemysłowe.

- Znajdujemy się w East Buckingham, gdzie policja podjęła dziś rano zakrojone na szeroką skalę poszukiwania zaginionej kobiety. Jak dowiedzieliśmy się z nieoficjalnych źródeł, porzucony samochód poszukiwanej nosi ślady przestępstwa. Nie wiem, Virginio, czy możemy zobaczyć...

Kamera z helikoptera oderwała się od terenów przemysłowych w Shawmut i błyskawicznym przerzutem skierowała obiektyw w dół, na stojący na Sydney ciemnoniebieski samochód z otwartymi drzwiami. Sprawiał wrażenie smętnie opuszczonego, gdy podjeżdżał do niego od tyłu policyjny samochód holowniczy.

- O właśnie - ucieszyła się reporterka. - Samochód, który państwo teraz widzą, należał, jak mnie poinformowano, do zaginionej. Policja znalazła go dziś rano i natychmiast podjęła poszukiwania. Nikt nie chce potwierdzić ani nazwiska zaginionej, ani powodu tak licznej... jak sami to państwo z pewnością widzą... obecności policji. Nasze źródła informacji potwierdzają jednak, że poszukiwania koncentrują się wokół nieczynnego ekranu kina samochodowego, które, jak wiadomo, służy latem, jako scena miejscowego teatru. Dziś jednak nie oglądamy tutaj dramatu scenicznego, lecz, niestety, dramat z prawdziwego życia. Virginia?

Celeste usiłowała uświadomić sobie, co jej właśnie powiedziano. Nie była pewna, czy dowiedziała się czegoś ponadto, że policja najechała jej dzielnicę, jakby ją brała w posiadanie.

Prezenterka w studiu też wyglądała na zakłopotaną, jakby dano jej znak poza kadrem w języku, którego nie rozumiała.

- Będziemy państwa o tej sprawie informować - powiedziała - przekazywać państwu wiadomości, w miarę jak będą do nas napływały. Tymczasem powracamy do naszego programu.

Celeste zmieniła kilka kanałów, ale żadna inna stacja nie przekazywała na razie wiadomości w tej sprawie, więc wróciła do golfa, nie wyłączając jednak głosu.

Ktoś zaginął we Flats. Na Sydney znaleziono opuszczony samochód. Policja nie rozpoczynałaby jednak operacji na tak wielką skalę - Celeste dostrzegła na Sydney radiowozy policji nie tylko miejskiej, ale i stanowej - gdyby nie miała dowodów, że

popelniono zbrodnię, że to nie tylko zaginięcie.

W tym samochodzie musieli znaleźć coś, co świadczyło o akcie przemocy. Jak się wyraziła reporterka?

Ślady przestępstwa. Właśnie.

Krew, była tego pewna. Musieli znaleźć krew. Dowód rzeczowy. Popatrzyła na skrzyconą w warkocz torbę, którą nadal trzymała w ręku.

Dave, pomyślała.

Dave.

## Czerwony deszcz

Jimmy został po drugiej stronie żółtej taśmy naprzeciwko nieregularnej linii policjantów, gdy Sean, nie oglądając się za siebie, odszedł przez zarośla w głąb parku.

- Panie Marcus - odezwał się jeden z gliniarzy, niejaki Jefferts - może przynieść panu kawę albo coś?

Nie patrzył Jimmy'emu w oczy, tylko na jego czoło i Jimmy wyczuł w tym chłodnym spojrzeniu i w sposobie, w jaki glina drapał się kciukiem w brzuch, lekką wzgardę zmieszaną z litością. Poznał ich ze sobą Sean, mówiąc Jimmy'emu, że Jefferts, policjant stanowy, to równy gość, Jefferts informując natomiast, że Jimmy jest ojcem, hm, właścicielki porzuconego wozu. Zadbaj o niego i skontaktuj go z Talbot, kiedy się pojawi. Jimmy'emu przyszło na myśl, że Talbot jest albo policyjną lekarką od czubków, albo jakąś rozczochraną pracownicą opieki społecznej, przywaloną górą studenckich pożyczek i jeżdżącą samochodem pachnącym hamburgerami.

Nie odpowiadając na propozycję Jefferts, przeszedł przez ulicę do Chucka Savage'a.

- Co się dzieje, Jim?

Jimmy pokręcił w milczeniu głową, pewien, że gdyby spróbował wyrazić to, co teraz czuł, obrzygałby siebie i Chucka.

- Masz komórkę?

- Jasne.

Chuck pogrzebał w kieszeniach wiatrówki i podał Jimmy'emu telefon komórkowy. Jimmy wybrał numer 411, numer biura numerów. Głos automatycznej sekretarki zapytał, o jakie miasto i w którym stanie mu chodzi, a on zawahał się, zanim posłał swój głos na linię telefoniczną, wyobrażając sobie, jak jego słowa wędrują przez ciągnące się setkami kilometrów miedziane kable, nim wpadną wirującym lejem we wnętrzości jakiegoś kolosalnego komputera z czerwonymi światełkami zamiast oczu.

- Nazwisko abonenta? - zapytał komputer.

- Chuck E. Cheese. - Jimmy'ego ogarnęło przerażenie, że wymawia tak śmieszny

nazwę, stojąc na środku ulicy, niedaleko opuszczonego samochodu swojej córki. Miał ochotę wsadzić płaski aparacik między zęby i przegryźć go z chrzęstem na pół.

Gdy wreszcie dostał numer i wystukał go na klawiaturze, musiał poczekać, aż obsługa odszuka w lokalu Annabeth. Kobieta, która odebrała telefon, nie przełączyła Jimmy'ego na połączenia oczekujące, a po prostu położyła słuchawkę na ladzie, więc Jimmy słyszał stłumione oddaleniem nawoływanie:

- Pani Annabeth Marcus jest proszona o zgłoszenie się przy kontuarze. Pani Annabeth Marcus!

Słyszał dzwoneczki i gwar gromady dzieci, które pewnie biegały jak opętane, chłopcy ciągnęli za włosy dziewczynki, a wszyscy wrzeszczeli. Gwar mieszał się z rozpaczliwymi głosami dorosłych, usiłujących przekrzyczeć ten harmider. Potem jeszcze raz wywołano imię Annabeth. Jimmy wyobraził sobie, jak jego żona spogląda w kierunku wzywającego ją głosu, zaskoczona, półżywa ze zmęczenia, podczas gdy banda z pierwszej komunii u Świętej Cecylii walczy wokół niej o porcję pizzy.

A potem usłyszał jej stłumiony głos:

- Mnie państwo wołali?

Przez chwilę miał ochotę się rozłączyć. Co jej powie? Jaki sens miało telefonowanie do niej, skoro nie wiedział nic pewnego, nie znał faktów, jedynie oszaląca z niepokoju wyobraźnia podsuwała mu straszne obrazy. Czy nie lepiej zostawić na razie ją i dziewczynki w błogiej nieświadomości?

Jednak zdawał sobie sprawę z tego, że już dość zadali sobie dzisiaj bólu i że Annabeth poczułaby się zraniona, gdyby dowiedziała się, że umierał ze strachu, stojąc obok pustego samochodu Katie, a jej nic nie powiedział. Zapamiętałaby te chwile szczęścia z młodszymi córkami, jako skażone fałszem i za to by go znienawidziła.

Ponownie usłyszał echo jej stłumionego głosu:

- Tutaj?

Chrobot podnoszonej z kontuaru słuchawki.

- Słucham?

- Kochanie...

- Jimmy? - Usłyszał ton lekkiej urazy w jej głosie. - Gdzie ty się podziewasz?

- Ja... Słuchaj... Jestem na Sydney Street.

- Co się stało?

- Znaleźli samochód.

- Czyj samochód?

- Katie.

- Kto? Jacy oni? Policja?

- Tak. Katie... zaginęła. Gdzieś w Pen Park.

- O mój Boże! To niemożliwe, Jimmy! Powiedz, że to nieprawda!

Poczuł, jak to go wypełnia - ta straszna, przeraźliwa pewność, koszmarne przeczucia, które dotąd trzymał zamknięte pod skorupą czaszki.

- Na razie nie wiemy nic pewnego. Jej samochód stał przez całą noc na ulicy i...

- Boże drogi, Jimmy!

- ... gliny szukają jej w parku. Są ich setki, więc...

- A ty? Gdzie ty jesteś?

- Na Sydney. Posłuchaj...

- Na ulicy? Dlaczego nie tam?

- Nie wpuścili mnie.

- Kto? Gliny? A bo to ich córka?

- Nie, ale posłuchaj, ja...

- Idź tam zaraz! Boże drogi! Może być ranna. Może gdzieś leży, ranna, przemarznięta!

- Wiem, ale oni...

- Zaraz tam jadę.

- Dobrze.

- Wejdz tam, Jimmy! Na miłość boską, co się z tobą dzieje?

Odłożyła słuchawkę.

Jimmy oddał komórkę Chuckowi. Wiedział, że Annabeth ma rację, i to tak niewątpliwą, że uświadomił sobie z przerażeniem, iż do końca życia będzie żałował własnej bierności w ostatnich trzech kwadransach; nie będzie w stanie myśleć o niej bez piekącego wstydu i będzie usiłował za wszelką cenę o tym zapomnieć. Od kiedy to stał się potulnym facetem, który podlizuje się glinom, kiedy zaginęła jego pierworodna córka? Od kiedy to się zaczęło? Od kiedy stanął za ladą i wymienił jaja za poczucie, że jest - kim właściwie? - porządnym obywatelem?

Odwrócił się do Chucka.

- Wozisz jeszcze przecinak do drutu pod kołem zapasowym w bagażniku?

Chuck zrobił taką minę, jakby został przyłapany na brzydkiej zabawie pod kołdrą.

- Człowiek musi jakoś zarabiać na życie, Jim.

- Gdzie stoi twój wóz?



- Tam, na rogu Dawes.

Jimmy ruszył szybko przed siebie. Chuck podbiegał u jego boku.

- Wchodzimy na włam? - upewnił się z radością w głosie.

Jimmy potaknął w milczeniu i przyspieszył kroku.

Sean doszedł do ścieżki joggingowej w miejscu, gdzie obiegała płot ogródków działkowych, i skinął głową policjantom, którzy przepatrywali rabaty w poszukiwaniu śladów. Dostrzegłszy napięcie na ich twarzach, wywnioskował, że już znają ostatnią nowinę. W parku wyczuwał nastrój, jaki przez lata pracy w zawodzie policjanta nauczył się rozpoznawać na miejscu zbrodni: nastrój fatalizmu, z domieszką gniewnej świadomości, że na któregoś z bliźnich spadło okrutne nieszczęście.

Wchodzili do parku z przeczuciem, że dziewczyna nie żyje, Sean był jednak pewien, że każdy z funkcjonariuszy wierzył w skrytości ducha, iż prawda okaże się inna. Zawsze tak było - zapuszczali się na teren miejsca przestępstwa, przeczuwając najgorsze, a potem starali się jak najdłużej żyć nadzieją pomyłki. Pracował w ubiegłym roku przy paskudnej sprawie. Małżeństwo zgłosiło zaginięcie dziecka. Media zaczęły o tym bębnić, bo małżonkowie byli biali i ogólnie szanowani, ale Sean i inni detektywi wiedzieli, że wersja, jaką im przedstawiono, nie trzymała się kupy; domyślali się, że dziecko nie żyje, nawet, gdy pocieszali tę parę zwyrodnialców, zapewniali, że ich pociecha na pewno się znajdzie, sprawdzali beznadziejne ślady i przesłuchiwali podejrzanych kolorowych, jakich tamtego ranka widziano w okolicy. Dopiero o zmierzchu znaleźli zwłoki dziecka wepchnięte do torby na śmieci do odkurzacza i wbite w dziurę pod schodami do piwnicy. Tamtego dnia Sean widział, jak jeden z młodych policjantów płacze. Szlochał oparty o radiowóz, ale pozostali mieli gniewne miny, choć nie wyglądali na zaskoczonych, jakby wszystkim przyśnił się w nocy ten sam cholerny koszmar.

Z tym właśnie wracałeś do domu, z tym wchodziłeś do barów i szatni w komisariacie - ze świadomością, że ludzie zwykle oszukują, że są podli, nikczemni, a często zbrodniczy. Kiedy otwierają usta, na ogół kłamią, a gdy giną w niewyjaśnionych okolicznościach, znajduje się ich zwykle - w najlepszym razie - martwych.

Lecz najgorsze nie dotyczyło ofiar - ostatecznie te już nie żyły, nieczułe na nowy ból. Najgorsze dotyczyło ich bliskich. Często zmieniali się w żywe trupy, ludzi podobnych do weteranów cierpiących na nerwicę frontową, ludzi, którzy do końca życia wegetują z wypaloną duszą i przypominają żywe istoty tylko tym, że w ich żyłach

płynie krew, a ciała wypełniają organy wewnętrzne. Nieczuli na ból, obarczeni wiedzą, że najgorsze czasem naprawdę się zdarza.

Jak Jimmy Marcus. Sean nie miał pojęcia, czy zdoła spojrzeć mu w oczy i oznajmić: „To prawda, ona nie żyje. Twoja córka nie żyje, Jimmy. Ktoś odebrał ci ją na zawsze”. Jak to powie facetowi, który już stracił żonę. Cholerny świat! „Hej, zgadnij, co się stało, Jim - Bóg doszedł do wniosku, że należy ci się jeszcze jeden znak. Przyszedł po swoje. Bóg dał, Bóg wziął. Ufajmy, że to nadaje całej sprawie szerszą perspektywę. Trzymaj się, stary”.

Sean przeszedł po mostku z desek przerzuconym nad wąwozem i ruszył ścieżką w kierunku półkolistej linii drzew, które tkwiły naprzeciwko kinowego ekranu niczym pogańska widownia wokół sceny. Jego koledzy stali w dole przy schodkach, prowadzących do drzwi z boku ekranu. Karen Hughes robiła zdjęcia, Whitey Powers zaglądał do środka oparty o futrynę drzwi i coś zapisywał w notesie. Obok Karen klęczał pomocnik anatomopatologa, a za tym trojgiem klębił się tłum policjantów stanowych i przedstawicieli policji municypalnej. Connolly i Souza oglądali coś na stopniach schodów, a wyżsi oficerowie - Frank Krauser z BPD\* i Martin Friel z policji stanowej, przełożony Seana - stali kawałek dalej pod rozciągniętą poniżej ekranu sceną i rozmawiali z pochylonymi ku sobie głowami.

Jeśli patolog stwierdzi, że ofiara zmarła w parku, sprawa będzie należała do jurysdykcji stanowej, przypadnie Seanowi i Whiteyowi. Wtedy na Seana spadnie obowiązek poinformowania Jimmy'ego o tragedii i obowiązek zawarcia intymnej, obsesyjnej wręcz znajomości z życiem ofiary. Jemu przypadnie zadanie doprowadzenia śledztwa do końca i skierowanie sprawy do sądu, co miało stworzyć, choć złudzenie jej zamknięcia.

Mógł się jednak o nią upomnieć i BDP. Friel miał prawo oddać im tę sprawę, ponieważ park zewsząd otaczały tereny miasta i pierwsza próba zamachu na życie ofiary zdarzyła się w obrębie miejskiej jurysdykcji. Dla Seana nie ulegało wątpliwości, że media się na to rzucą. Morderstwo w miejskim parku, ofiara znaleziona w pobliżu bądź nawet w obrębie miejsca, które stało się popularnym punktem spotkań mieszkańców i urządzania masowych imprez. Brak wyraźnego motywu. Brak też jak dotąd zabójcy, chyba, że popełnił samobójstwo obok ciała Katie Marcus, co wydawało się nader wątpliwe; Sean już by o tym słyszał. Łakoma gratka dla mediów, wzięwszy pod uwagę, że miasto było w ostatnich latach raczej pozbawione podobnych sensacji.

---

\* Boston Police Department - wydział policji bostońskiej (przyp. tłum.).

Dziennikarze zaleją więc wkrótce park śliniącą się z podniecenia chmarą.

Wolałby tego uniknąć, lecz sądząc z wcześniejszych doświadczeń, nie miał, na co liczyć. Schodził po pochyłości wzgórza w stronę podstawy ekranu nieczynnego kina. Nie odrywał oczu od postaci Krausera i Friela, usiłując wyczytać wyrok z najmniejszych ruchów ich głów. Jeśli znaną dziewczyną była Katie Marcus - co do tego raczej nie miał wątpliwości - w dzielnicy Flats się zagotuje. Mniejsza o Jimmy'ego, ten prawdopodobnie z rozpaczy wpadnie w odrętwienie. Chodziło o braci Savage. W wydziale kryminalnym znajdowały się akta grubości wielkiej encyklopedii powszechnej na niemal każdego z tych szajbniętych kurdupli. A dotyczyły tylko przestępstw popełnionych na terenie stanu. Sean znał ludzi z policji municypalnej, którzy mówili, że sobotnia noc bez zapuszkowania któregoś z braci Savage należała do rzadkości równych całkowitemu zaćmieniu słońca. Ci, co nie widzieli tego na własne oczy, zbiegali się, bo nie wierzyli zapewnieniom kolegów.

Na scenie pod ekranem Krauser kiwnął tymczasem głową, a Friel obejrzał się, jakby kogoś szukał. Dojrzał Seana i Sean zrozumiał, że sprawa przypadła jemu i Whiteyowi. Dostrzegł kilka kropel krwi na liściach, których szlak prowadził do podstawy ekranu, i kolejne na schodkach zbiegających do małych drzwiczek.

Connolly i Souza podnieśli na Seana posępne spojrzenia, kiwnęli mu głowami i wrócili do drobiazgowego badania stopni schodów. Karen Hughes podniosła się z kucek i Sean usłyszał cichy terkot, gdy uruchomiła przycisk i mechanizm zaczął zwijać taśmę do kasety. Sięgnęła do torby po nową rolkę i otworzyła tylną ściankę aparatu. Sean zauważył, że jej jasnopopielate włosy są ciemniejsze na skroniach i równo uciętej grzywce. Spojrzała na niego obojętnie, wrzuciła naświetlony film do torby i załadowała nowy.

Whitey klęczał obok asystenta anatomopatologa. Sean usłyszał, jak pyta go głośnym szeptem:

- Co takiego?

- To, co powiedziałem.

- Jest pan całkiem pewien?

- Prawie na sto procent, chociaż głowy nie dam.

- Cholera. - Whitey obejrzał się przez ramię, skinął na Seana i wskazał kciukiem na patologa.

Pole widzenia Seana poszerzyło się, gdy stanął nad tymi dwoma. Spoglądał w głąb ciasnego korytarzyka. Ciało było wciśnięte między jego ściany oddalone od siebie o

nie więcej niż metr. Zwłoki tkwiły w pozycji siedzącej, oparte plecami o ścianę po lewej stronie, stopami zaparte w ścianę po prawej. Ich pozycja przypominała pozycję embriona oglądanego na ekranie ultrasonografu. Lewa stopa dziewczyny była bosa i zabłocona. Resztki skarpetki wisiały w strzępach wokół kostki. Na prawej miała zwykły czarny trzewik na płaskim obcasie oblepiony zaschniętym błotem. Drugi zgubiła w trakcie ucieczki. Morderca musiał przez całą drogę deptać jej po piętach. Mimo to zdołała dobiec do tej kryjówki. Więc przynajmniej na chwilę się od niego oderwała.

- Souza! - zawołał.

- Tak?

- Każ paru mundurowym zbadać ślady prowadzące do tego miejsca. Poszukajcie na krzakach strzępów podartej odzieży, skrawków naskórka, tego rodzaju rzeczy.

- Technik robi już odlewy śladów.

- Świetnie, lecz to nie wystarczy. Zajmiesz się tym?

- Jasne.

Ponownie przyjrzał się zwłokom. Zmarła miała na sobie miękkie, ciemne spodnie, granatową bluzkę z głębokim dekoltem i czerwony, teraz podarty żakiet. Strój raczej wyjściowy, pomyślał, zbyt elegancki na co dzień dla dziewczyny z Flats. Musiała się gdzieś bawić, w jakimś przytulnym lokalu, może miała randkę.

Tymczasem skończyła wciśnięta w ten wąski korytarzyk, opleśniałe ściany były ostatnią rzeczą, jaką widziała w życiu, a ich zapach prawdopodobnie ostatnim, jaki w życiu czuła.

Wyglądało to tak, jakby schroniła się przed czerwonym deszczem, którego strugi pozostawiły ślady na jej włosach i policzkach i poplamiały ubranie mokrymi pasmami. Kolana przycisnęła do piersi, prawy łokieć opierał się na prawym kolanie, zaciśniętą w pięść dłoń przyciskała do ucha. Seanowi znowu nasunęło się wyobrażenie dziecka raczej niż prawie dorosłej kobiety, skulonego i usiłującego odciąć się od jakiegoś przerażającego dźwięku. Przestań, przestań, mówiło to ciało. Błagam cię, przestań.

Whitey odsunął się na bok, a Sean kucnął na wprost drzwiczek. Pomimo krwi zakrzepłej na zwłokach, kałuży krwi pod nimi i pleśni na betonowych ścianach korytarzyka, wyczuwał zapach perfum, zaledwie delikatny powiew, lekko słodki, zmysłowy, najłżejszy z zapachów, który przypomniawszy mu licealne randki, ciemne samochody, gorączkowe przedzieranie się przez ubrania, iskrzenie ocierających się o siebie ciał. Pod śladami czerwonego deszczu Sean dostrzegł kilka ciemniejszych

sińców na przegubie dłoni, przedramieniu i kostkach nóg. Domyślił się, że to ślady po uderzeniach jakimś tępym narzędziem.

- Bił ją? - zapytał.

- Na to wygląda. Krew na czubku głowy pochodzi z rany na ciemieniu. Morderca uderzył tak mocno, że prawdopodobnie pękło mu narzędzie zbrodni.

Z tyłu za zwłokami, wypełniając od ściany do ściany wąski korytarz za ekranem, piętrzyły się drewniane palety i jakieś rupiecie, które wyglądały na dekoracje sceniczne - płaskie drewniane żaglowce, szczyty katedralnych wież, dziób weneckiej gondoli. Ofiara nie mogła się już stąd wydostać. Dopadłszy tego schronienia, znalazła się w pułapce. Chyba wiedziała, że jeśli znajdzie ją tutaj prześladowca, nie zdoła ująć z życiem. I on ją znalazł.

Otworzył drzwi, a ona się skuliła, usiłowała chronić własne ciało jedyną tarczą, jaka jej została: własnymi członkami. Sean wyciągnął szyję i zajrzał za zaciśniętą pięść zamordowanej. Na jej twarzy widniały czerwone smugi, oczy miała zamknięte, jakby usiłowała odciąć się od zewnętrznego świata, powieki - początkowo zaciśnięte przerażeniem, teraz stężeniem pośmiertnym.

- Ona? - zapytał Whitey Powers.

- Słucham?

- Czy to Katherine Marcus? - powtórzył Whitey.

- Tak - przytaknął Sean.

Katie miała małą łukowatą bliznę pod brodą z prawej strony, ledwie dostrzegalną i zbladłą z latami, ale zauważało się ją, kiedy szła ulicą, już choćby, dlatego, że reszta jej postaci była tak cudownie nieskazitelna. Twarz była wierną kopią ciemnej, pociągłej i kościstej twarzy jej matki z domieszką surowej męskiej urody ojca. Miała po nim jasne oczy i jego włosy.

- Na sto procent? - Upewnił się asystent patologa.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć - odparł Sean. - Dopiero jej ojciec potwierdzi to w kostnicy. Jestem przekonany, że to ona.

- Widziałeś tył jej głowy? - White nachylił się i uniół na długopisie pasmo włosów znad ramienia zmarłej.

Sean przyjrzał się bliżej i stwierdził, że u dołu czaszki ział niewielki otwór, a kark pociemniał od krwi.

- Chce pan powiedzieć, że została zastrzelona? - Spojrzał na patologa.

Tamten potaknął.

- Wygląda mi to na ranę wlotową.

Sean wyprostował się, usuwając głowę z chmury zapachów, złożonej z woni perfum, odoru krwi, smrodu popleśniałego betonu i namokłego drewna. Miał ochotę odgiąć i odsunąć od ucha zaciśniętą pięść Katie, jakby dzięki temu mogły zniknąć sińce, na jakie patrzył, oraz te, które odkryją - był tego pewien - pod ubraniem, jakby czerwony deszcz mógł spływać z jej włosów i całej postaci i jakby mogła wyjść z tego grobu, mrugając zaspanymi oczami, nieco tylko oszołomiona.

Nagle od prawej strony dobiegły go krzyki i odgłosy tumultu. Psy policyjne rozszczękały się zajadle. Obejrzawszy się, zobaczył Jimmy'ego Marcusa i Chucka Savage'a. Wypadli zza stojących w półkolu drzew i biegli po wypielegnowanym trawniku spływającym niecką w kierunku ekranu, gdzie latem tłumy widzów rozkładały koce i oglądały przedstawienie.

W pościg za nimi rzuciło się, co najmniej ośmiu mundurowych i dwóch funkcjonariuszy po cywilnemu. Bardzo szybko dopadli i powalili Chucka. Jimmy okazał się zwinniejszy. Serią błyskawicznych, na pozór bezsensownych zwrotów ciała przedarł się przez linię napastników i bez przeszkód dotarłby do ekranu, gdzie mogliby go powstrzymać już tylko Krauser i Friel, gdyby się nie potknął na trawiastym stoku.

Potknął się jednak, pośliznął na wilgotnej murawie, upadł jak długi i zarył brodą w ziemię. Zanim upadł, odnalazł wzrokiem oczy Seana. Tymczasem młody policjant stanowy o posturze gracza ataku licealnej drużyny baseballowej wylądował na jego plecach jak na sankach, z głowy spadła mu kanciasta czapka, po czym obaj zjechali jeszcze z metr w dół zbocza. Policjant wykręcił Jimmy'emu na plecy prawą rękę i sięgnął po kajdanki.

Sean wskoczył na scenę i krzyknął:

- Hej! To jej ojciec! Nie zakuwaj go.

Młodzieniec podniósł na niego zamglone wściekłością spojrzenie.

- Tylko go stąd zabierz - powtórzył Sean. - Tamtego też.

Odwracał się już w stronę ekranu, kiedy Jimmy zawołał go po imieniu, głosem tak donośnym i chrapliwym, jakby krzyk, który wzbierał w jego głowie, znalazł wreszcie ujście, zrywając po drodze struny głosowe.

- Sean!!!

Sean znieruchomiał. Kątem oka uchwycił zdziwione spojrzenie Friela.

- Popatrz na mnie, Sean!!

Sean odwrócił się. Jimmy prężył się pod ciężarem umundurowanego bysia. Na policzku miał brunatną smugę, po bokach szczęki zwiślały trawiaste bokobrody.

- Znaleźliście ją? To ona?! - ryknął. - Ona?!

Sean patrzył mu w oczy tak długo, aż Marcus dostrzegł to, co jego kolega z dzieciństwa przed chwilą oglądał. Zrozumiał, że to co najgorsze, właśnie go spotkało.

Zaczął krzyczeć tak głośno, aż z jego gardła trysnęły krople śliny. Jakiś drugi policjant zbiegł w dół zbocza, żeby pomóc koledze, który przygwaździł Jimmy'ego do ziemi. Sean nie chciał na to patrzeć i się odwrócił. Głos osieroconego ojca wibrował w powietrzu niskim, gardłowym rykiem, bez choćby jednej wysokiej, załamującej się nuty. Rozdzierający krzyk zwierzęcej rozpacz. Sean już wiele razy go słyszał. Tak krzyczeli rodzice, którzy stracili dziecko. W ich krzyku dźwięczał zawsze ton rozpaczliwego błagania, skierowanego do Boga albo siły wyższej, by zechciała się objawić i powiedzieć, że to tylko sen. W krzyku Jimmy'ego nie słyszało się jednak tej nuty, tylko miłość i gniew, po równo. Od tego krzyku ptaki zerwały się z drzew i echo poszło od kanału Pen.

Sean wrócił do korytarzyka pod sceną i jeszcze raz przyjrzał się Katie Marcus. Connolly, najmłodszy w ich jednostce, podszedł i stanął obok niego. Przez chwilę obaj przyglądali się zmarłej w milczeniu, tymczasem krzyk Jimmy'ego stawał się coraz bardziej chrapliwy i porwany, jakby z każdym oddechem rozdzierały mu gardło odłamki szkła.

Sean przyglądał się Katie, skulonej z przyciśniętą do boku głowy pięścią, oblanej czerwonym deszczem, a potem spojrział na drewniane dekoracje, które zagroziły jej drogę.

Jimmy wciąż krzyczał, gdy policjanci odciągali go w górę stoku. Powietrze nad trawiastą nieką posiekał przelatujący nisko helikopter. Silnik zawył na wysokich obrotach, gdy maszyna przechyliła się w nawrocie. Seanowi przyszło na myśl, że to pewnie helikopter którejs z stacji telewizyjnej, bo pracował ciszej niż policyjne.

Connolly zapytał szeptem:

- Widziałeś już kiedyś coś takiego?

Sean wzruszył ramionami. A jeśli nawet? Człowiek dochodzi w końcu do takiego punktu, kiedy przestaje porównywać.

- Bo to... - zaczął Connolly i zamilkł, jakby na darmo szukał właściwego słowa - ... to jest jakieś...

Potem oderwał spojrzenie od ciała dziewczyny i przeniósł je na drzewa. Przyglądał

się im szeroko otwartymi, pustymi oczami z taką miną, jakby miał za chwilę dokończyć swą wypowiedź.

Tymczasem zamilkł na dobre, rezygnując z próby znalezienia właściwych określeń.



## Barwy twojej tęczy

Sean oparł się o scenę pod ekranem kina, stojąc tuż obok swojego szefa, porucznika Martina Friela. Obaj przyglądali się, jak Whitey Powers naprowadza furgonetkę koronera, zjeżdżającą tyłem po stoku w stronę drzwi, za którymi znaleziono ciało Katie Marcus. Whitey szedł tyłem z podniesionymi rękami, machając to lewą, to prawą i wydając ostre gwizdy, które wysmykiwały się spomiędzy dolnych zębów niczym popiskiwania szczenięcia. Przenosił spojrzenie z rozciągniętych po obu stronach żółtych taśm, ogradzających miejsce zbrodni, na koła furgonetki i na widoczne w bocznym lusterku oczy kierowcy, jakby starał się o posadę w firmie przeprowadzkowej, upewniając się, że grube opony samochodu nie zbaczą ani o centymetr z bezpiecznego toru.

- Jeszcze... Teraz prostuj... Jeszcze kawałek, jeszcze... Dobra!

Kiedy furgonetka znalazła się w miejscu, w którym chciał ją widzieć, odstąpił kawałek na bok i poklepał karoserię.

- Dobrze kręcisz kółkiem - pochwalił kierowcę.

Następnie otworzył szeroko skrzydła tylnych drzwi, tak by zasłaniały przestrzeń wokół korytarza pod ekranem. Seanowi przyszło do głowy, że on sam nie pomyślałby o rozłożeniu takich ochronnych parawanów, aby zasłonić miejsce śmierci Katie Marcus, a potem uświadomił sobie, że Whitey miał bez porównania większe obycie w tym fachu; był doświadczonym detektywem w latach, gdy Sean próbował podszcypywać koleżanki na szkolnych potańcówkach i starał się pamiętać, by nie wyciskać wągrów.

Dwaj pomocnicy koronera już chwyтали za klamki, gdy Whitey krzyknął:

- Chwileczkę, chłopcy. Wsiadajcie tyłem!

Posłusznie zatrzasnęli drzwiczki i wydostali się przez tył furgonetki, by również tą drogą załadować zwłoki. Sean odczuł to zniknięcie ciała, jako coś ostatecznego; uświadomił sobie, że teraz on musi przystąpić do działania. Pozostali policjanci, zespoły techników kryminalistyki oraz reporterzy, znajdujący się na pokładach helikopterów bądź stłoczeni za taśmami otaczającymi park uznany w całości za teren

przestępstwa, powrócą teraz do innych obowiązków. Natomiast on i Whitey będą musieli wziąć śmierć Katie Marcus niejako na własne barki, wypełniać raporty, przygotowywać oświadczenia, zajmować się śmiercią dziewczyny jeszcze długo po tym, jak większość tu obecnych zainteresuje się innymi wydarzeniami - wypadkami drogowymi, kradzieżami, samobójstwami w zatęchłych, niewietrzonych pokojach, w których pozostawiono na stołach przepełnione popielniczki.

Martin Friel podskoczył i usiadł na brzegu sceny, jego krótkie nogi zadyndały nad ziemią. Przyjechał tu prosto z pola golfowego George'a Wrighta. Spod niebieskiej koszulki polo i spodni koloru khaki wydobywał się zapach olejku z filtrem przeciwsłonecznym. Friel zaczął bębnić butami o boczne deski sceny, z czego Sean wywnioskował, że jest silnie wzburzony.

- Pracowałeś już z sierżantem Powersem, prawda?

- Tak.

- Były jakieś problemy?

- Żadnych. - Sean przyglądał się, jak Whitey odprowadza na bok policjanta stanowego w mundurze i wskazuje mu półkolistą zatoczkę drzew za ekranem. - Pracowałem z nim w zeszłym roku nad sprawą zabójstwa Elizabeth Pitek.

- Tej kobiety z ograniczonym prawem kontaktu? - przypomniał sobie Friel. - Co jej były mąż powiedział o papierach?

- Powiedział: „To, że papiery kierują jej życiem, nie znaczy, że będą kierowały moim”.

- Dostał zdaje się dwadzieścia, tak?

- Zgadza się, bez prawa do przedterminowego zwolnienia.

Sean wolałby, żeby ktoś załatwił tamtej kobiecie mocniejsze papiery. Jej mały dorastał teraz w rodzinie zastępczej, cholera wie, kto mu matkował.

Policjant stanowy oddalił się od Whiteya, przywołał jeszcze kilku mundurowych i razem ruszyli w stronę zagajnika.

- Słyszałem, że on popija - rzekł Friel, podciągnął jedną nogę na scenę i przycisnął kolano do klatki piersiowej.

- Na służbie nigdy tego nie stwierdziłem, panie poruczniku. - Sean nie był pewien, kogo tu się bada: jego czy Whiteya? Przyglądał się z daleka, jak sierżant pochyla się i uważnie przygląda kępcę trawy pod tylną oponą furgonetki, podciągnąwszy spodnie

od dresu, jakby miał na sobie garnitur od Brooks Brothers\*.

- Twój partner bawi na tym lipnym zwolnieniu zdrowotnym. Podobno coś z palcem. Jak słyszę, kuruje się, pływając na skuterach wodnych i latając na lotniach za motorówkami gdzieś na Florydzie. - Friel wzruszył ramionami. - Powers poprosił, żeby przydzielić mu ciebie, jak już cię odwieszą. Odwiesili cię. Czy mam oczekiwać podobnych wpadek jak ta ostatnia?

Sean był przygotowany na wiele przykrości, szczególnie ze strony Friela, toteż odpowiedział ze spokojem:

- Nie, panie poruczniku. To było tylko chwilowe potknięcie.

- Nie pierwsze - zauważył Friel.

- Niestety.

- Masz nieuregulowane życie osobiste, w tym sęk. Nie pozwól, żeby rzutowało na twoją postawę w pracy.

Sean spojrział na przełożonego i dostrzegł w jego oczach zimny błysk. Widywał go już wcześniej i wiedział, co oznacza: z Frielem w takim stanie nie należało podejmować żadnych dyskusji.

Toteż potaknął zgodnie i zmilczał.

Friel uśmiechnął się chłodno i podniósł wzrok na helikopter stacji telewizyjnych, który robił właśnie nawrót nad ekranem. Leciał niżej, niż pozwalały przepisy, i Friel zrobił taką minę, jakby miał zamiar przed zachodem słońca dać komuś wypowiedzenie.

- Znasz tę rodzinę, prawda? - zapytał, odprowadzając wzrokiem helikopter. - Wychowałeś się w tej okolicy.

- Nie, wychowałem się w Point.

- Co za różnica?

- To Flats. Jest drobna różnica, panie poruczniku.

Friel machnął ręką.

- Wychowałeś się w tej dzielnicy. Byłeś jednym z pierwszych na miejscu zdarzenia. Znasz tych ludzi. - Rozłożył ręce. - Czy wyciągam prawidłowy wniosek?

- Co do czego?

- Masz wszelkie dane, by poprowadzić tę sprawę. - Obdarzył Seana tym swoim uśmiechem trenera wakacyjnej drużyny softballu\*. - Jesteś jednym z moich asów

---

\* Sieć eleganckich sklepów odzieżowych w USA (przyp. tłum.).

\* Łagodniejsza odmiana baseballu (przyp. tłum.).

atutowych. Odsiedziałeś swoje na ławce i jesteś gotów wrócić do gry, prawda?

- Tak jest, panie poruczniku - odpowiedział Sean. Jasne, szefie. Zrobię wszystko, byle utrzymać tę posadę, szefie.

Obejrzeni się, gdy wewnątrz furgonetki coś upadło ciężko na podłogę i zawieszenie przysiadło. Potem odbiło do góry i Friel powiedział:

- Zauważyłeś, że oni je zawsze upuszczają?

Istotnie tak było. Wrzucona do furgonetki Katie Marcus leżała teraz zamknięta w ciemnym plastikowym worku przeznaczonym do transportu zwłok. Jej włosy kleiły się do rozgrzanego plastiku, a narządy wewnętrzne zaczynały mięknąć.

- Detektywie stanowy Devine - zwrócił się Friel do Seana - czy wiesz, czego nie lubię nawet bardziej od tego, gdy dziesięcioletnie czarne dzieciaki giną od kuli w wojnie między gangami?

Sean znał odpowiedź, lecz milczał.

- Kiedy białe dziewiętnastolatki są mordowane w parkach na moim terenie. Ludzie nie mówią wtedy: „No cóż, efekty ubóstwa”. Nie racjonalizują. Naprawdę się wkurzają i chcą, żeby w wiadomościach wieczornych pokazać im sprawcę w kajdankach. - Friel trącił Seana łokciem. - Mam rację?

- Tak.

- Tego właśnie chcą, bo nie różnią się od nas, a my też tego chcemy. - Friel chwycił Seana za ramię, zmuszając go, by nań spojrział.

- Tak, panie poruczniku - przytaknął skwapliwie Sean, ponieważ Friel miał w oczach blask uniesienia, jakby święcie wierzył w to, co mówi, tak jak inni wierzą w Boga, w NASDAQ\* lub w Internet jako globalną wioskę. Należał do sekty „Ponownie Narodzonych”, choć Sean nie miał pojęcia, co miało znaczyć określenie „ponownie”, domyślał się tylko, że Friel natrafił w swej karierze zawodowej na coś, co on sam zaledwie przeczuwał, coś, co dawało pociechę, może nawet napełniało wiarą, zapewniając twardy grunt pod nogami. Prawdę mówiąc, miał czasem wrażenie, że jego szef jest idiotą, zasuwanym głodne kawałki na temat życia i śmierci, sposobów uczynienia świata dobrym, wyleczenia go z wszelkich nowotworów, aby ludzkość stała się wreszcie kochającą się zbiorowością.

Czasem jednak we Frielu Sean rozpoznawał własnego ojca, który w piwnicy budował domki dla ptaków, w których ptaki nigdy nie zamieszkały. W takich chwilach szef budził w nim czułość.

---

\* Największa na świecie elektroniczna giełda papierów wartościowych (przyp. tłum.).

Martin Friel był detektywem w randze porucznika w Wydziale Zabójstw VI Komisariatu za kadencji kilku ostatnich prezydentów. Sean nie słyszał, by ktoś nazywał go kiedykolwiek „Martym”, „kumplem” czy „starym”. Spotkawszy go na ulicy, pomyślałbyś, że jest księgowym bądź likwidatorem szkód w jakiejś agencji ubezpieczeniowej, kimś w tym rodzaju. Miał matowy, stonowany głos i twarz bez wyrazu, na głowie kasztanową tonsurkę. Był dość mizernej postury, zwłaszcza jak na gościa, który tak mozolnie wspinał się po szczeblach policyjnej kariery. Łatwo było przegapić go w tłumie, bo jego chód nie odznaczał się niczym szczególnym. Kochał żonę i dwójkę dzieci. Zimą często zapominał odpiąć karnet na wyciąg narciarski od suwaka przy kurtce. Był aktywnym członkiem swojego Kościoła i miał zdecydowanie konserwatywne poglądy.

Jednak ani bezbarwny głos, ani nierzucająca się w oczy twarz nie odzwierciedlały w najmniejszym nawet stopniu stanu jego ducha i umysłu, na który składały się niezłomne zasady moralne i praktyczne podejście do życia. Jeśli na terenie Friela - bo obszar podległy jurysdykcji policji stanowej uważał za swój teren prywatny i durniem był ten, kto tego nie rozumiał - popełniono zbrodnię, traktował to jak osobistą krzywdę i zniewagę.

- Oczekuję, że będziesz ostry, ale wrażliwy - oświadczył Seanowi zaraz pierwszego dnia pracy w wydziale zabójstw. - Nie chcę, żebyś otwarcie demonstrował gniew, bo gniew jest emocją, a emocje powinno się ukrywać. Chciałbym jednak, żebyś chodził cały czas wkurzony... zły na to, że krzesła w komisariacie są za twarde, a twoi kumple z college'u jeżdżą audi, wściekły, bo bandziory są tak tępe, że wydaje im się, iż mogą dokonywać przestępstw na naszym terenie. Masz być tak wnerwiony, Devine, żeby twoim śledztwom nie można niczego zarzucić, by zastępca prokuratora nie wychodził z sądu z nosem na kwintę, bo dowody okazały się wątpliwe, a motywy naciągane. Dostatecznie wkurzony, żeby każda sprawa była sukcesem, a ci pieprzeni zasrańcy trafiali do pierdła na resztę ich pierdolonego życia.

W komisariacie nazywano tę mówkę „pogadanką Friela”. Każdy nowo przyjęty na służbę policjant musiał jej wysłuchać już pierwszego dnia. Podobnie jak z większością oracji wygłaszanych przez Friela, człowiek nigdy nie mógł być pewny, do jakiego stopnia on sam w nie wierzy, a ile jest w tym zwykłego policyjnego bajeru. Kupowało się to jednak. Nie było innego wyjścia.

Choć w ciągu dwóch lat pracy w wydziale zabójstw Sean miał na swoim koncie wyjątkowo dużo rozwiązanych spraw, najwięcej w jednostce Whiteya Powersa, Friel

przyglądał mu się czasem tak, jakby miał do niego poważne zastrzeżenia. Popatrywał na niego tak i w tej chwili, jakby go oceniał; zastanawiał się, czy sprosta zadaniu: odnalezienia zabójców dziewczyny w jego parku.

Podszedł do nich Whitey Powers i przerzucając kartki notesu, skinął Frielowi głową.

- Panie poruczniku.

- Co już mamy, sierżancie Powers? - zapytał Friel.

- Wstępne oględziny ustaliły z grubsza godzinę zgonu na drugą piętnaście - drugą trzydzieści rano. Brak śladów gwałtu. Najprawdopodobniej śmierć spowodował strzał w potylicę, nie wykluczamy jednak, że zgon nastąpił po ciosach, jakie dziewczynie zadał morderca. Był raczej praworęczny. Znaleźliśmy kulę w palecie po lewej stronie ciała. Wygląda na smitha trzydziestkęósemkę, ale to będziemy wiedzieli na pewno po badaniach balistycznych. Nurkowie szukają teraz broni w kanale. Przypuszczamy, że morderca wrzucił do wody broń, czy też narzędzie, którym bił ofiarę, najpewniej jakąś pałkę albo kij.

- Kij - powtórzył machinalnie Friel.

- Dwaj policjanci z bostońskiej policji przesłuchali mieszkańców Sydney i rozmawiali z kobietą, która twierdzi, że słyszała, jak jakiś samochód uderzył w coś za kwadrans druga, z grubsza na pół godziny przed ustalonym momentem zgonu.

- Zebraliśmy jakieś dowody rzeczowe? - zapytał Friel.

- Deszcz trochę nam przeszkodził, panie poruczniku. Mamy kilka nie najgorszych odlewów śladów stóp, które mógł zostawić sprawca, i parę, które z pewnością należały do ofiary. Zdjęliśmy jakieś dwadzieścia pięć odcisków palców z drzwi pod ekranem. I ta sama sprawa: mogą należeć do ofiary, do sprawcy lub po prostu do dwudziestu pięciu różnych osób, które nie mają z tą sprawą nic wspólnego, a zatrzymały się tam tylko, żeby napić się albo odetchnąć po przebieżce. Znaleźliśmy ślady krwi przy drzwiach i wewnątrz tego korytarzyka... I znowu: mógł je zostawić sprawca, ale niekoniecznie. Większość z nich pochodzi niewątpliwie od ofiary. Zdjęliśmy też kilka wyraźnych odcisków z drzwi samochodu. I to by było wszystko, gdy idzie o dowody.

Friel skinął głową.

- Coś szczególnego, co mógłbym przekazać prokuratorowi okręgowemu, gdy do mnie za kwadrans zadzwoni?

Powers wzruszył ramionami.

- Proszę mu powiedzieć, panie poruczniku, że deszcz solidnie splukał miejsce

zbrodni, ale robimy wszystko, co w naszej mocy.

Friel ziewnął w zaciśniętą dłoń.

- Jest coś jeszcze, co powinienem wiedzieć?

Whitey obejrzał się przez ramię na ścieżkę zbiegającą do drzwi pod ekranem, ostatni grunt, jakiego Katie Marcus dotykała stopą.

- Niepokoi mnie ten brak śladów stóp mordercy...

- Mówił pan, sierżancie, że deszcz...

Whitey kiwnął głową.

- Ona jednak zostawiła ślady stóp. Są świeże. Widać, że w paru miejscach zaryła się piętami, w kilku innych odbiła się z palców. Znaleźliśmy takich trzy, może cztery. Głowę bym dał, że należą do Katie Marcus. Natomiast śladów sprawcy brak.

- Ta sama przyczyna: deszcz - wtrącił Sean.

- Zgoda, to wyjaśnia, dlaczego znaleźliśmy tylko kilka śladów ofiary. Nie tłumaczy jednak, dlaczego nie odkryliśmy, chociaż jednego tego drania. Przecież dokładnie szukaliśmy. - Whitey przeniósł spojrzenie z Seana na Friela i wzruszył ramionami. - To mnie niepokoi.

Friel zeskoczył ze sceny i strzepnął z dłoni kilka ziaren żwiru.

- Dobra, chłopcy. Macie do dyspozycji sześciu detektywów i absolutny priorytet w laboratorium. Do czarnej roboty dostaniecie tylu chłopaków, ilu będziecie potrzebowali. Proszę mi powiedzieć, sierżancie, w jaki sposób zamierza pan spożytkować tak liczne siły, jakie panu przezornie przydzielamy?

- Myślę, że najpierw porozmawiamy z ojcem ofiary, zorientujemy się, co wie o jej planach na ostatnią noc, z kim się umówiła, może z kim miała na pieńku. Potem pogadamy z mieszkańcami tej okolicy, ponownie przesłuchamy kobietę, która ponoć słyszała zatrzymujący się samochód. Przepytaamy pijaczków, których nasi chłopcy zgarnęli w parku i na Sydney Street. Liczę na to, że technicy dostarczą nam wyraźnych odcisków palców i włókien włosów, żeby było się, czego uchwycić. Może skrawki skóry mordercy utkwily pod jej paznokciami? Może znajdziemy jego odciski na drzwiach? Albo okaże się, że był jej chłopakiem i się posprzeczali. - Whitey w charakterystyczny dla siebie sposób wzruszył ramionami i kopnął grudkę ziemi. - To tyle.

Friel spojrzał z kolei na Seana.

- Dopadniemy drania, panie poruczniku - zapewnił go Devine.

Porucznik zrobił taką minę, jakby oczekiwał mądrzejszej odpowiedzi, ograniczył się jednak do kiwnięcia głową i poklepał Seana po ramieniu. Oddalił się od sceny i

wszedł między amfiteatralnie ustawione ławki, gdzie porucznik Krauser z bostońskiej policji rozmawiał ze swoim przełożonym, kapitanem Gillisem z wydziału D-6. Wszyscy trzej posyłali Seanowi i Whiteyowi wymowne spojrzenia, które mówiły: „Tylko nie spieprzcie sprawę”.

- Dopadniemy drania? - powtórzył drwiąco Whitey. - Po czterech latach college'u nie potrafiłeś wymyślić oryginalniejszej kwestii?

Sean dostrzegł spojrzenie Friela i jego skinienie, wyrażające, jak miał nadzieję, zaufanie do ich kompetencji.

- Piszą o tym w podręczniku - powiedział do Whiteya. - Zaraz po kwestii: „Załatwimy drania” a przed: „Chwalmy Pana”. Nie czytał pan?

Whitey pokręcił głową.

- Nie byłem wtedy w szkole. Chorowałem.

Odwrócili się, gdy pomocnik koronera zamknął tylne drzwiczki furgonetki i podszedł do kabiny kierowcy.

- Ma pan już jakąś hipotezę? - zapytał Sean.

- Jeszcze dziesięć lat temu - odparł Whitey - stawiałbym na inicjacyjne rytuały gangów. Ale w dzisiejszych czasach? Zbrodnia schodzi na psy, coraz trudniej cokolwiek przewidzieć. A ty masz?

- Zazdrosny chłopak, choć bym się przy tym nie upierał.

- I zatłukłby ją kijem? Chyba jest nadpobudliwy.

- Jak to oni.

Pomocnik koronera otworzył drzwi auta i obejrzał się na Whiteya i Seana.

- Podobno ktoś ma nas stąd wyprowadzić.

- Właśnie my - przytaknął Whitey. - Puścimy was przodem, jak znajdziemy się poza parkiem, ale pamiętajcie, że będziemy wieźli bliskiego krewnego ofiary, więc nie zostawiajcie jej w korytarzu po przybyciu na miejsce, dobrze?

Pomocnik koronera skinął głową i zatrzasnął drzwiczki.

Whitey i Sean wsiedli do radiowozu i sierżant wyprowadził go przed furgonetkę. Zjechali po pochyłości stoku między żółtymi policyjnymi taśmami. Sean przyglądał się słońcu zachodzącemu już za drzewa. Spływało na kanał Pen rdzawym złotem i zapalało czerwone kity na wierzchołkach drzew. Pomyślał, że gdyby nagle musiał umrzeć, chyba tego byłoby mu najbardziej żal, tych kolorów, które wynurzają się nie wiadomo skąd i wprawiają człowieka w niemy zachwyt z domieszką melancholii, jakby pochodziły nie z tego świata.



Pierwszą noc w celi na Deer Island Jimmy przesiedział na stołku. Bał się, że jego współlokator wpakuje mu się do łóżka.

Facet nazywał się Woodrell Daniels, był członkiem gangu motocyklowego z New Hampshire. Którejś nocy wjechał do stanu Massachusetts, żeby zahandlować amfą, wpadł do baru na kilka szklaneczek whisky przed snem, a skończyło się na tym, że kijem bilardowym pobił do nieprzytomności jakiegoś gościa. Woodrell Daniels wyglądał jak ogromny polec mięsa pokryty tatuażami i bliznami po ranach od noża. Przyjrzawszy się nowemu, oznajmił rozbawionym szeptem, od którego Jimmy'emu ścierpła skóra:

- Później się rozmówimy. Później, bracie - powtórzył po zgaszeniu światła.

Dlatego tamtej nocy Jimmy się nie kładł. Nasłuchiwał skrzypnięć pryczy zajmowanej przez Woodrella, świadom, że będzie musiał przypuścić atak na jego gardło, gdy przyjdzie do ostateczności. Zastanawiał się, czy uda mu się przebić choć jednym ciosem przez potężną gardę tatuowanego goryla. Wal go w szyję, powtarzał sobie. W szyję, w szyję... O Boże, złazi!...

Woodrell jednak przewrócił się tylko na drugi bok; sprężyny zaskrzypiały, materac wybrzuszył się pod ciężarem jego cielska i obwisł jak brzuch słonia.

Jimmy nasłuchiwał tej nocy odgłosów więzienia, jakby to była żywa istota. Słyszał, jak walczą ze sobą szczury, gryzą i skrobią z szaloną, piskliwą desperacją. Słyszał szepty, jęki i skrzypienie sprężyn, rytmiczne jak dźwięk huśtawki. Gdzieś kapłała woda, więźniowie mamrotali coś przez sen, z korytarza dobiegało dalekie echo kroków strażnika. Około czwartej usłyszał ostry krzyk... urwany, pojedynczy, który zamilkł, nim zdążył przebrzmieć. Jimmy struchlał i zaczął się zastanawiać, czy nie wziąć poduszki, nie podejść od tyłu do Woodrella Danielsa i go nie udusić. Dłonie miał jednak zbyt spotniałe i śliskie, a nikt nie mógł mu zaręczyć, czy Woodrell śpi, czy tylko udaje. Zresztą nie zdołałby pewnie przytrzymać poduszki, gdyby potężne ramiona tego olbrzyma chwyciły go za głowę, paznokcie przeorały mu twarz i zaczęły rozszarpywać przedramiona, a wielkie pięści huknęły go w uszy.

Najgorsza była ostatnia godzina. Przez wysoko umieszczone w grubym murze okna wsączyło się szare światło i napełniło celę blaskiem metalicznego chłodu. Więźniowie zaczęli wstawać i krzątać się w celach. Do uszu Jimmy'ego dobiegł chrapliwy, suchy kaszel. Miał wrażenie, że piekielna maszyna wchodzi na wyższe obroty, bezwzględna, gotowa pożerać, bo bez przemocy, bez smaku ludzkiego mięsa by marnie zginęła.

Woodrell zeskoczył na podłogę tak szybko i niespodziewanie, że Jimmy nie zdążył zareagować. Zmrużył oczy, zaczął głębiej oddychać i czekał tylko, aż tamten podejdzie bliżej, by mógł go walnąć w szyję.

Tymczasem Woodrell Daniels nawet na niego nie spojrział. Zdjął z półki nad zlewem jakąś książkę, otworzył, ukląkł i zaczął się modlić.

Na przemian modlił się i czytał urywki z listów świętego Pawła, a co jakiś czas cicho chichotał, jednak ani na chwilę nie przestawał mówić. W końcu Jimmy zdał sobie sprawę, że ten dźwięk jest czymś w rodzaju niekontrolowanego przerywnika, podobnie jak westchnienia jego matki, które pamiętał z dzieciństwa. Woodrell prawdopodobnie nawet nie wiedział, że wydaje te dźwięki.

Jeszcze zanim się odwrócił, by zapytać Jimmy'ego, czy nie pragnie oddać się pod opiekę Chrystusowi, ten już wiedział, że najdłuższa noc w jego życiu dobiegła szczęśliwie końca. Twarz Woodrella tak wyraziście jaśniała radością grzesznika, który usiłuje utorować sobie drogę do zbawienia, iż Jimmy nie pojmował, jak mógł od progu nie dostrzec tego świątobliwego lśnienia.

Nie potrafił uwierzyć własnemu szczęściu. Wrzucono go do jaskini lwa, a tymczasem lew okazał się chrześcijaninem. Jimmy był gotów przyjąć Jezusa, Boba Hope'a, Doris Day, zresztą kogokolwiek, kogo Woodrell czcił w swym gorejącym sercu wierzącego motocyklisty, skoro to oznaczało, że ten świrnięty olbrzym nie będzie w nocy złaził ze swojej przycz, a w jadalni zasiądzie obok Jimmy'ego.

- Kiedyś błdziłem - wyznał mu Daniels - teraz, chwalić Pana, odnalazłem drogę prawdy.

Jimmy omal nie zawołał: Kurewsko się cieszę, Woodrell.

Aż do dzisiejszego dnia porównywał próby cierpliwości do tamtej nocy na Deer Island. Wiedział, że potrafi pokonać wszystkie przeciwności, bo nic nie mogło się równać z tamtą długą, koszmarną nocą, gdy wokół stękała i trzeszczała żywa machina więzienia, piszczały szczury, skrzypiały sprężyny przycz, a krzyki umierały, ledwo się rodziły.

Tak w każdym razie było do dziś.

Jimmy i Annabeth trwali w oczekiwaniu u wejścia do Pen Park od strony Roseclair Street. Stali za pierwszą barierą, którą policja stanowa zagroziła drogę dojazdową, ale na zewnątrz drugiej. Wręczono im po kubku kawy, a także turystyczne krzeselka, żeby mogli usiąść. Funkcjonariusze byli dla nich bardzo uprzejmi, kiedy jednak prosili o jakąś informację, z twarzy mundurowych znikwały uśmiechy.

Usprawiedliwiali się, że wiedzą tyle, co wszyscy, których nie wpuszczono na teren parku.

Kevin Savage odprowadził Nadine i Sarę do domu. Annabeth została z Jimmym. Była w lawendowej sukience, którą włożyła na pierwszą komunię Nadine (to wydarzenie zdawało się już należeć do dawno minionej przeszłości), milcząca i spięta, a mimo to pełna rozpaczliwej nadziei. Nadziei na to, że wyraz, jaki Jimmy dostrzegł na twarzy Seana Devine'a, został błędnie zinterpretowany. Nadziei, że jakimś cudownym sposobem nie istnieje żaden związek między porzuconym samochodem Katie, jej całodzienną nieobecnością a policjantami przeszukującymi Pen Park. Nadziei, że to, co już niemal uznała za prawdę, okaże się kłamstwem i nieporozumieniem.

- Przyniosę ci jeszcze kawy - odezwał się Jimmy. Odpowiedziała mu bladym, roztargnionym uśmiechem.

- Dziękuję, nie trzeba.

- Jesteś pewna?

- Tak.

Powiedział sobie, że dopóki nie zobaczy ciała, dopóty jego córka może żyć. Takie przekonanie podtrzymywało go na duchu w czasie tych kilku godzin, odkąd jego i Chucka Savage'a ściągnęli ze wzgórza nad amfiteatrem. Może znaleźli dziewczynę podobną do Katie? Może była nieprzytomna, w śpiączce? A może została wciśnięta w niszę za ekranem, skąd jej nie mogli wyciągnąć? Cierpiała, może nawet bardzo, ale żyła. Takiej się chwycił nadziei, cienkiej jak włoski niemowlęcia.

Wiedział, ile jest warta, ale nie pozwalał jej ulecieć.

- Nikt ci niczego konkretnego nie powiedział, tak? - upewniła się Annabeth na początku ich wspólnego czuwania na skraju parku.

- Tak. - Pogłaskał ją po dłoni, świadom, że sam fakt, iż pozwolono im przebywać między tymi policyjnymi zaporami, stanowił aż nadto wyraźne potwierdzenie.

A jednak Jimmy nie pozwolił zgasnąć tej iskierce nadziei, dopóki nie zobaczy ciała i nie będzie zmuszony przyznać: „Tak, to ona. To Katie. Moja córka”.

Przyglądał się gliniarzom stojącym obok parkowej bramy, zwieńczonej kutym w żelazie łukiem. Brama ta była jedyną pozostałością po zakładzie karnym, który znajdował się w tym miejscu przed założeniem parku, przed powstaniem kina, a nawet przed dniem narodzin zebranych tu dziś osób. Miasto wyrosło wokół więzienia. Strażnicy osiedli w Point, rodziny więźniów usadowiły się we Flats. Wcielenie obu

dzielnic do rosnącego miasta nastąpiło wtedy, gdy strażnicy się postarzel i niektórzy z nich zaczęli startować w wyborach samorządowych.

Zacwierał radiotelefon policjanta stojącego najbliżej bramy. Funkcjonariusz podniósł go do ust.

Annabeth z taką siłą ścisnęła dłoń Jimmy'ego, aż zachrobotyła mu kości.

- Tu Powers - dało się słyszeć w słuchawce. - Wyjeżdżamy.

- Zrozumiałem.

- Czy są tam państwo Marcus?

Policjant zerknął na małżeńską parę małżonków i odwrócił wzrok.

- Tak.

- Dobra. Jedziemy.

- O mój Boże, Jimmy! O mój Boże! - wyszeptała Annabeth.

Jimmy usłyszał szum opon. Po chwili zobaczył kilka furgonetek wyjeżdżających zza bariery na Roseclair. Furgonetki miały na dachach anteny satelitarne. Grupki reporterów i kamerzystów wyskoczyły na ulicę. Rozgorączkowany potrącał się nawzajem, podnosili kamery, rozwijali kable mikrofonów.

- Zabierzcie ich stąd! - krzyknął stojący przed bramą policjant. - Ale już!

Policjanci przy zewnętrznej barierze ruszyli na gromadę reporterów. Zaczęły się przepychanki, wybuchnęły krzyki. Policjant przy bramie rzucił do radiotelefonu:

- Dugay do sierżanta Powersa!

- Jestem.

- Mamy tu pasztet. Prasa.

- Przegońcie patafianów.

- Właśnie to robimy, panie sierżancie.

Na drodze dojazdowej, niecałe dwadzieścia metrów za łukowatą bramą, Jimmy dojrzał radiowóz policji stanowej. Wyjechał zza zakrętu i nagle stanął. Kierowca mówił do radiotelefonu. Obok niego siedział Sean Devine. Jadąca za nimi furgonetka zatrzymała się tuż za radiowozem. Jimmy poczuł, jak zasycha mu w gardle.

- Przegoń ich, Dugay, choćbyś musiał im odstrzelić tyłki.

Przegoń tych wścibskich skurwieli.

- Zrozumiałem.

Dugay wraz z trzema policjantami przebiegł obok Marcusów. Krzyczał, wyciągając ostrzegawczo palec:

- To jest wejście na zamknięty teren! Proszę się wycofać! Tu nie wolno wchodzić!

Proszę natychmiast wrócić do pojazdów!

- O mój Boże! - jęknęła Annabeth. Jimmy poczuł podmuch helikoptera, zanim usłyszał jego terkot. Popatrzył w górę wtedy, gdy przelatywał mu nad głową, a potem zwrócił wzrok w kierunku wolno jadącego alejką radiowozu. Kierowca nadal mówił coś do radiotelefonu. Zawyły syreny, po czym z każdego końca Roseclair wyjechały pędem radiowozy, reporterzy skoczyli do swoich pojazdów, a helikopter skręcił ostro i poleciał nad park.

- Jimmy - wyszeptała Annabeth tak zbolalym głosem, jakiego jeszcze u niej nie usłyszał. - Błagam cię, Jimmy.

- O co, kochanie? Przytulił ją mocno.

- Jimmy, błagam, tylko nie to! Nie to!

Wycie syreny, pisk opon, przekrzykujące się głosy, warkot helikoptera - to wszystko obwieszczało, że Katie nie żyje. Ten hałas wwiercał mu się w uszy. Poczul, jak Annabeth, którą obejmował, omdlewa mu w ramionach.

Znowu przebiegł przed nimi Dugay, aby usunąć zapory krzyżakowe sprzed bramy. Zanim Jimmy zorientował się, że radiowóz z parku ruszył, auto już hamowało obok niego, tymczasem biała furgonetka objechała je łukiem z prawej, wyskoczyła na Roseclair i skręciła ostro w lewo. Dostrzegł na jej boku napis: KORONER HRABSTWA SUFFOLK i poczuł, jak wszystkie stawy w jego ciele - kostki stóp, barki, kolana i biodra - miękną i rozpływają się.

- Jimmy.

Z opuszczonego okna po stronie pasażera przyglądał mu się Sean Devine.

- Chodź, stary.

Wysiadł z auta i otworzył tylne drzwi. W tej samej chwili powrócił helikopter. Tym razem leciał wyżej, ale i tak dość nisko, by Jimmy poczuł we włosach podmuch powietrza.

- Dzień dobry, pani Marcus - przywitał się Sean. - Jimmy, wsiadaj do wozu, stary.

- Nie żyje? - wykrztusiła Annabeth i to pytanie zmroziło Jimmy'emu krew w żyłach.

- Byłbym wdzięczny, pani Marcus, gdyby pani również zechciała z nami pojechać.

Radiowozy uformowały szpaler po obu stronach Roseclair. Ich syreny były przeraźliwie.

Annabeth spróbowała je przekrzyknąć:

- Czy nasza córka...

Jimmy chwycił ją za ramię. Nie chciał słuchać po raz drugi tego pytania. Pociągnął ją za sobą i zajęli tylne siedzenie. Sean zamknął za nimi drzwi i sam usiadł z przodu. Policjant za kierownicą nacisnął pedał gazu i włączył syrenę. Przejechali przed drogę dojazdową i włączyli się w kolumnę radiowozów, która skręciła w Roseclair. Pojazdy z rykiem silników przedzierały się pod wiatr w stronę autostrady, a syreny wyły i wyły.

Leżała na metalowym stole.

Oczy miała zamknięte. Na jednej nodze brakowało buta.

Jej skóra miała barwę fioletowo-czarną. Skóry takiego odcienia Jimmy jeszcze nie widział.

Poczuł zapach jej perfum, właściwie jego ślad, przebijający się przez smród formaldehydu, którym był przesycony ten zimny, lodowaty pokój.

Sean położył rękę na plecach Jimmy'ego na wysokości krzyża i Jimmy zaczął mówić. Prawie nie czuł, jak porusza ustami, pewien, że jest w tej chwili równie martwy, jak leżące przed nim ciało.

- Tak, to ona - powiedział. - To Katie - dodał. - Moja córka.

## Światła

- Na górze jest kawiarnia - powiedział Sean. - Nie miałbyś ochoty na kawę?

Jimmy nadal stał nad ciałem córki. Zostało już nakryte prześcieradłem, więc uniósł jego róg i spojrzał w twarz Katie, jakby spoglądał na nią znad cembrowiny studni, do której chciałby wskoczyć.

- Kawiarnia w kostnicy?

- Wyobraź sobie. To wielkie gmaszysko.

- Dziwne - burknął bezbarwnym głosem Jimmy. - Nie sądzisz, że gdy patolodzy tam zachodzą, wszyscy przesiadają się w drugi koniec sali?

Sean pomyślał, że ma do czynienia z pierwszymi objawami szoku.

- Pojęcia nie mam, stary.

- Panie Marcus - wtrącił Whitey - mieliśmy nadzieję, że uda nam się zadać panu kilka pytań. Wiem, co pan teraz przeżywa, ale...

Jimmy opuścił róg prześcieradła i poruszył wargami, z których jednak nie wydobył się żaden dźwięk. Spojrzał na Whiteya, który stał z długopisem w ręku, jakby dopiero teraz go zauważył. Odwrócił głowę i spojrzał na Seana.

- Czy myślałeś kiedyś, jak drobne decyzje potrafią zmienić bieg ludzkiego życia?

Sean wytrzymał jego spojrzenie.

- Co masz na myśli?

Twarz Jimmy'ego była blada i bez wyrazu. Wzniósł oczy do sufitu, jakby usiłował sobie przypomnieć, gdzie zostawił kluczyki do samochodu.

- Słyszałem kiedyś, że matka Hitlera chciała się poddać aborcji. W ostatniej chwili zmieniła zdanie. Podobno wyjechał z Wiednia, bo nie sprzedawały się jego obrazy. A gdyby się sprzedawały? Albo gdyby jego matka zdecydowała się na skrobankę? Żyjemy w dziwnym świecie, prawda? Albo, na przykład, któregoś dnia ucieka ci autobus, kupujesz więc sobie drugą kawę i kupon totolotka, no, bo czemu nie? Okazuje się, że kupon wygrywa, i nie musisz już jeździć do pracy autobusami. Jeździsz lincolnem. Ale masz wypadek, w którym giniesz. A dlaczego? Bo pewnego ranka uciekł ci autobus.

Sean zerknął na Whiteya, który wzruszył ramionami.

- Daj spokój - skarcił kolegę Jimmy. - Nie patrz na niego tak, jakby mi odbiło. Nie zwariowałem. Nie jestem w szoku.

- W porządku, Jim.

- Stwierdzam tylko, że w życiu splatają się różne wątki. Ciągniesz za jedną nitkę, a poruszasz inne. Powiedzmy, że w Dallas padało i Kennedy nie jechał odkrytą limuzyną. Powiedzmy, że Stalin został w seminarium. Albo, że to my, Sean, wsiedliśmy wtedy do tamtego samochodu zamiast Dave'a.

- Słucham? - zdziwił się Whitey. - Do jakiego samochodu?

Sean powstrzymał go gestem i zwrócił się do Jimmy'ego:

- Tego już nie rozumiem.

- Nie? Gdybyśmy wsiedli do tamtego wozu, nasze życie uległoby całkowitej zmianie. Znałeś moją pierwszą żonę, Maritę, matkę Katie? Piękna jak anioł. Zachwycająca uroda. Zresztą chyba wiesz, jak potrafią wyglądać niektóre Latynoski? Jak królowy. Do tego była świadoma swojej urody. Facet, który chciałby ją poderwać, powinien mieć jaja na miejscu. Ja miałem. Jako szesnastolatek byłem królem podobnych do mnie gówniarzy. Niczego się nie bałem. Poderwałem ją. Umówiliśmy się, a rok później... Chryste, miałem wtedy siedemnaście lat, byłem jeszcze pieprzonym dzieciakiem... pobraliśmy się, gdy ona już chodziła z Katie.

Mówiąc to, krążył wokół zwłok córki, powoli, w regularnych odstępach.

- Widzisz... gdybyśmy wsiedli do tamtego auta, gdyby to nas wywieźli nie wiadomo gdzie, a te dwa pieprzone pedały robiły z nami przez cztery dni różne świństwa... Ile mieliśmy wtedy lat? Jedenaście? Nie sądzę, żebym po tym był takim chojrakiem, gdy poznałem Maritę. Byłbym raczej rozwalonym psychicznie strzępem faceta, który faszkuje się psychotropami albo innym gównem. Wiem, że nie miałbym w sobie tego czegoś, co jest konieczne, żeby uderzyć do takiej fantastycznej i dumnej dziewczyny jak Marita. No i Katie by się nam nie urodziła. A więc i nie zostałaby zamordowana. Urodziła się jednak i została zamordowana. Tylko dlatego, że nie wsiedliśmy wtedy do tamtego auta. Kapujesz teraz?

Popatrzył na Seana, jakby oczekiwał potwierdzenia, Sean nie miał jednak pojęcia, w czym miałby go utwierdzić. Jimmy wyglądał tak, jakby oczekiwał rozgrzeszenia za to, że nie wsiadł, jako dziecko do tamtego wozu i spłodził córkę, tym samym wydając ją na śmierć.

Czasem podczas przebieżek Seanowi zdarzało się trafiać na Gannon Street.



Zwykle zatrzymywał się wtedy w miejscu, gdzie on, Jimmy i Dave Boyle toczyli bójkę na środku jezdni i gdzie nagle zatrzymał się przed nimi samochód. Czasami wyczuwał nawet zapach jabłek, jaki dolatywał z jego wnętrza. Wydawało mu się, że gdyby zdołał dostatecznie szybko obrócić głowę, dojrzałby na tylnym siedzeniu wozu dojeżdżającego do rogu Dave'a Boyle'a, który wpatrywał się w nich przez tylną szybę, dopóki nie zniknął im z oczu.

Raz, jakieś dziesięć lat temu, przywidziało mu się podczas grubszej popijawy (z bourbonem w żyłach wpadał w nastrój filozoficzny), że może jednak wsiedli - wszyscy trzej - do tamtego auta, to zaś, co obecnie uważali za swoje życie, było tylko snem. Że tak naprawdę pozostali jedenastoletnimi chłopcami zamkniętymi w piwnicy, którzy tylko wyobrażają sobie, jak wyglądałoby ich życie, gdyby zdołali uciec i dorosnąć do wieku męskiego.

Choć wiedział, że to przywidzenie jest jedynie karą - pierwszym z szeregu bolesnych następstw - za całonocne picie, ta myśl uwierała go jak kamyk w podeszwie buta.

Odtąd przystawał od czasu do czasu na Gannon Street przed swoim dawnym domem, oczami wyobraźni widział zarys znikającego za zakrętem samochodu z Dave'em Boyle'em, wciągał w nozdrza zapach jabłek i prosił w duchu: wracaj, nie jedź z nimi, Dave.

Napotkał zrozpaczone spojrzenie Jimmy'ego. Miał ochotę coś powiedzieć. Na przykład, że on także zastanawiał się nad tym, co by się stało, gdyby wsiedli do tamtego auta. Że jego również prześladowała myśl, przelotna jak echo imienia wołanego z okna, jak ułożyłoby się potem jego życie. Chciał powiedzieć Jimmy'emu, że oblewał się zimnym potem, ilekroć przyśnił mu się ten nawracający sen, ten, w którym nawierzchnia jezdni więzi mu stopy i ciągnie go przemocą w stronę otwartych drzwi tamtego auta; że od tamtego dnia w gruncie rzeczy nie umiał pokierować swoim życiem, że był człowiekiem, który cierpiał z powodu własnego nieprzystosowania i lekkomyślności.

Znajdowali się jednak w kostnicy, na metalowym stole między nimi leżała córka Jimmy'ego, Whitey czekał z długopisem nad kartką notesu, więc w odpowiedzi na błagalny wyraz twarzy dawnego kolegi Sean powiedział tylko:

- Chodź na kawę, Jim.

Zdaniem Seana Annabeth Marcus była stanowczą, nieustraszoną kobietą.

Siedziała w zimnej kawiarni, przesyconej gorącym zapachem zaparowanego celofanu, siedem pięter nad kostnicą, i rozmawiała o pasierbicy z obojętnymi urzędnikami. Zauważył, że była na granicy wytrzymałości. Oczy miała zaczerwienione, zorientował się jednak, że nie będzie płakała. Nie w ich obecności.

W trakcie rozmowy musiała kilka razy zamilknąć dla nabrania tchu. Urywała w pół zdania, jakby niewidzialna dłoń chwytała ją za gardło i dusiła. Kładła wówczas rękę na piersi i szerzej otwierała usta, żeby zaczerpnąć tchu i mówić dalej.

- W sobotę wróciła z pracy, ze sklepu, o wpół do piątej.

- Z jakiego sklepu, pani Marcus? Wskazała na Jimmy'ego.

- Mąż jest właścicielem Cottage Market.

- Na rogu East Cottage i Bucky Avenue? - upewnił się Whitey. - Najlepsza kawa w mieście.

- Przyszła do domu i zaraz wskoczyła pod prysznic - podjęła Annabeth. - Kiedy wyszła, zjedliśmy obiad... nie, chwileczkę, ona nie jadła. Usiadła z nami, rozmawiała z dziewczynkami, ale nic nie wzięła do ust. Powiedziała, że umówiła się z Diane i Eve.

- Dziewczętami, z którymi wyszła. - Whitey zwrócił się o potwierdzenie do Jimmy'ego.

Ten przytaknął.

- Więc nic nie jadła... - odpowiedział Whitey.

- Ale nagadała się z dziewczynkami, naszymi córkami, swoimi siostrami o przyszlotygodniowej paradzie i pierwszej komunii Nadine. Potem rozmawiała chwilę przez telefon w swoim pokoju.

- Nie wie pani, z kim?

Annabeth pokręciła głową.

- Czy telefon w jej pokoju jest podłączony do osobnej linii? - zapytał Whitey.

- Tak.

- Czy mieliby państwo coś przeciwko temu, gdybyśmy poprosili o wydruk rozmów z tego numeru?

Annabeth spojrzała na Jimmy'ego, a on powiedział:

- Nie, oczywiście, że nie.

- Wyszła o ósmej. Na spotkanie z koleżankami, Diane i Eve, czy tak?

- Tak.

- Pan był wówczas w sklepie, pani Marcus?

- Tak. W soboty jest otwarty od dwunastej do ósmej. Whitey przerzucił stronę w

notesie i uśmiechnął się ciepło do obojga.

- Wiem, że przeżywają państwo ciężkie chwile, ale mężnie to państwo znoszą.

Annabeth zwróciła się do męża.

- Dzwoniłam do Kevina.

- I co? Rozmawiałaś z dziewczynkami?

- Z Sarą. Powiedziałam jej tylko, że niedługo wrócimy. Nic więcej.

- Pytała o Katie?

Annabeth kiwnęła głową.

- Co jej powiedziałaś?

- Tylko tyle, że niedługo wrócimy do domu - odparła i Sean usłyszał, jak głos jej się załamał przy słowie „nie długo”.

Marcusowie odwrócili się na powrót do Whiteya, który obdarzył ich znowu bladym uśmiechem, mającym dodać im otuchy.

- Chciałbym państwa zapewnić... a mówię to w imieniu władz... że sprawa uzyska najwyższy priorytet. Nie pozwolimy sobie na popełnienie żadnych błędów. Funkcjonariusz Devine został przydzielony do mnie również, dlatego, że jest przyjacielem rodziny, bo zdaniem naszego dowództwa zmotywuje go to do jeszcze wydajniejszej pracy. Będzie mnie wspierał podczas śledztwa. Znajdziemy łotra, który skrzywdził państwa córkę.

Annabeth obrzuciła Seana zdziwionym spojrzeniem.

- Przyjaciel rodziny? Ja pana w ogóle nie znam.

Whitey skrzywił się jak dziecko, któremu odebrano zabawkę.

- Byłem kiedyś kolegą pani męża, pani Marcus - wyjaśnił Sean.

- Dawno temu - sprecyzował Jimmy.

- Nasi ojcowie razem pracowali.

Annabeth skinęła głową, zakłopotana.

- Panie Marcus - odezwał się Whitey - w sobotę spędził pan niemało czasu w sklepie ze swą córką, zgadza się?

- I tak, i nie - odpowiedział Jimmy. - Ja siedziałem głównie na zapleczu, Katie obsługiwała kasy.

- Nie zwróciło pana uwagi jej zachowanie? Nie była spięta, wystraszona? Może pokłóciła się z klientem?

- Nie w mojej obecności. Dam wam numer pracownika, który był z nią w sklepie. Może zdarzyło się coś, zanim tam wszedłem, i on to zapamiętał.

- Będę panu wdzięczny. A podczas pana obecności?

- Była taka jak zawsze. Radosna, może trochę...

- Tak?

- Nie, drobiazg.

- W obecnej sytuacji liczą się nawet najmniejsze szczegóły, proszę pana.

Annabeth wychyliła się do przodu.

- Jimmy?

Zmieszał się.

- Naprawdę nic takiego. Tylko... Gdy w pewnej chwili podniosłem wzrok znalazła biurka, ona stała w drzwiach. Po prostu stała, piła przez słomkę colę i na mnie patrzyła.

- Patrzyła? - upewniła się Annabeth.

- Tak. Spoglądała na mnie tak, jak wtedy, gdy miała pięć lat. Musiałem zostawić ją w aucie, żeby wejść do apteki. Wybuchnęła płaczem. Wróciłem właśnie z więzienia, jej matka niedawno zmarła, pewnie, więc pomyślała, że gdy się ją zostawia, choćby na krótko, to znaczy, że już się nie wróci. Tej soboty miała właśnie taki wyraz twarzy. Czy kończyło się na płaczu, czy nie, wyglądała tak, kiedy przygotowywała się do tego, że już nigdy mnie nie zobaczy. - Jimmy odchrząknął i westchnął przeciągle. - Nie widziałem u niej tego spojrzenia od dobrych paru lat... siedmiu, może ośmiu... Tej soboty tak właśnie na mnie przez chwilę patrzyła.

- Jakby się przygotowywała, że już nigdy pana nie zobaczy.

- Tak. - Jimmy obserwował, jak Whitey zapisuje jego słowa. - Tylko nie przykładajcie do tego nadmiernej wagi. Chodzi tylko o przelotne spojrzenie.

- Obiecuję, panie Marcus, że nie będziemy przykładali do tego nadmiernej wagi. To dla nas po prostu informacja. Tym się zajmujemy... zbieramy strzępki informacji, aż jakieś kawałki zaczną do siebie pasować. Pan siedział w więzieniu?

- O mój Boże! - szepnęła cicho Annabeth i pokręciła z rezygnacją głową.

Jimmy odchylił się na krześle.

- Ot i macie!

- Tylko zapytałem - usprawiedliwił się Whitey.

- I zrobiłby pan to samo, gdybym powiedział, że piętnaście lat temu pracowałem u Searsa, prawda? - Jimmy zachichotał. - Odsiadywałem wyrok za rabunek. Dwa lata na Deer Island. Niech pan to sobie zanotuje. Czy ten „strzępek informacji” pomoże panu złapać mordercę mojej córki, sierżancie? Przepraszam, tylko zapytałem.

Whitey zerknął na Seana, który powiedział:

- Nikt cię nie chciał obrazić, Jim. Daj spokój i wracajmy do rzeczy.

- Do rzeczy - powtórzył Jimmy.

- Czy poza tym spojrzeniem, jakim cię Katie obrzuciła - zapytał Sean - było w jej zachowaniu coś, co zwróciło twoją uwagę?

Jimmy oderwał od Whiteya ciężki wzrok więźnia na spacerunku i napił się kawy

- Nie. Nic szczególnego. Chwileczkę... ten gnojek, Brendan Harris... Ach nie, to było dziś rano.

- Co za jeden?

- Chłopak z dzielnicy. Zaszedł dziś do sklepu i pytał o Katie, jakby spodziewał się ją zastać. Tymczasem ledwo się znali. To było trochę dziwne. Chociaż bo ja wiem...

Whitey zapisał nazwisko.

- Mogła się z nim umawiać na randki? - zapytał Sean.

- Nie.

- Tego się nigdy nie wie, Jim - wtrąciła Annabeth.

- Ja wiem - odburknął. - Nie spotykałaby się z takim dzieciakiem.

- Nie? - upewnił się Sean.

- Nie.

- Skąd ta pewność?

- Co jest, do cholery? Przypierasz mnie do muru?

- Nie przypieram cię do muru, Jim. Pytam tylko, skąd masz pewność, że twoja córka nie spotykała się z Brendanem Harrisem?

Jimmy wydmuchał powietrze ustami w górę, pod sufit.

- Ojciec wie takie rzeczy. Wystarczy?

Sean postanowił na razie porzucić ten wątek. Skinieniem głowy przekazał inicjatywę Whiteyowi, który zapytał:

- A z kim się spotykała?

- Obecnie z nikim - odpowiedziała Annabeth. - O ile nam wiadomo.

- A kim byli jej poprzedni chłopcy? Czy któryś z nich mógł żywić do niej urazę? Na przykład za to, że go rzuciła?

Marcusowie spojrzeli jedno na drugie i Sean wyczuł, że pomyśleli o tej samej osobie.

- Bobby O'Donnell - powiedziała w końcu Annabeth.

Whitey odłożył długopis na podkładkę notesu i rzucił im przez stół uważne

spojrzenie.

- Mówimy o tym samym Bobbym O'Donnellu?

- Skąd mam wiedzieć - prychnął Jimmy. - Handlarz koką i alfons, pod trzydziestkę?

- Otóż to - powiedział Whitey. - Podejrzewamy, że ma na sumieniu sporą liczbę przestępstw, jakie w ostatnich dwóch latach popełniono w tej dzielnicy.

- Ale jak dotąd o nic go nie oskarżyliście.

- Po pierwsze, panie Marcus, jesteśmy z policji stanowej. Gdyby tej zbrodni nie popełniono w Pen Park, w ogóle by nas tu nie było. East Bucky podlega w większości jurysdykcji miasta, a ja nie mogę się wypowiadać w imieniu policji municypalnej.

- Powiem to Connie, mojej przyjaciółce - powiedziała Annabeth. - Bobby i jego kumple wysadzili w powietrze jej kwiaciarnię.

- Dlaczego? - zapytał Sean.

- Nie chciała mu płacić.

- Za co?

- Za to, żeby nie wysadzali w powietrze jej kwiaciarni - wyjaśniła Annabeth i pociągnęła łyk kawy, a Sean znów pomyślał: twarda sztuka. Iść z taką do łóżka to ryzyko.

- Rozumiem, że państwa córka się z nim spotykała - stwierdził Whitey.

Annabeth kiwnęła głową.

- Niedługo. Może z parę miesięcy, prawda, Jim? Zerwała z nim w listopadzie.

- Jak to przyjął? - zaciekawił się Whitey.

Małżonkowie wymienili spojrzenia i Jimmy powiedział:

- Pewnej nocy wywołał awanturę. Przyszedł do nas ze swoim gorylem, Romanem Fallowem.

- I co?

- Poprosiliśmy ich grzecznie, żeby sobie poszli.

- My czyli kto?

- Kilku z moich braci mieszka nad nami i kilku pod nami - odparła Annabeth. - Bardzo kochają Katie.

- Bracia Savage - odpowiedział Sean.

Whitey po raz drugi odłożył długopis i ujął palcem wskazującym i kciukiem fałdkę skóry w kąciku oka.

- Bracia Savage?

- Owszem. Bo?

- Z całym szacunkiem, proszę pani, ale obawiam się, że z tego może powstać grubsza afera. - Whitey pochylił głowę i uciskał teraz swój kark. - Nie chciałbym nikogo urazić, ale...

- Tak się zwykle mówi, gdy zamierza się kogoś urazić.

Whitey popatrzył na nią z uśmiechem zaskoczenia.

- Pani bracia, o czym pani zapewne wie, nie cieszą się najlepszą opinią.

Annabeth odpowiedziała na uśmiech Whiteya kąśliwym uśmieszkiem.

- Wiem, kim są moi bracia, sierżancie. Nie musi pan owijać w bawełnę.

- Kolega z wydziału przestępstw kryminalnych powiedział mi kilka miesięcy temu, że O'Donnell ogłosił zamiar zajęcia się lichwą i heroiną, a to jest, jak słyszę, działka pani braci.

- Nie we Flats.

- Co pani przez to rozumie?

- Nie we Flats - powtórzył Jimmy, nakrywając ręką dłoń żony. - To znaczy, że nie zajmują się takim gównem we własnej dzielnicy.

- Tylko w cudzych - skwitował Whitey i pozwolił, by te słowa zabrzmiały jak wyrzut. - Tak czy owak pozostawia to we Flats pewną lukę do wypełnienia. Tę zaś wypełnić, jeśli moje informacje są prawdziwe, zamierza właśnie Bobby O'Donnell.

- I co dalej? - zapytał Jimmy, unosząc się trochę znad krzesła.

- Dalej?

- Co to ma wspólnego z moją córką, sierżancie?

- Bardzo wiele - odparł Whitey i rozłożył ręce. - Bardzo wiele, panie Marcus. Obie strony potrzebowały jakiegoś pretekstu do rozpoczęcia wojny i oto go mają.

Jimmy pokręcił głową z szyderczym uśmieszkiem.

- Jest pan odmiennego zdania, panie Marcus?

- Jestem zdania, panie sierżancie, że moja dzielnica wkrótce zniknie z powierzchni ziemi, a wraz z nią przestępczość. I nie stanie się to z powodu Savage'ów, O'Donnellów ani dzielnych policjantów, którzy z nimi walczą, ale dlatego, że stopy procentowe są niskie, podatki od nieruchomości rosną, każdy, więc chce wrócić do śródmieścia, bo życie na przedmieściach przestaje się opłacać. I sprowadzą się tu ludzie, którzy nie potrzebują hery, sześciu barów na jednej ulicy czy dziewczyny za dychę. Ludzie, którym się w życiu powiodło. Którzy lubią swoją pracę, mają ubezpieczenia emerytalne i jeżdżą dobrymi niemieckimi samochodami. Gdy się tu

sprowadzą - a ten proces już się zaczął - kryminaliści i połowa mieszkańców stąd się wyniesie. Nie martwiłbym się zbytnio wojną między Bobbym O'Donnellem a moimi szwagrami, panie sierzancie. O co mieliby się bić?

- Na razie o władzę - odparł Whitey.

- Pan naprawdę uważa, że to O'Donnell zamordował moją córkę? - zapytał Jimmy.

- Sądzę, że bracia Savage mogą go uznać za podejrzanego. I myślę, że ktoś powinien ich odwieść od tego pomysłu, póki nie zakończymy śledztwa.

Sean usiłował wyczytać coś z twarzy Marcusów siedzących po drugiej stronie stolika, lecz daremnie.

- Jimmy, jeśli nic nam nie przeszkodzi, możemy szybko tę sprawę zakończyć - powiedział.

- Doprawdy? Dajesz mi na to słowo, Sean?

- Zrobimy to tak, żeby w sądzie nie było żadnych niespodzianek.

- Ile to potrwa?

- Co?

- Ile potrzebujecie czasu, żeby wsadzić mordercę za kratki?

Whitey podniósł rękę.

- Chwileczkę. Czy pan się z nami targuje, panie Marcus?

- Targuję? - Twarz Jimmy'ego znowu zastygła w tym charakterystycznym grymasie.

- Istotnie - odparł Whitey - dostrzegam bowiem...

- Pan dostrzega?

- ...dostrzegam w pańskim głosie ton groźby.

- Doprawdy? - Wcielenie niewinności o pustym spojrzeniu.

- Jakby stawiał nam pan ultimatum - dopowiedział Whitey.

- Policjant Devine oświadczył, że znajdzie zabójcę mojej córki. Chciałem tylko wiedzieć, w jakim czasie to nastąpi.

- Policjant Devine nie prowadzi śledztwa. Ja je prowadzę. Postawimy przed sądem sprawcę tej zbrodni, obiecuję państwu. Nie chcę tylko, by się komuś zdawało, że może wykorzystać naszą obawę przed wybuchem wojny między gangami Savage'ów i O'Donnella. Jeśli poweźmę takie podejrzenie, aresztuję całe towarzystwo za zakłócanie porządku publicznego, a formalności odłożę na później, do czasu zakończenia tej sprawy.



Obok ich stolika przeszło dwóch strażników z tacami w rękach. Z talerzy z jakąś papką unosiła się para. Sean zdał sobie sprawę, że zapadła noc.

- Więc dobrze - powiedział Jimmy z szerokim uśmiechem.

- Dobrze, co?

- Znajdźcie mordercę. Nie będę wam przeszkadzał. - Wstał i zwrócił się do żony: - Chodźmy, kochanie.

- Panie Marcus... - odezwał się Whitey.

Jimmy spojrział na niego, podczas gdy jego żona podała mu rękę i również wstała.

- Na dole czeka na państwa policjant, który odwiezie was do domu - dokończył Whitey i sięgnął do portfela. - Gdyby coś sobie państwo przypomnieli, proszę o telefon.

Jimmy wziął wizytówkę i wsunął ją do tylnej kieszeni.

Annabeth wyglądała na znacznie mniej opanowaną, kiedy wstała. Ledwie trzymała się na nogach. Ścisnęła rękę męża, aż jej zbielała dłoń.

- Dziękuję panom - zwróciła się do obu detektywów.

Sean zauważył, że dramatyczne przeżycia zaczynają się odciskać na jej twarzy i całej postaci, drapować się na niej niczym ciężka szata. W ostrym świetle wiszącej pod sufitem lampy dostrzegł, jak będzie wyglądała, gdy się zestarzeje: przystojna kobieta, poryta zmarszczkami mądrości, której nie szukała.

Nie miał pojęcia, dlaczego to powiedział. Usłyszał dźwięk własnego głosu i zdumiał się, że w ogóle się odezwał.

- Będziemy się za nią modlili, pani Marcus, jeśli pani pozwoli.

Twarz Annabeth nagle się skurczyła. Kobieta nabrała ze świstem powietrza, kiwnęła kilka razy głową i silniej oparła się na ramieniu męża.

- Dobrze, panie Devine, niech się pan za nią modli. Bardzo proszę.

Gdy jechali przez miasto, Whitey zapytał:

- Co to za historia z tym autem?

- Słucham?

- Marcus powiedział, że omal nie wsiedliście do jakiegoś auta, gdy byliście chłopcami.

- No więc... - Sean wyciągnął rękę i przestawił lusterko boczne. Zobaczył w nim reflektory jadących z tyłu samochodów, rozmyte żółte plamki podskakujące w ciemnościach. - Ja, Jimmy i jeszcze jeden chłopak, Dave Boyle, bawiliśmy się na ulicy

przed moim domem. Mieliśmy wtedy po jedenaście lat. Nagle pojawił się samochód. Nadjechał ulicą i dwaj mężczyźni zabrali Dave'a.

- Porwanie?

Sean kiwnął głową, nie odrywając wzroku od łańcuszka żółtych światełek.

- Udawali policjantów. Zmusili Dave'a, żeby wsiadł. My z Jimmym odmówiliśmy. Trzymali go cztery dni. Udało mu się uciec. Mieszka teraz we Flats.

- Dorwali ich?

- Jeden zdążył wcześniej umrzeć, drugiego posadzili rok później. Gość założył sobie w celi krawat.

- Wiesz - powiedział Whitey - chciałbym, żeby istniała taka wyspa jak na tym starym filmie ze Steve'em McQueenem. Grał Francuza i wszyscy poza nim mówili z akcentem. Był po prostu sobą, Steve'em McQueenem z francuskim nazwiskiem. Pod koniec skoczył z urwiska z tratwą zrobioną z orzechów kokosowych. Widziałeś?

- Nie.

- Dobry film. A gdyby tak pedofili i gwałcicieli osadzić na jakiejś wyspie? Kilka razy w tygodniu dostarczałoby się im samolotami żarcie, w morzu nastawiałoby się min, żeby żaden nie uciekł. Pierwsze przestępstwo tego rodzaju na twoim koncie i dostajesz dożywocie na tej wyspie, bratku. Przykro nam, ale nie możemy ryzykować, że kiedyś wyjdiesz z pudła i zaczniesz zarażać innych. To jest choroba zaraźliwa. Łapiesz ją, bo ktoś ciebie tak potraktował. Potem przenosisz to na innych. To jest jak trąd. Wierzę, że gdybyśmy zamknęli ich wszystkich na osobnej wyspie, liczba zarażeń zaczęłaby spadać. Z pokolenia na pokolenie. I po kilkuset latach moglibyśmy postawić na tej wyspie ekskluzywne sanatorium lub coś w tym rodzaju. Dzieci słuchałyby opowieści o tych zbrodniach, jak dziś słuchają bajek o duchach, jak o rzeczywistości, z której... jak by to powiedzieć?... wyrosliśmy.

- Sierżancie, zaczyna pan filozofować?

Whitey roześmiał się i skręcił na wjazd na autostradę.

- Ten twój kumpel Marcus... Wystarczyło mi na niego spojrzeć, by się zorientować, że siedział. Oni nigdy nie pozbywają się tego napięcia, zauważyłeś? Tkwi głównie w ramionach. Kiedy człowiek przez dwa lata musi mieć oczy naokoło głowy, dwadzieścia cztery godziny na dobę, napięcie musi się gdzieś umiejscowić.

- Facet stracił właśnie córkę, nie sądzi pan, że raczej to usadowiło mu się w ramionach?

Whitey pokręcił głową.

- Nie. To siedzi u niego w brzuchu. Widziałeś, jak cały czas się krzywił? Rozpacz ulokowała się u niego w brzuchu, powodując nadkwasotę. Widywałem to już setki razy. Natomiast napięcie w barkach to pamiątka z więzienia.

Sean oderwał wzrok od lusterka wstecznego i przez chwilę przyglądał się światłom reflektorów po drugiej stronie autostrady. Nadlatywały w ich stronę jak oczka z guziczków i zlewały się ze sobą, tworząc świetliste wstęgi. Odniósł wrażenie, że miasto opina ich ciasną obręczą, zbudowaną z drapaczy chmur, bloków mieszkalnych, biurowców, garaży, stadionów, nocnych klubów i kościołów i miał świadomość, że gdyby jedno z tych światełek zgasło, nikt by tego nie zauważył. Gdyby jedno nowe się zapaliło, nikt by na to nie zwrócił uwagi. A jednak pulsowały, świeciły, mrugały, jarzyły się i wślepiały w człowieka jak właśnie teraz, gdy pędzili autostradą, jako jeszcze jeden zbiór czerwonych i żółtych światełek, wplecionych w nurt innych takich samych, lśniących w ciemnościach niedzielного zmierzchu.

Dokąd tak mknęły?

Do punktu, w którym zgasną, głupcze, i posypie się stłuczone szkło.

Po północy, gdy Annabeth i dziewczynki położyły się w końcu spać, a Celeste, kuzynka Annabeth, która do nich przysłała, ledwie usłyszała tragiczną nowinę, zdrzemnęła się na kanapie, Jimmy zszedł nad dół i usiadł na ganku przed domem, który dzielili z braćmi Savage.

Wziął ze sobą rękawicę baseballową Seana i wsunął na rękę. Nie mógł wepchnąć kciuka, a dół rękawicy kończył mu się w połowie dłoni. Siedział, przyglądał się czteropasmowej Buckingham Avenue i uderzał piłką we wgłębienie rękawicy. Miękkie kłaśnięcia skóry o skórę działały na niego kojąco.

Lubił siadywać tu o późnej godzinie. Sklepy po drugiej stronie alei były zamknięte i przeważnie ciemne. W nocy na ten rejon, za dnia tętniący gwarem, spływała cisza - niepodobna do żadnej innej. Hałas, który królował tu za dnia, nie znikał, lecz jedynie niki, co przypominało chwilowe wstrzymanie powietrza w płucach po to, by zaraz je wypuścić. Jimmy dobrze się czuł w tym wyciszeniu, lubił je, bo zapowiadało powrót hałasu. Nie mógłby zamieszkać na wsi, gdzie cisza była hałasem, cisza tak delikatna, że burzył ją najlżejszy dźwięk.

Lubił natomiast tę ciszę, bo zawierała w sobie zamarły gwar. Aż do tej chwili wieczór był hałaśliwy, wypełniony głosami i płaczem Annabeth i dziewcząt. Sean Devine przysłał dwóch detektywów, Bracketta i Rosenthala, żeby przeszukali pokój

Katie. Zrobili to ze spuszczoneymi oczami, przepaszając szeptem, że grzebią w szufladach, zaglądują pod łóżko i materac, on zaś pragnął tylko, by uporali się z tym jak najszybciej i poszli. Nie znaleźli nic niezwykłego, nie licząc siedmiuset dolarów w nowych banknotach schowanych w szufladzie ze skarpetkami. Pokazali je Jimmy'emu wraz z książeczką oszczędnościową ze stemplem „likwidacja rachunku” i ostatnią wypłatą, dokonaną w piątek po południu.

Nie potrafił im tego wyjaśnić. Sam był zaskoczony. Po tragedii, jaka tego dnia się rozegrała, ta niespodzianka nie uczyniła już na nim większego wrażenia. Powiększyła jedynie nastrój ogólnego odrętwienia.

- Możemy sprzątnąć drania.

Val wyszedł na ganek i podał Jimmy'emu piwo. Usiadł obok szwagra i oparł bosc stopy na stopniach schodów.

- O'Donnella? Val kiwnął głową.

- Chętnie to zrobię, przecież wiesz, Jim.

- Uważasz, że to on zabił Katie.

Val potaknął.

- Albo komuś zlecił. Ty tak nie myślisz? Jej przyjaciółki są tego pewne. Mówią, że Roman naskoczył na nie w barze, że groził Katie.

- Groził?

- W każdym razie nawtykał jej, jakby dalej chodziła z O'Donnellem. Wierz mi, Jimmy, to na pewno Bobby.

- Na razie nie mam pewności.

- Co zrobisz, jak będziesz miał?

Jimmy położył rękawicę na schodku pod nogami i otworzył puszkę piwa. Pociągnął długi łyk.

- Tego też jeszcze nie wiem.

## To się w życiu dwa razy nie zdarza

Pracowali nad tą sprawą aż do świtu, Sean, Whitey Powers, Souza, Connolly, dwaj detektywi z wydziału zabójstw policji stanowej, Brackett i Rosenthal oraz gromada policjantów i techników kryminalistyki, fotografów i anatomopatologów. Opukiwali ślady jak metalową puszkę. Zbadali każdy listek w parku. Zabazgrali notesy wykresami i raportami z miejsca zbrodni. Funkcjonariusze policji stanowej przesłuchali mieszkańców okolicznych domów, wywieźli furgonetkami wszystkich włóczęgów z parku i bezdomnych z wypalonych ruder na Sydney. W plecaczku znalezionym w samochodzie Katie Marcus odkryli wśród zwykłego galimatiasu kobiecych drobiazgów przewodnik po Las Vegas i spis tamtejszych hoteli na żółtej poliniowanej kartce.

Whitey pokazał przewodnik Seanowi i gwizdnął z satysfakcją.

- To ciekawostka, co się zowie. Chodźmy pogadać z tymi przyjaciółkami.

Eve Pigeon i Diane Cestra, zdaniem Jimmy'ego chyba ostatnie przyzwoite osoby, jakie widziały jego córkę żywą, wyglądały tak, jakby otrzymały potężny cios w potylicę tą samą łopatą. Whitey i Sean przesłuchiwali je jak najogłędniej w przerwach między wybuchami płaczu obu przyjaciółek. Dziewczęta podały im rozkład zajęć Katie tej feralnej nocy oraz nazwy barów, które wspólnie odwiedziły, wraz z przybliżonymi godzinami, o których tam przybyły i o których wyszły. Jednak na pytania o sprawy bardziej osobiste udzielały dość wykrętnych odpowiedzi, co obaj detektywi natychmiast zauważyli. Wymieniały pomiędzy sobą spłoszone spojrzenia i wykazywały tyle niepewności, ile przedtem zdecydowania.

- Spotykała się z kimś?

- Nie, na stałe raczej nie.

- A okazjnie?

- No więc ...

- Tak?

- Nie wtajemniczała nas w tego rodzaju sprawy.

- Dajcie spokój, dziewczęta. Przyjaciółka od dziecka miałyby wam nie opowiadać,

z kim się spotyka?

- Była bardzo skryta.

- Właśnie, bardzo skryta, taka właśnie była, proszę pana. Whitey spróbował z innej beczki.

- Ostatniej nocy nie wydarzyło się nic szczególnego?

- Nic.

- A jej plany wyjazdu?

- Słucham? Nic nam o tym nie wiadomo.

- Doprawdy? Panno Diane, w jej samochodzie na tylnym siedzeniu znaleźliśmy plecak, a w nim przewodnik po Las Vegas. Czyżby wozila go ze sobą, ot tak sobie?

- Może, nie wiem.

W tym momencie wtrącił się ojciec Eve:

- Kochanie, jeśli wiesz coś, co mogłoby panom pomóc, mów prawdę. Chodzi o zabójstwo Katie, na rany Chrystusa!

Te słowa spowodowały tylko nowy wybuch płaczu, dziewczęta wpadły w istną histerię, zaczęły szlochać bez opamiętania, objęły się i dygotały z szeroko otwartymi ustami, nieco mechaniczne w tej pantomimie cierpienia, jaką Sean często widywał w podobnych momentach, kiedy, jak zwykł mawiać Martin Friel, tamy pękały i do świadomości osieroconych docierał fakt nieodwracalności straty. W takich chwilach pozostawało jedynie przeczekać lub wyjść.

Czekali więc cierpliwie.

Sean uznał, że Eve Pigeon jest rzeczywiście trochę podobna do ptaka\*. Wyostrzone rysy twarzy i bardzo cienki nos wcale jej nie szpeciły, przeciwnie. Miała w sobie wdzięk, który przydawał jej chudości powabu wręcz arystokratycznego. Należała do kobiet, które wyglądają korzystniej w eleganckich niż niedbałych strojach. Czuło się w niej inteligencję i dobroć serca, które, jak miał nadzieję, będą przyciągały jedynie poważnych mężczyzn, a odstraszały cwaniaków i zwykłych podrywaczy.

Z kolei od Diane biła przytłumiona zmysłowość. Sean dostrzegł bladą bliznę tuż pod jej prawym okiem. Dziewczyna sprawiła na nim wrażenie mniej inteligentnej od Eve, podatniejszej na uczucia, a pewnie i bardziej skorej do śmiechu. W jej oczach, na podobieństwo identycznych skaz, błyszczała blaknąca nadzieja, taka, która rzadko, o czym dobrze wiedział, przyciągała mężczyzn spoza gatunku damskich bokserów. Przewidywał, że w ciągu najbliższych lat Diane stanie się bohaterką zgłoszeń pod

---

\* \* Pigeon - (ang.) gołąb (przyp. tłum.).

numer 911 i wezwań do awantur domowych, a kiedy policja zapuka do jej drzwi, ta błędna nadzieja już dawno w jej oczach zgaśnie.

- Muszę czegoś dowiedzieć się o Romanie Fallow, Eve - powiedział cicho Whitey, kiedy dziewczęta przestały płakać.

Kiwnęła głową, jakby spodziewała się tego pytania, milczała jednak. Obgryzała skórkę wokół kciuka i gapiała się na leżące na stole okruszki.

- To ten łobuz, który kręci się koło Bobby'ego O'Donnella? - zapytał jej ojciec.

Whitey uciszył go gestem uniesionej ręki i spojrzał na Seana.

- Eve - odezwał się Sean, zrozumiałwszy, że raczej do niej powinni szturmować. Trudniej ją będzie złamać niż Diane, ale dostarczy więcej użytecznych informacji.

Spojrzała na niego.

- To nie będzie miało dla was żadnych przykrych następstw, jeśli tego się obawiacie. To, co powiecie nam na temat Fallowa, zachowamy wyłącznie dla siebie. Tamci nigdy się nie dowiedzą, że informacje pochodziły od was.

- A jeśli sprawa znajdzie się w sądzie? - zapytała Diane. - Co wtedy?

Whitey rzucił Seanowi spojrzenie, które mówiło: ot i masz babo placek!

Sean skoncentrował uwagę na Eve.

- Jeśli nie widziałyście, by Roman lub Bobby wyciągali Katie z samochodu...

- Tego nie widziałyśmy.

- W takim razie prokurator nie będzie was zmuszał do zeznań przed sądem, nie obawiaj się. Zapewne zada wam mnóstwo pytań, ale nie będzie was do niczego zmuszał.

- Pan ich nie zna - wykrztusiła Eve.

- Bobby'ego i Romana? Ależ znam. Osobiście wsadziłem Bobby'ego za kratki na dziewięć miesięcy, kiedy pracowałem w narkotykach. - Sean wyciągnął rękę i położył ją na stole, o centymetr od dłoni Eve. - Łajdak mi groził. Ale to wszystko, co on i Roman potrafią: rzucać pogrożki.

Patrzac na rękę Seana, Eve uraczyła go ironicznym uśmiechem.

- Gównu prawda - powiedziała, przeciągając sylaby.

- Nie wyrażaj się! - zachnął się jej ojciec.

- Panie Pigeon - mitygował go Whitey.

- Chwileczkę - zapalał się Drew - to mój dom i ja tu ustalę reguły. Nie pozwolę, żeby moja córka wyrażała się jak jakaś...

- Bobby - mruknęła Eve, a Diana westchnęła ciężko i popatrzyła na przyjaciółkę

takim wzrokiem, jakby ta postradała zmysły.

Sean dostrzegł, jak brwi Whiteya wędrują do góry.

- Co Bobby? - zapytał.

- Z nim się spotykała. Z Bobbym, nie z Romanem.

- Jimmy o tym wiedział? - zapytał córkę Drew.

Eve wzruszyła nieznacznie ramionami, w sposób typowy dla dziewcząt w jej wieku. Lekkie drgnienie ciała oznajmiało, że jest gotowa zadać sobie najwyżej tyle trudu.

- Wiedział czy nie? - natarł na nią ojciec.

- I tak, i nie - odparła. Westchnęła, odchyliła głowę i ciemnymi oczami popatrzyła w sufit. - Jej rodzice myśleli, że to już skończone, bo przez chwilę i ona tak myślała. Jediną osobą, która nie uważała, że między nimi wszystko skończone, był Bobby. Nie chciał się z tym pogodzić. Wciąż ją nachodził. Którejś nocy o mało nie zrzucił jej ze schodów, z drugiego piętra.

- Widziałaś to? - spytał Whitey.

Pokręciła głową.

- Katie mi opowiadała. Dopadł ją na jakiejś imprezie, miesiąc temu, może półtora. Namówił, żeby wyszła z nim na korytarz. Impreza odbywała się w mieszkaniu na drugim piętrze. - Eve przetarła grzbietem dłoni twarz, choć, sądząc po jej minie, wyplakała już dziś wszystkie łzy. - Katie opowiadała mi, że próbowała mu wytłumaczyć, że między nimi wszystko skończone, ale nie chciał o tym słyszeć. Tak się wpienił, że złapał ją za ramiona, wystawił za balustradę i trzymał dwa piętra nad ziemią. Zupełny wariat. Zagroził, że jeśli ona z nim zerwie, pożegna się z życiem, już on się o to postara. Będzie jego dziewczyną dopóty, dopóki on zechce, a jak się nie podoba, zaraz ją wypuści.

- Boże drogi - wyjąkał Drew Pigeon po chwili milczenia. - Z kim wy się zadajecie?

- Co Roman powiedział do niej tej nocy w barze, Eve? - zapytał Whitey.

Milczała.

- Może ty nam zdradzisz to, Diane? - zwrócił się Whitey do drugiej z dziewcząt.

Diane wyglądała jak ktoś, kto koniecznie musi się napić.

- Wyjaśniłyśmy już Valowi, to wystarczy.

- Valowi? Valowi Savage? - upewnił się Whitey.

- Przyszedł tu dziś po południu - odparła Diane.

- Jemu powiedziałyście, a nam nie chcecie?



- To jej krewny - odparła Diane, skrzyżowała ramiona na piersiach i przybrała minę, która mówiła: „odpieprz się, glino”.

- Ja wam powiem - odezwała się Eve. - O mój Boże! Powiedział, że doszły go słuchy, że się upiliśmy i robimy z siebie idiotki, co wcale mu się nie podoba, a i Bobby'emu się z pewnością nie spodoba, więc lepiej, żebyśmy już poszły do domu.

- I wy poszłyście.

- Rozmawiał pan kiedyś z Romanem? Ma taki sposób zadawania pytań, że brzmią jak groźby.

- No właśnie - skwitował Whitey. - Nie zauważyłyście, by was po wyjściu śledził?

Pokręciła przecząco głową. Spojrzeli na Diane. Wzruszyła ramionami.

- Byłyśmy dość pijane.

- I nie widziałyście go już tamtej nocy? Żadna z was?

- Katie podwiozła nas pod mój dom - odparła Eve. - Tu nas wysadziła. Więcej jej nie widziałyśmy. - Przy ostatnich słowach przygryzła wargę, skrzywiła się, znowu odrzuciła głowę, spojrzała w sufit i głęboko westchnęła.

- Z kim planowała wyjazd do Vegas? - zapytał Sean. - Z Bobbym?

Eve wpatrywała się w sufit, dopóki jej oddech się nie uspokoił.

- Nie, nie z nim - powiedziała w końcu.

- Więc z kim? - dociekał Sean. - Z kim miała wyjechać do Vegas?

- Z Brendanem.

- Brendanem Harrisem? - upewnił się Whitey.

- Tak.

Whitey i Sean spojrzeli po sobie.

- Z tym dzieciakiem Rayów? - zapytał Drew Pigeon. - Tym, co ma głuchoniemego brata?

Eve skinęła głową i Drew zwrócił się do obu detektywów.

- To miły chłopak. Spokojny.

Sean potaknął. Spokojny. Niewątpliwie.

- Macie jego adres? - zapytał Whitey.

U Brendana Harrisa nikogo nie zastali, więc Sean zadzwonił na komisariat i polecił dwóm policjantom obserwować mieszkanie. Mieli do niego zadzwonić, kiedy chłopak wróci.

Następnie poszli do domu pani Prior i odsiedzieli tam swoje przy herbacie,

nieświeżych herbatnikach i odcinku serialu Dotyk anioła\*. Telewizor był nastawiony tak głośno, że Seanowi jeszcze przez godzinę dudnił w głowie głos Delii Reese wykrzykującej „Amen” i zapowiadającej zbawienie.

Pani Prior zeznała, że ubiegłej nocy około wpół do drugiej wyjrzała przez okno i zobaczyła na ulicy dwóch małych chłopców. Rzucali w siebie puszkami, odbijali je kijami do hokeja i używali brzydkich wyrazów. Chciała im nawet zwrócić uwagę, ale staruszki drobnej postury raczej nie powinny się narażać. Dzieci są w dzisiejszych czasach zupełnie nieczytelne, strzelają do siebie w szkołach z pistoletów, noszą workowate spodnie i używają rynsztokowego języka. Zresztą w końcu zaczną do siebie strzelać na ulicach i staną się problemem dla kogoś zupełnie innego. Co za czasy nastały, co za czasy!

- Funkcjonariusz Medeiros powiedział nam, że słyszała pani samochód jakieś trzy kwadransy po pierwszej - wtrącił Whitey.

Pani Prior pilnie obserwowała, jak Della tłumaczy Romie Downey boskie wyroki. Roma słuchała z miną uroczystą i łzawym spojrzeniem, po brzegi napełniona Jezusem Chrystusem. Pani Prior kilka razy przytaknęła telewizorowi głową, po czym zwróciła wzrok na detektywów.

- Słyszałam, jak samochód w coś uderzył.

- W co?

- Ludzie jeżdżą dziś tak, że dziękuję Bogu, iż nie mam już prawa jazdy. Bałabym się poruszać w takim ruchu. Wszyscy z kretesem powariowali.

- Ma pani zupełną rację - zgodził się z nią Sean. - A wracając do naszych spraw. Czy to, co pani słyszała, przypominało zderzenie dwóch samochodów?

- Ach nie!

- Samochodu z człowiekiem? - zapytał Whitey.

- Miły Boże, a jakież to byłby dźwięk? Nie chcę nawet wiedzieć.

- Więc nie był to głośny dźwięk - podsumował Whitey.

- Co mówisz, kochanku?

Whitey wychylił się do przodu i powtórzył.

- Nie - potwierdziła pani Prior. - Przypominał odgłos uderzenia kół o kamień lub krawężnik. Potem samochód stanął i ktoś powiedział: „Cześć”.

- Cześć?

---

\* Touched by an Angel - popularny serial telewizyjny; Della Reese i Roma Downey to występujące w nim aktorki (przyp. tłum.).

- Cześć. - Pani Prior spojrzała na Seana i kiwnęła głową. - A potem coś pękło.

Sean i Whitey wymienili spojrzenia.

- Pękło? - zapytał Whitey.

Pani Prior pokiwała skwapliwie siwą głową.

- Kiedy żył jeszcze mój Leo, złamał raz oś naszego plymoutha. Jakże to trzasnęło!

Trach! - Oczy staruszki zajaśniały. - Trach! Trach! - powtórzyła.

- I to właśnie pani usłyszała w chwili potem, gdy ktoś powiedział: „Cześć”?

Przytaknęła.

- „Cześć”, a potem trach!

- Wtedy wyjrzała pani przez okno i co pani zobaczyła?

- Ach nie, nie! - zaprotestowała pani Prior. - Nie wyglądałam przez okno. Byłam już w szlafroku. Leżałam w łóżku. Nie wyglądałam w szlafroku przez okno. Ktoś mógłby zobaczyć.

- Ale piętnaście minut wcześniej pani...

- Młody człowieku, piętnaście minut wcześniej nie miałam na sobie szlafroka. Właśnie skończyłam oglądać telewizję, cudowny film z Glennem Fordem. Szkoda, że zapomniałam tytułu.

- Więc wyłączyła pani telewizor...

- ...i zobaczyłam te pozbawione opieki matki dzieci na ulicy. Potem weszłam na górę, przebrałam się w szlafrok, a później, młodzieńcze, zaciągnęłam story.

- Ten głos, który powiedział „Cześć”, należał do mężczyzny czy kobiety? - zapytał Whitey.

- Chyba do kobiety - odparła pani Prior. - Taki wysoki głos. Niepodobny do głosów panów - dodała z ożywieniem. - Panowie mają piękne męskie głosy. Wasze matki muszą być z was dumne.

- Ogromnie, proszę pani - potwierdził Whitey. - Nie wyobraża sobie pani nawet, jak bardzo.

Kiedy wyszli od pani Prior, Sean prychnął z rozbawieniem:

- Trach!

Whitey uśmiechnął się.

- Wymawiała to słowo z przyjemnością, zauważyłeś? W żyłach sędziwej dziewczynki płynie gorąca krew.

- Jak pan myśli, to był odgłos łamiącej się osi czy wystrzał?

- Wystrzał - odparł Whitey. - Gnębi mnie to „Cześć”.

- Sugeruje, że znała mordercę, skoro powiedziała mu „Cześć”.
- Sugeruje, choć nie gwarantuje.

Obeszli okoliczne bary, gdzie uzyskali jedynie mętne zeznania barmanów, którzy może widzieli u siebie wspomniane dziewczyny, a może nie widzieli, oraz niepełne listy stałych bywalców, którzy znajdowali się na miejscu o określonej porze sobotniej nocy.

Kiedy dotarli do baru McGills, Whitey był już porządnie wnerwiowny.

- Dwie młode gówniary, właściwie nieletnie, wskakują na kontuar i tańczą, a pan mi mówi, że nic nie pamięta?

Barman zaczął potakiwać głową już w połowie wypowiedzi Whiteya.

- A, chodzi o te laleczki? Oczywiście, teraz sobie przypominam. Naturalnie. Musiały mieć dobre papiery, panie władzo, bo je wylegitymowaliśmy.

- Jestem sierżantem - mruknął Whitey. - Najpierw pan nie pamięta, że w ogóle tu były, a teraz przypomniał pan sobie, że je legitymował? Taka wybiórcza pamięć? A może przypomniałby pan sobie, o której wybyły?

Barman, młody byczek o tak napakowanych bicepsach, że tamowały mu chyba dopływ krwi do mózgu, wytrzeszczył oczy.

- Wybyły?

- Inaczej mówiąc, wyszły.

- Ja nie...

- Na chwilę przed tym, jak Crosby rozbił zegar - wtrącił facet zajmujący barowy stółek.

Sean otaksował go. Starszy gość. Siedział nad egzemplarzem „Boston Herald” rozpostartym na kontuarze między butelką budweisera a szklaneczką whisky. Do popielniczki osypywał się popiół z zapalonego papierosa.

- Był pan tu wczorajszej nocy? - zapytał Sean.

- Byłem. Moron Crosby zalał się i chciał jechać w tym stanie do domu. Kumple próbowali odebrać mu kluczyki, a on w nich nimi rzucił. Chybił, trafił w tamten zegar.

Sean spojrzął na zegar wiszący nad drzwiami do kuchni. Szkło pękło w pajęczą siateczkę, wskazówki stanęły na godzinie 12:52.

- Dziewczęta wyszły wcześniej? - zapytał Whitey.

- Jakies pięć minut wcześniej - potwierdził zapytany. - Kiedy kluczyki trachnęły w ten zegar, pomyślałem sobie: Dobrze, że dziewczęta już wyszły i nie muszą oglądać tego bajzlu.

W samochodzie Whitey zapytał:

- Mamy już rozkład ich zajęć?

Sean kiwnął głową i przerzucił kartki w notesie.

- Z Curley's Folly wyszły o wpół do dziesiątej, potem udały się do Banshee, dalej do pubu Dicka Doyle'a, a stamtąd do Spire's. Nigdzie nie zabawiły długo. U McGillsa wylądowały około wpół do dwunastej, dziesięć po pierwszej zjawiły się w Ostatniej Kropli.

- Wóz rozbiła jakieś pół godziny później.

Sean potaknął.

- Widzisz na liście tego barmana jakieś znajome nazwiska?

Devine przyjrzał się liście gości, którą barman z baru McGills nabazgrał na kawałku papieru.

- Dave Boyle - powiedział, dotarłszy do tej pozycji.

- To ten, z którym kolegowaliście się jako dzieci?

- Chyba tak.

- Trzeba z nim pogadać - rzekł Whitey. - Uważa cię za kumpla, nie potraktuje nas jak gliny, nie nabierze wody w usta bez powodu.

- Mam nadzieję.

- Wpisujemy go więc na listę jutrzejszych obowiązków.

Romana Fallowa znaleźli w Cafe Society w Point nad filiżanką małej czarnej. Siedział z dziewczyną, która sprawiała wrażenie modelki - rzepki kolanowe miała równie spiczaste jak kości policzkowe, oczy z lekka wylupiate, a skóra na jej twarzy była tak mocno napięta, że wydawała się przyklejona do kości. Miała na sobie ładną letnią sukienkę w kolorze złamanej bieli w prążki podobne do spaghetti, w której wyglądała zarazem seksownie i szkieletowato. Sean zaczął się zastanawiać, jak ona ją z siebie ściąga, i doszedł do wniosku, że to nie sukienka, tylko perłowy połysk jej nieskazitelnej skóry.

Roman był ubrany w jedwabną koszulkę, wpuszczoną w lniane spodnie. W tym stroju przypominał bohatera jednego z tych starych filmów wytwórni RKO\*, których akcja dzieje się w Hawanie lub na Key West. Popijał kawę i przeglądał gazetę. Czytał strony gospodarcze, jego towarzyszką dodatek poświęcony modzie.

---

\* Radio Keith Orpheum - studio filmowe, którego filmy miały w czołówce maszt anteny radiowej (przyp. tłum.).

Whitey przysunął sobie krzesło do ich stolika i powiedział:

- Słuchaj, stary, tam, gdzie kupiłeś tę koszulkę, mają też męskie ciuchy?

Nie odrywając wzroku od gazety, Roman wsadził do ust kawałek croissanta.

- Co u pana słyhać, sierzancie? Jak się panu spisuje ten hyundai?

Whitey parsknął śmiechem. Sean również dosiadł się do stolika.

- Wiesz, Roman, sprawiasz wrażenie typowego japiszona, który od rana siada do laptopa robić interesy.

- Ja mam peceta, sierzancie. - Roman złożył gazetę i po raz pierwszy przyjrzał się obu policjantom. - Czołem - zwrócił się do Seana. - Pana chyba skądś znam.

- Sean Devine z policji stanowej.

- Ależ tak! - ucieszył się Roman. - Oczywiście, pamiętam, pamiętam. Widziałem pana w sądzie. Zeznawał pan przeciwko jednemu z moich przyjaciół. Ładny garniturek. Sears się ostatnio podciągnął, prawda? Nadążają za modą.

Whitey spojrzał na modelkę.

- Postawić pani stek, kotku?

- Słucham?

Nie skojarzyła.

- A może trochę glukozy w kroplówce? Mój ulubiony przysmak.

- Niech pan da jej spokój - burknął Roman. - To są sprawy między nami, prawda?

- Nic nie rozumiem, Roman - poskarżyła się modelka.

Roześmiał się.

- Nie przejmuj się, Michaela. Po prostu nie zwracaj na nas uwagi.

- Michaela - powtórzył Whitey. - Pulchniutkie imię.

Michaela zagłębiła się w dodatek z modą.

- Co pana tu sprowadza, sierzancie?

- Maślane placuszki - odparł Whitey. - Uwielbiam tutejsze placuszki z maselkiem.

A, i jeszcze jedno, Roman. Znasz niejaką Katherine Marcus?

- Jasne. - Roman pociągnął łyk kawy i otarł usta serwetką, którą następnie odłożył na kolana. - Słyszałem, że znaleziono ją martwą dzisiaj po południu.

- Niestety - potwierdził Whitey.

- Reputacja dzielnicy na tym ucierpi.

Whitey skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się z zainteresowaniem Romanowi, który przeżuł kolejny kęs croissanta i popił go kawą. Założył nogę na nogę, otarł wargi serwetką i przez chwilę mierzył Whiteya wzrokiem. Sean pomyślał,

że to jest coś, co zaczyna go w tym fachu wyjątkowo nudzić, ta cała rywalizacja, te wszystkie twarde, nieugięte spojrzenia.

- Owszem, sierżancie - powiedział w końcu Roman. - Znałem Katherine Marcus.

Tylko po to się pan tutaj fatygował?

Whitey niedbale wzruszył ramionami.

- Znałem ją i widziałem tej nocy w barze.

- I zamieniłeś z nią parę słów - podpowiedział Whitey.

- Rzeczywiście - przyznał Roman.

- Jakie to były słowa? - zapytał Sean.

Roman patrzył tylko na Whiteya, jakby Seanowi nie należało się więcej uwagi, niż mu jej dotąd poświęcił.

- Chodziła z moim przyjacielem. Była pijana. Powiedziałem, że robi z siebie pośmiewisko i żeby lepiej wróciła już z koleżankami do domu.

- Co to za przyjaciel? - zapytał Whitey.

Roman się uśmiechnął.

- Da pan spokój, panie sierżancie. Pan dobrze wie.

- Wymów to nazwisko, Roman.

- Bobby O'Donnell. Zadowolony pan? Chodziła z Bobbym.

- Aktualnie?

- Słucham?

- Aktualnie - powtórzył Whitey. - Czy spotykała się z nim obecnie, czy tylko kiedyś, w przeszłości?

- Aktualnie.

Whitey zapisał coś w notesie.

- Mamy na ten temat inne informacje, panie Roman.

- Tak?

- Tak. Słyszeliśmy, że kopnęła go w ten jego tłusty tyłek już siedem miesięcy temu, ale on nie pozwalał jej odejść.

- Zna pan kobiety.

Whitey pokręcił głową.

- Nie, bracie, oświeć mnie w tej mierze.

Roman złożył gazetę.

- Katie i Bobby zrywali ze sobą i znowu się schodzili. Jednego dnia za nim szalała, drugiego dawała mu zdrowo popalić.

- Dawała mu popalić - zwrócił się Whitey do Seana. - To ci pasuje do obrazu Bobby'ego O'Donnella?

- Wcale - odparł Sean.

- Wcale - Whitey przekazał tę wiadomość Romanowi.

Ten wzruszył ramionami.

- Mówię to, co wiem.

- To ładnie z twojej strony. - Whitey zapisał coś w notesie. - Dokąd udałeś się tej nocy po wyjściu z Ostatniej Kropli?

- Poszliśmy na przyjęcie w penthousie jednego z przyjaciół.

- Przyjęcie w penthousie - powtórzył Whitey. - Zawsze marzyłem o tym, by pójść na przyjęcie w penthousie. Najlepsze dragi, modelki, kupa wyluzowanych białych facetów słuchających rapu. Mówiąc „my”, Roman, miałeś na myśli siebie i tę oto Ally McBeal?\*

- Michaelę - sprostował Roman. - Owszem. Michaela Davenport, jeśli chce pan to sobie zapisać.

- Ależ chętnie - potwierdził Whitey. - Czy to pani prawdziwe nazwisko, skarbie?

- Słucham?

- Czy pani prawdziwe nazwisko brzmi Michaela Davenport?

- Tak. - Oczy modelki stały się bardziej wypukłe. - Dlaczego?

- Pani matka musiała się naoglądać mydlanych oper, gdy była z panią w ciąży.

- Roman - poskarżyła się Michaela.

Roman podniósł rękę i zmierzył sierżanta groźnym spojrzeniem.

- Czy nie mówiłem, że to sprawa między nami?

- Obraziłeś się, stary? Chcesz napuścić na mnie Christophera Walkena?\*\*\*

Odstawiasz twardziela? Bo widzisz, możemy cię wziąć na małą przejażdżkę, zanim wyjaśni się sprawa twojego alibi. Mamy do tego pełne prawo. Planowałeś coś na jutro?

Roman wycofał się - Sean nieraz to obserwował - co często robią przestępcy, kiedy policja mocniej ich przycisnie. Zamykają się w sobie tak kompletnie, że można by przysiąc, iż przestali oddychać i tylko wpatrują się w rozmówcę pociemniałymi, zimnymi i zwężonymi oczami.

---

\* Tytułowa postać popularnego serialu tv (przyp. tłum.).

\*\* Aktor amerykański, często obsadzany w rolach twardych mężczyzn; Oscar za rolę drugoplanową w Łowcy jeleni (przyp. tłum.).



- Nie obrażam się, panie sierżancie - powiedział matowym głosem. - Z przyjemnością dostarczę panu nazwiska osób, które widziały mnie na tym przyjęciu. Jestem też przekonany, że barman z Ostatniej Kropli, Todd Lane, potwierdzi, że wyszedłem stamtąd nie wcześniej jak o drugiej.

- Grzeczny chłopiec - pochwalił go Whitey. - A twój kumpel Bobby? Gdzie go można znaleźć?

Roman pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

- Ubawi się pan.

- Niemożliwe?

- Jeśli podejrzewa pan Bobby'ego o śmierć Katherine Marcus, naprawdę się pan ubawi.

Roman zwrócił na Seana swoje oczy drapieżnika, a Devine'a ogarnęło podniecenie, jakie odczuł, gdy Eve Pigeon wspomniała o Romanie i Bobbym.

- Bobby, ach ten Bobby! - Roman westchnął i spojrzał na swoją dziewczynę, po czym przeniósł wzrok na Seana i Whiteya. - Bobby został w nocy z piątku na sobotę aresztowany za jazdę po pijaku. - Dopił kawę. - Cały weekend przesiedział w pudle, panie sierżancie. - Pogroził palcem obu policjantom. - Czyżbyście tego, chłopcy, nie sprawdzili?

Sean ze zmęczenia ledwo już trzymał się na nogach, kiedy policjanci zadzwonili z wiadomością, że Brendan Harris wrócił do domu. Sean i Whitey dotarli na miejsce o jedenastej i usiedli w kuchni z Brendanem i Esther, jego matką. Dzięki Bogu, pomyślał Sean, że już nie buduje się takich mieszkań. Wyglądało jak kanciapa ze starego telewizyjnego serialu, na przykład The Honeymooners, i można by je w pełni docenić chyba tylko wtedy, gdyby się je oglądało na czarno-białym, trzynastocalowym ekranie telewizora, po którym skakały pasy, gdy się włączało światło lub odkręcało kran. Pokoje w amfiladzie i drzwi wejściowe pośrodku sprawiały, że z klatki schodowej wchodziło się prosto do saloniku. Na prawo znajdowała się mała jadalnia, której Esther Harris używała jako sypialni, i gdzie trzymała w popękanych kredensie swoje szczotki, grzebienie i pudry. Dalej była sypialnia, którą Brendan dzielił z młodszym bratem, Raymondem.

W lewo od saloniku prowadził korytarzyk, z którego na prawo wybiegała się nieforemna łazienka, a dalej mieściła się kuchnia, do której światło wpadało najwyżej przez trzy kwadransy późnym popołudniem. Była pomalowana na odcień spłowiałej

zieleni i zjełczalej żółci. Sean, Whitey, Brendan i Esther siedzieli przy małym stoliku z metalowymi nogami, którym brakowało na złączach śrub. Błat był przykryty zielono-żółtym kwiecistym papierowym obrusem podartym na rogach i łuszczącym się pośrodku strzępami wielkości paznokcia.

Esther pasowała wyglądem do tego otoczenia. Była niska i miała kostropatą cerę. Równie dobrze mogła mieć czterdzieści lat, jak i pięćdziesiąt pięć. Cuchnęła szarym mydłem i dymem papierosowym, a jej szpetne, ufarbowane włosy współgrały z brzydkimi, niebieskimi żyłkami na dłoniach i przedramionach. Miała na sobie spłowiałą różową bluzkę wypuszczoną na dżinsy i czarne, kosmate pantofle. Odpalała jednego papierosa od drugiego (paliła parlamenty) i przyglądała się Seanowi i Whiteyowi rozmawiającymi z jej synem takim wzrokiem, jakby marzyła o zmianie lokalu, bo nie spodziewała się po nich niczego ciekawego, nawet gdyby się bardzo postarali.

- Kiedy ostatni raz widziałeś Katie Marcus? - zapytał Whitey.
- Zabił ją Bobby, prawda? - odpowiedział pytaniem na pytanie chłopak.
- Bobby O'Donnell? - uściślił Whitey.
- Uhm.

Brendan skubał nerwowo papierowy obrus. Było widać, że jest zszokowany. Mówił głosem monotonnym, by nagle zniecka wciągnąć ze świstem powietrze, a wtedy prawa strona jego twarzy kurczyła się, jakby ukłuto go w oko.

- Dlaczego tak przypuszczasz? - zapytał Sean.
- Ona się go bała. Spotykała się z nim kiedyś i powtarzała, że gdyby się o nas dowiedział, zabiłby nas oboje.

Sean zerknął na matkę Brendana, sądząc, że dojrzy na jej twarzy jakąś reakcję, tymczasem ona po prostu paliła, wysysała chciwie dym z papierosa, po czym wypuszczała go, spowijając siwymi kłębammi kuchnię.

- Obawiam się, że Bobby ma alibi - powiedział Whitey. - A ty, Brendan?
- Ja jej nie zabiłem - oświadczył tępo Brendan Harris. - Nie mógłbym Katie skrzywdzić. To niemożliwe.

- Przypomnij nam, kiedy ostatni raz ją widziałeś? - poprosił Whitey.
- W piątek wieczorem.
- O której?
- Około ósmej, coś koło tego.
- „Coś koło tego” czy o ósmej, Brendan?

- Nie potrafię powiedzieć. - Twarz chłopaka wykrzywił grymas niepokoju, który Sean odbierał jakby ostry dźwięk rozbrzmiewający nad stołem. Brendan splótł palce i zakolysał się na krześle. - Tak, o ósmej. Słuchaliśmy płyt na CD, a potem... potem musiała wyjść.

Whitey nabazgrał w notesie: CD, dwudziesta, piątek.

- Dokąd? - zapytał.

- Nie wiem.

Esther zgmiotła kolejnego papierosa w stosie niedopałków, jaki zdążyła już zbudować w popielniczce, jednocześnie zapalając na nowo jeden z niedokurków, z którego wzniosła się spiralna smużka dymu i wkręciła w prawe nozdrze Seana. Wyobraził sobie jej płuca, zasyfione i czarne jak sadza.

- Ile masz lat, Brendan?

- Dziewiętnaście.

- Skończyłeś ogólniak?

- Skończył - wtrąciła matka.

- Tak, w ubiegłym roku zdałem maturę - potwierdził Brendan.

- Więc nie wiesz, chłopcze - rzekł Whitey - dokąd Katie poszła w piątek wieczorem?

- Nie - powtórzył Brendan, przełykając ślinę. Oczy mu się zaczerwieniły. - Spotykała się z Bobbym, który miał kompletnego świra na jej punkcie, poza tym jej ojciec z jakiegoś powodu mnie nie lubi, więc musieliśmy utrzymywać nasz związek w tajemnicy. Czasem nie mówiła mi, dokąd idzie, bo, jak się domyślałem, szła się spotkać z Bobbym, żeby mu wytłumaczyć, że między nimi wszystko skończone. Nie wiem. Tego wieczoru powiedziała mi tylko, że idzie do domu.

- Jimmy Marcus cię nie lubi? - zapytał Sean. - Dlaczego?

Brendan wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Oświadczył Katie, że nie życzy sobie, żeby się ze mną spotykała.

- Co? - oburzyła się jego matka. - Temu złodziejowi wydaje się, że jest kimś lepszym od nas?

- On nie jest złodziejem - sprostował Brendan.

- Ale był - parsknęła. - Nie wiesz tego, panie maturzysto? Był kiedyś włamywaczem, kurwa. Jego córka prawdopodobnie odziedziczyła po nim te skłonności. Wyrosłaby na podobne ziółko. Możesz mówić o szczęściu, synku.

Sean i Whitey wymienili spojrzenia. Esther Harris była chyba najnędrniejszą kreaturą, jaką Sean w życiu spotkał. Wprost ziała nienawiścią.

Brendan Harris już otwierał usta, by odciąć się matce, ale zrezygnował.

- Katie miała w plecaku przewodnik po Las Vegas - podjął Whitey. - Słyszeliśmy, że się tam wybierała. Podobno z tobą, Brendan.

- My... - Chłopak zwiesił głowę. - To prawda, zamierzaliśmy pojechać do Vegas. Mieliśmy się tam pobrać. Właśnie dzisiaj. - Podniósł głowę i Sean zobaczył, że w jego zaczerwienionych oczach wzbierają łzy. Brendan otarł je grzbietem dłoni, nim zdążyły popłynąć, i powiedział: - Taki był plan, no nie?

- Chciałeś mnie zostawić! - zawołała Esther Harris. - Wyjechać bez słowa?!

- Mamo, ja...

- Jak twój ojciec, tak? Zostawić mnie samą z twoim małym braciszkiem niemową? Tak zamierzałeś postąpić, Brendan?

- Pani Harris, skupmy się raczej na sprawie, która nas tu sprowadziła - zaproponował Sean. - Brendan będzie miał dość czasu, by to pani później wytłumaczyć.

Rzuciła mu spojrzenie, jakie widywał setki razy w oczach recydywistów i socjopatów urzędników, spojrzenie mówiące, że na razie nie zasługuje na jej uwagę, a jeśli nie da jej spokoju, załatwi go na cacy.

Zwróciła wzrok na syna.

- Postąpiłbyś tak?

- Mamo, posłuchaj...

- Czego? Czego mam posłuchać? Co ja ci takiego zrobiłam? Pytam? Co ci takiego zrobiłam, nie licząc tego, że cię wychowałam, karmiłam i kupiłam ci saksofon na Gwiazdkę, a ty nawet nie raczyłeś nauczyć się na nim grać i teraz ten zasrany instrument pokrywa się kurzem w szafie?

- Mamo...

- No przynieś go. Pochwal się przed panami, jak pięknie potrafisz grać!

Whitey popatrzył na Seana, dając mu do zrozumienia, że nie wierzył, iż taka podłość jest w ogóle możliwa.

- To nie jest konieczne, pani Harris - mruknął.

Zapaliła kolejnego papierosa. Płomyk zapalki skakał w rytm targającego nią gniewu.

- Karmiłam go, ubierałam, wychowałam, a on tak mi się odpłaca!

- Ma pani rację, ale... - zaczął Whitey.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do mieszkania weszło dwóch chłopców z deskorolkami. Mieli po dwanaście, może trzynaście lat. Jeden z nich był podobny do Brendana jak dwie krople wody, tak samo przystojny, ciemnowłosy, lecz w oczach miał coś z matki.

- Dzień dobry - przywitał się drugi z chłopców, gdy weszli do kuchni. Podobnie jak brat Brendana, wydawał się drobny jak na swój wiek. Los pokarał go brzydką twarzą starca osadzoną na ciele dziecka, przysłoniętą kurtynką zmierzwionych blond włosów. Brendan Harris uniósł rękę.

- Cześć, Johnny. To mój brat, Ray, i jego przyjaciel, Johnny O'Shea - powiedział.

- Cześć, chłopcy - przywitał ich Whitey.

- Cześć - odparł Johnny.

Ray skinął tylko milcząco głową.

- Niemowa - wyjaśniła pani Harris. - Jego ojcu gęba się nie zamykała, a synalek milczy jak zaklęty. Nie ma, co, życie jest diabelnie sprawiedliwe.

Ray zwrócił się na migi do Brendana, który powiedział:

- Tak, przyszli tu w związku z Katie.

- Poszliśmy pojeździć na desce do parku, ale był zamknięty - oznajmił Johnny O'Shea.

- Jutro już będzie otwarty - pocieszył go Whitey.

- Jutro ma padać. - Chłopiec powiedział to takim tonem, jakby to była ich wina, że nie może pojeździć na desce w południe powszedniego dnia. Sean pytał się w duchu, od kiedy to rodzice pozwalają dzieciom na podobne rzeczy.

Whitey zwrócił się do Brendana:

- Myślałeś o tym, jakich mogła mieć wrogów, nie licząc Bobby'ego O'Donnella. Komu jeszcze mogła zależeć za skórę?

Chłopak pokręcił głową.

- Była bardzo miła, proszę pana. Była miłą, sympatyczną dziewczyną. Wszyscy ją lubili. Nie wiem, co jeszcze mógł bym panu powiedzieć.

- Czy możemy już odejść? - zapytał O'Shea.

Whitey łypnął na niego okiem spod uniesionych brwi.

- A kto was zatrzymuje?

Johnny O'Shea i Ray Harris wyszli z kuchni i zza drzwi dobiegł po chwili łoskot rzucanych na podłogę desek. Chłopcy przebiegli następnie do pokoju Raya i

Brendana, wpadając po drodze na wszystkie meble, jak to zwykli czynić dwunastolatki.

- Gdzie byłeś dzisiaj między pierwszą trzydziestą a trzecią rano? - Whitey zwrócił się do Brendana.

- Spałem.

Whitey spojrzał na jego matkę.

- Może to pani potwierdzić?

Wzruszyła ramionami.

- Nie mogę zaryzykować, że nie wylazł przez okno i nie zszedł po drabince przeciwpożarowej. Fakt, o dziesiątej wszedł do swojego pokoju i zobaczyłam go dopiero rano o dziewiątej.

Whitey przeciągnął się na krześle.

- Słuchaj, Brendan, chcielibyśmy, żebyś poddał się badaniu na wykrywaczu kłamstw. Zgadzasz się?

- Aresztujecie mnie?

- Nie. Chcielibyśmy tylko poddać cię badaniu.

Brendan wzruszył ramionami.

- Dobra. Czemu nie.

- To moja wizytówka.

Chłopak wziął do ręki wizytówkę i patrząc na nią, wypalił nagle:

- Bardzo ją kochałem. Ja... nigdy więcej czegoś takiego nie przeżyję. To się w życiu dwa razy nie zdarza, prawda?

Przeniósł wzrok na Whiteya i Seana. Oczy miał suche, ale było w nich tyle cierpienia, że Sean najchętniej by wziął nogi za pas.

- Rzadko nawet raz - powiedział Whitey.

Odwieźli Brendana pod dom koło pierwszej. Chłopak cztery razy przeszedł pozytywnie test na wykrywaczu kłamstw. Potem Whitey podrzucił do domu Seana i poradził przy pożegnaniu, żeby się trochę przespał, bo nazajutrz muszą wstąpić. Gdy Sean wszedł do pustego mieszkania, uderzyła go panująca w nim cisza. Czuł, że wypił za dużo kaw, a w żołądku ciążyło mu byle jakie jedzenie. Otworzył lodówkę, wyjął puszkę piwa i usiadł na blacie, by je wypić. Bolała go głowa i zaczął się zastanawiać, czy nie jest już za stary do tej roboty, zbyt zmęczony śmiercią, beznadziejnymi motywami zbrodni, beznadziejnie głupimi zbrodniarzami i tym całym

zasyfionym życiem.

Ostatnio wszystko go męczyło. Miał dość ludzi, książek, telewizji, nocnych wiadomości, piosenek w radiu, które brzmiały dokładnie tak samo jak piosenki nadawane przed laty, które już wtedy nie bardzo mu się podobały. Opatrzyło mu się własne ubranie i włosy, ubrania innych ludzi i ich fryzury. Był znużony swoim pragnieniem, by życie miało sens. Był zmęczony intrygami w pracy, kwestią, kto kogo pieprzy, dosłownie i w przenośni. Znalazł się w punkcie, gdy nie ulegało już wątpliwości, że usłyszał w życiu wszystko, co ludzie mają do powiedzenia na dowolny temat, toteż miał nieodparte wrażenie, że przez całe dni słucha starych nagrań, które nie wydawały mu się odkrywcze nawet wtedy, gdy słuchał ich po raz pierwszy.

Może po prostu był znużony życiem, tym ogromnym wysiłkiem, jakiego wymaga wstanie rano z łóżka i rozpoczęcie tego samego pieprzonego dnia, z niewielkimi tylko różnicami w kwestii pogody i jadłospisu. Zbyt zmęczony, by przejmować się jedną martwą dziewczyną, bo po niej przyjdą następne. Wreszcie zbyt zmęczony posyłaniem morderców do pudła - nawet, gdy dostawali dożywocie - bo nie zapewniało mu to już dostatecznego poziomu satysfakcji, ponieważ oni wracali do domu, do miejsca, do którego dążyli przez całe swoje kretyńskie, popieprzone życie, a nieboszczycy byli nieboszczykami. Ograbieni i zgwałceni pozostawali zaś ograbionymi i zgwałconymi.

Zastanawiał się, czy kliniczna depresja nie polega właśnie na tym - na całkowitym odrętwieniu, śmiertelnym zmęczeniu i braku nadziei.

Katie Marcus nie żyła, fakt. Pojmował, że jest to tragedia, lecz nie był tego w stanie odczuć. Jeszcze jeden trup, jeszcze jedna strzaskana lampa.

A czym było jego małżeństwo, jeśli nie kupką stłuczonego szkła? Boże, kochał ją, ale byli sobie obcy tak bardzo jak to możliwe między dwojgiem ludzi, którzy nie przestają uchodzić za przedstawicieli tego samego gatunku. Lauren żyła w świecie teatru, książek i filmów, których nie rozumiał, niezależnie od tego, czy wyświetlano je z napisami, czy bez. Była wygadana, uczuciowa i uwielbiała łączyć słowa i piętrzyć je warstwami, które wznosiły się i wznosiły ku jakiejś zawrotnej leksykalnej wieży, podczas gdy Sean gubił się już na drugim piętrze.

Zobaczył ją po raz pierwszy na scenie w college'u. Grała porzuconą dziewczynę w jakiejś licealnej farsie, lecz nikt na widowni nie wierzył ani przez chwilę, by jakiś mężczyzna mógł porzucić kobietę tak energiczną, ognistą i pełną dosłownie wszystkiego - doświadczenia, apetytu na życie, ciekawości. Już wtedy tworzyli osobliwą parę; Sean był cichy, praktyczny, zawsze z rezerwą, chyba, że przebywał z

nią, jedynym dzieckiem podstarzałych hipisowskich liberałów. Jeździła z rodzicami po całym świecie, gdy pracowali w Korpusie Pokoju. Zarazili córkę ciekawością świata, odnajdywania w ludziach tego, co najlepsze.

Była cała ze świata teatru, najpierw, jako aktorka w college'u potem, jako reżyser w małych, lokalnych teatrzykach, wreszcie, jako inspicjent większych, objazdowych trup. Jednak to nie jej rozjazdy odbiły się niekorzystnie na ich małżeństwie. Sean nie był wcale pewien, co wywarło na nie tak niedobry wpływ, choć podejrzewał, że miało to coś wspólnego z nim samym i jego milkliwością, ze stopniowym narastaniem pogardy, jaką odczuwa każdy gliniarz - pogardy dla ludzi, a nawet niewiary w lepsze pobudki, w altruizm.

Koleżanki żony, dawniej tak fascynujące, zaczęły mu się wydawać dziecinnie naiwne. Wygłaszały artystyczne teorie oderwane od prawdziwego życia i wyznawały niepraktyczną filozofię. Sean spędzał wieczory na betonowych arenach, gdzie ludzie gwałcą, kradną i mordują tylko dlatego, że mają do tego pociąg, a potem musiał cierpieć podczas weekendowych cocktail party, na których mądrale z kitkami dyskutowały przez całą noc (z udziałem jego żony) o motywacjach kryjących się za ludzkimi przywarami. Według Seana motywacja była prosta - ludzie byli głupi. Głupszy od szympanów. Gorzej, bo szympansy nie mordują się nawzajem dla kuponu na loterię.

Lauren oświadczyła mu w końcu, że stał się w swym myśleniu skostniały, niereformowalny, wsteczny. Nie polemizował, bo nie było z czym. Pytanie nie brzmiało, czy istotnie tak się zmienił, ale czy było to dobre, czy złe.

Mimo to nadal się kochali. Każde na swój sposób czyniło próby - Sean usiłował wyrzeć ze swojej skorupy, a Lauren do niej zajrzeć. Czymkolwiek jest chemiczna reakcja, która sprawia, że ludzie do siebie lgną, w nich ona zachodziła. Od zawsze.

Mimo to powinien był przewidzieć groźbę zdrady. Może zresztą przewidział. I może to nie sama zdrada tak go dotknęła, ale ciąża, która okazała się jej następstwem.

Psiakrew. Siedział na podłodze w pustej kuchni, przyciskał dłonie do czoła i usiłował po raz setny zdać sobie jasno sprawę z tego, że jego małżeństwo obróciło się w ruinę. Dostrzegał jednak tylko poszczególne odłamki i potrzaskane skorupy, a nie całość.

Kiedy zadzwonił telefon, od razu wiedział - zanim jeszcze podniósł słuchawkę telefonu i nacisnął przycisk z napisem Talk - że to ona.

- Tu Sean.



Usłyszał stłumiony warkot pracującego na jałowym biegu tira i szum przejeżdżających autostradą samochodów. Natychmiast wyobraził sobie tę scenę: postój przy autostradzie, pośrodku stacja benzynowa, rząd automatów telefonicznych między restauracją sieci Roy Rogers a McDonaldem. Przy jednym stoi Lauren ze słuchawką przy uchu.

- Lauren - powiedział - wiem, że to ty.

Ktoś przeszedł obok budki telefonicznej, podzwaniając kluczykami.

- Powiedz coś, Lauren.

Tir wrzucił pierwszy bieg, odgłos silnika się zmienił.

- Jak ona się czuje? - zapytał. Omal nie dodał: „Jak się czuje moja córka?”, ale przecież nie miał pewności, czy jest jego, wiedział tylko, że jest córką Lauren. Więc powtórzył: - Jak ona się czuje?

Tir wrzucił drugi bieg, chrzęst opon na żwirze zaczął się oddalać, gdy ciężarówka zmierzała ku wyjazdowi z parkingu na autostradę.

- To boli - powiedział. - Nie możesz wyrzec choć słowa?

Przypomniał sobie, co Whitey powiedział o miłości: że rzadko nawet raz się zdarza. Wyobraził sobie swoją żonę, jak stoi teraz ze słuchawką przy uchu, oddaliwszy mikrofon od ust i odprowadza wzrokiem odjeżdżającego tira. Była wysoka i szczupła, o włosach koloru wiśniowego drewna. Gdy się śmiała, zakrywała usta palcami. Kiedyś w college'u biegli przez kampus w strugach ulewnego deszczu i wtedy po raz pierwszy pocałowała go pod arkadami biblioteki, gdzie się skryli. Gdy dłonią dotknęła jego karku, coś rozluźniło się mu w piersi, coś, co - odkąd pamiętał - trwało zaciśnięte, pozbawione tchu. Powiedziała, że ma najpiękniejszy głos, jaki w życiu słyszała, w którym pobrzmiwa whisky i zapach drewna.

Odkąd odeszła i zaczęły się te głuche telefony, utarł się zwyczaj, że on mówi dopóty, dopóki ona nie odłoży słuchawki. Sama nie odezwała się ani razu, choć odkąd go opuściła, odebrał już dziesiątki takich telefonów - telefonów z przystanków przy drogach, moteli, zakurzonych budek telefonicznych na poboczach pustych szos stąd aż po granicę Teksasu z Meksykiem. Lecz choć zwykle słyszał tylko szum w słuchawce, wiedział, kto do niego dzwoni. Wyczuwał ją przez telefon. Czasem nawet jej zapach.

Te rozmowy - jeśli można je tak nazwać - trwały zwykle do kwadransa, zależnie od tego, ile miał do powiedzenia, ale dziś czuł się potwornie zmęczony życiem i wycieńczony tęsknotą za nią, kobietą, która pewnego ranka odeszła, będąc w siódmym miesiącu ciąży. Była znużona jego uczuciem do niej dlatego, iż było jedynym

uczuciem, jakie się w nim jeszcze tliło.

- Nie mam dziś siły - powiedział. - Jestem kompletnie złachany, cierpię, a ciębie to nie obchodzi choćby na tyle, że byś pozwoliła mi usłyszeć twój głos.

Dał jej pół minuty na odpowiedź. Usłyszał jakiś dzwonek. Ktoś pompował koła agregatem.

- Cześć, kochanie - rzekł przez zaciśnięte gardło, po czym odłożył słuchawkę.

Przez chwilę stał nieruchomo, słuchając pogłosu dzwonka sprężarki, znikającego w ciszy, która spłynęła na kuchnię.

Wiedział, że będzie teraz przeżywał udrękę. Pewnie przez całą noc i jutrzejszy dzień. Może przez cały tydzień. Złamał zwyczaj. Odłożył słuchawkę, zanim ona to zrobiła. A jeśli w chwili, gdy to robił, ona otwierała właśnie usta, aby coś powiedzieć, wymówić jego imię?

Cholera jasna!

Dręczony niepokojem wszedł pod prysznic, jakby tylko w ten sposób mógł uciec od wyobrażenia Lauren, która stoi przy automacie telefonicznym z otwartymi ustami i zbiera się, aby powiedzieć...

„Sean, skarbie, wracam do domu”.

**III**

**ANIOŁOWIE CISZ**

## Równy chłop

W poniedziałek rano Celeste pomagała w kuchni swojej kuzynce, Annabeth, podczas gdy dom wypełniał się żałobnikami. Annabeth stała przy kuchence i gotowała, skupiona i zobojętniała. Jimmy, który właśnie wyszedł spod prysznic, wsadził głowę w drzwi i spytał, czy mógłby się na coś przydać.

W dzieciństwie i wczesnej młodości Celeste i Annabeth były dla siebie jak rodzone siostry, a nie kuzynki. Annabeth była jedyną córką swoich rodziców, którym urodzili się sami chłopcy, a Celeste jedynym dzieckiem rodziców, którzy szczerze się nie znosili. Dziewczynki spędzały ze sobą każdą wolną chwilę, a kiedy poszły do gimnazjum, prawie co wieczór godzinami rozmawiały przez telefon. Z czasem, w sposób wręcz niedostrzegalny, uległo to zmianie z powodu pogarszających się stosunków między matką Celeste a ojcem Annabeth, najpierw serdecznych, potem chłodnych, wreszcie otwarcie wrogich. Choć nie można by wskazać żadnego konkretnego wydarzenia, ta obcość niepostrzeżenie przeszła z brata i siostry na ich córki i w końcu Annabeth i Celeste zaczęły się spotykać jedynie z okazji ślubów, porodów i następujących po nich chrzcinach, a czasem na Boże Narodzenie i Wielkanoc. Celeste najbardziej doskwierał brak przyczyny obecnego stanu rzeczy. Bolało ją, że związek, który kiedyś wydawał się nierozzerwalny, tak łatwo mógł rozpaść się jedynie z powodu upływu czasu, rodzinnych niesnasek i przyspieszonego dorastania.

Po śmierci jej matki stosunki między kuzynkami uległy poprawie. Nie dalej jak ubiegłego lata ona i Dave spotkali się z Annabeth i Jimmym na garden party, a zimą aż dwa razy wybrali się wspólnie na zakrapianą kolację. Za każdym razem rozmawiało się im coraz łatwiej i Celeste poczuła, jak kruszy się mur obcości, narastający przez dziesięć lat. Zrozumiała, że jej przyczyną była Rosemary.

Po jej śmierci Annabeth przez trzy dni przychodziła rano i zostawała aż do zmroku. Piekła, pomagała w przygotowaniach do pogrzebu i siedziała przy Celeste, gdy opłakiwała ona Rosemary, która, co prawda, nigdy nie okazywała córce miłości, ale była jej matką.

I oto teraz Celeste miała wspierać w nieszczęściu Annabeth, choć sama myśli o tym, że osoba tak samowystarczalna może potrzebować pomocy wszystkich, nie wyłączając Celeste, wprawiała w osłupienie.

Towarzyszyła jednak kuzynce, która zajmowała się gotowaniem, podawała jej produkty z lodówki, gdy o to prosiła, i odbierała większość telefonów.

A teraz Jimmy, choć nie minęła jeszcze doba od czasu, gdy dowiedział się o śmierci córki, pytał żonę, czy nie potrzebuje pomocy. Włosy miał mokre po kąpieli i zaledwie przyglądzone, koszulę na piersi wilgotną. Był boso, pod oczami miał głębokie cienie z rozpaczy i niewyspania. Celeste nie była w stanie pomyśleć o niczym innym jak tylko: o Boże, Jimmy, a ty? Czy ty w ogóle myślisz o sobie?

Ludzie, którzy zgromadzili się w salonie i jadalni, kręcili się w przedpokoju, składali płaszcze na łóżkach w pokojach Nadine i Sary, oni wszyscy oczekiwali czegoś właśnie od niego; nie przychodziło im do głowy, że to on może potrzebować wsparcia. Budził autorytet w sposób niemal naturalny, bez żadnego wysiłku. Celeste zastanawiała się nieraz, czy on w ogóle zdaje sobie z tego sprawę, czy odczuwa obciążenie, jakie wiąże się z jego pozycją, szczególnie w takich chwilach.

- Słucham? - spytała Annabeth, nie odrywając wzroku od bekonu skwierczącego na patelni.

- Potrzebujesz czegoś? - powtórzył Jimmy. - Mógłbym zastąpić cię przy kuchni, jeśli chcesz.

Posłała w kierunku płyty kuchenki słaby, przelotny uśmiech i pokręciła głową.

- Dzięki, dam sobie radę.

Jimmy spojrzał na Celeste, jakby szukał u niej potwierdzenia: „Czy aby naprawdę?”. Celeste kiwnęła głową.

- Panujemy nad wszystkim, Jim.

Ponownie przeniósł wzrok na żonę. Jego cierpienie było wręcz namacalne. Celeste niemal czuła, jak od serca osieroconego ojca odrywa się kolejna łza. Nachylił się, wyciągnął rękę nad kuchenką i wytarł palcem kropelkę potu z policzka żony, a ona poprosiła:

- Przestań.

- Spójrz na mnie - szepnął.

Celeste uświadomiła sobie, że powinna wyjść, bała się jednak, iż jej poruszenie może uszkodzić tę nader kruchą więź, jaka w tym momencie łączyła Annabeth z jej mężem.

- Nie chcę, Jimmy - wykrztusiła Annabeth. - Gdybym na ciebie spojrzała, rozkleiłabym się, a do tego nie mogę dopuścić. Dom jest pełen gości. Proszę, zostaw mnie.

- Dobrze, kochanie, jak chcesz.

- Po prostu nie mogę się rozkleić - wyszeptała ze zwieszoną głową.

- Wiem.

Przez chwilę Celeste odniosła wrażenie, że stoją przed nią nadzy i że będzie świadkiem ich intymnego zbliżenia.

Otworzyły się drzwi w głębi korytarza, a w nich stanął Theo Savage, ojciec Annabeth, i ruszył korytarzem, dźwigając na ramionach dwie skrzynki piwa. Był roslym mężczyzną o rumianej twarzy i byczym karku, niedźwiedziowatym olbrzymem, który poruszał się jednak z gracją tancerza, gdy przeciskał się wąskim korytarzem ze skrzynkami piwa na szerokich barach. Celeste dziwiło zawsze, że urodzili mu się tacy mali synowie - jedynie Kevin i Chuck w niewielkim stopniu przypominali posturą ojca, a tylko Annabeth odziedziczyła jego grację ruchów.

- Przepraszam cię, Jimmy - powiedział Theo i zięć ustąpił mu z drogi. Theo ominął go ostrożnie, wszedł do kuchni, musnął wargami policzek córki i zapytał szeptem: - Jak się czujesz, skarbie? - Następnie postawił obie skrzynki na kuchennym stole, objął rękami brzuch córki i przycisnął policzek do jej ramienia.

- Trzymasz się, skarbie?

- Staram się, tato.

Pocałował ją w szyję.

- Moja mała córeczka. Jeśli masz jakieś turystyczne lodówki - zwrócił się do Jimmy'ego - możemy je zaraz napęlić.

Włożyli piwo do lodówek, które ustawili na podłodze koło spizarni. Celeste wróciła tymczasem do rozpakowywania jedzenia, które wcześniej tego ranka przynieśli przyjaciele domu i członkowie rodziny. Było tego mnóstwo - irlandzki chleb z rodzynkami, placki, francuskie bułeczki, pączki, ciasta i trzy różne rodzaje sałatki ziemniaczanej, do tego całe torby bułek, talerze wędlin, szwedzkie klopsiki w ogromnym kamiennym garncu, dwie gotowane szynki i jeden indyk zawinięty w folię. Annabeth wcale nie musiała stawać przy kuchni, wszyscy mieli tego świadomość, rozumieli jednak, że tego potrzebowała. Smażyła więc bekon, pęta kielbas, dwie kopyte patelnie jajeczniczy, a Celeste nosiła te potrawy na stół przysunięty do ściany jadalni. Zastanawiała się, czy te góry jedzenia miały przynieść ulgę bliskim zmarłej,

czy może chcieli połknąć swoje cierpienie i rozpacz i popić je colą, alkoholem, kawą lub herbatą, aż staną się senni z przejedzenia i przepici. Tak właśnie postępowało się na tych żałobnych przyjęciach - stypach, pogrzebach, wypominkach i podobnych uroczystościach: jadło się, piło i gadało dopóty, dopóki nie można już było jeść, pić ani gadać.

Wśród tłumu w salonie dojrzała Dave'a. Siedział obok Kevina Savage'a na kanapie. Rozmawiali, choć żaden nie sprawiał wrażenia szczególnie zainteresowanego rozmową. Wychylali się obaj do przodu tak głęboko, jakby brali udział w zawodach, który pierwszy spadnie. Celeste poczuła współczucie dla męża - z powodu niezbyt wyraźnego, lecz stałego wyobcowania, szczególnie dokuczliwego w takim jak to zgromadzeniu. Wszyscy go znali, wiedzieli, co go spotkało, gdy był małym chłopcem, i nawet, jeśli udawało im się nie brać mu tego za złe i go nie osądzać (zapewne tak było), on zupełnie nie umiał rozluźnić się przy ludziach, którzy go znali od dziecka. Ilekroć wychodzili gdzieś z Celeste z grupką kolegów z pracy lub przyjaciół spoza ich dzielnicy, był równie odprężony i pewny siebie jak oni, błyskotliwy i wesoły, stawał się wręcz duszą towarzystwa. (Jej koleżanki ze Studia Fryzur Ozmy, a także ich mężowie uwielbiali go). Tu jednak, gdzie się wychował i zapaścił korzenie, sprawiał wrażenie ograniczonego, w rozmowie zawsze w tyle o pół zdania, zagubiony, ostatni, który rozumiał puentę dowcipu.

Usiłowała przechwycić jego wzrok i uśmiechem dodać mu otuchy, przekazać, że póki ona tu jest, nie powinien czuć się samotny. W łukowato sklepionym przejściu między jadalnią a salonem tymczasem zgromadzili się goście i Celeste straciła męża z oczu.

Dopiero w takim tłumie zwykle dostrzega się, jak mało czasu spędza się z najbliższą osobą, z którą dzieli się życie, i rzadko się z nią widuje. W tym tygodniu, na dobrą sprawę, rozmawiała z Dave'em tylko w tę sobotnią noc po napadzie. Wczoraj też go prawie nie widziała, w każdym razie do czasu, gdy o szóstej rano zadzwonił Theo Savage i powiedział:

- Cześć, kotku. Słuchaj, mam złe wiadomości. Katie nie żyje.

W pierwszej chwili nie wzięła tego poważnie.

- Nie pleć, wujku Theo.

- Niestety, to prawda, kotku. Tragiczna prawda. Nasza kruszyna została zamordowana.

- Zamordowana?

- W Pen Park.

Wcześniej Celeste od czasu do czasu zerknęła w telewizor stojący na ladzie w kuchni. To była główna wiadomość w dzienniku o szóstej, nadal trwała transmisja. Obraz z helikoptera ukazywał policjantów, tłoczących się u jednego krańca ekranu kina samochodowego. Reporterzy wciąż nie znali nazwiska ofiary, potwierdzali jedynie, że znaleziono ciało młodej kobiety, najpewniej zamordowanej.

To nie mogła być Katie. Nie Katie!

Celeste powiedziała wujowi, że biegnie zaraz do Annabeth, i od tamtej pory towarzyszyła kuzynce przez cały czas, nie licząc krótkiej drzemki między trzecią a szóstą rano, którą ucięła sobie u siebie w domu.

Nadal nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Mimo że z Annabeth, Nadine i Sarą wylały morze łez. Że na podłodze w jadalni musiała tulić w objęciach Annabeth, kiedy dostała drgawek, wstrząsana spazmami. Że w sypialni Katie znalazła Jimmy'ego, który stał tam w półmroku z poduszką przyciśniętą do twarzy. Nie płakał, nic nie mówił, nie wydawał w ogóle żadnego dźwięku. Stał z poduszką przyciśniętą do twarzy i wdychał zapach włosów i skóry córki, wciąż od nowa, nienasyconie. Wdech, wydech. Wdech, wydech...

Nawet po tym wszystkim jeszcze nie mogła uwierzyć w tę straszną nowinę. Wydawało jej się, że Katie ukaże się lada chwila w drzwiach, wpadnie do kuchni i podkradnie kawałek bekonu ze stojącego na kuchence talerza. Ona nie mogła być martwa. Nie ona!

Może uwierzyłaby w końcu, gdyby nie myśl, całkowicie nieracjonalna, która zrodziła się w najgłębszym zakątku jej umysłu; podejrzenie, jakie powzięła, oglądając w wiadomościach samochód Katie i - wbrew logice - układając w myślach równanie: krew = Dave.

Za ścianą z ludzi czuła teraz jego obecność, domyślała się jego osamotnienia. Wiedziała, że jej mąż jest dobrym człowiekiem. W dzieciństwie został naznaczony skazą, lecz serce miał dobre. Kochała go, a skoro go kochała, musiał być dobrym człowiekiem, a skoro był dobrym człowiekiem, nie mógł zachodzić żaden związek między krwią na samochodzie Katie a tą, którą sprąła z ubrania Dave'a. Zatem Katie musi znajdować się nadal wśród żywych. Wszystkie inne możliwości były przerażające.

Do tego nielogiczne. Kompletnie nielogiczne, upewniła się, idąc do kuchni po następną porcję jedzenia.



Omali nie wpadła na Jimmy'ego i wuja Theo, którzy ciągnęli turystyczną lodówkę po podłodze kuchni w stronę jadalni. Theo w ostatniej chwili uchylił się przed zderzeniem i powiedział:

- Powinieneś uważać na tę osobkę, Jimmy. To chodzący wulkan.

Celeste uśmiechnęła się skromnie, właśnie tak, jak tego wuj Theo oczekiwał po kobiecie, i postarała się nie okazać zmieszania, jakie ogarniało ją zawsze, gdy na nią spoglądał. Już jako mała dziewczynka czuła, że za długo zatrzymuje spojrzenie na jej figurze.

Przetaszczyli obok niej znacznych rozmiarów lodówkę. Stanowili dość dziwną parę. Theo rumiany, zwalisty, o tubalnym głosie. Jimmy cichy, jasnowłosy, tak szczupły i sprężysty, jakby wrócił właśnie z obozu treningowego dla komandosów. Precisnęli się przez gości stłoczonych w pobliżu drzwi i przyciągnęli lodówkę do stołu pod ścianą jadalni. Celeste zauważyła, że wszyscy zgromadzeni skupili uwagę na lodówce, jak gdyby nagle przestała być okazałych rozmiarów pudłem z twardego, czerwonego plastiku i przeistoczyła się w córkę Jimmy'ego, której pogrzeb miał się odbyć w najbliższym tygodniu. To dla niej się tutaj zebrali, aby pożywiać się i sprawdzić, czy odważą się wymówić jej imię.

Przeglądając się im, jak ramię przy ramieniu ustawiają lodówkę, a potem przeciskają się przez tłum w salonie i jadalni - Jimmy, co zrozumiałe, smutny, jednak dziękujący każdemu ze spotkanych po drodze gości z niemal wylewną serdecznością i uściskiem obu rąk oraz Theo jak zwykle hałaśliwy, wcielenie witalności - niektórzy zdumiewali się, jak bliscy stali się sobie ci dwaj. Szli przez pokój niczym rodzeni ojciec i syn.

Kiedy Jimmy żenił się z Annabeth, przyjaźń między teściem a zięciem wydawała się wykluczona. Po pierwsze, Theo nie miał wówczas żadnych przyjaciół. Był znanym awanturnikiem i pijakiem. Do pensji dyspozytora taksówek dorabiał nocami jako wykidajło w różnych podejrzanych spelunach i tę swoją pracę naprawdę lubił. Był towarzyski, skory do śmiechu, ale serdeczne uściski rąk zawsze zawierały w sobie groźbę, a głośny rechot - wyzwanie.

Tymczasem Jimmy od powrotu z Deer Island był spokojny i poważny. Życzliwy wobec ludzi, choć pełen rezerwy, w towarzystwie wolał trzymać się na uboczu. Należał do tych mężczyzn, których się słucha, kiedy już coś mówią. Odzywał się jednak tak rzadko, że można było wątpić, że kiedykolwiek usłyszy się jego głos.

Theo był zabawny, choć raczej nie budził sympatii. Jimmy dał się lubić, lecz raczej

nie był zabawny. Ostatnią rzeczą, jakiej należało się spodziewać, było to, że ci dwaj się kiedykolwiek zaprzyjaźnią. Tymczasem sprawiali wrażenie naprawdę sobie bliskich. Theo wpatrywał się w plecy Jimmy'ego takim wzrokiem, jakby w każdym momencie był gotów wyciągnąć rękę i podeprzeć go, aby padając, nie uderzył potylicą o podłogę, z kolei Jimmy zatrzymywał się co chwila, żeby coś szepnąć do mięsistego ucha teścia. Istotnie wyglądali na przyjaciół.

Zbliżało się południe, ściśle biorąc, była jedenasta i większość żałobników przynosiła alkohole zamiast kawy i rozmaite mięsa w miejsce ciast. Kiedy lodówka się zapełniła, Jimmy i jego teść poszli szukać pustych lodówek oraz lodu w mieszkaniu Savage'ów na drugim piętrze. Val dzielił je z Chuckiem, Kevinem i żoną Nicka, Elaine, która zawsze ubierała się na czarno dlatego, że uważała się za wdowę, póki Nick siedział w więzieniu, lub - jak twierdzili złośliwi - po prostu lubiła czerń.

Theo i Jimmy znaleźli dwie turystyczne lodówki w spiżarni i kilka torebek lodu w zamrażarce. Torebki wrzucili do kubła na śmieci, a lód do lodówek. Kiedy wracali przez kuchnię, Theo powiedział:

- Zatrzymaj się na chwilę, Jim.

Jimmy spojrzał na teścia.

Theo wskazał mu głową krzesło.

- Odstaw to igło.

Jimmy posłuchał. Postawił lodówkę na podłodze, usiadł na krześle i czekał. W tym małym mieszkaniu z trzema sypialniami, krzywymi podłogami i buczącymi rurami Theo Savage wychował siedmioro dzieci. Pewnego razu powiedział zięciowi, że dzięki temu już do końca życia nie musi się nikomu z niczego tłumaczyć. „Siedmioro dzieciaków, westchnął, a pomiędzy nimi nie było przerwy większej niż dwa lata i wszystkie darły się tu, w tej zasranej klitce. Tyle się mówi o radościach rodzicielstwa, prawda? A ja wracałem z roboty i miałem ochotę zapytać tych, co tak gadają: «Gdzie ta pieprzona radość?». Ja nie miałem z tego całego interesu żadnej radości. Jedynie ból głowy. I to zajebisty”.

Jimmy wiedział od Annabeth, że gdy ich ojciec wracał do domu, przebywał w nim zwykle tylko do kolacji, po czym znikał. Theo chwalił się zięciowi, że nigdy nie miał żadnych kłopotów wychowawczych. Rodzili mu się przeważnie synowie, a chłopaków, w opinii Thea, wychowywało się łatwo - karmiło się ich, uczyło, jak się bić i grać w piłkę, i już mogli mocować się z życiem. Czulość dawała im matka, do ojca

przychodzili tylko wtedy, gdy potrzebowali pieniędzy na samochód albo żeby ktoś wpłacił za nich kaucję. Psuło się córki, oznajmił zięciowi Theo.

- Tak powiedział? - zaciekała się Annabeth, gdy mąż powtórzył jej opinię ojca.

Jimmy'ego mało by obchodziło, jakim ojcem był Theo, gdyby teść nie wykorzystywał każdej okazji dla wykazania Jimmy'emu i Annabeth ich rodzicielskich niedostatków, nie mówił im z uśmiechem: „Bez urazy, ale ja bym dzieciakowi na to nie pozwolił”.

Jimmy zwykle tylko kiwał głową, dziękował za radę i puszczał ją mimo uszu.

Dostrzegł teraz ten sam błysk starego mędrca w oku Theo, gdy teść usiadł na krześle naprzeciwko i wbił wzrok w podłogę. Smętnym uśmiechem skwitował dochodzący z dołu gwar głosów i szuranie nóg.

- Wygląda na to, że rodzinę i przyjaciół widuje się tylko z okazji ślubów i styp, co nie, Jim?

- Na to wygląda - potwierdził Jimmy, usiłując otrząsnąć się z uczucia, jakie mu towarzyszyło od popołudnia poprzedniego dnia. Miał wrażenie, że jego prawdziwa istota unosi się gdzieś ponad jego ciałem, że pływa w powietrzu stylem nieco rozpaczliwym, usiłując odnaleźć drogę powrotną, póki się nie zmęczy tym całym trzepotem i nie zatonie jak kamień, spadając aż do gorącego jądra Ziemi.

Theo położył dłonie na kolanach i wpatrywał się w Jimmy'ego, dopóki ten nie podniósł głowy i nie napotkał jego wzroku.

- Jak sobie radzisz z tym nieszczęściem? Jimmy wzruszył ramionami.

- Jeszcze do mnie w pełni nie dotarło.

- Będzie bolało, jak jasna cholera, kiedy dotrze, stary.

- Wiem.

- Jak jasna cholera, wierz mi.

Jimmy ponownie wzruszył ramionami. Poczuł, jak powoli ogarnia go jakaś słaba na razie emocja... może gniew? Tego mu teraz tylko było trzeba: krzepiącej pogadanki teścia na temat cierpienia. Cholerny świat!

Theo wychylił się do przodu.

- Kiedy umarła moja Janey, niech odpoczywa w pokoju, przez pół roku chodziłem jak błędny. Jednego dnia moja piękna żabcia była przy mnie, następnego zostałem sam jak kołek w płocie. - Strzelił tłustymi palcami. - Bóg zyskał tamtego dnia anioła, ja straciłem świętą. Na szczęście dzieci były już odchowane. Chcę powiedzieć, że mogłem sobie pozwolić na oddawanie się przez pół roku rozpaczy. Miałem ten luksus. Ty go

jednak nie masz.

Theo odchylił się na oparcie krzesła, a Jimmy poczuł znowu świerzbującą irytację. Janey Savage zmarła przed dziesięcioma laty. Theo przyssał się wtedy na blisko dwa lata do butelki. Pociągał z niej solidnie przez większą część życia, ale po śmierci żony rozpił się na dobre. Za życia nieboszczki poświęcał jej zaś nie więcej uwagi niż czerstwemu bochenkowi chleba.

Jimmy nie miał wyboru, musiał tolerować Thea. Stary był ostatecznie ojcem jego żony. Ktoś niezorientowany mógłby sądzić, że są parą przyjaciół. Theo zapewne tak właśnie myślał o ich wzajemnym stosunku. Z wiekiem skapcał na tyle, że mógł otwarcie kochać córkę i rozpieszczać wnuczki. Co innego jednak nie osądzać faceta za grzechy przeszłości, a co innego wysłuchiwać potulnie jego rad.

- Rozumiesz, co chcę powiedzieć? - zapytał Theo. - Nie pozwól, żeby rozpacz odciągnęła cię od obowiązków wobec rodziny.

- Obowiązków wobec rodziny - powtórzył Jimmy.

- Właśnie. Bo widzisz, musisz się troszczyć o moją córkę i o te kruszyny. Teraz one muszą stać się dla ciebie najważniejsze.

- Uhm - mruknął Jimmy. - Sądziłeś, że mógłbym o tym zapomnieć?

- Tego nie powiedziałem, Jim. Powiedziałem, że mógłbyś. Tylko tyle.

Jimmy wpatrywał się w lewe kolano Thea. Wyobrażał sobie, jak trafione kulą eksploduje w chmurze czerwieni.

- Theo...

- Tak, Jimmy?

Jimmy zobaczył w wyobraźni, jak eksploduje drugie kolano teścia, po czym skierował uwagę na jego łokcie.

- Może byłoby lepiej odłożyć tę rozmowę, jak sądzisz?

- Nie odkładaj na jutro tego, co możesz zrobić dziś. - Theo zaniósł się tubalnym śmiechem, w którym jednak dźwięczała nuta groźby.

- Powiedzmy do jutra. - Wzrok Jimmy'ego oderwał się od łokci Thea i podniósł do jego oczu. - Moim zdaniem tak byłoby najlepiej. Możemy to odłożyć?

- Czy nie powiedziałem przed chwilą: nie odkładaj do jutra? - Theo zaczynał się denerwować. Był wielkim mężczyzną o porywczym charakterze. Jimmy wiedział o tym, że niektórzy przed nim drżeli. Na twarzach ludzi spotkanych na ulicy Theo widział strach, przywykł do tego i mylił go z szacunkiem. - Słuchaj, moim zdaniem nie ma odpowiedniejszej chwili na tę rozmowę. Najlepiej załatwić tę rzecz od ręki. Nie

odkładać do jutra tego, co można zrobić dzisiaj.

- Jasne - zgodził się Jimmy. - Jak to powiedziałeś? Nie odkładać do jutra tego, co można zrobić dzisiaj.

- Właśnie. Grzeczny chłopiec. - Theo poklepał zięcia po kolanie i wstał. - Wylizesz się, Jimmy. Powleciesz się dalej. Będzie bolało, ale powleciesz się dalej. Bo jesteś mężczyzną. Powiedziałem kiedyś do Annabeth... Kiedy to? Czy nie w noc waszego wesela?... więc powiedziałem jej: „Kochanie, dostałaś za męża prawdziwego mężczyznę starej daty. Równego chłopca”. Tak jej powiedziałem. Równiachę. Faceta, który...

- Jakby ją włożyli do worka - przerwał mu Jimmy.

- Co takiego? - Theo spojrzał na niego z góry.

- Tak wyglądała, kiedy wczoraj wieczorem identyfikowałem ją w kostnicy. Jakby ktoś wsadził ją do worka i walił w ten worek gazrurką.

- Hm, no tak, ale nie pozwól, żeby...

- Nie poznałbyś nawet, jakiej była rasy, Theo. Mogła być czarna, mogła być Portorykanką, jak jej matka. Mogła być Arabką. W każdym razie nie wyglądała na białą. - Jimmy spojrzał na własne dłonie, splecione między kolanami. Dostrzegł plamy na kuchennej podłodze, brązową przy swojej lewej stopie i plamę po musztardzie przy nodze stołu. - Janey umarła we śnie, Theo. Z całym szacunkiem, ale tak było. Położyła się spać i więcej się nie obudziła. Umarła w spokoju.

- Janey nie ma tu nic do rzeczy, rozumiesz?

- A moja córka? Została zamordowana. To trochę co innego.

W kuchni zapadła cisza - taka, która dzwoni w uszach - i Jimmy zaczął się zastanawiać, czy Theo okaże się tak głupi, by na siłę ciągnąć tę rozmowę. No, dalej stary, palnij jakieś głupstwo. Chętnie wyrzucę z siebie tę wściekłość, zwalę ją na ciebie.

- Słuchaj, ja rozumiem - powiedział Theo i Jimmy odetchnął głęboko, wypuszczając powietrze nosem. - Naprawdę, ale nie powinieneś tak wszystkiego...

- Nie powinienem tak wszystkiego co? Ktoś przystawił spluwę do głowy mojej córki i pociągnął za spust, a ty chcesz, żebym... Co?... Wziął się w garść? Wyjaśnij mi, proszę. Dobrze cię zrozumiałem? Chcesz tu stać i odgrywać pieprzonego patriarchę rodu?

Theo wpatrywał się w swoje buty i ciężko oddychał przez nos, zaciskając i rozluźniając pięści.

- Chyba sobie nie zasłużyłem na takie traktowanie - rzekł.

Jimmy wstał i dostawił krzesło do kuchennego stołu. Podniósł z podłogi turystyczną lodówkę, spojrzął na drzwi i powiedział:

- Możemy już zejść na dół?

- Jasne. - Theo zostawił krzesło tam, gdzie stało, i dźwignął drugą lodówkę. - No dobra, zgoda, miałem niedobry pomysł, żeby akurat dziś zaczynać z tobą tę rozmowę. Nie jesteś jeszcze w nastroju, ale...

- Słuchaj, Theo, po prostu zamknij się, dobrze? Nic więcej nie mów, zgoda?

Jimmy podniósł chłodziarkę i ruszył ku schodom. Zastanawiał się, czy nie uraził teścia, ale po namyśle uznał, że gównu go to obchodzi. Pieprzyć starego. Właśnie teraz zaczynała się sekcja zwłok Katie. Jimmy miał jeszcze w nozdrzach zapach jej kołyski, a tymczasem w gabinecie anatomopatologa już rozkładali skalpele, szczypce do żeber i włączali piły do kości.

Potem, kiedy w mieszkaniu trochę się przerzedziło, wyszedł na ganek za domem i usiadł pod praniem suszącym się na sznurach od sobotniego popołudnia. Siedział w słońcu, dżinsowy kombinezon Nadine, powiewając na wietrze, głaskał go po głowie. Annabeth i dziewczynki przepłakały całą ubiegłą noc i Jimmy miał nadzieję, że też się rozplacze. Tak się jednak nie stało. Krzyczał w parku, kiedy dowiedział się ze spojrzenia Seana Devine'a, że jego córka nie żyje. Krzyczał aż do ochrypnięcia, lecz w środku był jak martwy. Teraz więc siedział na ganku i czekał na lzy.

Dręczył sam siebie wspomnieniami malutkiego niemowlęcia, dziewczynki skulonej po drugiej stronie porysowanego stołu w więzieniu na Deer Island, Katie, która wyczerpana płaczem zasnęła w jego ramionach pół roku po jego wyjściu z pudła, a przedtem pytała, kiedy wróci mama. Miał przed oczami córeczkę piszczącą w kąpielni w wannie, a potem ośmioletnią pannę, wracającą ze szkoły na rowerze. Widział Katie roześmianą i naburmuszoną, Katie z grymasem gniewu i zmieszania, kiedy pomagał jej w piętrowym dzieleniu przy kuchennym stole. Katie starszą, jak siedzi na huśtawce ogrodowej z Diane oraz Eve; niezgrabne podlotki z aparatami na zębach i rosnącymi szybciej od reszty ciał nogami, rozleniowione w letnim słońcu. Pamiętał córkę, jak leży na brzuchu na swoim łóżku, a Nadine i Sara łążą po niej jak psiaki. Widział ją w sukience na szkolny bal w pierwszej klasie szkoły średniej. Jak siedzi obok niego z niepewną miną w jego samochodzie Mercury Grand Marquis tamtego dnia, gdy dawał jej pierwszą lekcję nauki jazdy. Miał w pamięci krzyczącą, skaczącą mu do oczu

nastolatkę, a jednak te wspomnienia były mu droższe niż tamte piękne, rozslonecznione.

Wciąż miał ją przed oczami, a jednak nie był w stanie zapłakać.

To samo przyjdzie, usłyszał w duszy cichy, spokojny głos. Teraz jesteś po prostu w szoku.

Ale szok mija, odpowiedział temu wewnętrznemu głosowi. Mijał już, gdy Theo schodził za mną po schodach.

I kiedy minie, wreszcie coś poczujesz.

Ja już coś czuję.

Czujesz żal, podpowiedział głos. Czujesz smutek.

To nie żal i smutek, ale wściekłość.

I tego uczucia zaznasz, lecz je przewyciężysz.

Ale ja go wcale nie chcę przewyciężyć!

## Miło cię widzieć, chłopie

Dave wracał z Michaelem ze szkoły, kiedy wyszedłszy zza rogu, zobaczył Seana Devine'a w towarzystwie jakiegoś faceta. Stali oparci o bagażnik czarnego sedana, zaparkowanego przed domem Boyle'ów. Wóz miał tablice władz stanowych, a jego bagażnik był najeżony tyloma antenami, że można by zeń prowadzić telewizyjną transmisję na Wenus. Dave już z daleka poznał, że towarzysz Seana jest również gliniarzem. Głowę trzymał przechyloną w sposób charakterystyczny dla policjantów, z nieco wysuniętym do przodu i uniesionym podbródkiem, także w typowy sposób stał, prawie na samych obcasach, jakby szykował się do skoku. Gdyby nie zdradzała go ta postawa, wystarczyłby rzut oka na fryzurę „na garnek”, która u faceta dobrze już po czterdziestce, do tego w połączeniu z lustrzanymi okularami, była aż nadto wymowna.

Dave mocniej ścisnął dłoń syna. W piersi poczuł chłód, jakby ktoś wyjął nóż z lodowatej wody i przyłożył mu ostrze do płuca. Jego stopy usiłowały wrosnąć w chodnik, coś jednak pchało go naprzód. Miał nadzieję, że wygląda normalnie, spokojny, rozluźniony facet, który przyprowadza syna ze szkoły do domu. Sean popatrzył w jego stronę. Jego oczy były zrazu beztroskie i puste, potem zwężyły się, gdy napotkały spojrzenie Dave'a i poznały starego kumpla.

Uśmiechnęli się jednocześnie, Dave najserdeczniej jak potrafił, a i Sean dość szeroko. Dave trochę się zdziwił, dojrzawszy na twarzy kolegi szczerą radość.

- Dave Boyle - zawołał Sean, oderwawszy się od samochodu z wyciągniętą na powitanie ręką - kopę lat!

Dave uścisnął jego dłoń, po czym przeżył kolejne miłe zaskoczenie, gdy Sean poklepał go przyjaźnie po ramieniu.

- W barze Kranik - przypomniał. - Jakies sześć lat temu, zgadza się?

- Faktycznie, coś koło tego. Dobrze wyglądasz, stary.

- Co u ciebie, Sean? - Dave poczuł miłe ciepło rozlewające się po jego ciele, choć rozum podpowiadał mu, że powinien raczej uciekać.

Choć właściwie, czemu? Tak niewielu ich zostało. Nie tylko z powodu typowych, pospolitych bied - więzienia, prochów czy pracy w policji - nie tylko te błędne ścieżki



ich zwiody. Wielu wchłonęły przedmieścia, a nawet inne stany, wreszcie chęć, by upodobnić się do innych, wtopić w tłum graczy w golfa, klientów supermarketów, właścicieli małych firm, mężów blondynek i właścicieli wielkoekranowych telewizorów.

Dave poczuł zarazem dumę i radość, zmieszane ze smutkiem, gdy uściskał dłoń kolegi i przypomniał sobie tamten dzień na stacji metra, kiedy Jimmy zeskoczył z peronu na tory. Sobota, pora wielkich czynów i nieograniczonych możliwości.

- Jakoś leci - odparł Sean. Zabrzmiało to niemal szczerze, ale Dave dostrzegł cień w jego uśmiechu. - A to kto?

Devine pochylił się nad chłopcem.

- Michael, mój syn - odrzekł Dave.

- Cześć, Michael. Miło cię poznać.

- Cześć.

- Jestem Sean, dawny kumpel twojego starego.

Dave patrzył, jak na dźwięk głosu Seana twarz syna jaśnieje. Sean miał naprawdę piękny głos, podobny do głosu gościa, który zza kadru zapowiada filmowe hity. Michael się rozpromienił. Prawdopodobnie wyobraził sobie ojca i tego wysokiego, pewnego siebie nieznanego, jako chłopców, którzy bawili się na tych samych ulicach i mieli marzenia podobne do tych, które dziś ożywiały jego samego i jego kolegów.

- Miło mi pana poznać - powiedział rezolutnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Michael. - Sean potrząsnął dłonią malca, po czym się wyprostował. - Ładny chłopiec. A jak się miewa Celeste?

- Doskonale, świetnie. - Dave usiłował przypomnieć sobie imię kobiety, z którą ożenił się Sean, ale pamiętał tylko, że poznali się w college'u. Laura? Erin?

- Pozdrów ją ode mnie.

- Oczywiście. Dalej pracujesz w policji? - Dave zmrużył oczy, gdy zza chmury wyjrzało słońce i odbiło się oślepiającym blaskiem od lśniącego bagażnika czarnego sedana.

- Tak - potwierdził Sean. - A właśnie, pozwól sobie przedstawić sierżanta Powersa, Dave. To mój szef. Stanowy wydział zabójstw.

Dave ucisnął dłoń sierżanta. Słowo „zabójstw” zawisło między nimi niczym czarna chmura.

- Witam. Jakże się pan miewa?

- W porządku, panie Boyle. A pan?

- Nie narzekam.

- Dave - wtrącił Sean - chcielibyśmy zadać ci kilka pytań, jeśli masz wolną chwilę.

- Jasne. O co chodzi?

- Nie zaprosiłby nas pan do środka? - Sierżant Powers wskazał głową drzwi domu Boyle'ów.

- Ależ proszę. - Dave ponownie ujął rękę syna. - Pozwólcie za mną, panowie. Przechodząc schodami obok mieszkania pana McAllistera, Sean powiedział:

- Słyszę, że nawet tutaj podnoszą czynsze.

- Niestety - potwierdził Dave. - Próbują nas zmienić w Point, sklep z antykami, na co drugim rogu.

- Point! - Sean zaśmiał się ironicznie. - Pamiętasz dom mojego ojca? Poszatkowali go na mieszkania własnościowe.

- Żartujesz? To był ładny dom.

- Stary sprzedał go, zanim ceny poszybowały w górę, oczywiście.

- Więc teraz tam są mieszkania? - Dave pokręcił głową, a jego głos zadudnił na wąskiej klatce schodowej. - Japiszony, które je kupiły, zapłaciły pewnie za lokal tyle, ile twój ojciec wziął za cały dom.

- Mniej więcej - przyznał Sean. - I co zamierzasz?

- Nie wiem. Myślę, że musi być jakiś sposób, żeby ich powstrzymać. Odesłać tam, gdzie się rodzą z tymi cholernymi komórkami przy uchu. Wiesz, co parę dni temu powiedział mój kumpel? „Tej okolicy przydałaby się pieprzona rosnąca krzywa przestępczości”. - Dave parsknął śmiechem. - Chciał powiedzieć, że to by obniżyło ceny nieruchomości do przyzwoitego poziomu. Czynsze zresztą również. Mam rację?

- Zabójstwa dziewcząt w parkach - wtrącił sierżant Powers - mogą spełnić pańskie życzenie, panie Boyle.

- Och, to nie jest moje życzenie, uchowaj Boże - zapewnił Dave.

- Wiem - zgodził się Powers.

- Powiedziałaś słowo na „p” - skarcił ojca Michael.

- Przepraszam, Mike. To więcej się nie powtórzy. - Dave spojrzął przez ramię na Seana, puścił do niego oko i otworzył drzwi mieszkania.

- Pańska żona jest w domu, panie Boyle? - zapytał Powers, kiedy weszli.

- Co? Nie, nie ma jej. Słuchaj, Mike, idź odrabiać lekcje, dobrze? Potem będziemy musieli iść do wujka Jimmy'ego i cioci Annabeth.

- Nie chcę, ja...

- Mike - powtórzył Dave i zmierzył syna surowym spojrzeniem - maszeruj na górę!  
Ja muszę porozmawiać z panami.

Chłopiec zrobił minę, jaką zwykle robią dzieci, kiedy wyklucza się je z rozmowy dorosłych, i poczłapał w stronę schodów. Opuścił ramiona, a nogi włókł za sobą, jakby u każdej miał kamień. Westchnął tak, jak często robiła to jego matka, i zaczął wchodzić na schody.

- To musi być powszechne - rzekł sierżant Powers, usiadłszy na kanapie w saloniku.

- Co mianowicie?

- Te obwisłe ramiona, jakie nam zaprezentował pański syn. Mój chłopak w jego wieku garbił się dokładnie tak samo, gdy mu się kazało iść na górę spać.

- Co pan powie? - zdziwił się Dave i usiadł na małej, dwumiejscowej kanapce po drugiej stronie stolika do kawy.

Przez minutę lub nieco dłużej wpatrywał się w gości, a ci z kolei w niego, wszyscy trzej z uniesionymi w oczekiwaniu brwiami.

- Słyszałeś o Katie Marcus - zaczął Sean.

- Oczywiście - odparł Dave. - Byłem u nich dziś rano. Celeste tam została. Rany boskie, Sean, co za potworna zbrodnia!

- Dobrze pan to ujął - pochwalił Powers.

- Schwytaliście mordercę? - Dave pocierał lewą dłońią opuchnięty przegub prawej ręki, zorientował się, co robi, opadł na oparcie kanapki i wsunął obie ręce do kieszeni, starając się wyglądać na rozluźnionego.

- Pracujemy nad tym, proszę mi wierzyć, panie Boyle.

- Jak się trzyma Jimmy? - zapytał Sean.

- Trudno powiedzieć. - Dave spojrzał na Seana, zadowolony, że może oderwać wzrok od sierżanta. Powers miał w twarzy coś, co mu się nie spodobało. Patrzył na Dave'a tak, jakby przejrzał wszystkie jego kłamstwa, począwszy od pierwszego.

- Znasz Jimmy'ego - dodał.

- Właściwie już nie.

- No cóż, dalej wszystko w sobie tłumi - wyjaśnił Dave. - Trudno odgadnąć, co naprawdę czuje.

Sean przytaknął.

- Przyszliśmy właśnie w tej sprawie, stary...

- Widziałem ją - powiedział Dave. - Nie wiem, czy o tym wiecie.

Popatrzył na Seana, a ten rozłożył ręce w geście oczekiwania.

- Tej nocy - podjął Dave - kiedy została zamordowana, chyba widziałem ją w barze McGillsa.

Obaj policjanci wymienili spojrzenia, po czym Sean wychylił się i popatrzył na Dave'a z sympatią.

- No cóż, stary, prawdę mówiąc, właśnie to nas do ciebie sprowadza. Twoje nazwisko pojawiło się na liście gości tego baru, którzy, jeśli wierzyć barmanowi, byli tam tej nocy. Słyszeliśmy, że Katie dała niezły występ.

Dave potaknął.

- Ona i jej koleżanka tańczyły trochę na stole.

- Były pijane? - zapytał sierżant.

- Tak, ale...

- Ale?

- To było niewinne pijaństwo. Tańczyły, ale się nie rozbierały, nic z tych rzeczy. Po prostu, jak to dziewiętnastolatki, wie pan...

- Kiedy dziewiętnastolatkom podaje się w barze alkohol, lokal traci prawo wyszynku - oznajmił sierżant Powers.

- Pan nigdy tego nie robił?

- Czego?

- Nigdy nie pił pan w barze, będąc nieletnim?

Sierżant Powers uśmiechnął się i ten jego uśmiech przewiercił czaszkę Dave'a w taki sam sposób, w jaki ją przewierały jego oczy, jakby facet prześwietlał go na wylot.

- O której wyszedł pan z baru McGillsa, panie Boyle? Dave wzruszył ramionami.

- Gdzieś koło pierwszej.

Sierżant Powers zapisał jego odpowiedź w notesie, który położył na kolanie.

Dave spojrzał pytająco na Seana, a ten wyjaśnił:

- Po prostu sprawdzamy każdy trop, stary. Zeszłej nocy siedziałeś ze Stanleyem Kempem, tak? Z Wielkim?

- Zgadza się.

- Swoją drogą, co u niego słyhać? Słyszałem, że jego dzieciak zachorował na jakąś odmianę raka.

- Leukemia - odparł Dave. - Już kilka lat temu. Umarł. Miał cztery lata.

- Straszne - westchnął Sean. - Zastrany świat. Człowiek nie jest pewny dnia ani

godziny. Życie...

- Życie - potaknął Dave. - Stan nieźle to jednak znosi. Ma dobrą pracę u Edisona. Nadal gra amatorsko w kosza, w każdy wtorek i czwartek.

- Wciąż sieje postrach pod tablicami? - zaśmiał się Sean.

Dave mu zawtórował.

- Czyni użytek z tych swoich łokci.

- O której dziewczęta wyszły z baru? - zapytał znienacka Sean.

- Pojęcia nie mam - odrzekł Dave. - Właśnie kończył się mecz Soksów.

Chciał go podejść? Mógł zapytać wprost, tymczasem spróbował uspić czujność Dave'a pogwarką o Wielkim Stanleyu. O to chodziło? A może po prostu zadał to pytanie, bo właśnie mu przyszło do głowy? Dave nie miał co do tego pewności. Czy był podejrzany? Czy to możliwe, by był podejrzany o zamordowanie Katie?

- Mecz był późno - przypomniał Sean. - Transmisja z Kalifornii.

- Słucham? Tak, zaczął się o wpół do jedenastej. Myślę, że dziewczęta wyszły jakieś piętnaście minut przede mną.

- Gdzieś za kwadrans dwunasta? - upewnił się sierżant Powers.

- Mniej więcej.

- Nie wie pan, dokąd się wybierały? Dave pokręcił przecząco głową.

- Później już ich nie widziałem.

- Naprawdę? - Długopis sierżant zawisł nad notesem.

Dave potaknął.

- Naprawdę.

Sierżant zapisał coś w notesie, długopis drapał o papier niczym pazur.

- Pamiętasz faceta, który rzucił kluczami w kumpli, Dave?

- Co takiego?

- Pewnego faceta... - Sean przekartkował własny notes -...nazywał się, czekaj no, Joe Crosby. Koledzy usiłowali odebrać mu kluczki do samochodu, gość się wkurzył i rzucił nimi w któregoś z nich. Byłeś tam jeszcze, gdy do tego doszło?

- Nie. Czemu pytasz?

- Komiczna historia - odparł Sean. - Faceci próbują odebrać gościowi klucze, a ten w nich nimi rzuca. Pijacka logika, co?

- Na to wygląda.

- Nie zauważyłeś tej nocy nic dziwnego?

- Mianowicie?

- Na przykład, że ktoś w barze przyglądał się dziewczynom złym okiem. Znasz takich: patrzą na młode dziewczęta z głęboką nienawiścią, bo do dziś dnia nie mogą darować światu, że bal maturalny musieli przesiedzieć w domu i oto piętnaście lat później ich życie jest nadal do dupy. Patrzą na kobiety tak, jakby to była ich wina. Znasz takich przyjemniaczków?

- Jasne, spotkało się paru.

- Żadnego tej nocy w barze?

- W każdym razie nie zauważyłem. Rozumiesz, oglądałem mecz. Nie zauważyłem nawet tych dziewcząt, dopóki nie wskoczyły na stół.

Sean pokiwał głową.

- Mecz był dobry - pochwalił sierżant Powers.

- Co pan chce - powiedział Dave - mieli Pedra\*. Mógł skończyć z czystym kontem, gdyby nie rzucił tej szmaty w ósmej zmianie.

- Fakt. Facet wie, za co bierze forszę, prawda?

- Był najlepszy na boisku.

Sierżant Powers zwrócił się do Seana i obaj jak na komendę wstali.

- To już wszystko? - zdziwił się Dave.

- Owszem, panie Boyle. - Sierżant podał mu rękę. - Dziękujemy za pomoc.

- Drobiazg. Nie ma o czym mówić.

- O, psia krew - zawołał sierżant Powers. - Byłbym zapomniał! Dokąd pan poszedł po wyjściu od McGillsa, panie Boyle?

Odpowiedź wyskoczyła z ust Dave'a, zanim zdążył się ugryźć w język:

- Wróciłem do domu.

- Tutaj?

- Uhm - odpowiedział Dave bez mrugnięcia okiem.

Sierżant Powers ponownie otworzył notes.

- W domu kwadrans po pierwszej. - Zapisał, nie spuszczać wzroku z gospodarza.

- Zgadza się?

- Z grubsza.

- W porządku, panie Boyle. Jeszcze raz dziękujemy.

Sierżant ruszył w dół po schodach, ale Sean zatrzymał się na chwilę w drzwiach.

- Miło cię było znowu widzieć.

- I wzajemnie - powiedział Dave, usiłując sobie przypomnieć, czego nie lubił u

---

\* Pedro Martinez - miotacz drużyny Boston Red Sox (przyp. tłum.).

Seana, kiedy byli dziećmi, wyleciało mu to jednak z pamięci.

- Powinniśmy wyskoczyć kiedyś razem na piwo - zaproponował Sean.
- Z największą przyjemnością.
- A więc umowa stoi. Trzymaj się, stary.

Podali sobie ręce. Dave dołożył starań, żeby nie skrzywić się z bólu, gdy mocny uścisk uraził mu spuchniętą dłoń.

- I ty się trzymaj, Sean.

Devine zbiegł po schodach, a Dave został na podeście schodów. Sean pomachał mu jeszcze dłonią znad ramienia i Dave mu odmachnął, choć wiedział, że Sean nie mógł tego widzieć.

Postanowił wypić piwo w kuchni, zanim wróci do domu Marcusów. Miał nadzieję, że Michael nie zbiegnie zaraz na dół, usłyszawszy, że Sean i jego szef już wyszli. Potrzebował paru minut spokoju, chwili wytchnienia. Musiał zebrać myśli. Nie był do końca pewien, co tak naprawdę miało miejsce podczas rozmowy w salonie. Sean i ten drugi przepytawali go jak świadka, wręcz podejrzanego, lecz brak twardszych tonów w ich głosach pozostawił Dave'a w niepewności, co do prawdziwego celu wizyty. I z powodu tej właśnie niepewności diabelnie rozboleła go głowa. Tak było zawsze, kiedy tracił rozeznanie w sytuacji i grunt usuwał mu się spod nóg. Jego mózg rozszczepiał się na pół, jakby ktoś przekroił go nożem. Wywoływało to okropne bóle głowy, a czasem nawet jeszcze gorsze skutki.

Niekiedy Dave przestawał być sobą. Stawał się Chłopcem, Który Uciekł Wilkom. Chłopcem, który stał się dorosły. Była to istota zupełnie niepodobna do Dave'a Boyle'a, jakim był na co dzień.

Chłopiec, Który Uciekł Wilkom i stał się dorosły, był zwierzęciem nocnym. Zwierzę to, ciche i niewidzialne, kryło się w mrokach leśnych ostępów. Mieszkało w świecie, jakiego inni ludzie nie znali i poznać by nie pragnęli - w świecie, który toczył swój ciemny nurt obok znanego im świata, świecie świerszczy i świetlików, w krainie niewidzialnej, jeśli nie liczyć trwających ułamki sekund rozbłysków gdzieś w kąciku oka, znikających, ledwo zwróciło się ku nim źrenicę.

W takim świecie upływała znaczna część życia Dave'a. Co prawda, nie był w nim Dave'em, ale Chłopcem. Chłopcem, który nie zdołał wydorosnąć. Pełnym gniewu paranoikiem, zdolnym do czynów, o jakich Dave nawet by nie pomyślał. Zwykle Chłopiec zamieszkiwał wyłącznie świat snów Dave'a. Zdziczały, przemykający w

gąszczy wielkich drzew, ukazywał się jedynie w okamgnieniu. Nie był groźny dopóty, dopóki przebywał tylko w lesie mrocznych snów.

Dave od dziecka cierpiał na okresową bezsenność. Mogła go dopaść po całych miesiącach sycącego snu i wtedy wracał nagle do niespokojnego, męczącego świata wiecznego czuwania, który nie zna zdrowego snu. Już po kilku dniach bezsenności zaczynał widzieć rozmaite zwidy - głównie myszy przemykające wzdłuż przypodłogowych listew i po blatach biurka, czasem czarne muchy, kłębiące się w kątach pokoju i stamtąd rozlatujące do innych pomieszczeń. Powietrze wokół jego twarzy zaczynało nagle iskrzyć. Ludzie sprawiali wrażenie wykonanych z gumy. Chłopiec przekraczał wtedy próg lasu ze snu i wchodził w świat jawy. Dave umiał go na ogół kontrolować, ale czasem intruz go przerażał. Krzyczał mu wprost do ucha najdziksze rozkazy. Wybuchał szalonym śmiechem w najmniej stosownych momentach. Groził, że wyjrzy spod maski, jaka zwykle zakrywała twarz Dave'a, i ukaże się ludziom.

Dave nie spał już od blisko trzech dni. Leżał każdej nocy rozbudzony i przyglądał się śpiącej żonie, chłopiec tańczył na gąbczastej tkance jego mózgu, a ciemność przed jego oczami przecinały błyskawice światła.

- Muszę się po prostu uspokoić - szepnął i pociągnął długi łyk piwa. Muszę się po prostu uspokoić, a wszystko będzie dobrze, pomyślał, usłyszawszy kroki Michaela na schodach. Muszę się po prostu wziąć w garść i uspokoić, a wtedy się wreszcie wyśpię. Chłopiec wróci do lasu, ludzie przestaną przypominać gumowe lalki, myszy wrócą do norek, a czarne muchy odlecą.

Dave z Michaelem wrócili do mieszkania Jimmy'ego i Annabeth po czwartej. Pozostało niewiele gości. Na tacach walały się resztki ciastek i pączków, powietrze w salonie było gęste od papierosowego dymu. Dało się wyczuć nastrój opuszczenia. Rano i wczesnym popołudniem w domu panowała cisza, nabrzmiała smutkiem i miłością. W chwili powrotu Dave'a emocje już opadły, rozpacz po śmierci Katie zaczęło zagłuszać nerwowe szuranie krzesel i dobiegające z korytarza słowa pożegnań.

Celeste powiedziała mu, że Jimmy spędził znaczną część popołudnia na ganku za domem. Kilka razy pojawiał się w domu, żeby sprawdzić, jak się czuje Annabeth, przyjmując kondolencje od nowo przybyłych, po czym znowu wychodził na ganek i siadał na krześle pod rozwieszonym na sznurze praniem, które już dawno wyschło i zeszywniało. Dave zapytał Annabeth, czy może jej w czymś pomóc, coś przynieść.



Pokręciła przecząco głową, nim zdążył zamilknąć, a on wiedział, że jego pytanie nie było zbyt mądre. Gdyby Annabeth naprawdę czegoś potrzebowała, zgłosiłoby się do pomocy co najmniej piętnaście innych osób. Zawstydzony spróbował sobie przypomnieć, po co tu właściwie przyszedł, i postarał się nie zirytować z powodu tej odmowy. Już dawno odkrył, że nie należy do osób, do których ludzie chętnie zwracają się o pomoc. Czasem odnosił wrażenie, że żyje na jakiejś innej planecie niż reszta ludzi. Zdawał sobie sprawę - i ta świadomość budziła w nim głęboką rezygnację i żal - że jest facetem, który przejdzie przez życie jako odludek i że raczej nie można na nim polegać.

Wyszedł na ganek z uczuciem, że jest zjawą, duchem i podszedł od tyłu do Jimmy'ego, który siedział pod szeleszczącym praniem na starym, turystycznym krzeselku. Usłyszawszy kroki, Jimmy lekko przechylił głowę.

- Nie przeszkadzam?

- A, to ty Dave. - Jimmy uśmiechnął się, gdy Dave obszedł krzesło. - Nie, bracie. Siadaj.

Dave usiadł naprzeciwko Jimmy'ego na plastikowej skrzynce na mleko. Z mieszkania dochodził do nich przytłumiony gwar punktowany podzwanianiem sztukców.

- Przez cały dzień nie miałem okazji z tobą porozmawiać - poskarżył się Jimmy. - Jak się czujesz?

- Powiedz raczej, jak ty się czujesz?

Jimmy podniósł ręce do góry i ziewnął.

- Ludzie wciąż mnie o to pytają, wiesz? Zresztą trudno się dziwić. - Opuścił ręce i wzruszył ramionami. - Różnie, co godzinę inaczej. W tej chwili? Nie najgorzej. Choć to się może zmienić. I pewno się zmieni. - Znowu wzruszył ramionami i spojrzał na Dave'a. - Co ci się stało w rękę?

Dave popatrzył na swoją opuchniętą dłoń. Miał cały dzień, żeby przygotować jakieś wiarygodne wyjaśnienie, lecz ciągle o tym zapominał.

- To? Pomagałem kumplowi wnieść kanapę do mieszkania. Uderzyłem ręką o futrynę, gdy wnosiliśmy ją po schodach.

Jimmy przekrzywił głowę i przyjrzał się kostkom dłoni Dave'a i sińcom między palcami.

- No tak.

Dave zrozumiał, że nie dał się nabrać, i postanowił wymyślić lepsze kłamstwo, gdy

go o to samo zapyta ktoś następny.

- Taka tam głupota - rzekł. - Człowiek ma tyle sposobów, żeby sobie zaszkodzić, prawda?

Jimmy wpatrywał się w Dave'a, najwyraźniej zapomniawszy o jego dłoni. Rysy twarzy złagodniały.

- Miło cię widzieć, chłopie - powiedział.

Dave omal nie zawołał: „Naprawdę?”.

Od blisko ćwierćwiecza, odkąd się znali, ani razu nie odniósł wrażenia, by Jimmy szczerze cieszył się na jego widok. Czasami zdawało mu się, że nie miał nic przeciwko jego towarzystwu, lecz to nie było to samo. Nawet, gdy się na powrót ze sobą zbliżyli, poślubiwszy siostry cioteczne, Jimmy ani razu nie dał do poznania, by on i Dave byli dla siebie kiedykolwiek kimś więcej niż tylko przygodnymi znajomymi. W końcu i Dave uznał taką wersję ich znajomości za prawdziwą.

Nigdy, więc nie byli przyjaciółmi. Nie grali na Rester Street w palanta, w klipę, nie kopali razem puszek. Nie włóczyli się, co sobota z Seanem Devine'em, nie bawili się w wojnę w wyrobiskach żwirowni w bok od Harvest Street, nie przeskakiwali z dachu na dach garaży przemysłowych za Pope Park, nie oglądali razem Szczęk w kinie w Charles, skuleni na fotelach, piszczący ze strachu. Nigdy nie ćwiczyli razem poślizgów na rowerach, nie sprzeczali się, kto będzie Starskim, a kto Hutchem, i kto wpadnie w ciężkie tarapaty jako Kolchak z serialu The Night Stalker. Nie rozbili sanek podczas zjazdów na łąb na szyję z Somerset Hill pierwszego dnia po wielkiej śnieżycy w siedemdziesiątym piątym. Ten pachnący jabłkami samochód nigdy do nich nie podjechał na Gannon Street.

I oto Jimmy Marcus, w dzień po śmierci córki, oświadcza: „Miło cię widzieć, Dave”, a Dave - jak dwie godziny wcześniej podczas spotkania z Seanem - czuje, że tamten mówi szczerze.

- I ciebie miło widzieć, Jim.

- Jak sobie radzą nasze panie? - Uśmiezek na twarzy Jimmy'ego omal nie dotarł do jego oczu.

- Chyba dobrze, jak sądzę. Gdzie są Nadine i Sara?

- U mojego teścia. Słuchaj, podziękuj w moim imieniu Celeste, dobrze? Bardzo nam dzisiaj pomogła.

- Nie musisz nikomu dziękować, Jimmy. Jeśli tylko będziemy mogli, oboje z Celeste z ochotą wam pomożemy.

- Wiem. - Jimmy wyciągnął rękę i uściśnął przedramię Dave'a. - Dziękuję, stary.

Dave z radością podniósłby w tej chwili dla Jimmy'ego cały budynek i trzymałby go przy piersi, dopóki Jimmy nie powiedziałby mu, gdzie ma go postawić.

Omam nie zapomniał, po co właściwie wyszedł na ganek: chciał powiedzieć Jimmy'emu, że tej sobotniej nocy widział Katie w barze McGills. Musiał to wyjawić, w przeciwnym razie znaczyłoby to, że ukrywa tę informację i gdyby w końcu prawda wyszła na jaw, Jimmy mógłby się dziwić, dlaczego nie poznał jej wcześniej. Musiał o tym powiedzieć, zanim Jimmy dowie się o tym z trzecich ust.

- Wiesz, kogo dziś widziałem?

- No?

- Seana Devine'a. Pamiętasz Seana?

- Oczywiście. Wciąż mam tę jego rękawicę.

- Słucham?

Jimmy zbył pytanie machnięciem ręki.

- Jest teraz glina - powiedział. - Zajmuje się sprawą Kalie... Tak to oni, jak się zdaje, nazywają.

- Wiem. Właśnie wpadł do mnie dzisiaj w tej sprawie.

- Naprawdę? Dlaczego do ciebie?

Dave dołożył starań, by jego odpowiedź zabrzmiała obojętnie.

- Sobotniej nocy byłem w barze McGills. Katie też tam była. Moje nazwisko figurowało na liście gości, podanej im przez barmana.

- Katie tam była - powtórzył Jimmy, zwięzającymi się oczami wpatrując się w przestrzeń. - Widziałeś ją sobotniej nocy, Dave? Moją Katie?

- Tak, Jim, byłem w tym barze i ona tam była. A potem wyszła z dwiema koleżankami i...

- Z Diane i Eve?

- Tak, z tymi koleżankami, z którymi się zawsze prowadziła. Potem wyszły i tyle.

- I tyle - powtórzył głucho Jimmy.

- Chciałem powiedzieć, że więcej jej nie widziałem. Ale z tego powodu, rozumiesz, mieli mnie na liście.

- Mieli cię na liście, słusznie. - Jimmy uśmiechnął się, ale nie do Dave'a, a do czegoś, co musiał widzieć tym swoim zapatrzonym w dal wzrokiem. - Rozmawiałeś z nią tamtej nocy?

- Z Katie? Nie. Oglądałem mecz z Wielkim Stanleyem. Kiwnąłem jej tylko głową

na przywitaniu. Kiedy następnym razem spojrzałem w ich stronę, już ich nie było.

Jimmy siedział przez chwilę w milczeniu, ze świstem nosem wciągał powietrze i kilka razy kiwnął głową do własnych myśli. W końcu spojrzał na Dave'a i rozciągnął usta w zbolalym uśmiechu.

- To przyjemne.

- Co takiego? - zapytał Dave.

- Tak tu siedzieć. Po prostu siedzieć. Przyjemnie.

- Naprawdę?

- Po prostu siedzieć i patrzeć przed siebie. Człowiek całe życie gdzieś goni. Dzieci, praca. Zwalnia tempo właściwie tylko wtedy, kiedy śpi, rzadko z innego powodu. Weź choćby dzisiaj. Dzień raczej wyjątkowy, a jednak musiałem zajmować się różnymi pierdołami. Zadzwoić do Pete'a i Sala, żeby sprawdzić, czy dają sobie radę w sklepie. Sprawdzić, czy dziewczynki się umyły i ubrały po wstaniu z łóżek. Kontrolować, czy żona jakoś się trzyma. - Zakłopotany uśmiechnął się do Dave'a, wychylił do przodu i zakolysał lekko, zacisnąwszy dłoń w pięść. - Muszę przyjmować kondolencje i znaleźć miejsce w lodówce na to całe żarcie i piwo, muszę dogadać się z teściem, a potem zadzwonić do biura patologa, żeby się dowiedzieć, kiedy wydadzą mi ciało mojego dziecka, bo muszę się umówić z zakładem pogrzebowym i z proboszczem z kościoła Świętej Cecylii. Muszę znaleźć firmę, która mi przygotowuje stypę i salę na spotkanie po pogrzebie...

- Możemy zająć się niektórymi z tych spraw - wtrącił Dave.

Jimmy mówił dalej, jakby Dave'a w ogóle nie było.

- ... nie mogę niczego schrzanić, nie mogę schrzanić najdrobniejszej sprawy, bo Katie umierałaby wiele razy i ludzie pamiętaliby za dziesięć lat tylko to, że pogrzeb był schrzaniony, a na to nie mogę pozwolić, rozumiesz? Katie, cokolwiek by się o niej powiedziało, odkąd skończyła... ile to? sześć lat... była bardzo czystym dzieckiem, sama dbała o swoje ubrania... Więc jest przyjemnie, naprawdę fajnie, wiesz?... móc wyjść sobie przed dom i po prostu siedzieć, siedzieć, przyglądać się okolicy i próbować sobie przypomnieć coś takiego, żeby się rozplakać... bo ja, widzisz... przysięgam ci, zaczyna mnie to już wkurzać, że dotąd nie płakałem. Moja rodzona córka, a ja, kurwa, nie mogę po niej zapłakać!

- Jim...

- No?

- Ty przecież płaczesz.

- Nie chrzań!

- Dotknij swojej twarzy.

Jimmy podniósł rękę i dotknął wilgotnego policzka. Przyglądał się przez chwilę mokrym palcom.

- Kurna mać - mruknął.

- Chcesz, żebym sobie poszedł?

- Nie, Dave. Nie. Zostań, jeśli możesz.

- Jasne, Jim. Jasne, że mogę.

## Rzut oka

Godzinę przed umówionym spotkaniem w biurze Martina Friela Sean i Whitey wpadli do domu sierżanta, żeby mógł on zmienić koszulę, którą oblał sobie podczas lunchu.

Whitey mieszkał ze swoim synem, Terrance'em, w apartamentowcu z białej cegły tuż za granicą miasta w kierunku południowym. Podłoga w mieszkaniu była wyłożona beżową wykładziną, ściany pomalowane na kolor złamanej bieli. Pachniało stęchlizną jak w pokojach w motelach lub na korytarzach szpitalnych. Telewizor był nastawiony na stację ESPN\*, chociaż w mieszkaniu nikogo nie było. Na dywanie przed czarną bryłą kombajnu multimedialnego leżały rozrzucone przyrządy do gier telewizyjnych. Naprzeciwko stała wygnieciona kanapa z gąbki. Sean domyślił się, w koszu na śmieci zalegają opakowania od McDonalda, a zamrażarka jest zapchana tackami z szybkimi daniami.

- Gdzie Terry? - zapytał.

- Pewnie ma trening hokeja, to jego ukochany sport - odparł Whitey. - Choć o tej porze roku może być na koszykówce.

Sean tylko raz spotkał Terry'ego. Miał czternaście lat i był nad wiek wyrośniętym, zwalistym chłopakiem. Sean wyobraził sobie, jak będzie wyglądał za lat kilka i jaki strach już teraz musiał wzbudzać w innych dzieciach, gdy pędził z kijem po lodzie.

Sąd przydzielił Whiteyowi opiekę nad Terrym, bo jego żona się jej zrzekła. Porzuciła obu przed paroma laty dla adwokata prawa cywilnego. Gość miał problem z narkotykami, który niechybnie sprawi z czasem, że wykluczą go z palestry i oskarżą o sprzeniewierzenie. Żonie Whiteya to jednak nie przeszkadzało, tak Sean w każdym razie słyszał. Byli małżonkowie pozostawali na przyjaznej stopie. Gdy się słyszało, jak Whitey o niej mówił, człowiek zapominał, że ta para jest rozwiedziona.

Tak też było i tym razem, gdy wprowadził Seana do salonu i rozpinając koszulę, spojrzął na rozrzucone na podłodze piloty do gier.

---

\* Entertainment and Sports Programming Network - sieć programów rozrywkowo-sportowych (przyp. tłum.).

- Suzanne uważa, że ja i Terry mamy tu istny męski raj. Mówi to niby z przekąsem, podejrzewam jednak, że jest trochę zazdrosna. Piwo?

Sean przypomniał sobie, co Friel powiedział mu o problemach Whiteya z alkoholem, i wyobraził sobie spojrzenie, jakim szef by go obrzucił, gdyby pojawił się na spotkaniu, pachnąc tik-takami i budweiserem. Znając Whiteya, mógł to być podstęp z jego strony, wszak w ostatnich dniach wszyscy bacznie Seana obserwowali.

- Raczej woda. Albo cola.

- Grzeczny chłopiec - pochwalił Whitey i uśmiechnął się szeroko, jakby naprawdę poddawał partnera próbie, lecz Sean dostrzegł oznaki pragnienia w rozbieganych oczach sierżanta i w sposobie, w jaki oblizwał wargi koniuszkiem języka. - A zatem dwie cole.

Whitey wrócił z kuchni z dwiema szklankami, jedną podał Seanowi i wszedł do małej łazienki obok salonu. Sean usłyszał, jak zdejmuje koszulę i odkręca wodę.

- Ta cała sprawa robi wrażenie zbiegu przypadków - zawołał po chwili Powers. - Nie masz takiego wrażenia?

- Owszem, poniekąd.

- Alibi Fallowa i O'Donnella wydają się niepodważalne.

- Mogli kogoś wynająć.

- Zgoda. Poszedłbyś tym tropem?

- Raczej nie. To zbyt pokrętne.

- Całkiem bym tego jednak nie wykluczał.

- Toteż nie zamierzam.

- Będziemy musieli jeszcze raz przycisnąć Harrisa. Chłopak nie ma alibi, choćby dlatego, ale powiem ci, że on mi tu nie pasuje. To mięczak, chyba się zgodzisz?

- Ale miał motyw - powiedział Sean - jeśli, na przykład, odczuwał zazdrość o O'Donnella, coś w tym rodzaju.

Whitey wyszedł z łazienki, wycierając twarz ręcznikiem. Jego biały brzuch opasywała czerwona blizna wykrzywiona niczym uśmiechnięte usta, po obu stronach zawieszona kącikami na najniższych żebrach.

- Taki dzieciuch? - Wrócił do łazienki.

Sean wyszedł za nim na korytarz.

- I mnie chłopak nie pasuje do tej zbrodni, ale musimy mieć pewność.

- No i ten ojciec, ci zwariowani, pokręceni wujowie... Posłałem już chłopaków, żeby przepytali ich sąsiadów. I ja bym nie szedł tropem tego gnojka.

Sean oparł się o ścianę i łyknął coli.

- Jeśli to nie był przypadek, sierżancie, to znaczy, cholera...

- Właśnie. - Whitey wyszedł z łazienki w świeżej koszuli. - Pani Prior - powiedział, zapinając guziki - nie słyszała krzyku.

- Za to słyszała wystrzał.

- To my tak twierdzimy. Ale zgoda, pewnie mamy rację. Nie słyszała jednak krzyku.

- Może dziewczyna była zbyt skupiona na tym, żeby walnąć faceta drzwiami i rzucić się do ucieczki.

- Możliwe. Ale dlaczego nie krzyknęła, gdy go zobaczyła? Gdy zmierzał w stronę wozu? - Whitey minął Seana i wszedł do kuchni.

Sean oderwał się od ściany i ruszył w ślad za nim.

- Bo prawdopodobnie go znała. Dlatego powiedziała: „Cześć”.

- Zgadza się. - Whitey przytaknął. - Inaczej po co w ogóle by zatrzymywała samochód?

- Nie w tym rzecz - zaproponował Sean.

- Nie? - Whitey oparł się o blat i spojrzał na niego.

- Nie - powtórzył Sean. - Wóz był stuknięty, koła skrócone w stronę krawężnika.

- Lecz żadnych śladów poślizgu.

Sean przytaknął.

- Jechała może trzydzieści na godzinę i coś kazało jej wjechać w krawężnik.

- Co?

- Skąd mam to wiedzieć, do cholery? Pan jest tutaj szefem. Whitey uśmiechnął się i jednym haustem opróżnił szklanekę. Otworzył lodówkę i sięgnął po następną colę.

- Co zmusza kierowcę do ostrego skrętu bez naciskania hamulca?

- Jakaś przeszkoda na jezdni - odpowiedział Sean. Whitey na znak uznania podniósł do góry puszkę z colą.

- Ale niczego na jezdni nie stwierdziliśmy.

- Następnego dnia rano.

- Więc cegła? Coś w tym guście?

- Cegła byłaby za mała, nie uważa pan? W środku nocy?

- Żuźłowy pustak.

- To już prędzej.

- W każdym razie coś - podsumował Whitey.



- Coś - zgodził się Sean.

- Dziewczyna ostro skręca, uderza w krawężnik, zdejmując nogę z pedału, silnik gaśnie.

- I wtedy pojawia się sprawca.

- Którego ona zna. I co potem? Po prostu podchodzi i atakuje?

- Ona uderza go drzwiami i...

- Rąbnięto cię kiedyś drzwiami samochodu? - Whitey podniósł kołnierzyk, opasał go krawatem i zawiązał węzeł.

- Jak dotąd oszczędzono mi tej przyjemności.

- To jest jak z ciosem pięścią. Jeśli stoisz dość blisko i kobieta ważąca około pięćdziesięciu kilogramów uderzy cię drzwiczkami małej toyotki, nie zrobi ci wielkiej krzywdy, najwyżej cię rozwścieczy. Karen Hughes twierdzi, że morderca strzelał za pierwszym razem z odległości jakichś piętnastu centymetrów. Piętnastu centymetrów!

Sean domyślił się, do czego Whitey zmierza.

- Dobra, ale założmy, że dziewczyna pada na plecy i kopie w drzwi nogami. To by wywarło pożądaną efekt.

- Tylko że drzwi musiałyby być już otwarte. W zamknięte mogłaby kopać do usranej śmierci. Musiałaby je wcześniej otworzyć i pchnąć ramieniem. Więc albo morderca cofnął się i oberwał solidnie drzwiczkami, kiedy się tego nie spodziewał, albo...

- Był lekki jak piórko.

Whitey wyłożył kołnierzyk na zawiązany krawat.

- Co przypomina mi znowu o tych odciskach stóp.

- Tych nie istniejących odciskach stóp - mruknął Sean.

- Właśnie! - przytaknął Whitey. - Tych nie istniejących odciskach. - Zapiął najwyższy guzik i podciągnął węzeł krawata pod szyję. - Sprawca goni dziewczynę przez park. Ona ucieka co sił w nogach, więc musi za nią gnać. Zapieprza jak jasna cholera. I co? Chcesz mi wmówić, że nie zostawi ani jednego śladu?

- Tamtej nocy nieźle padało.

- Ale jej ślady znaleźliśmy. Aż trzy. Daj spokój, Sean! Coś tu się nie zgadza.

Devine oparł tył głowy o wiszącą za nim szafkę i spróbował sobie tę scenę wyobrazić. Katie Marcus, pracując rękami jak sprinterka, zbiega w ciemności po zboczu w stronę ekranu kina. Twarz podrapana przez krzaki, włosy mokre od deszczu, zlepione potem, po jej ramieniu i klatce piersiowej ścieka krew. Morderca (w

wyobraźni Seana mroczna postać bez twarzy) pędzi po stoku w kilka sekund po niej. Z pożądania krew tętni mu w uszach. Wielki mężczyzna, zboczona bestia. Na swój sposób inteligentny. Dostatecznie bystry, by położyć jakiś przedmiot na środku jezdni i zmusić Katie Marcus, by wjechała w krawężnik. Dostatecznie bystry, żeby wybrać takie miejsce na Sydney Street, gdzie nikt nie mógł niczego usłyszeć ani zobaczyć. To, że starsza pani Prior coś jednak usłyszała, należało uznać za wybryk natury. Tego jednego zabójca nie był w stanie przewidzieć. Nawet Sean był zaskoczony, że ktoś jeszcze mieszka w tym wypalonym kwartale. Poza tym jednak gość wykazał się swoistą inteligencją.

- Myśli pan, że był dostatecznie cwany, by zatrzeć własne ślady? - zapytał Sean.

- Co?

- Mówię o sprawcy. Może zabił, a potem wrócił po swoich śladach i zatarł je błotem?

- Możliwe, ale jak mógł zapamiętać całą przebytą drogę? Było ciemno. Nawet przy założeniu, że wziął latarkę... Miałby wielki teren do przeszukania, całe mnóstwo śladów do usunięcia.

- Więc deszcz...

- Owszem. - Whitey westchnął. - Kupiłbym tę hipotezę, gdyby facet ważył siedemdziesiąt kilo. Góra. W przeciwnym razie...

- Brendan Harris wygląda mi na wagę lekką.

Whitey westchnął.

- Naprawdę myślisz, że ten gnojek byłby zdolny do takiego czynu?

- Nie.

- Ani ja. A ten twój kumpel? Też szczupły gość.

- Kto?

- Boyle.

Sean zsiadł z blatu szafki.

- W jaki sposób do niego doszliśmy?

- Dopiero dochodzimy.

- Chwileczkę... Whitey podniósł rękę.

- Twierdzi, że wyszedł z baru około pierwszej. Gówno prawda. Te kluczyki do samochodu rąbnęły w zegar za dziesięć pierwsza. Katherine Marcus wyszła z baru o dwunastej czterdzieści pięć. To już ustaliliśmy, Sean. W alibi twojego kumpla jest piętnastominutowa luka, co również już stwierdziliśmy. A skąd mamy wiedzieć, o

której naprawdę dotarł do domu?

Sean roześmiał się.

- Sierzancie, to tylko jeden z barowych gości.

- To było ostatnie miejsce, gdzie ją widziano. Ostatnie, Sean. Sam mówiłeś...

- Co takiego?

- Że powinniśmy szukać faceta, który przesiedział w domu bał maturalny.

- Myślałem...

- Nie twierdzą, że to on, chłopie. Daleko mi do tego. Na razie. Ale z tym facetem jest coś nie w porządku. Słyszałeś jego stwierdzenie, że temu miastu przydałby się wzrost przestępczości? On to mówił poważnie.

Sean odstawił pustą puszkę po coli na kuchenny blat.

- Odzyskuje pan surowce wtórne? Whitey zmarszczył czoło.

- Nie.

- Nawet za pięć centów puszką?

- Stary...

Sean wrzucił puszkę do kosza na śmieci.

- Sugeruje pan, że facet taki jak Dave Boyle morduje... zaraz... przyrodnią córkę kuzynki własnej żony tylko dlatego, że wkurwia go wykupywanie nieruchomości w jego dzielnicy? To najśmieszniejsza hipoteza, jaką w życiu słyszałem!

- Przyskrzyniłem kiedyś gościa, który zabił żonę, bo źle się wyrażała o jego umiejętnościach kucharza.

- W małżeństwie to co innego! Takie rzeczy narastają między dwojgiem ludzi przez całe lata. A pan mówi coś takiego: „Kurde, te czynsze mnie zabijają. Muszę ukatrupić parę osób, żeby spadły do normalnego poziomu”. Whitey parsknął śmiechem.

- Co takiego? - zaniepokoił się Sean.

- Zabawnie to przedstawiłeś. W porządku, to niezbyt mądre. Jednak z tym facetem coś jest nie w porządku. Gdyby nie ta luka w jego alibi, powiedziałbym: zgoda, wykluczamy gościa. Gdyby nie widział ofiary na godzinę przed śmiercią, powiedziałbym: zgoda. Ale ma tę lukę, widział tę dziewczynę i coś jest z nim nie tak. Utrzymuje, że wrócił prosto do domu. Wolałbym, żeby jego żona to potwierdziła. Wolałbym, żeby sąsiad z parteru słyszał, jak wchodzi po schodach o pierwszej pięć. Rozumiesz? Wtedy wykreślę go z rejestru. Widziałeś jego rękę?

Sean milczał.

- Jego prawa dłoń jest dwa razy większa od lewej. Ten facet ostatnio w coś wdepnął. Chcę wiedzieć, w co. Kiedy się dowiem, że to była awantura w barze, coś w tym guście, w porządku. Zapominam o nim.

Whitey wypił drugą puszkę coli i pustą wrzucił do kosza.

- Dave Boyle - mruknął Sean. - Pan naprawdę chce się przyjrzeć Dave'owi Boyle'owi?

- Tylko przyjrzeć - potaknął Whitey. - Na razie.

Spotkali się na drugim piętrze w pokoju konferencyjnym w biurze prokuratora okręgowego, z którego korzystał zarówno wydział kryminalny, jak i wydział zabójstw. Friel lubił zwoływać pracowników do tego pomieszczenia, ponieważ było zimne i urządzone po spartańsku. Krzesła były twarde, stół czarny, a ściany pomalowane na kolor żużla. Nie zachęcało do dowcipnych uwag nie na temat i luźnych dywagacji. Nikt nie miał ochoty przeciągać niepotrzebnie pobytu w tym pokoju. Załatwiano sprawę czym prędzej i się zmywano.

Tego dnia stało w sali konferencyjnej siedem krzeseł i wszystkie były zajęte. Friel siedział u szczytu stołu. Po jego prawej stronie zajęła miejsce zastępczyni szefa Wydziału Zabójstw Hrabstwa Suffolk, Maggie Mason, a po lewej sierżant Robert Burke, dowódca innej jednostki wydziału zabójstw. Whitey i Sean siedzieli naprzeciwko siebie po dwóch stronach stołu, obok nich Joe Souza, Chris Connolly i dwaj detektywi ze stanowego wydziału zabójstw, Payne Brackett i Shira Rosenthal. Przed każdą z tych osób leżała teczka zawierająca raporty z terenu lub ich kopie, zdjęcia z miejsca zbrodni, ekspertyzy anatomopatologa i techników kryminalistyki, wreszcie własne notatki i zapiski, nabazgrane na jakichś serwetkach nazwiska i surowe szkice z miejsca zbrodni.

Na pierwszy ogień poszli Whitey i Sean. Opowiedzieli o przesłuchaniach Eve Pigeon i Diane Cestra, pani Prior, Brendana Harrisa, Jimmy'ego i Annabeth Marcusów, Romana Fallowa i Dave'a Boyle'a, którego Whitey, ku zadowoleniu Seana, przedstawił jako „jednego ze świadków z baru”.

Następnie zabrali głos Brackett i Rosenthal. Mówił głównie Brackett, ale Sean był pewien - opierając się na własnych doświadczeniach z przeszłości - że więcej informacji zebrała Rosenthal.

- Pracownicy ze sklepu ojca ofiary mają solidne alibi, żadnego zresztą wyraźnego motywu do popełnienia zabójstwa. Wszyscy stwierdzili zgodnie, że panna Katie, o ile

im wiadomo, nie miała wrogów, długów i nie była uzależniona od narkotyków. W jej pokoju nie znaleźliśmy narkotyków, jedynie siedemset dolarów w gotówce. Żadnego dziennika nastolatki. Badanie konta bankowego ofiary wykazało, że jej oszczędności pozostawały w równowadze wobec zarobków. Żadnych większych wpłat czy wypłat, aż do piątkowego przedpołudnia piątego tego miesiąca, kiedy to zlikwidowała rachunek. Pieniądze znaleziono w szufladzie komody w jej pokoju. Fakt ten potwierdza ustalenie sierżanta Powersa, że dziewczyna zamierzała w sobotę wyjechać. Wstępne przesłuchania sąsiadów nie przyniosły żadnych dowodów na poparcie tezy o rodzinnych sporach.

Brackett wyrównał plik kartek, stuknąwszy nim o blat stołu. Dał tym do zrozumienia, że skończył. Friel zwrócił się następnie do Connolly'ego i Souzy.

- Sprawdziliśmy listy gości barów, w których widziano ofiarę ostatniej nocy. Jak dotąd, przesłuchaliśmy dwadzieścia osiem osób z szacunkowej liczby siedemdziesięciu pięciu, nie licząc tych dwóch, którymi zajęli się sierżant Powers i detektyw Devine: Fallowa i wspomnianego tu Dave'a Boyle'a. Pozostałych czterdziestu pięciu przesłuchali policjanci stanowi Hewlett, Darton, Woods, Cecchi, Murray i Eastman. Otrzymaliśmy ich wstępne raporty.

- Co możecie powiedzieć o Fallowie i O'Donnellu? - zwrócił się Friel do Whiteya.

- Są czyści. Co nie znaczy, że nie mogli nadać tej roboty.

Friel opadł na oparcie krzesła.

- W swojej praktyce miałem do czynienia z wieloma morderstwami na zlecenie, ale to mi na takie nie wygląda.

- Jeśli to było morderstwo na zlecenie - wtrąciła Maggie Mason - dlaczego nie strzelili do niej, kiedy jeszcze siedziała w samochodzie?

- Właśnie to zrobili - powiedział Whitey.

- Domyślam się, że Maggie pyta, dlaczego wystrzelono tylko raz, sierżancie. Dlaczego nie wywalili od razu całego magazynku?

- Pistolet mógł się zaciąć - zauważył Sean, po czym dodał, wywołując marsa na czołach siedzących wokół stołu osób: - Tej okoliczności nie braliśmy dotąd pod uwagę. Broń się zacina, Katherine Marcus się broni. Powala napastnika i rzuca się do ucieczki.

Zapadła cisza. Friel zamyslił się, wlepiwszy wzrok w trójkąt złożony z własnych palców wskazujących.

- To niewykluczone - rzekł w końcu. - Całkiem możliwe. Ale dlaczego zbił ją kijem,

pałką, cokolwiek to zresztą było? Dla mnie to nie wygląda na robotę zawodowca.

- Nie sądzę, żeby O'Donnell i Fallow posługiwali się na tym etapie swojej działalności zawodowcami najwyższej klasy - argumentował Whitey. - Mogli zlecić tę robotę jakiemuś łachmycie za kilka działek nery i długopis.

- Powiedzieliście, że starsza pani słyszała, jak Marcusówna pozdrawia zabójcę. Czy postąpiłaby tak, gdyby zbliżał się do jej samochodu narąbany ćpun?

Whitey skwitował to gestem, który można było wziąć za potaknięcie.

- Ano właśnie.

Maggie Mason pochyliła się nad stołem.

- Sugerujecie, że dziewczyna знаła napastnika?

Sean i Whitey spojrzeli po sobie, potem zwrócili wzrok ku szczytowi stołu i jednocześnie kiwnęli głowami.

- Nie mówię, że w East Bucky brakuje ćpunów, szczególnie we Flats, ale czy dziewczyna taka jak Katherine Marcus mogła się z nimi zadawać?

- Kolejna trafna uwaga. - Whitey westchnął. - Istotnie.

- Chciałbym wierzyć, że to było zabójstwo na zlecenie - powiedział Friel - ale skatowanie ofiary świadczy o amatorszczyźnie.

Whitey kiwnął głową.

- Całkowicie tego jednak wykluczyć nie możemy. Tylko tyle twierdzę.

- Zgoda, sierżancie.

Friel spojrział na powrót na Souzę, który sprawiał wrażenie nieco poirytowanego tą wymianą zdań.

Souza odchrząknął i nie spiesząc się, zwrócił spojrzenie na swoje notatki.

- Więc tak... Rozmawialiśmy z jednym facetem... nie jakim Thomasem Moldanado. Gość pił w barze Ostatnia Kropla, ostatnim, w jakim gościła Katherine Marcus przed rozstaniem z przyjaciółkami. W tym lokalu mają tylko jedną toaletę. Moldanado powiedział, że kiedy te trzy dziewczęta opuszczały lokal, stała do niej kolejka, więc wyszedł na parking, żeby się odlać, i zobaczył faceta siedzącego w samochodzie ze zgaszonymi światłami. Twierdzi, że było dokładnie wpół do drugiej. Ma nowy zegarek i chciał sprawdzić, czy tarcza świeci w ciemności.

- I świeci?

- Najwidoczniej.

- Ten facet w samochodzie - wtrącił Robert Burke - mógł spać po przepiciu.

- Tak też w pierwszej chwili pomyśleliśmy, sierżancie. Moldanado przyznał, że i

on tak pomyślał. Ale nie: facet siedział prosto i miał oczy otwarte. Moldanado wzięły go za glinę, gdyby typek nie tkwił w małym, zagranicznym wozie, hondzie czy subaru.

- Lekko stukniętym - dodał Connolly. - Wgniecenie z przodu po stronie pasażera.

- Zgadza się - potaknął Souza. - Moldanado doszedł do wniosku, że gość szukał dziwki. W tej okolicy w nocy łatwo o ten towar. Ale jeśli tak, to dlaczego siedział na parkingu? Dlaczego nie kursował po alei?

- Dobrze, więc...- zaczął Whitey.

Souza podniósł rękę.

- Chwileczkę, sierzancie. - Spojrzał na Connolly'ego, a w jego oczach zabłysło podniecenie. - Jeszcze raz obejrzelśmy sobie cały parking i znaleźliśmy... krew.

- Krew?

Souza potaknął.

- Można by pomyśleć, że ktoś zmieniał na parkingu olej, kałuża była tak gęsta i w zasadzie ograniczona do jednego miejsca. Kiedy jednak zaczęliśmy się lepiej rozglądać, znaleźliśmy kapkę tu, kapkę tam, coraz dalej. Potem odkryliśmy też kilka kropel na ścianach i na ziemi w zaułku za barem.

- Co pan chce nam powiedzieć? - zaniepokoił się Friel.

- Ktoś jeszcze tamtej nocy odniósł ranę przed barem Ostatnia Kropla.

- Skąd pan wie, że właśnie tamtej nocy? - zapytał Whitey.

- Potwierdzili to technicy kryminalistyki. Tamtej nocy przypadkiem nocny stróż zaparkował w tym miejscu samochód. Zakrył plamę krwi, ale ją też osłonił przed deszczem. Posłuchajcie, kimkolwiek jest nasz ptaszek, został poważnie ranny. Facet, który go zaatakował, również. Znaleźliśmy na parkingu ślady dwóch różnych grup krwi. Sprawdzamy teraz szpitale i korporacje taksówkowe, bo niewykluczone, że ofiara napaści odjechała stamtąd taksówką. Znaleźliśmy zakrwawione włosy, kawałki skóry i trochę tkanki czaszki. Czekamy jeszcze na telefony z izb przyjęć sześciu szpitali. Kilka innych udzieliło nam już odpowiedzi przeczących, wciąż jednak jestem skłonny się założyć, że znajdziemy faceta, który zjawił się w nocy z soboty na niedzielę w izbie przyjęć którejś z placówek z tępym urazem głowy. Sean podniósł rękę.

- Chce pan powiedzieć, że tej samej nocy, kiedy Katherine Marcus wyszła z Ostatniej Kropli, ktoś rozbił komuś czaszkę na parkingu przed tym właśnie barem?

Souza uśmiechnął się.

- Tak.

Connolly dorzucił:

- Technicy badający miejsce zbrodni znaleźli zaschlą krew, grupy A i B minus. Znacznie więcej A niż B, z czego wnioskujemy, że ofiarą był A.

- Katherine Marcus miała grupę zero - przypomniał Whitey.

Connolly skinął głową.

- Włókna włosów wskazują, że ofiarą był mężczyzna.

- Wobec tego jaką przyjmujecie hipotezę śledczą? - zapytał Friel.

- Na razie żadnej. Wiemy tylko, że tej samej nocy, kiedy zamordowano Katherine Marcus, ktoś inny odniósł ranę głowy na parkingu przed ostatnim barem, jaki odwiedziła.

Odezwała się Maggie Mason:

- Dobrze, założmy, że na parkingu przed barem rozegrała się bójka. Co z tego?

- Żaden z gości baru nie przypomina sobie takiego zdarzenia, ani w środku, ani na zewnątrz baru. Jedynymi osobami, które opuściły bar między pierwszą trzydzieści a pierwszą pięćdziesiąt, były Katherine Marcus, jej koleżanki i nasz świadek, Moldanado, który wrócił do środka, jak tylko sobie ulżył. Nikt więcej tam nie wchodził. Moldanado widział kogoś, kto czatował na parkingu około pierwszej trzydzieści. „Zwyczajnie wyglądający” facet, jak go opisał, gdzieś tak po trzydziestce, ciemne włosy. Kiedy Moldanado wychodził z baru o pierwszej pięćdziesiąt, gościa już nie było.

- W tym samym czasie Katie Marcus uciekała przed mordercą przez Pen Park.

Souza przytaknął.

- Nie twierdzimy, że między tymi zdarzeniami istnieje bezpośredni związek. Może nie ma w ogóle żadnego. Ale zbieżność jest zastanawiająca.

- Zapytam jeszcze raz - rzekł Friel. - Jaką przyjmujecie hipotezę śledczą?

Souza wzruszył ramionami.

- Nie wiem, szefie. Powiedzmy, że to było morderstwo na zlecenie. Facet w samochodzie czeka, aż dziewczyna wyjdzie. Kiedy wychodzi, dzwoni do współnika. I tamten się na nią zaczaja.

- I co potem? - zapytał Sean.

- Potem? Potem ją zabija.

- Pytam o faceta w samochodzie. Tę czujkę. Co robi? Wysiada, bo postanowił rozwalić komuś łeb? Tak dla jaj?

- Może ktoś go zaczepił.

- I co? - wtrącił Whitey. - Pogadał przez jego komórkę? Zawracanie głowy. Nie



widzę związku z zabójstwem Katherine Marcus.

- Chce pan, żebyśmy zapomnieli o tym odkryciu, sierżancie? - zapytał Souza. - Wytarli je z pamięci jako detal bez znaczenia?

- Czy tak powiedziałem?

- Ale...

- Czy tak powiedziałem? - powtórzył Whitey.

- Nie.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Więcej szacunku dla przełożonych, Joseph, bo pošlemy cię znowu do roboty przy przerzucie krystalicznej amfy w okolicach Springfield i będziesz się musiał użerać z gangami motocyklowymi i dupeczkami, które brzydko pachną, bo wyżerają smalec prosto z puszek.

Souza opanował się, stosując technikę opóźnianego wydechu.

- Pomyślałem tylko, że coś w tym jest. To wszystko.

- Nie przeczę, kolego. Mówię tylko, że musicie nam podać na tacy to coś, zanim skierujemy ludzi do czegoś, co może się okazać odosobnionym, nic nieznaczącym incydem. Poza tym Ostatnia Kropla leży na terenie podległym policji municypalnej.

- Skontaktowaliśmy się już z nimi - wtrącił Souza.

- Nie powiedzieli wam, że to ich sprawa?

Souza potaknął.

Whitey rozłożył ręce.

- Otóż właśnie. Pozostawajcie w kontakcie z naszym śledczym, informujcie nas o wszystkim, ale poza tym trzymajcie się od tej sprawy z daleka, zrozumiano?

- Skoro mowa o hipotezach śledczych, sierżancie - odezwał się Friel - jaką przyjęliście?

Whitey wzruszył ramionami.

- Mamy kilka, ale na razie to tylko hipotezy. Katherine Marcus zginęła od strzału w potylicę. Żadna z pozostałych ran, w tym postrzałowa lewego bicepsa, nie zagrażała życiu. Została skatowana drewnianym narzędziem o tępych krawędziach - jakimś rodzajem kija lub deską kantówką. Anatomopatolog stwierdził, że nie została zgwałcona. Z naszego dochodzenia wynika, że planowała ucieczkę z Brendanem Harrisem. Jej byłym chłopakiem był Bobby O'Donnell. Problem w tym, że nie chciał się pogodzić z rozstaniem. Ojciec ofiary nie przepadał ani za O'Donnellem, ani za małym Harrisem.

- A za Harrisem dlaczego?

- Nie wiemy. - Whitey zerknął na Seana, a potem odwrócił wzrok. - Pracujemy nad tym. Na razie wiemy tylko tyle, że miała zamiar nazajutrz rano zwać z miasta. Spotkała się na panieńskim wieczorku pożegnalnym z dwiema przyjaciółkami. Roman Fallow wypłoszył je z baru, odwiozła koleżanki do domu. Zaczyna padać, wycieraczki w samochodzie ma zrypane, szyba jest brudna. Więc albo źle oceniła odległość od krawężnika, bo była na niezłej banieczce, albo - z tego samego powodu - przysnęła na chwilkę za kółkiem, a może wreszcie skręciła ostro, żeby ominąć jakąś przeszkodę na jezdni. Jakakolwiek była tego przyczyna, uderzyła przednimi kołami w krawężnik. Silnik zgasł i ktoś podszedł do auta. Jeśli wierzyć naszemu świadkowi, starszej pani Prior, Katherine Marcus powiedziała temu komuś „Cześć”. Uważamy, że sprawca właśnie wtedy oddał pierwszy strzał. Udało jej się uderzyć go drzwiami samochodu... możliwe też, że jego pistolet się zaciął... i zaczęła uciekać w stronę parku. Wychowała się w tej okolicy, może uznała, że tam łatwiej zgubi prześladowcę. I znowu: nie wiemy, dlaczego wybrała ten kierunek ucieczki, choć gdyby uciekała w którąkolwiek inną stronę Sydney Street, na dystansie, co najmniej czterech przecznic nie mogłaby liczyć na żadną pomoc. Gdyby zaś wybiegła na otwarty teren, napastnik mógłby ją dogonić jej własnym samochodem lub położyć łatwym strzałem z pistoletu. Rzuca się, więc w stronę parku. Od tego momentu kieruje się dość konsekwentnie na południowy wschód. Przebiega przez teren ogródków działkowych, potem usiłuje się schować w parowie pod mostkiem dla pieszych, po czym biegnie prosto do ostatniego schronienia pod ekranem kina. Dziewczyna...

- Obrana trasa wprowadza ją coraz dalej w głąb do parku - zauważyła Maggie Mason.

- Istotnie, proszę pani.

- Dlaczego?

- Dlaczego co?

- Widzi pan, panie sierżancie - Maggie Mason zdjęła okulary i położyła je przed sobą na stole - gdybym ja była kobietą ściganą w miejskim parku, którego teren dobrze znam, zacząłabym od wciągnięcia w głąb prześladowcy, w nadziei, że się zgubi lub zaprzestanie pościgu. Jednak przy pierwszej nadarzącej się okazji zawróciłabym. Dlaczego nie pobiegła na północ w stronę Roseclair albo nie zawróciła w stronę Sydney? Dlaczego zapuszczała się coraz dalej w głąb?

- Może z powodu szoku. Może ze strachu. Strach odbiera jasność myślenia.

Pamiętajmy także, że miała we krwi coś jeden i dziewięć dziesiątych promila. Była nieźle pijana.

Maggie pokręciła głową.

- To do mnie nie przemawia. I jeszcze coś... Czy z waszych raportów mam wnioskować, że panna Marcus biegła szybciej od ścigającego?

Whitey rozchylił usta. Wyglądał jak człowiek, który zapomniał, co chciał powiedzieć.

- Z pańskiego raportu wynika, sierżancie, że panna Marcus przynajmniej dwukrotnie przedłożyła ukrycie się nad ucieczkę. Najpierw schowała się w ogródkach działkowych. Potem pod mostkiem dla pieszych. Świadczy to, moim zdaniem, o dwóch okolicznościach. Po pierwsze, była szybsza od ścigającego, w przeciwnym razie nie mogłaby nawet podjąć próby ukrycia się przed nim. Po drugie, czuła, paradoksalnie, iż wyprzedzanie pościgu nic jej nie da. Niech pan to doda do zaniechania próby wybiegnięcia na powrót z parku i co to panu mówi?

Nikt nie znalazł odpowiedzi na to pytanie. W końcu przemówił Friel:

- A co to mówi tobie, Maggie?

- Oznacza to, dla mnie przynajmniej, że czuła się osaczona.

Przez chwilę wydawało się Seanowi, że powietrze w pokoju zaczęło elektryzować, jak przed burzą.

- Przez jakiś gang czy co? - zapytał w końcu Whitey.

- Czy co - powtórzyła. - Tego nie wiem. Opieram się jedynie na pańskim raporcie. Niech mnie kule biją, nie rozumiem, dlaczego ta dziewczyna, która najwyraźniej była szybsza od napastnika, nie zdecydowała się po prostu wybiec z powrotem z parku, chyba, że wiedziała, że ktoś inny odcina jej odwrót.

Whitey zwiesił głowę.

- Z całym szacunkiem, proszę pani, ale w takim razie znaleźlibyśmy na miejscu zbrodni znacznie więcej śladów.

- Pan sam w swoim raporcie kilka razy powołuje się na deszcz.

- Owszem - przyznał Whitey. - Ale gdyby Katherine Marcus ściagała banda... lub tylko choćby dwie osoby... natrafilibyśmy na znacznie więcej dowodów, niż to się udało. Przynajmniej o kilka więcej odcisków stóp, droga pani.

Maggie Marcus na powrót włożyła okulary i spojrzała na trzymany w ręku raport. W końcu powiedziała:

- To tylko mój domysł, sierżancie. Sądzę jednak, na podstawie pana własnego

raportu, że warto przyjrzeć mu się bliżej.

Whitey nadal trzymał głowę nisko zwieszoną, mimo to Sean wyczuwał pogardę, unosząc się nad jego barkami jak smród nad studzienką ściekową.

- I co pan na to, sierzancie? - zapytał Friel.

Whitey popatrzył spode łba i powiódł po zebranych zmęczonym uśmiechem.

- Będę pamiętał o tej hipotezie. Co prawda, aktywność gangów na tym terenie jest ostatnio najniższa w historii, zbadamy jednak ten domysł, obiecuję. Potem rozważymy możliwość działania dwóch sprawców, co prowadzi nas na powrót do zabójstwa na zlecenie.

- W porządku...

- Lecz jeśli sprawa tak by się miała... a zgodziliśmy się wszyscy na początku tego spotkania, że to mało prawdopodobna hipoteza... w takim razie drugi zabójca wywaliłby magazynek w chwili, gdy Katherine Marcus uderzyła jego współnika drzwiami wozu. Jediną hipotezą, jaka trzyma się kupy, jest jeden napastnik i ogarnięta paniką, pijana kobieta, być może słabnąca z upływu krwi, o zaćmionych władzach umysłowych, do tego mająca cholernego pecha.

- Ale oczywiście zachowa pan moją hipotezę w pamięci - powiedziała z kwaśnym uśmiechem Maggie Mason, utkwivszy spojrzenie w blacie stołu.

- Oczywiście - zapewnił Whitey. - W tej chwili przyjmę każdą hipotezę, przysięgam. Dziewczyna знаła zabójcę. Zgoda. Wszyscy, którzy mogli mieć jakiś motyw do popełnienia tego zabójstwa, zostali niemal co do jednego wykluczeni. Z każdą minutą tego śledztwa rośnie prawdopodobieństwo, że mamy do czynienia ze zbrodnią przypadkową. Deszcz zmył dwie trzecie śladów. Dziewczyna nie miała wrogów, żadnych finansowych tajemnic, nie była uzależniona od narkotyków, nie była też świadkiem znanego przestępstwa. Jej śmierć, o ile potrafimy stwierdzić, nie przyniosła nikomu korzyści.

- Z wyjątkiem O'Donnella - wtrącił Burke - który nie chciał, by wyjechała z miasta.

- Z tym jednym wyjątkiem - zgodził się Whitey. - Facet ma jednak solidne alibi, a nic nie wskazuje na to, by to było zabójstwo na zlecenie. Więc kto nam zostaje jako wróg? Nikt.

- A jednak dziewczyna nie żyje - podsumował Friel.

- Właśnie, dziewczyna nie żyje - zgodził się z nim Whitey. - I dlatego twierdzę, że to było zabójstwo przypadkowe. Jeśli wykluczy się motyw rabunku dla zysku, zabójstwo z miłości czy z nienawiści, niewiele już zostaje. Najwyżej jakiś pokrecony

dewiant, który założył stronę poświęconą ofierze albo coś równie durnego.

Friel uniósł brwi.

Shira Rosenthal wtrąciła dźwięcznym głosem:

- Już to sprawdzamy, szefie. Jak dotąd pudło.
- Więc nie wiecie, kogo szukacie - podsumował Friel.
- Wiemy - powiedział Whitey. - Faceta ze spluwą. I z kijem, rzecz prosta.

## Słowa, które kiedyś znał

Jimmy, którego twarz obeschła już z łez, zostawił Dave'a na ganku i wszedł do domu, by wziąć drugi tego dnia prysznic. Czuł przemożną potrzebę płaczu. Wzbierała w jego piersi niczym balon, aż zaczęło mu brakować tchu.

Zamknął się w kabinie prysznicowej, bo chciał być sam na wypadek, gdyby z jego oczu buchnęły łzy, nie te kilka kropel, które poprzednio spłynęły mu po policzkach. Naszedł go lęk, że kompletnie się rozklei, rozplacze tak jak w ciemności dziecięcej sypialni, przekonany, że swoim przyjściem na świat omal nie przyczynił się do śmierci matki i właśnie, dlatego zasłużył na nienawiść ojca.

W kabinie prysznicowej znowu ogarnęła go dobrze znana od dawna fala smutku. Odkąd sięgał pamięcią, towarzyszyła mu świadomość, że w przyszłości czyha na niego niebezpieczeństwo, nieszczęście przytłaczające niczym kamienny blok. Było tak, jakby anioł powiedział, co czeka Jimmy'ego, gdy jeszcze przebywał w łonie matki, i Jimmy przyszedł na świat ze świadomością tej przepowiedni, choć głęboko ukrytą.

Podniósł wzrok na sitko prysznicowe i powiedział bezgłośnie: W głębi duszy wiem, że to ja przyczyniłem się do śmierci mojego dziecka. Czuję to. Nie wiem tylko jak.

Cichy głos odpowiedział: Dowiesz się tego.

Powiedz mi teraz.

Nie.

Więc spadaj.

Jeszcze nie skończyłem.

Aha.

Ta wiedza przyjdzie z czasem.

I stanę się przeklęty?

To będzie zależało od ciebie.

Jimmy opuścił głowę. Pomyślał o tym, że Dave widział Katie na krótko przed jej śmiercią - żywą, pijaną i tańczącą. Tańczącą i szczęśliwą.

Ta świadomość - że kto inny, a nie on, Jimmy, miał w pamięci ostatni wizerunek radosnej Katie - pozwoliła mu w końcu zapłakać.

Ostatni raz widział córkę, gdy wychodziła ze sklepu po sobotniej zmianie. Było pięć po czwartej. Rozmawiał przez telefon z dystrybutorem firmy Frito-Lay. Składał właśnie zamówienie, więc w roztargnieniu przyjął jej pożegnanie, gdy nachyliwszy się, cmoknęła go w policzek i powiedziała:

- Do zobaczenia, tato.

- Do zobaczenia - odparł i odprowadził ją wzrokiem, gdy wychodziła drzwiami od zaplecza.

Nieprawda. Wcale za nią nie patrzył. Słyszał, jak wychodzi, ale gapił się jak sroka w gnat w fakturę leżącą przed nim na biurku.

Tak naprawdę widział ją ostatni raz, a ściśle rzecz biorąc, zerknął, gdy odsuwała wargi od jego policzka, mówiąc: „Do zobaczenia, tato”.

„Do zobaczenia, tato”.

Jimmy zdał sobie sprawę, że te słowa „do zobaczenia” - do zobaczenia tamtego wieczoru, do zobaczenia później - wywołują największy ból. Gdyby nie był taki zajęty i tamtego popołudnia poświęcił jej więcej czasu, teraz miałby w pamięci jej późniejszy obraz.

Ale to Dave'go zachował. Jak również Eve i Diane. A także morderca.

Skoro musiałaś umrzeć, monologował w duchu Jimmy, skoro było ci to pisane, chciałbym, żebyś umierała, patrząc mi w oczy. Cierpiałbym, Katie, ale przynajmniej bym wiedział, że nie czułaś się samotna w chwili śmierci.

Kocham cię. Tak bardzo cię kocham. Szczerze mówiąc, bardziej niż swoją matkę, niż twoje siostry, bardziej niż Annabeth. A przecież tak bardzo je kocham! Jednak ciebie kocham jeszcze bardziej. Kiedy po moim wyjściu z więzienia usiedliśmy razem w kuchni, byliśmy oboje godni pożałowania. Zapomniani, niechciani, samotni. Tak bardzo się baliśmy, tacy byliśmy zagubieni! A jednak stanęliśmy na nogi, prawda? Ułożyliśmy sobie życie całkiem znośnie, tak, że pewnego dnia nie musieliśmy się już dłużej lękać. Nie dokonałbym tego bez twojej pomocy. Nie dałbym rady. Nie byłem na to dość silny.

Wyrosłaś na piękną kobietę, przemawiał w duchu Jimmy. Na cudowną żonę, na wspaniałą matkę. Byłaś moją przyjaciółką, Katie. Widziałaś, jak bardzo się bałem, i nie uciekłaś. Kocham cię nad życie, córuś. Tęsknota za tobą zniszczy mnie jak rak.

Przez krótką chwilę Jimmy poczuł na plecach dłoń córki. Zapomniał o tym szczególe z ich ostatniego pożegnania. Katie oparła dłoń na jego plecach, gdy się nachylała, by pocałować go w policzek. Położyła ją płasko między jego łopatkami i tam

teraz poczuł ciepło.

Stał pod prysznicem ze wspomnieniem tego dotyku na skórze pokrytej kropelkami wody i czuł, jak opada fala wzbierającego w nim smutku. Poczul się znowu silny w swoim bólu. Kochany przez córkę.

Whitey i Sean znaleźli wolne miejsce do zaparkowania za rogiem w pobliżu domu Jimmy'ego i wrócili pieszo na Buckingham Avenue. Zrobiło się chłodno. Niebo ciemniało, stawało się granatowe. Sean zaczął się zastanawiać, co robi w tej chwili Lauren. Czy stoi przy oknie, widzi to samo niebo, czuje ten sam nadciągający chłód?

Dochodzili do piętrowego domu, w którym Jimmy wraz z rodziną mieszkał wciśnięty między zwariowanych członków rodu Savage'ów, ich żony i kochanki, gdy zobaczyli Dave'a Boyle'a. Właśnie sięgał przez otwarte drzwi od strony pasażera do zaparkowanej przed domem hondy. Włożył rękę do schowka, zatrzasnął go, po czym wynurzył się z portfelem w dłoni. Dostrzegł nadchodzących policjantów, zamykając drzwi auta i uśmiechnął się.

- To znowu wy!

- Jesteśmy jak czyrak na tyłku - zażartował Whitey. - Wciąż wyskakujemy.

- Co słyhać, Dave? - zapytał Sean.

- Niewiele zmieniło się przez ostatnie cztery godziny. Idziecie do Jimmy'ego?

Jednocześnie skinęli głowami.

- Nastąpił jakiś przełom w śledztwie? Tak to się nazywa? Sean pokręcił przecząco głową.

- Chcemy złożyć kondolencje, zapytać, jak sobie radzą.

- Teraz już nie najgorzej. Są wykończeni, jak się domyślacie. Jimmy, o ile wiem, od wczoraj się nie kładł. Annabeth zachciało się palić. Ofiarowałem się, że skoczę po fajki, i okazało się, zapomniałem portfela w samochodzie.

Podniósł do góry spuchniętą rękę, po czym szybko włożył ją do kieszeni.

Whitey wsunął obie dłonie do kieszeni, zakolysał się na obcasach i rozciągnął usta w grymasie, przypominającym uśmiech.

- To musi boleć - zauważył Sean.

- To? - Dave ponownie podniósł do góry rękę. - Prawdę mówiąc, nie za bardzo.

Sean kiwnął głową, a na jego wargach pojawił się krzywy uśmiech, podobny do grymasu Whiteya. Obaj wyczekująco patrzyli na Dave'a.

- Grałem zeszłej nocy w bilard - wyjaśnił Dave. - Wiesz, jaki mają stół u McGillsa,



Sean. Prawie w połowie dociśnięty do ściany. Trzeba używać krótkiego kija.

- Fakt - przytaknął Sean.

- Biała bila leżała tuż przy bandzie. Ta, w którą celowałem, po przeciwnej stronie stołu. Cofnąłem rękę, chcąc mocniej uderzyć, i zapomniałem o tej cholernej ścianie. Omal jej na wylot nie przebiłem.

- To dopiero! - syknął współczująco Sean.

- Udało się panu? - zapytał Whitey.

- Co?

- Uderzenie.

Dave zmarszczył czoło.

- Nie. Już do końca grałem jak noga.

- Nic dziwnego.

- Właśnie. Pechowo się złożyło, bo miałem już prawie wygraną partię.

Whitey kiwnął głową, po czym zwrócił wzrok na samochód Dave'a.

- Ma pan z nim może ten sam problem, co ja z moim?

Dave obejrzał się na hondę.

- Nigdy nie miałem z nim żadnych problemów.

- Pasek klinowy w mojej hondzie Accord poszedł po sześćdziesięciu pięciu tysiącach. To samo przydarzyło się kumplowi. Naprawa kosztuje prawie tyle, co nowy samochód. Panu się to nie przydarzyło?

- Nie - odparł Dave. - Mój chodzi idealnie. - Zerknął przez ramię na wóz. - Muszę lecieć po fajki dla Annabeth. Zobaczymy się w środku?

- Jasne - odrzekł Sean i pomachał Dave'owi, gdy zszedł z chodnika, by przejść na drugą stronę ulicy.

Whitey spojrział na hondę.

- Widzę ładny wgniot na przednim panelu.

- Nie byłem pewien, sierżancie, czy pan zauważy.

- A ta bajeczka o kiju bilardowym? - Whitey gwizdnął. - Facet trzyma kij oparty końcem o wnętrze dłoni? Do kogo ta mowa?

- Jest jednak pewien szkopuł - powiedział Sean, który, podobnie jak Whitey, odprowadzał spojrzeniem Dave'a wchodzącego do sklepu Eagle Liquors.

- Tak, superglino?

- Jeśli myśli pan, że Dave to ten sam facet, którego Souza widział na parkingu przed barem Ostatnia Kropla, to w chwili śmierci Katie Marcus rozbijał czaszkę

całkiem innej osobie.

- Tak sądzisz? Uważam, że to ten sam facet, który siedział na parkingu, kiedy Katie wyszła z baru. Ten sam, który nie wrócił do domu przed pierwszą piętnaście, jak oświadczył.

Przez szybę witryny widzieli, jak Dave rozmawia ze sprzedawcą.

- Krew, którą nasi chłopcy zdrapali z parkingu - mówił dalej Whitey - mogła pochodzić sprzed paru dni. Nie mamy żadnych dowodów na to, że zdarzyło się coś więcej niż zwykła bójka. Klienci baru powiedzieli zgodnie, że tej nocy nie było żadnej rozróby. Mogła wybuchnąć dzień wcześniej albo tego samego dnia po południu. Nie widzę żadnego powiązania między krwią z parkingu a Dave'em Boyle'em, który o pierwszej trzydziści siedzi w swoim wozie. Widzę jednak związek przyczynowy pomiędzy Dave'em Boyle'em, który siedzi w swoim wozie, a wychodzącą z baru Katie Marcus. - Poklepał Seana po ramieniu. - Chodźmy na górę.

Celeste, siedząc na łóżu Katie, słyszała kroki wchodzących po schodach policjantów. Ich ciężkie buty dudniły na sfatygowanych stopniach tuż za ścianą. Kilka minut wcześniej Annabeth poprosiła ją o przyniesienie sukienki Katie, którą Jimmy miał zawieźć do domu pogrzebowego. Annabeth wyznała Celeste, że nie czuje się na siłach, by wejść do pokoju pasierbicy. Sukienka była niebieska, z dekoltem. Celeste przypomniała sobie, że Katie włożyła ją na ślub Carli Eigen. W zaczesane do góry włosy wpięła tuż nad uchem niebiesko-żółty kwiatek. Wywołała niejedno westchnienie szczerego zachwyty. Celeste wiedziała, że ona sama nigdy nie wyglądała korzystniej niż tamtego dnia, natomiast Katie wydawała się zupełnie nieświadoma faktu, jak bardzo jest piękna. Gdy Annabeth wspomniała o niebieskiej sukience, Celeste od razu wiedziała, o którą chodzi.

Przyszła do sypialni, gdzie poprzedniej nocy Jimmy chował twarz w poduszce i wdychał zapach córki. Celeste otworzyła okna, by wywietrzyć pokój. Znalazła sukienkę w pokrowcu na ubrania zapiętym na suwak, wiszącym w głębi szafy. Wyjęła ją i przysiadła na łóżku. Słyszała odgłosy biegnącej w dole alei - trzask zamykanych drzwi samochodu, zbląkane, cichnące rozmowy przechodniów, syk otwieranych drzwi autobusu na przystanku na rogu Crescent - i patrzyła na stojącą na nocnej szafce fotografię Katie i Jimmy'ego. Zrobiono ją kilka lat temu. Katie siedziała ojcu na barana i uśmiechała się kącikami ust, bo nosiła aparat korekcyjny. Jimmy trzymał córkę za kostki nóg i patrzył w obiektyw z tym swoim zniewalającym, szczerym,

otwartym uśmiechem, który zadziwił patrzącego choćby z tego powodu, że Jimmy był człowiekiem zamkniętym w sobie.

Celeste wzięła do ręki fotografię, gdy usłyszała dobiegający z dołu głos Dave'a:

- To znowu wy.

Stopniowo drętwiała z przerażenia, przysłuchując się rozmowie męża z policjantami, a potem wymianie zdań między Seanem Devine'em i jego partnerem, kiedy Dave poszedł do sklepiku na drugą stronę ulicy, aby kupić papierosy dla Annabeth.

Przez krótką okropną chwilę bała się, że zwymiotuje na niebieską sukienkę Katie. Zgięła się wpół, usiłując powstrzymać nudności. Kilka razy z gardła wyrwał się jej urywany charkot, jednak zdołała się pohamować.

Wciąż jednak było jej niedobrze. Była oszołomiona i zdezorientowana; miała wrażenie, że jej głowa stanęła w ogniu. W jej wnętrzu zaczęły huczeć płomienie, gasząc zewnętrzne światło, napęlniając żarem zatoki nosowe i oczodoły.

Gdy Sean i jego partner wchodzili po schodach, położyła się na łóżku, marząc o tym, by trafił ją grom, oberwał się sufit lub jakaś nieznana siła porwała ją z łóżka i wyrzuciła przez okno. Wszystkie te katastrofy byłyby lepsze od tej, jaka na nią spadła. Może jednak Dave kogoś chroni? Czy widział coś, czego nie powinien był widzieć, czy ktoś mu groził? Może policjanci tylko uważali go za podejrzanego. Nie ulegało wątpliwości, że żadna z tych możliwości nie oznaczała koniecznie i bezwarunkowo, iż jej mąż zamordował Katie.

Historyjka o napadzie od początku pachniała kłamstwem. Celeste próbowała o tym nie pamiętać, stłumić tę myśl, tak jak chmury tłumią blask słońca. Choć przecież od początku, od chwili, gdy tamtej nocy Dave uraczył ją tą bajeczką, zdawała sobie sprawę, że bandyci nie zadają ciosu jedną ręką, gdy w drugiej trzymają nóż, i nie mówią: „Forsa albo życie, koleś. Jedno albo drugie”. Na ogół też mężczyźni tacy jak Dave, którzy od czasów szkoły podstawowej nie brali udziału w bójkach, nie potrafią stanąć do walki z bandytami.

Gdyby Jimmy przyszedł do domu z podobną opowieścią... A to całkiem inna historia. Jimmy, choć szczupłej budowy, mógłby zabić. Wyglądał jak mężczyzna, który potrafi walczyć, ale nie chce wdawać się w bójki, bo nie jest to mu do niczego potrzebne. Nadal jednak wyczuwało się, że może okazać się groźny.

Co innego Dave, mężczyzna tajemniczy, w którego posępnym umyśle pracowały mroczne tryby, a nieruchome spojrzenie broniło dostępu tam, gdzie toczyło się

sekretne życie wyobraźni. Celeste już od ośmiu lat była żoną Dave'a i wciąż miała nadzieję, że jego wewnętrzny świat w końcu się przed nią otworzy. Jednak się nie otworzył. Dave żył raczej tam w górze, w świecie swojej głowy, niż tu w dole, w świecie innych ludzi. Może zresztą te dwa światy wzajemnie się przenikały i ciemność z głowy Dave'a rozlewała się mrokiem po ulicach East Buckingham.

Czy mógł zamordować Katie?

Przecież zawsze ją lubił.

Zresztą czy Dave... jej mąż... jest zdolny do morderstwa? Do tego, by ścigać córkę starego przyjaciela w ciemnym parku, zmasakrować ją, słuchać jej krzyku i błagań? Do wpakowania jej kuli w tył głowy?

Wobec niepodważalnego faktu należało przyjąć, że ktoś jednak okazał się zdolny do takiego czynu. Czy wobec tego można założyć, że tym kimś mógłby okazać się Dave?

Istotnie, rozmyślała Celeste, jej mąż żył w swoim tajemniczym świecie. Prawdopodobnie nigdy nie pozbiarał się po krzywdzie, jaką mu wyrządzono, gdy był chłopcem. Tak, skłamał w sprawie rzekomego napadu, ale może to kłamstwo da się wytłumaczyć racjonalnymi powodami?

Na przykład jakimi?

Katie została zamordowana w Pen Park niedługo po wyjściu z baru Ostatnia Kropla. Dave utrzymywał, że poturbował napastnika na parkingu przed tym właśnie barem. Twierdził, że zostawił go nieprzytomnego, ale nikt tego pobitego nie znalazł. Ci dwaj policjanci wspomnieli o śladach krwi znalezionych na parkingu. Może Dave mówił prawdę? Być może...

Celeste uporczywie wracała do chronologii wydarzeń tamtej nocy. Dave powiedział jej, że był w barze Ostatnia Kropla. Najwyraźniej skłamał w tej sprawie policji. Katie została zamordowana między drugą a trzecią w nocy. Dave wrócił do domu dziesięć po trzeciej, zalany cudzą krwią, i opowiedział mało przekonującą historyjkę, tłumacząc, skąd się wzięła.

A najbardziej jaskrawa zbieżność faktów to: Katie została zamordowana, Dave wrócił do domu zakrwawiony.

Gdyby nie była jego żoną, czy w ogóle podawałaby w wątpliwość nasuwające się wnioski?

Pochyliła się, ponownie walcząc z nudnościami i usiłując uciszyć głos, który powtarzał w jej głowie świrdującym szeptem: Dave zamordował Katie. Panie Boże,

ratuj! Dave zamordował Katie.

O Chryste! Dave zamordował Katie, a ja chciałabym umrzeć.

- Skreśliliście Bobby'ego i Romana z listy podejrzanych? - spytał Jimmy.

Sean pokręcił głową.

- Nie do końca. Nie wykluczamy, że mogli wynająć mordercę.

- Widzę po waszych twarzach - wtrąciła Annabeth - że nie uważacie tego za prawdopodobne.

- Istotnie, pani Marcus, raczej nie.

- Więc kogo podejrzewacie? - zapytał Jimmy. - Wszystkich?

Whitey i Sean spojrzeli po sobie. Tymczasem do kuchni wszedł Dave, zdjął celofanowe opakowanie z paczki papierosów i podał ją Annabeth.

- Proszę, Anno.

- Dzięki. - Trochę zawstydzona popatrzyła na męża. - Po prostu poczułam potrzebę, kochanie.

Uśmiechnął się czule i pogładził jej dłoń.

- Rób, na cokolwiek masz teraz ochotę, skarbie.

Annabeth zwróciła się do obu policjantów, zapalając papierosa.

- Rzuciłam dziesięć lat temu.

- Ja też - powiedział Sean. - Mogę się poczęstować?

Roześmiała się, a Jimmy pomyślał, że ten śmiech to chyba pierwszy piękny dźwięk, jaki usłyszał od blisko doby. Dostrzegł uśmiech na twarzy Seana, gdy brał papierosa od jego żony, i miał ochotę podziękować mu za to, że zdołał ją rozbawić.

- Niegrzeczny z pana chłopiec, panie policjancie. - Przypaliła mu papierosa.

Sean zaciągnął się głęboko.

- Już mi to mówiono.

- Jeśli mnie pamięć nie myli, w ubiegłym tygodniu słowa te padły z ust jego dowódcy - dodał Whitey.

- Naprawdę? - Annabeth spojrzała na Seana z żywym zainteresowaniem, należała bowiem do tych nielicznych osób, które lubią nie tylko mówić, ale i słuchać.

Sean uśmiechnął się jeszcze szerzej. Dave usiadł, a Jimmy poczuł, że atmosfera w kuchni staje się nieco lżejsza.

- Właśnie skończyło mi się zawieszenie - przyznał Sean. - Wczoraj byłem w pracy po raz pierwszy.

- Co przeskrobałeś? - zapytał Jimmy, pochylając się nad stołem.
- To ściśle tajne - odparł Sean.
- Sierżancie Powers? - Annabeth zwróciła się do Whiteya.
- No cóż, obecny tu funkcjonariusz Devine...

Sean zerknął na kolegę.

- Ja też miałbym to i owo do opowiedzenia na pański temat.
- Trafna uwaga - przyznał Whitey. - Proszę więc darować, pani Marcus, ale...
- Och, dajcie spokój!
- Niestety, nie mogę. Ogromnie mi przykro.

- Sean - odezwał się Jimmy, a gdy Devine zwrócił na niego wzrok, spróbował przekazać mu spojrzeniem, że tak jest dobrze, że tego właśnie w tej chwili potrzebowali - oddechu, swobodnej pogawędki, która nie miała nic wspólnego z morderstwami, domami pogrzebowymi i żałobą.

Twarz Seana złagodniała, niemal upodobniła się do twarzy jedenastolatka, jakim był kiedyś. Kiwnął lekko głową. Następnie zwrócił się do Annabeth:

- Wrobiłem pewnego faceta w lipne mandaty.
- Jak to? - Annabeth pochyliła się, otwierając szeroko oczy ze zdziwienia.

Sean odchylił głowę, zaciągnął się głęboko i wypuścił dym w sufit.

- Jest pewien gość, którego serdecznie nie cierpię, nieważne dlaczego. Raz na miesiąc wrzucałem numer jego wozu do bazy danych pojazdów nieprawidłowo zaparkowanych. Podawałem różne powody: a to, że parkował pod parkometrem bez opłaty, a to, że w strefie zakazu parkowania, i temu podobne. No i facet trafił do systemu, choć nie miał o tym pojęcia.

- Ponieważ nigdy nie dostał mandatu - połapała się Annabeth.

- Właśnie. Co trzy tygodnie dopisywali mu pięć dolców za zwłokę w zapłacie grzywny. Należności rosły, aż któregoś dnia dostał wezwanie do sądu.

- I dowiedział się - wtrącił Whitey - że jest winien tysiąc dwieście dolarów.

- Tysiąc sto - sprostował Sean. - Facet tłumaczył, że nigdy nie dostał mandatu, ale sąd nie dał mu wiary. Podsądni zawsze tak mówią. Znalazł się w komputerze, a komputery nie kłamią.

- Super! - ucieszył się Dave. - Często się tak zabawiasz?

- Ależ skąd! - obruszył się Sean. Annabeth i Jimmy parsknęli śmiechem. - Wcale nie tak często, Davidzie.

- Nazwał cię „Davidem” - przestrzegł Jimmy. - Uważaj!

- Wyciąłem ten numer tylko ten jeden raz i jednemu facetowi.

- Dlaczego wpadłeś?

- Jego ciotka pracowała w rejestrze pojazdów - odpowiedział Whitey. - Dacie wiarę?

- Coś podobnego! - zawołała Annabeth.

Sean pokiwał głową.

- Facet zapłacił karę, ale potem poprosił o pomoc ciotkę. Kobieta dotarła po nitce do kłębka do mojej jednostki, a ponieważ miałem już w przeszłości różne sprawy ze wspomnianym gościem, komendant bez trudu powiązał motyw z możliwościami, zawęził grono podejrzanych, no i wpadłem.

- Miałeś duże przykrości? - zapytał Jimmy.

- Ogromne - westchnął Sean. - Tym razem roześmiała się cała czwórka słuchaczy.

- Ogromne przykrości. - Sean dostrzegł blask aprobaty w oczach Jimmy'ego i sam się roześmiał.

- Biedny Devine nie ma w tym roku udanego sezonu - zauważył Whitey.

- Na szczęście, prasa się do pana nie dobrała - powiedziała Annabeth.

- Och, potrafimy sobie radzić - pochwalił się Whitey. - Natarliśmy facetowi uszu. Ciotka z rejestru pojazdów zdołała jedynie zlokalizować jednostkę, skąd pochodziły mandaty, ale nie dotarła do samego winowajcy. Na co to zwaliliśmy winę?

- Na przejściowe zakłócenia komputera - dopowiedział Sean. - Komendant polecił mi zwrócić poszkodowanemu całą kwotę, zawiesił mnie na tydzień i wyznaczył mi trzymiesięczny okres próbny. Mogło być gorzej.

- Mogli biedaka zdegradować - wtrącił Whitey.

- Dlaczego tego nie zrobili? - zapytał Jimmy.

Sean zdusił niedopałek w popielniczce i rozprostował ramiona.

- Bo jestem supergliną. Nie czytasz gazet, Jim?

- Ten pyszałek próbuje wam powiedzieć - wyjaśnił Whitey - że rozpracował w ostatnich kilku miesiącach parę poważnych spraw. Gagatek ma najwyższy współczynnik wykrywalności w moim wydziale. Poczekamy, aż średnia mu spadnie i wtedy go wylejemy.

- Chodzi o przypadek piractwa drogowego - wtrącił Dave. - Czytałem o tym w gazecie.

- Widzisz? Dave o mnie czyta - zwrócił się Sean do Jimmy'ego.

- Szkoda, że nie wybiera podręczników do gry w bilard - zauważył z uśmiechem

Whitey. - Jak tam pańska ręka?

Jimmy zerknął na Dave'a i złowił jego spojrzenie w chwili, gdy odwracał wzrok. Czuł wyraźnie, że gliniarz prowokuje Dave'a, bierze go pod włos. Jimmy w swoim czasie nasłuchiwał się dość takiej gadki, znał ten ton. Zdał sobie sprawę, że policjant nabija się z Dave'a z powodu spuchniętej ręki. Tylko o co mu chodziło z tym bilardem?

Dave otwierał już usta, żeby odpowiedzieć, gdy raptem zamarł z oczami wlepionymi w przestrzeń za plecami Seana. Jimmy pobiegł spojrzeniem w tamtym kierunku i zmartwił.

Sean obejrzał się. Celeste Boyle trzymała przed sobą wieszak z ciemnoniebieską sukienką w taki sposób, jakby była w nią ubrana.

Dostrzegła wyraz twarzy Jimmy'ego i powiedziała pospiesznie:

- Zaniosę ją do domu pogrzebowego.

Jimmy wyglądał jak człowiek, który zapomniał, jak się poruszać.

- Nie musisz - odezwała się Annabeth.

- Ale chcę - odrzekła Celeste. - Naprawdę. - Zaśmiała się krótko. - Chętnie ją zaniosę. Wyrwę się stąd na chwilę. Zrobię to z przyjemnością, Anno.

- Jesteś pewna? - zapytał chrapliwym głosem Jimmy.

- Najzupełniej.

Sean nie mógł sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widział kogoś, kto tak rozpaczliwie pragnąłby czym prędzej czmychnąć. Wstał i z wyciągniętą ręką podszedł do Celeste Boyle.

- Sean Devine. Spotkaliśmy się już kilka razy.

- Rzeczywiście. - Dłoń Celeste była mokra od potu.

- Strzygłaś mnie kiedyś - przypomniał.

- Pamiętam.

- No cóż... - zawiesił głos.

- Cóż.

- Nie chcę cię zatrzymywać.

Celeste po raz drugi parsknęła dziwacznym, niepokojącym śmiechem.

- Nic nie szkodzi. Miło cię było widzieć. Muszę pędzić.

- No to hej.

- Hej.

- Hej, kochanie - powiedział Dave, a Celeste szybkim krokiem ruszyła w stronę



drzwi wyjściowych, jakby wyczuła gaz ulatniający się w mieszkaniu.

- Psiakrew - mruknął Sean i zerknął przez ramię na Whiteya.
- Co się stało? - zapytał Powers.
- Zostawiłem notes w radiowozie.
- To go przynieś.

Idąc korytarzem, Sean usłyszał za plecami pytanie Dave'a:

- Nie mógł wziąć kartki z pańskiego notesu?

Nie słyszał, co odpowiedział Whitey, bo już był za drzwiami i zbiegał po schodach. Wyszedł na ganek w chwili, gdy Celeste podchodziła do samochodu. Otworzyła drzwi, po czym ostrożnie ułożyła sukienkę na tylnym siedzeniu. Zamykając drzwi, spojrzała nad dachem auta i zobaczyła schodzącego po schodach Seana. Jej twarz wykrzywił grymas przerażenia - wyglądała jak ktoś, kogo za chwilę ma przejechać autobus.

Sean mógł postąpić delikatnie lub bezceremonialnie. Rzut oka na twarz Celeste wystarczył, by zrozumiał, że musi grać w otwarte karty. Powinien ją przycisnąć, póki jest tak bardzo wytrącona z równowagi, niezależnie od przyczyny tego stanu.

- Celeste - zawołał - chciałbym ci zadać tylko jedno pytanie.
- Mnie?

Potaknął, podszedł do samochodu i położył dłonie na krawędzi dachu.

- O której Dave wrócił w sobotę do domu?
- Słucham?

Powtórzył pytanie, nie odrywając wzroku od jej twarzy.

- Dlaczego interesuje cię, co Dave robił sobotniej nocy?

- Chodzi o drobiazg. Zadaliśmy mu dziś kilka pytań, ponieważ był u McGillsa w tym samym czasie co Katie. Niektóre odpowiedzi przeczą jedna drugiej, co zaniepokoiło mojego partnera. Co do mnie, przypuszczam, że Dave strzelił sobie po prostu tamtej nocy kilka lufek za dużo i nie pamięta niektórych szczegółów, ale mój partner jest bardzo podejrzliwy. Dlatego muszę wiedzieć, o której godzinie Dave wrócił, żebyśmy mogli skoncentrować się na szukaniu prawdziwego zabójcy Katie.

- Podejrzewacie, że zrobił to Dave?

Sean odsunął się od samochodu i popatrzył na Celeste.

- Niczego takiego nie powiedziałem. Dlaczego przyszło ci to do głowy?
- Pojęcia nie mam.
- Ale to powiedziałaś.
- Słucham? O czym my właściwie rozmawiamy? Jestem już zupełnie skołowana.

Uśmiechnął się do niej serdecznie, by dodać jej otuchy.

- Im prędzej się dowiem, o której Dave wrócił do domu, tym szybciej przekonam mojego partnera, by zajął się czymś innym niż nieścisłościami w zeznaniach twojego męża.

Wyglądała tak, jakby miała ochotę rzucić się pod koła przejeżdżających za nią samochodów. Była najwyraźniej zagubiona i zmieszana, co sprawiło, że Sean poczuł dla niej współczucie takie samo, jakie czasem wzbudzał w nim Dave.

- Celeste - rzekł, świadom, że Whitey nie zaliczyłby mu okresu próbnego, gdyby usłyszał, co za chwilę powie - nie wierzę, że Dave popełnił coś niegodziwego, przysięgam. Jednak mój partner tak uważa, a jest starszy ode mnie stopniem. To on decyduje, w jakim kierunku potoczy się śledztwo. Jeśli mi powiesz, o której Dave wrócił do domu, będziemy mieli to za sobą. I damy Dave'owi spokój.

- Przecież widziano samochód.

- Słucham?

- Słyszałam waszą wcześniejszą rozmowę. Ktoś widział samochód zaparkowany przed barem Ostatnia Kropla tej nocy, podczas której zamordowano Katie. Twój partner sądzi, że to zrobił Dave.

Psiakrew! Nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Mój partner chce mu się tylko lepiej przyjrzeć, to wszystko. Jeszcze nie wytypowaliśmy podejrzanego, Celeste. Rozumiesz? Wiemy tylko tyle, że w zeznaniach Dave'a są luki. Gdy je wypełnimy, sprawa będzie zakończona. Koniec kłopotów.

Został napadnięty, miała ochotę powiedzieć. Przyszedł do domu cały we krwi, ale to dlatego, że ktoś go napadł. Dave tego nie zrobił. Nawet gdy nachodzą mnie wątpliwości, w głębi duszy wiem, że Dave nie mógł popełnić morderstwa. Kocham go. Jest moim mężem. Nie wyszłabym przecież za mordercę, ty przeklęty glino.

Spróbowała sobie przypomnieć, jaką zaplanowała taktykę, aby zachować spokój, gdy przyjedzie policja i zacznie ją przesłuchiwać. Tamtej nocy, gdy prała zakrwawione ubranie Dave'a, była przekonana, że wymyśliła dobry i skuteczny plan działania. Wtedy jednak nie wiedziała, że Katie zamordowano i że policja będzie ją przesłuchiwać, badając związek Dave'a ze śmiercią dziewczyny. Jak mogła to przewidzieć? Detektyw, który z nią rozmawia, jest grzeczny, pewny siebie i miły. W niczym nie przypomina brzuchatych, przepitych, szpakowatych gburów, z jakimi spodziewała się mieć do czynienia. Na dodatek to dawny kolega Dave'a, który opowiadał jej, że to właśnie on, Sean Devine, bawił się wtedy na ulicy z nim i Jimmym

Marcusem, kiedy Dave został porwany. I oto wyrósł na wysokiego, inteligentnego, przystojnego mężczyznę o głosie, którego można by słuchać od rana do wieczora, i oczach, które zdawały się ją powoli rozbierać.

Boże drogi! Jak miała sobie z tym poradzić? Potrzebowała czasu, żeby wszystko w spokoju przemyśleć i racjonalnie ocenić sytuację. Nie chciała, by sukienka zabitej dziewczyny przyglądała się jej z tylnego siedzenia, a z drugiej strony wozu gliniarz obrzucał ją pożądlivym spojrzeniem.

- Spałam - powiedziała.

- Co takiego?

- Spałam - powtórzyła. - Wtedy, w sobotę w nocy, kiedy Dave wrócił do domu, ja już spałam.

Kiwnął głową. Znowu oparł się dłońmi o dach samochodu. Wyglądał na usatysfakcjonowanego, na gliniarza, któremu odpowiedziano na wszystkie pytania. Nagle przypomniała sobie, że miał wyjątkowo grube włosy i pasemka koloru tofików na ciemieniu wśród włosów jasno-kasztanowych. Wtedy, kiedy go strzygła, pomyślała, że na pewno nie grozi mu wyłysienie.

- Celeste - powiedział tym swoim przytłumionym, miękkim głosem - myślę, że się boisz.

Poczula się tak, jakby wokół jej serca zacisnęła się brudna dłoń.

- Myślę, że się boisz, i podejrzewam, że coś wiesz. Chcę, byś wiedziała, że jestem po twojej stronie. I po stronie Dave'a. Ale bardziej po twojej, bo ty, jak już wspomniałem, czegoś się boisz.

- Nieprawda - zdołała wykrztusić i otworzyła drzwi.

- Owszem, boisz się - powtórzył i odsunął się od samochodu. Celeste wsiadła i odjechała aleją.

## Kim chcieli zostać

Kiedy Sean wrócił na górę do mieszkania, Jimmy rozmawiał właśnie w korytarzu przez telefon bezprzewodowy.

- Dobrze, będę pamiętał o zdjęciach - powiedział. - Dziękuję.

Rozłączył się i spojrzał na Seana.

- Dom Pogrzebowy Reeda - wyjaśnił. - Odebrali ciało z zakładu medycyny sądowej. Mogę już przywieźć rzeczy. - Wzruszył ramionami. - No wiesz, żeby ubrać zwłoki, o to chodzi.

Sean skinął głową.

- Znalazłeś swój notes?

Devine poklepał się po kieszeni.

- Tak.

Jimmy uderzył kilka razy po udzie słuchawką telefonu.

- Dobra, chyba lepiej od razu do nich pojedę.

- Powinieneś się chyba najpierw trochę przespać, stary.

- Nie ma potrzeby, czuję się dobrze.

- Jak uważasz - odparł Sean i wyminął Jimmy'ego.

- Słuchaj, czy mógłbym cię prosić o małą przysługę? Sean zatrzymał się.

- Oczywiście.

- Dave niedługo będzie musiał odwiedzić Michaela do domu. Nie wiem, co planowałaś na dziś, ale miałem nadzieję, że posiedzisz trochę z moją żoną, dopóki nie wróci Celeste. Nie chcę, żeby została sama, rozumiesz. Val i jego bracia poszli z dziewczynkami do kina, w domu nikogo nie ma, a wiem, że Annabeth nie chciałaby teraz jechać do zakładu pogrzebowego, więc po prostu... pomyślałem, że...

- Nie mam nic przeciwko temu. Muszę tylko zapytać sierżanta, choć służbę skończyliśmy parę godzin temu. Pogadam z nim, dobra?

- Będę ci wdzięczny.

- Nie ma za co. - Sean ruszył w stronę kuchni, ale po chwili zatrzymał się i odwrócił do Jimmy'ego. - Słuchaj, stary, muszę cię o coś zapytać.

- Tak? - Jimmy przybrał tę swoją czujną minę byłego więźnia.  
- Parę osób zeznało, że miałeś jakiś problem z chłopakiem, o którym wspomniałeś dziś rano, z Brendanem Harrisem.

- Po prostu za nim nie przepadam.  
- Czemu?  
- Właściwie nie wiem. - Jimmy włożył słuchawkę do kieszeni spodni. - Niektórzy ludzie po prostu człowiekowi nie pasują.

Sean podszedł bliżej i położył rękę na ramieniu Jimmy'ego.  
- On i Katie chodzili ze sobą. Mieli zamiar razem uciec.  
- Gówno prawda - mruknął Jimmy, wbijając wzrok w podłogę.  
- W jej plecaku znaleźliśmy przewodniki po Vegas. Wykonaliśmy parę telefonów i odkryliśmy, że dokonali rezerwacji na oba nazwiska na lot TWA. Brendan Harris to potwierdził.

Jimmy strząsnął z ramienia dłoń kolegi.  
- To on ją zabił?  
- Nie.  
- Na sto procent?  
- Prawie. Przeszedł bez wpadki testy na wykrywaczu kłamstw. Poza tym, chłopak nie pasuje mi jako typ. Wygląda na to, że naprawdę kochał twoją córkę.

- Pieprzenie.  
Sean oparł się plecami o ścianę i czekał, aż Jimmy pogodzi się z nowiną.  
- Chcieli uciec?  
- Tak. Zdaniem Brendana Harrisa i obu przyjaciółek Katie byłeś przeciwny ich spotkaniom. Nie rozumiem tylko dlaczego. Chłopak sprawia na mnie wrażenie przyzwoitego. Jest może trochę ograniczony, ale wydaje się uczciwy i naprawdę miły. Jestem zaskoczony.

- Ty jesteś zaskoczony? - Jimmy zaśmiał się. - Dowiedziałem się właśnie, że moja córka... która, jak może wiesz, nie żyje... planowała ucieczkę, a ty...

- W porządku. - Sean zniżył głos do szeptu, w nadziei, że Jimmy także się wyciszy, bo wyglądał na mocno wzburzonego, niemal tak jak poprzedniego popołudnia pod ekranem kina. - Jestem po prostu ciekawy, stary... dlaczego nie chciałeś, by twoja córka się z nim spotykała?

Jimmy oparł się o ścianę obok Seana. Zrobił kilka głębokich wdechów, bardzo powoli wypuszczając powietrze.

- Znałem jego ojca. Nazywali go Just Ray\*.

- Był sędzią?

Jimmy pokręcił przecząco głową.

- W tamtych czasach tylu chłopaków w tej dzielnicy miało na imię Ray... Stuknięty Ray Bucheck, Świr Ray Dorian i Ray Świstak Lane... że Rayowi Harrisowi został tylko ten Just Ray, bo wszystkie lepsze ksywki były już zajęte. - Wzruszył ramionami. - Nigdy faceta zbytnio nie lubiłem. Potem porzucił żonę, kiedy chodziła w ciąży z tym głuchoniemym, a Brendan miał zaledwie sześć lat, więc sam nie wiem, pomyślałem chyba, że niedaleko pada jabłko od jabłoni. Dlatego nie chciałem, żeby spotykał się z moją Katie.

Sean kiwnął głową, choć nie uwierzył w to wyjaśnienie.

Zwrócił uwagę na to, w jaki sposób Jimmy powiedział, że nigdy tamtego faceta nie lubił; głos mu lekko drgnął. Sean nasłuchiwał się w życiu dość kłamstw, by rozpoznać, kiedy ktoś kłamie, choćby nawet brzmiało to przekonująco.

- Więc to dlatego? - zapytał. - To jedyny powód?

- Jedyny - odrzekł Jimmy i odszedł korytarzem.

- Myślę, że to dobry pomysł - powiedział Whitey, gdy wraz z Seanem stał przed domem Marcusów. - Przyklej się na jakiś czas do tej rodziny. Zobaczymy, może zdołasz coś wywęszyć. A przy okazji, co powiedziałaś żonie Boyle'a?

- Że wygląda na wystraszoną.

- Potwierdziła jego alibi?

Sean pokręcił przecząco głową.

- Powiedziała, że wtedy spała.

- Uważasz, że się bała?

Sean zerknął na okna domu Marcusów, potem spojrzał wymownie na Whiteya i wskazał głową w górę ulicy. Powers ruszył za nim.

- Słyszała, jak rozmawialiśmy o samochodzie.

- O, cholera! Jeśli powie mężowi, facet gotów prysnąć.

- Dokąd? Był jedynakiem, matka mu zmarła, mało zarabia, nie ma zbyt wielu przyjaciół. Mało prawdopodobne, by uciekł za granicę i spróbował urządzać się, na przykład, w Urugwaju.

---

\* Czyli Ray Sprawiedliwy lub po prostu Ray.

- Co nie znaczy, że nie istnieje ryzyko ucieczki.  
- Sierzancie, nie mamy niczego, najmniejszego śladu czy dowodu, żeby go oskarżyć.

Whitey cofnął się o krok i przyjrzał się podejrzliwie Seanowi w świetle latarni.

- Chcesz mnie zbajerować, superglino?  
- Facet mi zwyczajnie do tego nie pasuje. Po pierwsze: brak motywów.  
- Jego alibi jest gównie warte, panie Devine. W zeznaniach jest tyle dziur, że gdyby były łodzią, leżałyby już na dnie oceanu. Powiedziałaś, że jego żona się boi. Nie jest zaniepokojona, ale się boi.

- Coś ukrywa, to pewne.

- Naprawdę uważasz, że spała, gdy wrócił do domu?

Oczami wyobraźni Sean ujrzał małego Dave'a, jak płacząc, wsiada do brązowego samochodu. Zobaczył jego ciemną sylwetkę na tylnym siedzeniu, gdy wóz skręcał za róg ulicy. Miał ochotę mocno uderzyć głową w ścianę, by wybić z niej raz na zawsze ten przeklęty obraz.

- Nie, myślę, że wie, o której wrócił. Podśluchała naszą rozmowę i dowiedziała się, że był tamtej nocy w Ostatniej Kropli. Obraca teraz w głowie te wszystkie wiadomości i próbuje złożyć je do kupy.

- Myślisz, że boi się właśnie wniosków, do jakich może dojść?

- Może. Nie wiem. - Sean kopnął kamyczek leżący pod ścianą domu. - Wyczuwam...

- Tak?

- ...że fragmenty układanki zahaczają o siebie, ale nie pasują. Mam wrażenie, że umyka nam coś ważnego.

- Naprawdę myślisz, że Boyle jest niewinny?

- Stanowczo tego nie wykluczam. Brałbym go pod uwagę, gdybym potrafił wymyślić sensowny motyw.

Whitey cofnął się o krok, podniósł nogę i oparł obcas o słup latarni. Popatrzył na Seana tak jak na świadków, których wiarygodności przed sądem nie był całkiem pewien.

- Zgoda - rzekł. - Brak motywu i mnie niepokoi. Choć nie aż tak bardzo, stary. Nie aż tak bardzo. Myślę, że jest coś, co go z tą sprawą łączy. Inaczej po cholere by nas okłamywał?

- Daj spokój, sierzancie - uśmiechnął się Sean. - Taka robota. Ludzie okłamują nas po prostu dla sportu. Zna pan kwartał wokół Ostatniej Kropli? Odchodzi tam w nocy

niezły handelek. Kurewki, transwestyci, różne gnojki kręcą się w tym rejonie. Może Dave był z jakąś lalunią i nie chciał, żeby żona się dowiedziała? Może ma kochankę gdzieś na boku? Cholera wie. Jak na razie, nic go nie łączy z morderstwem Katie Marcus.

- Nic, poza toną kitu, jaki nam wciska, i moim przecuciem, że facet jest umaczany.

- Pańskim przecuciem - parsknął ironicznie Sean.

- Zauważ. - Whitey zaczął odliczać na palcach. - Skłamał, jeśli chodzi o godzinę, o której wyszedł od McGillsa. Rozminął się z prawdą, podając porę powrotu do domu. Parkował przed Ostatnią Kroplą, kiedy ofiara opuściła lokal. Był w dwóch tych samych barach co ona, ale próbuje to ukryć. Ma opuchniętą rękę i w kretyński sposób wyjaśnia, jak się tej kontuzji nabawił. Znał ofiarę, a wiemy już, że sprawca również ją znał. Jak ulał pasuje do wizerunku przeciętnego zabójcy na tle seksualnym: jest biały, po trzydziestce, kiepsko mu się powodzi, na dodatek był molestowany jako dziecko. Kpisz ze mnie? Właściwie gość już powinien siedzieć.

- Sam pan przecież powiedział: był w dzieciństwie molestowany, a Katherine Marcus nie została wykorzystana seksualnie. To się nie trzyma kupy, sierzancie.

- Może tylko się na nią spuścił.

- Nie znaleźliśmy śladów nasienia.

- Padało.

- Nie w miejscu, gdzie znaleziono ciało. W zabójstwie na tle seksualnym wytrysk nasienia należy do reguły, w dziewięćdziesięciu dziewięciu koma dziewięć dziesiątych przypadków. A tu co?

Whitey zwiesił głowę i zaczął uderzać dłońmi w postument latarni.

- Przyjaźniłeś się z ojcem ofiary i potencjalnego podejrzanego, kiedy byliście...

- Och, niech pan da spokój.

- ...dziećmi. Nie zaprzeczaj. Jesteś osobiście zaangażowany w tę sprawę.

- Ja?! - Sean zniżył głos i opuścił rękę. - Nie zgadzam się jedynie z panem co do osobowości podejrzanego. Nie mówię, że jeśli dopadniemy Dave'a Boyle'a z istotniejszego powodu niż te kilka niekonsekwencji w jego zeznaniach, nie pomogę go panu przyskrzynić. Dobrze pan wie, że tak będzie. Jeśli pójdzie pan do prokuratora okręgowego z tym, co dotąd mamy, to co on zrobi, jak się panu zdaje?

Whitey mocniej uderzył dłońmi o słup latarni.

- Słucham - nalegał Sean - jak zachowa się prokurator okręgowy?



Whitey podniósł ramiona nad głowę, przeciągnął się i ziewnął. Napotkawszy spojrzenie Seana, zmarszczył brwi.

- Jeden zero dla ciebie. Dowiedz się jednak - podniósł palec - ty cholerny prawniku za dychę, że zamierzam odszukać kij, którym on ją bił, albo spluwę czy też zakrwawione ubranie. A gdy znajdę, przyskrzynię twojego przyjaciela.

- Dave nie jest moim przyjacielem - sprostował Sean. - Przecież pan wie, co będzie, jeśli się okaże, że ma pan rację, sierzancie. Pierwszy założę mu kajdanki.

Whitey oderwał się od latarni i podszedł do Seana.

- Tylko nie pokpij tej sprawy, Devine. Inaczej mnie też skompromitujesz, a wtedy cię załatwię. Zapewnię ci przeniesienie do Berkshires, gdzie będziesz łapał na radar pieprzone skutery śnieżne.

Sean przesunął dłońmi po twarzy i przeczesał palcami włosy, usiłując pozbyć się zmęczenia.

- Wyniki badań balistycznych powinny już być gotowe - zauważył.

Whitey cofnął się o krok.

- Wiem, właśnie się tam wybieram. Laboratoryjne wyniki odcisków też już zapewne są w komputerze. Obejrzę je sobie. Mam nadzieję, że dopisze nam szczęście. Masz ze sobą komórkę?

Sean poklepał się po kieszeni.

- Tak.

- Później do ciebie zadzwonię. - Whitey obrócił się na pięcie i ruszył Crescent w stronę radiowozu. Sean miał wrażenie, że przesiąkł atmosferą jego rozczarowania i podejrzliwości. Naraz okres próbny wydał mu się o wiele dotkliwszy niż jeszcze dziś rano.

Zawrócił Buckingham Avenue w stronę domu Jimmy'ego. Schodami frontowymi schodzili właśnie Dave i Michael.

- Idziecie do domu? Dave zatrzymał się.

- Tak. Nie rozumiem, dlaczego Celeste po nas nie wróciła.

- Jestem pewien, że nic jej się nie stało.

- Wiem. Tyle że teraz musimy iść na piechotę.

Sean roześmiał się.

- A ile to przecznic, pięć?

Dave uśmiechnął się blado.

- Prawie sześć, stary, prawie sześć.

- Więc lepiej idźcie, póki jeszcze jest jasno. Trzymaj się, Mike.
- Cześć - powiedział Michael.
- Serwus - pożegnał się Dave.

Zostawili Seana koło schodów. Dave posuwał się nieco chwiejnym krokiem po tych wszystkich piwach, jakie wydudlił u Jimmy'ego. Jeśli to zrobiłeś, Dave, pomyślał Sean, lepiej przestań już od dziś zalewać pałę. Będziesz potrzebował wszystkich szarych komórek, kiedy Whitey i ja dobierzemy ci się do skóry. Wszystkich pieprzonych szarych komórek.

Mimo nocnej godziny kanał Pen polśniewał srebrzyście. Choć słońce już zaszło, na niebie jaśniał blask zorzy. Wierzchołki drzew stały się czarne, a ekran kina przypominał gęstą plamę cienia. Celeste siedziała w samochodzie od strony Shawmut i spoglądała z wysoka na kanał, park i dzielnicę East Bucky, która wznosiła się za nim niczym góra śmieci. Flats niemal całkiem zasłaniał park, były widoczne jedynie pojedyncze wieże oraz dachy wyższych budynków. Natomiast domy w Point spoglądały na uboższą dzielnicę z góry, z wysokości swych brukowanych, rozfalowanych wzgórz.

Celeste nie pamiętała, jak się tu znalazła. Niebieską sukienkę wręczyła jednemu z synów Bruce'a Reeda. Chłopak był wystrojony w czarny żałobny garnitur, ale policzki miał tak gładko wygolone, a oczy tak dziecinne, że wyglądał raczej jak uczeń, wybierający się na szkolny bal. Celeste wybiegła z domu pogrzebowego i oprzytomniała dopiero wtedy, gdy wjechała na teren od dawna nieczynnej huty Isaaka. Jechała obok olbrzymich jak hangary hal i zatrzymała się na końcu placu, kiedy zderzak wozu stuknął o stertę zardzewiałych szyn. Jej spojrzenie pobiegło za leniwym nurtem kanału, płynącego w stronę śluz portowych.

Odkąd podsłuchiwała, jak dwaj policjanci rozmawiają o samochodzie Dave'a - ich samochodzie, tym, w którym właśnie siedziała - czuła się jak pijana. Nie była jednak w przyjemny sposób rozluźniona i beztroska. Miała wrażenie, że przez całą noc piła tani alkohol, a rano obudziła się z ciężką głową, półprzytomna, ze sztywnym językiem, nasyciona trucizną. Wciąż ogłupiała, oszołomiona, niezdolna do koncentracji.

„Boisz się” - powiedział policjant, celnie odgadując jej nastrój. Zdobyła się tylko na wojownicze zaprzeczenie: „Nie, wcale się nie boję”. Zareagowała jak dziecko. Wcale się nie boję. A właśnie, że się boisz. Wcale się nie boję. Ja wiem, że się boisz. Nie boję się, nie boję, nie boję!

Była przerażona. Ze strachu trzęsa się jak galareta.

Porozmawia z mężem, postanowiła. Ostatecznie był dalej jej dawnym Dave'em. Dobrym ojcem. Mężczyzną, który nigdy nie podniósł na nią ręki ani nie zdradził skłonności do przemocy przez te wszystkie lata, odkąd się znali. Najwyżej kopnął ze złości w drzwi albo uderzył pięścią w ścianę. Była pewna, że jeszcze potrafią ze sobą rozmawiać.

Zapyta go: Czyją krew sprąłam z twojego ubrania, Dave?

Co naprawdę stało się sobotniej nocy?

Mnie możesz powiedzieć. Jestem twoją żoną. Wszystko mi możesz powiedzieć.

Tak właśnie robi. Porozmawia z nim. Nie powinna się go bać. Jest jej mężem. Kocha go i on ją kocha, to wszystko da się jakoś wyprostować. Była tego pewna.

A jednak siedziała w samochodzie, po drugiej stronie kanału, obok opuszczonej huty, którą niedawno kupił jakiś inwestor budowlany (najprawdopodobniej zbuduje tu parking, jeśli dojdzie do skutku budowa stadionu po drugiej stronie rzeki). Patrzyła nad wodą kanału na park, w którym zamordowano Katie Marcus. Czekwała, by ktoś jej podpowiedział, jak to zrobić, żeby ruszyć z miejsca.

Jimmy siedział z Ambrose'em, synem Bruce'a Reeda, w jego gabinecie. Omawiali detale związane z pogrzebem. Wolałby mieć do czynienia z samym Bruce'em niż z dzieciakiem, który wyglądał tak, jakby dopiero co ukończył college. Widziało się go raczej, jak rzuca plastikowy dysk, niż podnosi trumnę. Jimmy nie umiał sobie wyobrazić tych gładkich, niepomarszczonych rąk w chłodni do balsamowania zwłok.

Podał Ambrose'owi datę urodzin Katie i numer ubezpieczenia. Chłopak wpisał złotym piórem dane do formularza, po czym zapytał aksamitnym głosem, który przypominał głos jego ojca:

- Doskonale. A teraz zechce mi pan powiedzieć, panie Marcus, czy to będzie tradycyjna katolicka ceremonia? Ze stypą i mszą?

- Tak.

- Sugerowałbym w takim razie, by stypę urządzić w środę.

Jimmy kiwnął głową.

- Kościół został zarezerwowany na dziewiątą rano w czwartek.

- Na dziewiątą - powtórzył Ambrose, notując tę informację. - Czy zastanawiał się pan nad terminem stypy?

- Urządzimy dwie. Jedną między trzecią a piątą, drugą między siódmą a dziewiątą

wieczór.

- Siódma do dziewiątej - powiedział chłopak, zapisując jego słowa. - Widzę, że przyniósł pan fotografie. Znakomicie.

Jimmy spojrział na stosik oprawionych zdjęć, leżący na jego kolanach: Katie na uroczystości wręczenia świadectw, Katie i siostry na plaży. Katie i on podczas otwarcia sklepu Cottage Market, gdy miała osiem lat. Katie z Eve i Diane. Katie, Annabeth, Jimmy, Nadine i Sara w parku rozrywki Six Flags. Szesnaste urodziny Katie.

Położył zdjęcia na stojącym obok krześle. Poczul lekkie drapanie w gardle, które ustąpiło, kiedy przełknął ślinę.

- Pomyślał pan już o kwiatkach? - zapytał Ambrose Reed.

- Złożyłem dziś po południu zamówienie u Knopflera.

- A nekrolog?

Jimmy po raz pierwszy popatrzył chłopcu w oczy.

- Nekrolog?

- Owszem. Jak ma brzmieć nekrolog w gazecie? Możemy się tym zająć, jeśli poda nam pan podstawowe informacje. Czy wolałby pan, na przykład, wpłaty na jakiś cel, zamiast kwiatów? Potrzebne są tego rodzaju ustalenia.

Jimmy odwrócił wzrok od wezbranych współczuciem oczu dzieciaka w czarnym garniturze i spojrział na podłogę. Pod nimi, w piwnicy tego białego wiktoriańskiego domu, w pomieszczeniu do balsamowania leżała Katie. Będzie naga, kiedy Bruce Reed, ten gnojek i dwóch jego braci, zaczną przygotowywać jej ciało, myć je, dotykać go, konserwować. Ich chłodne, wypiełgnowane dłonie będą przesuwają się po jej skórze. Podnosiły nagie kończyny. Będą ujmowali w palce jej podbródek i manipulowali nim. Będą czesali jej włosy.

Myślał o swojej nagiej, bezbronnej córce. Jej odbarwione ciało czekało na ostatni dotyk obcych ludzi. Będą jej dotykali z troską, zapewne, lecz jako zawodowcy. A potem, w trumnie włożą jej pod głowę poduszkę z satyny i zostanie wtoczona na wózek do kaplicy, mając twarz lalki, ubrana w swoją ulubioną niebieską sukienkę. Będzie oglądana, będą się nad nią modlić, komentować jej wygląd, rozpaczać po jej stracie, a na koniec włożą ją do grobu. Spuszczają do dołu wykopanego przez mężczyzn, którzy jej również nie znali. Już słyszał w uszach dudnienie spadających z wysoka grud ziemi, jakby wraz z nią leżał zamknięty we wnętrzu trumny.

I odtąd będzie spoczywała w ciemności, niecałe dwa metry pod ziemią, aż porośnie na niej trawa pod odkrytym niebem, którego już nie ujrzy. Nigdy nie poczuje

zapachu powietrza, nigdy nie owieje jej wiatr. Będzie tam leżała przez setki lat, nie słysząc kroków ludzi, którzy przyjdą na jej grób, nie słysząc żadnych dźwięków świata, który opuściła, oddzielona od niego grubą warstwą gleby.

Zabiję tego skurwysyna, Katie. Dopadnę drania, zanim go znajdzie policja, i zabiję go. A potem wrzucę do jamy bez porównania straszniejszej niż ta, do której ciebie złożą. Nie zostawię jego rodzinie ani palca do balsamowania. Niczego, nad czym mogliby płakać. Sprawię, że zniknie bez śladu, jakby nigdy nie chodził po ziemi, nigdy nie istniał on i jego imię, jakby był tylko snem, który komuś się przyśnił i został zapomniany, zanim śpiący się obudził.

Znajdę łajdaka, przez którego leżysz na stole w piwnicy tego domu, i usunę go ze świata. I jego bliscy - jeżeli ich ma - będą cierpieli bardziej niż twój bliscy, Katie, bo nigdy się nie dowiedzą, jaki los go spotkał.

Poradzę sobie, nie martw się, córeczko. Nie znasz swojego taty. Nigdy ci o tym nie mówiłem, ale ktoś zginął z mojej ręki. Zrobiłem to, co było konieczne. I teraz też tak postąpię.

Odwrócił się do syna Bruce'a, który na tyle krótko pracował w swoim fachu, że nie irytowały go tak długie chwile milczenia.

- Chciałbym, żeby tekst brzmiał następująco - powiedział Jimmy: - „Zmarła Katherine Juanita Marcus, ukochana, najdroższa córka Jamesa i nieboszczki Marity, pasierbica Annabeth, siostra Nadine i Sary...”.

Sean siedział na ganku z tyłu domu z Annabeth Marcus, która drobnymi łyczkami piła białe wino i paliła papierosa za papierosem. Gasila je, nie dopaliwszy nawet do połowy. Na jej twarz padało światło wiszącej nad ich głowami nagiej żarówki. Surowe rysy trudno by nazwać pięknymi, były jednak fascynujące. Annabeth prawdopodobnie nie przywykła, by się w nią wpatrywano, domyślił się Sean, zapewne nieświadoma powodu, dla którego warto było to czynić. Przypominała mu matkę Jimmy'ego, choć nie otaczała jej, jak tamtej, aura rezygnacji i porażki, a także jego własną matkę. Była w podobny sposób opanowana i całkowicie przy tym naturalna. Prawdę mówiąc, przypominała mu też, pod tym przynajmniej względem, samego Jimmy'ego. Wyczuwał w Annabeth Marcus kobietę skłoną do zabawy, ale nie frywolną.

- Co pan zrobi z resztą wieczoru? - zapytała, gdy przypalał jej kolejnego papierosa.  
- Gdy już zostanie pan zwolniony z obowiązku pocieszania mnie?

- Ależ ja wcale...

Machnęła ręką, żeby dał spokój.

- To się panu chwali. Więc co pan zrobi?

- Pojadę do mojej matki.

- Naprawdę?

Kiwnął głową.

- Ma dziś urodziny. Pojadę je uczyć w towarzystwie obojga staruszków.

- Uhm. Od dawna jest pan rozwiedziony?

- To widać?

- Jak na dłoni.

- Cholera! Ściśle mówiąc, jesteśmy w separacji. Nieco ponad rok.

- Mieszka tutaj?

- Nie. Podróżuje.

- „Podróżuje”. Powiedział to pan z przekąsem.

- Naprawdę? - Wzruszył ramionami.

Podniosła rękę.

- Głupio mi, że tak pana wykorzystuję. Staram się zapomnieć o Katie pana kosztem. Nie musi pan odpowiadać na moje pytania. Jestem po prostu wścibską babą, a pan jest takim zajmującym mężczyzną.

Uśmiechnął się.

- Prawdę mówiąc, jestem okropnie nudny, pani Marcus. Odebrać mi mój zawód i mnie nie ma.

- Annabeth - powiedziała. - Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

- Z przyjemnością.

- Z trudem przychodzi mi uwierzyć, panie policjancie stanowy Devine, żeby pan był nudny. Wiesz, co jednak mnie dziwi?

- Co?

Odwróciła się na krześle i spojrzała na niego.

- Nie wyglądasz mi na faceta, który by wlepił komuś lipne mandaty.

- Dlaczego?

- Bo to dziecinada, a ty wydajesz się całkiem dorosły.

Wzruszył ramionami. Wiedział z doświadczenia, że każdy od czasu do czasu bywa dziecinny. Ucieka się w dziecinadę, szczególnie, gdy wokół nabiera się za dużo gówna.

Od ponad roku nie rozmawiał z nikim o Lauren - ani z rodzicami, ani ze

znajomymi, ani nawet z policyjnym psychologiem, choć o potrzebie takiej rozmowy wspomniał jego szef, kiedy nowina o odejściu Lauren rozeszła się po jednostce. Teraz jednak siedziała przed nim Annabeth, obca na dobrą sprawę osoba, która straciła córkę. Wyczuwał, że usiłuje zrozumieć jego stratę, poznać ją, współczuć wraz z nim.

- Moja żona jest reżyserem teatralnym - rzekł cichym głosem. - W teatrze objazdowym. W zeszłym roku objechała kraj z musicalem Lord of the Dance, w swojej reżyserii. Tego rodzaju repertuar. W tej chwili reżyseruje chyba Annie Get Your Gun\*, ale głowy nie dam. Tworzyliśmy dziwną parę. Mam na myśli nasze zawody, trudno chyba o bardziej różne.

- Kochałeś ją jednak.

Potaknął.

- I nadal kocham. - Nabrał powietrza i odchylił się na oparcie krzesła, by opanować wzruszenie. - Ten gość, które mu wlepiąłem lipne mandaty...

Zaschło mu w ustach, potrząsnął głową. Chwyliła go nagle ochota, by uciec z tego ganku, z tego domu.

- Był twoim rywalem? - podpowiedziała cicho.

Wyjął papierosa z paczki, zapalił i przytaknął.

- To eleganckie określenie. Tak, powiedzmy, że rywalem. Moja żona i ja przechodziliśmy trudny okres. Oboje rzadko bywaliśmy w domu. I ten... hm, ten „rywal” ... z nią zamieszkał.

- A ty przyjąłeś to źle - powiedziała i było to stwierdzenie, nie pytanie.

Zerknął w jej stronę.

- Znasz kogoś, kto przyjmuje to dobrze?

Rzuciła mu surowe spojrzenie, sugerujące chyba, że sarkazm mu nie przystoi, a może wyrażające jakąś ogólniejszą żywną przez nią niechęć.

- Jednak nadal ją kochasz.

- Tak. Cholera, myślę zresztą, że i ona mnie kocha. - Zdusił papierosa. - Stale do mnie dzwoni. Dzwoni, lecz się nie odzywa.

- Chwileczkę, więc...

- Tak.

- ...dzwoni do ciebie i milczy?

- Od ośmiu miesięcy.

Parsknęła śmiechem.

---

\* Musical Irvinga Berlina (przyp. tłum.).

- Nie gniewaj się, ale to najcudaczej sza historia, jaką ostatnio słyszałam.

- Bezsprzecznie. - Patrzył na muchę tłukącą się o nagą żarówkę. - Spodziewam się, że któregoś dnia w końcu się odezwie. Czekam na to.

Usłyszał, jak w ciszy nocy ginie jego własny chichot, i poczuł się zakłopotany. Przez jakiś czas siedzieli w milczeniu, palili i słuchali brzęczenia muchy, powtarzającej swoje szalone doskoki do światła.

- Jak jej na imię? - spytała Annabeth. - Od początku ani razu nie wymówiłeś jej imienia.

- Lauren - odparł. - Na imię ma Lauren.

Dźwięk „Lauren” wisiał przez chwilę w powietrzu jak urwana nić pajęczyny.

- Kochasz ją od dziecka?

- Pierwszy rok college’u - sprostował. - Właściwie tak, byliśmy jeszcze dziećmi.

Przypomniał sobie tę listopadową burzę, gdy całowali się w drzwiach po raz pierwszy, Lauren miała gęsią skórkę, oboje drżeli.

- Może w tym właśnie tkwi problem - powiedziała Annabeth.

Popatrzył na nią.

- Że już nie jesteśmy dziećmi?

- Przynajmniej jedno z was.

Nie zapytał które.

- Powiedziałaś Jimmy’emu, że Katie zamierzała uciec z Brendanem Harrisem.

Przytaknął.

- No cóż, o to właśnie chodzi, prawda? Odwrócił się na krześle.

- O co?

Dmuchnęła dymem ku pustym sznurom do prania.

- Te głupie marzenia, jakie człowiek roi, kiedy jest młody. Sam powiedz, czy Katie i Brendan Harris mogliby ułożyć sobie życie w Las Vegas? Jak długo by potrwał ten ich raj? Może w drugiej wiosce przyczep, przy drugim dziecku, ale prędzej czy później to by się skończyło... W życiu nie ma „a potem żyli długo i szczęśliwie”, złotych zachodów słońca i całej tej lipy. Jest praca. Człowiek, którego kochasz, rzadko zasługuje na wielką miłość. Właściwie nikt na nią nie zasługuje, pewnie też nikt nie udźwignąłby takiego ciężaru. Doznasz więc zawodu, rozczarowania, twoja wiara legnie w gruzach, czeka cię wiele naprawdę kiepskich dni. Więcej stracisz, niż zyskasz. Znienawidzisz osobę, którą kochasz, i tej nienawiści nazbiera się w końcu tyle, ile było miłości. Ale, do cholery, podwijasz rękawy i bierzesz się do roboty... nad całym



waszym życiem... bo tym właśnie jest dorastanie i starzenie się.

- Annabeth, czy ktoś ci już powiedział, że jesteś silną kobietą?

Zwróciła ku niemu głowę. Oczy miała przymknięte, na jej ustach błąkał się senny uśmiech.

- Stale mi to mówią.

Kiedy Brendan Harris wszedł tej nocy do swojego pokoju, od progu zauważył wsuniętą pod łóżko walizkę. Zapakował do niej szorty i hawajskie koszule, jedną kurtkę i dwie pary dżinsów - to, co jak sądził, nosi się w Las Vegas. Oboje z Katie doszli do wniosku, że mają dość mrozów, kupowania ciepłych skarpet na wyprzedazach w sklepach Kmarta czy zeskrobywania lodu z przedniej szyby samochodu. Gdy wysunął spod łóżka walizkę i ją otworzył, uderzyła go w oczy barwna, pastelowa pstrokaczna kwiatnych wzorów, istny wybuch lata.

Takimi ludźmi chcieli się stać. Opalonymi, wolnymi, nieobciążonymi ciężkimi buciarami, paltami ani cudzymi oczekiwaniami. Planowali popijać drinki o zabawnych nazwach w koktajlowych szklankach, popołudnia spędzać na hotelowych basenach, ich skóra miała pachnieć kremami z filtrem przeciwsłonecznym i chlorem. Chcieli kochać się w pokoju chłodnym dzięki klimatyzacji, choć ciepłym w miejscach, gdzie przez zasłony będzie wpadało słońce, a kiedy zapadnie noc i na dworze zapanuje chłód, mieli wkładać swoje najlepsze ubrania i wychodzić na przechadzkę po Strip\*. Widział ich dwoje podczas tych rozkosznych zajęć, jakby patrzył z wysokości kilkunastu pięter na parę kochanków idących w blasku neonów, które wylewają się na czarny asfalt tęczującymi falami barw. Oto oni - Brendan i Katie - suną leniwie środkiem szerokiego bulwaru, pomniejszeni przez kolosalne bryły hoteli, a zza drzwi kasyn dochodzą podniecające odgłosy szalonej zabawy.

Dokąd dziś wpadniemy, skarbie?

Ty wybierz.

Nie, ty.

Nie drocz się ze mną.

Dobrze. Co powiesz na ten?

Wygląda nieźle.

A więc tu.

---

\* Główny bulwar w Las Vegas (przyp. tłum.).

Kocham cię, Brendan.

I ja ciebie, Katie.

Potem wejdą po wysłanych dywanem schodach ujętych w szpaler białych kolumn i wkroczą w zadymiony harmider gwarne pałacu. Będą już mężem i żoną na progu wspólnego dorosłego życia, a East Buckingham pozostanie tysiące kilometrów za nimi, z każdym dniem i każdym krokiem dalej.

To sobie wymarzyli.

Musiał przysiąc, przynajmniej na chwilę. Usiadł na podłodze, złączył podeszwy adidasów i jak mały chłopiec chwycił się dłońmi za kostki nóg. Zakołysał się lekko, opuściwszy brodę na pierś i zamknął oczy. Poczuł, jak ból ustępuje. Znalazł ukojenie w ciemności i w kołysaniu się.

Jednak po chwili spokój minął i znowu zawładnęło nim przerażenie na myśl, że Katie już nie ma na tym świecie, ostatecznie i na zawsze.

W domu była broń. Należała do ojca Brendana. Była ukryta tam, gdzie zwykle - za odsuwaną listwą sufitową w spizarni. Można było stanąć na półce, wsunąć rękę pod rzeźbiony drewniany gzyms złożony z trzech listewek i wymacać żelazo. Potem wystarczyło pchnąć je lekko w górę, sięgnąć głębiej ręką i zaciskało się palce na kolbie. Rewolwer leżał tam zawsze, odkąd Brendan sięgał pamięcią. Jedno z jego najstarszych wspomnień zawierało taką scenę: późno w nocy wychodzi zaspany z sypialni i widzi, jak jego ojciec cofa w popłochu rękę spod sufitu. Brendan wyjął nawet kiedyś ten rewolwer i pokazał przyjacielowi, Jerry'emu Divencie. Mieli wtedy obaj po trzynaście lat. Jerry wybałuszył oczy i zaskomlał żałośnie: „Schowaj to, prędko!”. Rewolwer był pokryty kurzem, całkiem też prawdopodobne, że nigdy zeń nie strzelano. Brendan wiedział jednak, że wystarczyło go odczyścić, by zadziałał.

Mógł go teraz wyjąć. Pójść do Cafe Society, gdzie przesiadywał Roman Fallow, albo do warsztatu Autoszyba Atlantic, którego właścicielem był Bobby O'Donnell, i skąd, według Katie, kierował swoimi ciemnymi interesami. Mógł udać się do jednego z tych miejsc (albo jeszcze lepiej: do obu po kolei), wycelować rewolwer ojca w gęby tych łotrów i pociągnąć za cyngiel, aż iglica szczęknie na pustej komorze. Roman i Bobby już nigdy więcej by nie zamordowali kobiety.

Mógł tak postąpić. Czy na pewno? Tak dzieje się w filmach. Gdyby Bruce'owi Willisowi ktoś zabił ukochaną, Bruce nie siedziałby na podłodze, nie kiwał się jak dziecko cierpiące na chorobę sierocą, tylko by ładował splotkę. Może nie?

Brendan wyobraził sobie mięsistą twarz Bobby'ego ponad muszką splotki. Drań

skamle błagalnie: „Nie, Brendan, proszę! Proszę cię, nie!”.

A on odpowiada mu coś odjazdowego, na przykład: „Zamknij gębę, draniu. Jazda do piekła”.

W tym momencie się rozplakał. Wciąż się kiwał, obiema rękami chwytając kostki nóg, bo wiedział, że nie jest Bruce'em Willisem, Bobby O'Donnell to rzeczywista osoba, nie bohater filmu. Poza tym rewolwer wymagał wyczyszczenia, i to solidnego, a on nie wiedział, czy jest nabity, nie był nawet pewien, jak się go otwiera, a gdy się już weźmie do rzeczy, czy mu nie zadrży ręka? Czy nie zacznie podrygiwać jak wtedy, gdy musiał się bić jako mały chłopiec, bo zrozumiał, że nie ma odwrotu? Życie to nie pieprzony film, życie to... życie, cholera. Dobry człowiek niekoniecznie musi zwyciężyć w ciągu dwóch godzin jak na ekranie. Brendan nie wiedział, czy jest tchórzem, czy chojrakiem. Miał dziewiętnaście lat i jeszcze nigdy nie stanął przed prawdziwym wyzwaniem. Nie był jednak pewien, czy potrafiłby wejść do czyjegoś biura (gdyby nawet drzwi nie były zamknięte na klucz i nie kręciliby się tam jacyś inni faceci) i strzelić gościowi w głowę. Po prostu nie miał pewności, czy byłby do tego zdolny.

Tęsknił za Katie. Tak bardzo za nią tęsknił! Świadomość, że już nigdy jej przy nim nie będzie, spowodowała, że rozboleły go zęby. Bolały go do momentu, w którym poczuł, że musi coś zrobić, inaczej ani przez chwilę nie przestanie się czuć tak okropnie w tym nowym, beznadziejnym życiu.

Dobra, postanowił, jutro wyczyszczę rewolwer. Wyczyszczę i sprawdzę, czy są w bębunku kule. Choć tyle. Wyczyszczę broń.

Do pokoju wszedł Ray. Wciąż miał na nogach łyżworolki, toteż podpierał się, niczym laską, nowym kijem hokejowym, gdy tak szedł na wywrotnych, przelamujących się w kostkach nogach w stronę łóżka. Brendan zerwał się z podłogi i otarł łzy z policzków.

Ray zdjął łyżworolki, przyjrzał się bratu i zapytał na migi:

„Dobrze się czujesz?”

- Nie.

Ray zamigał:

„Mogę ci jakoś pomóc?”

- Niestety, Ray, nie możesz, ale się mną nie przejmuj. „Mama mówi, że dobrze się stało”.

- Co takiego?! - zapytał Brendan. Ray powtórzył.

- Tak? Mianowicie dlaczego? Dłonie Raya znowu zamigotały.

„Gdybyś wyjechał, byłaby bardzo nieszczęśliwa”.

- Szybko by jej przeszło.

„Może przeszło, może nie przeszło”. Brendan spojrzał na brata, który bacznie mu się przypatrywał.

- Nie wkurzaj mnie, Ray, dobra? - Nachylił się groźnie nad chłopcem, myślał przy tym jednak o rewolwerze. - Ja ją kochałem.

Ray wytrzymał jego spojrzenie. Twarz miał pustą jak gumowa maska.

- Wiesz, co to znaczy, Ray?

Ray pokręcił głową.

- To jest tak, jakbyś znał odpowiedzi na wszystkie pytania testu, ledwie usiadłeś w ławce. Jakbyś wiedział, że wszystko będzie super aż do końca życia. Że zawsze będziesz najlepszy. Nie będzie ci niczego brakowało. Będziesz chodził z podniesioną głową, bo jesteś wygrany. - Odwrócił się od brata.

Ray uderzył w słupek łóżka, żeby zwrócić na siebie uwagę, i zatrzepotał dłońmi:

„Przeżyjesz to jeszcze raz”.

Brendan opadł na kolana i zbliżył rozwścieczoną twarz do twarzy brata.

- Już nigdy, kurwa, nigdy!

Ray podciągnął nogi na łóżko i cofnął się spłoszony. Brendan zawstydzził się swojego wybuchu, choć nie ochłonął jeszcze z gniewu. Tak to już jest z niemymi, wychodzisz przy nich na głupka, bo potrafisz mówić. Wszystko, co komunikował Ray, cechowała zwięzłość, wyrażał dokładnie tyle, ile chciał. Nie wiedział, co to znaczy szukać słów lub prześlizgiwać się po nich, bo mówi się szybciej, niż się myśli.

Brendan miał ochotę wybuchnąć potokiem słów, wygłosić gorącą, szaloną perorę, nie całkiem rozumną, ale za to szczerą, testament dla Katie. Wyznać, kim dla niego była, jak się czuł, gdy wtulał nos w jej szyję na tym właśnie łóżku, zaczął zagiętym palcem o jej zagięty palec, ścierał jej lody z brody, siedział obok niej w samochodzie i obserwował, jak strzela oczami na prawo i lewo, gdy dojeżdżali do skrzyżowania, jak słuchał jej głosu, jej oddechu we śnie, jej pochrapywań i...

Miałby ochotę mówić o tym godzinami. Chciałby, żeby ktoś go słuchał i rozumiał, że mowa nie służy wyłącznie do komunikowania poglądów czy opinii. Że może wyrażać całe ludzkie życie. Ale gdy się wiedziało jeszcze przed otworzeniem ust, że próba będzie daremna, w pewien sposób ona sama nabierała ważnego znaczenia.

Ray żadną miarą nie mógł tego pojąć. Dla niego słowa były tylko szybkim przebieraniem palcami, zręcznymi łamańcami dłońmi. On nie gubił słów.

Komunikacja nie była dla niego rzeczą względną. Mówił to, co dokładnie chciał powiedzieć, i na tym koniec. Wylewanie żali, wywnętrzanie się przed niemy bratem, który siedział przed nim z twarzą bez wyrazu, tylko by Brendana zawstydzalo. Nic by nie pomoglo.

Spojrzał na wystraszonego braciszka, który skulił się na łóżku i wpatrywał się w niego zalęknionymi oczami, i wyciągnął do niego rękę.

- Przepraszam - powiedział i usłyszał, jak łamie mu się głos. - Przepraszam, Ray. Już dobrze? Nie chciałem się na ciebie wydzierać.

Ray ujął jego rękę i wstał.

„Więc już dobrze?” - zapytał na migi, wpatrując się w Brendana takim wzrokiem, jakby przy nowym wybuchu złości starszego brata zamierzał wyskoczyć przez okno.

„Już dobrze” - odpowiedział mu na migi Brendan. „Chyba dobrze”.

## Kiedy już wróci do domu

Rodzice Seana mieszkali w Wingate Estates, zamkniętym osiedlu małych, tynkowanych szeregowych domków z dwiema sypialniami, znajdującym się sześćdziesiąt parę kilometrów na południe od miasta. Każde dwadzieścia domków tworzyło jeden kwartał, a każdy kwartał miał własny basen i centrum rekreacyjne, gdzie w sobotnie wieczory urządzano potańcówki. Małe pole golfowe w kształcie półksiężyca na osiemnaście dołków leżało za granicą całego kompleksu. Od późnej wiosny do wczesnej jesieni rozbrzmiewał tam szmer meleksów.

Ojciec Seana nie grał w golfa. Uznał przed laty, że to gra dla bogaczy, a teraz doszedł do wniosku, że zdradziłby swoje robotnicze pochodzenie, gdyby się nią zainteresował. Matka przez jakiś czas próbowała grać, zrezygnowała jednak, stwierdziwszy, że inne zawodniczki podśmiewają się ukradkiem z jej formy fizycznej, irlandzkiego akcentu i strojów.

Żyli, więc spokojnie, nie zawierając żadnych bliższych znajomości. Sean wiedział tylko, że ojciec poznał pewnego gościa irlandzkiego pochodzenia o nazwisku Riley, który też mieszkał w ich mieście przed przeprowadzką do Wingate. Riley również nie grał w golfa i wychodził czasem z ojcem Seana na drinka do restauracji Ground Round po drugiej stronie drogi numer 28. Matka Seana, urodzona samarytanka, zajmowała się z nawyku starszymi, niedomagającymi sąsiadami. Wozila ich do apteki po leki lub do lekarza, by nowe leki mogły stanąć na półkach obok dawniej przepisanych. Choć dobiegała już siedemdziesiątki, wciąż czuła się młodo i była żwawa. Większość osób, którym z taką werwą pomagała, była samotna, doszła więc do wniosku, że dobre zdrowie, jakimi się oboje z mężem cieszyli, należy uznać za błogosławieństwo niebios.

- Są sami - powiedziała kiedyś do Seana, mając na myśli swoich chorowitych podopiecznych - i choć lekarze im tego nie powiedzą wprost, na to właśnie umierają: na samotność.

Często, kiedy po minięciu domku strażnika jechał główną alejką osiedla, przedzieloną, co kilka metrów żółtymi garbami „śpiących policjantów”, na których

samochód podskakiwał, widział oczami wyobraźni widmowe ulice, dzielnice i widmowe losy, jakie rezydenci Wingate pozostawili za sobą. Zupełnie jakby tamte mieszkania z zimną tylko wodą, białymi lodówkami, żelaznymi drabinkami przeciwpożarowymi i chmarami wrzeszczących dzieci przepływały niczym pasma porannej mgły przez ten krajobraz muszelkowatych tynkowanych domków otoczonych strzyżonymi trawnikami. Ogarniało go wtedy irracjonalne poczucie winy syna, który oddał rodziców do domu starców. Uczucie irracjonalne, ponieważ osiedle Wingate Estates nie było formalnie przeznaczone dla osób powyżej sześćdziesiątki, (choć, szczerze powiedziawszy, nigdy nie spotkał mieszkańców poniżej tego wieku), poza tym rodzice przeprowadzili się tu z własnej woli, pakując wraz z rzeczami swoje długoletnie utyskiwania na życie w mieście, hałas, wysoką przestępczość i korki uliczne, by przenieść się tu, gdzie, jak to ujął ojciec: „Można spokojnie wyjść w nocy na spacer”.

Mimo to Sean czuł, że ich zawiódł, jakby - jego zdaniem - spodziewali się, że zrobi większy wysiłek, aby mieć ich blisko. Patrzył na osiedle i widział śmierć, a ściślej ostatni przystanek na drodze do śmierci. Nie tylko dlatego, że z niechęcią myślał o tym, iż mieszkają tu jego rodzice, czekając, aż któregoś dnia to ich ktoś będzie musiał wozić do lekarza. Przyszło mu też do głowy, że jemu przyjdzie zamieszkać w podobnym miejscu; groźba ta była całkiem realna. Na dodatek nie miał żony i dzieci, które by się nim zaopiekowały. Skończył trzydzieści sześć lat, mniej niż połowa brakowała mu do wieku, jaki kwalifikował do zamieszkania w bliźniakach Wingate, do tego lata, które pozostały, mogły minąć w tempie nieporównanie większym niż poprzednie.

Matka zdmuchnęła świece na torcie stojącym na małym stoliku, znajdującym się w aneksie między ciasną kuchenką a bardziej przestronnym salonikiem, po czym wszyscy troje zjedli swoje kawałki w milczeniu. Potem wypili herbatę przy dźwięku tykającego zegara wiszącego na ścianie nad ich głowami i szumie klimatyzacji.

Kiedy skończyli, ojciec wstał i powiedział:

- Zbiorę talerze.
- Zostaw, ja to zrobię.
- Ty siedź.
- Pozwól, że ja.
- Siedź, jubilatko.

Matka Seana usiadła z bladym uśmiechem. Ojciec zebrał talerze i wyniósł do

kuchni.

- Uważaj na okruszki - przypomniała matka.
- Uważam.
- Jeśli nie spłuczysz wszystkich do zlewu, znowu zalęgna się nam mrówki.
- Mieliśmy tylko jedną. Tylko jedną.
- Było ich znacznie więcej.
- Pół roku temu - dopowiedział ojciec, przekrzykując plusk strumienia wody z

kranu.

- I myszy.
- Nigdy nie było tu myszy.
- U pani Feingold były. Aż dwie. Musiała zastawiać łapki.
- U nas nie ma myszy.
- Tylko dlatego, że zawsze sprawdzam, czy nie zostawiasz w zlewie okruchów.
- O mój Boże! - jęknął ojciec Seana.

Matka Seana upiła łyk herbaty i znad filiżanki spojrzała na syna.

- Wycięłam jeden artykuł dla Lauren - powiedziała, odstawivszy filiżankę na spodeczek. - Miałam go gdzieś tutaj.

Wycinała artykuły z gazet i dawała je Seanowi, ilekroć ją odwiedzał, albo wysyłała po kilka sztuk pocztą. Kiedy Sean otwierał kopertę z taką przesyłką, widok porządnie złożonych stron uprzytomniał mu, ile czasu upłynęło od ostatniej wizyty. Artykuły były różne, wszystkie jednak dotyczyły prowadzenia gospodarstwa albo zdrowia. Można było przeczytać o tym, jak uniknąć filcowania się wełny w suszarce, jak sprawić, by zamrażarka się nie przepalała; można było się dowiedzieć, jakie są plusy i minusy testamentu sporządzonego za życia, jak uniknąć kieszonkowców na wakacjach. Teksty zawierały rady zdrowotne dla mężczyzn, którzy wykonują stresujące zawody („Nie bądź ćwiek, wprowadź swe serce w XXI wiek!"). Sean wiedział, że matka okazuje mu w ten sposób miłość, podobnie jak zapinała mu paltko i poprawiała szalik, gdy wychodził w zimowy poranek do szkoły. Dotąd uśmiechał się w duchu na wspomnienie wycinka, jaki przyszedł pocztą dwa dni przed odejściem Lauren. „Co rok prorok, próbówka nie urok!". Jego rodzice nie byli w stanie pojąć, że bezdzielnosc była świadomym wyborem Seana i Lauren. Oboje milcząco założyli, że byliby okropnymi rodzicami.

Kiedy w końcu Lauren zaszła w ciążę, ukryli przed nimi ten fakt. Musieli najpierw sami podjąć decyzję, czy powinna urodzić dziecko, właśnie przeżywali kryzys



małżeństwa. Sean odkrył romans żony z jednym z aktorów i zaczął ją zadrezczać pytaniem: „Czyje to dziecko, Lauren?”. Odpowiadała mu: „Przeprowadź test na ustalenie ojcostwa, jeśli to tak cię gnębi”.

Wykręcali się od kolacji u rodziców, mętnie tłumaczyli, dlaczego nie zastali ich w domu, kiedy przyjeżdżali do miasta. Sean miał wrażenie, że oszaleje z niepewności, czy to jego dziecko. Nie był też przekonany, że by je chciał, nawet gdyby miał tę pewność.

Po odejściu Lauren matka Seana mówiła o jej nieobecności jedynie jako o „chwilowej rozłące”. Obecnie wszystkie wycinki prasowe przeznaczała dla Lauren, jak gdyby pewnego dnia miały do tego stopnia przepełnić szufladę, że młodzi będą musieli się spotkać choćby po to, żeby tę szufladę zamknąć.

- Rozmawiałeś z nią ostatnio? - zapytał z kuchni ojciec, niewidoczny zza dzielącej ich ściany w kolorze miętowej zieleni.

- Z Lauren?

- Uhm.

- Bo z kimże innym? - zapytała przytomnie matka, przeszukując szufladę kredensu.

- Dzwoni, ale niczego nie mówi.

- Może gada głupstwa, bo jest...

- Nie zrozumiałeś, tato, ona się w ogóle nie odzywa.

- Ani słowem?

- Nie.

- Więc skąd wiesz, że to ona?

- Po prostu wiem.

- Ale skąd?

- O Boże! - zirytował się Sean. - Słyszę jej oddech, wystarczy?

- Dziwne - westchnęła matka. - A ty coś do niej mówisz?

- Czasami. Coraz rzadziej.

- No cóż, przynajmniej jakoś się porozumiewacie. - Położyła przed Seanem najnowszy wycinek. - Powiedz Lauren, że moim zdaniem to powinno ją zainteresować. - Usiadła i wygładziła zmarszczkę na obrusie. - Kiedy już wróci do domu - dodała, wpatrzona w materiał. - Kiedy już wróci do domu - powtórzyła cicho, głosem przypominającym głos zakonnicy, pewnych fundamentalnego ładu we wszechświecie.

- Dave Boyle - powiedział Sean do ojca godziną później, gdy siedzieli przy jednym z wysokich barowych stołów w restauracji Ground Round. - Chodzi mi o ten dzień, kiedy zniknął sprzed naszego domu.

Ojciec zmarszczył czoło i skoncentrował się na wlewaniu do kufła resztki piwa Killian's. Kiedy piana wyrosła do górnej krawędzi naczynia, a piwo spływało z butelki dużymi kroplami, powiedział:

- Hm... nie mogłeś poczytać sobie o tym w starych gazetach?

- No wiesz...

- Dlaczego mnie o to pytasz, do ciężkiej cholery? Pokazywali to przecież w telewizji.

- Ale nie wtedy, kiedy znaleźli porywacza - przypomniał Sean z nadzieją, że to wyjaśnienie wystarczy i ojciec nie będzie chciał wiedzieć, dlaczego syn zwrócił się do niego z tym pytaniem. Sean sam tego nie wiedział.

Może pragnął, żeby ojciec pomógł mu zrozumieć jego rolę w tamtych wydarzeniach, czego nie mogły wyjaśnić gazety czy stare akta policyjne. A może liczył na inną rozmowę, nie ograniczającą się do ostatnich nowinek, do rozważań, czy drużynie Red Soksów nie przydałby się leworęczny miotacz.

Seanowi zdawało się czasem, że kiedyś umieli z ojcem gawędzić nie tylko o takich błahostkach (to samo przekonanie odnosiło się do Lauren), ale nie potrafił przypomnieć sobie treści tych rozmów. Obawiał się, że uroił sobie te chwile bliskości z ojcem i głębokie z nim porozumienie, korzystając z tego, że wspomnienia z młodości zatarły się już we mgle oddalenia. Choć z czasem pewne fakty urosły do rangi mitu, w rzeczywistości nigdy się nie zdarzyły.

Jego ojciec był milczkiem, wypowiadał się półsłówkami, końcówki wybąkiwanych zdań rozplływały się w nicości. Sean sporo się za młodu natrudził nad interpretacją tych ojcowskich zamilknięć, wypełnianiem pustych miejsc, pozostawionych przez owe pauzy, domyślaniem się, co ojciec chciał mu powiedzieć. Ostatnio zaczął się zastanawiać, czy i on sam, choć nie uważał się za milczka, nie połykał w ten sam sposób słów i końcówek zdań. Dostrzegał tę milkliwość u Lauren, ale zbyt szybko się nią nie przejmował do czasu, gdy jej milczenie stało się wszystkim, co mu po niej pozostało. Nie licząc szmeru oddechu w słuchawce, kiedy odbierał głuche telefony.

- Po co wracasz do starych dziejów? - spytał w końcu ojciec.

- Słyszałeś, że zamordowano córkę Jimmy'ego Marcusa?

- Tę w parku Pen?

Sean potaknął.

- Zwróciło moją uwagę nazwisko, ale pomyślałem, że to mogła być jakaś dalsza krewna. A to była córka?

- Właśnie.

- Jest w twoim wieku. Jak to się stało, że miał dorosłą córkę?

- Urodziła się, gdy miał siedemnaście czy osiemnaście lat, jeszcze przed odsiadką na Deer Island.

- Mój Boże - westchnął ojciec. - Biedny skurczybyk. Jego ojciec dalej siedzi?

- On już nie żyje, tato.

Sean zauważył, że jego odpowiedź poruszyła ojca. Przypomniała mu spotkania w kuchni na Gannon Street, gdzie z ojcem Jimmy'ego osuszali co sobota puszki piwa, podczas gdy ich synkowie bawili się na podwórku za domem, a w powietrzu rozbrzmiewały co chwila wybuchy śmiechu podchmielonych kolegów.

- Psiakrew! - mruknął ojciec. - Umarł przynajmniej na wolności?

Sean zastanawiał się, czy nie powinien staruszkowi skłamać, ponieważ, bo już kręcił przecząco głową.

- W pudle. W Walpole. Na marskość wątroby.

- Kiedy?

- Wkrótce po waszej wyprowadzce. Jakieś sześć, siedem lat temu.

Ojciec rozchylił usta, jakby chciał wypowiedzieć wyraz „siedem”. Zamiast tego pociągnął łyk piwa. Wątrobiane plamy na grzbietach jego dłoni wydawały się bardziej wyraziste w żółtym świetle lampy wiszącej pod sufitem.

- Człowiek tak łatwo traci rachubę czasu.

- Przykro mi, tato.

Staruszek skrzywił się, jak zwykle, gdy słyszał wyrazy współczucia czy komplementy.

- Niby czemu? Tim sam był sobie winien. Mógł nie wyprawiać na tamten świat Sonny'ego Todda.

- To się stało przy partii bilardu, prawda?

Ojciec wzruszył ramionami.

- Co można wiedzieć? Obaj pijani, obaj pyskaci i złośliwi. Tyle że Tim miał charakter o wiele gorszy od Sonny'ego. - Ojciec pociągnął kolejny łyk piwa. - Co wspólnego ma tamto zniknięcie Dave'a Boyle'a z... jakże jej było na imię? Katherine?

- Tak.

- Więc co jedno ma do drugiego?

- Nie twierdę, że ma.

- Ani że nie ma.

Sean mimowolnie się uśmiechnął. Potrafił złamać najbardziej zatwardziałego nędznego typa usiłującego wykręcić się od odpowiedzialności, który zna prawo lepiej od niejednego sędziego. Ale ci faceci starej daty, te twarde jak ćwieki, nieufne dranie z pokolenia ojca, dumne robole bez śladu szacunku dla wszelkich urzędów, ci faceci umieli wykręcać kota ogonem. Mogłeś ich maglować przez całą noc, ale jeśli szli w zaparte, rano te same, co wieczorem pytania pozostawały bez odpowiedzi.

- Tato, nie zwracajmy sobie teraz głowy niedomówieniami.

- Niby czemu? Sean podniósł rękę.

- Wyświadczyć mi po prostu tę łaskę.

- Ależ chętnie, ostatecznie trzymam mnie przy życiu to tylko, że mogę czasem wyświadczyć łaskę własnemu synowi.

Sean zacisnął palce na szklanym uchwycie kufła.

- Przeglądałem akta sprawy uprowadzenia Dave'a. Oficer śledczy, który ją prowadził, już nie żyje. Nikt inny jej nie pamięta, a dalej figuruje w aktach, jako nierozwiązana.

- Więc?

- Pamiętam, jak przyszedłeś do mojego pokoju jakiś rok po uprowadzeniu Dave'a i powiedziałeś: „Wiesz, synu, jednego z nich złapali”.

Ojciec wzruszył ramionami.

- Złapali jednego z nich.

- Więc czemu...

- W Albany - przerwał mu ojciec. - Widziałem zdjęcie w gazecie. Facet przyznał się do kilku gwałtów na nieletnich w Nowym Jorku i jeszcze paru w Massachusetts i Vermont. Powiesił się w celi, zanim zdążył powiedzieć coś więcej. Rozpoznałem jednak jego gębę dzięki portretowi, jaki rysownik policyjny wykonał wtedy u nas w kuchni.

- Jesteś pewien?

Ojciec potaknął.

- Na sto procent. Ten oficer śledczy... jakże on się nazywał...

- Flynn - podpowiedział Sean.

- Mike Flynn. Zgadza się. Przez jakiś czas pozostawałem z nim w kontakcie. Jak

tylko zobaczyłem zdjęcie w gazecie, zadzwoniłem do niego i on potwierdził, że to ten sam facet. Dave go rozpoznał.

- Który?

- Hę?

- Który z tej dwójki?

- Hm, jak mam go określić? „Ten oślizgły, wyglądał, jakby był zaspany”.

Słowa małego Dave’a dziwnie zabrzmiały w ustach starszego pana.

- Pasażer.

- Otóż właśnie.

- A jego kumpel? - zapytał Sean.

- Zginął w wypadku samochodowym. Tak przynajmniej twierdził ten drugi. Tyle wiem, choć nie dałbym za to głowy. Do cholery, od ciebie się dopiero dowiaduję, że Tim Marcus gryzie ziemię.

Sean dopił piwo, po czym wskazał na pusty kufel ojca.

- Jeszcze po jednym?

- Też pytanie. Jasne.

Gdy Sean wrócił z nowymi piwami, ojciec wpatrywał się w niemy ekran telewizora umieszczonego nad barem. Właśnie nadawano quiz z odpowiedziami „na opak”. Kiedy syn usiadł, rzucił w stronę ekranu pytanie:

- Kim był Robert Oppenheimer?

- Skąd wiesz, o co pytali? Przecież nie ma głosu? - zdziwił się Sean.

- Wiem - mruknął ojciec i wlał sobie piwo do kufła, marszcząc się z powodu głupoty własnego syna. - Wy wciąż to robicie. Niepojęte.

- Co robimy? Jacy my?

Ojciec wskazał kuflem na Seana.

- Wasze pokolenie. Zadajecie mnóstwo pytań i nawet nie pomyślicie, że odpowiedź może być oczywista, byle, psiakostka, trochę ruszyć mózgowicę.

- Uhm - burknął Sean. - Możliwe.

- Weźmy tę historię z Dave’em Boyle’em. Jakie ma znaczenie, co go spotkało dwadzieścia pięć lat temu? Wiesz, co zaszło. Zniknął na cztery dni uprowadzony przez dwóch pedofili. Stało się to, czego się można domyślić. Ale ty chcesz to znowu odgrzebywać, ponieważ... - Ojciec pociągnął łyk piwa. - Cholera, właściwie nie wiem po co.

Devine senior posłał synowi pijacki uśmiech, który wydał się Seanowi podobny do

jego własnego.

- Tato...

- No?

- Chcesz powiedzieć, że w twoim życiu nie zdarzyło się nic, do czego nie wracasz we wspomnieniach, nie rozpamiętujesz?

Ojciec westchnął.

- Nie o to chodzi.

- Właśnie, że o to.

- Nie, wcale nie o to. Nieszczęście każdego dopada, Sean. Każdego. Nie należysz do wyjątków. Wasze pokolenie lubi rozdrapywać rany. Nie umiecie niczego zostawić w spokoju. Masz dowód łączący Dave'a ze śmiercią Katherine Marcus?

Sean parsknął śmiechem. Ojciec zaszedł go z flanki, grał chytrze na guzikach „wasze pokolenie”, na co Sean był czuły, tymczasem przez cały czas chciał się jedynie dowiedzieć, czy Dave był zamieszany w zabójstwo Katie.

- Powiedzmy, że jest kilka drugorzędnych okoliczności, które sytuują Dave'a w kręgu naszych zainteresowań.

- Nazywasz to odpowiedzią?

- A ty nazywasz swoje pytanie pytaniem?

Na twarzy ojca rozlał się szeroki uśmiech, który ujął staremu dobre piętnaście lat. Sean pamiętał, jak ten uśmiech potrafił rozjaśnić cały dom.

- Zapytałeś o Dave'a, bo przyszło ci do głowy, że to, co ci faceci mu zrobili, mogło go zmienić w bezwzględного drania, zdolnego zamordować młodą dziewczynę.

Sean wzruszył ramionami.

- Coś w tym rodzaju.

Ojciec zamyślił się, pogrzebał w stojącej między nimi miseczce z orzeszkami ziemnymi i pociągnął łyk piwa.

- Nie wydaje mi się.

Sean zaśmiał się.

- Tak dobrze go znasz?

- Nie. Po prostu pamiętam, jaki był z niego dzieciak. Nie było w nim okrucieństwa.

- Cała masa rozkosznych dzieciaków wyrosła na bezwzględnych drani.

Ojciec uniósł brwi.

- Chcesz mi robić wykład na temat ludzkiej natury? Sean pokręcił głową.

- Takie tam obserwacje gliniarza.

Ojciec odchylił się na krześle i przyglądał się synowi, uśmiechając się kącikami warg.

- No dalej. Oświeć starego.

Sean czuł, że się zarumienił.

- Daj spokój, tato, ja tylko...

- Ależ proszę.

Seanowi zrobiło się głupio. Zdumiewające, jak szybko ojciec potrafił zbić go z pantałyku, sprawić, by poczuł się jak dzieciak, który tylko udaje dorosłego, i to nieudolnie. W rezultacie wychodził na żalosego durnia.

- Okaż mi odrobinę zaufania. Wydaje mi się, że trochę znam się na ludziach i przestępstwach. Widzisz, to mój zawód...

- Sądzisz, że Dave mógłby zmasakrować dziewiętnastoletnią dziewczynę? Dave, z którym jako dziecko bawiłeś się na podwórku?

- Myślę, że człowiek jest zdolny do wszystkiego.

- Więc to ja mogłem ją zabić. - Ojciec położył dłoń na piersi. - Albo twoja matka.

- Co ty gadasz?

- Lepiej sprawdź nasze alibi.

- Przecież niczego takiego nie powiedziałem!

- Właśnie, że tak. Powiedziałeś, że człowiek jest zdolny do wszystkiego.

- W pewnych granicach.

- Aha! - zawołał ojciec. - No cóż, to uzupełnienie mi umknęło.

Stary znowu to robił. Bawił się z nim w kotka i myszkę. Sean czasem robił to z podejrzanymi podczas przesłuchania. Nic dziwnego, że miał takie osiągnięcia. Przecież pobierał nauki u prawdziwego mistrza.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu, które przerwał ojciec, mówiąc:

- Hm, może i masz rację.

Sean spojrział na niego podejrzliwie, czekając na ironiczną puentę.

- Może Dave faktycznie był w stanie zrobić to, o co go podejrzewasz. Nie mam pojęcia. Pamiętam go jako dzieciaka, dorosłego Dave'a nie znam.

Sean spróbował spojrzeć na siebie oczami starego. Ciekawe, czy widzi w nim dziecko? Czy nie dostrzega mężczyzny?

Pamiętał, jak wujowie wyrażali się o jego ojcu, najmłodszym spośród dwunastki rodzeństwa. Rodzina wyjechała z Irlandii, kiedy ojciec miał dwanaście lat. „Stary Bill”,

mówili z przekąsem, mając na myśli Billa Devine'a sprzed narodzin Seana. „Awanturnik”, dodawali z uśmiechem. Dopiero teraz Sean uświadomił sobie, że wyrażali się o jego ojcu z pobłażaniem. Większość wujów Seana była o dobre dwanaście, piętnaście lat starsza od jego ojca.

Bracia i siostry ojca nie żyli. Wszyscy, cała jedenastka. I oto siedział przed nim ten rodzinny bobasek, blisko siedemdziesięciopięcioletni starzec, zagrzebany na przedmieściu w pobliżu pola golfowego, z którego nigdy nie korzystał. Ostatni pozostały przy życiu z liczego rodzeństwa, a jednak wciąż najmłodszy, wiecznie najmłodszy i dlatego najeżający się na najłżejszy choćby objaw pobłażania z czyjejkolwiek strony, szczególnie ze strony rodzzonego syna. Nikomu nie pozwalał traktować się w podobny sposób, ponieważ wszyscy, którzy mieli do tego prawo, odeszli już z tego świata.

Zerknął na piwo Seana i rzucił kilka jednodolarówek napiwku.

- Skończyłeś? - zapytał kwaśno.

Przekroczyli drogę numer 28 i poszli alejką wjazdową osiedla, przegrodzoną żółtymi garbami „śpiących policjantów”, spryskiwaną przez zraszacze rozstawione na trawnikach.

- Wiesz, co twoja matka bardzo lubi?

- Co?

- Kiedy do niej piszesz. Rozumiesz, kartka co jakiś czas, choćby bez ważnego powodu. Mówi, że przysyłasz zabawne kartki, lubi twój styl. Trzyma je wszystkie w szufladzie w sypialni. Niektóre pochodzą z czasów, gdy byłeś w college'u.

- Dobrze, będę pisał.

- Co jakiś czas wrzuć coś do skrzynki.

- Oczywiście.

Podeszli do samochodu Seana i ojciec podniósł wzrok na ciemne okna swojego domku.

- Położyła się już spać? - zapytał Sean.

Ojciec potaknął.

- Zawozi rano panią Coughlin na fizykoterapię. - Ojciec wyciągnął nagle rękę i uścisnął dłoń syna. - Miło cię było widzieć.

- I ciebie, tato.

- Ona wróci?



Sean nie potrzebował pytać, kogo ma na myśli.

- Nie wiem. Naprawdę nie mam pojęcia.

Ojciec przyjrzał mu się uważnie w bladożółtym świetle latarni. Sean poczuł, że zajrzał mu w głąb duszy, zrozumiał, że jego syn cierpi, a rana się nie zabiłiła, że zabrano mu coś bezpowrotnie.

- No cóż - zauważył - dobrze wyglądasz. Widać, że o siebie dbasz. Nie pijesz za dużo?

Sean pokręcił przecząco głową.

- Po prostu dużo pracuję.

- Praca dobrze robi.

- To prawda - przyznał Sean i poczuł, jak ogarniają go gorycz i smutek.

- No to...

- No to...

Ojciec klepnął go po ramieniu.

- A więc bywaj. Nie zapomnij zadzwonić w niedzielę do matki - powiedział i ruszył w stronę domu krokiem pięćdziesięcioparolatka.

- Uważaj na siebie! - zawołał za nim Sean, a ojciec podniósł rękę w geście potwierdzenia.

Sean pilotem zwolnił centralny zamek. Sięgnął do klamki, gdy dobiegło go wołanie ojca:

- Sean!

- Tak? - Sean obejrzał się. Ojciec stał przed drzwiami domu. Górna połowa jego ciała tonęła w miękkiej ciemności.

- Dobrze, że nie wsiadłeś wtedy do tamtego samochodu. Wiedz o tym.

Sean oparł się dłońmi o dach samochodu. Starał się dojrzeć w ciemności twarz ojca.

- Powinniśmy jednak bronić Dave'a.

- Byliście dziećmi - powiedział ojciec. - Nie mogliście wiedzieć, co się stanie. A nawet gdybyście wiedzieli...

Sean pozwolił, by ta myśl zapadła mu głęboko w pamięć. Bębnił palcami o dach i wpatrywał się w ciemność, szukając oczu ojca.

- Wciąż mnie to gnębi.

- Co?

Sean wzruszył ramionami.

- Myślę, że powinniśmy byli wiedzieć. Nie wiem, jakim cudem, ale powinniśmy.  
Nie uważasz?

Przez dobrą chwilę obaj milczeli. Sean słyszał tylko cykanie świerszczy i szum zraszaczy na trawnikach.

- Dobranoc, Sean - dobiegł go w ciemności głos ojca.
- Dobranoc - odkrzyknął.

Zaczekał, aż ojciec wejdzie do domu, i wtedy wsiadł do samochodu.

## Skrzaty

Po powrocie do domu Celeste zastała Dave'a w saloniku. Siedział w rogu popękanej skórzanej kanapy. Obok poręczy fotela stały dwie kolumny z pustych puszek po piwie, niedopita tkwiła w jego ręku, a na udzie leżał pilot telewizora. Oglądał jakiś film, w którym wszyscy zdawali się krzyczeć.

Celeste zdjęła płaszcz w przedpokoju, przyglądając się twarzy Dave'a, na której migotała poświata ekranu. Krzyki stawały się coraz głośniejsze, towarzyszyły im efekty dźwiękowe imitujące trzask łamanych mebli oraz odgłosy bijatyki.

- Co oglądasz? - zawołała.

- Film o wampirach - odpowiedział, nie odrywając oczu od ekranu i podniósł do ust puszkę budweisera. - Naczelnny wampir zabija wszystkich na przyjęciu, wydanym przez pogromców wampirów. Pracują dla Watykanu.

- Kto?

- Pogromcy wampirów. O, kurwa - syknął - właśnie oderwał jednemu facetowi głowę!

Celeste weszła do saloniku i spojrzała na ekran w chwili, gdy ubrany na czarno mężczyzna przeleciał przez pokój, chwycił za głowę jakąś przerażoną kobietę i skręcił jej kark.

- Rany boskie, Dave!

- Spokojnie, to James Woods się w końcu wkurwił.

- Kogo on gra?

- Dowódcę pogromców. Skończonego drania.

Celeste dostrzegła na ekranie aktora Jamesa Woodsa. Ubrany w skórzaną marynarkę i obcisłe džinsy podniósł do oka coś w rodzaju kuszy i wycelował w jednego z wampirów. Ten był jednak szybszy. Pacnął Woodsa z drugiego końca pokoju niczym ćmę, po czym do środka wpadł inny facet i wpackował w wampira serię z automatu. Wyglądało na to, że nie zrobił mu większej krzywdy. Nagle przemknął obok wampira, jakby zapomniał, gdzie się znajduje.

- Czy to nie jeden z braci Baldwin? - spytała.

Usiadła na poręczy kanapy i oparła głowę o ścianę.

- Chyba tak. Tak mi się zdaje.

- Który?

- Nie wiem. Ci goście mi się mylą.

Celeste patrzyła, jak przebiegają przez mały pokój w motelu, zasłany trupami.

- Kurde - mruknął Dave. - Watykan będzie musiał wyćwiczyć nową drużynę pogromców.

- Dlaczego Watykan zajmuje się wampirami?

Dave uśmiechnął się, zwrócił w jej stronę swą chłopięcą twarz i spojrzał na nią pięknymi oczami.

- Okropnie mu brużdzą, kotku. Notorycznie wykradają kielichy mszalne.

- Wykradają kielichy? - zdziwiła się.

Ogarnęła ją nagle chęć, by wyciągnąć rękę i przeczesać mu palcami włosy. Dzięki tej głupiej rozmowie niemal zapomniała o koszmarnym dniu, jaki miała za sobą. - Nie wiedziałam o tym.

- No właśnie, cholernie im brużdzą. - Dave dopił piwo. James Woods, jeden z braci Baldwin i jakaś dziewczyna, która wyglądała na nieźle naćpaną, pędzili małym pikapem pustą szosą, a wampir za nimi frunął. - Gdzie byłaś?

- Podrzuciłam sukienkę Katie do zakładu pogrzebowego.

- Zajęło ci to tyle godzin?

- Potem naszła mnie ochota, żeby gdzieś posiedzieć w ciszy i wszystko sobie przemyśleć. Chyba rozumiesz?

- Przemyśleć. Jasne. - Wstał z kanapy, wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. - Chcesz piwo?

Prawdę mówiąc nie chciała, jednak skłamała:

- Chcę.

Wrócił do pokoju i podał jej puszkę. Nieraz potrafiła odgadnąć jego nastrój po tym, czy wręczał jej puszkę otwartą, czy nie. Teraz podał jej otwartą, mimo to nie była pewna, czy jest w dobrym, czy złym humorze.

- O czym rozmyślałaś? - Otworzył z trzaskiem swoją puszkę. Rozległ się dźwięk głośniejszy od pisku opon, gdy pikap na ekranie się przewrócił.

- Przecież wiesz.

- Nie, Celeste, nie wiem.

- O różnych sprawach. - Pociągnęła łyk. - O całym tym minionym dniu, o śmierci

Katie, o tym, co muszą przeżywać Annabeth i Jimmy...

- O różnych sprawach... A wiesz, o czym ja myślałem, gdy wracaliśmy do domu z Michaeliem? Powiem ci: o tym, jak musiał chłopiec się poczuć, gdy usłyszał, że jego matka odjeżdża, nie mówiąc nikomu, dokąd jedzie ani kiedy wróci.

- Przecież właśnie ci powiedziałam, Dave.

- Co mi powiedziałaś? - Spojrzał na nią i uśmiechnął się, lecz tym razem był to krzywy uśmieszek. - Co mi powiedziałaś, Celeste?

- Potrzebowałam w samotności przemyśleć pewne sprawy. Przepraszam, że nie zadzwoniłam. Mam za sobą kilka trudnych dni. Jestem kompletnie wytrącona z równowagi. Nie jestem sobą.

- Nikt nie jest sobą.

- Słucham?

- Jak w tym filmie - dodał. - Do końca nie wiadomo, kto jest normalnym człowiekiem, a kto wampirem. Widziałem już kiedyś fragmenty tego knota. Wiesz, co się stanie z bratem Baldwinem? Zakocha się w tej blondynce, choć wie, że została ukąszona. Zmieni się w wampira, lecz on o to nie dba, kapujesz? Bo ją kocha. Jako wampirzyca będzie karmiła się krwią. Wychłepcze całą krew z jego żył i facet zostanie żywym trupem. Pojmujesz, na czym polega kłopot z wampiryzmem? Jest w nim coś pociągającego. Nawet jeśli wiesz, że wampirzyca cię zabije, a twoją duszę skaże na wieczne potępienie i będziesz musiał całą wieczność kasać ludzi w kark, kryć się przed słońcem i... sama widzisz, przed plutonami pogromców z Watykanu. Może pewnego dnia obudzisz się i nie będziesz pamiętać, co to znaczy być człowiekiem. Może i tak się zdarzyć, i wtedy jest super. Zostałaś zatruta, ale okazało się, że trucizna wcale nie jest tak straszna, kiedy już nauczysz się z nią żyć. - Oparł nogi o stolik do kawy i pociągnął łyk z puszki. - Tak w każdym razie ja to widzę.

Celeste siedziała nieruchomo na oparciu kanapy i przyglądała się z góry Dave'owi.

- O czym ty mówisz, u licha?

- O wampirach, skarbie. O wilkołakach.

- O wilkołakach? Gadasz zupełnie bez sensu.

- Naprawdę? Celeste, myślisz, że to ja zabiłem Katie. Taki sens nam przyświeca w ostatnich dniach.

- Zwariowałaś? Skąd ci to przyszło do głowy?

- Przed wyjściem z kuchni Jimmy'ego ledwie mogłaś na mnie patrzeć. Trzymałaś tę jej sukienkę tak, jakby Katie tkwiła w środku, i nie mogłaś się zmusić, żeby na mnie

spojrzeć. Zaczęło mnie to zastanawiać. Zadałem sobie pytanie: dlaczego moja żona czuje do mnie wstręt? I nagle mnie olśniło: Sean! Powiedział ci coś, prawda? On i ten jego pieprzony kumpel cwana gapa przepytawali cię.

- Nieprawda.

- Prawda.

Nie podobał się jej jego spokój, chociaż mogła go częściowo przypisywać piwu. Dave miał skłonność do alkoholu, lecz teraz w jego spokoju dostrzegła coś nieprzyjemnego.

- Davidzie...

- O, awansowałem już na „Davida”!

- ...ja nic nie myślę. Jestem po prostu kompletnie skołowana.

Podniósł głowę i popatrzył na nią.

- Dobrze, więc porozmawiajmy o naszym problemie, kotku. Dobra komunikacja to klucz do zdrowia związku.

Miała na rachunku bankowym sto czterdzieści siedem dolarów, plus pięćsetdolarowy limit debetu na karcie Visa, z którego wykorzystwała już blisko połowę. Nawet gdyby udało jej się zabrać niepostrzeżenie Michaela, daleko by nie uciekli. Dwie lub trzy noce, spędzone w jakimś motelu, i Dave byłby ich znalazł. Nie był głupcem. Wiedziała, że by zdołał ich wytropić.

Worek! Mogła oddać worek na śmieci Seanowi Devine'owi. Była pewna, że potrafiłby znaleźć ślady krwi na włóknach ubrania Dave'a. Słyszała o postępach, jakie poczyniono na polu badań DNA. Na pewno znaleźliby krew Katie na jego ubraniu i by go aresztowali.

- No - zachęcił - porozmawiajmy, kotku. Przedyskutujmy to. Mówię poważnie. Chcę, jak to się mówi, uśmierzyć twoje obawy.

- Ja się nie boję.

- Wyglądasz, jakbyś się bała.

- Nie.

- No, dobra. - Zdjął nogi ze stolika. - Więc powiedz mi, co cię gryzie, kotku?

- Jesteś pijany.

Przytaknął.

- Fakt. Co jednak nie znaczy, że nie mogę rozmawiać.

Na ekranie wampir dokonywał znowu aktu dekapitacji, tym razem na jakimś księdzu.

- Sean nie zadawał mi żadnych pytań - wyjaśniła. - Podśluchałam ich rozmowę, kiedy poszedłeś po papierosy dla Annabeth. Nie wiem, co powiedziałaś im wcześniej, Dave, ale oni w twoją wersję nie uwierzyli. Wiedzą, że byłeś w tym barze prawie do zamknięcia.

- Co jeszcze?

- Ktoś widział twój samochód na parkingu mniej więcej wtedy, kiedy Katie wyszła z lokalu. Nie uwierzyli też w tę historyjkę o skaleczeniu dłoni.

Dave wyciągnął rękę i zgiął dłoń.

- O to chodzi?

- To wszystko, co słyszałam.

- I co sobie pomyślałaś?

Omam znowu go nie pogłaskała. Miała przez chwilę wrażenie, że opuściła go agresja, ustępując miejsca przygnębieniu. Dostrzegala to w pochyleniu ramion, w postawie, więc nabrała ochoty, by wyciągnąć rękę i go dotknąć. Jednak się powstrzymała.

- Opowiedz im o tym bandycie, Dave.

- Opowiedzieć im o bandycie!

- Tak. Może będziesz musiał stanąć przed sądem. Co w tym strasznego? To o niebo lepsze, niż być podejrzanym o morderstwo.

Teraz, pomyślała. Przysięgnij, że tego nie zrobiłeś. Powiedz, że w ogóle nie widziałeś, jak Katie wychodzi z baru. Powiedz to!

- Widzę, co kombinujesz - odezwał się Dave. - Jasno to widzę. Przyszedłem do domu zakrwawiony w tym samym czasie, kiedy zamordowano Katie. Wniosek? To ja musiałem ją zabić.

- Więc?

Dave odstawił puszkę i nagle zaczął się śmiać. Oderwał stopy od podłogi, opadł plecami na poduszki kanapy i zaniósł się szalonym śmiechem. Każda próba złapania oddechu kończyła się nową salwą niepohamowanej wesołości. Śmiał się tak serdecznie, aż łzy pociekły mu z oczu, a ciałem wstrząsnęły drgawki.

- Ja... ja...

Nie mógł dokończyć zdania. Łzy ciekły mu po policzkach i wpływały do otwartych ust.

Celeste jeszcze nigdy nie była tak przerażona.

- Cha, cha, cha! Henry... - zdołał w końcu wykrztusić, gdy śmiech osłabł do

chichotliwej czkawki.

- Słucham?

- Henry... Henry i George, Celeste. Takie nosili imiona. Czyż nie można pęknąć ze śmiechu? George był naprawdę dziwny. Natomiast Henry był zwyczajnie i po chamsku podły.

- O kim ty mówisz?

- Henry i George - powtórzył już wyraźniej. - Mówię o Henrym i George'u. Facetach, którzy zabrali mnie na czterodniową przejażdżkę samochodem. Wrzucili mnie do piwnicy, gdzie na kamiennej podłodze leżał stary, zawszony śpiwór. Mieli cholerny ubaw, kotku. Nikt nie zjawiał się, aby pomóc biednemu Dave'owi. Nikt nie wpadł, żeby go ratować. Dave musiał udawać, że to wszystko przydarzyło się komuś innemu. Musiał tak wyteńczyć mózgowicę, aż udało mu się podzielić ją na pół. Tak też zrobił. Dave umarł w tej piwnicy. Nie wiem, kim był dzieciak, któremu udało się stamtąd uciec. Poniekąd stał się mną... ale z całą pewnością nie jest, kurwa, Dave'em. On nie żyje.

Celeste nie była w stanie wydobyć z siebie głosu. Dave nigdy dotąd, przez całe osiem lat, nie wspomniał słowem o przeżyciach z dzieciństwa. Powiedział jej tylko, że bawili się kiedyś z Jimmym i Seanem na ulicy, że został porwany, a potem uciekł. Nic więcej. Nigdy nie poznała imion tamtych łotrów, nie mówił o piwnicy i śpiworze. W ogóle nic na ten temat nie wspominał. Miała wrażenie, jakby zbudzili się właśnie z długiego snu, jakim było dotychczas ich małżeństwo, i wbrew swojej woli stanęli oko w oko ze wszystkimi racjonalizacjami, półprawdami, ukrytymi pragnieniami i zatajoną tożsamością, na których je zbudowali. Patrząc, jak ten fałszywy gmach wali się teraz w gruzy pod taranem prawdy, pomyślała, że właściwie w ogóle się nie znali, mieli jedynie nadzieję któregoś dnia się poznać.

- Rzecz w tym - zaczął. - Rzecz w tym... Widzisz, to jest tak jak z tymi wampirami. Bardzo podobnie. To samo cholerne kurewstwo.

- Jakie kurewstwo?

- To cię nie opuszcza. Kiedy raz w ciebie wlezie, już cię nie opuści. - Zagapił się znowu na stolik do kawy. Wyczuła, że traci z nią kontakt.

Dotknęła jego ramienia.

- Co cię nie opuści, Dave? O czym ty mówisz?

Spojrzał na jej dłoń takim wzrokiem, jakby chciał wbić w nią kły i wściekle warcząc, odgryźć u nadgarstka.



- Ja już nie mogę ufać własnemu mózgowi, Celeste. Ostrzegam cię. Nie mogę ufać własnemu mózgowi!

Cofnęła rękę. Poczowała mrowienie w palcach.

Wstał i zachwiał się. Podniósł głowę i spojrzał na Celeste, jakby nie był pewny, kim jest i skąd się tu wzięła. Potem przeniósł wzrok na ekran telewizora właśnie w chwili, gdy James Woods wystrzelił z kuszy w czyjąś pierś.

- Wystrzelaj ich wszystkich, pogromco - wysyczał. - Wystrzelaj ich wszystkich!

Odwrócił się do Celeste z pijackim uśmiechem.

- Wychodzę.

- Jak chcesz - odparła.

- Wychodzę, żeby się jeszcze napić.

- Jak chcesz - powtórzyła.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze, jeśli zdołam sobie to poukładać. Po prostu muszę to sobie poukładać.

Nie zapytała, czym jest „to”.

- Idę - oznajmił i ruszył do drzwi.

Otworzył je i był już za progiem, gdy zobaczyła, jak dłonią obejmuje futrynę i wsuwa głowę w drzwi.

Spojrzał na Celeste i powiedział:

- Aha, przy okazji. Zająłem się tymi śmieciami.

- Czym?

- Tym workiem ze śmieciami - odparł. - Tym, do którego włożyłaś moje ubranie.

Wyniosłem go i wyrzuciłem.

- Aha - bąknęła.

Ponownie zebrało jej się na mdłości.

- Więc do zobaczenia.

- Uhm - mruknęła, gdy cofnął głowę. - Do zobaczenia.

Słuchała jego kroków dopóty, dopóki nie zadudniły na podeście parteru. Rozległo się skrzypnięcie drzwi frontowych. Dave wyszedł na ganek i zbiegł na chodnik. Celeste podeszła do schodów, wiodących do sypialni Michaela na piętrze. Dobięła ją szmer głębokiego oddechu śpiącego syna. Weszła do łazienki i zwymiotowała.

Dave nie mógł znaleźć miejsca, gdzie Celeste zaparkowała samochód. Czasami, szczególnie podczas śnieżycy, można było przejechać osiem przecznic, zanim udało się

postawić samochód, więc by się nie zdziwił, gdyby zostawiła auto aż w Point. Może to i lepiej. Był zbyt pijany, by siadać za kierownicą. Porządny spacer powinien go otrzeźwić.

Doszedł Crescent do Buckingham Avenue i skręcił w lewo. Zastanawiał się, co, u licha, strzeliło mu do głowy, żeby spróbować wyjaśniać cokolwiek Celeste. Chryste, wymówił nawet te imiona, Henry i George. Wspomnił o wilkołakach, wykrzyczał to głośno. Cholerny świat!

Zdobył jednak potwierdzenie: policja go podejrzewała. Odtąd będą go mieli na oku. Koniec z traktowaniem Seana jako dawno niewidzianego kolegi z dzieciństwa. Tamto należało już do przeszłości. Przypomnił sobie teraz, czego w nim nie lubił: poczucia wyższości, przekonania, że nigdy się nie myli - zwykła przywara dzieci, którym dopisało szczęście (bo to tylko na szczęściu polega) i miały oboje rodziców, normalny dom, nowe ubrania oraz najnowszy sprzęt sportowy.

Pieprzyć Seana. I te jego oczy. Ten głos. Znajdujące się w kuchni baby omal nie zdjęły majtek, kiedy tylko się pojawił. To było widać. Pieprzyć jego i jego męską urodę. Pieprzyć tę jego moralną wyższość, jego zabawne historyjki, dumę policjanta i sławę faceta, o którym pisali w gazecie.

Nie jest przecież głupi. Sprostą wyzwaniu, jak tylko przejaśni mu się w głowie. Gdyby musiał w tym celu odkręcić sobie głowę i na powrót ją przykręcić, znalazłby jakiś sposób nawet na to.

Największy problem polegał na tym, że Chłopiec, Który Uciekł Wilkom i Stał Się Dorosły, zbyt wyraźnie ukazał swoją twarz. Dave miał nadzieję, że czyn, na jaki się porwał w sobotnią noc, załatwi tę kwestię ostatecznie, zamknie popaprańca, odeśle go na powrót daleko w gąszcz umysłu Dave'a. Chłopiec zapragnął tamtej nocy krwi, zapragnął zadać komuś cierpienie, a on go posłuchał.

Z początku nie zapowiadało się tak groźnie. Kilka uderzeń, kopniak. Potem jednak stracił nad sobą panowanie. Dave czuł, jak narasta w nim gniew, gdy Chłopiec doszedł do głosu. Potrafił być okrutny. Nie zaznał satysfakcji, dopóki nie zobaczył strzępów cudzego mózgu.

A kiedy było już po wszystkim, znikł. Wyparował i Dave musiał sam zaprowadzić porządek. Nawet nieźle mu poszło. (Może nie aż tak dobrze, jak by chciał, to jasne, ale wcale nie najgorzej). A wszystko to zrobił wyłącznie po to, by Chłopiec dał mu wreszcie spokój.

Ten jednak okazał się ostatnim skurwysynem. Znowu wrócił, zapukał do drzwi i

kazał Dave'owi wyjść, czy ma na to ochotę, czy nie. Mamy coś do załatwienia, stary.

Aleja rozmazywała się Dave'owi przed oczami, kołysała na boki. Wiedział tylko tyle, że kierują się do baru Ostatnia Kropla. Zbliżali się do zakazanego rewiru zbrojeńców i dziwki. Każdy ochoczo sprzedawał tam to, co małemu Dave'owi odebrano siłą.

Odebrano mnie, sprostował Chłopiec. Ty dorosłeś. Nie próbuj dźwigać nie swojego krzyża.

Najgorsze były dzieci. Przypominały skrzaty. Wyskakiwały z bram i skorup samochodów i oferowały, że zrobią ci laskę. Oferowały numerek za dwie dychy. Gotowe na wszystko.

Najmłodszy, którego Dave spotkał w tę sobotnią noc, nie mógł mieć więcej niż jedenaście lat. Na twarzy wokół oczu ciemniały kręgi brudu. Skórę miał białą jak mleko, na głowie kopę zmierzwionych rudych włosów, co jeszcze podkreślało podobieństwo do skrzata. Powinien siedzieć w domu i oglądać sitcomy, a nie włóczyć się po ulicy, oferując zbrojeńcom, że robi im laskę.

Dave dostrzegł go z przeciwnej strony ulicy. Wszedł właśnie z baru i podszedł do samochodu. Chłopiec stał oparty o latarnię i palił papierosa. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, Dave poczuł to: podniecenie, pragnienie, by zapaść się pod ziemię. Wziąć rudego chłopca za rękę i poprowadzić w ustronne miejsce. To byłoby takie łatwe, odprężające, takie kurewsko pożądane. Wystarczyło się poddać. Ulec pragnieniu, które tkwiło w nim od co najmniej dziesięciu lat.

Fajnie, powiedział Chłopiec. Zrób to.

W głębi duszy Dave wiedział jednak (właśnie wtedy jego umysł rozszczepiał się na dwie części), że ulegając pokusie, popełniłby najgorszy z grzechów. Zdawał sobie sprawę, że przekroczyłby granicę, zza której już nigdy nie zdołałby wrócić. Miał świadomość, że gdyby ją przekroczył, już nigdy nie czułby się jak pełny, wartościowy człowiek, i mógłby na dobrą sprawę zostać na resztę życia w piwnicy z Henrym i George'em. Powtarzał to sobie w chwilach pokusy, gdy mijał przystanki szkolnych autobusów, a latem boiska i publiczne baseny. Przysięgł sobie, że nigdy nie stanie się taki jak Henry i George. Był od nich lepszy. Wychowywał syna. Kochał żonę. Oprze się pokusie. Z roku na rok częściej to sobie przysięgał.

Sobotniej nocy niewiele to pomogło. Pokusa była wyjątkowo silna. Mały rudzielec, opierający się o słup latarni, zdawał się wyczuwać jego stan. Uśmiechnął się do Dave'a. Dave poczuł, jak jakaś siła ciągnie go w stronę krawężnika. Było tak, jakby stał

boso na stromym zboczach pokrytym śliskim jedwabem.

Nagle po drugiej stronie ulicy zatrzymał się samochód. Chłopiec zamienił kilka słów z jego kierowcą, otworzył drzwi i wsiadł, posławszy Dave'owi zawiedzione spojrzenie. Dave patrzył, jak kabriolet, cadillac w dwóch odcieniach, granatu i bieli, przeciął aleję i zakręcił na tyły parkingu przed barem Ostatnia Kropla. Dave wsiadł do samochodu, a tymczasem cadillac zatrzymał się w cieniu gęstych drzew rosnących nad pochylonym ogrodzeniem. Kierowca zgasił światła, lecz nie wyłączył silnika, a Chłopiec zaszeptał Dave'owi prosto do ucha: Henry i George, Henry i George, Henry i George...

Tego wieczoru chciał zawrócić, choć słyszał głos Chłopca, który krzychał: jestem tobą, jestem tobą, jestem tobą!

Miał ochotę zatrzymać się i rozplakać. Oprzeć się o ścianę najbliższego domu i zalać łzami, bo wiedział, że Chłopiec miał rację. Chłopiec, Który Uciekł Wilkom i Dorósł sam stał się wilkiem. Stał się Dave'em.

Wilk Dave.

To się musiało dokonać niedawno, bo Dave nie mógł sobie przypomnieć żadnego wstrząsającego momentu, w którym jego dusza zdeformowała się i uleciała, aby zrobić miejsce tej nowej istocie. Jednak się dokonało. Pewnie kiedy spał.

Nie potrafił się zatrzymać. Ten odcinek alei był zbyt niebezpieczny, roило się od ćpunów, którzy w pijanym Davie zwietrzyliby łatwą ofiarę. W tej samej chwili zauważył po drugiej stronie ulicy toczące się wolno auto. Kierowca go obserwował.

Dave nabrał tchu i starał się iść prosto. Chciał wyglądać na spokojnego i pewnego siebie. Rzucił spojrzenie z gatunku „odpierdol się” i zawrócił w stronę domu, choć w głowie nie przejaśniło mu się nic a nic, a Chłopiec wciąż krzychał. Postanowił jednak go zignorować. Był w stanie to zrobić. Był dość silny. Dave Wilk.

Głos Chłopca zaczynał słabnąć. Krzyk zmieniał się w stonowany głos, jakim prowadzi się potoczną rozmowę, w miarę jak Dave zbliżał się do domu.

Jestem tobą, powtarzał Chłopiec tonem przyjacielskiej perswazji, jestem tobą.

Celeste wyszła z domu, niosąc na wpół uśpionego Michaela i stwierdziła, że Dave zabrał samochód. Zaparkowała pół przecznicy dalej, zaskoczona, że o tej porze w dzień powszedni udało jej się znaleźć wolne miejsce. Teraz stał tam jakiś niebieski jeep.

To pokrzyżowało jej szyki. Wyobraziła sobie, że sadza synka na fotelu pasażera,

wrzuca torby na tylne siedzenie i jedzie pięć kilometrów do motelu Econo Lodge przy autostradzie.

- Psiakrew! - zakląła głośno. Musiała się powstrzymać, żeby nie zacząć krzyczeć.

- Co się stało, mamó? - zapytał Michael, który otworzył oczy.

- Nic, synku. Wszystko w porządku.

Może zresztą istotnie nie było tak źle, obejrzawszy się bowiem, zobaczyła taksówkę, która skręcała z Perthshire na Buckingham Avenue. Podniosła rękę, w której trzymała torbę Michaela, i taksówka zatrzymała się przy krawężniku. Celeste uznała, że może odzłować te sześć dolarów za kurs do Econo Lodge. Odzłowałyby i sto, gdyby mogła dzięki temu natychmiast zniknąć z miasta. Najchętniej wyjechałaby daleko, gdzie mogłaby wszystko spokojnie przemyśleć, bez ciągłego oglądania się na drzwi, czy nie poruszy się klamka i nie wróci mężczyzna, który mógł tymczasem dojść do wniosku, że jest wampirzycą, godną jedynie tego, by przebić jej serce kołkiem, a potem, na wszelki wypadek, szybko odrąbać jej głowę.

- Dokąd? - zapytał kierowca, gdy Celeste położyła torby na siedzeniu i wsunęła się za nimi z Michaeliem na rękę.

Dokądkolwiek, miała ochotę odpowiedzieć. Dokądkolwiek, byle jak najdalej stąd.

**IV**

**AWANS**

## Drapieżna ryba

- Pan odholował jego samochód? - zapytał Sean.

- Jego samochód został odholowany - zauważył Whitey - a to nie to samo.

Kiedy wydostali się z porannego korka i zjeżdżali z autostrady na East Buckingham, Sean zapytał:

- Dlaczego?

- Został porzucony - wyjaśnił Whitey, gwizdząc z cicha, gdy skręcał w Roseclair.

- Gdzie? - nie ustępował Sean. - Przed jego domem?

- Ależ nie - powiedział Whitey. - Aż w Rome Basin, koło parkingu. Mamy szczęście, że parkingi należą do jurysdykcji stanowej, no nie? Wygląda na to, że ktoś go sobie pożyczył na przejażdżkę, a potem porzucił. Takie rzeczy się zdarzają.

Rano Sean obudził się ze snu, w którym tulił córkę i wymawiał jej imię, choć go nie znał. Nie mógł sobie przypomnieć, co mówił we śnie, więc był jeszcze trochę oszołomiony.

- Znaleźliśmy ślady krwi - dodał Whitey.

- Gdzie?

- Na przednim siedzeniu samochodu Boyle'a.

- Dużo?

Whitey rozstawił kciuk i palec wskazujący na szerokość włosa.

- Kapinkę. Więcej znaleźliśmy w bagażniku.

- W bagażniku - powtórzył machinalnie Sean.

- Znacznie więcej.

- Więc?

- Więc posłaliśmy próbkę do laboratorium.

- Nie o to chodzi. Pytałem, więc co z tego, że znaleźliście w bagażniku krew? Katie Marcus nigdy nie leżała w żadnym bagażniku.

- To pewien szkopuł, fakt.

- Pańskie prawo do przeszukania samochodu zostanie podważone, panie sierżancie.

- Nie sędzę.

- Nie?

- Samochód został skradziony i porzucony na terenie jurysdykcji stanowej. Choćby tylko z powodów ubezpieczenia i, pozwolę sobie dodać, w najlepiej pojętym interesie właściciela...

- Dokonał pan przeszukania i sporządził raport.

- Bystry chłopiec.

Zatrzymali się przed domem Dave'a Boyle'a i Whitey przesunął dźwignię automatycznej skrzyni biegów na pozycję „PARK”. Wyłączył silnik.

- Mam dość materiału, by zaprosić twoją koleżkę na wstępną pogawędkę. Na razie mi to wystarczy.

Sean kiwnął głową. Nie było sensu się sprzeczać. Whitey dochrapał się jedynie stopnia sierżanta w wydziale zabójstw właśnie z powodu nieustępliwości, z jaką odnosił się do własnych przeczuc. Nie można mu było ich wyperswadować, należało przeczekać.

- A co mówi balistyka? - zapytał Sean.

- To również wydaje się dziwne - odparł Whitey. Nie zbierał się do wysiadania; siedzieli i patrzyli przez okna samochodu na dom Dave'a. - Strzelano, jak przypuszczaliśmy, ze smitha kaliber trzydzieści osiem. Pochodził z napadu na sklep handlarza bronią w New Hampshire w osiemdziesiątym pierwszym. Broń, z której strzelano do Katie Marcus, była użyta do napadu na sklep z alkoholem w osiemdziesiątym drugim, ale tu w Buckingham.

- We Flats?

Whitey pokręcił głową.

- W Rome Basin, sklep nosi nazwę Looney Liquors. W napadzie brało udział dwóch ludzi, obaj mieli na twarzach gumowe maski. Weszli od zaplecza, kiedy właściciel zamknął już drzwi od ulicy. Ten, który wpadł do sklepu pierwszy, oddał strzał ostrzegawczy, kula przebiła butelkę ryżowej whisky i utkwiała w ścianie. Potem napad przebiegał już gładko, tę jednak kulę odzyskano. Balistyka ustaliła, że wystrzelono ją z tej samej broni, z której zabito Katie Marcus.

- Co raczej nie pasuje, nie uważa pan? - wtrącił Sean. - W osiemdziesiątym drugim Dave miał... zaraz... siedemnaście lat. Zaczynał pracę u Raytheona. Nie przypuszczam, by wówczas interesowały go skoki na sklepy monopolowe.

- Co nie znaczy, że ta spluwa nie mogła koniec końców trafić do jego rąk. Przecież



wiesz, jak te zabawki potrafią krążyć. - Whitey nie sprawiał wrażenia tak pewnego siebie, jak ostatniego wieczoru. - Chodźmy więc do niego - dodał i otworzył drzwiczki samochodu.

*Jimmy zaparkował samochód i z tekturową tacką, na której stały kubki z kawą, i torbą obwarzanków w rękach ruszył przez spękany asfalt w stronę rzeki Mystic. W górze samochody pędziły po przęsłach mostu Tobin. Katie klęczała nad wodą obok Just Raya Harrisa. Oboje wpatrywali się w rzekę. Był tam również Dave Boyle, którego skaleczona dłoń spuchła do rozmiarów rękawicy bokserskiej. Siedział obok Celeste i Annabeth, wszyscy troje na zapadniętych leżakach. Celeste miała usta zamknięte na suwak, a Annabeth paliła dwa papierosy jednocześnie. Wszyscy troje nosili czarne okulary przeciwsłoneczne. Nie patrzyli na Jimmy'ego. Wpatrywali się w spodnią powierzchnię mostu. Ich miny mówiły: zostawcie nas w spokoju.*

*Postawił tackę z kawą i obwarzankami obok Katie i ukląkł pomiędzy nią a Rayem. Spojrzał na wodę i ujrzał w niej swe odbicie obok odbić Katie i Raya, którzy w tej właśnie chwili odwrócili się w jego stronę. Ray trzymał w zębach dużą czerwoną rybę, która chyba jeszcze żyła, bo trzepotała konwulsyjnie.*

*Katie powiedziała:*

*- Wrzuciłam sukienkę do wody.*

*- Nie widzę jej - odparł Jimmy.*

*Ryba wyskoczyła tymczasem z ust Raya, plasnęła o wodę i odpłynęła.*

*- Dopadnie ją - zauważyła Katie. - Jest rybą drapieżną.*

*- Smakowała zupełnie jak kurczak - orzekł Ray.*

*Jimmy poczuł na plecach ciepłą dłoń córki, a potem dłoń Raya na karku. Katie powiedziała:*

*- Może ty spróbujesz ją wyłowić, tato?*

*Zepchnęli go z brzegu. Jimmy miał przed oczami powierzchnię czarnej wody, po której przesuwawa się w jego stronę roztrzepotana ryba. Zrozumiał, że zaraz utonie. Otworzył usta, chcąc krzyknąć, i ryba w nie wskoczyła. Zatamowała mu dopływ powietrza. Woda przypominała czarną farbę, w której zanurzył twarz.*

Otworzył oczy i obrócił głowę. Zegar wskazywał kwadrans po siódmej. Nie pamiętał, kiedy położył się do łóżka. Musiał to jednak zrobić, bo w nim leżał. Obok

spała Annabeth. Wstawał nowy dzień. Za niecałą godzinę miał spotkanie w sprawie wyboru nagrobka. Tymczasem Just Ray Harris i Mystic zapukali do drzwi jego sumienia.

Kluczem do udanego śledztwa jest maksymalne wykorzystanie czasu, jakim dysponuje policja, zanim podejrzany zażąda adwokata. Doświadczeni przestępcy - handlarze narkotyków, zbiorowi gwałciciele, członkowie gangów motocyklowych i mafiosi - na ogół z miejsca żądali „papugi”. Można było trochę z nimi się pobawić, spróbować drani zmiękczyć, nim zdążył przyjechać adwokat. Z reguły należało polegać na materiale dowodowym, jeśli chciało się sprawę doprowadzić na wokandę. Seanowi z rzadka udawało się postawić takiego twardziela przed obliczem sprawiedliwości i doczekać skazującego wyroku.

Kiedy zaś miało się do czynienia ze zwykłymi obywatelami lub początkującymi przestępcami, większość spraw była rozpracowywana we wstępnym etapie przesłuchań. Tak było między innymi z przypadkiem tak zwanego „piractwa drogowego”, stanowiącym, jak dotąd, rekordowe osiągnięcie w karierze Seana. Pewien gość z Middlesex wracał którejs nocy do domu i przy prędkości stu trzydziestu kilometrów na godzinę urwało mu się przednie koło jeepa. Urwało się i potoczyło po autostradzie. Jeep przeokoziółkował kilkanaście razy. Kierowca, niejaki Edwin Hurka, zginął na miejscu.

Okazało się, że śruby mocujące obu przednich kół nie były prawidłowo dokręcone. Badali, zatem co najwyżej możliwość nieumyślnego zabójstwa, przeważała, bowiem opinia, że błąd popełnił jakiś skacowany mechanik samochodowy. Na dokładkę Adolph, ówczesny partner Seana, odkrył, że Hurka kilka tygodni wcześniej zmieniał opony. Sean znalazł jednak w schowku pod tablicą rozdzielczą jeepa kawałek papieru, który go zaciekał. Był to pośpiesznie nabazgrany czyjś numer rejestracyjny. Okazało się po sprawdzeniu w komputerze, że to numer rejestracyjny samochodu niejakiego Alana Barnes. Sean podjechał pod dom Barnes. Sean zapytał faceta, który mu otworzył, czy ma przyjemność z panem Alanem. Facet odpowiedział głosem trzęsącym się ze zdenerwowania, że owszem, o co chodzi? Na co Sean oświadczył najspokojniej w świecie: „Chciałbym zamienić z panem dwa słowa na temat pewnych nakrętek do kół”.

Barnes pękł od razu tam w progu. Wyznał Devine’owi, że chciał tylko trochę uszkodzić wóz tamtego typu, żeby go nastraszyć. Ci dwaj ścięli się tydzień wcześniej

przed tunelem na pasie dojazdowym do lotniska. U jego końca Barnes był już tak wściekły, że zawrócił, machnąwszy ręką na umówione spotkanie, i pojechał za Edwinem Hurką. Zaczekał, aż gospodarz położy się spać, po czym chwycił za klucz do odkręcania kół.

Ludzie byli głupi. Zabijali się z najbłaższych powodów, a potem sami się prosili, żeby ich złapano, albo przychodzili do sądu i oświadczali, że są niewinni, mimo że wcześniej szczerze przyznali się do winy jakiemuś policjantowi. Najskuteczniejszą bronią policjanta była właśnie głęboka znajomość ludzkiej głupoty. Niech się wygadają. Zawsze im na to pozwalaj. Niech się rozwlekle tłumaczą. Wyznają swoje winy, gdy zmiękczasz ich kawką, włączywszy ukradkiem magnetofon.

A kiedy proszą o adwokata (zwykły obywatel prawie zawsze prosił), marszczysz brwi i pytasz surowo, czy są pewni, że tego naprawdę chcą. W pokoju zapada nieprzyjemna cisza. Po chwili przesłuchiwany oświadcza, że chciałby się z wami bliżej zaprzyjaźnić i godzi się na dalszą rozmowę, zanim przybycie adwokata zepsuje wam miły nastrój.

Dave nie poprosił jednak o adwokata. Siedział w fotelu, który zapadał się, gdy się zbyt odchylił. Wyglądał na skacowanego i poirytowanego. Złym okiem spoglądał szczególnie na Seana. Nie był jednak wystraszony czy zdenerwowany. Sean wyczuł, że w końcu również jego partner to zauważył.

- Niech pan posłucha, panie Boyle - zaatakował Whitey - wiemy, że wyszedł pan od McGillsa wcześniej, niż pan zeznał. Wiemy też, że pół godziny później pojawił się pan na parkingu przed barem Ostatnia Kropla, mniej więcej w tym czasie, gdy wychodziła z niego panna Marcus. Ponadto uważamy, że ręka panu spuchła nie w wyniku uderzenia w ścianę podczas meczu bilardowego.

Dave westchnął i zapytał:

- Napiją się panowie sprite'a lub czegoś podobnego?

- Może za chwileczkę - powtórzył Whitey, już chyba po raz czwarty w ciągu ostatniej półgodziny ich pobytu pod dachem Boyle'a. - Proszę nam powiedzieć, co się naprawdę wydarzyło tamtej nocy.

- Już mówiłem.

- Skłamał pan.

Dave wzruszył ramionami.

- To pan tak twierdzi.

- Nie ja. Fakty. Skłamał pan w sprawie godziny opuszczenia McGillsa. Ten

cholerny zegar stanął, panie Boyle, pięć minut wcześniej, niż pan stamtąd wyszedł, przynajmniej pańskim zdaniem.

- Całych pięć?

- Pana to bawi?

Dave odchylił się jeszcze bardziej w fotelu. Sean czekał na złowróżbny trzask, jaki zazwyczaj ten mebel wydawał, lecz się nie doczekał, ponieważ Dave doprowadził przechyl do granicy, której jednak nie przekroczył.

- Ani trochę, sierzancie. Jestem zmęczony. Mam kaca. Nie tylko skradziono mi wóz, ale na dokładkę dowiaduję się teraz od panów, że mi go nie oddacie. Mówi pan, że wyszedłem od McGillsa pięć minut wcześniej, niż zeznałem?

- Co najmniej pięć.

- Dobra. Niech panu będzie. Może i tak. Najwyraźniej nie spoglądam na zegarek tak często jak wy. Jeśli pan twierdzi, że wyszedłem od McGillsa za dziesięć pierwsza, a nie za pięć pierwsza, zgoda, niech i tak będzie. Wielkie rzeczy. Wróciłem stamtąd do domu. Nie poszedłem do żadnego innego baru.

- Widziano pana na parkingu przed...

- Nieprawda - wtrącił Dave. - Widziano jakąś hondę z wgniecionym błotnikiem. Zgadza się? Czy pan wie, ile hond jeździ po tym mieście? Niech pan nie żartuje!

- A ile z wgniecionym błotnikiem dokładnie w tym samym miejscu, co u pana, panie Boyle?

Dave wzruszył ramionami.

- Założę się, że z setka.

Whitey zerknął na Seana, który pojął, że ich akcje spadają. Dave miał rację - znaleźliby najpewniej ze dwadzieścia hond z wgniecionym błotnikiem po stronie pasażera. Co najmniej tyle. Jeśli Dave przytoczył ten argument, co mówić o jego adwokacie.

Whitey obszedł fotel Dave'a i powiedział:

- Niech nam pan wyjaśni, skąd wzięła się krew w pańskim samochodzie.

- Krew?

- Krew, którą znaleźliśmy na przednim siedzeniu. Zaczniemy od tego.

- Co powiesz na sprite'a, Sean?

- Chętnie - odparł Sean.

Dave się uśmiechnął.

- Rozumiem. Jesteś dobrym gliną. A na kanapkę z klopsikiem do sprite'a?

Sean, który podnosił się już z fotela, na powrót usiadł.

- Nie jestem u ciebie chłopcem na posyłki, Dave. Nie licz na to.

- Jednak jesteś czymś chłopcem na posyłki, prawda, Sean?

Dave powiedział to z jakimś wariackim uśmieszkiem w oczach, z widoczną zawziętością. Sean zaczął się zastanawiać, czy Whitey nie ma czasem racji, i czy jego ojciec, widząc takiego Dave'a Boyle'a, wyraziłby o nim podobną opinię, co ubiegłej nocy.

- Krew na przednim siedzeniu twojego wozu, Dave - odpowiedział. - Wyjaśnij to sierżantowi.

Dave zwrócił spojrzenie na Whiteya.

- Podwórko za naszym domem jest ogrodzone siatką. Zna pan ten rodzaj, z drutami wygiętymi u góry do środka. Przed wczoraj robiłem coś w ogrodzie. Widzi pan, mój gospodarz jest stary. Ja pomagam mu w ogrodzie, a on utrzymuje czynsz na rozsądnym poziomie. Przycinałem takie podobne do bambusa pręty, jakie tam hoduje...

Whitey westchnął, ale Dave zdawał się tego nie zauważać.

- ...i się poślizgnąłem. Trzymałem w ręku elektryczny sekator, nie chciałem go upuścić, poślizgnąłem się, upadłem na siatkę i się skaleczyłem. - Poklepał się po żebrach. - Tutaj. Nic groźnego, ale krwawiłem jak zarzynane prosię. Tymczasem miałem odebrać syna po treningu szkolnej drużyny baseballowej. Prawdopodobnie nadal krwawiłem, kiedy siadałem za kółkiem. Żadne lepsze wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

- Więc to pańską krew znaleźliśmy na przednim siedzeniu? - zapytał Whitey.

- Jak powiedziałem... żadne lepsze wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

- Jaką pan ma grupę krwi?

- B minus.

Whitey posłał mu promienny uśmiech, obszedł fotel i przysiadł na krawędzi stołu.

- Zabawne. Właśnie krew tej grupy znaleźliśmy na przednim siedzeniu.

Dave podniósł rękę.

- Sam pan widzi.

Whitey zmąpował gest Dave'a.

- Nie za wiele widzę. Zechce pan zatem wyjaśnić sprawę krwi w bagażniku? Nie należała do grupy B minus.

- Nic nie wiem o żadnej krwi w bagażniku.

Whitey zachichotał.

- Zatem nie wie pan, skąd krew w ilości szklanki wzięła się w bagażniku pańskiego samochodu?

- Nie wiem.

Whitey pochylił się i poklepał Dave'a po ramieniu.

- Chętnie panu podpowiem, panie Boyle. Nie tędy droga. Jeśli zechce pan twierdzić przed sądem, że nie wie pan, skąd się wzięła krew w pańskim samochodzie, jak to będzie wyglądało?

- Nieźle, jak przypuszczam.

- Na jakiej podstawie pan tak przypuszcza?

Dave odchylił się wraz z fotelem i ręka Whiteya spadła z jego ramienia.

- Sam pan sporządził ten raport, sierżancie.

- Jaki raport?

Sean domyślił się dalszego ciągu.

- Raport o kradzieży auta - wyjaśnił Dave.

- Więc?

- Więc samochód nie znajdował się ostatniej nocy w moim posiadaniu. Nie wiem, do jakiego celu użyli go złodzieje, może pan zechce to ustalić, wygląda bowiem na to, że nie do zbożnego.

Przez dłuższą chwilę Whitey siedział oniemiały. Sean wyczuł, że powoli zaczyna do niego docierać, że przechytrzył, i na własne życzenie pokpił sprawę. Niemal wszystko, co znaleźli w samochodzie, zostanie przed sądem zakwestionowane, bo adwokat Dave'a będzie utrzymywał, że zostawili to złodzieje.

- Krew nie była świeża, panie Boyle.

- Doprawdy? Może pan to udowodnić, sierżancie? Jest pan pewien, że po prostu nie wyschła nieco szybciej? Przypominam, że miniona noc nie należała do wilgotnych.

- Możemy to udowodnić - burknął Whitey, ale Sean usłyszał ton zwątpienia w jego głosie, więc był pewien, że i Dave go odnotował.

Sierżant wstał i odwrócił się plecami do przesłuchiwanego. Podniósł rękę do ust i zabębnił palcami o górną wargę, gdy ze wzrokiem utkwionym w podłogę obchodził stół, idąc w stronę Seana.

- Więc co z tym sprite'em, panowie? - zapytał z ironią Dave.

- Sprowadzimy faceta, z którym rozmawiał Souza, tego, który widział wóz.

Tommy'ego, jak mu tam...

- Moldanado - odpowiedział Sean.

- Właśnie. - Whitey kiwnął głową. Wyglądał jak facet, któremu wyciągnięto krzesło spod tyłka. Wylądował na podłodze i dziwi się, jak się tam znalazł.

- No więc tak... ustaw tego Boyle'a w szeregu z paroma facetami. Zobaczymy, czy Moldanado go rozpozna.

- Śmiało pociągnięcie - zauważył Sean.

Whitey oparł się o ścianę korytarza. Mijała ich właśnie jakaś sekretarka, której perfumy pachniały tak samo jak perfumy Lauren. Sean postanowił, że zadzwoni do żony, zapyta, jak się dziś miewa. Może z nim pogada, jeśli to on zrobi pierwszy krok.

- Był zbyt pewny siebie - podjął Whitey. - Żeby facet na pierwszym przesłuchaniu nawet się nie spocił?

- To brzydko pachnie, sierżancie, nie widzi pan?

- Nie chrzań.

- Jeśli nawet nie wyłożymy się na wozie, fakt pozostaje faktem: to nie jest krew Katie Marcus. Nie mamy nawet niteczki, żeby go podwiązać do tej sprawy.

Whitey spojrział na zamknięte drzwi pokoju przesłuchań.

- Ja go złamię.

- Dał nam popalić - zauważył Sean.

- Jeszcze zobaczymy - odparł Whitey.

Sean dostrzegał już jednak na jego twarzy oznaki zwątpienia, zapowiedź odejścia od przeczuc. Sierżant był uparty, bywał też podły, gdy wiedział, że ma stuprocentową rację, lecz inteligencja nie pozwalała mu upierać się przy przeczuciach wbrew oczywistości.

- Wie pan co - powiedział Sean - pozwólmy mu się jeszcze trochę spocić.

- On się wcale nie poci.

- Może zacząć, jeśli zostawimy go na dłużej sam na sam z jego myślami.

Whitey ponownie spojrział na zamknięte drzwi, jakby chciał przepalić je wzrokiem.

- Możliwe.

- Uważam, że to spluwa - powiedział Sean. - Wykładamy się na spluwie.

- Byłoby niezłe dowiedzieć się czegoś więcej na jej temat. Zająłbyś się tym?

- Właściciel sklepu monopolowego jest ten sam?

- Nie mam pojęcia. Raport w tamtej sprawie pochodzi z osiemdziesiątego

drugiego roku. Wtedy właścicielem był niejaki Lowell Looney.

Sean uśmiechnął się, usłyszawszy to nazwisko.

- Brzmi znajomo, tak? Może byś się tam kopnął? Ja popodglądam sobie tego gnojka przez szybę. Może zacznie śpiewać piosenki o zamordowanych w parku dziewczętach.

Lowell Looney miał na oko osiemdziesiątkę, ale wyglądał tak, jakby mógł pokonać Seana na setkę. Był ubrany w pomarańczową koszulkę z nadrukiem „Porter’s Gym”, wyłożoną na niebieskie spodnie od dresu z białą lamówką, i nowiutkie reeboki. Po sklepie poruszał się tak, jakby był gotów podskoczyć po najwyższej stojącej butelkę na regale, gdyby się go o to poprosiło.

- Dokładnie tu - powiedział do Seana, wskazując rząd ćwierćlitrowek za kontuarem. - Przebiła jedną butelkę i utkwiała w tej ścianie.

- Można się było przestraszyć, co?

Staruszek wzruszył ramionami.

- Było to na pewno gorsze niż wypicie szklanki mleka na śniadanie. Jednak nie bardziej, niż bywa tutaj w niektóre noce. Dziesięć lat temu jakiś stuknięty gnojek przystawił mi lufę do głowy. Miał oczy podobne do ślepi wściekłego psa, mrugał i pocił się jak cholera. To było dopiero straszne, synku. Faceci, którzy wpakowali kulę w tę ścianę, byli zawodowcami. Z zawodowcami potrafię się dogadać. Chcą tylko forsy, nie są wkurwieni na cały świat jak te gnojki.

- Więc ci dwaj...

- Wejźmy na zaplecze - zaproponował Lowell Looney i prześliznął się w drugi koniec kontuaru, gdzie wisiała czarna zasłonka. - Tu z tyłu są drzwi na rampę wyładunkową. W tamtych latach pracował u mnie chłopak, który wyrzucał śmieci i w przerwach popalał tam sobie trawkę. Prawie zawsze zapominał zamknąć za sobą drzwi na klucz, jak wracał do sklepu. Albo sam nadał tę robotę, albo te typki obserwowały go dość długo, by się zorientować, że ma nierówno pod sufitem. Tamtej nocy weszli przez nie zamknięte drzwi, wystrzelili serię ostrzegawczą, żebym nie sięgał po spluwę, i wzięli, po co przyszli.

- Na ile pana trafili?

- Na sześć tysięcy.

- Ładna sumka.

- W czwartki realizowałem czeki - wyjaśnił Lowell. - Teraz już tego nie robię, ale



wtedy byłem jeszcze taki durny. Oczywiście, gdyby ci rabusie byli trochę inteligentniejsi, napadliby mnie rano, zanim większość tych czeków została zrealizowana. - Wzruszył ramionami. - Powiedziałem, że byli zawodowcami, ale chyba nie z tych najbystrzejszych.

- A ten chłopak, który zostawiał otwarte drzwi? - odpowiedział Sean.

- Marvin Ellis - odparł Lowell. - Cholera, może i maczał w tym palce. Wyrzuciłem go zaraz następnego dnia. Ci faceci oddali strzał tylko dlatego, że wiedzieli, iż trzymam pod ladą broń. A to nie było powszechnie wiadome, więc albo im o tym powiedział Marvin, albo jeden z nich musiał u mnie kiedyś pracować.

- Powiedział pan o tym policji?

- O, tak. - Staruszek machnął ręką na to wspomnienie. - Przejrzeli stare księgi, przesłuchali wszystkich, z którymi kiedykolwiek współpracowałem. W każdym razie tak twierdzili. Nikogo jednak nie aresztowali. Mówisz, że tego samego pistoletu użyto do popełnienia innej zbrodni?

- Tak - potwierdził Sean. - Panie Looney...

- Lowell, na litość boską.

- Lowell - poprawił się Sean - masz jeszcze te stare księgi?

Dave patrzył w weneckie lustro w pokoju przesłuchań. Wiedział, że z drugiej strony przygląda mu się partner Seana, a może i sam Sean.

Doskonale.

Jak to idzie? Smakuje mi ten sprite. Co oni tam dodają? Limonę. Smakuje mi ta limona, sierżancie. Mniem, mniem, pyszna. Owszem, proszę pana. Nie mogę się już doczekać następnej puszki.

Dave wpatrywał się zza długiego stołu w sam środek lustrzanej szyby. Czuł się wyśmienicie. To prawda, nie wiedział, dokąd Celeste pojechała z Michaeliem. Tej niewiedzy towarzyszył budzący się lęk, który mącił jego umysł znacznie bardziej niż te piętnaście czy coś koło tego piw, jakie wlał w siebie ubiegłej nocy. Ona wróci. Coś mu majaczyło, że mógł ją ostatniej nocy przestraszyć. Z całą pewnością gadał od rzeczy, plótł coś o wampirach i rzeczach, które wnikają w ciebie i potem nie można się ich pozbyć. Celeste mogła się zdenerwować.

Nie miał do niej pretensji. To on zawinił, bo pozwolił, żeby zawładnął nim Chłopiec i pokazał swoją wstrętą, zdziczałą twarz.

Celeste i Michael odeszli, mimo to on czuł się silny. Całkiem opuścił go brak

zdecydowania, jaki go nękał przez kilka ostatnich dni. Udało mu się nawet przespać sześć godzin ostatniej nocy. Po przebudzeniu czuł się nieświeżo, miał ciężką głowę, ale w miarę jasny umysł.

Wiedział, kim jest. Wiedział, że dobrze postąpił. Zabójstwo - nie mógł dłużej zwalać tego czynu na Chłopca. To on, Dave, popełnił morderstwo! - dodało mu sił, tak to teraz widział. Gdzieś przeczytał, że starożytni wojownicy zjadali serca swoich ofiar po to, by zmarli dodawali im mocy. Tak się właśnie czuł. Oczywiście nie zjadł niczyjego serca. Nie był aż tak porąbany. Odczuwał jednak dumę drapieżnika. Zabił. Postąpił właściwie. Poskromił potwora, który w nim siedział, zboczeńca, który pragnął wziąć młodego chłopaka w ramiona.

Ten zboczeniec już zniknął, bracie. Poszedł do piekła wraz z ofiarą Dave'a. Zabijając drugiego człowieka, zabił i tę gorszą część samego siebie. Zboczeńca, który siedział w nim od jedenastego roku życia, stał wraz z nim w oknie i obserwował, jak na Rester Street uhonorowano jego powrót. Był wtedy taki słaby. Czuł się obnażony, wystawiony na pośmiewisko. Rodzice innych dzieci uśmiechali się do niego. To było tylko na pokaz. Domyślił się, że w głębi duszy litowali się nad nim, bali się go i zarazem nienawidzili. Uciekł z przyjęcia, bo nie mógł znieść ukrytej pogardy, która sprawiała, że czuł się jak śmieć.

Teraz inna nienawiść uczyni go silnym, ponieważ teraz miał inną tajemnicę, lepszą od tamtej starej, wstydlivej, która zresztą była tajemnicą poliszynela. Miał tajemnicę, która go wywyższała, a nie poniżała.

Podejdz no, chciał powiedzieć. Bliżej, wyznam ci na ucho moją tajemnicę.

Zabiłem człowieka.

Zamknął oczy i uśmiechnął się prosto w twarz gliniarzowi za lustrzaną szybą.

Zabiłem człowieka, a wy nie zdołacie mi tego udowodnić.

I kto jest teraz słaby?

Sean zastał Whiteya w gabinecie po drugiej stronie weneckiego lustra, zamontowanego w pokoju przesłuchań. Sierżant stał z nogą opartą na siedzeniu podartego skórzanego fotela. Przyjrzał się wchodzącemu znad kubka z kawą.

- Okazał go pan świadkowi?

- Jeszcze nie - odparł Whitey.

Sean podszedł i stanął za nim. Dave przyglądał się im zza szyby. Wydawało się, że mierzy się z Whiteyem wzrokiem. Co jeszcze dziwniejsze, uśmiechał się ironicznie.

- Kiepsko się pan czuje, prawda, sierżancie? Whitey spojrział na niego przez ramię.
- Bywało lepiej. Sean kiwnął głową.
- Ty coś masz. Widzę to, wal.

Sean miał ochotę grać na zwłokę, podroczyć się z sierżantem, jednak się nie odważył.

- Odkryłem coś ciekawego. Wiem, kto pracował kiedyś w sklepie Looney Liquors.

Whitey postawił kubek na stole za plecami i zdjął nogę z fotela.

- Któż to taki?

- Ray Harris.

- Ray?

Sean się uśmiechnął.

- Ojciec Brendana Harrisa, sierżancie. Facet był karany.

## Mały Vince

Whitey usiadł przy pustym biurku naprzeciwko Seana, trzymając w ręku raport z zawieszenia wyroku. Czytał na głos:

- „Raymond Matthew Harris, urodzony szóstego września 1955 roku. Wychowywał się na Twelve Mayhew Street w East Bucky Flats. Matka Dolores, gospodyni domowa. Ojciec Seamus, robotnik, porzucił rodzinę w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku. Aresztowany za drobną kradzież w Bridgeport, Connecticut, w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku. Zaczęły się wyroki za prowadzenie po pijaku i temu podobne. Ojciec zmarł na atak serca w Bridgeport w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym dziewiątym roku. W tym samym roku Raymond poślubił Esther Scannell... cholerny farciarz!... i podjął pracę w przedsiębiorstwie transportowym Massachusetts Bay jako motorniczy kolejki podziemnej. Pierwsze dziecko, Brendan Seamus, urodziło się w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym. Później tego samego roku został oskarżony w aferze kradzieży żetonów do metra na sumę dwudziestu tysięcy dolarów. Oskarżenie w końcu uchylono, ale Raymonda wylano z pracy. Chwytał się później różnych dorywczych zajęć. Zatrudnił się jako robotnik za dniówkę w brygadzie remontowej, magazynier w sklepie monopolowym Looney Liquors, barman, operator dźwigu widłowego. Tę ostatnią posadą stracił, gdy z kasy firmy zniknęła pewna niemała kwota. I znowu: najpierw wniesiono, potem wycofano oskarżenie, Raymonda jednak wylano na pysk. Przesłuchiwany w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku po napadzie na Looney Liquors, zwolniony z braku dowodów. W tym samym roku przesłuchiwany w sprawie rabunku w sklepie alkoholowym Blanchard Liquors w hrabstwie Middlesex. I tym razem zwolniony z braku dowodów winy”.

- Gość zaczyna być jednak znany - stwierdził Sean.

- Nawet popularny - zgodził się Whitey. - Pewien notowany na policji współnik, niejaki Edmund Reese, zakapował go po kradzieży zbioru rzadkich komiksów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku.

- Komiksów? - zaśmiał się Sean.

- Wartego sto pięćdziesiąt tysięcy - dodał Whitey.

- A, przepraszam!

- Raymond zwrócił handlarzowi wspomniany zbiór w stanie nie uszkodzonym i dostał tylko cztery miesiące w zawieszeniu na rok, z czego dwa odsiedział. Wyszedł z lekkim uzależnieniem od substancji chemicznych.

- Biedaczysko.

- Naturalnie kokaina, jesteśmy przecież w latach osiemdziesiątych. Od tego czasu jego akta zaczynają puchnąć. Facet jest dość sprytny, by ukryć przed radarem to, co robi, żeby zdobyć pieniądze na koke, jednak nie dość sprytny, by nie wpaść przy próbach sprokurowania rzeczzonego narkotyku. Narusza warunki zawieszenia i odsiadyuje rok bez prawa do przedterminowego zwolnienia.

- W celi pojmuję, że zszedł na złą drogę i obiecuje poprawę.

- Otóż nie. Wpadł we wspólnej akcji wydziału kryminalnego i FBI przeciwko przerzutowi kradzionych towarów przez granice stanów. Spodoba ci się to. Zgadnij, co kradł. Pamiętaj, mamy rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty czwarty.

- Jakaś podpowiedź?

- Zdaj się na pierwsze skojarzenie.

- Aparaty fotograficzne.

Whitey spojrzał na niego pogardliwie.

- Gównu tam aparaty! Idź po kawę, nie jesteś już gliną.

- Więc co?

- Gry planszowe. O tym nie pomyślałeś, co?

- Najpierw komiksy, teraz gry planszowe? Facet ma styl.

- I furę kłopotów. Ukradł ciężarówkę na Rhode Island i przejechał nią do Massachusetts.

- Stąd oskarżenie federalne.

- Bingo! - ucieszył się Whitey. - Dopadli go jak cacy, jednak nie poszedł siedzieć.

Sean wyprostował się i zdjął nogi z biurka.

- Sypnął kogoś?

- Na to wygląda. Potem w papierach już czysto. Kurator Raymonda notuje, że jego podopieczny stawia się regularnie na spotkania, toteż pod koniec osiemdziesiątego szóstego zdejmują z niego nadzór kuratorski. A co mamy w księdze zatrudnienia?

Whitey zerknął znad raportu na Devine'a.

- To mogę już mówić? - Sean otworzył księgę raportów. - Cała kronika, karta

zatrudnienia, raporty z izby skarbowej, wpłaty na fundusz ubezpieczeniowy, ucina się w sierpniu osiemdziesiątego siódmego. Był facet, nie ma faceta.

- Sprawdziłeś w całym kraju?
- Moja prośba w tej sprawie jest właśnie załatwiana.
- Jakie widzisz możliwości?

Sean oparł buty o biurko i odchylił się w fotelu.

- Po pierwsze: nie żyje. Po drugie: jest objęty programem ochrony świadków. Po trzecie: zaszył się gdzieś w mysiej dziurze i wychylił w tej okolicy tylko po to, by zastrzelić dziewczynę swojego dziewiętnastoletniego syna.

Whitey rzucił teczkę z aktami na puste biurko.

- Nie wiemy nawet, czy to jego spluwa. W ogóle gówno wiemy. Co my tu w ogóle robimy, Devine?

- Czekamy na zaproszenie do tańca, sierżancie. Chwileczkę, niech mnie pan tak wczesnie nie zniechęca. Mamy faceta, który był głównym podejrzanym w sprawie napadu sprzed osiemnastu lat, w czasie którego posłużono się tą samą bronią, z której teraz kogoś zabito. Jego syn spotykał się z ofiarą. Facet był karany. Chcę rzucić na niego okiem i przyjrzeć się jego synalkowi. Temu, który nie ma alibi, jak pan wie.

- I który pomyślnie przeszedł próbę na wykrywaczu kłamstw, który wreszcie, co obaj przyznaliśmy, jest za głupi, żeby się porwać na coś takiego.

- Może źle go oceniliśmy. Whitey przetarł oczy.
- Kolego, mam powyżej uszy złych ocen.

- Przyznaje pan, że mylił się co do Boyle'a? Whitey pokręcił głową, nie odejmując dłoni od oczu.

- Tego nie powiedziałem. Wciąż uważam, że to skurwysyn. Inna sprawa, czy zdołam go oskarżyć o śmierć Katherine Marcus. - Opuścił ręce, odsłaniając spuchnięte worki pod oczami, zaczerwienione od pocierania. - Trop Raymonda Harrisa również nie wygląda mi zbyt obiecująco. Dobra, spróbujemy jeszcze raz przycisnąć synalka i wytropić tatusia, ale co potem?

- Kogoś w końcu połączymy ze spluwą.

- To cholerne żelastwo może już leżeć na dnie oceanu. Ja w każdym razie tam bym je umieścił.

- Zrobiłby pan tak również osiemnaście lat temu po obrabowaniu sklepu monopolowego.

- Fakt.

- Nasz ptaszek tego nie zrobił. Co dowodzi...
- Że nie jest tak bystry jak sierżant Whitey.
- Lub funkcjonariusz Devine.
- Tu byłbym ostrożniejszy.

Sean rozsiadł się w fotelu, splótł palce i wyciągnął ręce nad głowę, starając się sięgnąć sufitu. Pozwolił sobie na lekkie ziewnięcie, po czym opuścił głowę i ręce.

- Sierżancie Whitey - zaczął, starając się jak najdłużej opóźnić pytanie, z którym się nosił od rana.

- Słucham?

- Mamy coś w aktach na temat jego współników? Whitey podniósł teczkę z biurka, otworzył i przerzucił kilka pierwszych stron.

- „Notowani współsprawcy zbrodni - przeczytał - Reginald (alias Reggie Duke) Neil, Patrick Moraghan, Kevin Whackjob Sirracci, Nicholas Savage... hm... Anthony Waxman...” - Popatrzył na Seana i ten już wiedział, że są w domu. - „James Marcus alias Jimmy Flats, osławiony szef przestępczego gangu, zwanego niekiedy Chłopcy z Rester Street”.

Whitey zamknął akta.

- Trafieniom w dziesiątkę nie ma dzisiaj końca, prawda? - podsumował Sean.

Nagrobek, wybrany przez Jimmy'ego, był biały i prosty. Sprzedawca przemawiał cichym, pełnym uszanowania głosem, jakby wolał raczej przebywać gdziekolwiek, byle nie tu, a jednak próbował nakłonić Jimmy'ego do kupna droższych kamieni, takich z aniołami, cherubinami lub wyrzeźbionymi w marmurze różami.

- Może krzyż celtycki - zaproponował. - Ostatnio bardzo popularny wśród...

Jimmy czekał, że powie „pańskiego narodu”, ale sprzedawca ugryzł się w język i zakończył:

- ...wśród mieszkańców naszego miasta.

Jimmy zdobyłby pieniądze i na mauzoleum, gdyby wiedział, że uszczęśliwiłby tym Katie, lecz ona nigdy nie lubiła ostentacji i przesadnych ozdób. Nosiła proste ubrania i skromną biżuterię, żadnego złota, nie robiła nawet makijażu, chyba, że na specjalne okazje. Lubiła rzeczy jedynie z lekka stylowe i Jimmy właśnie dlatego wybrał biały kamień i zamówił napis kaligrafowany, choć sprzedawca ostrzegł go, że podniesie to niemal dwukrotnie koszt, na co Jimmy spojrzał tak groźnie na małego sępa, że ten aż się cofnął.

- Gotówka czy czek? - zapytał.

Do zakładu pogrzebowego przywiózł go Val. Po wyjściu Jimmy usiadł na miejscu pasażera samochodu Vala, Mitsubishi 3000 GT, zastanawiając się po raz nie wiadomo który, jak trzydziestoparoletni facet może jeździć takim samochodem i nie przyjdzie mu do głowy, że wygląda w nim idiotycznie.

- Dokąd teraz, Jim?

- Na kawę.

Zazwyczaj z głośników w samochodzie Vala wydobywał się rap, basy dudniły gromko zza przyciemnianych szyb i jakiś czarny małolat z klasy średniej lub jego biały nędzny imitator recytował tekst o dziwkach, o czarnych pizdach, o wyciąganiu kopyta, czyniąc, jak Jimmy przypuszczał, aluzje do laleczek z MTV, o których istnieniu nawet by nie wiedział, gdyby nie słyszał, jak Katie wymienia ich nazwiska w telefonicznych rozmowach z przyjaciółkami. Tego jednak ranka Val taktownie wyłączył stereo, za co Jimmy był mu wdzięczny. Nienawidził rapu, ale nie dlatego, że to muzyka z getta (cholera, to przecież tam narodził się g-funk, soul i kupa najlepszego bluesa), ale dlatego, że nie mógł dopatrzeć się prawdziwego talentu wśród jego wykonawców. Zlepiałeś do kupy garść limeryków z gatunku Man from Nantucket, brałeś didżeja, żeby poskreczował kilka płyt, i mówiąc do mikrofonu, wypinałeś klatę. O, to było świeże, autentyczne, prawdziwe, jak cholera! Niczym wypisywanie własnego imienia strużką moczu w śniegu i puszczenie pawia. Słyszał kiedyś, jak jakiś skretyniały krytyk muzyczny twierdził w radiu, że rapowanie jest „formą sztuki”. Jimmy, który na sztuce specjalnie się nie znał, miał ochotę włożyć ręce w głośnik i stłuc mordę temu najwyraźniej białemu, najwyraźniej przeuczonemu, najwyraźniej pedalskiemu debilowi. Jeśli rapowanie było formą sztuki, w takim razie większość drobnych złodziejasków, jakich znał, dorastając, była skończonymi artystami. Pewnie by się zdziwili, gdyby im o tym powiedzieć.

Może się starzał. Zdawał sobie sprawę, że zwykle pierwszym objawem pokoleniowego rozłamu jest brak zrozumienia dla muzyki młodych. Był przekonany jednak, że tu nie o to chodziło. Rap był muzyką gównie wartą, prymitywną i prostacką. Val słuchał go z tego samego powodu, z jakiego siedział za kierownicą tego kretyńskiego samochodu. Usiłował udowodnić coś, czego w ogóle nie warto udowadniać.

Zatrzymali się przy Dunkin' Donuts. Wyrzucili pokrywki kubków do kubła za drzwiami, a potem pili kawę oparci o spojler przytwierdzony do bagażnika



sportowego wozu.

- Pokręciliśmy się trochę ostatniej nocy, jak prosiłeś, popytaliśmy tu i tam - zagaił Val.

Jimmy stuknął się z nim pięścią w pięść.

- Dzięki, stary.

- Nie dlatego, że odbębniłeś za mnie te dwa lata, Jim, ani że brakowało mi potem twojej kiepeły. Katie była moją siostrzenicą, stary.

- Wiem.

- Może nie z urodzenia czy jak, ale ją kochałem.

Jimmy kiwnął głową.

- Byliście najlepszymi wujami, o jakich dzieciak może marzyć, chłopcy.

- Nie zalewasz?

- Skąd!

Val pociągnął łyk kawy i na chwilę zamilkł.

- No dobra, więc sprawy tak się mają. Wygląda na to, że gliny miały rację co do O'Donnella i Farrowa. O'Donnell kiblował. Farrow był na przyjęciu. Rozmawialiśmy osobiście z jakimiś dziewięcioma facetami, którzy to potwierdzili.

- Wiarygodni?

- Co najmniej połowa. Poniuchaliśmy też trochę i wyszło, że w ostatnim czasie nie było na mieście żadnych zleceń. Gdzieś od półtora roku nie słyszałem zresztą o żadnym zabójstwie na zlecenie w naszych stronach.

Jimmy potaknął i napił się kawy.

- Policja węszy - podjął Val. - Przetrzęsają bary, przegonili to całe kurewstwo spod Ostatniej Kropli. Przesłuchiwali wszystkie dziwki, z którymi rozmawiałem. Wszystkich barmanów. Każdego, kto był tamtej nocy u McGillsa czy w Ostatniej Kropli. Prawo wkroczyło, kapujesz, i działa. Ludzie usiłują coś sobie przypomnieć.

- Rozmawiałeś z kimś, komu się udało?

Val podniósł do góry dwa palce i pociągnął kolejny łyk.

- Z jednym takim... Znasz Tommy'ego Moldanado?

Jimmy pokręcił przecząco głową.

- Wychował się w Basin, malarz pokojowy. No więc on twierdzi, że widział kogoś, kto filował na parkingu przed Ostatnią Kroplą, tuż przed wyjściem Katie. Mówi, że facet na pewno nie był gliną. Prowadził zagraniczny wóz z wgnieceniem na przednim błotniku od strony pasażera.

- Rozumiem.

- Inna dziwna sprawa. Rozmawiałem z Sandy Greene. Pamiętasz ją z budy?

Jimmy zobaczył w wyobraźni Sandy, koleżankę z klasy. Kasztanowate kucyki, krzywe zęby. Namiętnie gryzła ołówki. Trzaskały jej w ustach i musiała wypluwać grafit.

- Pamiętam. Co ona teraz porabia?

- Stoi pod latarnią. Wygląda koszmarnie. Jest w naszym wieku, no nie? Moja matka lepiej wyglądała w trumnie. Jest najstarszą zawodową zdzirą w rejonie Ostatniej Kropli. Mówi, że prawie zaadoptowała tego gnojka. Uciekł z domu, pracuje w tej branży.

- To jeszcze dziecko?

- Chłopak ma jedenaście, dwanaście lat.

- Cholerny świat!

- Takie jest życie. Tak czy siak, Sandy przypuszcza, że szczył naprawdę ma na imię Vincent. Wszyscy, poza nią, wołają na niego Mały Vince. Sandy mówi, że chłopak woli, by nazywano go Vincent. Tak naprawdę ma sporo więcej niż dwanaście. Vincent jest zawodowcem. Sandy uważa, że pochłasta każdego, kto by próbował z nim jakichś numerów. Nosi żyletkę pod paskiem swatcha. Wielki kizior. Jest w rewirze sześć nocy w tygodniu. To znaczy był do ostatniej soboty.

- A co się z nim stało?

- Tego nikt nie wie. Chłopak zniknął. Sandy mówi, że czasem u niej bunkrował. Tymczasem w niedzielę rano wraca do chaty, a po chłopaku ani śladu. Wyniósł się z miasta.

- Tym lepiej dla niego. Może skończy z tym zaszranym życiem.

- To samo jej powiedziałem. A Sandy na to, że gnojek to lubił. Twierdzi, że wyrośnie z niego lepszy skurwiel. Na razie to jeszcze dziecko i lubi swoją robotę. Sandy uważa, że jeśli uciekł z miasta, to tylko z jednego powodu: porządnie się przestraszył. Jej zdaniem musiał zobaczyć coś, co go przeraziło, a Vincent nie był strachliwy.

- Wysłałeś kogoś, żeby go odszukał?

- Jasne. Nie będzie to jednak łatwe. Gnoje żyją na ulicy i próbują na wszelkie sposoby zarobić tę parę dolców. Wypieprzają z miasta, kiedy im przyjdzie ochota. Posłałem tu i ówdzie paru chłopców. Kiedy go znajdziemy, może okaże się, że wie coś o facecie, który siedział na parkingu przed Ostatnią Kroplą, może był świadkiem... no

wiesz... zabójstwa Katie.

- Jeśli ten facet w aucie miał z tym cokolwiek wspólnego.

- Moldanado twierdzi, że było w nim coś podejrzanego. Miał w sobie coś takiego, że choć było ciemno i Moldanado nie mógł mu się dobrze przyjrzeć, wyczuwał złe wibracje.

Wibracje, skrzywił się w duchu Jimmy. No pięknie.

- Widział go tam tuż przed wyjściem Katie?

- Tak. Policja zamknęła parking w poniedziałek rano. Posłali tam chyba cały wydział dochodzeniówki, dosłownie przeorali asfalt.

Jimmy pokiwał głową.

- Więc coś się tam musiało zdarzyć.

- Właśnie. I tego nie rozumiem. Katie została zaatakowana na Sydney. To jakieś dziesięć przecznic od tego miejsca.

Jimmy wypił resztę kawy z kubka.

- A jeśli wróciła?

- Słucham?

- Jeśli wróciła do Ostatniej Kropli? Wiem, jaką przyjęli hipotezę: wysadziła Diane i Eve, pojechała dalej Sydney i wtedy to się stało. Ale jeśli najpierw wróciła do baru? Wróciła i wpadła na tego typa. Porywa ją, zmusza, by pojechała z nim do parku Pen i dopiero dalej wszystko przebiega tak, jak przypuszcza policja?

Val przerzucił z ręki do ręki pusty kubek.

- To możliwe. Po co miałyby wracać?

- Tego nie wiem. - Wrzucili kubki do kosza na śmieci i Jimmy powiedział: - A co z tym dzieciakiem Just Raya? Znalazłeś coś?

- Wypytałem o niego parę osób. Wszyscy mówią to samo: ciepłe kluchy. Nikomu nie sprawia kłopotów. Gdyby nie był taki przystojny, chyba nikt by nie pamiętał, że go w ogóle spotkał. I Diane, i Eve mówią to samo. Chłopak ją kochał. Tą wielką pierwszą miłością. Mogę się nim zająć, jeśli chcesz.

- Jeszcze się wstrzymajmy. Obserwuj go i czekaj. Postaraj się najpierw namierzyć tego małego Vincenta.

- Jasne.

Jimmy otworzył drzwi od strony pasażera. Tymczasem Val przyglądał mu się ponad dachem wozu, jakby coś go gnębiło.

- Tak?

Val uśmiechnął się i zamrugnął oczami.

- Słucham?

- Coś ci jeszcze leży na wątrobie. Co takiego?

- Coś jeszcze obilo mi się o uszy tego rana. Tuż przed wyjazdem z domu.

- Tak?

- Tak - powtórzył Val. Przez chwilę patrzył w witrynę baru. - Słyszałem, że ci dwaj gliniarze odwiedzili znowu Dave'a Boyle'a. No wiesz, Sean z Point i ten jego partner, ten grubas...

- A tak, Dave był u McGillsa tamtej nocy - powiedział Jimmy. - Pewnie zapomnieli go o coś zapytać i dlatego wrócili.

Wzrok Vala oderwał się od witryny baru. Ich spojrzenia się spotkały.

- Zabrali go, Jim. Wiesz, co mam na myśli? Na tylnym siedzeniu.

Marshall Burden przyszedł do wydziału zabójstw w porze lunchu. Przecisnął się przez wąską bramkę obok recepcji i zadzwonił do Whiteya.

- Szukaliście mnie, chłopcy?

- Owszem - potwierdził Whitey. - Czekamy.

Marshallowi Burdenowi brakował rok do czterdziestki. Wyglądał na swój wiek. Miał wodniste oczy człowieka, który poznał świat i samego siebie lepiej, niż mógł sobie życzyć. Swoją wysoką, sflaczałą postać nosił tak, jakby wolał raczej posuwać się w tył niż do przodu. Odnosiło się wrażenie, że członki jego ciała toczą ciągłą wojnę z umysłem, który pragnie jedynie wycofać się z całego tego bajzlu. Przez ostatnie siedem lat prowadził policyjne biuro rzeczy znalezionych. Wcześniej był jednym z orłów policji stanowej. Przewidziany do stopnia pułkownika, piał się w górę od wydziału narkotyków, przez wydział zabójstw do wydziału kryminalnego, aż któregoś dnia, jak mówiono, obudził się półżywy ze strachu. Ta choroba dopadała zwykle chłopaków, którzy pracowali po cywilnemu. Czasami policjantów drogówki, którzy ni stąd, ni zowąd zaczęli odczuwać paraliżujący lęk przed zatrzymaniem kolejnego samochodu, pewni, że kierowca jest uzbrojonym desperatem. Marshall Burden również zapadł na tę chorobę. Zaczął wchodzić w drzwi jako ostatni, do wezwań szedł jak na ścięcie, zastygał w bezruchu na schodach, gdy inni wspinali się w górę.

Teraz usiadł obok biurka Seana, rozsiewając woń zepsutego owocu, i zaczął przerzucać kartki biurkowego kalendarza Sporting News, które sięgały wstecz aż do marca.

- Devine, prawda? - zapytał, nie podnosząc wzroku.

- Zgadza się - przytaknął Sean. - Miło cię poznać. O niektórych twoich osiągnięciach uczyli nas w akademii.

Marshall wzruszył ramionami, jakby wstydził się dawnego wcielenia. Przerzucił jeszcze kilka kartek.

- O co chodzi, chłopcy? Za pół godziny muszę być u siebie.

Whitey podjechał do niego na swoim fotelu.

- Pracowałeś w specjalnej grupie zadaniowej do spółki z FBI na początku lat osiemdziesiątych, zgadza się?

Burden potaknął.

- Zdjęliście wtedy drobnego złodziejaszka, niejakiego Raymonda Harrisa. Gość ukradł ciężarówkę łamigłówek Trivial Pursuit na parkingu w Cranston w Rhode Island.

Burden uśmiechnął się, przeczytawszy w kalendarzu jakiś cytat z Yogi Berry'ego\*.

- Owszem. Kierowca poszedł się odlać. Nie wiedział, że jest śledzony. Harris ukradł ciężarówkę i odjechał jakby nigdy nic. Kierowca jednak zadzwonił na policję i zwinęliśmy cwaniaczka w Needham.

- Ale się wywinął - powiedział Sean.

Burden po raz pierwszy podniósł na niego swe wodniste oczy. Sean dojrzał w nich strach i nienawiść do samego siebie. Miał nadzieję, że nie nabawi się nigdy choroby, na jaką zapadł Burden.

- Nie wywinął się - sprostował. - Sypnął współnika. Faceta, który go wynajął do kradzieży tej ciężarówki, niejakiego Stillsona, jeśli mnie pamięć nie myli. Tak, Meyera Stillsona.

Sean słyszał o fenomenalnej pamięci Burdena, ale być świadkiem, jak facet cofa się osiemnaście lat i wyciąga z mgieł przeszłości nazwisko, było zarazem fascynujące i przygnębiające. Gość mógłby występować w cyrku!

- Sypnął i to wystarczyło? - zapytał Whitey.

Burden zmarszczył czoło.

- Harris był już wcześniej notowany. Nie wykręcił się tylko dzięki temu, że podał nam nazwisko zleceniodawcy. Wydział do spraw Przestępczości Zorganizowanej policji bostońskiej potrzebował informacji w pewnej innej sprawie i gość sypnął

---

\* Lawrence Peter Berra (ur. 1925) - słynny gracz i trener baseballowy, autor licznych znanych powiedzonek (przyp. tłum.).

kolejnego kumpla.

- Kogo?

- Przywódcę gangu Chłopcy z Rester Street, niejakiego Jimmy'ego Marcusa.

Whitey łypnął na Seana. Jedna brew podjechała mu do góry.

- To było po tym skoku, prawda? - zapytał Sean.

- Jakim skoku? - zapytał Whitey.

- Tym, za który Jimmy otrzymał wyrok - wyjaśnił Sean.

Burden kiwnął głową.

- On i jeszcze jeden facet napadli w piątek wieczorem na kasę przedsiębiorstwa transportowego Massachusetts Bay. Cała akcja trwała dwie minuty. Wiedzieli, o której zmieniają się strażnicy. Wiedzieli też, o której ładują pieniądze do worków. Mieli na ulicy dwóch wspólników, którzy zatrzymali furgonetkę, gdy przyjechała po forszę. Musiał im pomagać ktoś z wewnątrz, kto pracował w firmie w ciągu ostatniego roku, dwóch.

- Ray Harris - orzekł Whitey.

- Tak. Wystawił nam Stillsona, a policji bostońskiej bandę z Rester Street.

- Wszystkich?

Burden pokręcił głową.

- Nie, tylko Marcusa, lecz on był mózgiem tej grupy. Odrąb głowę, a ciało umiera. Policja bostońska zwinęła go, gdy wychodził z magazynu pewnej hurtowni o świcie w dzień świętego Patryka. Planowali dzielić łup, więc Marcus miał przy sobie walizkę pełną pieniędzy.

- Chwileczkę - przerwał mu Sean. - Czy Ray Harris zeznawał przeciwko niemu w sądzie?

- Nie. Marcus odmówił wyjawienia, kto był jego wspólnikiem, i wziął całą winę na siebie. Choć wiedziano, kogo kryje, nie można mu było niczego udowodnić. Chłopak miał wtedy dziewiętnaście, dwadzieścia lat. Choć przewodził gangowi, odkąd skończył siedemnaście, ani razu nie został aresztowany. Prokurator okręgowy poszedł na układ, dwa lata więzienia plus trzy w zawieszeniu, bo wiedział, że przed sądem może w ogóle nie uzyskać wyroku skazującego. Słyszałem, że chłopcy z przestępczości zorganizowanej porządnie się wkurzyli, ale co mogli zrobić?

- Więc Jimmy Marcus nigdy się nie dowiedział, kto go sypnął?

Burden znowu utkwiał w Seanie swe wodniste oczy. Jego spojrzenie wyrażało pogardę.

- W ciągu trzech lat Marcus dokonał szesnastu zuchwałych napadów. Pewnego razu oskubał dwunastu różnych jubilerów w budynku giełdy kamieni szlachetnych przy Washington Street. Do dziś nie wiadomo, jak tego dokonał. Musiał rozpracować dwadzieścia różnych alarmów zainstalowanych na liniach telefonicznych, satelitach, komórkach, które w owym czasie były nowinką technologiczną. Osiemnastoletni gnojek, dacie wiarę? Taki dzieciak łamie systemy alarmowe, na których wykładali się fachowcy po czterdziestce. Albo napad na sklep Keldar Technics. Włamali się przez sufit, weszli na częstotliwość straży pożarnej i uruchomili instalację. Domyślaliśmy się, że musieli wisieć podczepieni pod sufitem, póki spryskiwacze nie spowodowały spięcia w detektorach ruchu. Ten facet był geniuszem. Gdyby nie zszedł na złą drogę, a poszedł pracować do NASA, woziłby dziś rodzinę na wakacje na Plutona. Sądzicie, że taki spryciarz nie zorientował się, kto go sypanął? Ray Harris zniknął z powierzchni ziemi dwa miesiące po powrocie Marcusa do wolnego świata. Co to wam mówi?

Odpowiedział mu Sean:

- Mnie to mówi, że twoim zdaniem to Jimmy Marcus zamordował Raya Harrisa.

- Albo poprosił o to tego świrowatego kurdupła, Vala Savage'a. Słuchajcie, zadzwońcie do Eda Folana z D-7. Jest tam obecnie kapitanem, ale kiedyś pracował w przestępczości zorganizowanej. On powie wam wszystko na temat Marcusa i Raya. Zrobiłby to zresztą każdy glina, który w latach osiemdziesiątych pracował w East Bucky. Jeśli to nie Jimmy Marcus ukatrupił Raya Harrisa, będę następnym żydowskim papieżem. - Odsunął palcem kalendarz biurkowy, wstał i podciągnął spodnie. - Muszę iść coś zjeść. Trzymajcie się, chłopcy.

Szedł przez salę ogólną, rozglądając się na prawo i lewo. Może szukał biurka, przy którym niegdyś siedział? Tablicy, na której wisiały informacje o prowadzonych przez niego sprawach? Człowieka, którym był kiedyś i który pracował w tym pomieszczeniu, zanim je bezpowrotnie opuścił, żeby skończyć w biurze rzeczy znalezione i modlić się, by nadszedł wreszcie dzień, gdy po raz ostatni odbije kartę zegarową i wyjedzie tam, gdzie nikt nie pamięta, jak pięknie się zapowiadał.

- Papież Marshall Przetrącony - mruknął w stronę Seana Whitey.

Im dłużej Dave siedział na chybotliwym krześle w zimnym pokoju, tym jaśniej zdawał sobie sprawę, że to, co brał rano za kaca, było tylko dalszym ciągiem upojenia z poprzedniego wieczoru. Prawdziwy kac zaczął go męczyć dopiero koło południa. Oblazł go jak chmara termitów, zawładnął krwiobiegiem, zacisnął się wokół serca i

skubał mózg. W ustach mu zaschło, włosy zwilgotniały od potu, w końcu poczuł również własny nieświeży zapach, gdy alkohol zaczął się z niego wydostawać wszystkimi porami skóry. Miał wrażenie, że kończyny ma pełne błota. Rozboliła go klatka piersiowa. Kaskada wypitych kolejek spłynęła z czaszki i zalała oczodoły.

Nie czuł się już dzielny ani silny. Jasność, która jeszcze dwie godziny temu wydawała się trwała jak blizna na ciele, opuściła go, ustępując miejsca strachowi gorszemu od wszystkiego, czego dotąd doznał. Wydawało mu się, że umrze wkrótce jakąś straszną śmiercią. Może za chwilę trafi go szlag, rąbnie potylicą o podłogę, jego ciałem targną konwulsje, oczy nabiegną krwią, a język zapadnie się tak głęboko, że nikt już nie zdoła wydobyć mu go z gardła. Albo dostanie zawału. Serce już teraz tłukło mu się w piersi jak oszalałe. Może kiedy go wreszcie stąd wypuszczą, jeśli w ogóle mają taki zamiar, wyjdzie oszołomiony na ulicę i nagle usłyszy tuż za plecami wycie klaksonu, padnie na plecy, a grube opony autobusu zmiażdżą mu kość policzkową i potoczą się dalej.

Gdzie się podziewa Celeste? Czy wie, że go aresztowali? Czy ją to w ogóle obchodzi? Co z Michaeliem? Czy tęskni za ojcem? Najgorsze było to, że po jego śmierci Celeste i Michael zostaną sami na świecie. Przez jakiś czas będą zapewne cierpieć, ale potem się otrząsną i zaczną nowe życie, bo tak to już jest. To tylko w filmach ludzie nigdy nie oswajają się ze śmiercią bliskich, zatrzymują się w miejscu jak zepsuty zegar. W życiu śmierć jest zjawiskiem codziennym, wydarzeniem, o jakim się z czasem zapomina.

Zastanawiał się, czy zmarli spoglądają z nieba na bliskich, których pozostawili na ziemi, i czy płaczą, widząc, jak łatwo podejmują życie bez nich. Jak, na przykład, dzieciak Wielkiego Stanleya, Eugene. Czy przebywał gdzieś ze swą łysą główką, w białym szpitalnym kitlu, patrzył z góry na śmiejącego się przy barze ojca i myślał: Hej, tato, a co ze mną? Pamiętasz mnie jeszcze? Ja żyłem.

Michael będzie miał nowego tatusia, a gdy pójdzie do college'u opowie dziewczynie o swoim zmarłym staruszku, który nauczył go grać w baseball. To było dawno temu, powie. Cholernie dawno. Ledwo go pamiętam.

Celeste była jeszcze dość atrakcyjna, by znaleźć nowego mężczyznę. Będzie musiała. Samotność już mi dojadła, wyjaśni przyjacielom. Poza tym to taki miły człowiek. I jest dobry dla Michaela. A przyjaciele bez chwili wahania zdradzą pamięć Dave'a. Powiedzą: tak będzie dla ciebie lepiej, kochana, zdrowiej. Musisz wsiąść z powrotem na rower i pedałowac dalej przez życie.



Tymczasem on będzie przebywał w górze w towarzystwie małego Eugene'a, będą obaj spoglądali w dół i oznajmiali swoją miłość głosami, których nikt z żywych nie słyszy.

O Chryste Jezu! Miał ochotę skulić się w kącie i objąć ramionami. Czuł, że się rozpada. Gdyby ci gliniarze teraz wrócili, pękłby jak nic. Wyśpiewałby im wszystko, gdyby tylko okazali mu odrobinę ciepła i dostarczyli nową puszkę sprite'a.

I wtedy drzwi się otworzyły. Przed Dave'em, jego strachem i potrzebą ludzkiego ciepła, stanął młody policjant w mundurze. Wyglądał na twardziela i miał oczy typowego łapsa, zarazem zimne i władcze.

- Pan pójdzie ze mną, panie Boyle.

Dave wstał i podszedł do drzwi. Ręce drżały mu lekko, bo alkohol nadal nimi władał.

- Dokąd?

- Zostanie pan okazany świadkowi. Ktoś chciałby się panu przyjrzeć, panie Boyle.

Tommy Moldanado miał na sobie dżinsy i zieloną koszulkę, poplamioną farbą. Plamki farby widniały na jego kędzierzawych, kasztanowych włosach, na brązowych roboczych butach, a jej zakrzepłe grudki utkwily w oprawkach grubych okularów.

Te okulary szczególnie nie podobały się Seanowi. Świadek, który wchodzi na salę sądową w okularach, mógłby równie dobrze nosić na piersiach tarczę strzelniczą jako cel dla adwokata obrony. O przysięgłych lepiej nie mówić. To najlepsi eksperci od okularów i najprzebieglejsi prawnicy, wyuczeni na serialach Matlock i The Practice. Przyglądali się okularnikom zajmującym miejsce dla świadków takim samym wzrokiem, jakim obrzucali handlarzy narkotyków, czarnych bez krawatów i recydywistów, którzy zawarli układ z prokuratorem okręgowym.

Moldanado przywarł nosem do weneckiego lustra i przyjrzał się pięciu stojącym po drugiej stronie mężczyznom.

- Trudno mi powiedzieć, kiedy patrzę prosto na mnie. Czy nie mogliby się odwrócić trochę w lewo?

Whitey nacisnął przycisk na konsoli i rzucił do mikrofonu.

- Wszyscy obrócić się w lewo.

Mężczyźni wypełnili polecenie.

Moldanado przycisnął dłonie do szyby i zmrużył oczy.

- Numer dwa. To może być numer dwa. Możecie poprosić, żeby podszedł bliżej?

- Numer dwa? - upewnił się Sean.

Moldanado zerknął na niego przez ramię i potaknął.

Drugi w rzędzie stał agent federalny do spraw narkotyków,

Scott Paisner, który na co dzień pracował w hrabstwie Norfolk.

- Numer dwa - rzucił z westchnieniem Whitey. - Dwa kroki do przodu.

Scott Paisner był niski, pulchny, miał brodę i wysokie, łysiejące czoło. Przypominał Dave'a Boyle'a nie bardziej niż sam Whitey. Obrócił się przodem, podszedł do weneckiego lustra, a Moldanado powiedział:

- Tak. To ten facet, którego widziałem.

- Jest pan pewien?

- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent. Była noc, panowie rozumieją. Na tym parkingu nie ma świateł, a ja byłem lekko przyprawiony. Ale jestem prawie pewien, że to ten sam gość.

- W swoim zeznaniu nie wspominał pan o brodzie - zauważył Sean.

- Faktycznie, ale gdy się teraz nad tym zastanawiam, wydaje mi się, że facet miał brodę.

- Nikt więcej z tej grupy go nie przypomina? - zapytał Whitey.

- Nie, ani trochę. Nie ma nawet dalekiego podobieństwa. To policjanci?

Whitey schylił głowę nad konsolą i wyszeptał:

- Co ja jeszcze robię w tej zaszranej robocie?

Moldanado zerknął na Seana.

- Słucham?

Sean otworzył przed nim drzwi.

- Dziękujemy, że się pan do nas fatygował, panie Moldanado. Będziemy w kontakcie.

- Przydałem się na coś, tak?

- Oczywiście - zapewnił Whitey. - Odznakę zasługi przyślemy panu pocztą.

Sean obdarzył Moldanada uśmiechem, skinął mu głową i zamknął za nim drzwi, ledwo tamten przekroczył próg.

- Był świadek, nie ma świadka - powiedział.

- Ano nie ma.

- Dowód rzeczowy w postaci samochodu w sądzie się nie przyda.

- Mam tego świadomość.

Sean przyglądał się, jak Dave nakrył dłonią oczy i zmrużył je, oślepiiony światłem.

Wyglądał jak ktoś, kto od miesiąca nie spał.

- Niech pan da spokój, sierzancie.

Whitey odwrócił się od mikrofonu. On również wyglądał na zmęczonego. Oczy miał podpuchnięte i przekrwione.

- Pierdolę to - warknął. - Każ mu się wynosić!

## Wygnane plemię

Celeste siedziała przy oknie w kawiarni Nate'a i Nancy przy Buckingham Avenue naprzeciwko domu Jimmy'ego Marcusa. Widziała, jak Jimmy i Val Savage parkują samochód pół przecznicy dalej i ruszają w stronę domu.

Jeśli miała to zrobić, to powinna zaraz wstać z krzesła i do nich podejść. Wstała, choć nogi jej drżały. Dłonią uderzyła o spód blatu. Spojrzała w dół. Ręka też jej drżała. Zdarła sobie skórę z nasady kciuka. Podniosła dłoń do ust i zwróciła się w stronę drzwi. Wciąż nie była pewna, czy potrafi wypowiedzieć zdania, które przygotowała tego rana w motelu. Postanowiła powiedzieć Jimmy'emu tylko tyle, ile sama wiedziała - o niepokojącym zachowaniu Dave'a tamtego niedzielnego świtu, bez wyciągania żadnych własnych wniosków - i pozostawić mu wyrobienie sobie własnego zdania. Uznała, że nie pójdzie na policję, ponieważ nie miała ubrania, które Dave nosił tamtej nocy. Doszła do takiego wniosku, gdyż nie była pewna, czy policja zdoła ją ochronić. Ostatecznie musiała nadal tu mieszkać, a jedynie sąsiedzi mogli strzec ją przed niebezpieczeństwem. Jeśli powie Jimmy'emu, nie tylko on, ale i bracia Savage zbudują wokół niej fosę, której Dave nigdy nie ośmieli się przekroczyć.

Wyszła przed kawiarnię w chwili, gdy obaj mężczyźni zbliżali się do domu. Podniosła bolącą rękę. Zawołała Jimmy'ego po imieniu, wychodząc na jezdnię. Zdawała sobie sprawę, że wygląda jak wariatka: włosy potargane, oczy opuchnięte i pociemniałe ze strachu.

- Hej, Jimmy! Val!

Obrócili się, stojąc już na schodach, i spojrzeli w jej stronę. Jimmy, lekko skonsternowany, posłał jej uśmiech. Przekonała się po raz kolejny, jaki niewymuszony, ujmujący i szczerzy jest jego uśmiech. Mówił on: jestem twoim przyjacielem, Celeste, w czym mogę ci pomóc?

Doszła do krawężnika. Val cmoknął ją w policzek.

- Serwus, kuzynka.

- Sie masz, Val.

Jimmy również delikatnie ją pocałował. Pod musnięciem jego warg aż się

wzdrygnęła.

- Annabeth próbowała się z tobą rano skontaktować, ale nie mogła cię złapać ani w domu, ani w pracy.

Celeste skinęła głową.

- Byłam... och... - Odwróciła wzrok od Vala, który wpatrywał się w nią z ciekawością. - Jimmy, czy mogłabym z tobą porozmawiać?

- Oczywiście. - Na jego twarzy znowu pojawił się uśmiech. Odwrócił się do Vala: - Pogadamy o tym później, dobrze?

- Jasne. Do zobaczenia, kuzynko.

- Dzięki.

Val wszedł do domu. Jimmy usiadł na trzecim stopniu schodów, robiąc Celeste miejsce obok siebie. Przysiadła, wsunęła skaleczoną dłoń między kolana i gorączkowo zaczęła szukać właściwych słów. Jimmy przyglądał się jej i czekał. W końcu odgadł, że ona nie jest w stanie wypowiedzieć tego, co ją dręczy.

- Wiesz - zapytał lekkim tonem - co sobie przedwczoraj przypominałem?

Pokręciła przecząco głową.

- Stałem przy starych schodach na Sydney. Tych, na które wszyscy wchodziliśmy, żeby oglądać filmy. Paliliśmy też trawkę.

Uśmiechnęła się.

- Chodziłeś wtedy z...

- Och, nawet mi nie przypominaj.

- ...z Jessicą Lutzen. Ja spotykałam się z Duckiem Cooperem.

- Kaczorem Donaldem - przypomniał. - Nie wiesz, co się z nim teraz dzieje?

- Słyszałam, że wstąpił do piechoty morskiej i zaraził się w tropikach jakąś egzotyczną chorobą skóry. Mieszka w Kalifornii.

- Hm. - Jimmy podniósł głowę i się zamyślił. Wrócił pamięcią do pierwszej połowy życia. Celeste zobaczyła, że robi dokładnie taki sam charakterystyczny ruch, jak osiemnaście lat temu. Miał jaśniejsze włosy i był zupełnie zwariowany. W czasie burzy wdrapywał się na słupy telefoniczne, a dziewczyny stały na dole i modliły się, żeby nie spadł. Nawet w czasach najdzikszych szaleństw był w nim ten sam co i dzisiaj spokój. Czuło się, że ten chłopak ma oczy szeroko otwarte, do wewnątrz i na zewnątrz.

Obrócił się i grzbietem dłoni lekko klepnął Celeste w kolano.

- Więc o co chodzi, mała? Wyglądasz, jak...

- Jak...?

- Słucham? Nic takiego, wyglądasz na zmęczoną. - Odchylił się i westchnął. - Cholera, chyba wszyscy tak dziś wyglądamy, co?

- Tę noc spędziłam z Michaelem w motelu.

Patrzył prosto przed siebie.

- Rozumiem.

- Nie jestem pewna, Jim. Boję się, że na dobre odeszłam od Dave'a.

Zauważyła zmianę w wyrazie jego twarzy, zaciśnięcie szczęk, i nagle zrozumiała, że Jimmy się domyśla, co ona chce powiedzieć.

- Odeszłaś od Dave'a. - Powiedział to głosem matowym, ze wzrokiem utkwionym w aleję.

- Tak. On zachowuje się... Zachowuje się ostatnio zupełnie niepoczytalnie. Nie jest sobą. Zaczynam się go bać.

Odwrócił się do niej z tak nieprzyjemnym uśmiechem na twarzy, że omal go nie spoliczkowała. Spojrzał na nią oczami chłopaka, który podczas burzy włąził na słupy telefoniczne.

- Dlaczego nie zaczniesz od początku? - zapytał. - Od kiedy tak dziwnie się zachowuje?

- Co ty wiesz, Jimmy?

- Co ja wiem?

- Ty coś wiesz. Nie wydajesz się zaskoczony.

Nieprzyjemny uśmieszek zniknął z jego twarzy. Jimmy po chylił się i dłońmi objął kolana.

- Wiem, że dziś rano zabrała go policja. Że ma zagraniczny samochód z wgniecionym błotnikiem od strony pasażera. Że poczęstował mnie lipną bajeczką o tym, jak zranił się w rękę, zupełnie inną od tej, jaką uraczył policję. Wiem też, że widział Katie. - Rozplótł palce i rozłożył ręce. - Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale przyznaję, zaczyna mnie to niepokoić.

Nagle Celeste poczuła współczucie dla męża. Wyobraziła sobie, jak Dave siedzi w policyjnym pokoju przesłuchań, być może przykuty kajdankami do stołu, a snop ostrego światła pada na jego bladą twarz. Zaraz jednak powróciło wspomnienie ostatniej nocy: pamiętała, jak Dave wychylał głowę zza drzwi i wpatrywał się w nią oszalałym wzrokiem - i strach zwyciężył współczucie.

Odetchnęła i powiedziała:

- Dave wrócił do domu w niedzielę o trzeciej nad ranem cały zakrwawiony.

W końcu to z siebie wyrzuciła. Słowa wyleciały z jej ust i zawisły w powietrzu, a następnie opadły na nich ciasnym kręgiem. Ucichły odgłosy alei i szum wiatru. Celeste czuła tylko zapach wody kolońskiej Jimmy'ego i widziała jedynie jasne plamy majowego słońca na stopniach schodów.

Kiedy Jimmy się w końcu odezwał, można by sądzić, że jakaś dłoń ścisną go za gardło.

- Jak to wyjaśnił? - zapytał po dłuższej chwili zduszonym głosem.

Opowiedziała mu wszystko, nie pomijając rozmowy o wampirach. Widziała, że Jimmy wolałby nie słyszeć żadnego z wypowiedzianych przez nią słów. Wbijały się w skórę niczym groty strzał. Usta i oczy Jimmy'ego zdawały się przed nimi cofać, skóra twarzy napięła się, uwidaczniając kości. Oblało ją gorąco, gdy wyobraziła sobie, że Jimmy leży w trumnie, ma długie, ostre paznokcie, skruszałą szczękę, a w miejscu włosów kępę gnijących mchów.

Gdy po jego policzkach zaczęły spływać łzy, musiała siłą oprzeć się pokusie, by nie przytulić go, by te łzy ściekły pod jej bluzkę i spłynęły po skórze.

Nie przestawała mówić, bo wiedziała, że inaczej zamilknie na dobre, a przecież musiała komuś powiedzieć, dlaczego uciekła od mężczyzny, któremu przysięgała, iż go nie opuści w zdrowiu i chorobie aż do śmierci, ojca jej dziecka, który opowiadał jej kawały, pieścił ją i pozwalał jej zasypiać z głową na swojej piersi. Mężczyzny, który nigdy się nie skarżył, nigdy jej nie uderzył, który był wspaniałym ojcem i dobrym mężem. Musiała komuś powiedzieć, jak się przeraziła, kiedy z twarzy tego mężczyzny spadła maska, którą dotąd nosił, i ukazała się lubieżnie uśmiechnięta twarz potwora.

Zakończyła słowami:

- Wciąż nie mam pojęcia, co on zrobił, Jim. Nie wiem, czyja to była krew. Ale boję się, okropnie się boję.

Jimmy obrócił się i oparł o żelazną balustradę schodów. Łzy wsiąkły mu w skórę twarzy, zacisnął usta. Wpatrywał się w Celeste wzrokiem, który zdawał się przenikać ją na wskroś i ogniskować się gdzieś w głębi alei, na jakimś przedmiocie oddalonym o kilka przecznic, którego nikt poza nim nie był w stanie dojrzeć.

- Jimmy... - szepnęła.

Uciszył ją gestem ręki. Zacisnął powieki. Zwiesił głowę i ze świstem wciągnął ustami powietrze.

Celeste skinęła głową przechodzącej Joan Hamilton, która przystanęła na chwilę i

obrzuciła oboje współczującym, choć zarazem lekko podejrzliwym spojrzeniem, zanim obcasy jej butów na powrót zastukały o płyty chodnika. Powróciły odgłosy alei, dźwięki klaksonów, skrzypienie drzwi, czyjs głos z oddali nawołujący kogoś po imieniu.

Kiedy Celeste popatrzyła na Jimmy'ego, jego wzrok niemal ją sparzył. Kolana podciągnął do piersi i splótł na nich dłonie. Niemal słyszała, jak w jego głowie szybko i sprawnie obracają się trybiki.

- Ubranie, które miał na sobie tamtej nocy, zniknęło - powiedział.
- Tak. Sprawdziłam. Oparł brodę na kolanach.
- Bardzo się boisz? Ale szczerze. Odchrząknęła.
- Wiesz, ostatniej nocy miałam wrażenie, że mnie ugryzie, pokąsa do krwi.

Oparł głowę lewym policzkiem na kolanach i zamknął oczy.

- Celeste...

- Tak?

- Podejrzewasz, że to Dave zamordował Katie?

Odpowiedź na to pytanie podeszła jej do gardła jak ostatniej nocy wymioty.

- Tak - szepnęła.

Otworzył gwałtownie oczy.

- Niech Bóg ma mnie w swojej opiece, Jimmy.

Sean przyglądał się zza biurka Brendanowi Harrisowi. Chłopak sprawiał wrażenie zmęczonego i wystraszonego, a to było Seanowi na rękę. Posłał po niego dwóch policjantów, kazał mu usiąść po drugiej stronie biurka i sprawdzał w komputerze dane, jakie zgromadził na temat jego ojca. Nie spieszył się, ignorował Brendana, aż zaczął się on niespokojnie wiercić na krześle.

Po raz ostatni rzucił okiem na ekran, dla efektu stuknął ołówkiem w klawisz Page down i powiedział:

- Opowiedz mi o swoim ojcu, Brendan.
- Słucham?
- Opowiedz mi o swoim ojcu. O Raymondzie. Pamiętasz go jeszcze?
- Słabo. Miałem sześć lat, kiedy od nas odszedł.
- Więc go nie pamiętasz?

Brendan wzruszył ramionami.

- Tylko drobiazgi. Na przykład, że śpiewał, kiedy przychodził do domu pijany.



Zabrał mnie kiedyś do Canobie Lake Park i kupił mi watę cukrową. Zjadłem połowę i obrzygałem maszynę do jej wytwarzania. Rzadko bywał w domu, to jedno pamiętam. Czemu pan pyta?

Oczy Seana powędrowały z powrotem na ekran.

- Co jeszcze zapamiętałeś?

- Czy ja wiem... Pachniał piwem i miętową gumą. Miał...

Sean usłyszał rozbawienie w głosie chłopaka. Odwrócił wzrok i uchwycił przemykający po jego twarzy cień uśmiechu.

- Co takiego?

Chłopak poprawił się na krześle i zapatrzył na coś, co nie znajdowało się w pomieszczeniu, w którym się znajdowali, ani w tej strefie czasowej.

- Miał zwyczaj nosić przy sobie masę drobnych. Obciążały mu kieszenie, gdy chodził, brzęczał jak skarbonka. Jako dziecko lubiłem przesiadywać w pokoju od ulicy. W innym domu, nie w tym, w którym teraz mieszkamy. Ładniejszym. Siadywałem tam koło piątej z zamkniętymi oczami i nasłuchiwałem brzęku drobniaków. Kiedy je usłyszałem, wiedziałem, że się zbliża, wybiegałem mu naprzeciw i jeśli udało mi się zgadnąć, choćby w przybliżeniu, ile ma pieniędzy w jednej kieszeni, dawał mi wszystko. - Uśmiech Brendana rozszerzył się i chłopak pokręcił głową. - Miał zawsze masę drobnych.

- Czy twój ojciec trzymał broń?

Uśmiech zamarł na twarzy Brendana, zmrużone oczy wpatrzyły się w Seana z takim wyrazem, jakby nie rozumiał po angielsku.

- Słucham?

- Czy twój ojciec miał broń?

- Nie.

- Wydajesz się tego bardzo pewny jak na kogoś, kto skończył zaledwie sześć lat, kiedy ojciec odszedł.

Do sali wszedł Connolly z tekturowym pudłem pod pachą. Podeszedł i postawił pudło na biurku Whiteya.

- Co to takiego? - zapytał Sean.

- Takie tam różne - odparł Connolly, zaglądając do środka. - Raporty kryminalistyczne, balistyczne, analizy daktyloskopijne, taśma z telefonu dziewięćset jedenaście. Różne różności.

- Już to słyszałem. Jest coś z daktyloskopii?

- Nie mamy tych odcisków w komputerze.  
- Sprawdziliście w krajowej bazie danych?  
- Nawet w Interpolu. Nic. Jeden naprawdę nie uszkodzony odcisk kciuka zdjęliśmy z drzwi. Jeśli należy do sprawcy, facet był niski.

- Niski - powtórzył Sean.  
- Uhm. Kurdupel. To wszystko, co wiemy. Zdjęliśmy sześć nie uszkodzonych odcisków, ale żaden nie należy do osoby notowanej.

- Przesłuchałeś taśmę z dziewięćset jedenaście?  
- Nie. A powinienem?  
- Connolly, powinieneś się zaznajomić z całym materiałem, dotyczącym tej sprawy, jasne?

Connolly kiwnął głową.

- Chcesz ją przesłuchać?  
- Dlatego cię po nią posłałem - odpowiedział Sean, po czym zwrócił się do Brendana. - Wracając do broni twojego ojca...

- Mój ojciec nie miał broni.  
- Naprawdę?  
- Naprawdę.  
- Cóż, chyba zostaliśmy źle poinformowani. A tak przy okazji, Brendan, czy dużo z ojcem rozmawiałeś?

Chłopak pokręcił głową.

- Wcale. Mówił, że wychodzi się napić, i wychodził, zostawiał mnie i mamę samych, chociaż była w ciąży.

Sean pokiwał głową, jakby podzielał jego ból.

- Twoja matka jakoś nigdy nie zgłosiła jego zaginięcia.  
- Bo on nie zaginął. - W oczach Brendana zapalił się błysk wrogości. - Powiedział matce, że jej nie kocha, że zawsze na nim żerowała, i po prostu zniknął.

- Nie próbowała go szukać?

- Nie. Przysyła forszę, więc niech się odpieprzy.

Sean odjął ołówek od klawiatury komputera i położył go płasko na biurku. Popatrzył bacznie na Brendana Harrisa, dojrzał jednak tylko oznaki gniewu.

- Przysyła wam pieniądze?

- Raz w miesiącu, regularnie jak w zegarku.

- Skąd?

- Słucham?
- Skąd są nadawane koperty, w których je przysyła?
- Z Nowego Jorku.
- Zawsze?
- Tak.
- Przysyła gotówkę?
- Tak. Pięć stówek miesięcznie. Na święta więcej.
- Nigdy nic nie pisze?
- Nigdy.

- Więc skąd wiesz, że to od niego?

- A kto inny przysyłałby nam co miesiąc forszę? Widocznie gryzie go sumienie. Mama mówi, że zawsze był taki. Zachowywał się podle i myślał, że jak będzie miał wyrzuty sumienia, zostanie mu to odpuszczone. Rozumie pan?

- Chciałbym zobaczyć jedną z tych kopert.

- Mama je zawsze wyrzuca.

- Szkoda. - Sean przekreślił monitor.

Wszystko w tej sprawie dotyczyło go osobiście: Dave Boyle jako podejrzany, Jimmy Marcus jako ojciec ofiary, sama ofiara, w dodatku zastrzelona z pistoletu należącego do ojca jej chłopaka. Potem pomyślał o czymś jeszcze, co nie dawało mu spokoju, choć nie miało związku z tym morderstwem.

- Słuchaj - powiedział - skoro twój ojciec porzucił rodzinę, kiedy twoja matka była w ciąży, to dlaczego dała dziecku takie samo imię?

Wzrok Brendana powędrował w głąb sali.

- Moja mama ma trochę nie w porządku z głową, rozumie pan? Stara się, ale...

- Rozumiem...

- Mówi, że dała bratu na imię Ray, żeby nie zapomnieć.

- O czym?

- Jacy są mężczyźni. - Chłopak wzruszył ramionami. - Dasz im palec, a oni cię wydymają, choćby tylko po to, żeby udowodnić, że są w stanie.

- Jak zareagowała, gdy się okazało, że twój brat jest niemową?

- Była wkurzona - odparł Brendan i na jego wargach zaigrał uśmiezek. - W pewien sposób dowiodła jednak swego. Przynajmniej samej sobie. - Dotknął pudełka na spinacze, które stało na brzegu biurka, i jego uśmiech zgasł. - Dlaczego mnie pan pytał, czy ojciec miał pistolet?

Sean miał nagle dość tych wszystkich gierek, uprzejmości i podchodów.

- Ty wiesz dlaczego, bratku.

- Nie. Wcale nie.

Sean pochylił się nad biurkiem, z trudem powstrzymując dziwną chęć, by rzucić się na Brendana i zacisnąć mu palce na szyi.

- Pistolet, z którego zastrzelono twoją dziewczynę, to ten sam, kolego, którego twój ojciec użył w czasie napadu osiemnaście lat temu. Co ty na to?

- Mój ojciec nie miał broni - upierał się Brendan. Sean dostrzegł jednak, że chłopak zaczyna kombinować.

- Nie? Gówno prawda. - Uderzył w biurko tak mocno, że Brendan aż podskoczył. - Twierdzisz, że kochałeś Katie Marcus? Powiem ci, co ja kocham, Brendan. Kocham mój współczynnik skuteczności. Kocham swoją zdolność do zamykania spraw w trzy doby. A ty mi tu, kurwa, wciskasz kit.

- Ja nie kłamię.

- Kłamiesz, bratku. Wiesz, że twój stary był złodziejem?

- Pracował w metrze jako...

- Był złodziejem! Współpracował z Jimmym Marcusem, też złodziejem. A teraz córka Jimmy'ego została zastrzelona z broni twojego ojca.

- Mój ojciec nie miał broni.

- Nie pieprz! - krzyknął Sean, aż Connolly poderwał się z krzesła i spojrzał w ich stronę. - Chcesz bawić się ze mną w kotka i myszkę? W celi się pobawisz.

Sean odpiął od pasa kluczyki i rzucił je przez głowę w stronę Connolly'ego.

- Zamknij tego gnojka.

Brendan zerwał się z miejsca.

- Ja nic nie zrobiłem!

Sean przyglądał się, jak Connolly staje za chłopakiem.

- Nie masz alibi, Brendan. Znałeś ofiarę. Została zastrzelona z broni należącej do twojego ojca. Zanim wpadnie mi w ręce coś lepszego, ciebie zamknę. Odpocznij sobie i pomyśl o zeznaniach, jakie mi właśnie złożyłeś.

- Nie może mnie pan aresztować. - Brendan obejrzał się na stojącego za nim Connolly'ego. - Nie możecie.

Connolly wpatrywał się w Seana zbaraniałym wzrokiem. Chłopak miał rację. Z prawnego punktu widzenia nie mogli go zamknąć bez sformułowania oskarżenia. Tymczasem nie było żadnych podstaw, żeby go oskarżyć.

Brendan jednak o tym wszystkim nie wiedział i Sean rzucił Connolly'emu spojrzenie, które mówiło: witaj w wydziale zabójstw, kolego.

- Jeśli nie zaczniesz mi tu zaraz śpiewać, koleś - powiedział Sean - wylądujesz w celi.

Brendan otworzył usta i Sean odniósł wrażenie, że przez głowę chłopaka przemknęło mroczne podejrzenie. Chwilę potem chłopak zamknął usta i pokręcił z niedowierzaniem głową.

- Podejrzany o morderstwo zagrożone karą śmierci - oznajmił Sean Connolly'emu.  
- Odprowadzić.

Dave wrócił do pustego mieszkania wczesnym popołudniem. Skierował się prosto do lodówki. Musiał się napić. Nic dotychczas nie jadł i czuł w żołądku ssanie. Nie najlepszy podkład pod puszkę piwa, on potrzebował jednak stępić tkwiące w mózgu ostrze, usunąć napięcie z karku, uspokoić serce, które tłukło mu się w piersi jak ptak uwięziony w klatce.

Obszedł puste mieszkanie. Celeste mogła wrócić do domu pod jego nieobecność i stąd pojechać do pracy. Mógłby zadzwonić do zakładu, sprawdzić, czy jest, czy układa fryzury i plotkuje z klientkami, flirtuje z Paolem, gejem, który pracował na tej samej zmianie i flirtował z kobietami w ten lekki, choć nie całkiem niewinny sposób, charakterystyczny dla gejów. Mógłby pójść do szkoły po Michaela, uściskać go serdecznie, a potem wróciliby razem piechotą do domu i wypili po drodze mleczną czekoladę.

Jednak Michaela nie było w szkole, a Celeste w zakładzie fryzjerskim. Dave domyślił się, że się przed nim ukrywają, wypił więc drugie piwo. Siedział przy stole w kuchni i czuł, jak ten napój wpływa w jego ciało i łagodzi wewnętrzne rozdygotanie, rozjaśnia i posrebrza powietrze przed oczami i z lekka je rozwirowuje.

Powinien jej był powiedzieć. Powinien był od razu powiedzieć swojej żonie, co się naprawdę zdarzyło. Zaufać jej. Ostatecznie nie tak wiele żon trwało przy byłych reprezentantach ogólniaka w baseballu, którzy byli w dzieciństwie molestowani seksualnie i nie mogli znaleźć przyzwoitej pracy. A Celeste była z nim. Gdy sobie przypomniał, jak stała ostatniej nocy nad zlewem i prała zakrwawione ubranie, by zniszczyć dowody rzeczowe... Cholera, to było coś! Jak mógł tego nie zauważyć? Jak w ogóle można dojść do takiego punktu, że nie dostrzega się takiego oddania najbliższej osoby?

Wyjął z lodówki trzecie i ostatnie piwo i jeszcze raz obszedł mieszkanie, przepełniony miłością do żony i syna. Chciałby się do niej przytulić, ona gładziłaby go po głowie, a on by opowiedział, jak mu jej brakowało w zimnym pokoju przesłuchań, na skrzypiącym krześle. Wydawało mu się przedtem, że pragnie ciepła drugiego człowieka, ale naprawdę pragnął tylko ciepła Celeste. Chciał sprawić, by się uśmiechnęła, chciał całować jej powieki, pieścić ją i stopić się z nią w jedno.

Jeszcze nie było za późno. Opowie Celeste wszystko, gdy tylko wróci do domu. Byłem ostatnio kompletnie rozstrojony, zupełnie rozbity. Obawiam się, że piwo, które trzymam w ręku, nie poprawia sytuacji, ale musiałem się napić, żeby cię odzyskać. Przestanę pić, skończę kurs komputerowy lub coś w tym rodzaju, znajdę jakąś dobrą, urzędniczą posadę. Gwardia Narodowa oferuje zwrot kosztów czesnego, mógłbym tam spróbować. Miałbym jeden weekend w miesiącu i kilka tygodni w lecie dla rodziny. Dla rodziny mogę się poświęcić. To mi pozwoli wrócić do formy, pozbędę się piwnej nadwagi, oczyszczę umysł. A kiedy już dostanę tę urzędniczą posadę, wyprowadzimy się stąd, z tego cholernego grajdołu z wciąż rosnącymi czynszami, podatkiem stadionowym i awansem społecznym. Mam walczyć z wiatrakami? Prędzej czy później i tak nas stąd wyrzucą. Wyciępią nas stąd i stworzą tu świat rodem z katalogów drogich firm wysyłkowych. W kawiarniach i supermarketach spożywczych będą rozmawiali o swoich letnich domach i najnowszych modelach samochodów.

Wyprowadzimy się jednak do przyzwoitej dzielnicy - zapowie Celeste - ładnej i czystej, gdzie będziemy mogli porządnie wychować naszego syna. Zaczniemy wszystko od nowa. Opowiem ci, co zdarzyło się tej nocy, Celeste. To nie jest przyjemne, lecz nie tak potworne, jak przypuszczasz. Wyznam ci, że chodzą mi po głowie okropne, brudne myśli. Być może będę musiał poszukać w tej sprawie pomocy specjalisty. Mam pragnienia, które napawają mnie wstrętem, lecz z nimi walczę, przysięgam, skarbie. Staram się być dobrym człowiekiem. Próbuję pogrzebać Chłopca. A przynajmniej nauczyć go współczucia.

Może tego właśnie szukał ten facet z cadillaca: odrobiny współczucia. Ale Chłopiec, Który Uciekł Wilkom nie miał w sobie tej sobotniej nocy ani odrobiny współczucia. Kolbą rewolweru uderzył faceta w cadillacu przez otwarte okno, Dave usłyszał tylko trzask pękającej kości. Rudy chłopiec wyskoczył spod siedzenia i wypadł przez drzwi od strony pasażera. Stał tam z rozdziawioną gębą, gdy Dave kolbą masakrował twarz faceta. Potem wyciągnął drania za włosy. Okazało się wtedy, że skurwiel wcale nie był taki bezbronny, jak udawał. Udawał nieprzytomnego. Dave

dostrzegł nóż dopiero wtedy, gdy facet przeciął mu koszulę. To był sprężynowiec, uderzenie zostało zadane słabnącą ręką, ale ostrze było dość ostre, by przeciąć skórę. Dave zdążył uderzyć kolanem w nadgarstek tamtego faceta, a potem trzasnął jego ręką o drzwi samochodu. Kiedy nóż upadł na chodnik, kopnął go pod wóz.

Rudowłosy chłopak wyglądał na przerażonego, ale i zafascynowanego. Dave, którego ogarnęła ślepa furia, rąbnął gościa w głowę z taką siłą, że aż pękła kolba. Facet upadł na twarz i Dave wskoczył mu na plecy. Poczul się znowu Wilkiem. Nienawidził tego skurwysyna, tego pieprzonego pedofila. Złapał go za włosy, poderwał mu głowę, a potem walnął z całej siły o chodnik. I tak tłukł, i tłukł, bez opamiętania. Rozkwasił na miazgę gębę tego gnoja, tego Henry'ego, George'a, tego... o Boże!... tego Dave'a, Dave'a!

Zdychaj, skurwysynu! Zdychaj!

Rudowłosy chłopak dopiero wtedy uciekł. Dave obejrzał się i uświadomił sobie, że wykrzykuje na głos: „Zdychaj, zdychaj, skurwysynu”. Przez chwilę patrzył za uciekającym przez parking chłopcem, a potem z zakrwawionymi rękami rzucił się za nim w pościg. Chciał powiedzieć rudemu chłopcu, że dla niego to zrobił. Ocalił go i będzie go odtąd strzegł, jeśli mały tego zapragnie.

Zatrzymał się bez tchu w zaułku za barem, zdając sobie sprawę, że nie dogoni chłopca. Spojrzał w nocne niebo i zapytał: „Dlaczego?”.

Dlaczego mnie tu rzuciłeś? Dlaczego mi dałeś to życie? Dlaczego naznaczyłeś mnie chorobą, której nienawidzę bardziej niż jakiegokolwiek innej? Dlaczego dręczysz mnie wyobrażeniami o pięknych chwilach, pełnych czułości i miłości do żony i syna, migawkami z życia, jakie mógłbym prowadzić, gdyby tamten samochód nie przejeżdżał wtedy Gannon Street i nie wywiózł mnie do piwnicy? Dlaczego?

Odpowiedz mi. Proszę. Proszę, błagam, odpowiedz mi!

Żadna odpowiedź jednak nie nadeszła. Panowała cisza, naznaczona jedynie bulgotaniem rynsztoków i szumem nasilającego się deszczu.

Dave wycofał się z zaułka i zobaczył, że tamten mężczyzna wciąż leży przy swoim samochodzie.

Kurwa, przestraszył się, chyba go zabiłem!

Tymczasem obcy przekręcił się na bok. Łapał powietrze haustami jak ryba. Miał blond włosy i wydatny brzuch, jakby go sobie wypchał poduszką, choć poza tym był szczupły. Dave usiłował sobie przypomnieć jego twarz, zanim uderzył go kolbą pistoletu przez otwarte okno. Pamiętał tylko mgliście, że miał zbyt czerwone i za

szerokie usta.

Teraz jednak z tej twarzy została tylko miazga. Dave poczuł mdłości na widok krwawej pulpy, która wciągała powietrze przez opuchnięty otwór.

Facet chyba nie zdawał sobie sprawy, że ktoś nad nim stoi. Przekręcił się na czworaki i zaczął pełznąć w stronę drzew. Wczołgał się na niewielki nasyp i chwycił rękami za siatkę, oddzielającą parking od składu złomu. Dave zdjął flanelową koszulę, pod którą miał podkoszulkę, zawinął w nią pistolet i podszedł do pozbawionej twarzy istoty.

Ranny sięgnął do wyższego oka siatki i wtedy opuściły go siły. Upadł na plecy, przekręcił się na prawy bok, w końcu usiadł pod płotem z rozrzuconymi nogami, zwrócony krwawą miazgą w stronę nadchodzącego Dave'a.

- Nie - wychrypiał. - Nie.

Dave wyczuł, że tylko dla porządku prosi o zmiłowanie. Był już tak samo jak on sam zmęczony tym, kim się stał.

Chłopiec ukląkł przed mężczyzną i przytknął kłęb zwiniętej flaneli do jego tułowia, tuż nad brzuchem. Dave przyglądał się tej scenie jakby z góry.

- Błagam - wychrypiał ranny.

- Cicho! - syknął Dave, a Chłopiec pociągnął za spust.

Pozbawiony twarzy stwór szarpnął się tak mocno, że kopnął Dave'a w pachę, po czym wypuścił powietrze z sykiem wydostającej się z czajnika pary.

- I dobrze - powiedział Chłopiec.

Dopiero, gdy Dave zataszczył ciało do bagażnika hondy, zdał sobie sprawę, że powinien je raczej wpakować do cadillaca. Podciągnął szyby, wyłączył silnik, po czym wytarł flanelową koszulą przednie siedzenie i wszystko, czego dotykał. Po co jednak miałyby krążyć hondą, usiłując znaleźć miejsce, gdzie mógłby się pozbyć trupa, skoro świetny schowek miał dosłownie na wyciągnięcie ręki?

Cofnął wóz, podjeżdżając tyłem do cadillaca. Zerknął na drzwi baru, z którego od dłuższego czasu nikt nie wychodził. Otworzył bagażnik hondy, potem bagażnik cadillaca i przetaszczył ciało z jednego wozu do drugiego. Potem zamknął oba bagażniki, zawinął nóż sprężynowy i pistolet w koszulę flanelową, rzucił na przednie siedzenie hondy i odjechał z przeklętego parkingu.

Koszulę, nóż i pistolet wrzucił do kanału Penitentiary z mostu na Roseclair Street. Później uświadomił sobie, że prawdopodobnie właśnie wtedy Katie Marcus żegnała się z życiem w parku, rozciągającym się poniżej mostu. Potem pojechał do domu,



pewien, że ktoś wkrótce odkryje samochód z trupem w bagażniku.

Do baru Ostatnia Kropła wrócił w niedzielę późnym popołudniem. Obok cadillaca stał zaparkowany jakiś inny samochód, poza tym parking był pusty. Poznał ten drugi wóz. Należał do jednego z barmanów, Reggiego Damone'a. Cadillac wyglądał niegroźnie. Ot, jeszcze jeden zapomniany pojazd. Dave wrócił tam drugi raz później tego samego dnia i omal nie dostał zawału. Miejsce po cadillacu było puste. Zrozumiał, że nie może o to nikogo zapytać wprost, choćby od niechcienia, na przykład: „Słuchaj, Reggie, czy odholowujecie samochody, które za długo stoją na waszym parkingu?”. Dopiero potem uświadomił sobie, że cokolwiek się stało z cadillakiem, nie było żadnego śladu, który by go z nim łączył.

Z wyjątkiem rudego chłopca.

Po namyśle uznał jednak, że choć chłopak był przerażony, sprawiał też wrażenie zadowolonego, podekscytowanego. Trzymał stronę Dave'a. Chyba nie powinien się go obawiać.

Policja nie miała żadnego śladu. Żadnego świadka. Nie mogła znaleźć dowodów w samochodzie Dave'a, w każdym razie takich, które byłyby ważne dla sądu. Mógł odetchnąć z ulgą. Porozmawia z Celeste i wszystko jej wyzna. Niech się potem dzieje, co chce. Zda się na łaskę żony, mając nadzieję, że wybaczy mu jego grzechy i doceni silną wolę poprawy. Uzna go za dobrego człowieka, który co prawda popełnił zbrodnię, ale w słusznej sprawie. Człowieka, który robi, co w jego mocy, by zabić swego demona.

Przestaną jeździć koło parków i otwartych basenów, obiecał sobie, dopijając trzecie piwo. Podniósł do góry pustą puszkę. Z tym również skończę.

Od jutra. Jeszcze nie dzisiaj. Ostatecznie wlał już w siebie trzy piwa, poza tym Celeste nie wróci dziś do domu. Jutro. Tak będzie najlepiej. Da to obojgu czas na otrząśnięcie się z ostatnich przeżyć. Celeste wróci do nowego, ulezonego męża. Odtąd nie będzie miał już przed nią żadnych tajemnic.

- Bo tajemnice to trucizna - powiedział na głos w tej samej kuchni, w której tak niedawno się kochali. - Tajemnice budują mury. A ja jestem cały zbudowany z piwa - dodał z uśmiechem.

Czuł się dobrze, niemal radośnie, kiedy wyszedł z domu, by udać się do sklepu Eagle Liquors. Dzień był piękny, ulica skąpana w słońcu. Kiedy byli dziećmi, biegly tędy tory kolejki na estakadzie. Przecinały Crescent przez sam środek, przyprószały całą okolicę sadzą i przesłaniały niebo. Pogłębiało to tylko wrażenie, że Flats jest

miejszem oddzielnym od reszty świata, odseparowanym od niego niczym wygnane plemię, któremu wolno żyć tak, jak mu się podoba, dopóki pozostaje na wygnaniu.

Kiedy tory usunięto, dzielnica wydostała się z cienia i przez jakiś czas wszystkim się to podobało: mniej sadzy, więcej słońca, skóra wyglądała zdrowiej. Zarazem jednak byli na widoku, świat mógł się im lepiej przyjrzeć, docenił ceglane szeregowce, widok na kanał Penitentiary i bliskość śródmieścia. Z dnia na dzień przestali być wygnanym plemieniem. Ceny nieruchomości w tej okolicy poszybowały w górę.

Po powrocie do domu będzie musiał zastanowić się nad tym, jak do tego doszło, spróbować sformułować jakąś teorię za pomocą dwunastu puszek piwa. Albo znajdzie chłodny bar, usiądzie w mroku, skryty przed jaskrawością dnia, zamówi hamburgera, pogwarzy z barmanem, sprawdzi, czy we dwóch nie uda im się ustalić, dlaczego dzielnica Flats zaczęła schodzić na psy, odkąd świat się nią zainteresował.

Tak właśnie zrobi. Oczywiście! Usiądzie na skórzanym taborecie przy mahoniowym barze i spędzi tam popołudnie. Ułoży plany. Zastanowi się nad przyszłością rodziny. Obmyśli najlepsze sposoby własnego odrodzenia. To zadziwiające, jak przyjazne potrafią być trzy zwykłe piwa po długim, trudnym dniu. Prowadziły go za rękę, gdy wspinał się po Buckingham Avenue. Mówiły: Hej, czy z nami nie jest super? Fajnie zaczynać wszystko od początku, odrzucać brudne tajemnice, być gotowym odnowić śluby wobec bliskich, stać się takim człowiekiem, jakim się w gruncie rzeczy zawsze w głębi serca było. To po prostu fantastycznie!

A któż to tam sterczy za rogiem w swoim lśniącem sportowym wozie? Uśmiecha się do nas. Toż to Val Savage! Uśmiecha się, przywołuje nas gestem dłoni! Chodźmy. Przywitajmy się.

- Dave Boyle - zawołał Val, gdy Dave podszedł do samochodu. - Jak leci, stary?

- Z górki. - Dave przykucnął obok auta. Oparł łokcie na szczelinie drzwi, gdzie chowa się szyba, i spojrzał na Vala. - Czekasz tu na kogoś?

Val wzruszył ramionami.

- I tak, i nie. Wypatruję jakiegoś ziomka, z którym można by obalić małe piwko, a może i zakąsić.

Dave nie mógł uwierzyć własnym uszom. O tym samym pomyślał.

- Naprawdę?

- Jasne. Co powiesz na kilka browarków i partyjkę bilardu, stary?

- Z przyjemnością.

Prawdę mówiąc, Dave był zaskoczony. Żył w zgodzie z Jimmym i bratem Vala,

Kevinem, czasem nawet z Chuckiem, ale nie przypominał sobie, by Val okazywał mu, co innego niż krańcową obojętność. To pewnie z powodu Katie, pomyślał. Ta strata ich zjednoczyła, wspólna tragedia skłała nowymi więzami.

- Wskakuj - powiedział Val. - Wpadniemy do baru po drugiej stronie miasta. Należy do mojego dobrego znajomka.

- Po drugiej stronie miasta? - Dave obejrzał się na pustą ulicę. - Hm, muszę być w domu o jakiejś rozsądnej godzinie.

- Nie ma sprawy. Odstawię cię, o której będziesz chciał. Wskakuj. Urządzimy sobie wieczór kawalerski w samo południe.

Dave uśmiechnął się, po czym obniósł ten uśmiech wokół samochodu Vala. Obszedł go od przodu i wsiadł. Kawalerski wieczór w samo południe. Tego mu właśnie było trzeba. Wypuszczają się z Valem w miasto jak dwaj starzy kumple. To była jedna ze wspaniałych zalet takich miejsc jak Flats, zalet, które, jak się obawiał, mogą wkrótce zagać. Oto dawne uczucia i wszystkie zaszłości stawały się nieważne, gdy człowiek uświadamiał sobie, że wszystko się zmienia prócz ludzi, wśród których się wychowywałeś, i miejsca, skąd pochodziłeś. Twojej dzielnicy. Niech trwa na wieki, pomyślał Dave, otwierając drzwiczki samochodu, choćby tylko w naszej pamięci.

## Facet w bagażniku

Whitey i Sean zjedli późny lunch w przydrożnym barze Pat's, oddalonym o jeden zjazd z autostrady od komendy policji stanowej. Bar stał w tym miejscu od czasu wojny i był od tak dawna miejscem wypadów policjantów, że Pat Trzeci mawiał, iż jego rodzina jest jedyną rodziną restauratorów, która od trzech pokoleń nie została obrabowana.

Whitey wgrzył się w cheeseburgera i popił wodą sodową.

- Chyba nie sądzisz, że dzieciak naprawdę to zrobił?

Sean odłożył kanapkę z tuńczykiem.

- Łgał jak najęty. Jestem pewien, że coś wie o tej broni. Podejrzewam też... na razie to tylko przypuszczenie... że jego stary żyje.

Whitey zamaczał plasterek cebuli w sosie tatarskim.

- Te pięć stówek z Nowego Jorku co miesiąc?

- Uhm. Wiesz, do jakiej sumy to przez te lata urosło? Blisko osiemdziesięciu tysięcy. Kto, prócz rodzzonego ojca, przysłałby taką forszę?

Whitey otarł wargi serwetką i wrócił do cheeseburgera. Sean nie mógł zrozumieć, jak udawało mu się uniknąć ataku serca, skoro jadł i pił tak niezdrowo, do tego pracował po siedemdziesiąt godzin tygodniowo, gdy obowiązki tego wymagały.

- Powiedzmy, że żyje - zgodził się Whitey.

- Powiedzmy.

- Co by to oznaczało? Pokrętny sposób ukarania Jimmy'ego Marcusa za jego przewiny? Do cholery, czy my już gramy w filmie?

Sean zaśmiał się.

- Jak pan sądzi, kogo by obsadzili w pana roli?

Whitey pociągnął przez słomkę wodę sodową, aż zabulgotała na kostkach lodu.

- Już o tym myślałem. To się może zdarzyć, jeśli spieprzymy tę sprawę, superglino. Dostaniemy się na srebrny ekran. Ktoś w typie Jamesa Bonda? Najlepiej Brian Dennehy.

Sean przyjrzał mu się uważnie.

- To wcale nie takie głupie - powiedział, żałując, że wcześniej nie dostrzegł podobieństwa. - Nie jest pan taki wysoki, sierzancie, ale jest pan takim samym typem twardziela.

Whitey odsunął talerz.

- Natomiast któryś z tych lalusiów z serialu Przyjaciele mógłby zagrać ciebie. Faceci wyglądają tak, jakby codziennie rano przez godzinę wystrzygali sobie włoski z nozdrzy i depilowali brwi, a raz w tygodniu robili pedikiur. Tak, któryś z nich nadawałby się do tej roli.

- Zazdrość przez pana przemawia.

- Widzę pewien problem. - Whitey zmienił temat. - Trop Raya Harrisa jest zbyt pogmatwany. Współczynnik prawdopodobieństwa oceniam na jakieś sześć.

- Na skali od jednego do dziesięciu?

- Od jednego do tysiąca. Zastanówmy się. Harris wystawia Jimmy'ego Marcusa. Marcus to odkrywa, wychodzi z paki, dopada Raya. Temu udaje się jakimś cudem zwiać. Jedzie do Nowego Jorku, gdzie znajduje sobie dość dobrą i stałą posadę, by móc przez następne trzynaście lat przysyłać do domu co miesiąc pięć stówek. Pewnego dnia budzi się i stwierdza: „Nadszedł czas zapłaty”. Wsiada w autobus, przyjeżdża tutaj i zabija Katherine Marcus. I to nie jak Pan Bóg przykazał, ale z wyjątkowym okrucieństwem. W tym parku pachniało furią psychola. A potem stary Ray (mówię bez przenośni; gość musi mieć na karku piąty krzyżyk, choć biegł po parku jak sprinter) najspokojniej wsiada w autobus i wraca do Nowego Jorku z bronią w kieszeni. A swoją drogą, sprawdziłeś Nowy Jork? Sean skinął głową.

- Żadnych śladów w ubezpieczeniach, żadnych kart kredytowych na jego nazwisko, żadnej historii zatrudnienia. Policja nowojorska i stanowa nie aresztowała nigdy nikogo z tymi odciskami palców.

- Mimo to dalej twierdzisz, że to on zabił Katherine Marcus.

Sean pokręcił głową.

- Nie. To znaczy, nie mam pewności. Nie wiem nawet, czy facet żyje. Mówię tylko, że to mógł być on. Poza tym wszystko wskazuje na to, że zabójstwa dokonano z broni, która do niego należała. Podejrzewam też, że Brendan wie więcej, niż mówi, no i nikt nie może potwierdzić, że w chwili popełnienia zbrodni spał grzecznie w łóżku. Mam nadzieję, że pobyt w celi odświeży mu pamięć.

Whitey beknął głośno.

- Obyczaje księcia, panie sierzancie.

Whitey wzruszył ramionami.

- Nie wiemy nawet, czy Ray Harris naprawdę obrabował sklep monopolowy osiemnaście lat temu. Nie wiemy, czy to jego broń. Snujemy domysły. Na dwoje babka wróżyła. To nie przejdzie w sądzie. Cholera, dobry zastępca prokuratora okręgowego nie wystąpi nawet z oskarżeniem.

- Owszem, ale na nosa to trzyma się kupy.

- Na nosa. - Otworzyły się drzwi i Whitey spojrział w ich stronę nad ramieniem Seana. - Psiakrew, debilne bliźniaki.

Do ich boksu podszedł Souza, a kilka kroków za nim Connolly.

- A pan to bagatelizował, sierzancie.

Whitey przytknął dłoń do ucha i podniósł wzrok na mówiącego.

- O co chodzi, chłopcze? Nietęgo u mnie ze słuchem, jak wiesz.

- Przejrzeliśmy raporty odholowań z parkingu przed barem Ostatnia Kropla - poinformował Souza.

- Ten teren podlega policji bostońskiej - przypomniał Whitey. - Zapomnieliście?

- Znaleźliśmy samochód, po który się dotąd nie zgłoszono, panie sierzancie.

- No i?

- Poprosiliśmy ich pracownika, żeby sprawdził, czy nadal tam stoi. Po chwili wrócił do telefonu i powiedział, że z tego wozu coś wycieka.

- Co wycieka? - zaciekał się Sean.

- Nie wiem, ale powiedział, że cholernie śmierdzi.

Cadillac był dwukolorowy: biały dach i granatowe nadwozie. Whitey osłonił oczy dłońmi i nachylił się nad oknem od strony pasażera.

- Ta brązowa smuga obok konsoli przy drzwiach od strony kierowcy wygląda mi podejrzanie.

Stojący przy bagażniku Connolly stęknął:

- Chryste, czujecie ten smród? Cuchnie jak po odpływie w Wollaston.

Whitey obszedł wóz od tyłu w chwili, gdy pracownik parkingu podawał Seanowi wybijak zamka.

Sean stanął obok Connolly'ego i odsunął go na bok.

- Użyj krawata.

- Słucham?

- Zakryj krawatem usta i nos, stary.

- A wy jak sobie poradzicie?

Whitey wskazał na swoją zatłuszczoną górną wargę.

- My połknęliśmy po drodze tabletki na kaszel. Przepraszam, chłopcy, musicie się odsunąć.

Sean ustawił krawędź u końca wybijaka. Nasunął go nad zamek bagażnika i wycelował. Wyczuł, jak metal zazgrzytał o metal, a potem chwycił, ujmując cały cylinder zamka.

- Już jesteśmy w środku? - zapytał Whitey. - Za pierwszym razem?

- Za pierwszym razem.

Sean pociągnął mocno i wyrwał cylinder zamka. Zobaczył w klapie dziurę, jaką spowodował, po czym szczęknął mechanizm zatraskowy i pokrywa klapy bagażnika się podniosła. Smród odpływu zastąpiła woń o wiele obrzydliwsza, zmieszany odór wyziewów bagiennych i gotowanego mięsa, które zgniło w jajecznicy.

- O Chryste. - Connolly przycisnął krawat do nosa i jak oparzony odskoczył od samochodu.

- Ma ktoś ochotę na kanapkę Monte Christo? - zapytał Whitey.

Connolly pozieleniał.

Natomiast Souza zachował spokój. Podszedł do bagażnika, palcami zacisnął nos i zapytał:

- Gdzie on ma twarz?

- Tutaj - odparł Sean.

Mężczyzna leżał w pozycji embrionalnej. Głowę miał odchyloną i przekreśloną w bok, jakby złamano mu kark, reszta ciała była skręcona w przeciwną stronę. Garnitur i buty pochodziły z najwyższej półki. Sean ocenił jego wiek na jakieś pięćdziesiąt lat, sądząc po dłoniach i linii włosów. Dostrzegł otworek na plecach marynarki i za pomocą długopisu odchylił materiał od jego pleców. Biała koszula była zażółcona od gorąca i potu, mimo to znalazł dziurkę, odpowiadającą tej w marynarce, mniej więcej w połowie pleców.

- Znalazłem ranę wylotową, sierżancie. Jak nic od kuli. - Zajrzał do bagażnika w poszukiwaniu naboju. - Naboju jednak nie widzę.

Whitey odwrócił się do Connolly'ego, który zaczynał się właśnie ślaniać na nogach.

- Wskakuj do wozu i pędź na parking przed Ostatnią Kroplą, ale najpierw poinformuj Boston. Nie chcę gównianej wojny o tereny wpływów. Zacznij

poszukiwania od miejsca, gdzie znaleźliście najwięcej śladów krwi. Gdzieś tam może jeszcze leżeć kula. Jasne?

Connolly kiwnął głową, łowiąc ustami powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg.

- Kula przebiła mostek. Trup na miejscu.

Whitey zwrócił się do Connolly'ego:

- Ściągnij mi tylu techników kryminalistyki i policjantów stanowych, ilu się da bez stawiania na nogi bostończyków. Jeśli znajdziesz kulę, osobiście odwieziesz ją do laboratorium.

Sean wsunął głowę do bagażnika i przyjrzał się uważnie zmasakrowanej twarzy.

- Sądząc po ilości zwiru, ktoś tłukł jego buźką o chodnik tak długo, aż do reszty opadł z sił.

Whitey dotknął ramienia Connolly'ego.

- Powiedz bostończykom, że będą tu potrzebowali pełnego kompletu dochodzeniówki. Techników, fotografów, patologa i zastępcę prokuratora okręgowego pod telefonem. Powiedz, że sierżant Powers prosi o przysłanie kogoś, kto mógłby zrobić na miejscu badanie grupy krwi. A teraz ruszaj!

Connolly - szczęśliwy, że może wreszcie uciec od potwornego smrodu - popędził do radiowozu, włączył silnik i z piskiem opon wyskoczył z parkingu.

Whitey obfotografował z zewnątrz samochód i skinął na Souzê, który włożył parę rękawiczek chirurgicznych i cienkim meselkiem wyważył drzwi od strony pasażera.

- Znalazłeś jakieś dokumenty? - zwrócił się Whitey do Seana.

- Portfel w tylnej kieszeni. Niech pan pstryknie jeszcze kilka fotek, póki nie włożę rękawiczek.

Whitey obszedł samochód i sfotografował ciało, potem puścił aparat, który zadyndał na pasku na jego szyi, i naszkicował w notesie plan miejsca zbrodni.

Sean wyjął portfel z tylnej kieszeni spodni zabitego i otworzył go. Tymczasem Souza zawołał od przodu auta:

- Zarejestrowany na Augusta Larsona. Trzysta dwadzieścia trzy Sandy Pine Lane w Weston.

Sean przyjrzał się zdjęciu w prawie jazdy.

- To on.

Whitey zerknął mu przez ramię.

- Żadnej legitymacji dawcy organów, czegoś w tym rodzaju?

Sean przejrzał karty kredytowe, kartę wypożyczalni wideo, legitymację



członkowską klubu zdrowia, kartę AAA, w końcu znalazł legitymację Tufts Health Plan\*. Podniósł ją do góry, by Whitey mógł ją zobaczyć.

- Grupa krwi A.

- Souza, dzwoń do dyspozytora - polecił Whitey. - Podaj mu dane Davida Boyle'a, piętnaście Crescent Street, East Buckingham. Biały mężczyzna, włosy kasztanowe, oczy niebieskie, jakieś sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, osiemdziesiąt kilo wagi. Może być uzbrojony i niebezpieczny.

- Uzbrojony i niebezpieczny? - zdziwił się Sean. - Wątpię, sierżancie.

- Powiedz to temu facetowi w bagażniku.

Komenda policji bostońskiej znajdowała się zaledwie osiem przecznic od parkingu służb holowniczych, toteż pięć minut po odjeździe Connolly'ego nadjechał cały batalion radiowozów i samochodów nie oznakowanych, a za nimi furgonetka anatomopatologa i ciężarówka techników kryminalistyki. Na ten widok Sean ściągnął rękawiczki i odsunął się od bagażnika samochodu. Teraz to była działka bostończyków. Jeśli zechcą go przepytają, proszę bardzo, ale na tym koniec.

Pierwszy wysiadł z brązowego forda Burt Corrigan, stary wyga z pokolenia Whiteya z podobną historią nieudanych związków i niewłaściwej diety. Przywitali się serdecznie. Obaj w czwartkowe wieczory odwiedzali knajpę JJ Foley's i konkurowali w grze w rzutki. Burt zwrócił się do Devine'a:

- Wlepiliście już mandat czy zrobicie to dopiero na pogrzebie?

- Dobra kwestia - pochwalił Sean. - Kto ci je teraz pisze, Burt?

Burt obszedł od tyłu samochód, klepnąwszy po drodze Devine'a po ramieniu. Zajrzał do bagażnika, pociągnął nosem i stwierdził:

- Coś tu zajędzia.

Whitey podszedł do bagażnika.

- Przypuszczamy, że zabójstwo miało miejsce na parkingu przed barem Ostatnia Kropla w East Bucky, w niedzielę nad ranem.

Burt skinął głową.

- Czy jedna z naszych ekip nie natknęła się tam na waszych chłopców w poniedziałek po południu?

Whitey przytaknął.

---

\* Działająca w stanie Massachusetts sieć opieki zdrowotnej (przyp. tłum.).

- To ta sama sprawa. Posłaliście już tam kogoś?
  - Tak, parę minut temu. Chłopcy zastali na miejscu policjanta stanowego Connolly'ego zajętego poszukiwaniem kuli.
  - Zgadza się.
  - Wrzuciłeś też czyjeś nazwisko na druty, prawda?
  - Niejakiego Davida Boyle'a - przytaknął Whitey.
- Burt zajrzał w twarz zabitego.
- Będą nam potrzebne wszystkie wasze ustalenia w tej sprawie, Whitey.
  - Oczywiście. Zostanę trochę, zobaczę, jak wam idzie.
  - Brałeś dziś prysznic?
  - Jasne.
  - Więc zgoda. - Burt spojrzał na Seana. - A kolega?
  - Mam z kimś do pogadania - odparł Sean. - Zostawiam panów samych. Zabieram ze sobą Souzę.

Sierżant kiwnął głową i odprowadził Seana do samochodu.

- Jeśli podwiążemy pod tę sprawę Boyle'a, może uda mu się również przypisać zabójstwo tej Marcus. Trafimy dwa ptaszki za jednym strzałem.
- Podwójne zabójstwo w odległości dziesięciu przecznic? - spytał z powątpiewaniem Sean.

- Może wyszła z baru na tę krwawą jatkę?

Sean pokręcił głową.

- Czas się nie zgadza. Jeśli Boyle zabił tego gościa, mógł to zrobić między pierwszą trzydziestą a pierwszą pięćdziesiąt pięć. Musiałby potem przejechać dziesięć przecznic, by natknąć się na jadącą samochodem Katie Marcus o pierwszej czterdziestą pięć. Moim zdaniem odpada.

Whitey oparł się o samochód.

- Moim też, prawdę powiedziawszy.
- Poza tym dziura w plecach tego gościa. Była mała. Za mała jak na kaliber trzydziestą osiem. Różne spluwy, różni sprawcy.

Whitey pokiwał głową zapatrzony we własne buty.

- Masz zamiar jeszcze raz przycisnąć tego gnojka?
- Kręcimy się wciąż wokół broni jego starego.
- Może by sporządzić jego portret pamięciowy? Rysownik by go postarzył o te kilka lat, puścilibyśmy go w obieg. Może ktoś rozpozna.

Souza obszedł wóz i otworzył drzwi od strony pasażera.

- Jadę z tobą, Sean?

Sean kiwnął głową i odwrócił się do Whiteya.

- Brakuje nam drobiazgu.

- Mianowicie?

- Czegoś, co nam umyka. Małego drobiazgu. Kiedy go odkryję, sprawa będzie zamknięta.

Whitey uśmiechnął się.

- Jaką masz ostatnią nie zamkniętą sprawę o zabójstwo w swoich papierach, synku?

Nazwisko samo zeskoczyło z języka Seana.

- Eileen Fields, zamordowana półtora roku temu.

- Nie wszyscy mogą być maczankami - powiedział Whitey i zawrócił w stronę cadillaca. - Wiesz, co mam na myśli?

Pobyt w celi najwyraźniej dał się we znaki Brendanowi. Był przygnębiony, jakby zobaczył tam rzeczy, o których istnieniu wolałby nie wiedzieć. Sean zadbał o to, by osadzić go w pustej celi, bez ćpunów i meneli. Nie miał pojęcia, co go tak przeraziło. Chyba, że bał się samotności.

- Gdzie przebywa twój ojciec? - zapytał. Brendan obgryzał paznokiec. Wzruszył ramionami.

- W Nowym Jorku.

- Nigdy go nie widziałeś?

Chłopak zabrał się do następnego paznokcia.

- Nie, odkąd skończyłem sześć lat.

- To ty zabiłeś Katie Marcus?

Brendan wyjął palec z ust i wlepił wzrok w Devine'a.

- Odpowiadaj!

- Nie.

- Gdzie jest pistolet twojego ojca?

- Nic mi nie wiadomo, żeby mój ojciec miał pistolet.

Tym razem nawet nie zamrugał i nie uciekł w bok spojrzeniem. Wpatrywał się w detektywa ze znużeniem, za którym jednak kryła się agresja. Po raz pierwszy Sean dostrzegł, że Brendan byłby zdolny do okrucieństwa.

Co go, do cholery, tak odmieniło w celi?

- Czy twój ojciec miałby powód, by zamordować Katie Marcus?
  - Mój ojciec nikogo nie zamordował.
  - Ty coś wiesz, kolego, i nie chcesz mi powiedzieć. Wiesz co? Sprawdzę, może jest wolny wykrywacz kłamstwa. Zadamy ci kilka pytań uzupełniających.
  - Chcę rozmawiać z adwokatem.
  - Poczekaj. Spróbujmy...
  - Chcę rozmawiać z adwokatem - powtórzył Brendan. - Natychmiast.
- Sean nie zmienił spokojnego tonu głosu.
- Oczywiście. Myślisz o jakiejś konkretnej osobie?
  - Mama zna kogoś takiego. Chcę zadzwonić.
  - Posłuchaj...
  - Natychmiast - warknął Brendan.
- Sean westchnął i przysunął mu stojący na biurku telefon.
- Na miasto wychodzisz przez dziewięć.

Adwokat Brendana okazał się Irlandczykiem. Stary wyga. Prawdopodobnie czepiał się tramwajów, gdy jeszcze jeździły konne. Był jednak na tyle zorientowany w aktualnych przepisach, by wiedzieć, że policja nie ma prawa aresztować jego klienta wyłącznie za brak alibi.

- Przetrzyzymałem go? - zdziwił się Sean.
- Zamknął pan mojego klienta w celi - oburzył się adwokat.
- Wcale nie była zamknięta. Chłopak chciał ją sobie po prostu obejrzeć.

Adwokat zrobił taką minę, jakby spodziewał się po rozmówcy bardziej błyskotliwej odpowiedzi, po czym obaj z Brendanem wyszli z sali, nie oglądając się za siebie. Sean sięgnął po raporty, lecz nie mógł skupić się na lekturze. Odłożył je, odchylił się na oparcie krzesła i zamknął oczy. Pod powiekami ujrzał po chwili Lauren i swoje wyśnione dziecko. Wyczuł ich zapach.

Otworzył portfel i wyjął świstek papieru z zapisanym numerem komórki Lauren. Położył karteczkę na biurku i wygładził dłonią. Nigdy nie chciał mieć dzieci. Nie widział pożytku z tytułu posiadania potomstwa, nie licząc pierwszeństwa przy wsiadaniu do samolotu. Zabierały człowiekowi wolny czas, przyczyniały nieustannej troski i zmęczenia. Tymczasem ludzie zachowywali się tak, jakby przyjście na świat dziecka było najwyższym szczęściem i darem losu. Rozmawiali o dzieciach z uszanowaniem, zarezerwowanym ongiś dla bogów. A przecież idioci, którzy

zablokowali ci samochód, którzy włóczą się po ulicach i mordy drą po barach, słuchają muzyki na cały regulator, terroryzują, gwałcą i wciskają klientom zdezelowane gruchoty - te wszystkie łobuzy były kiedyś dziećmi. Też mi wielki cud! Też mi wielka świętość!

Nie miał nawet pewności, czy córka była jego. Nie zrobił testu na ojcostwo, duma mu na to nie pozwalała. Test miał wykazać, że jest ojcem? Dno. Przepraszam, proszę mi upuścić trochę juchy, bo moja żona parzy się z innym facetem i właśnie zaszła w ciążę.

A niech to szlag trafi. Owszem, tęsknił za nią, kochał ją, marzył o wzięciu na ręce swojego dziecka. I co z tego? Lauren go zdradziła, odeszła, urodziła dziecko poza domem i na domiar złego nigdy go nie przeprosiła. Nigdy nie powiedziała: „Sean, wybacz, popełniłam błąd. Wybacz, że cię zraniłam”.

A on, czy też ją zranił? Niestety tak, nie da się ukryć. Kiedy dowiedział się o jej romansie, omal jej nie uderzył, w ostatniej chwili cofnął pięść i wbił ją w kieszeń. Lauren jednak dojrzała wyraz zawziętości na jego twarzy. No i te słowa, nad którymi nie zapanował. Chryste!

Jednak jego gniew, fakt, że ją odepchnął, to była tylko reakcja. To on został skrzywdzony, a nie ona.

Czy naprawdę? Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Naprawdę!

Włożył karteczkę z numerem do portfela, zamknął oczy i się zdrzemnął. Obudziły go kroki na korytarzu. Uniósł powieki w chwili, gdy Whitey wtaczał się do sali. Sean dojrzał alkohol w jego wzroku, zanim go poczuł w oddechu. Sierżant opadł na krzesło i zarzucił nogi na biurko, odsuwając kopnięciem pudełko z dowodami rzeczowymi, które Connolly przyniósł wczesnym popołudniem.

- Zastrany dzień - warknął.

- Znalazł go pan?

- Boyle'a? - Whitey pokręcił głową. - Nie. Jego gospodarz powiedział, że słyszał, jak wychodził koło trzeciej, lecz do tej pory nie wrócił. Mówi, że jego żona i syn też zniknęli. Zadzwoniliśmy do Boyle'a do pracy. Pracuje w systemie zmianowym od środy do niedzieli, nic dziwnego, że go tam nie widziano. - Beknął. - Ale się pokaże.

- A co z kulą?

- Znaleźliśmy jedną przed Ostatnią Kroplą. Problem w tym, że uderzyła w metalowy słupek w miejscu, gdzie postrzelono tego typa z bagażnika. Chłopcy z balistyki mówią, że może uda się ją zidentyfikować, a może i nie. - Wzruszył

ramionami. - A co z małym Harrisem?

- Adwokat po niego przyszedł.

- Nie może być?

Sean podszedł do biurka Whiteya i zaczął przeglądać zawartość pudełka.

- Żadnych śladów stóp - rzekł. - Ślady linii papilarnych nie odpowiadają danym z bazy. Broń była ostatni raz używana podczas napadu osiemnaście lat temu. Co to wszystko znaczy? - Odłożył raport do pudełka. - Jedynego facet bez alibi to właśnie ten, którego nie podejrzewam.

- Idź do domu - burknął Whitey. - Mówię serio.

- Idę.

Wyjął z pudełka kasetę z nagraniami z telefonu alarmowego dziewięćset jedenaście.

- Co to? - zainteresował się Whitey.

- Snoop Dogg.

- Myślałem, że facet nie żyje.

- Nie żyje Tupac\*.

- Trudno za nimi nadążyć.

Sean włożył taśmę do stojącego na biurku magnetofonu i nacisnął klawisz.

- Tu numer dziewięćset jedenaście, alarmowy telefon policyjny. W czym mogę pomóc?

Whitey napiął na palcu gumkę aptekarską i pstryknął w stronę sufitowego wentylatora.

- No więc tego... Znaleźliśmy samochód, no i... tego... jest w nim krew. A drzwi są otwarte, no i...

- Gdzie dokładnie stoi ten samochód?

- We Flats. Koło parku Pen. Znalazłem go z kolegą.

- Czy mógłbyś podać dokładniejszy adres?

Whitey ziewnął w zwiniętą pięść i sięgnął po następną gumkę. Sean wstał i przeciągnął się, zastanawiając się, co ma w domu w lodówce na kolację.

- Sydney Street. Widać krew, a drzwi są otwarte.

- Jak się nazywasz, synku?

- Pyta o jej nazwisko. Nazwał mnie „synkiem”.

- Pytałem o twoje nazwisko, chłopcze. Jak ty się nazywasz?

---

\* Chodzi o czarnych amerykańskich raperów (przyj. tłum.).

- Odpieprz się.

Połączenie zostało przerwane. Dyspozytor zaczął się łączyć z centralą. Sean wyłączył magnetofon.

- Myślałem, że Tupac ma większą sekcję rytmiczną - powiedział Whitey.

- Snoop. Mówiłem panu. Whitey ponownie ziewnął.

- Idź do domu, chłopie.

Sean skinął głową i wyjął kasetę z magnetofonu. Wsunął ją do pudełka i rzucił nad głową Whiteya do pudła. Wyjął z górnej szuflady biurka swojego glocka i przypiął do paska kaburę.

- Jej - powiedział.

- Słucham? - Whitey obrzucił go zdziwionym spojrzeniem.

- Ten dzieciak na taśmie. Powiedział: „Jej nazwisko”. „Pyta o jej nazwisko”.

- I słusznie. O dziewczynach, nawet zmarłych, mówi się używając zaimka „ona”.

- Ale skąd on mógł to wiedzieć?

- Kto?

- Ten gnojek, który dzwonił. Skąd wiedział, że krew w samochodzie była krwią kobiety?

Stopa Whiteya opuściła biurko, a spojrzenie pobiegło w stronę pudła. Wyciągnął rękę i wyjął taśmę. Rzucił ją z nadgarstka, a Sean złapał kasetę w locie.

- Odsłuchajmy to jeszcze raz - powiedział Whitey.

## Zagubieni w przestrzeni

Dave i Val pojechali za rzekę do baru, znajdującego się w Chelsea. Podawano zimne i tanie piwo i było pusto. Jedynymi gośćmi było kilku najwidoczniej stałych bywalców o wyglądzie robotników portowych oraz czterech robotników budowlanych, którzy spierali się na temat niejakiej Betty, najwyraźniej cycatej i pyskatej. Budynek stał pod mostem Tobin, tyłem do rzeki Mystic. Wyglądał tak, jakby tam sterczał od niezliczonych dziesiątków lat. Wala wszyscy tu znali. Powitali go serdecznie. Właściciel, chudy jak szczapa, o smoliście czarnych włosach i twarzy białej jak papier, miał na imię Huey. Sam obsługiwał bar. Dwie pierwsze kolejki postawił nowo przybyłym na koszt firmy.

Dave i Val grali przez jakiś czas w bilard, potem usiedli w loży z karafką i dwoma kieliszkami. Małe, kwadratowe, wychodzące na ulicę okienka zmieniły wkrótce barwę ze złocistej na granatową. Noc zapadła tak szybko, że Dave poczuł się zdezorientowany. Val okazał się przy bliższym poznaniu bardzo miły. Opowiadał o pobycie w więzieniu i o nieudanych skokach. Prawdę powiedziawszy, były to historie mrożące krew w żyłach, ale w ustach Vala brzmiały zabawnie. Dave zaczął się zastanawiać, jak się czuje taki nieustraszony i pewny siebie chojrak jak Val, a przy tym konus.

- Raz zrobiliśmy skok w biały dzień. Jimmy już siedział, ale my jeszcze próbowaliśmy. Nie wiedzieliśmy, że tylko dlatego tak dobrze nam szło, ponieważ Jimmy za nas myślał i planował. Wystarczało go słuchać, wypełniać jego rozkazy i wszystko grało. Bez niego nie mieliśmy szans. Więc robimy skok na kolekcjonera znaczków. Gość leży związany jak baleron w swoim gabinecie, a ja, mój braciszek Nick i ten dzieciak Carson Leverett, który nie umiał nawet zawiązać samodzielnie sznurowadła, zjeżdżamy windą. Niby wszystko w porządku. Mamy na sobie garnitury jak dżentelmeni. Aż tu wsiada do windy jakaś damulka i zaraz w krzyk. Nie kapuję, o co jej chodzi. Przecież wyglądamy przyzwoicie, no nie? Oglądam się na Nicka i widzę, że ona gapi się z przerażeniem na Carsona Leveretta. Pieprzony dzieciak wciąż miał na twarzy maskę. - Val trzepnął w stół i wybuchnął śmiechem. - Dasz wiarę? Miał na



gębie maskę Ronalda Reagana, tą z tym uśmiechem od ucha do ucha, jakie wtedy sprzedawali. Głupek zapomniał ją zdjąć.

- A wy nie zauważyliście?

- Otóż właśnie. Wyszliśmy z tego biura, zdjęliśmy nasze maski i myśleliśmy, że i Carson to zrobił. W tym fachu wciąż się zdarzają takie wpadki. Człowiek jest zdenerwowany, chciałby jak najszybciej zmyć się z trefnego miejsca, więc przegapia najoczywistsze rzeczy. Nie zauważasz, co masz przed samym nosem. - Val zachichotał i wychylił kieliszek. - Dlatego tak nam brakowało Jimmy'ego. On wszystko potrafił przewidzieć. Dobry quarterback\* widzi całe pole gry, jak to mówią. Podobnie było z Jimmym. Pod tym względem był cholernym geniuszem.

- Ale wrócił na uczciwą drogę.

- Jasne - zgodził się Val i zapalił papierosa. - Zrobił to dla Katie i dla Annabeth. Między nami mówiąc, nie wydaje mi się, żeby był do końca przekonany, ale co poradysz. Ludzie z czasem dorostają. Moja pierwsza żona powtarzała, że to mój największy problem: nie potrafiłem wydorosnąć. Za bardzo lubię noc. Dzień to pora, którą wolę przespać.

- Myślałem, że to będzie jakoś inaczej - powiedział Dave.

- Czyli co?

- No, z tym dorastaniem. Że człowiek się jakoś inaczej poczuje, rozumiesz? Że się poczuje dorosłym mężczyzną.

- Ty się tak nie czujesz?

Dave uśmiechnął się blado.

- Może czasem. Przeważnie czuję się tak jak wtedy, kiedy miałem osiemnaście lat. Nieraz budzę się rano i myślę: Ja mam dziecko? Żonę? Jak to się stało? - Dave'owi plątał się język. Kręciło mu się w głowie. Jeszcze nigdy tyle nie wypił. Nabrał ochoty na zwierzenia. Zależało mu, żeby Val przekonał się, kim naprawdę jest, i żeby go takim polubił. - Spodziewałem się, że któregoś dnia to się stanie. Rozumiesz? Budzisz się i już wiesz: jestem naprawdę dorosły, czujesz, że panujesz nad sytuacją. Zupełnie jak ci tatuśkowie ze starych seriali.

- Jak Ward Cleaver\*\*? - podsunął Val.

- Aha. Albo szeryf, na przykład James Arness\*\*\*, tego rodzaju faceci. To byli

---

\* Quarterback - (ang.) rozgrywający w footballu amerykańskim (przyp. tłum.).

\*\* Ward Cleaver - głowa rodziny w słynnym telewizyjnym serialu Leave it to Beaver, nadawanym w latach 1957-63 (przyp. tłum.).

prawdziwi mężczyźni.

Val potaknął i napił się piwa.

- Kiedyś koleś w pace powiedział mi: „Szczęście przychodzi na chwilę, a potem odchodzi. Czasem na całe lata. Ale smutek... - Val zamrugnął powiekami - ...smutek osiada na dnie duszy”. - Zdusił papierosa w popielniczce. - Lubiłem tego gościa; jak już coś powiedział... Wychyliłbym jeszcze kielonek. A ty? - spytał i wstał.

Dave pokręcił głową.

- Jeszcze tego nie dopiłem.

- No to wypij. Raz się żyje.

Dave spojrzał na pomarszczoną, uśmiechniętą twarz Vala i powiedział:

- Spróbuję.

- W porządku. - Val poklepał go po ramieniu i podszedł do baru.

Wdał się w pogawędkę z jednym z dokerów. Dave pomyślał, że bywalcy tego baru dobrze wiedzą, co to znaczy być mężczyzną. Byli mężczyznami bez żadnych wątpliwości, nigdy nie kwestionowali słuszności własnych czynów, nie bali się świata i byli gotowi spełniać jego oczekiwania.

Chodziło o strach. On miał go w nadmiarze, oni go nie znali. Ulokował się w nim we wczesnym dzieciństwie, wgrzył się w jego duszę jak smutek, o którym mówił więzienny kumpel Vala. Obrął w nim sobie stałą siedzibę i nigdy go nie opuszczał. Dave bał się zrobić niewłaściwy krok, lękał się, że coś spieprzy, że nie jest dość inteligentny i nie jest dość dobrym mężem, wystarczająco dobrym ojcem, w ogóle mężczyzną. Strach tkwił w nim od tak dawna, że już zapomniał, jak żyje się bez strachu.

Światła przejeżdżającego samochodu wpadły przez otwarte drzwi wejściowe i biały snop padł wprost na twarz Dave'a. Ktoś wszedł do baru. Dave zamrugnął powiekami. Dostrzegł tylko zarys męskiej, masywnej sylwetki. Nowo przybyły miał na sobie skórzaną marynarkę. Przypominał trochę Jimmy'ego, tyle że był roślejszy i szerszy w ramionach.

Po chwili okazało się, że to Jimmy we własnej osobie. Dave stwierdził to ze zdumieniem, gdy drzwi się zamknęły i światło przestało go oślepić. Pod czarną skórzaną marynarką Jimmy miał ciemny golf. Nosił też spodnie koloru khaki. Skinął Dave'owi głową, podszedł do stojącego przy barze Vala i szepnął mu coś do ucha. Val zerknął przez ramię na Dave'a i odpowiedział szwagrowi.

---

\*\*\* James Arness - aktor, Matt Dillon w najdłużej wyświetlanym serialu tv Gunsmoke (przyp. tłum.).

Dave poczuł mdłości. Uznał, że to nie tylko skutek picia na pusty żołądek, lecz także pojawienia się Jimmy'ego. Coś nieprzyjemnego było w jego kiwnięciu głową, w ponurej, zaciętej twarzy. Dlaczego wyglądał tak, jakby od wczoraj przybyło mu z pięć kilogramów? Co robił w Chelsea, w noc przed pogrzebem córki?

Jimmy podszedł do stolika i usiadł na miejscu Vala, naprzeciwko Dave'a.

- Jak leci? - zapytał.

- Jestem zalany - przyznał Dave. - Co tak przytyłeś? Jimmy uśmiechnął się słabo.

- Wydaje ci się.

- Wyglądasz jakoś grubo. Jimmy wzruszył ramionami.

- Skąd się tu wzięłeś? - zaciekał się Dave.

- Często tu wpadam. Val i ja znamy się z Hueyem jeszcze z dawnych czasów. Nie dopijesz tego kielonka?

Dave podniósł kieliszek.

- Już jestem nieźle wstawiony.

- Wielkie rzeczy. - Dave zdał sobie sprawę, że Jimmy trzyma w ręku kieliszek.

Stuknął się z Dave'em. - Za nasze dzieci - powiedział.

- Za nasze dzieci - zdołał wykrztusić Dave.

Poczuł się nieswojo, jakby wypadł z minionego dnia, przeleciał przez noc i wpadł w sen, w którym wszystkie twarze przysuwały się nazbyt blisko, natomiast głosy brzmiały tak, jakby docierały z dna studzienek ściekowych.

Wychylił kieliszek i skrzywił się, gdy wódka zapiekła go w gardle. Val wsunął się tymczasem do boksu i usiadł obok. Objął Dave'a ramieniem i napił się piwa prosto z butelki.

- Zawsze lubiłem tę knajpę.

- Przyjemny bar - zgodził się z nim Jimmy. - Nikt się tu do człowieka nie przypieprza.

- Fakt - potwierdził Val - nikt ci tutaj dupy nie zawraca. Nikt się nie przypieprza do ciebie i twoich przyjaciół. Prawda, Dave?

- Prawda - przytaknął Dave.

- Dave to kawał zgrywusa - poinformował Jimmy'ego Val. - Jak coś powie, to boki zrywać.

- Naprawdę?

- No - potaknął Val i ścisnął Dave'a za ramię. - Kawał zgrywusa z tego naszego Dave'a.

Celeste siedziała na brzegu łóżka, trzymając na kolanach telefon. Mikrofon zakryła dłonią. Michael oglądał telewizję.

Popołudnie spędzili nad małym basenikiem przy motelu. Przysiadła na zardzewiałym krzeselku i czuła się coraz mniejsza, jakby oglądała samą siebie z coraz większej wysokości. Mogła wyglądać na kobietę porzuconą, lecz w głębi duszy czuła się jak ta, która zdradziła.

Zdradziła własnego męża.

Czy Dave naprawdę zamordował Katie? Niewykluczone. Ale dlaczego powiedziała o tym Jimmy'emu? Dlaczego właśnie jemu? Dlaczego nie poczekała, nie przemyślała wszystkiego? Nie rozważyła innych możliwości? Bo bała się Dave'a?

Przecież nowy Dave, ten, jaki jej się objawił w ostatnich dniach, nie był sobą, był kimś zupełnie innym.

Może zamordował Katie, a może i nie.

Wątpliwości powinny przemawiać na jego korzyść, tymczasem ona skwapliwie obróciła je przeciwko niemu. Nie wiedziała, czy potrafiłaby z nim dalej żyć i narażać na niebezpieczeństwo Michaela, ale zrozumiała, że powinna pójść ze swoimi wątpliwościami na policję, a nie do Jimmy'ego Marcusa.

Czyżby źle życzyła własnemu mężowi? Czy miała nadzieję, że wydarzy się coś ważnego, gdy spojrzy Jimmy'emu w oczy i podzieli się z nim swoimi podejrzeniami? Jeśli tak, to co? Dlaczego powiedziała właśnie tamtemu, dlaczego Jimmy'emu?

Istniało wiele możliwych odpowiedzi na to pytanie, ale żadna z nich Celeste nie ucieszyła. Podniosła słuchawkę i nakręciła numer domowy Marcusów. Ręce jej drżały, w duchu błagała: Proszę, odbierzcie! Tylko odbierzcie, proszę!

Uśmiech na twarzy Jimmy'ego zaczął się rozmazywać, podjeżdżał to w górę, to na boki. Dave spróbował skoncentrować wzrok na barze, ale bar kołysał się, niczym łódź na fali.

- Pamiętasz, jak przyprowadziliśmy tu Raya Harrisa? - zapytał Val.
  - Jasne - odparł Jimmy. - Poczywy Ray.
  - Też kawał zgrywusa - powiedział Val do Dave'a i plasnął dłonią w stół.
  - Fakt - przytwierdził cicho Jimmy. - Potrafił człowieka rozbawić do łez.
  - Większość mówiła do niego Just Ray - wyjaśnił Val, podczas gdy Dave usiłował uprzytomnić sobie, o kim oni, do cholery, mówią - ale ja nazywałem go Dzwonnikiem.
- Jimmy pstryknął palcami, po czym wycelował palec wskazujący w Vala.

- Faktycznie. Z powodu drobniaków.

Val nachylił się do Dave'a i sęczył mu wprost do ucha.

- Facet zawsze nosił w kieszeni około dziesięciu dolarów w drobniakach. Nikt nie wiedział, po co. Lubił mieć drobne w kieszeni, pewnie na wypadek, gdyby musiał nagle zadzwonić do Libii albo jakiegoś innego zadupia. Zresztą, kto to wie. Chodził zawsze z łapami w kieszeniach i dzwonił tymi drobniakami. Był złodziejem i to wyglądało tak, jakby ostrzegał: Uwaga, idzie Ray. Chyba jednak zostawiał bilon w domu, jak szedł na robotę. - Val westchnął. - Kawał zgrywusa.

Zdjął rękę z ramienia Dave'a i zapalił kolejnego papierosa. Dym owiał twarz Dave'a, oblepił policzki, wkręcił się we włosy. Przez te kłęby dymu widział Jimmy'ego, który wpatrywał się w niego z nieruchomym, zaciętym wyrazem twarzy. Miał w oczach coś znajomego, co Dave'owi stanowczo się nie podobało.

Tamten gliniarz, uświadomił sobie, sierżant Powers... Patrzył na niego tak samo, a on miał to samo wrażenie, że to spojrzenie wwierca mu się w czaszkę. Tymczasem na usta Jimmy'ego powrócił uśmiech. Dave poczuł, jak wraz z tym uśmiechem żołądek podjeżdża mu do gardła i kołysze się jak łódź na fali.

Przełknął ślinę i nabrał głęboko powietrza.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Val.

Dave podniósł rękę. Jeśli tylko dadzą mu spokój, wszystko będzie dobrze.

- Tak.

- Na pewno? - zaniepokoił się Jimmy. - Pozieleniałeś, stary.

Dave poczuł coś na kształt wewnętrznego przyływu. Tchawica zacisnęła się, a potem na powrót otwarła. Na czoło wystąpiły kropelki potu.

- Co jest, Dave?

- Chyba puszcze pawia - wykrztusił, gdy żołądek znowu podjechał mu do gardła.

- Spokojnie - powiedział Val i szybko wstał. - Wyjdź od zaplecza. Huey nie przepada za myciem desek klozetowych.

Gdy Dave wytarabanił się z boksu, Val ujął go za ramiona i okręcił w taki sposób, by mógł dojrzeć drzwi w drugim końcu baru, za stołem bilardowym.

Ruszył w tamtą stronę, starając się iść prosto, stawiać najpierw jedną stopę, potem drugą, mimo to drzwi przesuwają się na boki. Były to wąskie dębowe drzwi pomalowane na czarno, najwyraźniej bardzo stare, z licznymi odpryskami i pęknięciami. Dave poczuł nagle, że w barze jest bardzo gorąco i duszno. Omal się nie udusił od tej wilgotnej duchoty, idąc chwiejnym krokiem w stronę drzwi. Gdy nacisnął

mosięzną kłamkę, poczuł wdzięczność, że jest taka zimna w dotyku.

Za drzwiami jego wzrok padł najpierw na chwasty. Dopiero potem zobaczył wodę. Wypadł na dwór, zdziwiony panującą ciemnością. W tej samej chwili jak na zawołanie zapaliła się lampa nad drzwiami i oświetliła spękany asfalt. Dobiegł go odgłos dużego ruchu samochodowego. Na moście wysoko nad głową rozlegały się klaksony. Nagle fala mdłości odpłynęła. Zaczerpnął głęboko chłodnego powietrza nocy. Po lewej stronie piętrzyła się sterta nadgniłych drewnianych palet i zardzewiałych wiecierzy. W niektórych ziały strzępiaste dziury, jakby wyrwane szczękami rekinów. Zdziwił się, co wiecierze na homary robią nad rzeką, szmat drogi od morza, uznał jednak, że jest zbyt pijany, by zdołał samodzielnie na to odpowiedzieć. Za stosem palet widniał opleciony chwastami płot z siatki, przeżarty rdzą, podobnie jak wiecierze. Z prawej wysokie chwasty, przewyższające przeciętnego mężczyznę, zarastały żwirowisko rozległe na dobre kilkanaście metrów.

Żołądek Dave'a znowu podjechał do gardła. Ten odruch wymiotny był silniejszy od poprzednich, przedzierał się gwałtem w górę ciała. Dave dowlókł się do brzegu wody, opuścił głowę, po czym strach, wypite sprite'y i piwo bluznęły z niego do oleistych wód Mystic. Wymiotował samym płynem, bez stałej treści. Już nawet nie pamiętał, kiedy ostatnio coś zjadł. W chwili, gdy zawartość jego żołądka chlusnęła do ciemnej wody, poczuł ulgę, a we włosach chłód. Od rzeki powiało rześką bryzą. Czekał na kolanach, bojąc się, że torsje mogą wrócić, choć w to wątpił. Czuł się oczyszczony.

Spojrzał na spodnią część mostu. Setki walczyły o to, by dostać się do miasta lub z niego wyjechać. Ludzie siedzieli w samochodach rozdrażnieni, zniecierpliwieni, nieświadomi tego, że gdy wreszcie dotrą do domów, wcale nie poczują się szczęśliwsi. Połowa z nich zaraz znowu wsiądzie do aut, żeby pojechać do supermarketu, do baru, wypożyczalni wideo, do restauracji. I znowu będą czekali w kolejkach. Po co? Po jaką cholere stajemy w tych wszystkich kolejkach? Dokąd mamy nadzieję się udać, choć nigdy nie czujemy się uszczęśliwieni, gdy w końcu tam dotrzemy?

Po swojej prawej stronie dostrzegł małą łódkę z silniczkiem. Była przycumowana do deski tak wąskiej, że jedynie z trudem można ją było nazwać kładką. Łódka Hueya, domyślił się i uśmiechnął, wyobraziwszy sobie tego ogromnego faceta wypływającego w tej łupinie na oleiste wody Mystic.

Obrócił głowę i przyjrzał się paletom i gąszczowi chwastów. Nic dziwnego, że ludzie przychodzili tutaj, gdy chcieli puścić pawia. Pełna izolacja. Tylko z drugiego brzegu, i to patrząc przez silną lornetkę, można by dojrzeć to miejsce. Było z trzech

stron osłonięte, cisza panowała tu niemal zupełna, naznaczona jedynie szumem samochodów przejeżdżających na wysokim moście. Gęste chwasty głużyły wszystkie dźwięki, prócz skwiru mew i chlupotu fal. Gdyby Huey miał trochę oleju w głowie, oczyściłby brzeg z chwastów i stosów palet, zbudowałby przystań i mógłby przyciągnąć japiszonów, którzy wprowadzali się ostatnio na Admirals Hill i mieli zamiar zmienić Chelsea, gdy już podbiją East Bucky, w kolejną elegancką dzielnicę.

Dave splunął kilka razy i otarł usta grzbietem dłoni. Wstał z klęczek. Uprzedził Jimmy'ego i Vala, że musi koniecznie coś zjeść, zanim wychyli następny kieliszek. Nic specjalnego, byle coś przekąsić. Odwrócił się i zobaczył ze zdziwieniem, że obaj stoją przy drzwiach, Val po lewej, Jimmy po prawej stronie czarnego prostokąta. Drzwi były zamknięte. Przyszło mu do głowy, że wyglądają zabawnie, jakby przywieźli meble i nie wiedzieli, gdzie je postawić wśród tych chaszczki.

- Hej! - zawołał. - Przyszliście sprawdzić, czy nie wpadłem do wody, chłopaki?

Jimmy Marcus oderwał się od ściany i ruszył w jego stronę. Jednocześnie zgasła wisząca nad drzwiami lampa. Jimmy, poczerwieniały w ciemności, zbliżał się powoli. Jego blada twarz chwytła trochę światła od strony mostu, na przemian to wychylając się, to kryjąc w cieniu.

- Chciałbym ci opowiedzieć o Rayu Harrisie. - Jimmy mówił tak cicho, że Dave musiał wychylić się do przodu, aby go usłyszeć. - Ray był moim kumplem. Odwiedzał mnie w więzieniu. Opiekował się Maritą, Katie i matką. Dbał, żeby im niczego nie brakowało. Postępował tak, bo chciał, żebym myślał, że jest moim prawdziwym przyjacielem. Prawdziwy powód był taki, że gryzło go sumienie. Gryzło go sumienie, ponieważ pękł i sprzedał mnie glinom. Naprawdę to go dręczyło. Po paru miesiącach odwiedzin stało się coś dziwnego. - Jimmy podszedł do Dave'a i spojrzał mu z bliska w oczy, przekrzywiwszy nieco na bok głowę. - Poczuję, że lubię Raya. Naprawdę szczerze polubiłem jego towarzystwo. Rozmawialiśmy o sporcie, o Bogu, o książkach, o naszych żonach, o dzieciach, o polityce, o czym tylko chcesz. Należał do facetów, którzy potrafią rozmawiać na każdy temat. Wszystkim się interesował. To rzadka cecha. Potem moja żona zmarła, pamiętasz? Zmarła, a do mojej celi przyszedł klawisz, który oznajmił: „Przykro nam. Twoja żona zmarła wczoraj o ósmej piętnaście wieczorem. Odeszła z tego padolu”. Wiesz, nad czym najbardziej ubolewałem? Że musiała przejść przez to wszystko sama. Domyślałam się, co chcesz powiedzieć. Każdy umiera samotnie. To prawda. W tym ostatnim momencie, gdy żegnasz się z życiem, faktycznie jesteś sam. Tylko że moja żona umierała na raka skóry przez całe pół roku.

Mogłem przy niej być. Mogłem jej pomagać w tym umieraniu. Nie w samym momencie śmierci, ale w umieraniu. Ale mnie przy niej nie było. Pozbawił nas tej możliwości facet, którego polubiłem, Ray Harris.

Dave widział w źrenicach Jimmy'ego odbicie połyskującej, czarnej jak atrament wstęgi rzeki.

- Dlaczego mi o tym opowiadasz?

Jimmy wskazał brodą ponad lewym ramieniem Dave'a.

- Kazałem mu klęknąć tam, a potem dwa razy do niego strzeliłem. W serce i w szyję.

Val oderwał się od ściany i podszedł powoli do Dave'a. Zaszedł go od lewej strony i stanął na tle gąszczu chwastów. Dave poczuł ucisk w dołku.

- Słuchaj, Jimmy - powiedział - nie rozumiem dlaczego...

- Błagał mnie, skamlał - podjął Jimmy. - Przypominał, że jesteśmy przyjaciółmi. Że ma syna, żonę. Mówił, że żona jest w ciąży. Przysięgał, że wyjedzie z miasta. Że już nigdy go nie zobaczę. Błagał, bym zostawił go przy życiu, żeby mógł ujrzeć swoje nowo narodzone dziecko. Mówił, że mnie dobrze zna, wie, że jestem porządnym człowiekiem i tak naprawdę wcale nie chcę tego zrobić. - Jimmy spojrzał w górę na most. - Chciałem mu powiedzieć, że kochałem żonę, że umarła w samotności i jego o to winię, a poza tym nie wydaje się kumpli, jeśli chce się pożyć. Nie powiedziałem jednak ani słowa, Dave. Za bardzo płakałem. Żałosny widok. On coś bełkotał, ja coś bełkotałem. Prawie go nie widziałem.

- Więc czemu go zabiłeś? - zapytał Dave i usłyszał w swoim głosie drżący ton skamlenia.

- Właśnie ci wytłumaczyłem - odparł Jimmy, jakby wyjaśniał coś czterolatki. - Z powodu zasad. Byłem dwudziestodwuletnim wdowcem z pięcioletnią córką. Nie było mnie przy boku żony przez ostatnie dwa lata jej życia. Ten drań dobrze znał zasadę numer jeden w naszym fachu: nie kapuje się na kolegów.

- O co mnie oskarżasz, Jimmy? Powiedz.

- Kiedy strzelałem do Raya - ciągnął Jimmy - czułem... Jak ci to wyjaśnić?... Czułem się tak, jakbym był kimś innym. Miałem wrażenie, że Bóg patrzy na mnie z nieba. Podniosłem ciało Raya i zepchnąłem do wody, a Bóg tylko kiwał głową. Wcale nie był wściekły. Ani trochę. Był lekko zdegustowany, lecz niezbyt zaskoczony. Nie bardziej zły, niż gdy szczeniak naleje na dywan. Stałem tam, trochę dalej niż ty teraz, i patrzyłem, jak Ray tonie. Głowa zanurzyła się ostatnia. Wtedy przypomniałem sobie,



że w dzieciństwie wyobrażałem sobie, że kiedy idziesz na dno, przebijas się przez nie i twoja głowa wychyla się z przeciwnej strony. Tak sobie wtedy wyobrażałem kulę ziemską, rozumiesz. Głowa wystawałaby mi z kuli ziemskiej i wokół otaczałaby mnie ta cała przestrzeń z czarnym niebem usianym gwiazdami, i potem po prostu bym spadł. Spadłbym w przestrzeń i odpłynął. I płynąłbym tak przez milion lat, w tej lodowatej przestrzeni. Gdy Ray się zanurzył, o tym sobie właśnie pomyślałem: że będzie tak spadał, dopóki nie wynurzy się przez dziurę z drugiej strony Ziemi i nie odpłynie w przestrzeń na miliony lat.

- Wiem, że o coś mnie podejrzewasz, Jimmy - wykrztusił Dave - ale całkowicie się mylisz. Myślisz, że to ja zabiłem Katie, prawda? Naprawdę tak myślisz?

- Nic nie mów, Dave.

- To nieprawda! Nieprawda! - krzyknął Dave, dojrawszy nagle pistolet w rękę Vala. - Nie miałem nic wspólnego ze śmiercią Katie!

Chcą mnie zabić, przeleciało mu przez głowę. Chryste Jezu, to niemożliwe! Do śmierci należy się przygotować. Nie można tak po prostu wyjść z baru, puścić pawia, a potem odwrócić się i stwierdzić, że stoisz nad grobem. To niemożliwe! Muszę najpierw wrócić do domu, uporządkować sprawy między mną a Celeste. Muszę wypić to piwo, którego nawarzyłem.

Jimmy sięgnął pod marynarkę i wyciągnął nóż sprężynowy. Ręka mu drżała, gdy wysuwał ostrze. Podobnie jak górna warga i część podbródka. Dave to zauważył. W tym kryła się dla niego szansa. Nie upadaj na duchu! Jeszcze jest nadzieja!

- Tej nocy, kiedy zginęła Katie, wróciłeś do domu cały zakrwawiony. Opowiedziałeś dwie różne historyjki na temat tego, jak zraniłeś się w rękę i dlaczego twój samochód widziano przed Ostatnią Kroplą mniej więcej w tym samym czasie, kiedy wyszła stamtąd Katie. Kłamałeś glinom, nam wszystkim.

- Posłuchaj, Jimmy. Proszę cię, spójrz na mnie.

Jimmy nie odrywał wzroku od ziemi.

- Tak, byłem zakrwawiony, to prawda. Złomotałem kogoś, Jimmy. Skatowałem jednego gościa.

- Chcesz nam teraz opowiedzieć historyjkę o tym bandziorze?

- To nie był bandzior. To był pedofil. Pieprzył się w samochodzie z jakimś gnojkiem. To był wampir, Jimmy. On tego dzieciaka zatruwał.

- Nie bandzior, ale facet, który molestował dziecko? Rozumiem, Dave. Więc go zabiłeś?

- Tak. Ja i... i Chłopiec...

Pojęcia nie miał, po co to powiedział. Nigdy nikomu o Chłopcu nie mówił. Tego nie należało robić. Ludzie i tak nie mogli tego pojąć. Może powiedział to ze strachu? Może z potrzeby, by Jimmy go zrozumiał, by do niego dotarło, że owszem, wdepnął w gówno... Przecież mnie znasz, Jimmy. Nie jestem facetem, który by zabił niewinnego.

- Więc ty i ten molestowany dzieciak poszliście i...

- Ależ nie! - zaprotestował Dave.

- Co nie? Powiedziałeś, że ty i ten chłopak...

- Nie, nie! Zapomnij o nim. Czasem pierdzieli mi się w głowie. Mówię...

- Nie kręć - warknął Jimmy. - Zabiłeś jakiegoś pedofila. Mnie o tym mówisz, ale swojej żonie nie powiedziałeś? Sądziłbym, że będzie pierwszą osobą, której to wyjawisz. Szczególnie zeszłej nocy, kiedy ci oświadczyła, że nie wierzy w bajeczkę o bandziorze. Pytam więc, dlaczego jej nie powiedziałeś? W gruncie rzeczy większości ludzi nie obchodzi śmierć jakiegoś pedofila. Twoja żona podejrzewała, że zabiłeś moją córkę. Musisz mnie przekonać, że wolałeś, by tak myślała, niż żeby sądziła, że zamordowałeś jakiegoś pierdolonego zbrodnicę. Wyjaśnij mi tę niekonsekwencję, stary.

Dave miał już na końcu języka: zabiłem go, ponieważ się bałem, że sam się w niego zmienię. Uświadomił sobie, że nie może powiedzieć tego głośno. Nie może wyjawić tej prawdy. Faktem jest, przysięgał dzisiaj, że już nie będzie miał tajemnic. Ale co robić, ta jedna tajemnica musi nią pozostać - nieważne, ile jeszcze będzie musiał kłamać.

- No, Dave. Po prostu powiedz mi dlaczego. Dlaczego nie mogłeś powiedzieć prawdy swojej własnej żonie?

- Nie wiem - wyszeptał Dave, bo nie znalazł lepszej odpowiedzi.

- Nie wiesz. Dobra, więc w tej bajeczce ty i ten dzieciak... Kto to miałby być? Ty, gdy byłeś chłopcem?... Więc poszliście i...

- Tylko ja. Ja sam zabiłem tego potwora bez twarzy.

- Kogo?

- Tego faceta. Pedofila. Zabiłem go. Ja sam. Na parkingu przed Ostatnią Kroplą.

- Nie słyszałem, żeby znaleziono tam jakiegoś trupa - rzekł Jimmy, spoglądając na Vala.

- Pozwolisz temu skurwielowi zasuwać nam taki kit, Jimmy! - uniósł się Val. - Mnie chcesz nabrać, popaprańcu?

- Mówię prawdę - wyjąkał Dave. - Przysięgam na życie mojego syna. Wpakowałem faceta do bagażnika jego samochodu. Nie wiem, co stało się z tym wozem, ale na pewno wepchnąłem tam zwłoki, przysięgam! Chcę zobaczyć moją żonę, Jimmy. Chcę dalej żyć. - Dave spojrział na ciemne podbrzusze mostu, po którym z szumem opon jechały samochody, a żółte światła płynęły smugą w stronę domów. - Nie odbieraj mi tego, Jimmy, proszę!

Jimmy popatrzył mu w oczy i Dave dojrzał w jego źrenicach swoją śmierć. Czaiła się tam jak wilki. Dave oddałby wszystko, aby móc jej sprostać. Ale nie mógł. Nie był gotów stanąć ze śmiercią twarzą w twarz. Był nad rzeką - w tej oto chwili, dotykając stopami tego oto chodnika, jego serce pompowało krew, mózg wysyłał sygnały do nerwów, mięśni i wewnętrznych organów ciała, nadnercza zalewały je adrenaliną - i w każdej sekundzie, może już w następnej, ostrze noża mogło przebić jego pierś. I wraz z bólem pojawi się pewność, że jego życie - wszystkie zmysły i cała świadomość - za chwilę się urwie. Na coś takiego nie starczało mu odwagi. Będzie błagał o litość. Ze wszystkich sił. Zrobi wszystko, byle go nie zabijali!

- Dwadzieścia pięć lat temu wsiadłeś do tamtego samochodu, Dave, ale mam wrażenie, że ktoś całkiem inny wrócił z tej wycieczki. Podejrzewam, że coś ci się popieprzyło w głowie, kolego - powiedział Jimmy. - Ona miała dziewiętnaście lat, rozumiesz? Miała dziewiętnaście lat i nie zrobiła ci nigdy żadnej krzywdy. Właściwie cię nawet lubiła. A ty ją zamordowałeś? Dlaczego? Bo życie ci się popieprzyło? Bo cudza uroda cię wnerwia? Bo ja zamiast ciebie nie wsiadłem wtedy do tamtego wozu? Dlaczego? Odpowiedz mi tylko na to jedno pytanie, Dave. To jedno mi wyjaśnij. Powiedz mi to, a nie odbiorę ci życia.

- Nie pieprz, Jimmy - zdenerwował się Val. - Nie dawaj mu szansy. Opuść sobie. Chcesz się litować nad takim zdrańcem? Posłuchaj...

- Zamknij się, Val - przerwał mu Jimmy, wycelowawszy weń palec. - Idąc do więzienia, zostawiłem ci brykę marze nie. Zajeździłeś ją na śmierć. Tyle ode mnie wzięłeś, a potrafisz tylko napinać się i sprzedawać te zastrane dragi! Nie potrzebuję twoich rad. Nie wyjeżdżaj mi tu z pouczeniami!

Val odwrócił się, kopnął w ścianę chwastów i zamamrotał coś pod nosem.

- Odpowiedz mi, Dave. Tylko nie wciskaj mi tego kitu o pedofilu, bo dzisiaj nie sprzedajemy sobie kitu, dobra? Powiedz prawdę. Jeśli znowu skłamiesz, otworzę ci brzuch tym nożem. - Oddychał szybko. Dotąd trzymał nóż pod nosem Dave'a, teraz wsunął go za pasek na biodrze. Rozłożył puste ręce.

- Daruję ci życie, Dave. Powiedz mi tylko, dlaczego ją zabiłeś. Pójdiesz siedzieć, nie myślę cię bajerować. Ale ocalisz życie. Będziesz mógł dalej oddychać.

Dave poczuł taką wdzięczność, że chciał głośno podziękować Bogu. Miał ochotę przytulić Jimmy'ego. Pół minuty temu wypełniała go najczarniejsza rozpacz. Był gotów paść na kolana i błagać, krzycząc: Ja nie chcę umierać! Nie jestem przygotowany! Nie jestem gotów odejść z tego świata! Nie wiem, co czeka mnie na tamtym. Niebo raczej nie. Jasność raczej nie. Myślę, że będzie tam ciemno i zimno, że wpadnę w niekończący się tunel nicości. Jak do tej twojej dziury w ziemi, Jimmy. A ja nie chcę tkwić sam w nicości, lata, stulecia w zimnej, lodowatej pustce, przez którą płynie tylko moje samotne, nieskończenie samotne serce.

A teraz mógł ocalić życie za cenę kłamstwa. Jeśli się przełamie i powie Jimmy'emu to, co chciał on usłyszeć, dostąpi odrodzenia. Prawdopodobnie go stłuką, ale zachowa życie. Widział to w źrenicach Jimmy'ego. Wilki zniknęły, miał przed sobą już tylko człowieka z nożem, który dążył do zamknięcia całej tej historii, który ugiął się pod brzemieniem niewiedzy. Pograżony w rozpacz po córce, której nigdy już nie miał wziąć w ramiona, chciał zakończyć sprawę.

Wrócę do domu, wrócę do ciebie, Celeste. Urządzimy sobie od nowa lepsze życie. Uda nam się, na pewno. I żadnych kłamstw, obiecuję. Żadnych tajemnic. Obawiam się tylko, że będę musiał jeszcze raz, ten ostatni raz, wyłgać się kłamstwem, najgorszym kłamstwem w całym moim życiu. Muszę się nim zasłonić, bo nie mogę wyjawic najgorszej prawdy mojego życia. Wolę, żeby Jimmy myślał, że zabiłem jego córkę, niż by się dowiedział, dlaczego zabiłem tego pedofila. To dobre kłamstwo, Celeste. Pozwoli nam odbudować nasze życie.

- Mów - nalegał Jimmy.

Dave postarał się trzymać najbliżej prawdy, jak to było możliwe.

- Zobaczyłem ją tamtej nocy u McGillsa i przypomniał mi się pewien sen.

- Jaki sen? - zapytał Jimmy. Twarz ściał mu grymas, a głos się załamał.

- O młodości - wyszeptał Dave.

Jimmy zwiesił głowę.

- Ja swojej nie pamiętam - ciągnął Dave. - A ona była jak samo marzenie o młodości i chyba to mnie trzepnęło.

Cierpiał, że musiał powiedzieć to Jimmy'emu, rozedrzeć mu serce takim wyznaniem, lecz chciał tylko wrócić do domu, wyleczyć się z obsesji, zobaczyć rodzinę. Jeśli taka była tego cena, był gotów ją zapłacić. Miał zamiar wszystko wyprostować. A

za jakiś rok, gdy prawdziwy morderca zostanie ujęty, Jimmy doceni jego poświęcenie.

- Jakaś część mnie nigdy nie wysiadła z tamtego samochodu, Jim. Dokładnie tak jak powiedziałeś. Jakiś inny Dave wrócił do domu w moim ubraniu, ale to nie byłem ja. Dawny Dave dotąd siedzi w tamtej piwnicy, rozumiesz?

Jimmy skinął głową, a kiedy ją podniósł, Dave zobaczył, że ma wilgotne oczy. Połyskiwały współczuciem, może nawet miłością.

- A więc to był tylko sen? - wyszeptał Jimmy.

- Tylko sen - przytaknął Dave i poczuł, jak chłód tego kłamstwa rozlewa mu się po brzuchu. Takiego chłodu dotąd nie zaznał. Był to przeraźliwy ziąb. Tak zimny, że prawie gorący. Tak, ten chłód był gorący. Palił ogniem, spływał w dół do pachwiny i wstępował w górę do piersi, odbierał mu oddech.

Kątem oka dostrzegł, jak Val podskakuje z radości.

- Kosą drania! - wykrzyknął.

Dave spojrzał w twarz Jimmy'ego. Wargi kolegi z dzieciństwa poruszały się zbyt wolno, a jednocześnie zbyt szybko, gdy powiedział:

- Tu pogrzebiemy nasze grzechy, Dave. Zmyjemy je do czysta.

Dave usiadł. Przyglądał się, jak krew wycieka z niego i spływa na spodnie, a gdy dotknął ręką brzucha, palce natrafiły na długie rozcięcie biegnące od jednego do drugiego boku.

Skłamałeś, wyszeptał bezgłośnie.

Jimmy pochylił się nad nim.

- Co mówisz?

Skłamałeś.

- Sukinsyn mamle coś pod nosem, widzisz? - zapytał Val. - Porusza wargami.

- Nie jestem ślepy.

Dave poczuł, jak zalewa go najokropniejsza świadomość, jakiej nigdy nie doświadczył. Nędzna, zimna i okrutna. Sprowadzała się do stwierdzenia: umieram.

Ja umieram.

Już nie wrócę do życia. Nie wywinę się chytrą sztuczką. Nie wyblagam litości, nie zdołam się schować za moje tajemnice. Nie mogę liczyć na ulaskawienie ze współczucia. Bo kto mi współczuje? Nikt o mnie nie dba. Nikogo nie obchodzę. Nikogo poza sobą samym. To niesprawiedliwe. Nie dam rady przejść sam przez ten tunel. Błagam, nie każcie mi tam wchodzić! Proszę, obudźcie mnie. Chcę się obudzić. Chcę cię poczuć u swego boku, Celeste. Chcę poczuć twoje ramiona. Nie jestem

gotowy na śmierć!

Wysiłkiem woli skupił wzrok na ręce Vala, który podał coś Jimmy'emu, a ten przystawił to coś do czoła Dave'a. Zimny dotyk. Kóleczek zimna, miłosiernej ulgi po palącym w trzewiach ogniu.

Zaczekaj! Zaczekaj, Jimmy! Ja wiem, co to takiego. Widzę spust. Nie rób tego! Spójrz na mnie. Dojrzyj mnie. Nie rób tego! Błagam! Jeśli mnie odwieziesz zaraz do szpitala, jakoś się wyliżę. Pozszywają mnie. Chryste Jezu, Jimmy nie rób tego! Nie zginaj palca, nie rób tego, skłamałem, skłamałem, błagam, nie zabijaj mnie, proszę, nie jestem gotów na przyjęcie kuli. Nikt nie jest. Nikt. Błagam, nie rób tego.

Jimmy opuścił pistolet.

Dziękuję, powiedział Dave. Dziękuję ci, dziękuję.

Upadł na plecy. Lśniące promienie światła przesywały konstrukcję mostu, rozcinały ciemności nocy. Dziękuję, Jimmy. Będę teraz dobrym człowiekiem. Nauczyłeś mnie czegoś. Naprawdę. Powiem ci, czego, gdy odzyskam dech. Będę dobrym ojcem, dobrym mężem. Obiecuję. Przysięgam...

- Zrobione! - zawołał Val.

Jimmy patrzył przez chwilę na ciało Dave'a, na jego rozplątany brzuch, na otworek w czole. Potem zdjął buty, marynarkę, golf i ochlapane krwią spodnie khaki. Ściągnął nylonowy dres, który miał pod spodem, i złożył na stosie odzieży obok ciała Dave'a. Tymczasem Val układał żuźlowe bloki i łańcuch w łódce Hueya. Potem przyniósł duży zielony worek na śmieci. Jimmy miał pod dresem koszulkę i dżinsy. Val wyjął z worka na śmieci parę butów i rzucił szwagrowi. Jimmy włożył je i sprawdził, czy na koszulce i dżinsach nie ma plamek krwi. Nie znalazł żadnych. Nawet dres był czysty.

Potem ukląkł obok Vala i wepchnął zdjęte ubranie do worka. Podniósł z ziemi nóż i pistolet, wyszedł na koniec pomostu i cisnął oba przedmioty na środek rzeki. Mógł je włożyć do worka i zepchnąć do wody razem z ciałem Dave'a, ale z jakiegoś powodu chciał zrobić to teraz, by poczuć zamach ręki, gdy wystrzeliła w powietrze i oba śmiertelne przedmioty poleciały, koziółkując, zatoczyły łuk, opadły i z pluskiem utonęły.

Ukląkł nad wodą. Wymiociny Dave'a spłynęły już z prądem. Jimmy zanurzył dłonie w rzece, choć była tak oleista i brudna, i obmył je z krwi. Czasami w snach wykonywał tę samą czynność - mył ręce w wodach Mystic - gdy głowa Just Raya Harrisa wynurzała się z toni i topielec wlepił weń oczy.

Just Ray powtarzał zawsze to samo: „Nie prześcigniesz pociągu, stary”.

A Jimmy odpowiadał ze zmieszaniem:

- Nikt tego nie potrafi, Ray.

Na co Just Ray, który już zaczynał tonąć, uśmiechał się i mówił: „A szczególnie ty”.

Już od trzynastu lat śnił mu się ten sen, od trzynastu lat głowa Raya podskakiwała na fali, a Jimmy wciąż nie mógł zrozumieć, co tamten chciał przez to powiedzieć.

## Kogo kochasz?

Matka wyszła do salonu bingo, zanim Brendan wrócił do domu. Zostawiła kartkę: „Kurczak w lodówce. Cieszę się, że wszystko w porządku. Uważaj na siebie”.

Brendan zajrzał do pokoju, który dzielił z bratem, ale Raya również nie było. Wniósł krzesło z kuchni, postawił przed spiżarnią i na nim stanął. Przechyliło się na lewo, bo od jednej nogi odkręciła się śruba. Przyjrzał się listwie pod sufitem i dojrzał w kurzu smugi po palcach. Przed oczami zawirowały mu czarne płatki. Prawą ręką nacisnął listwę i lekko ją unióś. Potem opuścił rękę, wytarł o spodnie i zrobił kilka głębokich wdechów.

Są takie pytania, na które lepiej nie znać odpowiedzi. Kiedy Brendan dorósł, nie chciał spotkać się ze swoim ojcem, bo nie zamierzał przekonać się, jak łatwo mu przyszło opuścić rodzinę. Nigdy nie pytał Katie o jej byłych chłopaków, nawet o Bobby’ego O’Donnella, bo wolał nie wyobrażać sobie, jak się z nimi pieści.

Był znawcą zagadnienia prawdy. W większości przypadków rzecz sprowadzała się do tego, czy chce się jej spojrzeć prosto w oczy, czy woli się żyć wygodnie w niewiedzy i kłamstwie. A niewiedza i kłamstwo były często niedoceniane. Większość znanych Brendanowi osób nie przeżyłaby dnia bez dania głównego niewiedzy i salaterki kłamstwa na deser.

Tej prawdzie musiał spojrzeć w twarz. Stanął już z nią oko w oko w aresztanckiej celi, ugodziła go niczym kula i utkwiała w żołądku. I nie wychodziła, co znaczyło, że nie mógł się przed nią ukryć, nie mógł udawać, że jej tam nie ma. Zapomnienie nie wchodziło w grę. Kłamstwo nie mogło być dłużej użytecznym składnikiem równania.

- Kurwa mać - mruknął. Odsunął listwę podsufitową i włożył rękę w ciemność. Jego palce napotkały warstwę kurzu, drzazgi drewna, dalej jeszcze grubszą warstwę kurzu, nie wymacały jednak pistoletu. Szukał go przez całą następną minutę, choć wiedział, że zniknął. Pistolet ojca nie leżał w schowku. Znajdował się gdzieś w świetle. Zastrzelono z niego Katie.

Dopasował na powrót listwę. Poszedł po szufelkę i zamiótł kurz, który spadł na podłogę. Odniósł krzesło do kuchni. Zależało mu na precyzji ruchów. Czuł, że jest



rzeczą ważną, by zachował spokój. Nalał do szklanki soku pomarańczowego i postawił ją na stole. Usiadł na krześle z obłuzowaną nogą i obrócił się tak, by widzieć drzwi wejściowe do mieszkania. Napił się soku i czekał na brata.

- Niech pan spojrzy na to. - Sean wyjął z teczki raport daktyloskopijny i rozłożył go przed Whiteyem. - To najwyraźniejszy odcisk, jaki zdjęli z drzwi samochodu. Jest mały, ponieważ należał do dziecka.

- Pani Prior słyszała dwóch chłopców, bawiących się na ulicy na chwilę przed tym, nim Katie uderzyła samochodem w jakąś przeszkodę. Powiedziała, że grali w ulicznego hokeja.

- Oraz że Katie powiedziała „cześć”. Ale może to nie była Katie? Głos małego chłopca można pomylić z głosem kobiety. Nie znaleźliśmy śladów stóp? Nic dziwnego. Ile może ważyć taki gnojek... czterdzieści kilo?

- Poznajesz głos tego dzieciaka?

- Brzmi jak głos Johnny’ego O’Shea.

Whitey potaknął.

- A ten drugi milczy jak zakłęty.

- Właśnie - odparł Sean.

- Cześć, Ray - odezwał się Brendan, kiedy chłopcy weszli do mieszkania.

Ray skinął mu głową. Johnny O’Shea pomachał dłonią. Ruszyli w stronę sypialni.

- Ray, podejdź no na chwilkę. Ray spojrzał na Johnny’ego.

- Tylko na chwileczkę. Chciałbym cię o coś zapytać.

Ray ruszył w stronę brata, tymczasem Johnny O’Shea rzucił na podłogę sportową torbę, którą trzymał w ręku, i usiadł na brzegu łóżka pani Harris. Ray przebył krótki korytarzyk, stanął w kuchni, rozłożył ręce i spojrzał na brata, jakby pytał: „No i?”.

Brendan stopą wysunął spod stołu krzesło i wskazał je skinieniem.

Ray uniósł głowę, jakby wyczuł w powietrzu zapach, którego nie lubił. Spojrzał na krzesło, potem na Brendana.

- O co chodzi? - zapytał na migi.

- Ty mi to powiedz - odpowiedział w ten sam sposób Brendan.

- Ja nic nie zrobiłem.

- Siadaj.

- Nie chcę.

- Dlaczego?

Ray wzruszył ramionami.

- Kogo tak nienawidzisz, Ray?

Brat popatrzył na niego, jakby Brendan postradał zmysły.

- Powiedz - zachęcił Brendan. - Kogo tak nienawidzisz? Migowa odpowiedź Raya była krótka:

- Nikogo.

Brendan kiwnął głową.

- Dobra. A kogo kochasz?

Ray zrobił podobną minę jak poprzednio. Brendan pochylił się i oparł dłonie na kolanach.

- Kogo kochasz?

Ray spojrział na swoje buty, a następnie przeniósł wzrok na brata. Podniósł rękę i wskazał na niego.

- Mnie?

Chłopiec potaknął, wyraźnie zakłopotany.

- A mamę?

Ray pokręcił głową.

- Nie kochasz mamy?

- Nie za bardzo.

- Więc jestem jedyną osobą, którą kochasz?

Ray zmarszczył gniewnie czoło. Jego dłonie zatrzepotały.

- Tak! Mogę już iść?

- Nie. Siadaj.

Ray zaczerwienił się ze złości i spojrział na krzesło. Potem spiorunował wzrokiem Brendana, podniósł rękę, pokazał mu środkowy palec, i obrócił się na pięcie.

Zanim Brendan zorientował się, że w ogóle się poruszył, już chwycił za czuprynę Raya. Szarpnął z całej siły, pociągnął ku sobie jak za linkę zardzewiałej kosiarki do trawy, po czym pchnął mocno i Ray przeleciał plecami naprzód przez stół. Rąbnął o ścianę, odbił się i zwałił na stół, który załamał się z trzaskiem pod jego ciężarem.

- Kochasz mnie! - krzyknął głośno Brendan, nawet nie patrząc na brata. - Tak mnie kochasz, że zabiłeś mi dziewczynę, tak?!

Po tych słowach poruszył się Johnny O'Shea, co Brendan przewidział. Chwycił

torbę i skoczył ku drzwiom, ale Brendan był szybszy. Złapał chłopaka za gardło i cisnął nim o drzwi.

- Mój brat nigdy nie robi nic bez ciebie, O'Shea! Nigdy! Podniósł pięść i Johnny wrzasnął:

- Nie, Bren! Nie bij mnie!

Brendan uderzył go w twarz tak mocno, aż zachrobotwały chrząstki łamanego nosa. Powtórzył cios. Johnny padł na podłogę, zwinął się w kłębek i pluł krwią na deski.

- Zatłukę cię na śmierć, ty mały zasańcu!

Ray chwiał się na nogach, a jego stopy w tenisówkach ślizgały się na potłuczonych talerzach, gdy Brendan wpadł do kuchni i uderzył go w twarz tak mocno, że chłopiec wpadł głową do zlewu. Potem chwycił brata za koszulę. Ray wpatrywał się w niego z nienawiścią zapłakanymi oczami. Z ust ciekła mu krew. Brendan powalił go na podłogę, rozkrzyżował mu ramiona i przygwoździł kolanami.

- Mów - warknął. - Wiem, że potrafisz. Mów, ty świrusie, albo, jak mi Bóg miły, zatłukę cię na śmierć! Gadaj! - Brendan krzyczał i walił kulakami w uszy Raya. - Mów! Powiedz jej imię! Mów! Powiedz „Katie”! Powiedz „Katie”, gnoju!

Oczy Raya zasnuły się mgłą i zmatowiały. Plunął krwią i opluł własną twarz.

- Mów - ryknął Brendan - albo cię, kurwa, zabiję!

Złapał brata za włosy na skroniach, oderwał jego głowę od podłogi i zaczął miotać na prawo i lewo, aż oczy Raya oprzytomniały. Wtedy unieruchomił jego głowę i zajrzał głęboko w szare źrenice. Dojrzał tam tyle miłości zmieszanej z nienawiścią, że miał ochotę oderwać mu głowę i wyrzucić ją przez okno.

- Mów - powtórzył, lecz tym razem ochryplym, zdławionym szeptem. - Mów.

Usłyszał głośnie kasznięcie i obejrzał się za siebie. Johnny O'Shea stał na chwiejnych nogach, pluł krwią i mierzył do niego z pistoletu Raya-seniora.

Sean i Whitey wchodzili po schodach, gdy usłyszeli hałas, krzyki z głębi mieszkania i soczyste klaśnięcia, które niewątpliwie oznaczały ciosy. Jakiś męski głos zawołał: „albo cię, kurwa, zabiję!”. Sean położył rękę na kolbie pistoletu i sięgnął do klamki.

- Zaczekaj - syknął Whitey, ale Devine już naciskał klamkę.

Wpadł do mieszkania i zobaczył wycelowaną w swoją pierś lufę pistoletu.

- Nie strzelaj, synku!

W okrwawionej twarzy Johnny'ego O'Shea zobaczył coś, co zmroziło mu krew.

Była to nie twarz, ale maska bez żadnego wyrazu. Prawdopodobnie zawsze ziała taką pustką. Zrozumiał, że ten gnojek nie pociągnie za spust w gniewie lub ze strachu. Zrobi to dlatego, że Sean to jedynie wysoki na osiemdziesiąt parę centymetrów obraz wideo, a pistolet to dżojstik.

- Opuść tę lufę, Johnny.

Sean słyszał świszczący oddech stojącego za jego plecami Whiteya.

- Johnny...

- On mnie uderzył - poskarżył się Johnny O'Shea. - Dwa razy! Złamał mi nos, kurwa!

- Kto?

- Brendan.

Sean zerknął w lewo i zobaczył w drzwiach kuchni Brendana. Stał tam jak skamieniały, z opuszczonymi wzdłuż ciała rękami. Sean zdał sobie sprawę, że Johnny O'Shea miał go właśnie zastrzelić, kiedy on wszedł do mieszkania. Słyszał za sobą oddech Whiteya, płytki i powolny.

- Aresztujemy go za to, co zrobił.

- Nie chcę, żebyście go aresztowali. Chcę, żeby zdechł, kurwa jego mać!

- Śmierć to nie przelewki, Johnny. To rzecz nieodwracalna, wiesz?

- Wiem - powiedział chłopiec. - O śmierci wiem wszystko, kurwa. Chce pan tego użyć?

Twarz miał rozbitą na miazgę, ze złamanego nosa płynęła krew i kapiała z podbródka.

- Czego? - zapytał Sean.

Johnny wskazał skinieniem jego biodro.

- Tej pukawki. To glock, prawda?

- Prawda, glock.

- Glock to superkopyto. Sam chciałbym takiego mieć. Chce go pan użyć?

- Teraz?

- Aha. Wywali pan we mnie? Sean uśmiechnął się.

- Nie, Johnny.

- Z czego się pan śmieje? - zapytał Johnny. - Niech pan strzela. Zobaczymy, co się stanie. Będzie ubaw.

Wyprostował ramię. Lufa pistoletu niemal dotykała piersi Seana.

- Zwracam ci uwagę, że ty pierwszy wyciągnąłeś spluwę - powiedział Sean. -

Rozumiesz, co to znaczy?

- Wyciągnij gnata, glino! - krzyknął Johnny. - No już!

- Nie pozwólmy, by ta sytuacja wy... - zaczął Sean.

- Widział pan ten film, jak gliniarz gonił po dachu czarnucha i czarnuch go zrzucił? Ten pies zdążył tylko wrzasnąć „Aaa!” i spierdolił się na dół. Czarnuch był taki wkurwiony, że gównno go obchodziło, czy tamten ma żonę i dzieci. Czarni już tacy są, człowieku.

Sean widywał już podobne zachowania. Kiedy służył w policji mundurowej, wezwano jego jednostkę do napadu na bank. Zaczynało się tam robić naprawdę niewesoło. Napastnik stopniowo się rozkręcał. Poczł władzę, jaką daje broń. Sean obserwował na monitorze podłączonym do bankowych kamer, jak wrzeszczy. Na początku był pewnie przerażony, teraz pokonał strach. Poczł spluwę w garści.

Seanowi mignęła w wyobraźni Lauren. Spoglądała na niego, leżąc z ręką pod głową na poduszce. Zobaczył swoją wymarzoną córkę, poczł jej zapach i pomyślał, że to byłby naprawdę gówniany interes umrzeć, nie zobaczywszy jej ani Lauren.

Skoncentrował uwagę na pozbawionej wyrazu twarzy stojącego przed nim chłopaka.

- Widzisz tego pana po swojej lewej ręce, Johnny? - zapytał. - Tego w drzwiach?

Johnny zerknął w lewo.

- Aha.

- On wcale nie chce cię zabić. Nie ma takiego zamiaru.

- Gównno mnie obchodzi, co zamierza - odburknął Johnny. Sean zauważył jednak, że ta informacja zrobiła na nim wrażenie, jego oczy zaczęły skakać trwoźnie w górę i w dół.

- Ale jeśli do mnie strzelisz, nie będzie miał wyboru.

- Nie boję się śmierci.

- Wiem. Tylko wiesz co? On ci wcale nie strzeli w głowę, nie licz na to. My nie zabijamy dzieci, kolego. Ale jeśli strzeli do ciebie z miejsca, w którym stoi, wiesz, którądy przejdzie kula?

Sean nie odrywał wzroku od twarzy Johnny'ego, choć pistolet w ręku chłopca przyciągał jego głowę niczym magnes. Miał ochotę choćby na niego zerknąć, sprawdzić, czy chłopak w ogóle trzyma palec na spuście. Nie chce zginąć zastrzelony przez takiego dzieciaka, pomyślał. Trudno sobie wyobrazić bardziej żalosalną śmierć. Wyczuwał obecność Brendana, który stał jak skamieniały kilka metrów dalej i

najprawdopodobniej myślał o tym samym.

Johnny zwilżył językiem wargi.

- Przebije ci ramię i utkwi w kręgosłupie, synku. Zostaniesz sparaliżowany. Będziesz jak te dzieciaki na reklamówkach fundacji walki z nowotworami u dzieci. Wiesz, o czym mówię. Siedzą na wózkach inwalidzkich jednostronnie zeszywniali, ze zwieszonymi głowami. Zostaniesz zaślinionym kaleką, Johnny. Ktoś będzie musiał trzymać ci kubek pod głową, żebyś mógł pić przez słomkę.

Johnny podjął decyzję, Sean widział to jasno. Oblediał go nagle strach, jakby wyłączono światło w jego mrocznym mózgu. Sean zdawał sobie sprawę, że dzieciak jest gotów nacisnąć spust, byle tylko usłyszeć jakiś dźwięk.

- Rozkwasileś mi kinol, kurwa - powiedział nagle Johnny, odwracając się w stronę Brendana.

Sean usłyszał swoje własne westchnienie. Wyrwało mu się z ust ze zdumienia, gdy bowiem spojrzał w dół, zobaczył, że lufa pistoletu oddala się od niego, jakby obracała się na przegubie trójnogu. Tak szybko, jakby znajdował się we władaniu jakiejś siły, wyciągnął rękę i chwycił pistolet. Whitey wpadł tymczasem do pokoju i wymierzył glocka w pierś Johnny'ego. Z ust chłopca wyrwał się okrzyk rozczarowania i zawodu, jakby rozwinął paczkę z prezentem pod choinkę i znalazł w niej brudną skarpetkę. Sean uderzył go w czoło, aż chłopak stuknął głową o ścianę, i wyrwał mu pistolet.

- Sukinsynu - wykrztusił Johnny i spojrzał na Whiteya załzawionymi oczami.

Rozplakał się tak, jak potrafią płakać trzynastolatki, jakby zwałił się na niego cały świat.

Sean obrócił go twarzą do ściany i wykręcił mu ręce na plecach. Brendan odetchnął wreszcie głębiej. Wargi i ręce mu drżały. Ray Harris stał za jego plecami w kuchni, która wyglądała jak pobożowisko.

Whitey podszedł do Seana i położył mu dłoń na ramieniu.

- Jak się czujesz?

- Ten gnojek by to zrobił - powiedział Sean. Czuł, że całe jego ubranie, nawet skarpetki, przesiąkły potem.

- Wcale nie - wychlipał Johnny. - Tylko żartowałem.

- Zamknij gębę, gnojku! - warknął Whitey i przybliżył twarz do twarzy chłopaka. - Możesz sobie ryczeć, ty mały piździelcu, nikogo tym nie rozczulisz.

Sean zatrzasnął kajdanki na rękach Johnny'ego O'Shea, chwycił go za kołnierz koszuli, zaciągnął do kuchni i pchnął na krzesło.

- Ray, wyglądasz, jakby ktoś cię zrzucił w biegu z cię żarówki - zauważył Whitey.

Ray łypnął na brata.

Brendan oparł się o piekarnik. Sprawiał wrażenie zupełnie rozbitego. Sean pomyślał, że najsłabszy wiaterek mógłby go przewrócić.

- Wiemy już wszystko - powiedział.

- Co wiecie? - wyszeptał Brendan.

Sean spojrzał na chłopca, który pociągając nosem, siedział na krześle, i tego drugiego, niemowę, który patrzył na nich tak, jakby miał nadzieję, że zaraz wyjdą, by mógł wrócić do roli boskiego przeznaczenia w sypialni na tyłach mieszkania. Sean był niemal pewny, że gdy już dostanie tłumacza języka migowego i kuratora z sądu dla nieletnich i zacznie obu chłopców przesłuchiwać, powiedzą mu, że zrobili to „ponieważ”. Ponieważ mieli broń. Ponieważ bawili się akurat na ulicy, gdy ona przejeżdżała. Ponieważ Ray tak naprawdę nigdy jej nie lubił. Bo wydawało im się, że to fajny pomysł. Bo jeszcze nigdy nikogo nie zabili. Bo gdy już położysz palec na spuście, musisz go nacisnąć, inaczej będzie cię śwędził przez całe tygodnie.

- Co wiecie? - powtórzył Brendan głosem zachrypniętym, wzbierającym płaczem.

Devine wzruszył ramionami. Chętnie by mu udzielił odpowiedzi, ale gdy tak patrzył na obu chłopców, żadna nie przychodziła mu do głowy.

Jimmy poszedł z butelką na Gannon Street, u której końca znajdował się dom starców, jednopiętrowa, niezgrabna budowla z lat sześćdziesiątych z piaskowca i granitu, ciągnąca się przez pół przecznicy wzdłuż Heller Court, ulicy, która zaczynała się tam, gdzie Gannon się kończyła. Usiadł na białych schodach od frontu i spojrzał w głąb Gannon. Słyszał, że wyrzucali stąd staruszków, ponieważ dzielnica Point stała się tak wzięta, że właściciel budynku miał zamiar sprzedać go przedsiębiorcy, specjalizującemu się w budowaniu kondominiów dla młodych małżeństw. Dawna Point już w gruncie rzeczy nie istniała. Zawsze była bardziej snobistyczną siostrą Flats, ale teraz obie dzielnice przestały już nawet należeć do jednej rodziny. Prawdopodobnie niedługo sprokurują stosowny dokument, zmienią nazwę, a starą wymażą z mapy Buckingham.

Jimmy wyjął piersiówkę z kieszeni kurtki i pociągnął łyk bourbona. Wpatrywał się w miejsce, gdzie ostatni raz widzieli Dave'a Boyle'a tamtego dnia, kiedy porwali go dwaj pedofile. Jego głowę było widać przez tylną szybę auta, okrytą cieniem, coraz mniej wyraźną.

Wolałbym, żebyś to nie był ty, Dave. Naprawdę.

Podniósł piersiówkę w toaście za Katie. Tata go dopadł, skarbie. Dopadł i wykończył.

- Mówisz sam do siebie?

Jimmy podniósł wzrok i zobaczył wysiadającego z samochodu Seana. Trzymał w ręku piwo bezalkoholowe i uśmiechnął się na widok piersiówki Jimmy'ego.

- Na jaką to cześć?

- Miałem ciężką noc. Sean kiwnął głową.

- Ja też. Zobaczyłem kulkę mnie dedykowaną. Jimmy usunął się trochę i Sean usiadł obok.

- Skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?

- Twoja żona powiedziała, że mogę cię tu znaleźć.

- Annabeth? - Jimmy nigdy jej nie mówił o swoich wycieczkach w to miejsce. Domyślna kobieta, nie ma co.

- Tak. Dokonaliśmy dziś aresztowania.

Jimmy pociągnął długi łyk z butelki, jego pierś uniosła się wysoko.

- Aresztowania?

- Tak. Mamy zabójców twojej córki.

- Zabójców? Liczba mnoga?

Sean potaknął.

- Właściwie dwóch dzieciaków. Dwóch trzynastolatków. Raya juniora, syna Raya Harrisa, oraz niejakiego Johnny'ego O'Shea. Przyznali się obaj pół godziny temu.

Jimmy poczuł, jak ostrze noża wchodzi mu uchem do mózgu i przewierca się na drugą stronę. Rozpalone ostrze kroilo mu czaszkę.

- Żadnych wątpliwości?

- Żadnych - odpowiedział Sean.

- Dlaczego?

- Dlaczego to zrobili? Sami dobrze nie wiedzą. Bawili się pistoletem. Zobaczyli nadjeżdżający samochód i jeden z nich położył się na środku jezdni. Samochód zahamował gwałtownie i silnik zgasł. O'Shea podbiegł ze splotką. Mówi, że chciał tylko przestraszyć kierowcę. Tymczasem broń wypaliła, a Katie uderzyła go drzwiami. Obaj mówią, że wpadli w panikę. Zaczęli ją gonić, żeby nikomu nie powiedziała, że mają broń.

- Dlaczego ją bili? - zapytał Jimmy i pociągnął kolejny długi łyk.



- Ray junior miał kij do hokeja. Ale gnojek jest niemową, jak wiesz, nie odpowiada na żadne pytania. O'Shea powiedział, że bili ją, bo ich wkurzyła. Ponieważ uciekała. - Wzdrygnął się, jakby bezsens tego motywu nawet jego zdziwił. - Pieprzone bachory. Bali się, że ich wyda, więc ją zamordowali.

Jimmy wstał. Otworzył szeroko usta, jakby chciał zaczerpnąć powietrza. Kolana się pod nim ugięły i na powrót usiadł na stopniu schodów. Sean dotknął jego łokcia.

- Spokojnie, stary. Weź kilka głębszych wdechów.

Jimmy ujrzał w wyobraźni siedzącego na ziemi Dave'a obmacującego palcami rozplątany brzuch. Usłyszał jego głos: „Spójrz na mnie, Jimmy. Spójrz na mnie!”.

- Zadzwoiła do mnie Celeste Boyle - powiedział Sean - mówiąc, że Dave zniknął. Dodała, że trochę świrował w ostatnich dniach i że ty możesz wiedzieć, gdzie go szukać.

Jimmy spróbował się odezwać. Otworzył usta, ale krtań miał zapchaną, jakby ktoś wepchnął do niej kłębki mokrej waty.

- Nikt nie wie, gdzie się podział - ciągnął Sean. - Musimy z nim porozmawiać, Jim. Może coś wiedzieć o facecie zamordowanym ubiegłej nocy przed Ostatnią Kroplą.

- Facecie? - zdołał wykrztusić Jimmy przez zaciśnięte gardło.

- Uhm - przytaknął Sean i w jego głosie zadźwięczała jakaś twardsza nuta. - O pedofilu, trzykrotnie już notowanym. Prawdziwy sukinsyn. W jednostce powstała teoria, że ktoś go przyłapał na stosunku z dzieckiem i drania skasował. Tak czy owak musimy pogadać o tym z Dave'em. Nie wiesz, gdzie się podział?

Jimmy pokręcił przecząco głową. Jego pole widzenia zwięzło się do wąskiego tunelu.

- Na pewno? - zapytał Sean. - Podobno Celeste powiedziała ci, że to Dave zabił Katie. Uważa, że w to uwierzyłeś. Odniosła wrażenie, że postanowiłeś coś w tej sprawie zrobić.

Jimmy patrzył na kratkę rynsztoka przez ograniczający mu widok wąski tunel.

- Zamierzasz posyłać teraz co miesiąc pięćset dolarów Celeste?

Jimmy podniósł głowę i obaj jednocześnie dojrżeli w swoich twarzach prawdę. Sean pojął, czego dopuścił się Jimmy, a Jimmy ujrzał, jak Sean to sobie uświadamia.

- Ty to naprawdę zrobiłeś, kurwa twoja mać! Zabiłeś go! Jimmy podparł się o poręcz schodów i wstał.

- O czym ty gadasz, u licha?

- Zabiłeś ich obu, Raya Harrisa i Dave'a Boyle'a. Chryste, Jimmy, idąc tu,

myślałem, że to absurdałne podejrzenie, ale teraz widzę w twojej twarzy, że to prawda. Ty pieprzony stuknięty szajbusie! Naprawdę to zrobiłeś! Zabiłeś Dave'a! Zabiłeś Dave'a Boyle'a, naszego kumpla!

- Też mi kumpel! - prychnął Jimmy. - Paniczyk z Point! Od kiedy to był twoim kumplem?

Sean zbliżył twarz do jego twarzy.

- Był naszym kumplem, Jimmy. Zapomniałeś już?

Jimmy spojrział Seanowi prosto w oczy. Zastanawiał się, czy go uderzyć, czy nie.

- Ostatni raz widziałem Dave'a ubiegłej nocy u mnie w domu. - Odepchnął Seana i przeszedł na drugą stronę ulicy. - Potem już nie - dodał.

- Jesteś skończonym sukinsynem.

Jimmy obrócił się, rozłożył ramiona i zmierzył Seana wzrokiem.

- Więc aresztuj mnie, skoro taki jesteś pewien.

- Zdobędę dowody - zawołał za nim Sean. - I ty o tym wiesz.

- Gównu zdobędziesz. Jednak dziękuję, że aresztowaliście zabójców mojej córki. Szczerze. Choć byłoby lepiej, gdybyście się trochę bardziej pospieszyli. - Jimmy wrzucił ramionami, obrócił się na pięcie i ruszył Gannon Street.

Sean patrzył za nim, póki nie zginął mu w ciemności pod zepsutą latarnią dokładnie naprzeciwko dawnego domu Seana.

Zrobiłeś to, pomyślał. Naprawdę to zrobiłeś, ty okrutny bydlaku. Najgorsze jest to, że znam twój spryt. Wiem, że niczego nie dasz nam za darmo. Nie ty. Jesteś na to za dokładny, ty pieprzony draniu.

- Zabiłeś go - powiedział głośno. - Zabiłeś go, stary.

Rzucił puszkę po piwie na chodnik, wszedł do samochodu i zadzwonił z komórki do Lauren. Kiedy odebrała, powiedział:

- Tu Sean.

Cisza.

Teraz już wiedział, czego jej nie mówił, a na co ona czekała. Od przeszło roku się przed tym wzbraniał. Cokolwiek, postanowił, powiem wszystko, tylko nie to.

Teraz jednak się na to zdobył. Mówiąc to, miał przed oczami gnojka, celującego mu w pierś i wręcz cuchnącego pustką, widział Dave'a, gdy zaproponował, że postawi mu piwo i dojrzał w jego twarzy błysk rozpaczliwej nadziei, bo biedak chyba naprawdę nie wierzył, by ktokolwiek chciał napić się z nim piwa. Powiedział to również dlatego,

gdyż taką poczuł potrzebę, i to nie tylko ze względu na Lauren, ale i na samego siebie.

- Przepraszam - wykrztusił.

I Lauren przemówiła.

- Za co?

- Za to, że kazałem ci tak długo czekać.

- Cieszę się...

- Słuchaj...

- Posłuchaj...

- Mów - zachęcił.

- Ja...

- Tak?

- Cholera, Sean... ja też cię przepraszam. Nie chciałam...

- Już dobrze. Naprawdę. - Zacerpnął głęboko tchu, wciągając w płuca przepocony zapach wnętrza radiowozu. - Chcę cię zobaczyć. Chcę zobaczyć moją córkę.

- Skąd wiesz, że jest twoja?

- Wiem.

- Ale badanie krwi...

- Jest moja. Nie potrzebuję żadnego badania krwi. Wrócisz do domu, Lauren?

Wrócisz?

Skądś, z cichej ulicy, dobiegł warkot rozrusznika.

- Nora - powiedziała.

- Słucham?

- Tak ma na imię twoja córka, Sean.

- Nora - powtórzył przez łyzy.

Annabeth czekała na powrót Jimmy'ego w kuchni. Usiadł na krześle po drugiej stronie stołu, a ona uśmiechnęła się do niego tym bladym, tajemniczym uśmiechem, który tak kochał. Uśmiechem, który mówił: Tak dobrze cię znam, że mógłbyś do końca życia nie otwierać ust, a i tak bym wiedziała, co chciałeś powiedzieć. Jimmy wziął żonę za rękę i pogładził kciukiem grzbiet jej dłoni. Spróbował się wzmocnić własnym wizerunkiem, jaki widział w jej oczach.

Na stole między nimi stał domowy zestaw do monitoringu. Wykorzystali go zeszłej nocy, bo Nadine złapała jakąś okropną infekcję gardła. Słuchali jej bulgotów,

kiedy spała, i Jimmy wyobrażał sobie, że jego córeczka tonie. Nasłuchiwał, czekając na gwałtowniejszy atak kaszlu, który każe mu wyskoczyć z łóżka, chwycić małą na ręce i popędzić do szpitala w samych tylko bokserkach i podkoszulku. Dziewczynka szybko jednak wydobrzała. Annabeth nie schowała jednak monitora do pudełka stojącego w szafie w pokoju jadalnym. Włączała go w nocy i przysłuchiwała się, jak Nadine i Sara oddychają przez sen.

Teraz nie spały. Jimmy słyszał w małym głośniku ich głosy. Poszeptywały coś między sobą, chichotały. Przysłuchiwał się im i ogarnęła go trwoga na myśl o grzechach, które miał na sumieniu.

Zabiłem człowieka. Niewłaściwego człowieka.

Ta świadomość paliła go wstydem.

Zabiłem Dave'a Boyle'a.

Poczuł żar w żołądku.

Zamordowałem niewinnego człowieka.

- Skarbie - powiedziała Annabeth, wpatrując się uważnie w jego twarz - kochanie, co się stało? Chodzi o Katie? Wyglądasz jak człowiek stojący nad grobem.

Obeszła stół. Z zatroskaną miną usiadła okrakiem na kolanach męża, ujęła w dłonie jego twarz i zmusiła, by spojrzał jej w oczy.

- Powiedz mi, co się stało?

Chętnie by się przed nią schował. Jej miłość zanadto w tej chwili bolała. Chciałby uciec z objęcia jej ciepłych rąk i znaleźć sobie jakieś ciemne miejsce, podobne do pieczary, dokąd nie docierałoby światło ani miłość, gdzie mógłby zwinąć się w kłębek i wyjękiwać w ciemność rozpacz i nienawiść do samego siebie.

- Jimmy - wyszeptala Annabeth.

Pocałował jej powieki.

- Jimmy, porozmawiaj ze mną, proszę.

Przycisnął jej dłonie do swoich skroni. Palce Annabeth wczepiły się w jego włosy. Pocałowała go zachłannie. Jej język wśliznął się do jego ust, jakby penetrował, szukał źródła jego bólu, by go wyssać, a jeśli trzeba - zmienić się w skalpel, który wytnie zabójczy nowotwór.

- Powiedz mi, co cię gnębi Jimmy.

Wpatrując się w jej kochającą twarz, zrozumiał, że musi wyznać jej wszystko, inaczej będzie zgubiony. Nie wiedział, czy ona potrafi go ocalić, miał jednak pewność, że jeśli się przed nią teraz nie otworzy, umrze.

Więc zaczął mówić.

Opowiedział jej wszystko. Opowiedział o Just Rayu Harrisie, o smutku, który nosił w sobie od jedenastego roku życia, o tym, że miłość do Katie stała się jedynym osiągnięciem jego skądinąd bezużytecznej egzystencji; mówił, że pięcioletnia Katie, ta obca córka, która go potrzebowała i która mu nie ufała, była najbardziej zależną istotą, jaką w życiu widział, i jedynym trudnym obowiązkiem, od jakiego nie uciekł. Powiedział swojej żonie, że miłość do Katie i opieka nad nią stanowiły o jego istnieniu i że wraz z nią odebrano mu najcenniejszą część jego duszy.

- I dlatego - zakończył, mając wrażenie, że kuchnia staje się mała i ciasna - zabiłem Dave'a. Zabiłem go i pochowałem w Mystic. A przed chwilą dowiedziałem się, jakby tej zbrodni było mało, że on był niewinny. Tak straszne ciężą na mnie winy, Anno. Nie mogę niczego zmazać ani odwrócić. Myślę, że powinienem pójść do więzienia. Powinienem się przyznać do zabójstwa Dave'a i wrócić za kratki, bo tam jest moje miejsce. Naprawdę tak myślę, kochanie. Nie pasuję do tego świata. Nie można mi ufać.

Jego głos brzmiał obco dla niego samego. Tak bardzo różnił się od dźwięków, jakie zwykle opuszczały jego usta, że zaczął się zastanawiać, czy Annabeth nie widzi czasem przed sobą kogoś nieznanego, zaledwie przypominającego męża, który rozwił się w eterze.

Ona miała jednak spokojną twarz, tak nieruchomą, jakby pozowała do portretu. Podbródek z lekka uniesiony, spojrzenie jasne i łagodne.

Ponownie usłyszał głosy swoich córek w głośniku monitora. Ich szepty przypominały cichy szelest wiatru.

Tymczasem Annabeth zaczęła rozpinać guziki jego koszuli. Odrętwiały obserwował ruchy jej zręcznych palców. Rozchyliła mu koszulę i zsunęła do połowy z ramion, a potem przycisnęła policzek i ucho do jego piersi.

- Ja właśnie...

- Cii! - szepnęła. - Chcę usłyszeć bicie twojego serca.

Jej dłonie zsunęły się po jego klatce piersiowej, a potem wspięły do góry po plecach, mocniej przycisnęła głowę do jego piersi. Zamknęła oczy, a jej wargi uniosły się w uśmiechu.

Siedzieli tak przez chwilę. Szepty w głośniku monitora ucichły. Zastąpił je szmer spokojnych oddechów śpiących dziewczynek.

Annabeth cofnęła głowę, lecz Jimmy nadal czuł dotyk jej policzka na piersi, jakby

na zawsze odcisnęła na niej swój znak. Zeszła z jego kolan, usiadła przed nim na podłodze i podniosła głowę. Spojrzała w stronę monitora. Przez jakiś czas wsłuchiwali się oboje w odgłosy snu ich córek.

- Wiesz, co im powiedziałam, kiedy kładłam je dzisiaj do łóżek?

Pokręcił przecząco głową.

- Powiedziałam, że teraz muszą być dla ciebie wyjątkowo czule, bo choć my też kochałyśmy Katie, ty kochałeś ją bardziej. Kochałeś ją tak bardzo, bo powołałeś ją na świat, nosiłeś na rękach, kiedy była mała, i twoja miłość do niej rozpięła ci czasem serce niczym balon, aż bałeś się, że pęknie.

- Boże, Annabeth - wyszeptał.

- Powiedziałam im, że tata je również tak kocha. Że ma cztery serca i one wszystkie są jak balony wypełnione miłością aż do bólu. I że dlatego nigdy nie musimy się niczego bać. A Nadine zapytała mnie wtedy: „Nigdy?”.

- Błagam cię. - Jimmy czuł się tak, jakby przywaliły go granitowe bloki. - Błagam, przestań!

Pokręciła głową tylko raz, przyglądając mu się ze spokojem.

- Tak, potwierdziłam, nigdy. A wiecie dlaczego? Bo wasz tatuś jest królem, a nie zwykłym księciem. A królowie wiedzą, co należy zrobić... nawet, gdy to jest trudne... by wszystko naprawić. Wasz tatuś jest królem, więc robi...

- Annabeth...

- ...zrobi wszystko, co będzie musiał dla tych, których kocha. Wszyscy popełniamy błędy. Wielcy ludzie próbują naprawiać zło. Tylko to się liczy. Na tym polega wielka miłość. Dlatego wasz tatuś jest wielkim człowiekiem.

Jimmy miał wrażenie, że ślepnie.

- Błagam - wyjąkał.

- Dzwoniła Celeste. - Głos Annabeth jakby najeżył się kolcami.

- Proszę...

- Chciała się dowiedzieć, gdzie jesteś. Powiedziała mi, że podzieliła się z tobą swoim podejrzeniami co do Dave'a.

Jimmy otarł grzbietem dłoni oczy i przyjrzał się żonie, jakby ujrzał ją po raz pierwszy w życiu.

- Zadałam sobie pytanie, co to za żona, która mówi takie rzeczy o własnym mężu? Jaką trzeba być, żeby wyjawiać rodzinne sekrety? Dlaczego pobiegła z tym do ciebie?

Jimmy miał co do tego własne podejrzenia... Zawsze miał pewne podejrzenia

względem Celeste, która czasami patrzyła na niego w taki sposób... Zmilczał jednak.

Annabeth uśmiechnęła się zaś tak, jakby zobaczyła odpowiedź wypisaną na jego twarzy.

- Mogłam zadzwonić na twoją komórkę. Kiedy mi wyznała, co ci powiedziała, i gdy przypominałam sobie, że wyszedłeś z Valem, domyśliłam się, co zamierzasz. Nie jestem głupia.

O, co to to nie!

- Ale nie zadzwoniłam. Nie powstrzymałam cię.

- Dlaczego? - zapytał ochryplym głosem.

Podniosła głowę i spojrzała na niego tak, jakby odpowiedź była oczywista. Wstała, patrząc na niego tym dziwnym wzrokiem, a potem zrzuciła z nóg buty. Rozpięła suwak i zdjęła dżinsy, a potem koszulę i stanik. Ściągnęła Jimmy'ego z krzesła. Przycisnęła go do siebie i zaczęła całować w mokre policzki.

- Oni są słabi - szepnęła.

- Kto?

- Oni wszyscy. Wszyscy poza nami.

Ściągnęła koszulę z jego ramion i Jimmy zobaczył w wyobraźni jej twarz taką jak wtedy, nad kanałem Pen, w noc ich pierwszej randki. Zapytała go, czy jest urodzonym przestępcą, a on zapewnił, że nie, bo sądził, że takiej odpowiedzi oczekiwała. Dopiero teraz, dwanaście i pół roku później, zrozumiał, że chciała od niego jedynie prawdy. Jakiegokolwiek udzieliby jej odpowiedzi, przyjęłaby ją i zaakceptowała. Wspierałaby go. I zbudowałyby ich wspólne życie na tej odpowiedzi.

- My nie jesteśmy słabi - powiedziała, a on poczuł pod niecenie tak silne, jakby rosło w nim już od dnia narodzin. Gdyby mógł ją zjeść, nie przyczyniając jej bólu, pochłonąłby ją całą, zatopił zęby w jej szyi. - Nigdy nie będziemy słabi. - Usiadła na stole i rozłożyła nogi.

Patrzył na nią, ściągając spodnie, świadom, że ten akt tylko na chwilę przyniesie mu ulgę, zagłuszy jedynie ból po zamordowaniu Dave'a, znieczuli, gdy się zagłębi w ciało Annabeth i połączy z jej siłą. To wystarczy tylko na tę noc, już nie na jutro ani na nadchodzące dni. Przyniesie ulgę na dzisiejszą noc. Lecz czy nie tak zaczynają się wszystkie procesy ozdrowieńcze, od małych kroczków?

Annabeth ujęła go za biodra, wpiła paznokcie w plecy na linii kręgosłupa.

- Kiedy skończymy, Jim...

- Tak?

- Nie zapomnij pocałować dziewczynek na dobranoc.



**Epilog**

**JIMMY FLATS**

**Niedziela**

## Zaklepiemy ci miejsce

Jimmy'ego obudził w niedzielę stłumiony werbel bębnow.

Nie hałaśliwy łoskot i brzęk talerzy podrzędnego zespołu grającego w cuchnącym potem klubie, ale dudniący, miarowy, tam-tamowy rytm najeźdźczej armii, biwakującej pod murami miasta. Potem usłyszał zaskakujący, fałszywy ryk mosiężnych rogów. Ten odgłos również niósł się z dala, napływał przez poranne powietrze z odległości kilkunastu może przecznic, a ucichł równie nagle, jak rozbrzmiał. Jimmy leżał i słuchał rześkiej ciszy późnego niedzielnego poranka - najprawdopodobniej też pogodnego, sądząc po wsączającym się przez zasłony intensywnie żółtym blasku. Usłyszał tupanie i gruchanie gołębi na parapecie i poszczekiwanie psa na ulicy. Trzasnęły drzwi jakiegoś samochodu. Czekał na odgłos zapalnego silnika, lecz się nie doczekał, a potem doszło go znowu głębokie brzmienie tam-tamów, miarowe, zdecydowane.

Spojrzał na zegarek na nocnym stoliku: jedenasta. Ostatni raz spał tak długo, gdy... Prawdę mówiąc, nie pamiętał kiedy. Całe lata temu. Może z dziesięć. Przypomnił sobie zmęczenie kilku ostatnich dni i to uczucie, że trumna Katie jeździ w jego ciele jak kabina windy. A zeszłej nocy, gdy siedział pijany na kanapie w salonie z pistoletem w dłoni, przyszli go odwiedzić Just Ray Harris i Dave Boyle. Patrzył, jak machają do niego z tylnego siedzenia pachnącego jabłkami samochodu. Pomiedzy ich głowami widział tył głowy Katie, gdy samochód odjeżdżał w głąb Gannon Street. Katie nie oglądała się, natomiast Just Ray i Dave machali do niego jak szaleni i szczyrzyli w uśmiechu zęby. Kolba pistoletu zaczęła go swędzić w rękę. Poczul w dłoni oleisty metal i pomyślał o włożeniu lufy między zęby.

Przebudzenie było koszmarem. Celeste przybiegła o ósmej wieczorem, gdy trumna była już zamknięta, rzuciła się na Jimmy'ego, tłukła go pięściami i nazywała mordercą. „Ty choć masz jej ciało! - krzyczała. - A ja? Gdzie on jest, Jimmy? Coś z nim zrobił?”. Bruce Reed i jego synowie odciągnęli ją i wyprowadzili z zakładu pogrzebowego, ale ona nie przestała krzyżeć: „Morderca! Morderca! Zabił mojego męża! Morderca!”.

Morderca.

Potem był pogrzeb, nabożeństwo nad grobem. Jimmy patrzył, jak opuszczają do dołu jego córkę, rzucił na trumnę garść piasku i luźne kamyki i Katie zniknęła pod zwalami ziemi, jakby nigdy nie chodziła po tym świecie.

Te wszystkie przeżycia zwały się na niego ubiegłej nocy. Trumna Katie wznosiła się i opadała w jego ciele. Zanim schował pistolet do szuflady i padł wycieńczony na łóżko, trwał w jakimś paraliżu, jakby jego zmarli zmrozili mu szpik kostny i lodem ścięli krew.

Boże, pomyślał, jeszcze nigdy nie byłem tak zmęczony. Taki smutny, bezużyteczny i samotny. Jestem wykończony przez moje błędy, mój gniew i gorzką samotność. Dopadły mnie moje własne grzechy. Boże, zostaw mnie w spokoju i pozwól mi umrzeć, żebym nie czynił zła, nie czuł takiego zmęczenia, bym nie musiał dźwigać ciężaru mojej natury i mojej miłości. Uwolnij mnie od tego wszystkiego, bo jestem zbyt wyczerpany, by zrobić to samemu.

Annabeth próbowała zrozumieć jego wyrzuty sumienia i przerażenie samym sobą, daremnie jednak. Ostatecznie to nie ona nacisnęła spust.

Spał do jedenastej. Dwanaście godzin, jak zabity. Nawet nie słyszał, kiedy wstała.

Czytał gdzieś, że objawem depresji jest nieustanne zmęczenie, nieodparta potrzeba snu. Lecz kiedy usiadł na łóżku i wsłuchiwał się w dudnienie bębnow, do którego dołączyły pobekiwania mosiężnych rogów, poczuł się świeżo jak dwudziestolatek. Był zupełnie, absolutnie rozbudzony, jakby już nigdy nie miał odczuwać potrzeby snu.

Parada, uświadomił sobie. Bębny i rogi należały do orkiestry, która przygotowywała się do południowej parady na Buckingham Avenue. Wstał, podszedł do okna i ściągnął zasłony. Tamten samochód nie ruszył sprzed domu dlatego, że cała Buckingham Avenue, od Flats aż po Rome Basin, była zamknięta. Trzydzieści sześć przecznic. Spojrzał przez okno w głąb alei. Ciągnęła się czystym pasem błękitno-szarego asfaltu, skąpana w jaskrawym słońcu, tak czysta, jakiej Jimmy dawno nie widział. Niebieskie zapory krzyżakowe zamykały wjazd ze wszystkich przecznic i ciągnęły się wzdłuż krawężników w obydwu kierunkach jak daleko okiem sięgnąć.

Mieszkańcy wychodzili już z domów i zajmowali miejsca na chodnikach. Patrzył, jak rozstawiają lodówki turystyczne, radia i koszyki z prowiantem. Pomachał ręką Danowi i Maureen Gudenom, którzy rozstawili leżaki przed pralnią samoobsługową Hennesseya. Kiedy odpowiedzieli na jego pozdrowienie, ogarnęło go wzruszenie,

dostrzegł bowiem wyraz troski na ich twarzach. Maureen zwinęła dłonie wokół ust i coś do niego krzyknęła. Otworzył okno i przycisnął twarz do moskitiery. Owiało go rześkie powietrze późnego przedpołudnia, ogrzało słońce i oprószyła resztką wiosennego kurzu uwięzła w moskitierze.

- Co mówisz, Maureen?

- Pytałam: jak się czujesz, kotku? - zawołała Maureen. - Dobrze?

- Nie najgorzej - odparł i sam się zdziwił, uświadomiwszy sobie, że naprawdę czuje się wyśmienicie.

Wciąż nosił w sobie Katie niczym drugie przerażone i rozgniewane serce, które nigdy, był tego pewien, nie przerwie swego szalonego bicia. Nie miał co do tego wątpliwości. Rozpacz będzie wieczna, stanie się jego częścią bardziej niż członki ciała. W jakiś jednak sposób podczas swojego długiego snu pogodził się z tym faktem. Rozpacz stała się jego częścią i potrafił to przyjąć. A jednak, zważywszy okoliczności, czuł się znacznie lepiej, niż mógł oczekiwać. - Ja... czuję się dobrze - zawołał do Maureen i Dana. - O ile to w ogóle możliwe. Maureen kiwnęła głową, a Dan zapytał:

- Niczego ci nie trzeba, Jim?

- Możesz nas prosić o wszystko - dorzuciła Maureen. Jimmy poczuł dumę i miłość do nich i do całej rodzinnej dzielnicy.

- Nie - odkrzyknął - niczego mi nie trzeba. Dziękuję. Bardzo wam dziękuję. To dla mnie dużo znaczy.

- Zejdiesz? - zapytała Maureen.

- Chyba tak - odparł, choć wcale nie był tego pewny, zanim to powiedział. - Zobaczymy się na dole?

- Zaklepiemy ci miejsce - krzyknął Dan.

Odszedł od okna z piersią przepełnioną dumą i miłością. To byli jego ziomkowie. Jego dzielnica. Jego dom. Zaklepią mu miejsce. Nie wątpił w to. Był Jimmym Flats.

Tak go nazywały rekiny świata przestępczego w dawnych czasach, zanim trafił na Deer Island. Zabierali go do klubów na Prince Street w North End i mówili: „Hej, Carlo, to ten mój przyjaciel, o którym ci opowiadałem. Jimmy. Jimmy Flats”.

I Carlo, Gino czy inny właściciel imienia zakończzonego na „o” robił wielkie oczy i mówił: „Nie zalewaj? Jimmy Flats? Miło cię poznać, Jimmy. Od dawna podziwiam twój styl”.

Potem zaczynały się żarciki na temat jego wieku. „Czy to prawda, że swój pierwszy sejf otworzyłeś agrafką do pieluch?” Jimmy wyczuwał szacunek, jeśli nie rodzaj

nabożnego lęku, jaki ci twardziele odczuwali w jego obecności.

Był Jimmym Flats. Swoją pierwszą bandą dowodził, już gdy miał siedemnaście lat. Siedemnaście, dacie wiarę? Wielki kozak. Takiemu nie podskoczysz. Umiał trzymać gębę na kłódkę, gdy trzeba, znał reguły gry i wiedział, komu należy się respekt. Umiał zarabiać forszę dla przyjaciół.

Był Jimmym Flats w tamtych starych czasach i pozostał Jimmym Flats, a ci ludzie, którzy zaczynali się gromadzić wzdłuż trasy parady, naprawdę go kochali. Martwili się o niego i w miarę możliwości brali na siebie część jego bólu. A co on dawał im w zamian? Musiał się zastanowić. Co on im tak naprawdę dawał?

Jedyną realną władzą, jaką dzielnica miała w ostatnich latach, odkąd federalni z pomocą RICO\* rozbili gang Louie Jello, byli... kto?... Bobby O'Donnell? Bobby O'Donnell i Roman Fallow. Dwóch drobnych dealerów narkotykowych, którzy wzięli się do ściągania haraczy i wymuszania okupu. Do Jimmy'ego docierały różne plotki - jak ubili interes z wietnamskimi gangami z Rome Basin, żeby żółtki się do nich nie wtrącały, podzielili terytorium między ich i siebie, a potem uczcili ten sojusz spaleniem kwaciarni Connie w charakterze przestrogi dla tych, którzy odmawialiby płacenia daniny.

Tak się nie robi. Nie prowadzi się interesów we własnej dzielnicy. Nie żeruje się na niej. Nie tyka się sąsiadów, przeciwnie - dba się o nich, a oni z wdzięczności ostrzegają cię, kiedy szykują się jakieś kłopoty. A jeśli od czasu do czasu ich wdzięczność przybiera formę koperty bądź to ciasta domowej roboty lub samochodu, robią to z własnej ochoty i jest to twoja nagroda za zapewnianie krajanom bezpieczeństwa.

Tak należało współżyć ze swoją dzielnicą. W atmosferze wzajemnej życzliwości. Jednym okiem doglądając interesów wspólnoty, drugim własnych. Nie można pozwolić, by różni O'Donnellowie i skośnookie nieopierzone żółtki myślały, że mogą tu wpadać i brać, na co mają ochotę. Chyba że zaryzykują połamanie nóg.

Wszedł z sypialni i stwierdził, że w mieszkaniu nikogo nie ma. Drzwi w końcu korytarza były otwarte. Usłyszał głos Annabeth z mieszkania piętro wyżej i tupot drobnych stóp swoich córek, które goniły po podłodze kota Vala. Wszedł do łazienki i odkręcił prysznic, a kiedy kabina się nagrzała, wskoczył pod gorące strugi wody.

O'Donnell i Fallow nigdy nie nękali sklepu Jimmy'ego, ponieważ wiedzieli, że jest

---

\* RICO - Racketeer Influenced and Corrupt Organization Act - ustawa do zwalczania przestępczości zorganizowanej i korupcji (przyp. tłum.).

związany z braćmi Savage, a jak każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie, bali się zadzierać z postrzelonymi braćmi. A skoro bali się Savage'ów, znaczyło to, że bali się i jego.

Bali się go. Bali się Jimmy'ego Flats, bo wiedzieli, że ma łeb nie od parady i hardych, nieustraszonych braci Savage na każde zawołanie. Gdyby tak połączyć rozum Jimmy'ego Marcusa z dzikością braci, mogliby...

Co?

Uczynić tę dzielnicę tak bezpieczną, jak na to zasługiwała.

Mógłby rządzić tym całym zwariowanym miastem.

Wziąć je w posiadanie.

„Proszę cię, nie, Jimmy. Chryste! Chcę zobaczyć moją żonę, Jimmy. Chcę dalej żyć. Nie odbieraj mi tego, Jimmy, proszę! Spójrz na mnie!”

Jimmy zamknął oczy i podstawił twarz pod bicze gorącej wody.

„Spójrz na mnie!”

Patrzę na ciebie, Dave. Patrzę na ciebie.

Ujrzał w wyobraźni błagalny wyraz twarzy Dave'a, kropelki śliny na jego wargach, bardzo podobne do kropelek śliny na dolnej wardze i podbródka Just Raya Harrisa trzynaście lat temu.

„Spójrz na mnie!”

Patrzę, Dave. Patrzę na ciebie. Nie powinieneś był wysiadać z tamtego samochodu. Wiesz o tym? Powinieneś tam zostać. Wróciłeś do domu, ale naruszony, zdekompletowany. Już do nas nie pasowałeś, Dave. Tamci cię zatruli i ta trucizna tylko czekała, by się z ciebie wylać.

„Ja nie zabiłem twojej córki, Jimmy. Nie zabiłem Katie. Nie zabiłem jej, nie zabiłem”.

Może i nie, Dave. Teraz to już wiem. Wygląda na to, że faktycznie nie miałeś z jej śmiercią nic wspólnego. Co prawda, wciąż istnieje możliwość, że gliny aresztowały nie te dzieciaki, co trzeba, ale przyznaję, wygląda na to, że w sprawie Katie możesz być niewinny.

„Więc?”

Ale kogoś jednak zabiłeś, Dave. Kogoś zabiłeś. Celeste miała co do tego rację. Poza tym wiesz, jak to bywa z ludźmi, którzy byli w dzieciństwie molestowani seksualnie.

„Nie, Jim. Ty mi to powiedz”.

Sami stają się pedofilami. Wcześniej czy później. Trucizna się w nich wsączyła i

domaga się ujęcia. Uchroniłem przyszlą ofiarę przed twoją trucizną, Dave. Może nawet twojego własnego syna.

„Mojego syna do tego nie mieszaj”.

Dobrze. W takim razie któregoś z jego kolegów. Dave, prędzej czy później pokazałbyś swoją prawdziwą twarz.

„Więc w tym szukasz dla siebie usprawiedliwienia?”

Kiedy już wsiadłeś do tamtego samochodu, nie powinieneś był wracać. W tym szukam dla siebie usprawiedliwienia. Nie pasowałeś do nas. Nie rozumiesz? Na tym polega sąsiedztwo - to takie miejsce, w którym mieszkają ludzie, którzy do siebie pasują. Odmieńcy nie mają tam czego szukać.

Głos Dave'a spadł w kaskadzie wody i zadudnił w czaszce Jimmy'ego: „Teraz mieszkam w tobie, Jimmy. Nie możesz mnie wyrzucić”.

Owszem, Dave, mogę.

Jimmy zakręcił kran i wyszedł z kabiny. Wytarł się, wciągając w nozdrza kłęby ciepłej pary. Miał teraz przynajmniej jaśniejszą głowę. Przetarł zaparowane okienko w kącie i wyjrzał na zaułek z tyłu domu. Dzień był tak jasny i pogodny, że nawet ten zapuszczony zakątek sprawiał wrażenie czystego. Boże, jaki piękny dzień, jaka cudowna niedziela. Wspaniały dzień na paradę. Weźmie żonę i córki na dół na ulicę, będą się trzymać za ręce i oglądać maszerujących, zespoły, ruchome platformy i polityków przesuających się w jaskrawym blasku słońca. Będą jedli hot dogi i cukrową watę. Kupi dziewczynkom chorągiewki i koszulki z napisem „Buckingham Pride”. Proces jego rekonwalescencji rozpocznie się wśród dźwięku cymbałów, bębnów, rogów i chóru wiwatów. Był pewien, że gdy będą stali na chodniku i świętowali rocznicę założenia dzielnicy, porwie ich nastrój radosnego uniesienia. A kiedy wieczorem przytłoczy ich znowu pamięć o śmierci Katie, będą mieli przynajmniej tę popołudniową rozrywkę jako małą przeciwwagę dla ich rozpacz. To będzie początek rekonwalescencji. Zdadzą sobie z tego sprawę, przynajmniej na kilka godzin tego popołudnia, że doświadczyli przyjemności, jeśli nie radości.

Odszedł od okna, obmył ciepłą wodą twarz i nałożył piankę do golenia na szyję i policzki. Gdy zaczął się golić, uświadomił sobie, że nurtuje go złość. Niezbyt silna, prawdę powiedziawszy, żadnego przejmującego bicia dzwonów w sercu. Miał raczej wrażenie, jakby je połaskotały delikatne palce.

A więc jestem.

Spojrzał w lustro, lecz nie poczuł niczego szczególnego. Kochał swoje córki i żonę i

był przez nie kochany. Miał w nich oparcie i czerpał z nich siłę. Niewielu mężczyzn... niewielu w ogóle ludzi... mogło to o sobie powiedzieć.

Zabił człowieka za zbrodnię, której tamten prawdopodobnie nie popełnił. Na domiar złego nie czuł z tego powodu nadmiernych wyrzutów sumienia. Przed laty zabił innego człowieka. Oba ciała wrzucił do rzeki Mystic, by utonęły w jej głębi. Szczerze lubił obydwie swe ofiary, Raya trochę bardziej niż Dave'a, ale lubił obu. Mimo to ich zabił, wierny swym zasadom. Stał nad rzeką i patrzył, jak twarz Raya bieleje, zapadając w toń z otwartymi, martwymi oczami. Nie czuł nadmiernych wyrzutów sumienia z powodu tego morderstwa, choć wmawiał w siebie, że tak. To, co nazywał wyrzutami sumienia, było raczej lękiem przed złą karmą, obawą, że jego uczynek zostanie odpłacony jemu lub komuś z jego najbliższych. Śmierć Katie, jak przypuszczał, była spełnieniem tej karmy. Bolesną odpłatą. Ray poprzez owoc z łona swojej żony zabił Katie jedynie dlatego, by wypełniło się prawo karmy.

A Dave? Przewlekli łańcuch przez szczeliny pustaka, oplekli wokół jego ciała i spięli końce. Potem dźwignęli ciało na tyle wysoko, ile było trzeba, by je przerzucić przez burtę. Kiedy ciało Dave'a opadało na dno rzeki, Jimmy miał przed oczami jego wizerunek jako dziecka, a nie dorosłego. Kto wie, gdzie osiadło? Leżało teraz na dnie Mystic ze wzrokiem utkwionym w górę. Zostań tam na zawsze, Dave. Zostań tam.

Właściwie Jimmy nigdy nie odczuwał zbyt dużych wyrzutów sumienia z powodu swych uczynków. Prawda, umówił się przed trzynastu laty z jednym kolegą z Nowego Jorku, żeby co miesiąc wysyłał rodzinie Harrisów pięć setek, ale wynikało to nie tyle z poczucia winy, ile z chłodnej kalkulacji - dopóki myśleli, że Just Ray żyje, nie szukali go. Teraz, gdy syn Raya siedział za kratkami, mógł przestać posyłać tę forszę. Przeznaczy ją na jakiś zbożny cel.

Wspomogę nią moją dzielnicę, postanowił. Patrząc w lustro, pomyślał, że tak właśnie jest: to jego dzielnica. Brał ją oto na własność. Od trzynastu lat żył w kłamstwie, udawał, że jest po prostu zwykłym obywatelem, a tymczasem widział wokół siebie tylko bezmiar utraconych szans. Chcą zbudować w okolicy stadion? Doskonale. Porozmawiajmy o robotnikach, których interesy reprezentujemy. Nie? Trudno. W takim razie lepiej uważajcie na swój park maszynowy, chłopcy. Byłaby szkoda, gdyby go strawił pożar.

Musi usiąść z Valem i Kevinem i porozmawiać o planach na przyszłość. To miasto jest gotowe, żeby się otworzyć. A Bobby O'Donnell? Jego przyszłość, pomyślał, nie będzie wyglądała zbyt różowo, jeśli ośmieli się pozostać w okolicy.



Skończył golenie i jeszcze raz przyjrzał się swojemu odbiciu w lustrze. Nosił w sobie zło? Niech i tak będzie. Mógł z tym żyć, bo miał w sercu miłość i wiarę w siebie. Stanowiły dobrą przeciwwagę.

Ubrał się i wyszedł przez kuchnię. Czuł się tak, jakby człowiek, którego udawał przez te wszystkie lata, spłynął do kanalizacji przez odpływ w kabinie prysznicowej. Słyszał, jak jego córeczki śmieją się i piszczą, prawdopodobnie wylizywane przez kota Vala, i pomyślał: chłopie, to najpiękniejszy dźwięk na świecie.

Sean i Lauren znaleźli miejsce na chodniku przed kawiarnią Nate & Nancy's. Nora spała w wózeku, który ustawili w cieniu markizy. Oparli się o ścianę i lizali lody. Sean spoglądał na żonę i zastanawiał się, czy im się naprawdę udało, czy roczna rozłąka nie wyrządziła im zbyt wielkiej szkody, nie przekreśliła ich miłości i tych wszystkich udanych lat małżeństwa, jakie przeżyli, zanim przed dwoma laty zaczęło się między nimi psuć. Lauren wzięła go za rękę i uścisnęła ją, a on spojrzał na śpiącą córeczkę. Wyglądała jak istota godna boskiego niemal uwielbienia, prawdziwa mała bogini.

W lukach przesuwającej się przed nimi parady migały mu sylwetki Jimmy'ego i Annabeth Marcusów. Ich dwie śliczne córeczki siedziały na ramionach Vala i Kevina Savage'ów i machały rączkami osobom przejeżdżającym na platformach i w otwartych kabrioletach.

Sean znał historię swojego miasta. Wiedział, że przed dwustu szesnastu laty zbudowano na tej ziemi więzienie nad brzegami kanału, który ostatecznie odziedziczył po nim nazwę. Pierwszymi osadnikami w Buckingham byli więźniowie oraz ich rodziny. To nigdy nie było łatwe sąsiedztwo. Więźniowie wychodzili na wolność po odsiedzeniu kary na ogół zbyt starzy i sterani życiem, by szukać szczęścia w dalekich stronach. Buckingham szybko zyskało złą sławę wysypiska dla ludzkich odpadków. Wzdłuż dzisiejszej alei i jej gruntowych przecznicy wyrosły liczne knajpy, a byli więźniowie zaczęli osiedlać się na wzgórzach. Budowali domy coraz wyżej w Point, jakby chcieli spojrzeć z góry na miasteczko swojej niedoli. Początek dziewiętnastego wieku przyniósł wielki boom hodowlany. Zagrody dla bydła wyrastały jak grzyby po deszczu tu, gdzie teraz biegła autostrada. Główny trakt ciągnął się wzdłuż opłotków dzisiejszej Sydney Street i wprowadzał młode wołki do centrum miasteczka, trasą obecnej parady. Pokolenia więźniów, robotników z rzeźni oraz ich potomków spychały Flats coraz bardziej w dół ku temu traktowi. Wzrost więzienia zamknięto w

następstwie jakiegoś zapomnianego już ruchu reformatorskiego, boom hodowlany się skończył, ale knajpy nadal wyrastały. Fala irlandzkiej imigracji zatopiła wcześniejszą falę imigracji włoskiej. Zbudowano kolejkę na estakadzie. Ludzie jeździli do miasta do pracy, ale pod koniec dnia wracali na wzgórza. Wracali, bo własnymi rękami zbudowali tę wieś, znali jej ciemne i jasne strony, co zaś najważniejsze, nic nie mogło ich tutaj zaskoczyć. Korupcja, krwawe porachunki, bijatyki w barach, gra w palanta i miłość w sobotnie poranki - wszystko rządziło się tutaj swoistą logiką. Nikt postronny jej nie dostrzegął i o to właśnie chodziło. Obcy nie byli tu mile widziani.

Lauren wtuliła się w męża, umościwszy głowę pod jego brodą. Sean wyczuwał jej niepewność, ale zarazem zdecydowanie, stanowczy zamiar odbudowania wzajemnego zaufania.

- Bardzo się bałeś, kiedy ten dzieciak do ciebie celował? - zapytała.

- Szczerze?

- Oczywiście.

- O mało nie posikałem się ze strachu.

Wysunęła głowę spod jego podbródka i przyjrzała mu się pytająco.

- Mówisz poważnie - stwierdziła.

- Poważnie - przytaknął.

- Myślałeś o mnie?

- Tak. O was obu.

- Co myślałeś?

- Myślałem... Myślałem o tym, co przeżywamy teraz.

- O paradzie? O tym wszystkim?

Kiwnął głową.

Pocałowała go w szyję.

- Kłamiesz jak z nut, skarbie, ale miło z twojej strony, że to mówisz.

- Nie kłamię - zaprzeczył. - Naprawdę. Spojrzała na Norę.

- Ma twoje oczy.

- I twój nosek.

Nie odrywając oczu od córeczki, powiedziała:

- Mam nadzieję, że nam się uda.

- Ja również. Pocałował ją.

Oparli się plecami o ścianę. Chodnikiem przepływała ludzka rzeka, a potem nagle jak spod ziemi wyrosła przed nimi Celeste. Była blada, we włosach miała łupież.

Nerwowo wyłamywała palce, jakby chciała wyrwać je ze stawów.

Spojrzała na Seana.

- Witam, panie policjancie.

Wyciągnął do niej rękę. Wyglądała tak, jakby potrzebowała podtrzymania, by nie odpłynąć uniesiona prądem.

- Witam, Celeste. Mówmy sobie po imieniu, dobrze?

Dłoń miała zimną i wilgotną, palce gorące. Potrząsnęła jego dłonią i szybko wyrwała rękę.

- To jest Lauren, moja żona.

- Cześć - przywitała się Lauren.

- Cześć.

Przez chwilę wszyscy troje milczeli zakłopotani. Potem Celeste spojrzała na drugą stronę ulicy, a Sean pobiegł spojrzeniem za jej wzrokiem. Stał tam Jimmy, obejmując ramieniem Annabeth. Oboje jaśnieli w blasku pogodnego dnia, otoczeni przyjaciółmi i rodziną. Wyglądali jak ludzie, którzy już nigdy nie mieli ponieść żadnej straty.

Spojrzenie Jimmy'ego ominęło Celeste i spoczęło na Seanie. Jimmy skinął mu głową, a Sean odwzajemnił pozdrowienie.

- On zabił mojego męża - powiedziała Celeste.

Sean poczuł, jak Lauren sztywnieje u jego boku.

- Wiem - rzekł - choć na razie nie potrafię tego udowodnić.

- I co dalej?

- Jak to dalej?

- Udowodnisz? - spytała.

- Spróbuję, Celeste. Przysięgam.

Celeste spojrzała w głąb alei i machinalnie podrapała się w głowę, jakby rozgniatała wszy.

- Chyba nie mogę rzucić oskarżenia na własny mózg. - Zaśmiała się. - Co ja gadam!

Wyciągnął rękę i dotknął jej nadgarstka. Spojrzała na niego piwnymi, zaleknionymi oczami. Wyglądała tak, jakby oczekiwała, że zaraz ją uderzy.

- Mogę ci podać nazwisko lekarza, specjalizującego się w pomaganiu osobom, które straciły niespodziewanie kogoś bliskiego.

Kiwnęła głową, ale jego słowa najwidoczniej nie przyniosły jej pociechy. Cofnęła rękę i zaczęła znowu wyłamywać sobie palce. Spostrzegła, że Lauren się jej przygląda,

i spoglądała w dół na własne dłonie. Opuściła ręce, a potem je znowu podniosła i założyła na piersi, wsunawszy dłonie pod łokcie, jakby chciała je uwięzić, by nie odfrunęły. Sean zauważył, że Lauren uśmiecha się do niej bladym, drżącym uśmiechem zawstydzonego współczucia, i ujrzał ze zdumieniem, że Celeste odpowiada jej równie nieśmiałym uśmiechem, a w jej oczach pojawia się błysk wdzięczności.

Poczuł przyływ wielkiej miłości do swojej żony, lecz i zawstydzenie, że ona potrafi tak łatwo nawiązywać kontakt z ludźmi dotkniętymi nieszczęściem. Już wiedział, że to on stał się przyczyną kryzysu w ich małżeństwie, kiedy policyjna strona jego natury wzięła górę nad miłością do ludzi i wyrozumiałością dla ich wad.

Wyciągnął rękę i z czułością dotknął policzka Lauren. Celeste natychmiast odwróciła głowę.

Spojrzała w stronę jezdni właśnie w chwili, gdy przejeżdżała nią platforma w kształcie ogromnej baseballowej rękawicy, którą obsiedli zawodnicy młodzieżowej ligi baseballowej. Chłopcy kipieli radością i jak szaleni machali rękami, uszczęśliwieni widocznym zachwytem widzów.

Coś w wyglądzie tej platformy przejęło Seana lękiem. Może to, że wielka rękawica zdawała się tych chłopców nie tyle otulać, ile raczej pochłaniać, a oni śmiali się radośnie, jakby nie dostrzegali zagrożenia.

Wszyscy z wyjątkiem jednego. Tylko jeden chłopiec stał na platformie z chmurną miną i wzrokiem wbitym we własne adidasy. Sean poznał go od razu. To był syn Dave'a Boyle'a.

- Michael! - zawołała Celeste i zaczęła do niego machać, chłopiec jednak na nią nie spoglądał. Dalej patrzył pod nogi, nawet gdy zawołała go ponownie po imieniu. - Michael, kochanie! Tutaj jestem, skarbie! Michael!

Platforma przetaczała się przed nimi, Celeste nie przestawała wołać syna, ale on nie patrzył w jej stronę. Układ jego ramion, opuszczony podbródek i dziewczęca niemal uroda przypomniały Seanowi małego Dave'a.

- Michael! - zawołała Celeste i zeszła z chodnika. Znowu wyłamywała sobie palce.

Platforma przejechała, a ona biegła za nią, przeciskając się przez tłum, machając ręką i wołając syna.

Lauren dotknęła ramienia Seana. Spojrzał na Jimmy'ego po drugiej stronie ulicy. Dopadnę go, choćby miało mi to zająć resztę życia. Widzisz mnie, kolego? Spójrz no na mnie.

Jimmy spojrział w jego stronę i uśmiechnął się.

Sean podniósł rękę, wycelował w niego palec wskazujący, kciuk zagiął jak kurek pistoletu i zamarkował wystrzał.

Uśmiech Jimmy'ego jeszcze się poszerzył.

- Kim była ta kobieta? - spytała Lauren.

Sean poszukał wzrokiem Celeste. Biegła w szpalerze widzów za odjeżdżającą platformą, coraz mniejsza, z rozwianymi połami płaszcza.

- Straciła niedawno męża - odparł.

Pomyślał o Davie. Żałował, że nie postawił mu piwa, jak to obiecał w drugim dniu śledztwa. Żałował, że nie był dla niego miłszy, kiedy byli dziećmi. Współczuł mu, bo porzucił go ojciec, matka była niespełna rozumu i spotkało go tyle zła. Stał na trasie barwnej parady w towarzystwie żony i córki i życzył Dave'owi szczęścia. A przede wszystkim spokoju. Miał bowiem nadzieję, że jego kolega z dzieciństwa, gdziekolwiek przebywał, odzyskał wreszcie spokój.